

# Baśnie 1001 nocy



## Spis treści

1. <i>Ali Baba i czterdziestu rozbójników</i> .....	2
2. <i>Aladyn i czarodziejska lampa</i> .....	24
3. <i>Opowieść o Sindbadzie Żeglarzu</i> .....	59
4. <i>Księżę Ahmed i wróżka Peri Banu</i> .....	96
5. <i>Opowieść o dwóch siostrach, które trzej z zazdrości</i> .....	123
6. <i>O rybaku i dzinnie</i> .....	147
7. <i>Opowieść o mistrzu Hasanie el-Habbalu</i> .....	166
8. <i>Opowieść o ubogim szewcu Maarufie</i> .....	180



## **Ali Baba i czterdziestu rozbójników**

Dawno, bardzo dawno temu w pewnym mieście perskiej prowincji Horasanu żyło sobie dwóch braci, synów tego samego ojca i tej samej matki. Jeden z nich nazywał się Kasim, a drugi Ali Baba. Ojciec ich był już dawno umarł, a to, co im w spadku pozostawił, niewielką przedstawiało wartość i nie stanowiło mienia, które mogłoby stać się ciężarem. Obaj bracia podzielili między sobą dziedzictwo równo i sprawiedliwie, bez waśni i swarów. Po podzieleniu ojcowizny Kasim ożenił się z bardzo bogatą niewiastą, która posiadała wiele ziemi uprawnej i ogrodów, winnic i komór wypełnionych wszelakim dobytkiem i cennymi towarami, które i zliczyć było trudno. Zaczął więc Kasim trudnić się handlem i został kupcem. Wkrótce też doszedł do wielkiego majątku, bo los mu sprzyjał, i zasłynął z bogactwa zarówno wśród kupieckiego stanu, jak i wśród innych zamożnych i znacznych ludzi. Jego brat Ali Baba natomiast pojął za żonę biedną dziewczynę, która nie miała ani dirhema\*, ani denara\*, ani domu, ani kawałka gruntu. Toteż w

krótkim czasie wydał wszystko, co odziedziczył po ojcu, i doszło do tego, że zagnieździły się u niego nędza i ubóstwo wraz ze wszystkimi towarzyszącymi im zawsze troskami i kłopotami. Ali Baba był bezradny i nie wiedział, co począć. Nie widział już możliwości, jak się przeżyć i utrzymać przy życiu. A był przecież człowiekiem, któremu nie brakowało wiedzy i rozumu, ćwiczony był w naukach i obyty w świecie. Lamentował więc nad swoją niedolą w mowie wiązanej, a wypowiedziawszy wierszem gorzkie skargi, począł zastanawiać się nad swym tragicznym położeniem. Dokąd od tej nędzy uciec? Skąd zdobyć środki utrzymania? Czym zarobić na chleb powszedni? I w końcu tak sam do siebie powiada: - Kiedy za pieniądze, które mi jeszcze pozostały, kupię siekiere i nabędę kilka osłów, udam się w górę, narąbię trochę drzewa, a potem zejść znów w dolinę i sprzedam drwa na miejskim rynku, to na pewno tyle za to dostanę, że moja bieda się skończy i będę mógł przeżyć rodzinę. Jak postanowił, tak i zrobił. Szybko zakupił osły i siekiere. Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszył w góry z trzema osłami, z których każdy nie był mniejszy od muła. Tam pozostał przez cały dzień zajęty ścinaniem drzewa i wiązaniem drow w wiązki. Kiedy zaś zapadł wieczór, naładował drwa na osły i podążył z nimi do miasta. Tam drzewo spieniżył, a z uzyskanej gotówki mógł -już coś niecoś zakupić dla siebie i rodziny. W ten sposób pozbył się kłopotów, i troski już go nie gnębiły. Chwalił więc i wielbił Allacha, i spędził noc z lekkim sercem, w pogodnym usposobieniu i ze spokojną głową. Kiedy znów nadszedł ranek, Ali Baba wybrał się ponownie w góry i postąpił tak samo jak poprzedniego dnia. I to weszło mu w zwyczaj. Co rano wyruszał w góry, a wieczorem powracał do miasta, udawał się, na bazar, aby drwa sprzedać, a z uzyskanych pieniędzy poczynić zakupy na utrzymanie rodziny. Z czasem przyzwyczał się uważać cały ten proceder za błogosławieństwo i stale go uprawiał. Aż pewnego dnia, kiedy znów, przebywał w górach i rąbał drzewo, ujrzał tumany kurzu, które unosiły się, w powietrzu i przysłaniały wszystko jakby szarym welonem. Gdy chmura kurzu się rozwinęła, ukazała się gromada jeźdźców podobnych do groźnych lwów. Byli uzbrojeni po zęby, przyodziani w błyszczące pancerze i z krzywymi szablami u boku. Każdy miał w ręku dzidę, a sajdak\* z łukiem i strzałami przewieszony przez plecy. Ali Baba zląkł się. Trzęsąc się i drżąc na całym ciele, podbiegł do wysokiego drzewa, wdrapał się na jego wierzchołek i ukrył w listowiu, aby stać się niewidzialnym dla jeźdźców, których wziął za rozbójników. Tak ukryty w koronie drzewa, bacznie przyglądał się nieznanym. Wnet rozpoznał, że naprawdę byli to zbójcy i łotrzykowie, policzył ich i stwierdził, że było ich czterdziestu, a każdy dosiadał szlachetnego konia. Wtedy Ali Baba zląkł się jeszcze bardziej, a strach legł na nim ciężkim brzemieniem. Jego członki drżały, ślina wyschła mu w ustach i sam już nie wiedział, co się z nim dzieje. Jeźdźcy tymczasem zatrzymali się, zeskoczyli z koni i zawiesili im worki z jęczmieniem na łbach. Następnie każdy ze zbójców chwycił za torbę przytroczoną do siodła, zdjął ją z końskiego grzbietu i przewiesił sobie przez ramię. Wszystko to działo się, gdy Ali Baba im się przyglądał z wierzchołka drzewa. Herszt zbójców, który kroczył na przedzie, podszedł do skalnej ściany i zatrzymał się przed małą, kutą z żelaza furtką, tak zarosniętą krzewami i głógiem, że z daleka jej widać nie było. Toteż Ali Baba, choć był tu już nieraz, nigdy jej przedtem nie dostrzegł i nie zauważył. Kiedy tak zbójcy przed kutą z żelaza furtką stali, herszt zawołał, jak mógł tylko najgłośniej: Sezamie, otwórz się! I w tym samym momencie, kiedy te słowa wymówił, furtka się otwarła. Herszt wszedł pierwszy do środka, a czterdziestu zbójców za nim, dźwigając na plecach swoje ciężkie torby. Ali Baba nie mógł wyjść ze zdumienia, nie wiedząc, co to wszystko znaczy, i pomyślał, że każda torba musi być pełna bitych srebrnych monet i czerwonego złota. I naprawdę tak było. Łotrzykowie ci bowiem zwykli byli napadać na szerokich traktach, plądrować wsie i miasteczka i znęcać się nad ich mieszkańcami, aby z nich ostatni grosz wydusić. Każdorazowo zaś kiedy obrabowali karawanę czy splądrowali wieś, wieźli swój łup w to odległe i dobrze ukryte miejsce, niedostępne dla oczu innych ludzi. Ali Baba siedział w swojej kryjówce na drzewie, przyczaiwszy się nieruchomo, aby nie zdradzić swej obecności. Nie spuszczał jednak furtki z oka i czekał, co dalej nastąpi. Wreszcie prowadzeni przez swego herszta wszyscy zbójcy z pustymi torbami powychodzili z jaskini jeden za drugim. Potem przytroczyli znów torby do siodła, tak jak mieli je przedtem, założyli wierzchowcom wędzidła, wskoczyli na siodła i odjechali w tym samym kierunku, skąd przybyli. Oddalali się powoli, aż znikli mu z oczu. Ali Baba siedział nieruchomo na swym drzewie i ze strachu ledwie śmiał oddychać. Kiedy jednak zbójcy

znikli mu wreszcie z oczu, zsunął się z drzewa i podszedł do kutej w żelazie furtki. Tam przystanął i przyglądając się jej pytał siebie w duchu: "Czy też furtka ta otworzy się przede mną, kiedy zawołam jak herszt zbójców: Sezamie, otwórz się?!" Potem podszedł całkiem blisko, wymówił te słowa i - patrzcie - furtka się otworzyła. Rzecz miała się bowiem tak: miejsce to było przez złe duchy i dzinny\* zaczarowane i potężną mocą czarodziejską zakłętę. A słowa Sezamie, otwórz się! były tajemnym zaklęciem, aby miejsce to z mocy czarodziejskiej wyzwalać i kutą w żelazie furtkę otwierać. Kiedy Ali Baba ujrzał, że furtka się otworzyła, wszedł do środka. Ale jak tylko przeszedł przez próg, furtka się za nim zatrzasnęła. Ali Baba przeraził się okropnie, ale kiedy potem pomyślał, że zna słowa zaklęcia Sezamie, otwórz się!, przerażenie go opuściło i powiedział sobie w duchu: "Nic mnie to nie obchodzi, że furtka się zatrzasnęła, ponieważ znam zaklęcie, którym mogę ją znowu otworzyć. Potem zrobił kilka kroków naprzód, a ponieważ mniemał, że jaskinia jest pozbawiona światła, nie mógł się nadziwić, gdy ujrzał przed sobą jasną salę wykładaną marmurem z wysokimi kolumnami i wspaniałymi ozdobami na ścianach. W sali było nagromadzone tyle potraw i napoi, ile dusza zapagnie. Stamtąd Ali Baba przeszedł do drugiej sali, która była jeszcze większa i obszerniejsza od pierwszej. Były tam przedziwne sprzęty, wysadzone najrzadszymi kamieniami, których blask oślepiał i których piękna nikt nie zdoła opisać. Leżało tam mnóstwo sztab szczerego złota oraz przeróżnych przedmiotów kowanych z czystego srebra. Denary i dirhemy leżały usypane w kupy niczym żwir czy piasek w nieprzeliczonej ilości. Gdy Ali Baba po tej wspaniałej sali przez chwilę się rozejrzał, otworzyły się przed nim jeszcze jedne drzwi. Przez nie wszedł do trzeciej sali, która była jeszcze wspanialsza i piękniejsza od poprzednich i cała wypełniona po brzegi najwykwintniejszymi tkaninami ze wszystkich krain świata. Były tam bele kosztownej delikatnej bawełny, cienkie jedwabie i wypukły złotogłów. Nie było chyba ani jednego gatunku tkanin, którego byś w tej sali nie znalazł. Pochodziły one z syryjskich równin i odległych afrykańskich krain, z Chin i doliny Indii, z Nubii i najdalszych prowincji Hindustanu. Następnie Ali Baba przeszedł jeszcze do innej sali, pełnej drogich kamieni, która była największa i najcudowniejsza ze wszystkich. Znajdowały się tam lśniące matowym blaskiem perły i różne klejnoty, których nie można było ogarnąć wzrokiem ani przeliczyć, opalizujące hiacynty\*, ciemnozielone szmaragdy, blade turkusy i różnokolorowe topazy. Pereł leżały całe góry, a obok nich - przejrzyste agaty\* i różowe korale. Wreszcie Ali Baba przeszedł do jeszcze jednej sali, pełnej zamorskich korzeni, kadzidła i przeróżnych wonności. I to była już ostatnia sala. Znajdowały się tam specjały najbardziej wyszukane i najdelikatniejsze. Gorzka woń aloesu\* i mocny zapach piżma\* unosiły się w powietrzu, ambra\* i cynamon rozaczały najpiękniejszy aromat. Słodki zapach mirry\*, wody różanej i mieszanina różnych innych wonności napełniały całą salę. Jak drwa na opał leżało wszędzie drogocenne drzewo sandałowe, a zamorskie korzenie rozrzucone były niczym chrust, jakby nie miały wartości. Ali Baba był widokiem tych wszystkich niezmiernych skarbów oślepiony i niemal nie postradał zmysłów, a rozum jego był bezradny. Stał tak przez chwilę nieruchomo, jakby odurzony i urzeczony tym cudownym widokiem. Potem podszedł bliżej skarbów, aby im się dokładniej przyjrzeć. To brał do ręki najczarowniejszą z pereł, to wyszukiwał wśród klejnotów najdrogocenniejszy kamień, to odkładał na bok sztukę złotogłowiu, to znów ulegał pokusie i podchodził do błyszczącego złota. Zbliżał się do delikatnych i cienkich jedwabi i wchłaniał w siebie aromaty aloesu i kadzidła. Wreszcie powiedział sobie w duchu, że gdyby zbójcy nawet gromadzili te wszystkie skarby przez długie szeregi lat, nie zdołaliby przecie nazbierać nawet drobnej części tego bogactwa. Skarbiec musiał już istnieć, zanim zbójcy do niego trafili, i na pewno nie nabyli oni tych bogactw w uczciwy i zgodny z prawem sposób. Toteż jeśli on, Ali Baba, tę sposobność wykorzysta i weźmie sobie trochę z tych wszystkich nieprzeliczonych skarbów, nie popełni grzechu i na pewno nie zasłuży na naganę. A wreszcie ponieważ skarbów tych jest tyle, że zbójcy z pewnością nigdy nie mogli ich porachować, nie zmiarkują, jeśli coś niecoś z nich ubędzie, i nigdy się o tym nie dowiedzą. Pomyślawszy tak, Ali Baba postanowił z leżącego tam złota wziąć tyle, ile będzie mógł udźwignąć, i zaczął wynosić wory pełne złotych monet; a za każdym razem, kiedy chciał wejść czy wyjść, wymawiał zaklęcie: Sezamie, otwórz się! i furtka się posłusznie otwierała. Kiedy zaś skończył wynosić przeznaczoną do zabrania część skarbów, objuczył nimi osły, ukrywając wory ze złotem pod cienką warstwą drzewa opałowego. Po czym pognął ciężko

objuczone zwierzęta, aż znów dotarł do miasta i w wesołym i pogodnym nastroju powrócił do swego domu. Kiedy Ali Baba przestąpił próg domu, zamknął szczelnie za sobą drzwi, ponieważ obawiał się, aby ludzie go nie podpatrzyli. Przywiązawszy osły w stajni i zadawszy im paszy, wziął jeden wór ze złotem, zaniósł go do żony i rzucił jej do stóp. Potem zszedł znów na dół i przyniósł drugi. I tak nosił jeden wór po drugim, aż wszystkie zostały wniesione na piętro. Żona jego przypatrywała się temu z coraz to większym zdumieniem. Kiedy zaś dotknęła jednego z worów i poczuła twarde monety, oblicze jej pobladło, a serce w niej zamarło. Myślała bowiem, że mąż jej całe to złoto ukradł. Zawołała więc: - Coś ty narobił, nieszczęsny człowiecze? Nie potrzeba nam nieuczciwie nabytego majątku i kradzionego mienia nie pragnę. Wystarczy mi to, czym Allah mnie obdarzył. Zadowolona jestem z mego ubóstwa i składam dzięki Allahowi za to, co mi przeznaczył. Nie pożądam tego, co inni posiadają, i nie chcę tego, co mi się nie należy! - Niewiasto - odparł jej Ali Baba - miej ufność i poniechaj udreki! Daleki jestem od tego, aby ręka moja mogła dotknąć niesprawiedliwego bogactwa. Te monety znalazłem w jaskini pełnej skarbów. Skorzystałem ze sposobności, która mi się nadarzyła, wziąłem złoto i oto je przynoszę. Potem opowiedział żonie całe zajście ze zbójcami od początku aż do końca. Nie powtarzamy tu jednak jego opowiadania, aby czytelników nie nużyć. Skończywszy opowiadać, Ali Baba przestrzegł swą żonę, aby trzymała język za zębami i tajemnicy nikomu nie zdradziła. Kiedy żona Ali Baby wszystko to usłyszała, zdziwiła się bardzo, wszelki strach ją opuścił, a potężna radość wypełniła jej serce. Ali Baba wypróżnił wory w izbie, a kiedy ze wszystkich złotych monet usypał wielki kopiec, żona, zaskoczona ich ilością, zaczęła je rachować. Wtedy Ali Baba rzekł do niej: - Głupia, nie zdołasz ich przeliczyć, nawet gdybyś liczyła je przez dwa dni. To zajęcie bezcelowe, nie potrzebujesz tego teraz czynić, lepiej wykopieśmy dół i schowamy w nim nasz skarb, aby rzecz się nie wydała i nikt naszej tajemnicy nie wykrył. A żona Ali Baby na to: - Jeśli nie chcesz, żeby złoto było przeliczone, to pozwól je przynajmniej zmierzyć, abyśmy choć mniej więcej wiedzieli, ile tego mamy. - Rób, co ci się podoba - odparł Ali Baba - ale obawiam się, że ludzie się dowiedzą o tym, co się nam przytrafiło, a wtedy zasłona opadnie z naszej tajemnicy i będziemy żalowali, kiedy będzie już za późno. Lecz żona Ali Baby nie zważała na słowa męża i wyszła, aby pożyczyć szaflik do mierzenia zboża. Nie posiadała bowiem żadnej miary w domu, ponieważ była bardzo biedna. Poszła więc do swojej szwagierki, żony Kasima, i poprosiła ją o szaflik. Ta zgodziła się chętnie, ale idąc po szaflik powiedziała w duchu: "Żona Ali Baby jest przecież bardzo uboga i w ogóle nigdy nie miała nic do mierzenia. Skądże by mogła mieć dzisiaj jakieś ziarno, aby je tym szaflikiem mierzyć? Strasznie była ciekawa dowiedzieć się wszystkiego dokładnie. Dlatego też wlała na dno szaflika trochę wosku, aby coś niecoś z mierzonego ziarna doń się przylepiło. Potem wręczyła szaflik ubogiej szwagierce. Ta wzięła szaflik, podziękowała za uprzejmość i wróciła pośpiesznie do domu. Usiadła, aby złoto przemierzyć, i okazało się, że było tego dziesięć szaflików. Radośnie podniecona, opowiedziała o tym mężowi, który tymczasem wykopał głęboki dół. Do dołu wrzucił złoto i przyklepał nad nim ziemię. Żona jego zaś pobiegła, aby odnieść szaflik szwagierce. Zostawmy teraz ich oboje i zajmijmy się małżonką Kasima. Skoro tylko żona Ali Baby ją opuściła, małżonka Kasima zajrzała do szaflika i zauważyła złotą monetę, która się przylepiła do wosku. Była tym niesłychanie zdziwiona, ponieważ wiedziała, że Ali Baba jest ubogim człowiekiem, i przez chwilę siedziała, nie bardzo wiedząc, co dalej począć. Potem przekonawszy się jeszcze raz, że u Ali Baby mierzono prawdziwe złoto, zawołała: - Ali Baba twierdzi, że jest ubogi, a mierzy złoto szaflikami! Skąd się wzięło u niego takie bogactwo? W jaki sposób doszedł do takiej ilości złota? I zawiść wkradła się do jej serca i rozpałała w jej duszy istny pożar. Czekwała więc na powrót swego męża pełna bolesnej niecierpliwości. Jej małżonek Kasim zwykł był codziennie wczesnym rankiem udawać się do swego sklepu i pozostawać tam aż do późnego wieczoru, poświęcając cały swój czas sprzedaży i kupnu oraz wszelkim interesom handlowym. Tego dnia wszakże małżonka nie mogła się go wprost doczekać, pożerana troską i zazdrością. Kiedy nadszedł wieczór i mrok już zapadł, Kasim zamknął sklep i udał się do domu. Skoro tylko wszedł do izby, ujrzał swoją żonę ponuro spoglądającą przed siebie, z miną wielce zafrasowaną. Oczy miała zapłakane, a serce pełne trosk. Ponieważ Kasim ją bardzo kochał, zapytał natychmiast: - Co ci się stało, radości moich oczu i skarbie mojego serca? Czym się tak turbujesz? Czemu ronisz łzy? A małżonka Kasima na to: -

Jesteś do niczego i nie umiesz niczemu podolać. Och, czemuż nie wysłałam za twojego brata! On, to co innego, chociaż zasłania się ubóstwem, szczyli się swoją biedą i boży się, że nie ma żadnego majątku, ma jednak tyle złota, że tylko jeden Allah może je porachować, i dlatego trzeba je mierzyć szaflikami. Ty zaś, który twierdzisz, że jesteś zamożny i majątny, i który pysznisz się swoim bogactwem, w gruncie rzeczy jesteś nędzarzem w porównaniu z bratem. Liczysz swoje denary po jednym i widocznie zadowoliliś się byle czym, a jemu odstąpiłeś lwią część spadku. Potem opowiedziała mężowi, co się przydarzyło jej z żoną Ali Baby, jak ta pożyczyła od niej szaflik, a ona wylała na dno trochę wosku i jak złota moneta się do wosku przylepiła. Kiedy Kasim wysłuchał jej słów i obejrzał dokładnie monetę, nabrał przekonania, że jego brat musi być bardzo bogaty. Ale Kasim się z tego nie cieszył, przeciwnie, wielka zazdrość opanowała jego serce i powziął złe zamiary wobec brata. Był bowiem z natury zawistny i podejrzliwy, nিকczemny i skąpy. Spędził więc ową noc wraz z żoną w ponurym nastroju, gdyż wielkie było ich poczucie krzywdy i gorzkie rozpamiętywanie. Nie zmrużyli oka, a sen omijał ich z daleka. Pełni niepokoju, nie zdrzemnąwszy się nawet na chwilę, przeleżeli całą noc, aż nastał świt i rozjaśnił świat dookoła. Odmówiwszy ranną modlitwę, Kasim udał się jak mógł najwcześniej do swego brata i wszedł niespodziewanie do jego domu. Skoro Ali Baba go ujrzął, przywitał się z nim grzecznie i przyjął jak najgościnniej. Okazał radość z jego przybycia i poprosił, aby usiadł na honorowym miejscu. Kiedy Kasim tam usiadł, tak do swego brata powiada: - Kochany bracie, dlaczego udajesz, że jesteś ubogi i niezamożny, gdy tymczasem posiadasz bogactwa, których nawet ogień zniszczyć nie może? Z jakiego powodu jesteś taki skąpy i prowadzisz takie nędzne życie? Posiadając tak wielki majątek, mógłbyś o wiele więcej wydawać! Bo i na cóż człowiekowi pieniądze, jeśli ich nie używa? Wiesz chyba, że skąpstwo należy do najgorszych i najszeptniejszych grzechów i zaliczane jest do najbardziej nικczemnych i ohydnych wad! A brat jego na to: - Ach, oby to naprawdę tak było, jak powiadasz! Ale tak nie jest. Jestem biednym człowiekiem i nie posiadam innego majątku, jak tylko moje osły i moją siekiere. To, co powiedziałaś, wydaje mi się nader dziwne i nie mogę sobie tego w żaden sposób wytłumaczyć! Ale Kasim ciągnął dalej: - Twoje kłamstwa i udawanie teraz ci już na nic się nie zdadzą. Nie dam się nabrać, gdyż prawda o tobie wyszła na jaw, a to, co ukrywałeś, zostało odsłonięte. - Potem pokazał mu złotą monetę, która się do wosku przylepiła, i powiedział: - Oto, co znaleźliśmy w szafliku, któryście od nas pożyczali. Gdybyś nie miał tyle złota, to szaflik byłby wam niepotrzebny, aby nim złoto mierzyć! Teraz dopiero Ali Baba zrozumiał, że spadła zasłona i tajemnica jego ukazała się w pełnym świetle; a to wszystko dlatego, że jego żona była tak głupia, iż zachciało się jej złoto szaflikiem mierzyć, a on popełnił wielki błąd, że na to pozwolił. Ale czy jest na świecie taki rumak, który się nigdy nie potknie? Albo czy jest taka strzała, która nigdy nie chybi celu? Uświadomił więc sobie Ali Baba, że omyłki swojej nie zdoła inaczej naprawić, jak tylko przez wyjawienie tajemnicy, i że obecnie jedynie słusznym będzie nic już nie ukrywać i brata we wszystko wtajemniczyć. Zresztą ponieważ w jaskini było tego złota więcej, niż można to było sobie wyobrazić, jego własne szczęście nic na tym nie ucierpi, jeśli podzieli się nim ze swym bratem i pewną część skarbów mu odda. Ba, nie zdołaliby zużytkować wszystkiego, gdyby nawet sto lat żyli i gdyby pokrywali z tego złota wszystkie codzienne wydatki. Zważywszy to, opowiedział Ali Baba swemu bratu całą historię o zbójcach i co z nimi przeżył, jak do jaskini ze skarbami się dostał i jak stamtąd zabrał mnóstwo złota oraz to wszystko, co mu się spośród klejnotów i tkanin najbardziej podobało. Opowiadanie zakończył słowami: - Bracie, to, co stamtąd przywiozłem, niechaj będzie zarówno moje, jak i twoje. Podzielimy wszystko sprawiedliwie. Jeśli jednak chcesz mieć jeszcze więcej, to i to ci przywiozę, gdyż posiadam klucz do jaskini ze skarbami, który pozwala mi tam wchodzić i wychodzić do woli, a nikt nie może mi w tym przeszkodzić ani tego zabronić. - Taki podział mi się nie podoba - odparł Kasim. - Żądam, abyś mi wskazał drogę do skarbcza i wyjawił tajemnicę, jak można go otworzyć. Obudziłeś bowiem we mnie żądzę tych skarbów. Muszę je koniecznie zobaczyć, muszę tam wejść, jak ty wszedłeś, i wziąć sobie stamtąd tyle, ile ty wzięłeś. Życzeniem moim jest pójść i przekonać się, co tam jest, abym i ja mógł wybrać wszystko, co mi się spodoba. Jeśli tego mojego życzenia nie spełnisz, zaskarżę cię przed wielkorządcą prowincji i wyjawię mu twoją tajemnicę, a wtedy spotka cię coś, co na pewno nie pójdzie ci w smak. Kiedy Ali Baba usłyszał te słowa z ust brata, powiedział do niego tak: -

Dlaczego grozisz mi wielkorządca? Nie chcę ci przecież niczego odmówić, chętnie opowiem wszystko, o czym będziesz chciał wiedzieć. Początkowo wahałem się tak uczynić tylko dlatego, że obawiałem się, iżby zbójcy czegoś złego ci nie uczynili. Jeśli zaś sam chcesz wejść do jaskini ze skarbami, nie przyniesie mi to ani strat, ani korzyści. Możesz sobie wziąć stamtąd, co ci się spodoba! Bo choćbyś nie wiem ile stamtąd przydźwigał i tak nie zabierzesz wszystkiego, co tam jest, a to, co będziesz musiał pozostawić, wielokrotnie przewyższy to, co zabierzesz. Następnie Ali Baba dokładnie opisał swemu bratu drogę prowadzącą w góry i miejsce, gdzie znajdowała się jaskinia ze skarbami, a w końcu nauczył go zaklęcia Sezamie, otwórz się. Potem zaś dodał: - Zapamiętaj sobie dobrze te słowa i uważaj, abyś ich nie zapomniał! Gdyż inaczej będę się musiał martwić o ciebie, bo zbójcy są mściwi i całe przedsięwzięcie może się smutno skończyć. Kiedy Kasim dowiedział się, gdzie się znajduje jaskinia ze skarbami i jaka droga do niej prowadzi, oraz nauczył się na pamięć słów zaklęcia, pożegnał się wesoło z bratem. Niepomny wszakże jego przestróg i rad, z rozpromienioną twarzą, z której biła radość, wrócił do domu i opowiedział swej małżonce, co mu się z Ali Babą przydarzyło. Opowiadanie swoje zakończył słowami: - Jutro wczesnym rankiem, jeśli Allah pozwoli, wyruszę w góry i wrócę do ciebie z o wiele większą ilością złota niż ta, jaką mój brat do swego domu przywiózł. Twoje zarzuty bardzo mnie bowiem dotknęły i zasmuciły i chciałbym coś uczynić, aby zasłużyć na twoje uznanie. Następnie przyszykował do drogi dziesięć mułów i umocował na grzbiecie każdego z nich po dwie puste skrzynie. Ponadto okulbaczył jeszcze każdego muła jucznym siodłem z przynależnymi trokami. Po czym spędził noc pełen radosnych nadziei, iż następnego dnia uda się do jaskini i wzbogaci się wszystkimi skarbami i klejnotami, jakie tam będą, nie dzieląc się wcale z bratem. Skoro nastał świt i słońce wzeszło, Kasim wyprowadził swoje przyszykowane do drogi muły i pognął je w stronę gór. Kiedy już tam przybył, kierował się wskazówkami, które brat mu dał, aby odnaleźć kutą w żelazie furtkę. Szukał, szukał, aż nagle wśród krzewów i głogów ujrzał ją przed sobą w ścianie skalnej. Jak tylko ją zobaczył, zawołał: - Sezamie, otwórz się! I patrzcie, furtka rozwarła się przed nim i zdumiony Kasim wbiegł pośpiesznie do jaskini trawiony nienasyconą żądzą, aby skarby zabrać. Kiedy tylko przekroczył próg skarbcza, furtka zatrzaskała się za nim jak zwykle. Kasim wszedł do pierwszej sali, stamtąd do drugiej i do trzeciej i tak wędrował z sali do sali, aż zlustrował wszystko. Cudami które widział, był jakby urzeczony i nie mógł nasycić wzroku kosztownościami, na które patrzył. Nie posiadał się z radości i najchętniej zabrałby wszystkie skarby ze sobą. Kiedy tak szedł raz na prawo, raz na lewo i przez chwilę namyślał się, które z tych wszystkich bogactw sobie przywłaszczyć, zdecydował się na samo złoto. Wziął więc worek ze złotem na plecy i zaniósł go do furtki, po czym chciał wypowiedzieć słowa zaklęcia, aby ją otworzyć, to znaczy: Sezamie, otwórz się!, ale słowa te nie przychodziły mu na język, gdyż wypadły całkiem z pamięci. Usiadł na ziemi, aby zastanowić się i przypomnieć je sobie. Lecz słowa nie wracały i nie mógł ich w myśli odtworzyć, gdyż wywietrzały mu całkowicie z głowy. Wołał więc: "Jęczmieniu, otwórz się!" Ale furtka się nie otwierała. Potem krzyczał: "Pszenico, otwórz się!" Ale furtka ani drgnęła. Następnie wrzeszczał coraz głośniejsze: "Fasolo, otwórz się!" Ale furtka pozostała szczelnie zamknięta, tak jak była. I tak wymieniał po kolei jedno ziarno po drugim, aż w końcu wyliczył wszystkie nazwy zbóż, jedynie o sezamie\*` zapomniał. Kiedy się w końcu upewnił, że wyliczanie nazw wszystkich zbóż i roślin nic mu już nie pomoże, zrzucił wór ze złotem z ramion i znowu zaczął się namyślać, co to mogło być za ziarno, którego nazwę mu brat podał, ale ciągle nic mu, na myśl nie przychodziło. I tak pozostawał przez dłuższy czas pogrążony w niepokoju i strachu. Ale nic nie pomagało, nie mógł sobie owego słowa przypomnieć. Potem zaczął odczuwać wielki frasunek, boleść i skruchę z powodu tego, co uczynił, ale dopiero wtedy, kiedy było za późno. Powiedział więc: - Dlaczego nie zadowolilem się tym, co brat mi ofiarowywał? Dlaczego dałem się porwać żądzy złota, która doprowadzi mnie teraz do zguby? Przy tym bił się ciągle po twarzy, szarpał brodę, rwał na sobie szaty, sypał proch na głowę i wylewał potoki łez. To krzyczał i lamentował, jak mógł najgłośniejsze, to znów płakał pogrążony w cichym bólu. Godziny, które spędzał w tej męce, strasznie mu się dłużyły, a kiedy czas mijał, każda minuta wydawała mu się wiecznością. Im dłużej przebywał w jaskini, tym lęk i przerażenie przybierały na sile, aż wreszcie zwątpił o ratunku i powiedział: - Muszę niechybnie zginąć, nie ma drogi, która by mnie zdołała wywieść z tego zamkniętego

szczelnie więzienia. Zostawmy teraz Kasima i powróćmy do zbójców. Spotkali oni tymczasem bogatą karawanę, w której znajdowali się kupcy z towarami. Zbójcy splądrowali ją i zdobyli wielki łup. Po czym udali się do jaskini ze skarbami, aby tam swoją zdobycz ukryć, jak było to w ich zwyczaju. Skoro jednak do niej się zbliżyli, spostrzegli muły objuczone skrzyniami. Wzbudziło to w nich podejrzenie i cała rzecz wydała im się zagadkowa, wpadli więc na nie z wielkim krzykiem. Przerażone muły uciekły i rozproszyły się w górach, zbójcy zaś dali im spokój, zatrzymali swoje konie, zeskoczyli z siodeł i wyciągnęli z pochew szable, aby móc obronić się przed właścicielami mułów, podejrzewając, że może ich być bardzo wielu. Ponieważ jednak przed jaskinią ze skarbami nikogo nie widzieli, podeszli do furtki. Kiedy Kasim posłyszał tętent koni i głosy ludzkie, zaczął się im przysłuchiwać i wkrótce już nie wątpił, że są to zbójcy, o których brat mu opowiadał. Nie tracił jednak nadziei, że uda mu się uniknąć, i z zamiarem, aby natychmiast rzucić się do ucieczki, skoro się tylko furtka otworzy, ukrył się tuż za nią, w każdej chwili gotów do skoku. Herszt zbójców wystąpił naprzód i zawołał: - Sezamie, otwórz się! Kiedy furtka się otworzyła, Kasim wyskoczył przez nią, aby wymknąć się nieszczęściu i szukać ratunku. Ale wyskakując zderzył się z hersztem zbójców i z rozmachu przewrócił go na ziemię. Po czym zaczął uciekać co sił w nogach, roztrącając zbójników. Minął pierwszego, drugiego i trzeciego, ale było ich przecież czterdziestu i nie mogło mu się udać uciec od wszystkich. Jeden ze zbójców zastąpił mu drogę i przebił go dzidą, aż ostrze jej wyszło mu przez plecy, I tu Kasim znalazł swą śmierć. Taka bowiem była kara dla człowieka, którego opanuje żądza złota i który żywi złe zamiary wobec własnego brata! Kiedy potem zbójcy wkroczyli do jaskini i zauważyli, co zostało stamtąd zabrane, rozwścieczyli się okrutnie i mniemali, że zabity Kasim jest tym, który zrabował wszystko, co z ich skarbów brakowało. Nie mogli jednak zrozumieć, w jaki sposób zdołał dotrzeć do tego nieznanego, odległego i ukrytego przed okiem ludzkim miejsca oraz skąd dowiedział się o tajemnicy, jak otworzyć furtkę, gdyż nikt prócz Allacha o tym nie wiedział. Kiedy więc ujrzeli leżącego bez życia, ucieszyli się i wnet uspokoili, mniemając, że teraz nikt już nie przyjdzie, aby się do ich skarbcza dostać. Mówili więc: "Chwała Allahowi, który obronił nas od tego nędznika!" Żeby wszakże innych widokiem surowej kary przestrzec i odstraszyć, rozrąbali zwłoki na cztery części i umieścili je tuż za furtką jako przestrożę dla każdego, kto odważyłby się do wnętrza wdrzeć. Następnie wyszli z jaskini, a furtka zamknęła się i wyglądała tak jak przedtem. Zbójcy zaś dosiedli koni i pocwałowali w swoją drogę. I my ich opuścmy i powróćmy do małżonki Kasima. Przesiedziała ona cały dzień w domu i czekała niecierpliwie na powrót męża, pełna nadziei, że osiągnie on swój cel, a ona posiadzie upragnione dobra. Kiedy wszakże zapadł już wieczór, a mąż ciągle nie wracał, zaczęła się niepokoić i poszła do Ali Baby. Opowiedziała mu, iż jej mąż rano wyruszył w góry i do tej godziny jeszcze stamtąd nie powrócił. Przeto obawia się, że mógł natrafić na jakąś przeszkodę albo mu się jakieś nieszczęście wydarzyło. Ali Baba uspokoił ją, mówiąc: - Nie turbuj się, jeśli twój mąż do tej pory nie powrócił, to na pewno ma po temu swoje powody. Wydaje mi się, że umyślnie zwleka, aby nie przybyć ze skarbami za dnia do miasta. Być może woli powrócić nocą, aby przedsięwzięcie jego zostało w tajemnicy. Zapewne potrwa to już niedługo, a potem ujrzysz go przybywającego ze złotem do ciebie. Kiedy mi doniesiono, iż Kasim zamierza wyruszyć w góry, postanowiłem tego dnia tam się nie udawać, jak codziennie to czynię, aby mu moją obecnością nie przeszkadzać oraz aby nie myślał, że go śledzę. Oby Allah usunął mu z drogi wszelkie trudności i doprowadził sprawę do szczęśliwego zakończenia! Ty zaś wracaj do domu i nie obawiaj się niczego! jeśli Allah zechce, to wszystko obróci się ku dobremu, wtedy zobaczysz, jak mąż twój powróci cały i zdrowy i obładowany bogatym łupem! Żona Kasima poszła więc do domu, ale spokoju i tak nie zaznała. Usiadła zafrasowana z sercem przepelnionym tysiącem trosk z powodu męża, który ciągle nie wracał. Coraz czarniejsze myśli i jak najgorsze przeczucia ją napastowały. Słońce zaszło, ściemniło się zupełnie, a Kasima jak nie było, tak nie było. Kiedy jednak minęły już dwie trzecie nocy i ciągle się go doczekać nie mogła, nadzieja ją opuściła i zaczęła płakać i lamentować. Powstrzymywała się jednak od głośnych okrzyków rozpacz, jakie kobiety zwykły w takich wypadkach wydawać, lękała się bowiem, aby sąsiedzi jej nie usłyszeli i nie zapytali o przyczynę płaczu. I tak spędziła, czuwając i narzekając, w niepokoju, smutku i trosce, w strachu i frasunku bardzo niedobłą noc. Kiedy jednak spostrzegła że już świta, pobiegła natychmiast do Ali Baby i oznajmiła mu, że jego brat nie



powrócił. Gdy to mówiła, łzy rozpaczły płynęły strumieniami z jej oczu z powodu niewypowiedzianej wielkiej bolesti. Usłyszawszy jej słowa Ali Baba rzekł: - Teraz i ja jestem pełen obaw. Udam się więc sam w owo miejsce, aby zbadać, co się stało z moim bratem, i oznajmię ci całą prawdę o jego losie. Niech Allah opiekuje się sprawiedliwymi, a na wrogów naszych sprowadzi nieszczęścia i udreki! Po czym przyszykował do drogi swoje osły, wziął siekiere i wyruszył w góry, jak zwykł był to codziennie czynić. Kiedy jednak zbliżył się do furtki w skale i nie zobaczył tam mułów Kasima, a jedynie ślady krwi, nadzieja go opuściła i był przekonany o śmierci brata. Podszedł do furtki pełen obaw i spodziewając się najgorszego. Zaledwie zawołał: Sezamie, otwórz się!, a już furka się otwarła i Ali Baba ujrzał zwłoki Kasima porąbane na cztery części. Na ten straszny widok przeszedł go zimny dreszcz, zęby zaczęły mu szczekać, a wargi drgać z przerażenia. Mało brakowało, aby ze strachu nie zemdleł. Śmierć brata napełniła boleścią jego serce. Poczul nieukoiony żal i tak powiedział do siebie: - Nikt nie zdoła ująć swemu losowi i co komu jest przeznaczone, musi się spełnić. Potem jednak zmiarkował, że płacz i próżne żale nic nie pomogą i najlepiej będzie skupić się, aby powziąć właściwy plan i niezłomne postanowienie. Uznał za swój pierwszy obowiązek zwłoki brata owinąć w całun i pogrzebać. Zebrał więc wszystkie części poćwiartowanego ciała, władował je na osła i przykrył kosztownymi tkaninami ze skarbcza. Po czym załadował jeszcze nieco z pozostałych klejnotów, wybierając mniej ciężkie, a najbardziej wartościowe. W końcu uzupełnił brzemień swoich osłów drzewem opałowym. Potem odczekał dłuższą chwilę, aż zaczął zapadać zmierzch. Kiedy ściemniło się zupełnie, podążył do miasta i wkroczył do niego bardziej zmartwiony niż matka, która utraciła ukochane dziecko, bezradny, co ma zrobić z trupem i w ogóle co począć. I tak pogrążony w morzu dręczących go myśli pognął swoje osły, aż zatrzymał się przed domem brata i zapukał do bramy. Otworzyła mu czarna abisyńska niewolnica, która tam służyła. Uchodziła ona za jedną z najpiękniejszych niewolnic. Bardzo młoda, o wdzięcznej postaci i ładnej twarzy z malowanymi rzęsami, była pięknnością doskonałą. Ponadto posiadała jasny umysł i bystry rozum, wzniosłą szlachetność i wielką odwagę. W obmyśleniu sposobów i forteli przewyższała najbardziej doświadczonych i najmądrzejszych mężczyzn. W jej rękach spoczywało prowadzenie całego domu. Kiedy Ali Baba wszedł na podwórze, powiedział do niej: - Teraz powinnaś pokazać, co umiesz, Mardżano! Potrzebujemy twojej pomocy w ważnej sprawie, którą wytłumaczę ci w obecności twojej pani. Wejdz ze mną do domu, abym mógł ci wszystko opowiedzieć. Następnie pozostawił osły na podwórzu, poszedł do swojej szwagierki, a Mardżana poszła za nim, strapiona i zaniepokojona tym, co od niego usłyszała. Kiedy żona Kasima go ujrziała, krzyknęła: - Cóż nam przynosisz, Ali Babo, dobre czy złe nowiny? Czy natrafiłeś na ślad mego męża, czy miałeś o nim jakąś wiadomość? Mów prędko, aby mnie uspokoić i ugasić ogień trawiący moje serce. Kiedy jednak Ali Baba zwlekał z odpowiedzią, żona Kasima wnet zrozumiała smutną prawdę. Zaczęła więc wyrzekać i lamentować, a on do niej tak powiada: - Powstrzymaj się od krzyku i ucisz swój głos, aby ludzie o naszym nieszczęściu się nie dowiedzieli i byś nie sprowadziła jeszcze większej biedy. Potem opowiedział jej, co się stało i co przeżył, kiedy znalazł ciało swego brata porąbane na cztery części, zawieszona za furtką skarbcza. - Pomyśl o tym - ciągnął dalej - że całe mienie i życie nasze i naszych najbliższych są darami Allacha! Szczęście i nieszczęście są nam z góry przeznaczone. Żałoba nie wskrzesi umarłego i nie uchroni nas od trosk. Dlatego twoim obowiązkiem jest wytrwać, a nagrodą za wytrwałość będzie szczęście i zbawienie. Obecnie zaś przyjm moją słuszną i sprawiedliwą propozycję: ożenię się z tobą i pojmę cię za żonę. Małżonka moja tym się nie zmartwi, gdyż jest rozsądna i posłuszna mi w myślach i czynach, nabożna i bogobojna. Utworzymy wszyscy jedną rodzinę, a dzięki Allahowi mamy przecie dość pieniędzy i majątku, byśmy nie potrzebowali męczyć się i dręczyć, ciężko pracując na utrzymanie. Kiedy żona Kasima usłyszała słowa Ali Babo, smutek i boleść jej nieco się ukoili. Przestała płakać, otarła łzy i powiedziała: - Będę ci oddaną żoną i posłuszną służebnicą. Wszystkiemu, co uznasz za słuszne, chętnie się podporządkuję. Ale co mamy teraz zrobić ze zwłokami twego brata? Ali Baba odpowiedział: - Sprawę nieboszczyka powierzam twej niewolnicy, Mardżanie, wiesz przecie, jak jej rozum jest wielki i mądrość doskonała, jak umie wszystko przewidzieć i potrafi wynaleźć najlepsze sposoby i fortele! Powiedziawszy to pożegnał się z nią i odszedł. Kiedy Mardżana ujrziała poćwiartowane zwłoki swego pana, domyśliła się, z jakiego powodu się to wszystko stało, i zaczęła

uspokajać swoją panią: - Nie turbuj się i bądź spokojna! Zajmę się wszystkim i wszystko tak urządzę, że powróci do nas spokój, a nasza tajemnica nie zostanie wykryta. Powiedziawszy to, udała się do korzennego kupca, który mieszkał przy tej samej ulicy. Był to człowiek dość leciwy, sławny z kunsztu lekarskiego i warzenia leków, o którym wiedziano, że ma wielkie doświadczenie w przyrządzaniu maści i że zna wszelkie zioła. Mardżana poprosiła go o maść, jaką stosuje się zwykle przy ciężkich chorobach, a kiedy starzec zapytał: - Kto w waszym domu tej maści potrzebuje? - mądra niewolnica odpowiedziała: - Mój pan Kasim uległ ciężkiej chorobie, która powaliła go na łożę boleści, tak że koniec jego jest bliski. Kupiec dał jej maść ze słowami: - Niech Allah przy pomocy tej maści go uleczy! Mardżana wzięła lekarstwo, zapłaciła i powróciła do domu. Na drugi dzień poszła znowu do tegoż kupca i poprosiła o lekarstwo, które stosuje się tylko wówczas, kiedy nie ma już żadnej nadziei, a gdy ten ją zapytał, czy wczorajsza maść nic nie pomogła, odpowiedziała: - Nie, na Allacha! Mój pan jest konający i walczy ze śmiercią, a pani moja zaczęła już go nawet opłakiwać i wszczęła lament żałobny. Kupiec dał Mardżanie lekarstwo, a ta wziąwszy je od niego, zapłaciła żadaną cenę i odeszła. Tym razem atoli udała się prosto do Ali Baby, opowiedziała mu, jaki fortel wymyśliła, i poradziła, aby teraz często do domu swego brata zachodził, okazując przy tym jak najgłośniejszy smutek i boleść. Ali Baba usłuchał jej rady, a kiedy sąsiedzi ujrzeli, jak wchodził i wychodził z domu brata z wyrazem smutku na twarzy, pytali go, jaka może być tego przyczyna. Wtedy Ali Baba opowiedział im o chorobie brata i jego wielkich cierpieniach. Wieść rozeszła się wkrótce po mieście i ludzie zaczęli o tym mówić. Nazajutrz rano, skoro świt, Mardżana wyszła z domu i idąc ulicami miasta doszła do szewca trudniącego się łątaniem starego obuwia, imieniem Mustafa. Był to stary człowiek z wielką głową, krótkim tułowiem, długą brodą i zwisającymi wąsami. Zwykł był zawsze wcześniej swój sklepik otwierać, najpierwszy na całym bazarze, a ludzie wiedzieli o tym, że ma takie przyzwyczajenie. Do niego więc poszła mądra niewolnica, powitała go z wyszukaną uprzejmością i położyła mu złotą monetę na dłoni. Kiedy Mustafa zobaczył błyszczący pieniądz, popatrzył przez chwilę na swoją dłoń i powiedział: - To błogosławiony początek! - A ponieważ zmiarkował, że Mardżana czegoś od niego potrzebuje, dodał: - Wyjaw mi swoje życzenie, o pani wśród niewolnic, abym mógł je spełnić. - Szejku\* Mustafu - odparła Mardżana - weź dratwę i szydło, umyj ręce, włóż sandały i pozwól, że ci zawiążę oczy. A potem chodź ze mną, aby spełnić dobry uczynek, za co otrzymasz doczesną i niebieską nagrodę, nie ponosząc żadnego szwanku! Szewc na to: - Jeśli żadasz ode mnie czegoś, co zgodne jest z wolą Allacha i jego proroka, chętnie to uczynię i niczego ci nie odmówię, jeśli to jednak zbrodnia lub przestępstwo czy też jakiś krzywdzący lub grzeszny postępek, to woli twojej nie spełnię. Wtedy szukaj sobie kogo innego, aby tej zbrodni dokonał. - Nie, na Allacha! - zawołała mądra niewolnica. - To, o co cię proszę, należy do najbardziej zbożnych i dozwolonych rzeczy, nie potrzebujesz się niczego obawiać. Wypowiadając te słowa, wcisnęła mu do ręki drugą złotą monetę, a kiedy szewc ją zoczył, zaniemówił i przestał się opierać. Skoczył na równe nogi i powiedział do Mardżany: - Jestem do twoich usług, spełnię wszystko, czego tylko zażadasz. Następnie zamknął drzwi od sklepiku i wziął ze sobą dratwę, szydło i inne przybory do szycia, Mardżana zaś miała już przygotowaną opaskę, wyciągnęła ją teraz szybko i zawiązała oczy Mustafie, tak jak było to między nimi umówione, aby nie mógł rozpoznać miejsca, do którego go zaprowadzą. Potem wzięła szewca za rękę i powiodła za sobą, a on szedł za nią przez ulice i zaułki. Wyglądał na ślepcę, który nie wie, dokąd go prowadzą. I tak szli oboje skracając to w prawo, to w lewo. Mardżana umyślnie kluczyła, aby nie wiedział, dokąd idą. W ten sposób, doszli do domu nieboszczyka Kasima. Tam zapukała cichutko do bramy i natychmiast jej otworzono. Wprowadziła Szejka Mustafę do domu i udała się z nim do komnaty, w której leżały zwłoki jej pana. Skoro tylko stanęli, odwiązała Mustafie opaskę z oczu. Kiedy ten otworzył oczy i przekonał się, że jest w nieznanym miejscu i na domiar złego przed zwłokami poćwiartowanego człowieka, przeraził się wielce i brzuch zaczął mu się trząść ze strachu. Ale Mardżana go uspokajała: - Nie lękaj się, nie doznasz żadnej krzywdy. Żądają tylko od ciebie, ażebyś części tego poćwiartowanego człowieka mocno ze sobą zeszył, tak aby stanowił znów jedną całość. Powiedziawszy te słowa, wręczyła mu trzecią złotą monetę. Mustafa wziął ją, schował do sakiewki zawieszanej na szyi i powiedział sam do siebie: - Teraz trzeba się wziąć w garść i powziąć właściwe postanowienie. Jestem w miejscu, którego nie znam, i wśród ludzi, o

których nie wiem, jakie mają zamiary; jeśli zrobię im na przekór, to na pewno wyrządzą mi krzywdę. Nie pozostaje więc nic innego, jak zgodzić się na to, czego ode mnie chcą. W każdym razie nie jestem winien krwi tego zamordowanego człowieka, a sprawa ukarania jego morderców należy do Allacha. No i wreszcie nie jest przeciw grzechem zszyć poćwiartowane zwłoki. Chyba z tego powodu nie obarczę się winą i kara nie powinna mnie spotkać. Usiadł więc i zaczął starannie zeszywać części zamordowanego. Przy tym udało mu się tak je ze sobą spoić, iż tworzyły znów jedno całkowite ciało. Skoro z tą robotą się uporał i zadanie swoje spełnił, Mardżana nałożyła mu znów opaskę na oczy, wzięła za rękę i wyprowadziła z domu. Potem szła z nim z ulicy na ulicę, skręcała to w ten zaułek, to w inny i zaprowadziła go z powrotem do jego sklepiku, zanim ludzie z domów swoich powychodzili, tak że nikt nie mógł tego zauważyć. Kiedy przyszedli przed sklepik, Mardżana zdjęła mu opaskę z oczu i powiedziała: - Strzeż tajemnicy! I uważaj, abyś nic nikomu o tym nie powiedział, coś widział! W ogóle trzymaj język za zębami, gdyż może ci się przytrafić coś, co nie będzie ci w smak. Po czym dała mu czwartą złotą monetę, pożegnała się z nim i odeszła. Kiedy wróciła do domu, przyniosła ciepłej wody i mydła, usiadła i obmyła zwłoki swego pana, tak żeby nie widać było śladów krwi. Potem ubrała go w piękne szaty i położyła na pościeli. Uporawszy się z tym wszystkim, posłała po Ali Babę i jego żonę. Kiedy przyszedli, opowiedziała im o tym, co uczyniła, i zakończyła słowami: - Rozgłoście teraz wszędzie o śmierci mojego pana Kasima i zawiadomcie o tym wszystkich! W tej samej chwili obecne kobiety zaczęły płakać i zawodzić, zaintonowały żałobne pienia i głośny lament, biły się po policzkach i tak wrzeszczały, że aż sąsiedzi usłyszeli. Zeszli się więc przyjaciele, aby wziąć udział w żałobie. Płacz się wzmagił, skargi robiły się coraz groźniejsze, zawođenje stało się powszechne i lamentom nie było końca. Wieść o śmierci Kasima rozeszła się po całym mieście, przyjaciele sławili jego imię, a wrogowie okazywali złośliwą radość. Po pewnym czasie przybyli obmywacze zwłok, aby czynić swą powinność zgodnie z obyczajem, ale Mardżana powiedziała, że zwłoki już są obmyte, namaszczone i przykryte całunem, po czym zapłaciła im więcej niż to, co zwykli byli brać za oddanie ostatniej posługi. Obmywacze zwłok odeszli w pogodnym nastroju i chociaż nie rozumieli przyczyny tej hojności, nie pytali o nic. Sprowadzono potem nosze, zniesiono trupa na dół, ułożono go na noszach i odprowadzono na cmentarz, mieszkańcy miasta szli w orszaku żałobnym, Mardżana zaś i pozostałe kobiety oraz płaczki podążały za nimi, płacząc głośno i zawodząc. Wreszcie orszak żałobny doszedł do miejsca spoczynku. Tam wykopano mogiłę i pochowano Kasima, niech miłosierdzie Allacha z nim pozostanie na wieki! Potem ludzie powrócili do miasta, rozeszli się i każdy poszedł do swoich spraw. W ten sposób nikt nie dowiedział się prawdy o śmierci Kasima, wszyscy myśleli, że umarł w sposób naturalny. Kiedy minął ustanowiony prawem okres żałoby, Ali Baba pojął za żonę wdowę po swoim bracie; spisał akt ślubu i wyprawił wesele. Ludzie chwalili jego uczynek, gdyż przypisywali go wielkiej miłości do zmarłego. Następnie Ali Baba przeniósł się do domu wdowy po Kasimie i zamieszkał tam wraz z nią i swoją pierwszą żoną. Tam również przeniósł całe bogactwo, które zabrał z jaskini, po czym jął rozmyślać, co zrobić ze sklepem pozostawionym przez brata. Ali Baba miał syna, który liczył wówczas dwanaście lat. Syn ten był w terminie u bogatego kupca, gdzie uczył się sztuki kupieckiej. Ponieważ ojciec potrzebował teraz kogoś do pilnowania sklepu, odebrał syna z terminu, oddał mu całe mienie i towary pozostałe po stryju i obiecał, że go ożeni, jeśli przekona się, że jego postęпки będą dobre i przyniosą mu powodzenie, a droga życia będzie sprawiedliwa i pełna cnót. Pozostawmy go teraz i wróćmy znowu do zbójców, którzy po pewnym czasie powrócili do jaskini ze skarbami, a nie znalazłszy poćwiartowanych zwłok Kasima, zmiarkowali, że istnieją jeszcze jacyś inni wrogowie, że nieboszczyk musiał mieć towarzyszy oraz że ich tajemnica już się wśród ludzi rozeszła. Myśli te ciążyły im bardzo odczuwali przykry niepokój. Potem zaczęli badać, co im zabrano ze skarbcza, i zauważyli, że brakowało sporo, To rozgniewało ich jeszcze bardziej, a herszt tak do nich powiada: - Hej, dżygici\*, zahartowani w bojach i walkach mężowie, nadeszła pora krwawej zemsty! Myśleliśmy, że tylko jeden człowiek otworzył furtkę do naszego skarbcza, ale teraz wiemy, że było ich kilku. Nie znamy jednak ich liczby i nie wiemy, gdzie zamieszkują. Czyż po to mamy narażać się na niebezpieczeństwa i życie nasze ryzykować, aby ze zgromadzonych przez nas skarbów korzystali inni, nie poniosłszy żadnego wysiłku ni trudu? Tego nie ścierpimy! Musimy odnaleźć

naszego wroga, a odnalazłszy - pomścić się krwawo. Zaiste chciałbym go tą oto szablą zarąbać, choćby miało to przynieść mi zgubę. Rzekłszy to, odsapnął chwilę i tak mówił dalej: - Nadszedł czas, by nie żałować trudu, ale pokazać, że jesteśmy mężni, odważni i waleczni! Rozejdźcie się po wsiach i miasteczkach, idźcie do wielkich miast i dalekich krajów i starajcie się dowiedzieć, czy jest tam jakiś ubogi, który nagle się wzbogacił, lub czy pochowano kogoś zamordowanego. Może w ten sposób wpadniecie na ślad naszego wroga i Allah pozwoli wam go spotkać. Potrzebujemy teraz chytrego i podstępного człowieka o wielkim męstwie, który by to najbliższe miasto przeszukał. Wrogiem naszym bowiem jest na pewno jeden z jego mieszkańców. Jest to pewne i niewątpliwe. Wysłany przez nas człowiek musi przebrać się za kupca, wejść niepostrzeżenie do miasta i starać się zasięgnąć języka. Winien wszędzie pytać, kto w ostatnim czasie umarł albo został zabity, jakich krewnych pozostawił, gdzie stoi jego dom i jak go pochowano. Być może, że doprowadzi nas to do celu, gdyż sprawa zabójstwa nie mogła przejść niepostrzeżenie. Wieść o tym musiała się po mieście rozejść. Wielcy i mali na pewno o tym coś wiedzą. A kiedy nasz zwiadowca nieprzyjaciela zdybie albo nas powiadomi, gdzie wróg przebywa, to wynagrodzimy go wielkimi wśród nas zaszczytami, a ja wyniosę go wysoko ponad innych i uczynię moim następcą. Jeśliby jednak zadania swego nie spełnił i danej obietnicy nie dotrzymał, to uznamy go za głupca o słabym rozumie, który przy wykonywaniu trudnego zadania zawiódł, po czym ukarzymy go surowo za nieudolność i opieszałość. Ba, zadamy mu nawet hańbiącą śmierć, gdyż nie potrzebujemy takich, którym brak odwagi, a nie godzi się, aby w naszych szeregach byli tacy, którym brak rozumu. Dzielnym rozbójnikiem może być tylko człowiek, który innych w wielu rzeczach prześciga i jest we wszelkich fortelach i podstępach doświadczony. Co wy na to, waleczni towarzysze? Któż z was się zgłosił dobrowolnie, aby podjąć się tego trudnego i niebezpiecznego zadania? Zbójcy wysłuchali słów swego herszta, przyjęli jego warunki, zaprzysięgli je i obiecali dotrzymać. Po czym wystąpił jeden z nich, drab olbrzymiego wzrostu, o potężnych barach, i oświadczył, że wybierze się w tę trudną i kamienistą drogę. Zbójcy padli mu do stóp, okazywali najwyższy szacunek, chwalili męstwo i waleczność i wynosili pod niebiosa jego postanowienie. Podziękowali mu za odwagę i podziwiali jego fantazję. Herszt pouczył go, aby zachowywał spokój i stanowczość i stosował wszelkie oszustwa, chytryści i podstępny. Wy tłumaczył mu, jak ma się do miasta udać w stroju kupca, udawać tam, że trudni się handlem, a potajemnie szpiegować. Kiedy udzielił już wszystkich tych ostrzeżeń, pozwolił mu odejść, a zbójcy rozproszyli się po okolicy. Ów rozbójnik zaś, który dobrowolnie się ofiarował narazić życie dla swoich braci, przebrał się za kupca i w tym przebraniu położył się spać, aby zaraz rano wyruszyć do miasta. Kiedy noc minęła i brzask poranny się na niebie ukazał, przebrany zbójca wyruszył, ufając w błogosławieństwo Allacha, prosto przed siebie, w kierunku bramy miejskiej. Szedł przez ulice i place miasta, przemierzał targowiska i zaułki, gdy tymczasem mieszkańcy przeważnie jeszcze spali. W końcu doszedł do bazaru, na którym nabożny pielgrzym do Mekki\*, hadzi\* Mustafa łątać obuwia, miał swój sklepik. Przebrany zbójca zauważył, że sklepik jego jest już otwarty, a szewc siedzi w nim i łąta sandały. Było bowiem w jego zwyczaju, jakeśmy już o tym mówili, wcześniej na bazar wychodzić i najwcześniej ze wszystkich swój sklepik otwierać. Zwiadowca podszedł do niego i powitał go uprzejmie, obsypując pochlebczymi słowy: - Niech Allah błogosławi twoją pracowitość i uwieńczy cię wysokimi zaszczytami! Jesteś bowiem najpierwszy, który najwcześniej swój sklep na bazarze otworzył. - Mój synu - odparł Mustafa - pracowitość jest przy zarabianiu na życie więcej warta niż sen, dlatego przyzwyczaiłem się tak postępować. A przebrany zbójca na to: - Starcze, nie mogę się nadziwić, jak możesz szyć, zanim słońce wzejdzie. W tak sędziwym wieku nie widzi się dobrze, zwłaszcza kiedy światło dzienne jest jeszcze takie słabe. Mustafa obruszył się na nieznanego i rzekł: - Musisz być obcy w tym mieście, gdyż gdybyś był tutejszy, tobyś tak nie mówił. Słyszę bowiem u bogatych i biednych z bystrego wzroku. U wielkich i u maluczkich jestem sławny z mojej doskonałej zręczności i sztuki szycia. Wczoraj na przykład nawet mnie jacyś ludzie sprowadzili, abym im poćwiartowane zwłoki po ciemku zeszył, i świetnie mi się to udało. Gdyby mój wzrok nie był bystry, to nie mógłbym tego uczynić. Gdy zbójca słowa te usłyszał, uradował się wielce, że już osiągnął swój cel. Sądził bowiem, że to Opatrzność go tak poprowadziła, iż zaraz znalazł tego, kogo szukał. Zwrócił się więc do Mustafy, udając zdziwionego: - Mylisz się zapewne w tym, co mówisz,

starcze; przypuszczam, że zszywałeś tylko całun, gdyż nigdy jeszcze nie słyszałem, aby ktoś zszywał trupa. A stary na to: - Powiedziałem ci szczerą prawdę i opowiedziałem to, co mi się naprawdę przytrafiło, ale wydaje mi się, że twoim zamiarem jest tajemnice z ludzi wyciągać. Jeśli tak jest, to idź precz i próbuj swoich forteli u innych! Może ci się nawet wydać, że jestem gadułą, ale wiedz, że nazywają mnie milczkiem i nigdy nie zdradzam czegoś, co mam w tajemnicy utrzymać. Nic ci już więcej nie opowiem. W ten sposób zbójca został utwierdzony w przekonaniu, że ów zabity był tym, którego zbójcy przy jaskini ze skarbami zarabali. I tak mówił dalej do Szejka Mustafy: - Nie jestem ciekaw twoich tajemnic i lepiej będzie, gdy je zachowasz dla siebie, albowiem powiedziane jest: "Zachowywanie tajemnic należy do zalet nabożnego". Pragnę tylko, ażebyś mnie zaprowadził do domu tego zabitego. Może to jeden z moich krewnych i znajomych, a wtedy byłoby moim obowiązkiem okazać jego najbliższemu współczucie w ich żałobie. Od dłuższego już czasu przebywałem daleko od tego miasta i nie wiem, co się podczas mojej nieobecności w nim działo. Po czym włożył rękę do kieszeni, wyciągnął złotą monetę i wetknął ją Mustafie w dłoń. Ten wszakże nie chciał jej przyjąć i tak do zbójcy powiada: - Pytasz mnie o coś, na co ci odpowiedzieć nie mogę, gdyż do domu owego nieboszczyka zaprowadzono mnie zawiązawszy mi uprzednio opaskę na oczach i dlatego nie znam drogi, która tam wiedzie. A rozbójnik na to: - Tę złotą monetę daruję ci niezależnie od tego, czy wypełnisz moje życzenie, czy nie. Przyjmij ją i niech Allah cię błogosławi! Ja jej nie potrzebuję, a ty, być może, jeśli się trochę namyślisz, zdołasz jednak pokazać mi drogę, którą szedłeś z opaską na oczach. - Byłoby to możliwe tylko wówczas, gdybyś mi teraz znów nałożył opaskę na oczy, jak to owi ludzie uczynili. Gdyż mogę sobie jeszcze przypomnieć, jak mnie wzięto za rękę i po omacku prowadzono, jakeśmy na boki skręcali i w końcu przystanęli. W ten sposób zaprowadzę cię może znów do tego miejsca, które ci jest potrzebne, i będę mógł ci je pokazać. Zbójca ucieszył się słysząc te słowa i z tej radości ofiarował Mustafie drugą złotą monetę mówiąc: - Uczynimy tak, jak rzekłeś! Wtedy podnieśli się obaj, Mustafa zamknął swój sklepik, zbójca zaś wziął opaskę i zawiązał staremu oczy, następnie wziął go za rękę, a Mustafa go poprowadził - raz na prawo, raz na lewo, potem znów prosto, zupełnie tak samo, jak niewolnica Mardzana wtedy go prowadziła. W końcu doszli do małego zaułka; Mustafa zrobił jeszcze kilka kroków naprzód i nagle stanął mówiąc: - Zdaje mi się, że w tym właśnie miejscu wówczas się zatrzymałem. Wtedy zbójca zdjął opaskę z oczu Mustafy i patrzcie, Opatrzność rzeczywiście tak sprawiła, że łątach obuwia stał przed domem nieszczęsnego Kasima. - Czy znasz pana tego domu? - spytał go zbójca. - Nie, na Allacha - odparł stary. - Ten zaułek jest zbyt daleko od mojego sklepiku położony, tak że nie znam ludzi mieszkających w tej dzielnicy miasta. Wobec czego zbójca mu podziękował, wręczył trzecią złotą monetę i powiedział: - Idź w swoją drogę i niech wielki Allah ma cię w swojej opiece! Mustafa powrócił więc do swego sklepiku uradowany, że znowu trzy złote monety zarobił. Zbójca zaś przystanął i przyjrzał się dokładnie domowi, przy czym zauważył, że brama tego domu wygląda zupełnie tak samo, jak bramy innych domów w tym zaułku. Obawiając się, że nie będzie go mógł odnaleźć, wziął kredę i zrobił mały biały znak na bramie. Następnie powrócił w góry do swych towarzyszy, wesół i pełen radości, w przekonaniu, iż zadanie, które mu było powierzone, spełnił, tak że obecnie pozostaje już tylko dokonać zemsty. Pozostawmy go na razie tam, gdzie był, i zwróćmy się myślą do niewolnicy Mardzany. Kiedy się obudziła ze snu i zgodnie ze swym codziennym zwyczajem odmówiła ranną modlitwę, zabrała się rażno do roboty i wyszła z domu, aby przynieść wszystko potrzebne do jedzenia i picia. Wracając z bazaru zauważyła na bramie domu biały znak. Przyjrzała mu się dokładnie, zdziwiła się i nieco zaniepokojona tak do siebie powiedziała: - Możliwe, że zrobiły to bawiące się dzieci lub ulicznicy coś tu zaczęli mazać, ale rzeczą najbardziej prawdopodobną jest chyba, że znak ten uczynił jakiś wróg czy zawistnik, który nam źle życzy i który nosi się ze złymi wobec nas zamiarami. Trzeba więc go w błąd wprowadzić i jego nikczemny plan udaremnić. Po czym wzięła kredę i namalowała na wszystkich bramach sąsiednich domów takie same znaki, jak ten, który narysował przebrany zbójca. W ten sposób naznaczyła Mardzana jakieś dziesięć bram w ich zaułku, po czym wróciła do domu i nic nikomu o tym nie powiedziała. Zajmijmy się teraz z powrotem przebrany zbójcą, który odnalazł w górach swoich towarzyszy i oznajmił im radosną nowinę, iż nadzieja ich się spełniła, a cel został osiągnięty. Potem opowiedział im, jak przypadkiem

zaszedł do pewnego łatacza obuwia, który okazał się właśnie tym, co zeszywał poćwiartowane zwłoki, i jak ten zaprowadził go do owego domu, na którym sam zbójca zrobił znak, aby się nie pomylić i nie wejść do innej bramy. Herszt podziękował mu i pochwalił jego sprawność, po czym przemówił do rozbójników w te słowa: - Rozdzielcie się na kilka grup, przebierzcie za spokojnych ludzi, ukryjcie broń i różnymi drogami powędrujcie do miasta. Tam zbierzcie się w wielkim meczecie\*, a ja tymczasem ze zwiadowcą wyszukam dom naszego wroga; a skoro tylko go odszukamy i na pewno stwierdzimy, że to ten sam, przyjdziemy do was do meczetu, gdzie się naradzimy, co dalej robić. Ustalimy wówczas, co będzie najlepsze, czy dokonanie nocnego napadu na ów dom, czy też co innego. Kiedy zbójcy wysłuchali tej przemowy, uznali słowa herszta za mądre i zgodzili się na jego plan. Podzielili się na grupy, przywdziali odzież spokojnych ludzi, ukryli pod nią broń, tak jak im herszt kazał, i różnymi drogami powędrowali do miasta, aby nie zwracać na siebie uwagi mieszkańców. Tam spotkali się wszyscy w wielkim meczecie, jak było umówione, herszt zaś i zwiadowca poszli szukać zaułka, przy którym mieszkał ich nieprzyjaciel. Kiedy tam przyszedli, herszt zauważył dom z białym znakiem na bramie, spytał więc swego towarzysza, czy to ten dom, którego szukają, a tamten powiedział, że tak. Ale przypadkowo wzrok herszta padł na inny dom i tam dostrzegł też biały znak na bramie, zapytał więc, który z tych obu domów jest tym, którego szukają, ten pierwszy czy ten drugi. Zwiadowca stropił się i nie wiedział, co odpowiedzieć; wtedy herszt poszedł dalej i kiedy naliczył ponad dziesięć domów z białym znakiem na każdej bramie, zapytał: - Czyś te wszystkie domy naznaczył, czy też tylko jeden spośród nich? - Tylko -jeden - padła odpowiedź. A herszt pytał dalej: - W jaki więc sposób stało się, że jest ich teraz dziesięć czy nawet więcej? - Nie wiem, w jaki sposób - odparł zwiadowca. A herszt pytał dalej: - Czy możesz rozpoznać spośród wszystkich tych domów ten, na którego bramie zrobiłeś kredą znak: - Nie - odparł tamten - gdyż domy są wszystkie do siebie podobne i wybudowane na tę samą modłę, a wszystkie znaki mają ten sam kształt. Gdy herszt te słowa usłyszał, zrozumiał, że nadzieje okazały się płonne i że tym razem trzeba będzie zemsty się wyrzec. Poszedł więc ze zwiadowcą do głównego meczetu i rozkazał, aby wracali w góry, przestrzegłszy ich, by szli różnymi ulicami, tak samo, jak przyszedli. Kiedy się znowu wszyscy w górach w umówionym miejscu spotkali, herszt opowiedział, dlaczego nie dało się rozpoznać domu ich wroga. Teraz trzeba zwiadowcę surowo ukarać - zakończył - taka bowiem była nasza umowa. Wszyscy zbójcy się z nim zgodzili, a ponieważ niefortunny zwiadowca był człowiekiem odważnym i serce jego było nieustraszone, nie stchórzył i nie rzucił się do ucieczki, ale wystąpił śmiało naprzód i tak bez wahania powiedział: - Wyrok wasz jest słuszny, w pełni zasługuję na karę śmierci, ponieważ mój plan się nie powiódł i spryt mój okazał się niewystarczający. Nie umiałem wykonać powierzonego mi zadania i dlatego życie mi zbrzydło, wolę śmierć niż życie w hańbie! W tej samej chwili herszt wyciągnął szablę i odrąbał mu głowę, po czym zawołał: - Hej, dzygici, szykujcie się do boju! Kto z was jest człowiekiem odważnym i w czyich żyłach płynie bohaterska krew, kto ma śmiałe serce i upór, niech podejmie się tego tak trudnego zadania i tak niebezpiecznego przedsięwzięcia. Ale niech nie zgłasza się niezguła ani słabeusz, niech wystąpi tylko ten, kto czuje się na siłach i ma niezłomne postanowienie wziąć się do dzieła, pójść właściwą drogą i użyć skutecznych forteli! Wtedy wystąpił naprzód jeden ze zbójców imieniem Achmet el-Ghadban. Był to chłop na schwał, z olbrzymią głową o przerażającym wyrazie twarzy, mający jak najgorszą sławę. Cera jego była ciemna, a postać ohydna. Wąsiska miał jak kot, kiedy poluje na myszy, a brodę jak kozioł, kiedy straszy koźlątko i jagnięta. Wystąpił naprzód i zawołał: - Przyjaciele, do zadania tego tylko ja się nadaję! Allah chce, abym ja przyniósł tę ważną wieść i bezpiecznie zaprowadził was do naszego wroga! A herszt na to: - Kto się tego zadania podejmie, musi zgodzić się na warunki, któreśmy uprzednio ustalili. Jeśli wrócisz nic nie wskórawszy, nie spodziewaj się niczego dobrego. Odrąbiemy ci głowę! Jeśli jednak wrócisz uwieńczony powodzeniem, obsypimy cię zaszczytami, a wszystko co najlepsze, przypadnie ci w udziale. Przywdział więc Achmet el-Ghadban szaty kupca i udał się skoro świt do miasta. Nie zatrzymując się nigdzie poszedł prosto na ulicę, gdzie mieszkał łatacz obuwia. Trafił tam łatwo dzięki dokładnemu opisowi drogi, jaki dał poprzednik. Został starca siedzącego przed sklepikiem, powitał go, przysiadł się do niego i zwracając się uprzejmie, wdał się z nim w gawędę. Rychło Mustafa zaczął mówić o dziwnej

przygodzie z nieboszczykiem i opowiedział o tym, jak zszywał poćwiartowane zwłoki. Wtedy Achmet el-Ghadban poprosił, aby zaprowadził go do owego domu. Mustafa z początku wzdragał się to uczynić i nie chciał o tym mówić. Ale kiedy zbójca obudził w nim nadzieję otrzymania złotej monety, szewc przestał się opierać. Pieniądz jest bowiem strzałą, która zawsze trafia do celu, i orędownikiem, którego chętnie się słucha. Więc zbójca nałożył znowu Mustafie opaskę na oczy i postąpił tak, jak jego poprzednik. Achmet el-Ghadban udał się ze starym do zaułka, gdzie wkrótce znaleźli się przed domem nieboszczyka Kasima. Tam zbójca zdjął staremu opaskę z oczu, dał zapłatę, którą był obiecał, i pozwolił odejść. Potem zbójca, by nie pomylić domu, zrobił mały czerwony znaczek w zupełnie ukrytym miejscu na bramie i powrócił do swoich kamratów. W świetnym usposobieniu doniósł im, co uczynił, nie wątpiąc w powodzenie swych poszukiwań, ponieważ wierzył mocno, że nikt nie zdoła wykryć małego i ukrytego znaczka. Pożegnajmy się teraz z oboma i popatrzmy, co robi niewolnica Mardzana. Nazajutrz rano wyszła na bazar, aby zgodnie ze swym zwyczajem zakupić mięso, jarzyny, owoce i różne smakołyki oraz inne rzeczy, potrzebne do gospodarstwa. A kiedy wróciła z targu do domu, spostrzegła czerwony znaczek i przyjrzała mu się dokładnie. Zdziwiła się w swym bystrym umyśle i pojęła wnikliwym rozumem, że musi to być dzieło przybyłego z daleka wroga lub zazdrosnego sąsiada, który knuje coś przeciwko mieszkańcom ich domu. Aby wprowadzić go w błąd, namalowała czerwona farbą na bramach sąsiednich domów znaki tego samego kształtu jak ów, i to zupełnie w takim samym miejscu, jakie wybrał Achmet el-Ghadban. Gałą tę sprawę przemilczała i nie powiedziała nikomu ani słowa, aby jej pan nie zaniepokoił się tym i nie przestraszył. Wróćmy teraz znów do zbójcy. Kiedy przyszedł do swoich kamratów, opowiedział im, co mu się z łataczem obuwia przytrafiło, jak znalazł drogę do domu wroga i jak zrobił na bramie czerwony znaczek, aby dom ten rozpoznać, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila. Herszt zbójców rozkazał im natychmiast przywdziać proste szaty, ukryć pod nimi broń i różnymi drogami do miasta powędrować, a w końcu jeszcze dodał: - Zbierzcie się w meczecie i czekajcie, aż do was przyjdziemy! Potem wziął Achmeta el-Ghadbana i udał się z nim do miasta. Kiedy jednak przyszedli do znanego im zaułka, Achmet el-Ghadban nie mógł wskazać właściwego domu, gdyż ten sam znaczek widniał na bardzo wielu bramach. Gdy to zobaczył, opanowało go wielkie przygnębienie i nie wymówił już ani słowa. Skoro herszt zbójców stwierdził, iż i ten drugi zwiadowca nie umie domu rozpoznać, zatrzęsł się ze złości, zmarszczył brwi i wpadł w straszliwy gniew. Z konieczności musiał jednak na razie wściekłość swą ukryć i poszedł ze zbójcą do meczetu. Zastawszy tam swoich ludzi, kazał im natychmiast wracać w góry. Rozdzielili się więc na drobne grupki i różnymi drogami udali się na umówione miejsce, gdzie usiedli, aby odbyć naradę. Herszt powiadomił ich, co zaszło, że los nie pozwala im dokonać zemsty i zmyć swojej hańby, ponieważ Achmet el-Ghadban źle się ze swego zadania wywiązał i nie potrafił rozpoznać domu ich nieprzyjaciela. Po czym wyciągnął szablę i ciął winnego w kark, a głowa jego potoczyła się daleko od tułowia. Allah zaś rzucił duszę zbójcy natychmiast do smoły i ognia, gdzie jęczą potępieni. Teraz herszt zbójców zaczął zastanawiać się nad całą sprawą i tak do siebie powiada: - Moi ludzie są zdolni do boju, plądrowania i przelewu krwi, ale nie mają zrozumienia dla różnego rodzaju forteli i w ogóle wszystkiego, gdzie potrzebne są kłamstwo i podstęp; jeśli więc będę wysyłał jednego po drugim, aby to zadanie spełnić, utracę wszystkich bez pożytku i korzyści. Dlatego najlepiej będzie, jeśli się sam tej trudnej rzeczy podejmę. Powiadomił o swym postanowieniu zbójców i powiedział, że sam pójdzie do miasta, oni zaś odpowiedzieli chórem: - Jesteś naszym wodzem, możesz nakazywać i zakazywać, rób, co uważasz za stosowne! Przebrał się więc herszt zbójców, udał się nazajutrz rano do miasta i odszukał tam Szejka Mustafę, łatacza obuwia, tak samo jak uczynili to jego obaj zwiadowcy, o czym jużśmy uprzednio opowiedzieli. Kiedy go odnalazł, podszedł do niego, powitał i zwracając się uprzejmie rozpoczął z nim gawędę. W końcu skierował rozmowę na zszywanie zwłok zamordowanego człowieka i tak długo na staruszką napierał, obiecując mu brzęczące monety, aż w końcu namówił i Mustafa na jego plan przystał. W ten sposób herszt zbójców uzyskał to, czego pragnął, i poznał dom swego wroga w taki sam sposób, jakśmy to już wcześniej opowiadali. Kiedy stał już przed domem, dał Mustafie w nagrodę jeszcze więcej, niż mu obiecał, i pozwolił odejść. Po czym przypatrzył się owemu domowi i obejrzał go dokładnie, ale już żadnych znaków na nim nie robił, a jedynie

policzył bramy w zaułku od rogu ulicy aż do tego domu i zapamiętał sobie ich liczbę. Następnie policzył jeszcze wszystkie kąty i okna owego domu i upamiętnił sobie wszystko dobrze, aby w razie czego już się nie pomylić. Czynił to wszakże przechadzając się tam i z powrotem, aby u mieszkańców nie wzbudzić podejżenia, gdyby spostrzegli go stojącego długo przed jednym domem. Następnie wrócił do swoich ludzi i doniósł im, co uczynił, dodając: - Teraz znam dom mojego nieprzyjaciela. Dzięki Allahowi nastąpiła pora, aby dokonać krwawej zemsty. Namysliłem się, w jaki sposób cel ten osiągnąć i jakim fortem do domu się dostać, by naszego nieprzyjaciela dosięgnąć. Teraz chcę wam to wytłumaczyć. Jeśli uznacie mój plan za słuszny, weźmiemy się zaraz do dzieła, ale jeżeli nie chcecie, to niech ten, kto wymyślił jakiś lepszy fortel, oznajmi nam o tym i powie, co uważa za słuszne. Powiedziawszy to, wtajemniczył ich w swój plan, który był powziętym. Zbójcy uznali go za dobry i ustalili, jak go wykonać, składając sobie przy tym nawzajem przysięgę, że żaden z nich nie da się przez swych towarzyszy w dokonywaniu zemsty prześcignąć. Potem herszt posłał kilku swoich ludzi do sąsiedniego miasta i rozkazał im zakupić czterdzieści wielkich bukłaków, innych znów rozesłał po sąsiednich wioskach, poleciwszy im nabycie dwudziestu mułów. Kiedy zakupili już to, co im kazano, sprowadzili wszystko i ustawili przed hersztem. Po czym rozszerzyli otwory bukłaków na tyle, aby mógł do środka wśliznąć się człowiek, i natychmiast do każdego bukłaka wgramolił się zbójca z kindzalem w ręku. Gdy wszyscy powłazili do bukłaków i siedzieli w nich jak w ciasnym więzieniu, herszt zaszył z powrotem otwory bukłaków, aby wyglądały tak jak przedtem. Posmarował bukłaki oliwą, aby każdy, kto je zobaczy, myślał, że są pełne oliwy. Władował po dwa bukłaki na każdego muła, a dwa, które pozostały puste, napełnił oliwą i objuczył nimi ostatniego muła. I tak zostało objuczonych dwadzieścia mułów - dziewiętnaście ludźmi, a jeden oliwą, bo ilość zbójców wynosiła przecie już tylko trzydziestu ośmiu. Uczyniwszy te wszystkie przygotowania, herszt pognął muły przed sobą i przybył z nimi do miasta, kiedy słońce już zaszło, zmierzch zapadał, a światłość dzienna ustępowała ciemnościom. Wyszukał dom Ali Baby, który sobie dobrze zapamiętał i dokładnie obejrzał. Przybywszy tam, zastał samego Ali Babę siedzącego przed drzwiami na ławce. Pod nogami miał skórzaną derę, a opierał się o wzorzyste poduszki. Rzuciło się w oczy, że jest wesół i w świetnym humorze, ciesząc się swoim dobrobytem i szczęściem. Herszt zbójców, zbliżywszy się do niego, ukłonił mu się skromnie z pokorną uprzejmością i pełnym szacunku poddaniem. I tak do niego powiada: - Jestem obcym przybyszem z odległych krajów i moja kołyska stała daleko stąd. Zakupiłem mnóstwo oliwy w nadziei, że będę ją mógł w tym mieście z zyskiem odsprzedać. Nie zdołałem jednak tu przybyć przed wieczorem, gdyż podróż była daleka, a droga kamienista. Zostałem bazar już zamknięty, więc zacząłem szukać miejsca czy zajazdu, gdzie mógłbym moje zwierzęta na noc umieścić. Nie znalazłem jednak nic odpowiedniego i wędrowałem coraz dalej, aż w końcu tu dotarłem. Kiedy cię ujrzałem, podziękowałem Allahowi, gdyż obecnie moje pragnienie może się spełnić, a cel mój może być osiągnięty. Wspaniałomyślność bowiem promieniuje z twego szlachetnego oblicza, a cnota bije z twoich dobrotliwych oczu. Należysz na pewno do ludzi, którzy doszli do szczęścia i dobrobytu, będąc bogobojnymi i nabożnymi. Czy mógłbyś przyjąć mnie na tę noc do twego domu, a moje muły umieścić w twojej stajni? Jeśli tak, to wyrządzisz mi wielką łaskę, a twoja dobroć zasłuży na moje uwielbienie. Jutro rano, jeśli Allah pozwoli, wrócę z powrotem na bazar, aby tam moją oliwę rozsprzedać, potem z podziękowaniem twój dom opuszczę, wychwalając cię za gościnność. Ali Baba zgodził się chętnie, mówiąc: - Serdeczne powitanie dla brata, który o tak późnej porze do nas przybywa! Bądź dzisiaj mym błogosławionym gościem i niech szczęśliwa będzie noc, podczas której rozweselisz nas twoim towarzystwem. Ali Baba był człowiekiem szlachetnym i wzniosłego umysłu, szczodrym, o dobrym sercu i wspaniałych zaletach. Miał czystą duszę i myślał zawsze dobrze o ludziach. Dlatego nie podejrzewał, iż rzekomy kupiec go okłamuje, i nie przyszło mu nawet na myśl, że to herszt zbójców z gór. Nie mógł go zresztą poznać, ponieważ widział go tylko raz, i to w całkiem innym stroju. Zawołał więc swego niewolnika Abdallacha i kazał mu wprowadzić muły do obejścia. Niewolnik wykonał rozkaz, a herszt zbójców poszedł do swoich mułów, aby pozdejmować z nich juki. Wraz z Abdallachem zdjęli bukłaki z grzbietów mułów i ustawili przy ścianie na dziedzińcu domu. Po czym niewolnik odprowadził muły do stajni i zawiesił im worki z jęczmieniem na szyjach. Herszt zaś chciał na dziedzińcu przy swoich



bukłakach przenocować i prosił o przebaczenie, że nie przyjdzie na wieczerzę, udając, że nie chce mieszkańcom domu sprawić kłopotu. W rzeczywistości jednak chciał wykonać swój plan i mieć sposobność do spełnienia zamierzonego łotrstwa. Ali Baba nie chciał wszakże na to przystać i zaklinał gościa, aby wszedł do domu. Długo nalegał, a w końcu chciał go nawet siłą zaciągnąć, nie licząc się z jego wolą. Wtedy tamten nie mógł się już dłużej sprzeciwić i wszedł do domu. Herszt zbójców ujrzał tam obszerną piękną salę, w której posadzka była wyłożona marmurem, dookoła przy ścianach stały miękkie otomany przykryte wspianiałymi dywanami, a przy ścianie naprzeciwko wejścia stała najokazalsza, pokryta jedwabiem, do której prowadziły srebrne schodki i którą wieńczył złotolity baldachim. Ali Baba posadził na tej otomanie swego gościa i kazał pozapalać wszystkie świece, potem sprowadził Mardżanę, opowiedział jej o przybyciu gościa i kazał przygotować wystawną wieczerzę, odpowiednią dla tak czcigodnego przybysza. Po czym usiadł koło gościa i zaczął z nim gawędzić. Gdy przyszła pora wieczerzy, wniesiono nakryty stół z potrawami na srebrnych i złotych półmiskach i postawiono go przed hersztem. Gość skosztował wraz z Ali Babą wszystkiego po trochu, aż poczuli się nasyceni, wtedy odniesiono potrawy, podano stare wino i puchary zaczęły krążyć. Najadłszy się i wypiwszy do woli, uznali wieczerzę za skończoną i usiedli sobie, aby gawędzić i zabawiać się miłą rozmową, tak że wcale nie zauważyli, iż zrobiło się już późno. Kiedy wreszcie chcieli udać się na spoczynek, herszt zbójców wstał i zszedł na dziedziniec, tłumacząc się, że zanim pójdzie spać, musi ponakrywać derkami muły. W rzeczywistości jednak chciał porozumieć się ze swymi ludźmi. Podeszedł więc do pierwszego z bukłaków i powiedział słumionym szeptem: - Kiedy przez okno rzucę w was kamyczkiem, rozetnijcie bukłaki kindżalami i spieszcie na górę do mnie! To samo powtórzył przed drugim i trzecim bukłakiem, aż do ostatniego. Ali Baba miał zamiar na drugi dzień rano udać się do łaźni, kazał więc Mardżanie przygotować odpowiednie ręczniki i doręczyć je Abdallachowi oraz ugotować rosół, który chce wypić po opuszczeniu łaźni. Poza tym kazał gościa traktować z najwyższymi honorami, usłać mu wygodną pościel z kosztownych kołder, jakie godności jego odpowiadają, osobiście go obsługiwać i w ogóle starać się, żeby wszystkie obowiązki gościnności wobec niego były zachowane. - Spełnię twój rozkaz, panie - odpowiedziała Mardżana. Zobaczmy teraz, co herszt zbójców porabia. Umówiwszy się ze współnikami zbrodni i przygotowawszy z nimi cały plan działania, poszedł na górę do Mardżany i zapytał ją, gdzie przygotowany jest dla niego nocleg. Niewolnica wzięła świecę i zaprowadziła go do komnaty wyłożonej najwspanialszymi dywanami, gdzie przygotowane było posłanie z miękkich materaców i ciepłych kołder oraz wszystko, co potrzebne do wygodnego snu. Mardżana życzyła mu dobrej nocy i poszła do kuchni, aby wykonać polecenia swego pana. Przyszykowała ręczniki i przybory łaźnie i wręczyła je niewolnikowi Abdallachowi, potem przyrządziła mięso na rosół i podpaliła ogień pod kotłem. Tymczasem płomyk w lampce stawał się coraz mniejszy, gdyż było za mało oliwy, aż w końcu całkiem zgasł. Mardżana chciała dolać oliwy z dzbanka, ale dzbanek okazał się pusty. Ponieważ i świece się powypalały, nie wiedziała, co począć, gdyż potrzebowała jeszcze światła, aby ugotować rosół. Kiedy Abdallach zauważył jej kłopot, powiedział: - Bądź spokojna, oliwa w domu jest, i to w bardzo wielkiej ilości. Czyś zapomniała o bukłakach obcego kupca, które napełnione oliwą stoją w naszym podwórzu? Zejdź na dół i zaczerpnij stamtąd, ile ci potrzeba. Jutro rano zapłacimy mu należną cenę za wziętą oliwę. Mardżana, usłyszawszy te słowa, podziękowała za dobrą radę i ciesząc się z mądrego pomysłu, zeszła na dół z dzbankiem i zbliżyła się do bukłaków. Tymczasem rozbójnicy już się zaczęli niecierpliwić, siedząc zbyt długo w swoich ciasnych więzieniach. Znosili istne męki z powodu skurczonej pozycji ciała, ręce i nogi im ścierpły, a kości były jakby łamane kołem. Kiedy więc usłyszeli, że ktoś się zbliża, pomyśleli nieopatrznie, że to ich herszt. Strzała losu już ich bowiem trafiła, a wyrok Allacha zapadł nad nimi. I tak jeden ze zbójców spytał: - Czy nadszedł czas, abyśmy wyszli? Kiedy Mardżana usłyszała głos ludzki wychodzący z wnętrza bukłaka, przestraszyła się bardzo. Inna upadłaby zemdlona ze strachu albo zaczęła głośno krzyczeć. Ale Mardżana miała odważne serce i bystry rozum, więc zrozumiała, że są to zbójcy, którzy mają złe zamiary. Nie zastanawiając się długo, powzięła od razu właściwą decyzję. Wiedziała bowiem, że jeśli krzyknie albo zrobi nagły ruch, na pewno zginie, a wraz z nią jej pan i wszyscy mieszkańcy domu. Dlatego nie krzyknęła i nie zrobiła gwałtownego ruchu, ale zaczęła od razu wykonywać

podstępny plan, który powzięła. Szeptem powiedziała do pierwszego bukłaka: - Pora już bliska, jeszcze tylko krótka chwila cierpliwości. Potem podeszła do drugiego bukłaka i kiedy schowany w nim zbójca powtórzył pytanie pierwszego, dała mu taką samą odpowiedź. Tak przeszła obok wszystkich bukłaków. Rozbójnicy pytali ją jeden po drugim, a ona odpowiadała, namawiając; do cierpliwości, aż doszła do ostatnich bukłaków naprawdę napełnionych oliwą. Otworzyła jeden z nich, zaczerpnęła tyle oliwy, ile potrzebowała, wróciła do kuchni i zapaliła lampkę. Potem przyniosła olbrzymi miedziany kocioł, zeszła z nim na dziedziniec i napełniła go oliwą. Następnie poszła znów na piętro, postawiła kocioł na ogniu, podłożyła wiele drewna pod niego i zaczęła czekać, aż oliwa zaczęła kipieć, a kiedy była już wrząca, zniosła kocioł znów na dół i ponalewała dzbankiem wrzącą oliwą do bukłaków. W ten sposób uśmierciła wszystkich zbójców po kolei. Przekonawszy się, że ani jeden przy życiu nie pozostał, wróciła do kuchni. Wypełniając rozkaz swego pana, skończyła gotować rosół, a po robocie zgasiła ogień i lampkę i usiadła, aby odczekać, co teraz herszt zbójców zrobi. Ten zaś wszedłszy do komnaty, która była dla niego przygotowana, zamknął drzwi na rygiel, zgasił świecę i położył się do łóżka, udając, że śpi; ale nie spał, tylko czuwał i czekał na odpowiednią chwilę, aby móc dokonać niecznego czynu, który przeciwko mieszkańcom tego domu uknuł. Kiedy, jak mniemał, wszyscy już spali i nic się nie ruszało, wstał po cichu i rozejrzał się ostrożnie dookoła, a ponieważ żadnego światła nie widział i żadnego szmeru nie słyszał, pomyślał, że wszyscy mieszkańcy domu są pogrążeni w twardym śnie. Wziął więc kamyki i zaczął rzucać je na dziedziniec, tak jak umówił się ze swymi kompanami. Potem na chwilę przestał rzucać i czekał, aż ludzie jego powychodzą z bukłaków. Kiedy jednak cisza panowała nadal i nikt nie odezwał się ani poruszył, ogarnęło go zdumienie i zaczął znów rzucać kamyki przez okno, dokładnie celując w bukłaki. Ale ludzie jego nie dawali znaku życia. To wzbudziło podejrzenie herszta. Rzucił jeszcze raz kamykami i znowu czekał nadaremnie. W końcu ogarnęła go rozpacz i strach wkradł się do jego serca. Zszedł na dziedziniec, aby zobaczyć, co się stało. Od razu przy pierwszym bukłaku uderzył go swąd spalenizny. Jego strach jeszcze wzrósł. Opanowawszy się nieco przeszedł wzdłuż wszystkich bukłaków i zwracał się po kolei do każdego, ale odpowiadało mu głuche milczenie. Zaczął więc potrząsać i szarpać bukłaki, a wreszcie zajrzał do środka i przekonał się, że jego ludzie nie żyją. Kiedy na domiar złego zauważył, że oliwa z dwóch ostatnich bukłaków została zabrana, wiedział już, w jaki sposób ludzie jego postradali życie i co było powodem ich strasznej śmierci. Opanowała go dzika żałość. Zapłakał gorzko nad utratą swoich towarzyszy, ale bojąc się, że i on może być schwytyany, postanowił umknąć natychmiast, zanim droga ucieczki zostanie odcięta. Otworzył furtkę do ogrodu, przelazł przez mur, zeskoczył na ulicę i zaczął biec, gdyż chciał jak najprędzej zejść z oczu ludzkich, trapiiony rozpaczą i z tysiącem ran w sercu. Mardżana obserwowała go ze swojej kryjówki, a kiedy była już pewna, że opuścił ich dom, zeszła na dół, zamknęła furtkę od ogrodu, którą herszt był otworzył, i wróciła do siebie na górę. Zostawmy ją teraz i wróćmy do Ali Baby. Kiedy na rozkaz Allacha nowy dzień się zaczął i rozniecił swoją ognistą zorzę, a słońce Najpiękniejszemu z Pięknych swoje powitanie złożyło, spadła z Ali Baby szata snu i słodkie widziadła senne się rozwiały. Wstał więc, ubrał się i wyszedł z domu, aby udać się do łaźni. Jego niewolnik Abdallah zaś szedł za nim z przyborami do mycia i ręcznikami. I tak wkroczył do łaźnianej sali, obmył się i zaczął odpoczywać wesół i w świetnym humorze, nie podejrzewając nawet, co się w ciągu ostatniej nocy w jego domu stało i od jakiego niebezpieczeństwa Allah go uchronił. Kiedy skończył się kąpać, przywdział inne szaty i wrócił do swego domu. Przechodząc dziedzińcem ujrzał bukłaki stojące na dawnym miejscu. Zdziwiło go to i zapytał Mardżany: - Cóż się stało z tym obcym kupcem, że tak późno wybiera się na bazar? - Panie mój - odpowiedziała mu niewolnica - widocznie przeznaczone ci jest długie życie i odmierzone wielkie szczęście, gdyż tej nocy uniknąłeś straszego niebezpieczeństwa. Allah dla czystości twego serca ocalił nas od zguby i hańbiącej śmierci, zarówno ciebie, jak i twoich ludzi. A tych, którzy kopali dla ciebie mogiłę, wtrącił do niej i pokarał sprawiedliwie za ich złe zamiary, gdyż śladem każdej nikkzemności idą zawsze hańba i zguba. Zostawiłam wszystko tak, jak było, abyś mógł na własne oczy się przekonać, co ten fałszywy kupiec knuł, abyś mógł poznać jego podłość oraz dzielność twojej niewolnicy Mardżany. Podejdz bliżej i popatrz, co w tych bukłakach się znajduje. Wówczas Ali Baba podszedł bliżej i kiedy w pierwszym bukłaku, do którego zajrzał,

zobaczył człowieka z kindżalem w ręku, policzki jego pobladły i cofnął się z oznakami przerażenia. Ale Mardżana powiedziała do niego: - Nie lękaj się, panie mój, gdyż człowiek ten jest martwy. Po czym pokazała mu pozostałe buklaki i Ali Baba w każdym z nich odnalazł martwego zbójcę z kindżalem w ręku. Przepelniony odrazą, stał przez chwilę w milczeniu i spoglądał to na Mardżanę, to na buklaki, przestraszony i wylękły. Nie wiedział bowiem, co to wszystko znaczy. A potem zawołał: - Wytłumacz mi natychmiast to, co widziałem, ale mów krótko gdyż napelniło mnie to okropnym przerażeniem. A Mardżana na to: - Poczekaj chwilę, panie mój, i nie mów tak głośno, aby sąsiedzi nie dowiedzieli się o tym, o czym nie powinni wiedzieć. Uspokój się, pójdź do swojej komnaty i usiądź wygodnie, abyś mógł dobrze wypocząć. Ja tymczasem przyniosę ci rosół, który dla ciebie ugotowałam, a kiedy go wypijesz, to wszystkie strachy, które cię opadły, przeminają. Powiedziawszy to, Mardżana poszła do kuchni, przyniosła rosół i podała Ali Babie. Ten go wypił, a ona opowiadała mu, co się w nocy działo. W końcu dodała: - Teraz muszę ci jeszcze powiedzieć o tym, co przed tobą ukryłam. A było tak: kiedy wracałam z bazaru, ujrzałam na bramie domu biały znak. To obudziło we mnie podejrzenie, że znak ten narysował kredą ktoś z naszych nieprzyjaciół, który żywi złe wobec ciebie zamiary. Aby go wprowadzić w błąd, namalowałam takie same znaki na bramach sąsiednich domów. Po kilku dniach zauważyłam znów, że na naszej bramie widnieje mały czerwony znaczek. Dlatego namalowałam czerwoną farbą takie same znaczki na bramach naszych sąsiadów. Wszystko to ukryłam jednak przed tobą, o panie, aby cię nie niepokoić. Nie ulega wątpliwości, że ludzie, którzy owe znaki namalowali, są tymi samymi, których widzisz bez życia w tych oto buklakach. Są to zbójcy, których ty, panie, spotkałeś wtedy w górach. Ponieważ obecnie znają oni drogę wiodącą do naszego domu, nie będziemy już mieli ani chwili spokoju i nie będziemy bezpieczni, dopóki jeden z nich pozostaje wśród żywych. Musimy się mieć na baczności wobec człowieka, któremu udało się stąd uciec, gdyż na pewno będzie on nastawał na twoje życie. Musimy więc być czujni, a ja pierwsza obiecuję ci, że będę najczujniejsza ze wszystkich. Ali Baba, wysłuchawszy opowiadania swojej niewolnicy Mardżany, był w najwyższym stopniu wstrząśnięty i tak do niej rzekł: - Moje ocalenie tej nocy i uratowanie od niebezpieczeństwa, które mi zagrażało, zawdzięczam wszechmocny Allacha, ale również i twojemu wielkiemu rozumowi i bystrości umysłu. Po czym podziękował jej za to, że okazała tyle odwagi, tak mądrze wszystko obmyśliła i zaplanowała. W końcu dodał: - Od tej chwili jesteś wolna i nie jesteś już moją niewolnicą. Powiadam ci to w obliczu wszechmocnego Allacha! Twoje szlachetne czyny nie zostaną nigdy zapomniane. Chcę ci za nie najlepszym, co mam, wynagrodzić. Niewątpliwie ludzie ci, tak jak mówisz, byli rozbójnikami z gór. Niech Allah będzie błogosławiony, że nas od nich uwolnił. Ale teraz trzeba ich pogrzebać, a to, cośmy przeżyli, zachować w tajemnicy. Po czym zawołał swego niewolnika Abdallacha i kazał mu przynieść dwie łopaty. Jedną wziął sam, drugą dał niewolnikowi. I wykopali długi rów w ogrodzie, zawlekli tam ciała wszystkich rozbójników, wrzucili jednego po drugim do środka i zasypali ziemią, tak ażeby nie pozostało po nich ani śladu. Muły zaś sprzedali na bazarze, ale nie od razu, tylko w różnym czasie, a to samo uczynili z buklakami. Taki oto los spotkał rozbójników. Zobaczmy teraz, co porabia ich herszt. Kiedy udało mu się uciec z domu Ali Babie, wrócić w góry i dostać się na wpół żywym ze strachu do jaskini ze skarbami, zaczął płakać, czując się samotny i opuszczony. Usiadł i bolał nad tym, że los przyniósł mu same rozczarowania, a czyny jego obróciły się przeciwko niemu. Tęsknił za swoimi towarzyszami i odechciało mu się żyć. Ba, nawet pragnął śmierci, wołając: - Biada wam, najwięksi bohaterowie wszystkich czasów, mężowie gotowi zawsze do rabunku i wojny, wojownicy przeznaczeni dla pola chwały! O, czemuż śmierć nie przyszła do was na wojennej wyprawie, czemuż nie polegliście chlubnie wśród walk i bojów! Biada wam, zginęliście haniebną śmiercią, a ja, niktzemny, jestem przyczyną, że zginęli ci, za których powinienem był oddać własne życie. O, czemuż nie wychyliłem kielicha z trucizną, zanim taki los mnie spotkał! Lecz Allah zostawił mi życie, abym mógł dokonać zemsty i zmasać moją hańbę. Pomszczę się krwawo na moim wrogu, sprawię, aby dowiedział się, co znaczą gorzkie cierpienia i straszna boleść. Ukarzę go za jego nieczne uczynki, chociaż zostałem sam na świecie. Tego, czego nie osiągnąłem z pomocą wielu ludzi, dokonam sam. Tak chce Allah. Przez całą noc duch zrozpaczonego herszta błąkał się po morzu smętnych rojeń; na sercu czuł herszt taki ciężar, że nie mógł o niczym innym myśleć, jak tylko o sposobach, którymi osiągnie swój cel, tak że nie

zmrużył nawet oka. Pograżony w zadumie, jak wynaleźć sposób, który pozwoli mu zaspokoić żądze zemsty, powziął w końcu plan, z pomocą którego miał nadzieję osiągnąć upragniony cel i uleczyć rany swojej duszy. Kiedy zrobiło się już jasno, przebrał się w strój kupca, udał się znowu do miasta i wynajął pokój w wielkim karawanseraju\* oraz sklep na bazarze. Zawiózł tam zabrane z jaskini piękne kosztowne towary i złotem przetykane delikatne tkaniny. Były tam bele materiałów z Indii i sukna z Syrii, szaty ze złotogłowiu i odświętne stroje na wielkie uroczystości, ubiory z jedwabiu i lnu oraz wyroby złotnicze z drogimi kamieniami - łupy zrabowane w różnych krajach, mienie innych ludzi, które zostało w zbójckim skarbcu zgromadzone. Potem rzekomy kupiec siadł przed swoim sklepem i zajął się sprzedażą i kupnem. Przy tym umyślnie obniżał cenę i sprzedawał tanio, dawał ludziom, czego sobie życzyli, i rozmawiał z nimi o tym, o czym mieli ochotę. W ten sposób zasłynął szeroko, a imię jego stało się znane w całym kraju. Wielcy przybywali do niego tłumnie, a i maluczcy tłoczyli się wokół niego. Przyjmował wszystkich uprzejmie, traktował z ujmującą życzliwością, pokazywał zawsze uśmiechnięte oblicze i wyróżniał się delikatnym obejściem. Przemawiał do wszystkich dobrotliwie i odpowiadał przyjaźnie na pytania, tak że w końcu pozyskał ich serca. A przecież wszystko to było sprzeczne z jego naturą, gdyż naprawdę był dziki i twardy, okrutny i zły. Przemyślał tylko o mordach i rabunkach, rozlewie krwi i bogatych łupach. Ale konieczność ma swoje prawa i zmusiła go do takiego postępowania. Otóż sklep rzekomego kupca znajdował się naprzeciwko sklepu syna Ali Baby, który nazywał się Machmet. Ponieważ byli sąsiadami, związały ich ze sobą prawa i obowiązki sąsiedzkie, poznali się i żyli blisko. Ale żaden z nich nie wiedział o drugim, kim jest i jakie jest jego pochodzenie. Mimo to czuli do siebie wielką życzliwość, a nawet miłość. Często przesiadywali ze sobą i żaden z nich nie mógł się bez towarzystwa sąsiada obejść. Zdarzyło się, że pewnego dnia Ali Baba poszedł do swego syna Machmeta w odwiedzin i z zamiarem rozejrzenia się po bazarze. Zastał u niego obcego kupca. Herszt zbójców poznał od razu Ali Babę i nie wątpił ani chwili, że jest to nieprzyjaciel, którego szuka. Ucieszył się z tego bardzo i nie posiadał się z radości na myśl, iż wkrótce cel jego będzie osiągnięty, a żądza zemsty zaspokojona. Ukrył jednak swoje myśli głęboko i nie zdradził się nawet mrugnięciem oka. Kiedy Ali Baba odszedł, rzekomy kupiec spytał o niego Machmeta, udając, że nie wie, kto to był. - To był mój ojciec - odpowiedział mu Machmet. Skoro herszt zbójców to usłyszał, zaczął jeszcze częściej przesiadywać u Machmeta, czcił go jeszcze bardziej i podwoił względem niego oznaki szacunku, udając szczerą przyjaźń i serdeczną życzliwość. Zapraszał go do siebie na posiłki, wyprawiał na jego cześć uczyty i biesiady, gawędził z nim wieczorami, nie zapominał o nim podczas świąt i uroczystości i obysypywał go bogatymi podarunkami, a nawet drogocennymi klejnotami. Wszystko to czynił tylko po to, aby wykonać plan, o którym przemyślał, i wprowadzić w czyn nikczemną podłość, którą uknuł. Machmet widział, jak szczególne względy obcy kupiec mu okazuje, widział jego wielką uprzejmość, a nawet przyjaźń, toteż i jego życzliwość i miłość do obcego kupca wzrosły niepomiernie. Wierzył też w najczystsze zamiary i najszczerze uczucia swego nowego przyjaciela. Teraz nie mógł już ani chwili żyć bez niego i w dzień i w nocy łaknął jego towarzystwa. Dlatego też opowiedział ojcu, jak uprzejmy jest dla niego obcy kupiec i jak serdeczną przyjaźń mu okazuje, zaznaczając, że jest to bogaty, szlachetny i hojny człowiek, należący do najpierwszych w swoim zawodzie. Wychwalał go przy tym bardzo i wspominał, że obcy kupiec stale go na uczyty zaprasza i obsypuje kosztownymi klejnotami. Ali Baba powiedział do syna: - Godzi się, drogi synu, abyś mu za jego uprzejmość odpłacił i na uczytę do nas zaprosił. Zrobimy to w ten piątek. Kiedy obaj będziecie wracali w południe z piątkowego nabożeństwa i przechodzili koło naszego domu, poproś go, ażeby do nas wstąpił. Zastanie przygotowane wszystko, co się tak czcigodnemu gościowi należy. W następny piątek herszt zbójców poszedł około południa wraz z Machmetem do meczetu. Odprawiwszy wspólną modlitwę, wracali razem, ażeby zabawić się w mieście. Kiedy tak szli, znaleźli się w zaułku, przy którym mieszkał Ali Baba, a kiedy stanęli przed jego domem, Machmet poprosił swego towarzysza, aby zechciał wstąpić i coś przekąsić, mówiąc: - Patrz, oto nasz dom. Ów zaś odmówił i nie chciał zaproszenia przyjąć, wysuwając przeróżne powody. Machmet jednak dalej na niego nastawał i nie dał za wygraną, aż jego przyjaciel się zgodził i rzekł: - Spełnię twoje życzenie i wstąpię do was ze względu na naszą przyjaźń, ponieważ chcę ci zrobić przyjemność, ale uczynię to

tylko pod tym warunkiem, że potrawy nie będą solone, gdyż czuję najwyższe obrzydzenie do soli i nie znoszę nie tylko jej smaku, ale nawet zapachu. - To nie sprawi żadnego kłopotu - odparł Machmet. - Jeżeli twój żołądek nie znosi soli, damy ci wyłącznie potrawy nie solone. Skoro herszt zbójców te słowa usłyszał, uradował się wielce w swym sercu, albowiem było jego najgorętszym życzeniem do tego domu wejść, a wszystkie podstępny, które dotychczas stosował, miały tylko służyć, by zamiar ten urzeczywistnić. Teraz był już pewien, że zdoła zemsty dokonać, i był przekonany, że przeciwnik jego zostanie należycie ukarany. Mówił więc sam do siebie: "Allah oddał ich w moje ręce, to jest pewne i nie ulega już żadnej wątpliwości!" Przekroczył więc próg i wszedł do domu Ali Baby. Ten przyjął go uroczystym pozdrowieniem i powitał z największą uprzejmością i szacunkiem. Posadził go na honorowym miejscu wielkiej sali domu, biorąc go za dostojnego gościa. Nie domyślał się, że to ten sam człowiek, który w swoim czasie przybył tu z bukłakami z oliwą, ponieważ herszt zmienił swój wygląd i strój. Nie przyszło Ali Babie na myśl, że wpuścił krwiożerczego wilka między owce i groźnego lwa do stada; usiadł i zaczął z gościem wesoło gawędzić. Syn Ali Baby Machmet poszedł do Mardżany i polecił jej, aby nie dodawała do potraw soli, gdyż gościowi nie wolno jej spożywać. Z początku ją to rozsierdziło, ponieważ potrawy były już przygotowane i teraz musiała inne bez soli przyrządzać, potem zaś wydało jej się to dziwne, a cała sprawa podejrzana. Toteż koniecznie chciała zobaczyć człowieka, który nie znosi soli. Kiedy już wszystkie potrawy przyrządziła na nowo i nadeszła pora wieczerzy, wniosła razem z Abdallachem nakryty stół i postawiła przed państwem. Rzuciła też okiem na obcego kupca i poznała go natychmiast, gdyż jej oko było bystre, a umysł odznaczał się przenikliwością. Nie ulegało wątpliwości, był to herszt zbójców. Potem przyjrzała mu się jeszcze dokładniej i zobaczyła wystającą spod jego płaszcza rękojeść kindżału. Od razu powiedziała do siebie w duchu: "Teraz rozumiem również, dlaczego ten niktzemnik nie chciał z moim panem jeść soli! Na pewno chce mojego pana zamordować, a nie godziłoby mu się tego uczynić, gdyby skosztował z nim choćby szczyptę soli! Ale niedoczekanie jego, aby cel swój osiągnął i zbrodnię swą wykonał!" Potem Mardżana zabrała się do swojej roboty, Abdallach zaś usługiwał. Kosztowano wszystkich potraw, a Ali Baba obsypywał swego gościa oznakami szacunku i ciągle zachęcał do jedzenia. Kiedy się już nasycili, odniesiono potrawy i podano wino, a na deser przeróżne słodkie, owoce i cukry. Raczyli się słodyczami i owocami, a puchar krążył między nimi. Nikczemnik zachęcał do picia ojca i syna, sam się jednak od wina powstrzymywał. Chciał bowiem, aby obaj się upili, a on pozostał trzeźwy i zachował jasny umysł potrzebny do wykonania swego niecznego planu. Plan ten polegał na tym, że kiedy ojciec i syn odurzeni winem zasną, on skorzysta ze sposobności i przeleje ich krew, zabijając kindżałem, potem zaś ucieknie przez furtkę z ogrodu, jak już to kiedyś uczynił. Gdy trzej uczujący tak wesoło się zabawiali, weszli nagle do sali Mardżana i Abdallach. Mardżana miała na sobie koszulę pięknej aleksandryjskiej roboty, narzutkę z królewskiego brokatu i wspaniałe powiewne szaty. Przepasana była złotolitym pasem wysadzonym drogimi kamieniami. Kibić miała smukłą i wydatne biodra, głowa jej była przykryta siatką z pereł, a na piersi zwieszał się naszyjnik ze szmaragdów, hiacyntów i koralu. Zarówno jej klejnoty, jak i jej strój były olśniewające. Podobna była do wiosennego kwiatu, kiedy do życia się budzi, lub do młodego księżycy podczas nowiu. Również Abdallach był wspaniale wystrojony, trzymał w ręku bębenek, w który uderzał, gdy Mardżana płała niczym najdoskonalsza w swym kunszcie tanecznicą. Kiedy Ali Baba ją ujrzął, ucieszył się i powiedział do niej z uśmiechem: - Bądź pozdrowiona, dziewczyno tak mi życzliwa, wierna służebnico, pełna wdzięku! Trafnie odgadłaś nasze życzenie, gdyż właśnie tęskniliśmy za tańcem, dopełni to naszej błogości i uwieńczy naszą biesiadę. - Potem zwrócił się do herszta zbójców, mówiąc: - Nie ma takiej drugiej dziewczyny! jest obyta we wszelkich sprawach i najwierniejsza w służbie. Nie brak jej niczego, co należy do pięknego ułożenia. Posiada wspaniałą urodę, jasny umysł i bystry rozum, zaprawdę nie ma drugiej takiej w naszych czasach. Wyświadczyła mi kiedyś wielkie dobrodziejstwo i dlatego jest mi dzisiaj miłsza, niż może być własna córka. Spójrz tylko, szlachetny panie, na jej powabne lica, na smukłość jej kibici i piękno jej tańca, patrz, z jakim wdziękiem się przegina i jak uroczo przechyla! Gość jednak nie zwracał uwagi na jego słowa i nie słuchał tej mowy. Nie posiadał się bowiem ze złości z powodu wejścia tych dwojga, którzy przeszkodzili mu w wykonaniu złowrogiemu planu, jaki uknuł przeciwko

mieszkańcom tego domu, i w dokonaniu zdrady, którą od dawna hodował w sercu. A Mardżana tańczyła dalej, nie ustępując w niczym najlepszym zawodowemu tanecznicom, wirując coraz szybciej, aż w końcu wyciągnęła zza pasa kindżał, podrzucała go i chwyciła w powietrzu, jak czynią to Beduinki. Opierała przy tym ostrze to o swoją pierś, to o pierś Ali Baby, to przybliżała je do piersi Machmeta, to znów dotykała nim piersi herszta rozbójników. Następnie wzięła bębenek z ręki Abdallacha i podała Ali Babie, robiąc gest, aby jej coś ofiarował. Ali Baba rzucił jej denara, po czym i jego syn Machmet obdarował ją denarem. Wreszcie przystąpiła blisko do herszta zbójców, trzymając w jednym ręku kindżał, a w drugim bębenek. Ów sięgnął ręką do kieszeni, ale wtedy ona, korzystając z tego, że był zajęty wyciąganiem datku, wbiła mu kindżał w piersi. Nikczemnik zacharczał raz i wyzionął ducha, Allah zaś rzucił natychmiast jego duszę do smoły i ognia, gdzie jęczą potępieni. Kiedy Ali Baba i jego syn ujrzeli, co Mardżana uczyniła, skoczyli na równe nogi i zawołali przerażeni: - Kobieto, cóż skłoniło cię do popełnienia tej okropnej zdrady? Co pchnęło cię do tego ohydneho czynu? Wtrąciłaś nas w nieszczęście, z którego nie ma już ocalenia! Stałaś się przyczyną naszej zguby i naraziłaś nas na utratę czci. Przede wszystkim jednak sprawiedliwa kara dosięgnie ciebie. Przeklęta, nawet gdybyś miała ująć ręką sędziego, naszym ręką nie ujdiesz! Ale Mardżana odpowiedziała bez lęku: - Uspokójcie się i opanujcie wasze podniecenie! Jeśli taka ma być nagroda dla tej, która życie swoje dla was na szwank naraża, to nikt się już nie ośmieli nigdy spełnić dobrego uczynku. Nie sądźcie zbyt pochopnie o mnie, abyście nie potrzebowali tego żałować. Wysłuchajcie przedtem moich słów, a wtedy zadecydujecie o moim losie i uczynicie ze mną, co się wam będzie podobało. Ten człowiek wcale nie był kupcem, udawał tylko i wprowadził was obu w błąd. To jest herszt zbójców z gór, który uprzednio udawał handlarza oliwą i sprowadził do waszego domu owych ludzi, ukrytych w bukłakach, aby was zamordować. Kiedy wówczas udało mi się jego podstępne zamiary udaremnić, tak że jego nadzieje i pragnienia spęłły na niczym, musiał ratować się ucieczką i opuścić miasto. Ale nie skorzystał z danej mu przestrogi i nie poniechał swych haniebnych zamiarów. Aby nasycić pragnienie zemsty, otworzył sklep na bazarze kupieckim i napełnił go drogocennymi towarami. Tak długo udawał fałszywą miłość i zdradliwą przyjaźń, aż wywiódł w pole mego młodego pana Machmeta. Oszustwo to umożliwiło mu wtargnięcie do waszego domu i zajęcie miejsca z wami przy jednym stole. Teraz zaś tylko na to czekał, kiedy będzie mógł wykorzystać sposobność, aby zadać wam najohydniejszą śmierć i pamięć o was zetrzeć z powierzchni ziemi. Przy tym ufał w ostrze swego kindżału i siłę swego ramienia. Ale niech będzie chwała Allahowi, który moją ręką zgotował mu szybki koniec i zgubę! Popatrzcie na oblicze zabitego i przyjrzyjcie mu się dokładnie, a wtedy prawda moich słów ukaże się w całej pełni. Mówiąc to rozchyliła szaty fałszywego kupca i pokazała kindżał, który był ukryty pod nimi. A oni usłyszawszy słowa Mardżany, przyjrżeli się dokładnie obliczu zabitego. Poznali go i byli teraz całkiem pewni, że był to ów handlarz oliwy. Widok kindżału zaś przekonał ich, że Allah uratował ich od wielkiego niebezpieczeństwa i strasznej męki konania, posługując się ręką wiernej służebnicy Mardżany. Uznali więc prawdę tych słów, a męstwo jej serca i czynów zajaśniało przed nimi cudownym blaskiem. Dziękowali za jej szlachetny postępki i nie mogli się nachwalić, że tak wszystko na wylot przejrzała i mądrze obmyśliła. Ali Baba zaś tak do niej powiada: - Kiedy darowałem ci wówczas wolność, obiecałem dać jeszcze coś więcej. Teraz nadeszła pora, aby słowa mego dotrzymać i obietnicę spełnić. Powiem ci więc, co zamierzam zrobić, aby dobrodziejstwa wynagrodzić i odpłacić ci za twój szlachetny czyn. Oto chcę cię zaślubić mojemu synowi Machmetowi. A co wy oboje na to? Machmet zaś tak ojcu odpowiedział: - Słucham cię i jestem posłuszny we wszystkim, co mi rozkażesz i polecisz. Zgadzam się z twoją wolą, jeśli mi coś dajesz albo odbierasz, choćby miała to być rzecz, która napawałaby mnie lękiem i niepokojem. Ale jeśli chodzi o poślubienie Mardżany, to jest to od dawna moje najskrytsze marzenie i cel moich pragnień! Powiedział tak, albowiem miłował ją od dawna, jako że była to dziewczyna o wielkiej urodzie i powabie, wyróżniająca się byстрыm umysłem i najwyższymi zaletami, a do tego jeszcze pochodziła, choć była niewolnicą, ze szlachetnego rodu i miała znakomitych przodków. Potem wzięli się do pogrzebienia zwłok herszta rozbójników. Wykopali w ogrodzie głęboką mogiłę i wrzucili go tam, aby leżał przy swoich nikczemnych i przeklętych kompanach, a żadne stworzenie Allacha nie dowiedziało się nigdy o tych dziwnych wydarzeniach i

cudownych wypadkach. Zobaczymy jeszcze teraz, co się stało ze sklepem rzekomego kupca. Kiedy właściciel był długo nieobecny, a nikt nie miał o nim nowiny ani znaku życia, przejęto na rzecz skarbu sułtańskiego jego mienie, towary i w ogóle cały majątek, który pozostawił. Kiedy zaś Ali Baba i jego najbliżsi odzyskali spokój i życiu ich już nic nie groziło, gdyż wszystkie sprawy się wyjaśniły, a radość została im przydana i smutek rozwiany, wtedy Machmet pojął za żonę służebnicę Mardżanę. Udał się do kadiego\*, który sprawuje sądy nad wiernymi, i poprosił go o napisanie świadectwa ślubu, wręczył mu datek i obiecał dać jeszcze drugi. Goście weselni zjechali się i uroczystości się rozpoczęły. Zapomniano o śnie. Ucztowano i bawiono się wesoło, sprowadziwszy grajków, śpiewaczki i kuglarzy. Wesele trwało trzy doby. Potem, kiedy minął już cały rok od powyższych wydarzeń, Ali Baba postanowił znowu udać się do jaskini ze skarbami. Nie czynił tego od czasu okrutnej śmierci nieszczęsnego Kasima, obawiając się rozbójników. Potem, kiedy Allah ręką Mardżany uśmiercił trzydziestu ośmiu rozbójników, a herszt poszedł w ślad za nimi do piekła, Ali Baba myślał, że dwóch z nich wciąż jeszcze żyje. Wtedy w górach bowiem dokładnie ich policzył i stwierdził, że było czterdziestu. Kiedy jednak po owych dwu zbójcach wszelki ślad przepadł, doszedł do przekonania, że i oni gdzieś zginęli, i dlatego odważył się tam udać. Wziął ze sobą syna, aby pokazać mu jaskinię ze skarbami i wyjawić tajemnicę, w jaki sposób można się tam dostać. Kiedy podeszli już do jaskini, zauważyli, że krzewy i głogi przed furtką zrobiły się tak gęste, iż całkiem zagrodziły przejście. Dzięki temu poznali, że od dłuższego czasu do tego skarbcza nie weszła żadna żywa dusza, a żaden odgłos ani słowo nie przerwały ciszy. Umocniło to ich w przekonaniu, że wszyscy rozbójnicy zginęli, strach ich opuścił i ośmielili się podejść bliżej. Ali Baba wziął siekierę i wyrąbał przez krzewy i głogi przejście do furki. Po czym powiedział: - Sezamie, otwórz się! Kowana w żelazie furka otwarła się natychmiast. Ali Baba wszedł ze swoim synem do środka i pokazał mu wszystkie skarby, osobliwości i klejnoty, które się tam znajdowały. Machmet był olśniony ich widokiem i dziwował się bardzo. Kiedy zaś przeszli wzdłuż i wszerz po wszystkich salach i napatrzyli się do woli na klejnoty i szlachetne kruszce, postanowili wracać. Wzięli wszakże ze sobą, co im się spośród skarbów najwięcej podobało i co nie było zbyt ciężkie, a miało wielką wartość. Powrócili do domu zadowoleni i od tego czasu przynosili sobie zawsze ze skarbcza wszystko, czego tylko zapragnęli. I tak wiedli wspaniałe i szczęśliwe życie, aż przyszła do nich ta, która każe zamilknąć wszelkiej radości i zrywa więzy przyjaźni; która burzy zamki, a sypie mogiły.



## **Aladyn i czarodziejska lampa**

W pewnym mieście chińskiego cesarstwa żył sobie biedny krawiec. Miał syna imieniem Aladyn, który od najmłodszych lat był urwisem i zbijał baki. Kiedy chłopiec ukończył dziesiąty rok życia, ojciec postanowił wyuczyć go rzemiosła. Był jednak zbyt ubogi, aby go posłać do terminu lub do szkoły na naukę. Wziął go więc do własnego warsztatu z zamiarem wyuczenia krawiectwa. Ponieważ Aladyn był jednak wielkim nicponiem i o niczym innym nie myślał jak tylko o łobuzowaniu się z chłopakami z sąsiedztwa, nie potrafił nigdy wysiedzieć całego dnia w warsztacie; czekał tylko chwili, kiedy ojciec wyjdzie coś załatwić lub jakiegoś klienta odwiedzić, aby czmychnąć natychmiast na ulicę i wałęsać się z innymi psotnymi terminatorami nie lepszymi od niego. I tak bywało zawsze. Aladyn rodziców nie słuchał, a ojciec smucił się i frasował z powodu przywar swego syna, aż w końcu zachorował ze zmartwienia i umarł. Aladyn jednak wcale nie myślał o poprawie. Kiedy matka uświadomiła sobie, że męża już nie ma, a syn jest wartogłowem do



niczego niezdatnym, sprzedała warsztat i wzięła się do przędzenia, aby pracą rąk zarabiać na życie swoje i swego nieudanego syna. Ten zaś, kiedy nie potrzebował się już obawiać surowości ojca, rozzuchwalił się jeszcze bardziej. Ba, nawet doszło do tego, że do domu wracał już tylko na posiłki i nocleg. W dniu, kiedy Aladyn skończył piętnasty rok życia i bawił się jak zwykle na ulicy z psotnymi chłopakami, nagle podszedł do nich derwisz\* i zatrzymał się, aby przyjrzeć się dzieciom. Przy tym szczególnie badawczo przyglądał się Aladynowi, mierzając go wzrokiem od stóp do głów. Derwisz ten pochodził z Mauretanii\* i był czarnoksiężnikiem, który potrafił siłą swoich czarów góry przesuwac. Był też w astrologii nader biegły. Przyjrząwszy się dokładnie Aladynowi, powiedział sam do siebie: "Oto chłopiec, którego szukam. Opuściłem moją ojczyznę po to, aby go odnaleźć". Potem odwołał jednego z chłopców na stronę i zapytał, czyim synem jest Aladyn, a chłopiec opowiedział mu wszystko, co owego dotyczyło. Wtedy derwisz podszedł do Aladyna, wziął go na bok i zapytał: - Synu mój, czy przypadkiem ojcem twym nie jest krawiec, który się tak a tak nazywa? - Tak jest, efendi\* - odparł chłopiec - ale mój ojciec dawno już umarł. Skoro mauretański czarodziej to usłyszał, porwał Aladyna w objęcia i zaczął go całować, a łzy spływały strumieniami po jego wychudłych policzkach. Kiedy Aladyn ujrzał to dziwne zachowanie się Mauretana, zdziwił się wielce i zapytał: - Czemu płaczesz, efendi? I skąd znałeś mojego ojca? Tamten zaś odpowiedział smutnym, załamującym się głosem: - Synu mój, jak możesz mnie pytać o powód mojego smutku, kiedy sam powiedziałaś mi, że ojciec twój, a mój brat, już nie żyje. Zaiste rodzic twój był moim bratem. Przywędrowałem z dalekiej krainy, żyjąc tylko tą jedną nadzieją, że brata mego tu zobaczę. Ty zaś mówisz mi o jego śmierci. Zew krwi oznajmił mi, że jesteś synem mego brata i rozpoznałem cię od razu wśród innych chłopców, chociaż twój ojciec, kiedyśmy się rozstawali, nie był nawet jeszcze żonaty. Los skazał nas na rozłąkę. Przeznaczeniu bowiem nikt nie zdoła ująć, a na to, co Allah postanowił, nie ma rady. Po czym położył Aladynowi rękę na ramieniu i mówił dalej: - Synu mój, nie mam już teraz innej pociechy prócz ciebie, ty zastąpić mi musisz mego zmarłego brata, gdyż kto pozostawia potomka, całkowicie nie umiera. Rzekłszy to, derwisz włożył rękę do torby, wyjął dziesięć denarów i wręczył je Aladynowi, mówiąc: - Synu mój, powiedz mi teraz, gdzie jest wasz dom i gdzie znajduje się twoja matka, wdowa po moim bracie? Aladyn ujął go wtedy za rękę i wskazał drogę wiodącą do ich domu, a czarodziej na to: - Synu mój, przyjmij te pieniądze i oddaj je twojej matce. Pozdrów ją ode mnie i oznajmij, że stryj twój powrócił z dalekich krajów; jeśli Allah pozwoli, przyjdę jutro rano do was, aby matkę twą powitać i obejrzeć dom, w którym mój brat mieszkał, oraz miejsce, gdzie znajduje się jego mogiła. Tedy Aladyn pocałował Mauretana w rękę i pełen radości pobiegł szybko do matki. Wesoło wszedł do izby i zawołał: Matko, przynoszę ci dobrą nowinę! Stryj mój powrócił z dalekich krajów i kazał mi cię pozdrowić. - Aladynie - odparła biedna wdowa - czyż chcesz naigrawać się ze mnie? O jakim stryju mówisz? Przecież brat mego męża dawno już nie żyje! Aladyn zaś na to: - Matko, jak możesz mówić, że nie mam stryja, kiedy przecież ten człowiek, który przybył, mówi, że jest bratem mojego ojca? Objął mnie czule i ucałował ze łzami w oczach, i powiedział, abym ci o jego przybyciu doniósł. - Aladynie - odpowiedziała matka - wiem, że miałaś kiedyś stryja, ale on dawno umarł, a nie jest mi wiadome, żeby mąż mój miał więcej braci. Na drugi dzień rano mauretański czarodziej wyszedł na ulicę, aby spotkać Aladyna, gdyż zamiarem jego było już się z nim nie rozstawac. Podszedłszy do niego, chwycił go za rękę, objął i ucałował, a potem wyjął z sakiewki dwa denary i rzekł: - Idź do twojej matki, daj jej jeszcze te dwa denary i powiedz: "Mój stryj chciałby dziś wieczór w naszym domu spożyć posiłek, przeto weź te pieniądze i przygotuj smaczną wieczerzę!" Ale przede wszystkim pokaż mi teraz jeszcze raz drogę do waszego domu. - Chętnie to uczynię, stryju - zawołał Aladyn, poszedł przodem i pokazał dokładnie drogę do swego domu. Potem Mauretanin pożegnał się i odszedł, Aladyn zaś poszedł do matki, opowiedział jej o wszystkim, dając owe dwa denary, i dodał: - Mój stryj życzy sobie spożyć u nas wieczerzę. Matka Aladyna ubrała się co żywo, poszła na bazar i kupiła wszystko, co było potrzebne do wieczerzy. Potem wróciła do domu i zabrała się do przyrządzania potraw, pożyczwszy od sąsiadów brakujące półmiski i naczynia. A kiedy wieczór zapadł, rzekła do Aladyna: - Synu mój, wieczerza jest gotowa, może jednak twój stryj nie zna dobrze drogi do naszego domu, przeto wyjdź mu na spotkanie. - Słucham i jestem posłuszny - odparł syn. Ale kiedy tak ze sobą rozmawiali, zapukano

do drzwi. Aladyn poszedł otworzyć, a przed drzwiami stał mauretański czarodziej ze sługą, który niósł za nim wino i owoce. Aladyn chciał wprowadzić ich do izby, ale sługa nie śmiał wejść, a wszedł tylko Mauretanin i pozdrowił matkę Aladyna. Po czym zapytał: - Gdzie jest miejsce, na którym mój zmarły brat zwykle siadywał? Tedy matka Aladyna wskazała miejsce, na którym jej mąż za życia zwykł był siadać. Derwisz zaś padł na kolana i ucałował ziemię, mówiąc z płaczem: - Ach, jakież niepełne jest moje szczęście i jakże smutny mój los, kiedy cię już nie ma, mój bracie, żrenico mojego oka! I w ten sposób zawodził i lamentował, aż matka Aladyna uwierzyła, iż jest to naprawdę jej szwagier, a kiedy z całego tego płaczu i narzekania omdlał, podeszła do niego, podniosła z ziemi i rzekła: - Nic już nie pomoże, gdybyś się nawet na śmierć zamartwił. Następnie poprosiła go, aby usiadł, a kiedy to uczynił, zaczęli gawędzić, nim wniesiono stół z potrawami. - Żono mojego brata - mówił czarodziej - nie dziw się, że nie widziałas mnie nigdy tutaj, nawet za życia mojego brata. Opuściłem bowiem ten kraj przed czterdziestu laty i cały czas przebywałem z dala od was. Wędrowałem po Indiach dalszych i bliższych i przemierzyłem całą Arabię. Potem udałem się do Egiptu i przez dłuższy czas mieszkałem w jego stolicy, która zalicza się do największych cudów świata, a w końcu wyjechałem na najdalszy Zachód i w kraju owym pozostałem przez lat trzydzieści. Pewnego dnia wszakże, o żono mojego brata, przypomniał mi się kraj rodzinny i mój umiłowany brat, który obecnie zeszedł już z tego świata, i opanowała mnie przemożna tęsknota. Zacząłem płakać i rozpaczać, aż w końcu postanowiłem wyjechać do kraju, w którym się byłem urodził, aby mego brata znowu zobaczyć. Mówiłem przy tym do siebie: "Człowiecze, za długo przebywasz już na obczyźnie, a masz przecie tylko jednego jedynego brata. Ruszaj więc w drogę, aby go jeszcze zobaczyć, zanim umrzesz! Któż bowiem zna koleje losu i zmienność chwili bieżącej? Allach miłościwy, za to niech Mu będą dzięki, obdarzył cię wielkim bogactwem, a brat twój, być może, żyje tam w ubóstwie i niedostatku. Mógłbyś mu więc pomóc, a równocześnie nacieszyć się jego widokiem". Udałem się przeto zaraz w drogę i przybyłem do tego miasta po długich trudach i znojach, które wszakże pod łaskawą opieką Allacha szczęśliwie zniosłem. Kiedy przybywszy tu przechadzałem się wczoraj po ulicach i ujrzałem twego syna, jak się z rówieśnikami bawił, zaraz, o żono mojego brata, serce moje zabiło mocniej na jego widok, gdyż krew czuje pociąg do swojej krwi, a głos mego serca przemówił do mnie, że to właśnie on. Zapomniałem od razu o zmęczeniu i troskach i miałem wrażenie, że skrzydła urosły mi u ramion. Ale kiedy chłopiec mnie powiadomił, że brat mój stoi już przed tronem miłosiernego Allacha, to z niezmiernego smutku i zmartwienia niemal omdlałem. Teraz wszakże znalazłem już trochę pociechy dzięki Aladynowi, który w moim sercu zajął miejsce nieboszczyka, gdyż powiedziane jest, że kto pozostawia potomstwo, nie umiera całkowicie. Wypowiedziawszy te słowa, mauretański czarodziej zauważył, że wzruszył staruszkę do łez. Zwrócił się przeto teraz do Aladyna: - Synu mój, powiedz mi, jakiego rzemiosła cię nauczono i jaki posiadasz zawód? Czy nauczyłeś się pracy, która mogłaby was oboje, ciebie i matkę, wyżywić? Wówczas Aladyn poczuł się zawstydzony i zwiesił głowę do ziemi, matka jego zaś zawołała: - Ale skądże! Prawdę mówiąc, to syn mój nic nie umie. Takiego nicponia, jak on, jeszcze w życiu nigdy nie widziałam. Całymi dniami włóczy się z psotnymi rówieśnikami z całej naszej dzielnicy, którzy się w niczym od niego nie różnią. Jego ojciec, a twój brat, umarł ze zmartwienia z jego powodu. A ja z jego winy żyję obecnie w nędzy. Mozolnie przędę dniami i nocami, aby zarobić na tę trochę chleba, które oboje spożywamy. Zaiste taki jest mój los, kochany szwagrze. Klnę się na moje życie, że syn mój przychodzi do domu jedynie na posiłki i nocleg. Myślałam nawet o tym, aby drzwi przed nim zamknąć i nigdy mu już ich nie otworzyć, by wreszcie poszedł szukać jakiegoś zarobku. Jestem stara i brak mi sił, aby się tak męczyć i na chleb powszedni dla nas obojga zarabiać. Wielki Boże, czyż muszę sama myśleć o własnym utrzymaniu? Konieczny jest mi ktoś, kto by mnie na starość żywił! Wówczas Mauretanin zwrócił się do Aladyna tymi słowy: - Jakżeż się to dzieje, o synu mego brata, że się tak źle prowadzisz? To hańba dla ciebie! Nie godzi się tak postępować ludziom naszej krwi! Masz przecie bystry rozum i jesteś dzieckiem rodziców cieszących się ogólnym poważaniem. Wstyd, że twoja matka mimo sędziwego wieku musi jeszcze troszczyć się o wasze utrzymanie, gdy ty jesteś już mężczyzną, który powinien umieć matkę swą wyżywić. Rozejrzyj się, mój synu, po naszym mieście! Jest tu, chwała niech będzie Allachowi, tylu nauczycieli jak w żadnym innym! Obierz

sobie rzemiosło, które ci odpowiada, abym cię mógł posłać na naukę. Chcę ci dopomóc, na ile tylko potrafisz! Kiedy jednak Mauretaniec zauważył, że Aladyn milczy i nie daje odpowiedzi, zmiarkował, że chłopiec w ogóle nie kwapi się do żadnej pracy i woli prowadzić życie próżniacze. Powiedział tedy do niego: - Synu mojego brata, nie chcę cię urazić, ale jeśli nie chcesz uprawiać żadnego rzemiosła, to urządzę ci sklep z najkosztowniejszymi tkaninami, abyś zasłynął wśród ludzi jako bogaty kupiec szanowany w całym mieście. Skoro Aladyn to usłyszał, uradował się wielce. Wiedział bowiem dobrze, że bogaci kupcy noszą wykwintne i zawsze świeże szaty. Spojrzał z wdzięcznością na Mauretaniec i skinął głową na znak, że się zgadza. Ten zaś widząc, że chłopiec ma ochotę zostać kupcem, tak mówił dalej: - Ponieważ widzę, że masz ochotę, abym zrobił z ciebie kupca i założył ci sklep, synu mojego brata, to pokaż, co umiesz! Jutro, jeśli Allah pozwoli, wezmę cię ze sobą na bazar i sprawię ci wykwintne szaty, jakie noszą bogaci kupcy. Potem wyszukam ci sklep i wywiążę się z danego ci słowa. Matka Aladyna, która do tego czasu ciągle jeszcze trochę wątpiła, czy Mauretaniec jest rzeczywiście jej szwagrem, teraz usłyszawszy, że przybysz chce nabyć dla jej syna sklep, uwierzyła, że Mauretaniec jest jej szwagrem, gdyż obcy człowiek nie zechciałby przecież jej syna tak hojnie obdarować. Dlatego ją strofowała Aladyna i przestrzegała go, aby wybił sobie z głowy wszelkie głupstwa, pokazał, co umie, i zawsze stryjowi swemu, który zastępuje mu ojca, był posłuszny. Po czym nakryła stół i wniosła wieczerzę. Wszyscy troje usiedli i zaczęli jeść i pić, a Mauretaniec z Aladynem rozprawiali o sprawach kupieckiego stanu. Kiedy wszakże Mauretaniec zauważył, że noc zapada, pożegnał się i odszedł, obiecując, że na drugi dzień powróci, aby wraz z Aladynem pójść na bazar i sprawić mu wykwintne kupieckie szaty. Nazajutrz rano zapukał też bardzo wcześnie do drzwi. Matka Aladyna zerwała się z posłania i poprosiła go do izby. Czarodziej jednak nie chciał wejść, tylko wywołał Aladyna, aby wraz z nim udać się na bazar. Tam wstąpili do sukiennika, u którego były wystawione na sprzedaż przeróżne stroje. Mauretaniec zażądał gotowego ubrania najwyższej jakości. Kiedy zaś kupiec przyniósł kilka pięknie skrojonych i uszytych strojów, stryj zwrócił się do bratanka: - Wybierz, co ci się najbardziej podoba! Chłopiec nie posiadał się z radości, widząc, że stryj pozostawia mu wybór, i dobrał sobie według własnego gustu szaty, które mu się najbardziej podobały. Mauretaniec nie targując się zapłacił kupcowi żadaną cenę i zaprowadził Aladyna do łaźni. Wykąpawszy się opuścili izbę łaźniową i wypili sorbet\* na wielkiej sali, po czym Aladyn wesół i radosny wdział nowo nabyte strój, pokazał się stryjowi i z wdzięczności za jego dobroć pocałował go w rękę. Z łaźni udali się na bazar do bogatych kupców. Stryj oprowadził bratanka po całym bazarze, tłumacząc, jak się odbywa handel, a potem rzekł: - Teraz, mój synu, godzi się, abyś nawiązał z tymi ludźmi stosunki, zwłaszcza z najbogatszymi spośród nich, aby nauczyć się od nich sztuki handlowania, bo przecież to ma być twój przyszły zawód. Następnie pokazawszy mu całe miasto, meczety, ogrody i wszelkie godne widzenia osobliwości, przywiódł go do karawanseraju, gdzie sam mieszkał, i zaprosił na ucztę kilku zamożnych kupców, którzy również tam się zatrzymali. Kiedy zaproszeni przyszli, Mauretaniec opowiedział im, że chłopiec, który z nim przyszedł, jest synem jego zmarłego brata i nazywa się Aladyn. Zjadłszy i wypiwszy odprowadził Aladyna do domu matki. Skoro ta ujrzała syna, który robił teraz wrażenie bogatego kupca, nie posiadała się z radości i w oczach jej ukazały się łzy szczęścia. Dziękowała swemu szwagrowi z Mauretaniec za jego dobroć, mówiąc: - Nie mogę wprost znaleźć odpowiednich słów, aby ci podziękować, kochany szwagrze, nawet gdybym przez całą resztę mojego życia ci dziękowała i wielbiła cię za te wszystkie dobrodziejstwa, jakieś memu synowi wyświadczył. Zanoszę modły do Allacha, aby cię strzegł i od wszelkich nieszczęść uchronił, żeby obdarzył cię długim życiem, byś mógł tego sierotę otoczyć opiekuńczym skrzydłem, a on powinien ci być zawsze posłusznym i uległym. - Żono mojego brata - odparł Mauretaniec - Aladyn jest już tak dorosły i rozsądny, że potrafi zastąpić swego ojca i stanie się ukojeniem dla twoich łez. Ale jest mi bardzo przykro, że nie mogę od razu jutro ofiarować mu sklepu, ponieważ to piątek i wszyscy kupcy po nabożeństwie w meczecie wylegną za miasto. Jeśli jednak Allah pozwoli, uczynię z jego pomocą w sobotę to co zamierzam. Jutro też do was przyjdę, aby wziąć ze sobą Aladyna i pokazać mu położone za miastem ogrody i parki. Tam spotka odpowiednich ludzi: bogatych kupców i wykwintne towarzystwo, które się tam zwykle udaje na przechadzkę. Na drugi dzień Mauretaniec przyszedł znowu do domu krawca i zapukał do drzwi. Aladyn tej nocy nie

zmrużył oka, rozpamiętując wszystkie te przyjemności, których poprzedniego dnia dzięki swemu stryjowi zaznał, i nie mogąc się doczekać świtu, kiedy stryj miał znowu po niego przyjść, aby mu pokazać ogrody i parki. Skoro więc tylko usłyszał pukanie, skoczył szybki jak iskra, otworzył na oścież drzwi i ujrzał przed sobą przybysza z dalekich krajów. Ten objął go i ucałował, po czym wyszli razem na miasto. - Synu mego brata - rzekł Mauretanin - dzisiaj pokażę ci coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie widziałeś. Przy tym uśmiechnął się do chłopca i zachęcał przyjacielskimi słowy. Tak gawędząc wyszli poza bramy miasta. Oglądali rozległe parki i podziwiali wznoszące się wysoko pałace. Mauretanin zaś zatrzymywał się raz po raz i pytał: - Podoba ci się, Aladynie? A chłopcu wydawało się, że szczęście dodaje mu skrzydeł. Patrzył bowiem na rzeczy, których nigdy jeszcze w życiu nie widział. I tak szli coraz dalej, aż poczuli zmęczenie. Weszli do olbrzymiego ogrodu, który napawał wspaniałymi widokami ich oczy, a piękność jego radowała im serca. Fontanny były do góry wśród kwiecica, tryskając srebrzystymi strumieniami z paszcz lwów odlanych ze złotożółtego mosiądzu. Usiedli przy stojącym tam marmurowym stole, aby odpocząć. Aladyn uszczęśliwiony i pełen radości zaczął żartować i przekomarzać się z Mauretaninem, jak gdyby ten naprawdę był jego stryjem. Ten zaś rozwiązał pas, wyciągnął spod niego torbę, w której był chleb i owoce, i powiedział: - Synu mego brata, zapewne jesteś już głodny, weź i jedz. Chłopiec zabrał się zaraz do jedzenia, a Mauretanin jadł razem z nim. I tak odpoczywali w weselu i spokoju ducha. Potem Mauretanin rzekł: - Synu mojego brata, kiedy odpoczniesz, powędrujemy dalej. Aladyn wstał natychmiast i powędrowali od ogrodu do ogrodu, aż minęli wszystkie i stanęli przed wysoką górą. Aladyn, który dotąd nigdy jeszcze miasta nie opuszczał i w ciągu swego życia jeszcze tak dalekiej drogi nie odbył, rzekł: - Stryju, powiedz, dokąd idziemy, bo przecież pozostawiliśmy już wszystkie podmiejskie ogrody poza sobą i stoimy u stóp wysokiej góry! A jeśli droga jest jeszcze daleka, to nie mam już sił iść dalej, osłabłem bowiem ze zmęczenia. Wracajmy do miasta! - Mój synu - odparł Mauretanin - tędy prowadzi nasza droga, a ogrody się jeszcze nie skończyły. Zwiedzimy teraz ogród, jakiego nawet królowie nie posiadają. Wszystkie, któreśmy dotychczas zwiedzali, są niczym w porównaniu z tamtym. Musisz więc przemóc zmęczenie i iść dalej. Jesteś przecie, dzięki niech będą Allachowi, niemal dorosłym mężczyzną. Po czym Mauretanin zaczął przymilnymi słowy odwracać uwagę chłopca od zmęczenia, opowiadając mu przedziwne opowieści, prawdziwe i zmyślane, aż doszli do owego miejsca, które było celem przybycia mauretańskiego czarodzieja z dalekiego Zachodu do chińskiego cesarstwa. A kiedy w owo miejsce przybyli, powiedział do Aladyna: - Synu mojego brata, usiądź i wypocznij, gdyż oto jest miejsce, któregośmy szukali. Jeśli Allach pozwoli, pokażę ci teraz cudowne rzeczy, jakich jeszcze żaden człowiek na tym świecie nie oglądał. Nikt nie miał możliwości ujrzeć tego, co ty ujrzysz. I tak mówił dalej do Aladyna: - Nazbieraj trochę gałęzi i chrustu, możliwie jak najsuchszego, abyśmy mogli rozpalić ognisko. Potem, o synu mego brata, coś ci pokażę, ale na razie o nic nie pytaj, dowiesz się wszystkiego, gdy nadejdzie po temu pora. Skoro Aladyn to usłyszał, zapomniał o zmęczeniu, zerwał się z miejsca i zaczął zbierać suche gałęzie i chrust, aż Mauretanin powiedział: - Wystarczy, kochany bratanku! Następnie wyjął z torby szkatułkę, otworzył ją i wyjął z niej szczyptę kadzidła. Kadził, czynił gusa, wypowiadał zaklęcia i mruczał jakieś niezrozumiałe wyrazy. Natychmiast zrobiło się ciemno, rozległ się grzmot, ziemia zadrżała i rozwarła się, tak że Aladyn przestraszył się wielce i w swym przerażeniu chciał uciekać. Mauretański czarodziej to zauważył i wpadł w gwałtowny gniew, ponieważ wiedział, iż cały jego wysiłek bez pomocy Aladyna na nic się nie zda. Skarb bowiem, którego tu szukał, miał objawić się jedynie Aladynowi. Widząc więc, że chłopiec chce uciekać, czarodziej podniósł rękę i uderzył go tak mocno w twarz, że omal nie wybił mu zębów. Chłopiec osunął się zemdłony na ziemię, ale po krótkiej chwili dzięki czarom Mauretanina odzyskał przytomność i zaczął szlochać wołając: - Kochany stryju, czymże zasłużyłem na takie uderzenie? Czarodziej jął go uspokajać, przemawiając doń łagodnie: - Synu mój, chcę zrobić z ciebie dorosłego mężczyznę, przeto nie sprzeciwiaj mi się, jako że jestem twoim stryjem, który zastępuje ci ojca. Bądź mi posłuszny we wszystkim, co ci rozkażę, a po krótkiej chwili zapomnisz o całej tej udręce, kiedy ujrzysz zachwycające rzeczy. W tym miejscu, gdzie ziemia się przed czarodziejem rozwarła, ukazała się marmurowa płyta, do której przymocowany był mosiężny uchwyt. Mauretanin zwrócił się do chłopca następującymi słowy: - Kiedy uczynisz, co ci każę,

będziesz bogatszy niż wszyscy królowie tego świata. Tylko dlatego, synu mój, pozwoliłem sobie cię uderzyć. Jest tu bowiem ukryty wielki skarb, który jedynie na dźwięk twego imienia może się objawić, a ty chciałeś to miejsce opuścić i uciec. Ale teraz uważaj! Patrz, jak ziemia, ulegając mojej czarnoksiężskiej sile rozwarła się na dźwięk zaklęcia! A potem mówił dalej do Aladyna: - Uważaj i patrz! Tam pod płytą, do której przymocowany jest mosiężny uchwyt, leży skarb, o którym ci mówiłem. Ujmij ręką uchwyt i podnieś płytę do góry, gdyż żadnemu innemu człowiekowi poza tobą nie dane jest tej płyty poruszyć. Tylko ty możesz w pieczarze ze skarbami bezpiecznie stopę postawić, albowiem wszystko jest tam dla ciebie przeznaczone. Ale powinieneś mnie słuchać i wykonywać dokładnie wszystko, co ci polecę. Nie wolno ci pominąć ani sylaby z moich słów. A wszystko to, synu mój, dzieje się dla twojego dobra. Skarb ten bowiem jest niezmierny i żaden król na świecie podobnego nie posiada. A należy on tylko do ciebie i... do mnie. Biedny chłopiec zapomniał o zmęczeniu, bólu i łzach. Urzeczony bowiem słowami Mauretanina cieszył się i radował, że posiadzie takie skarby, jakich żaden król nie posiada. Rzekł więc do stryja: - Rozkazuj mi, co zechcesz, a ja będę ci posłuszny. - Ach, synu mojego brata - odparł czarodziej - miłuję cię jak własne dziecko, a może jeszcze więcej, gdyż poza tobą, moim bratankiem, nie mam już nikogo na świecie. Ty będziesz moim dziedzicem i następcą! Mówiąc to podszedł do Aladyna, ucałował go i ciągnął dalej: - Bo i dla kogóż tak się trudzę, mój synu? Jedynie dla ciebie, aby zrobić z ciebie możnego i bogatego człowieka. Dlatego ty powinieneś dokładnie wykonywać każde moje polecenie. Podejdź teraz do tej płyty i podnieś ją do góry! Aladyn zaś na to: - Stryju, ta płyta jest chyba za ciężka na moje siły, nie zdołam sam jej udźwignąć. Chodź i pomóż mi przy jej podnoszeniu. Nie jestem bowiem jeszcze dorosły. - Kochany bratanku - odparł Mauretanin - niczego nie osiągniemy, jeśli ja przyłożę do tego ręki, i wtedy cały nasz wysiłek pójdzie na marne. Tylko ty jeden powinieneś ująć uchwyt i unieść płytę do góry, tylko za dotknięciem twej ręki podniesie się ona z łatwością. Mówiłem ci, że nikomu poza tobą nie wolno uchwytu tego dotknąć. A kiedy to uczynisz, wymów swoje imię oraz imiona ojca i matki, a wówczas płyta stanie się tak lekka, że nie poczujesz jej ciężaru. Tedy Aladyn zebrał wszystkie siły, powziął mocne postanowienie i uczynił tak, jak mu Mauretanin rozkazał. Płyta podniosła się natychmiast, a on odrzucił ją na bok. Odrzuciwszy płytę zamykającą wejście do pieczary, ujrzał podziemny korytarz, do którego wiodły w dół schody o dwunastu stopniach. Czarodziej zaś pouczał go dalej: - Aladynie, uważaj i rób wszystko dokładnie tak, jak ci powiem, niczego nie pomijając. Zejdź po tych schodach, zachowując wielką ostrożność, i idź korytarzem, aż dojdiesz do jego końca. Tam zobaczysz budynek podzielony na cztery sale. W każdej z nich ujrzysz po cztery złote dzbany i wiele innych przedmiotów ze szczerego złota i srebra, ale strzeż się, abyś niczego nie dotknął i nie brał do ręki. Idź tak ostrożnie, żebyś nawet krajem twych szat o skarby te i ściany się nie otarł! Jeśli postąpisz inaczej, zostaniesz natychmiast zaklęty w czarny kamień. W czwartej sali znajdziesz drzwi. Otwórz je wymawiając te same imiona, które wypowiedziałeś podnosząc płytę, i wyjdź tymi drzwiami! Znajdziesz się w cudownym ogrodzie, wśród pięknych drzew obwieszonych wspaniałymi owocami. Idź dalej tym ogrodem, aż zobaczysz wejście do jeszcze jednej sali, do której prowadzą w dół schody o trzydziestu stopniach. Dopiero w tej sali wolno ci będzie wszystko obejrzeć. Skoro się tam znajdziesz, ujrzysz lampę zwisającą z pułapu. Weź ją, wylej z niej oliwę i ukryj lampę w zanadrzu. Nie turbuj się przy tym o swoje szaty, gdyż ta oliwa nie brudzi. Kiedy potem będziesz stamtąd wracał, możesz po drodze nazrywać owoców z drzew, ile zechcesz, gdyż wszystko to będzie należało do ciebie. Wypowiedziawszy te słowa, Mauretanin zdjął pierścień z palca i włożył go na palec Aladyna, mówiąc: - Synu mój, pierścień ten uchroni cię od wszelkich nieszczęść i niebezpieczeństw, które mogłyby ci zagrażać, ale pod tym jednym warunkiem, że zapamiętasz wszystko, co ci powiedziałem. A teraz ruszaj, wyteż wszystkie siły i rozpal płomień twojej odwagi! Nie lękaj się, nie jesteś już dzieckiem. Dzięki twojej odwadze zaś staniesz się od razu najbogatszym człowiekiem na całym świecie. Aladyn szedł posłusznie do podziemnego korytarza i ujrzał budynek podzielony na cztery sale. W każdej sali było po cztery dzbany, ale ominął je, jak Mauretanin mu kazał, zachowując największą ostrożność. Po czym znalazł się w ogrodzie wśród pięknych drzew, obwieszonych wspaniałymi owocami, a przeszedłszy przez ten ogród dotarł do ostatniej sali. Szybko zbiegł po trzydziestu stopniach na dół i zobaczył zwisającą z pułapu lampę.

Zgasił ją, wylał z niej oliwę i schował lampę w zanadru. Potem powrócił tą samą drogą do ogrodu i zaczął oglądać drzewa. Siedziały na nich różnobarwne ptaki, które cudownym śpiewem wielbiły wszechmogącego Allacha, a których, kiedy pierwszy raz szedł przez ogród, wcale nie zauważył. Z drzew zamiast owoców zwisały grona szlachetnych kamieni, każdy innego kształtu i barwy, zielone, białe, żółte i czerwone. Od kamieni tych bił blask jaśniejszy niż słoneczne światło w pogodne przedpołudnie. Każdy z kamieni przewyższał wielkością wszystkie widziane przezeń dotąd klejnoty. Żaden król na całym świecie nie miał i nie ma ani jednego takiego kamienia, a nawet mniejszego o połowę niż z nich najmniejszy. Aladyn jeszcze nigdy w życiu takich dziwów nie widział, i z początku próbował kosztować ich, ale gdy się przekonał, że są twarde, rozgniewał się, że nie może się nimi jak zwykłymi owocami nasycić, i rzekł do siebie: "Nazrywam tych szklanych kulek i będę się nimi w domu bawił". Zerwał ich więc całe mnóstwo i ponapychał nimi wszystkie kieszenie, a nawet zdjął pas, zawinał weń jeszcze trochę kamieni i znowu się nim opasał. W końcu jednak ze strachu przed stryjem przebiegł szybko przez wszystkie cztery sale oraz podziemny korytarz. Na złote dzbany nie rzucił nawet okiem, choć teraz było mu już wolno coś z nich zabrać. Następnie wspiął się po schodach do wyjścia z pieczary, tak że został mu już tylko jeden ostatni stopień, znacznie wyższy od innych. Na ten stopień nie mógł już jednak wejść, gdyż był zbyt ciężki swoimi łupami obciążony, zawołał więc do Mauretanina: - Stryju, podaj mi rękę i dopomóż wyjść! - Synu mój - odparł tamten - daj mi lampę, bo to ona na pewno tak ci ciąży! Aladyn na to: - Stryju, lampa nie jest wcale ciężka, podaj mi rękę, a kiedy będę na górze, to ci lampę oddam. Czarodziej wszakże chciał od razu dostać lampę do rąk, przeto zaczął na Aladyna nalegać, aby mu ją natychmiast wręczył. Chłopak miał jednak lampę głęboko ukrytą w zanadru pod wszystkimi drogimi kamieniami, nie mógł więc jej ręką dosięgnąć. Wówczas złość czarodzieja zmieniła się w straszną wściekłość, bo zrozumiał, że nie uda mu się osiągnąć swego celu. Ze złości tej jął znowu czynić gusła, szeptać zaklęcia i rzucać kadzidło do ognia. Marmurowa płyta nagle opadła, zamykając wyjście z korytarza, a ziemia zawarła się nad nią. Aladyn zaś został pod ziemią i nie mógł wydostać się na powierzchnię. Było bowiem tak: mauretański czarodziej nie był oczywiście żadnym stryjem Aladyna, a pochodził z najdalszych krańców Afryki. Od wczesnej młodości uczył się guseł i czarnoksięstwa od złych duchów, gdyż owa część Afryki słynie z takich nieczystych sił. W trakcie tych, trwających czterdzieści lat, nauk czarnoksięskich dowiedział się pewnego dnia, iż daleko stamtąd w cesarstwie chińskim leży miasto el-Kalas. Tam ukryty jest ogromny skarb, jakiego żaden król na całym świecie nie posiada. Najcenniejszą częścią tego skarbu jest czarodziejska lampa. Kto nią zawładnie, temu żaden człowiek nie dorówna bogactwem i potęgą. Mauretanin jął tedy zgłębiać dalej tajemną wiedzę i odkrył, że skarb ów może być podjęty jedynie przez pewnego chłopca, który zwie się Aladyn i pochodzi z ubożego stanu, oraz że chłopiec ten mieszka w tym samym mieście. Przeto czarodziej przygotował się zaraz do podróży i wyruszył niezwłocznie do Chin, jakżeśmy to już wyżej opowiedzieli. Po czym odnalazł Aladyna, udał, że jest jego stryjem, i przeprowadził cały swój podstępny plan, aby za jego pośrednictwem wejść w posiadanie czarodziejskiej lampy. Kiedy wszakże wszelkie wysiłki i nadzieje okazały się płonne, postanowił Aladyna zgładzić. Czarnoksięską mocą nakrył go ziemią, która się była na chwilę rozwarła, i czekał na jego śmierć. Ale kto żyje, tego nie można uważać za umarłego. Zostawmy teraz czarodzieja, który udał się z powrotem do Afryki, i zobaczymy, co się z Aladynem stało. Kiedy się ziemia nad nim zawarła, zaczął wzywać na ratunek Mauretanina, którego wciąż jeszcze uważał za swego stryja, aby go z podziemnego korytarza wyprowadził na powierzchnię. Ponieważ jednak nikt na jego wołanie nie odpowiadał, Aladyn zrozumiał, że Mauretanin postąpił z nim niecnie i że nie jest wcale bratem jego ojca, lecz szalbierczym czarnoksiężnikiem. Jął tedy lamentować i płakać nad swym nieszczęściem. Po krótkiej chwili atoli opanował się i zeszedł znowu po schodach na dół, aby zobaczyć, czy Allah miłosierny mu nie dopomoże, wskazując jakieś inne wyjście. Rzucał się to w prawo, to w lewo, ale nie znajdował nic prócz ciemności i zimnych ścian, które go otaczały. Mauretański czarodziej bowiem pozamykał wszystkie drzwi, a nawet wyjście do ogrodu, w którym Aladyn był uprzednio, aby nie pozostawić mu żadnego sposobu wydostania się na powierzchnię ziemi i i skazać go na głodową śmierć. Przypomnijmy sobie jednak, że kiedy wysyłał Aladyna na dół do podziemnego korytarza, dał mu amulet\* w postaci

pierścienia mówiąc: "Pierścień ten ocali cię, kiedy bieda cię przycisnie lub kiedy spotka cię jakiś nieszczęśliwy przypadek. Oddali on od ciebie wszelkie niebezpieczeństwa i dopomoże ci niezależnie od tego, gdzie będziesz". Kiedy Aladyn tak siedział w ciemności i nad swoim nieszczęściem medytował i płakał, bo zwątpił już o ocaleniu i opanowała go bezdenne rozpacz, zaczął z bezmiaru swego strapienia załamywać ręce, jak czynią to żałobnicy. A gdy je tak załamywał, zdarzyło się, że dłoń jego bezwiednie dotknęła amuletu. I oto momentalnie zjawił się przed nim usłużny džinn i przemówił: - Przybyłem, aby ci służyć jako twój niewolnik. Żądaj, czego chcesz, a ja spełnię to, gdyż jestem sługą każdego, kto posiada ten pierścień, dawną własność byłego mojego pana. Aladyn spojrział na zjawę i zrazu zląkł się, ale kiedy usłyszał, co džinn mówi, odwaga mu wróciła i przypomniał sobie słowa Mauretaniczki, kiedy mu pierścień wręczała. Ucieszył się tedy wielce i rzekł śmiało do džinna: - Sługo pierścienia, żądam, abys natychmiast wyniósł mnie stąd na powierzchnię ziemi. Zaledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, jak ziemia się rozwarła i Aladyn znalazł się znów przed wejściem do pieczary ze skarbami. Spędził jednak całe trzy dni w ciemnościach, więc kiedy poczuł, że jest znów na świeżym powietrzu, a światło dzienne i promienie słoneczne dotykają jego oblicza, nie mógł od razu otworzyć oczu. Uchylił je i znowu przymykał, aż przyzwyczaił się do światła. Nie posiadał się ze szczęścia, iż jest znowu na powierzchni ziemi, ale dziwił się nie widząc w ogóle zejścia do pieczary, którym był zszedł. Zdziwienie jego stawało się coraz większe i przez chwilę już nawet myślał, że znalazł się w zupełnie innym miejscu. Dopiero kiedy odnalazł ślady ogniska, gdzie mauretański czarodziej kadził i czynił gusła, Aladyn przekonał się, że to wszystko tutaj się działo. Potem rozejrzał się na prawo i na lewo i zobaczył dalej ogrody. Spojrział na drogę i poznał, że to ta sama, po której tu przyszedł. Podziękował więc Allahowi za ocalenie, zwłaszcza że sam był już w nie zwątpił. Znaną mu już drogą wrócił do miasta i wkrótce dotarł do domu matki. Kiedy wszakże wszedł do izby i ujrzał matkę, osunął się na ziemię omdlały z nagłej radości oraz wycieńczenia i głodu. Matka od czasu rozstania się z synem smuciła się wielce. Ujrawszy wchodzącego Aladyna, nie posiadała się z radości, ale radość ta zmieniła się w smutek, kiedy syn padł zemdlny na ziemię. Z najwyższą troskliwością podbiegła zaraz do niego, spryskała mu twarz różaną wodą i pośpieszyła do sąsiadów po trzeźwiące sole, aby go nimi ocucić. Kiedy Aladyn odzyskał przytomność, poprosił zaraz matkę, aby mu dała coś do zjedzenia. Matka poczęstowała go tym, co było w domu, i powiedziała: - Podjedz sobie, synku, i rozpogódź twoje oblicze, a kiedy odpocziesz, opowiesz mi, co przeżyłeś i co ci się przytrafiło. Na razie nie chcę cię o nic pytać, moje dziecko, gdyż jesteś zbyt wyczerpany. Aladyn zaś jadł, pił i całkiem się rozweselił, a wróciwszy nieco do sił powiedział: - Wielką ponosisz winę, matko, że pozwoliłaś mi iść z tym przeklętym łotrem, który miał względem mnie złe zamiary i chciał mnie zabić. Wiedz, że patrzyłem śmierci w oczy z winy tego nikczemnego człowieka, którego ty uznałaś za mojego stryja! Zaiste już bym dawno nie żył, gdyby wspaniałomyślny Allah mnie nie ocalił. My oboje, matko, ty i ja, zostaliśmy przez tego człowieka haniebnie oszukani. Otóż człowiek ten okazał się mauretańskim czarnoksiężnikiem, przeklętym szalbierzem, chytrym oszustem i nikczemnym obłudnikiem. Myślę, że nawet mieszkańcy piekła nie są od niego gorsi. Niech Allah zniszczy go wraz z jego wszystkimi księgami! Posłuchaj teraz, kochana matko, co ten przeklętnik uczynił. Przypomnij sobie, jak kłamał i jak mi złote góry obiecywał, mówiąc, że pragnie tylko mojego dobra! Przypomnij sobie dowody miłości, jakie mi okazywał, i zważ, że czynił to tylko jedynie po to, aby swój własny cel osiągnąć. A celem tym było pozbawić mnie życia. Po czym Aladyn opowiedział matce po kolei wszystko, co przeżył, wylewając przy tym łzy radości z powodu swego ocalenia. Wyciągnął lampę z zanadru i pokazał ją staruszce. Dał jej również do obejrzenia wszystkie szlachetne kamienie, które z ogrodu przyniósł. Było tego dwie duże sakwy klejnotów, jakich żaden król na tym świecie nie posiadał. Aladyn wszakże nie znał się na ich wartości i nadal myślał, że to szkiełka i kryształy. Potem opowiedziawszy wszystko do końca, zaczął urągać Mauretaniczce z sercem wezbranym gniewem, wołając: - To nikczemny, podły i okrutny czarodziej! Ma kamienne serce, pozbawione ludzkich uczuć! To obłudny oszust, nie znający litości i miłosierdzia!. Skoro matka Aladyna dowiedziała się o wszystkim, co mauretański czarodziej uczynił, zawołała: - Zaprawdę, mój synu, to musiał być giaur\*, ale Allah był łaskaw i uratował cię od matactw i oszustw tego przeklętnika, którego ja

rzeczywiście uważałam za twojego stryja. Ponieważ Aladyn przez trzy doby nie zmrużył oka, chciał teraz odpocząć, położył się więc i od razu zasnął kamiennym snem, a wkrótce potem i jego matka udała się na spoczynek. Chłopiec spał bez przerwy i obudził się dopiero drugiego dnia w południe, a skoro tylko otworzył oczy, zażądał od razu jedzenia. Ale matka rzekła do niego: - Kochany synu, nie mam już nic do jedzenia. Wczoraj spożyłeś wszystko, co było w domu. Poczekaj jednak chwilkę, mam tu trochę gotowej przędzy, zaniosę ją na bazar i sprzedam, aby kupić za to coś dla ciebie do zjedzenia. - Matko - zawołał Aladyn - zachowaj swoją przędzę i nie sprzedawaj jej, ale podaj mi lampę, którą przyniosłem! Zaniosę ją na bazar i sprzedam, a z uzyskanych pieniędzy kupię coś, abyśmy się mogli oboje posilić. Tuszę, że za lampę uzyskam większą sumę niż ty za twoją przędzę. Tedy matka wręczyła synowi lampę, lecz zauważywszy, że była zakopcona, powiedziała: - Lampa jest brudna, więc obmyję ją i wyczyszczę, aby uzyskać lepszą cenę. Po czym wzięła trochę piasku do ręki i zaczęła nim lampę pocierać. Ale skoro jej tylko dotknęła, ukazał się przed nim džinn o strasznym wyglądzie i szerokich barach, przypominający olbrzymów, którzy żyli w zamierzchłych czasach. - Powiedz, pani, czego żądasz - rzekł - a spełnię każde twoje życzenie, jestem bowiem sługą tego, kto posiada tę czarodziejską lampę. Staruszcze strach odebrał mowę na widok tak okropnej postaci. Osunęła się zemdlona na ziemię. Aladyn stał trochę z boku, a ponieważ widział już podobnego dzinna, który służy każdemu, kto posiada czarodziejski pierścień, wziął lampę z rąk matczynych i zawołał: - Sługo lampy, jestem głodny i życzę sobie, abyś mi przyniósł coś do jedzenia, ale koniecznie coś dobrego i niepowszedniego. Dżinn znikł na krótką chwilę, a potem przyniósł wielki, drogocenny stół ze szczerego srebra, na którym stało dwanaście złotych półmisek z przeróżnymi smakowitymi potrawami, dwa srebrne puchary, dwie flaszki z klarownym starym winem, a do tego chleb bielszy od śniegu. Wszystko to dżinn postawił przed Aladynem i znikł. Wtedy chłopiec spryskał różaną wodą twarz matki i podał jej wonne trzeźwiące sole do wachania. Kiedy zaś odzyskała przytomność, tak do niej rzecze: - Zjedzmy, matko, te potrawy, które Allah darować nam raczył. Kiedy matka Aladyna zobaczyła wielki srebrny stół, zdumiała się wielce i powiedziała do syna: - Któż jest tym szczodrym dobroczyńcą, który ulitował się nad naszym głodem i ubóstwem? Winniśmy mu wdzięczność za jego dobroć. A może to sam sułtan usłyszał o naszej biedzie i niedostatku i przysłał nam taki upominek? - Droga matko - odparł Aladyn - nie czas na pytania, ale zabierzmy się do jedzenia, gdyż jesteśmy oboje głodni. Usiedli więc przy srebrnym stole i zaczęli zajadać. Ponieważ matka Aladyna nigdy jeszcze w swym długim życiu nie próbowała tak smacznych potraw, spożywała je z wielkim apetytem. Aladyn był również zgłodniały i pochłaniał żarłocznie smakowite jadlo, jakie zwykli jeść tylko królowie. Nie wiedzieli przy tym oboje, co jest cenniejsze: jadlo czy stół, na którym stało. Kiedy już zjedli do syta, pozostało im jeszcze na wieczerę, a nawet na drugi dzień. Po jedzeniu umyli ręce i usiedli, aby sobie pogawędzić. - Mój synu - rzekła matka - opowiedz mi, jak to z tym dżinnem było? Aladyn powtórzył jej swoją rozmowę z dżinnem, kiedy ona leżała zemdlona na ziemi. Matka nie mogła się nadziwić i powiedziała: - Może to i tak było, ale chociaż wiem dobrze, że dżinny ludziom się ukazują, to ja, mój synu, przez całe moje życie nigdy żadnego z nich nie widziałam. Teraz zdaje mi się wszakże, że to musiał być ten sam dżinn, który ciebie uwolnił z pieczary ze skarbami. Aladyn na to: - To nie ten sam, matko. Tamten był sługą pierścienia, a ten, który ci się ukazał, jest sługą lampy. Matka zaś zawołała: - Patrzcie, patrzcie, a więc ten ohydny potwór, który mi się ukazał i który mnie tak przeraził, ma coś wspólnego z tą lampą? - A kiedy chłopiec potwierdził, mówiła dalej: - Zaklinam cię, mój synu, na mleko, które ssalesz z mojej piersi, wyrzuć tę lampę i ten pierścień, gdyż napawają mnie one wielkim strachem. Nie zniosłabym już po raz drugi widoku takiego dżinna. A również grzechem jest z nimi obcować, jako że prorok Allacha nas przed nimi ostrzegł. - Kochana matko - odparł Aladyn - inne twoje rozkazy wykonuję z chętnego serca, ale tego, co teraz mówisz, usłuchać nie mogę. Nie będziemy się już mogli obejść bez lampy i bez pierścienia. Sama się przecież przekonałaś, jakie dobrodziejstwa lampa nam wyświadczyła, kiedy byliśmy głodni! Pamiętaj, matko, że mauretański czarodziej, kiedy byłem w pieczarze ze skarbami, nie zażądał ode mnie ani złota, ani srebra, którymi wszystkie cztery sale były napelnione, ale jedynie lampy i niczego ponadto. Znał bowiem jej czarodziejską moc i gdyby nie wiedział, że siła ta jest tak potężna, nie męczyłby się tak i nie trudił. Nie przybyłby ze swej dalekiej krainy, aby jej tu



szukać, ba, nie kazałby ziemi zamknąć się nade mną, kiedy odmówiłem mu owej lampy. Godzi się, matko, abyśmy tej lampy pilnie strzegli i dobrze ją przechowywali, gdyż jest ona największym naszym bogactwem. Nie wolno nam przy tym tej naszej tajemnicy nikomu zdradzić. A z moim pierścieniem jest tak samo. Nie wolno mi go zdjąć z palca, bo gdybym go wtedy na rękę nie miał, nie ujrzałabyś mnie już nigdy żywym: zginąłbym marnie pod ziemią w pieczarze ze skarbami. Jakżeż więc miałbym się go teraz pozbyć? Nie wiadomo, jakie przeciwności, nieszczęścia i przypadki los nam jeszcze zgotuje i z jakich ten pierścień będzie nas musiał ratować. Ale dla twego spokoju, matko, odbiorę ci tę lampę i nigdy ci już jej nie pokażę. Aladyn i jego matka przez dwa dni żywili się potrawami, którymi džinn ich obdarzył. Kiedy zaś już wszystko zjedli, Aladyn postanowił sprzedać jeden z półmisków, które džinn był przyniósł wraz ze stołem. Półmiski były ze szczerego złota, ale Aladyn nie wiedział, z czego one są. Poszedł więc z półmiskiem na bazar, a spotkawszy tam obcego człowieka, gorszego od samego diabła, dał mu półmisek do obejrzenia. Skoro tylko ów człowiek półmisek zoczył, odprowadził zaraz chłopca na stronę, aby nikt inny już półmiska nie oglądał, od razu bowiem przekonał się, że jest ze szczerego złota, nie wiedział tylko, czy Aladyn zna jego prawdziwą wartość, czy też jest w takich sprawach niedoświadczony. Spytał go tedy: - Ile za ten półmisek chcesz, efendi? Aladyn zaś na to: - Sam wiesz, ile on jest wart. Obcy człowiek zawahał się, ile ma Aladynowi zaofiarować, gdyż zmiarkował, że chłopiec odpowiedział mu jak wytrawny kupiec, a on chciał półmisek za bezcen nabyć. Ale równocześnie obawiał się, że Aladyn zna wartość półmiska, i dlatego obcy sam nie wiedział, jaką cenę podać. Tedy wyjął z kieszeni złotego denara i dał go chłopcu. Aladyn przyjął zapłatę i czym prędzej się oddalił. Dopiero wówczas obcy człowiek zmiarkował, że chłopiec wartości półmiska jednak nie zna, i jął żałować, że mu nie dał jeszcze mniej. Aladyn zaś nie zatrzymał się ani na chwilę, lecz pobiegł prosto do piekarza, kupił chleba i zapłacił rozmieniwszy monetę na drobne. Potem poszedł do matki, wręczył jej chleb i resztę pieniędzy mówiąc: - Matko, idź i zakup wszystko, czego nam potrzeba. Matka uczyniła tak, po czym zjedli do syta i wstąpiła w nich znowu otucha. I tak Aladyn sprzedawał półmisek po półmisku, aż wszystkie wysprzedał i pozostał mu już tylko srebrny stół, na którym półmiski stały. Ponieważ wszakże stół ten był duży i ciężki, sprowadził owego człowieka do domu, pokazał mu stół, i kiedy ten się przekonał, że stół jest w samej rzeczy wielki, zapłacił dziesięć denarów. Przez pewien czas Aladyn z matką utrzymywali się z tej sumy, aż i ona się skończyła. Wówczas dopiero Aladyn wyjął lampę i potarł ją. Natychmiast zjawił się przed nim džinn, ten sam, który mu się już raz był ukazał, i powiedział: - Powiedz, panie, czego żądasz, a ja spełnię każde twoje życzenie, jestem bowiem sługą tego, kto posiada czarodziejską lampę. Aladyn na to: - Żądam, abyś mi przyniósł stół zastawiony potrawami, jaki już raz mi przyniosłeś, albowiem jestem głodny. Dżinn spełnił natychmiast jego żądanie i przyniósł stół, na którym stały cztery drogocenne półmiski ze smakowitymi potrawami, a do tego flasze z klarownym winem i biały chleb. Matka zaś, która wyszła, obawiając się zobaczyć po raz drugi straszną postać džinna, po krótkiej chwili wróciła. Ujrzawszy stół z drogocennymi półmiskami, ucieszyła się, Aladyn zaś rzekł: - No i cóż, matko, kazałaś mi lampę wyrzucić, więc popatrz teraz, jaką moc czarodziejską ona posiada! - Kochany synu - odparła matka - niech Allah wynagrodzi džinnowi, ale mimo wszystko wolałabym po raz drugi nie oglądać jego strasznej postaci. Kiedy i te potrawy zostały zjedzone, Aladyn wziął znów jeden z półmisków, schował go pod płaszcz i poszedł szukać owego nieznanego, który kupił tamte. Szczęśliwy los wszakże zrządził, że musiał przejść koło sklepu starego złotnika, który był uczciwym człowiekiem. Kiedy ten Aladyna ujrzał, zagadnął go tymi słowy: - Mój synu, co zamierzasz uczynić? Widziałem cię, jak wiele razy tędy przechodziłeś, a potem coś załatwiałeś z jakimś obcym człowiekiem. Dostrzegłem również, że wręczałeś mu jakieś przedmioty, a nawet wydaje mi się, że i teraz chowasz coś pod płaszczem i szukasz tamtego, aby mu to odsprzedać. Nie wiesz zapewne, że ten nikczemnik, z którym handlowałeś i w którego sidła wpadłeś, jest podłym szalbierzem. Jeśli masz przy sobie coś, co chciałbyś spieniężyć, to mi pokaż. Nie potrzebujesz się niczego obawiać, zapłacę ci sprawiedliwą cenę, jak Allah miłosierny na niebie! Wtedy Aladyn pokazał staremu półmisek, a ten wziął go i zważył na wadze, po czym spytał: - Czy te przedmioty, które uprzednio sprzedawałeś owemu człowiekowi, były takie jak ten półmisek? - Tak, zupełnie takie same - odparł Aladyn. - A ile ci za nie płacił? - pytał złotnik dalej. Płacił mi zawsze po

denarze - rzekł Aladyn. Stary złotnik usłyszawszy to, zawołał: - Przeklęty niech będzie niktzemnik, który tak oszukuje wiernego sługę Allacha! - Po czym spojrział na Aladyna i powiedział: - Synu mój, ten podstępny człowiek oszukiwał cię, a potem na pewno jeszcze się z ciebie natrząsał, gdyż twoje półmiski są ze szczerzego złota. Zważyłem ten półmisek i oceniam jego wartość na siedemdziesiąt denarów, a jeśli przystajesz na taką cenę, to przyjm ją ode mnie! Z tymi słowy stary złotnik wypłacił mu ową sumę, Aladyn zaś przyjął pieniądze, dziękując starcowi za jego dobroć oraz za to, iż otworzył mu oczy na szalbierstwo tamtego człowieka. I teraz za każdym razem, kiedy pieniądze uzyskane ze sprzedaży półmiska się kończyły, przynosił mu następny. W ten sposób Aladyn i jego matka znacznie się wzbogacili, ale żyli nadal jak ludzie średniego stanu, nie wydając za dużo i nie marnotrawiąc pieniędzy. Aladyn zaś oduczył się nieróbstwa i zadawania się ze złymi chłopakami, a zaczął szukać towarzystwa uczciwych ludzi. Codziennie szedł na bazar, przysiadł się bądź do bogatych, bądź do mniej zamożnych kupców i wypytywał ich o stosunki handlowe, ceny i towary. Przesiadывał również często wśród złotników, aby nauczyć się wszystkiego o klejnotach, przypatrując się kupnu i sprzedaży drogich kamieni. Przy tej sposobności przekonał się też rychło, iż obie sakwy, które napełnił był owocami zerwanymi z podziemnych drzew, nie zawierają szkiełek i kryształów, ale bezcenne klejnoty. Wiedział już teraz, że posiada wielkie bogactwo, o jakim się nawet królom nie śni. Przyjrzał się dokładnie wszystkim drogim kamieniom, które były u jubilerów na bazarze, i przekonał się, że największy z nich nie dorównuje najmniejszemu z tych, które on posiada. Pewnego dnia usłyszał na bazarze, jak sułtański czausz\* wykrzykuje: - Na rozkaz naszego miłościwie nam panującego sułtana, największego monarchy nie tylko naszego stulecia, ale wszystkich czasów, jakie były i będą, każdy winien zamknąć swój sklep czy skład i udać się pośpiesznie do domu. Najjaśniejsza księżniczka Badr-el-Budur, córka padyszacha\*, przejdzie ulicami miasta do łaźni. Każdy, kto ten rozkaz przekroczy, poniesie śmierć i będzie winien własnej krwi! Kiedy Aladyn usłyszał to obwieszczenie, zapragnął od razu ujrzeć ową księżniczkę i tak powiedział do siebie: "Wszyscy ludzie wielbią jej urodę i powab, przeto najgłębszym moim pragnieniem jest ją zobaczyć". I zaraz zaczął rozmyślać, jak by tu zobaczyć na własne oczy córkę sułtana. W końcu postanowił ukryć się za drzwiami łaźni, aby ujrzeć jej oblicze, kiedy będzie tamtędy przechodziła. Jak postanowił, tak i zrobił. Udał się do łaźni, zanim księżniczka zdążyła tam przybyć, i stanął za drzwiami w miejscu, gdzie nikt nie mógł go zobaczyć. Księżniczka przeszła ulicami miasta, rozglądając się na wszystkie strony i w końcu przybyła przed łaźnię. Wchodząc zaś do środka podniosła czarczaf\* ze swego oblicza, a z twarzy jej promieniowało takie piękno, że dorównywała blaskiem słońcu lub najdrogocenniejszej z pereł. Była jak ta, którą opiewał poeta w słowach: Kto dał jej oczom te czarowne cienie?@ Na jej policzkach barwa róży gości,@ Jak noc się czernią jej bujne kędziory,@ Lecz biel jej czoła rozjaśnia ciemności. Kiedy księżniczka Badr-el-Budur uniosła czarczaf i Aladyn ujrzał jej oblicze, zamąciło mu się w głowie, został oczarowany, a miłość wypełniła mu serce po brzegi. Do domu wrócił jak urzeczony. Matka zaczęła coś do niego mówić, ale on o nic nie pytał i na nic nie odpowiadał. Matka przyniosła mu obiad, ale on trwał ciągle w stanie zamroczenia. Zapytała więc: - Co ci się stało, synku? Nie jesteś ten sam co zawsze. Mówię do ciebie, a ty nie dajesz odpowiedzi. - Pozostaw mnie w spokoju - ozwał się Aladyn. Matka jednak nie dawała za wygraną i zachęcała do posiłku. Zjadł więc coś niecoś, ale zaraz potem położył się na posłaniu i przeleżał pogrążony w zadumie aż do rana. Przez cały następny dzień stan jego również się nie odmienił. Matka frasowała się wielce o syna, a ponieważ nie wiedziała, co mu się przytrafiło, przypuszczała, że trapi go jakaś choroba. Podeszła więc do niego i zapytała: - Synku mój, jeśli odczuwasz jakąś boleść czy coś ci dolega, powiedz mi, a pójdę do lekarza i poproszę go do ciebie. Właśnie bawi w naszym mieście pewien sławny lekarz z dalekiej krainy arabskiej, którego nasz sułtan tu sprowadził. Opowiadają o jego wielkiej umiejętności i wiedzy, jeśli więc czujesz się chory, pójdę po niego i uproszę go, aby do nas przyszedł. Kiedy Aladyn usłyszał, że matka chce do niego sprowadzić lekarza, rzecze: - Kochana matko, jestem zdrow, a nie chory, ale dotychczas myślałem, że wszystkie kobiety są podobne do ciebie. Wczoraj jednak ujrzałem księżniczkę Badr-el-Budur, jak udawała się do łaźni. Po czym opowiedział wszystko szczegółowo i tak zakończył: - Zapewne słyszałaś, jak sułtański czausz wykrzykiwał, że nikomu nie wolno przebywać na ulicy, aby księżniczka Badr-el-Budur mogła

przez nikogo nie widziana udać się do kąpielni. Ja zaś ujrzałem jej oblicze, kiedy uniosła czarczaf, wchodząc do łaźni. A kiedy ujrzałem jej lica i wdzięczną postać, ogarnęła mnie, matko, miłość równa najgwałtowniejszej boleści i rozgorzała we mnie tęsknota za nią, tak że nie mogę już znaleźć sobie miejsca, dopóki jej względów nie pozyskam. Przeto zamierzam zgodnie z prawem i obyczajem poprosić jej ojca sułtana, aby dał mi ją za małżonkę. Matka Aladyna usłyszawszy jego słowa, zwątpiła w zdrowy rozum syna i tak do niego powiada: - Synku mój, niech Allah ma cię w swej opiece! Wydaje mi się bowiem, iż postradałeś zmysły, moje dziecko; mówisz, jak gdybyś był opętany przez szatana! - Nie, moja matko - zawołał Aladyn - nie postradałem zmysłów i nie jestem opętancem! Twoje słowa nie mogą zmienić mego postanowienia. Nie zaznam spokoju, dopóki nie zdobędę względów pani mego serca, pięknej księżniczki Badr-el-Budur! - Ach, mój synku - odparła matka - klnę się na moje życie, że nie powinieneś wypowiadać takich słów. Daj spokój swemu szaleństwu! Bo i któż mógłby się odważyć prosić sułtana o rękę jego córki dla ciebie? Nie wiem nawet, w jaki sposób twoja prośba mogłaby dotrzeć przed jego oblicze. Kto ma być twoim swatem? Tedy Aladyn tak odpowiedział matce: - Przez kogo, kochana matko, miałbym prosić sułtana o rękę jego córki, dopóki ty żyjesz? Czyż mam wierniejszego przyjaciela nad ciebie? Pragnę, ażebyś ty w moim imieniu tę prośbę przed oblicze sułtana zaniósła. - Synku mój - ozwała się matka - niech Allah mnie od czegoś podobnego uchroni. Nie postradałam bowiem jeszcze zdrowego rozumu tak jak ty! Wygnaj te myśli z głowy i pamiętaj, czym synem jesteś! Dziecko moje, jesteś synem najuboższego i najskromniejszego krawca, jaki był w tym mieście. Również i ja, twoja matka, pochodzę z całkiem biednej rodziny. Jakżeż więc możesz mieć śmiałość ubiegać się o rękę córki padyszacha, który nie raczy nawet dać jej księżniczki królewskiej czy sułtańskiej krwi, jeśli ten nie dorównuje mu potęgą, stanowiskiem i poważaniem u ludzi? Jeśli ktoś stoi niżej od sułtana, choćby tylko o jeden szczebel, to sułtan nie da mu ręki swojej córki. Aladyn cierpliwie czekał, aż matka skończy swoją perorę, a potem rzekł: - Kochana matko, wszystko to, o czym mówisz, rozważyłem. Wiem o tym dobrze, że jestem dzieckiem ubogich rodziców. Ale nic nie odwiedzie mnie od mego postanowienia. Przeto zaklinam cię, jakem twój syn, którego gorąco miłujesz, abyś wyświadczyła mi tę przysługę, bo inaczej utracisz syna; rychła śmierć po mnie przyjdzie, jeśli nie pozyskam względów przez mnie umiłowanej księżniczki. Pamiętaj, matko, że jestem twoim jedynym dzieckiem. Matka jęła na te słowa lamentować i płakać, mówiąc: - Synku mój, jestem twoją matką. Nie mam drugiego dziecka i ty jesteś sercem mego serca i duszą mej duszy. Jeżeli więc chcesz się ożenić, to wyszukam dla ciebie żonę spośród ludzi naszego stanu, ale i oni zapytają mnie zaraz, czy uprawiasz jakieś rzemiosło lub czy posiadasz kawałek gruntu, sklep czy ogród, z którego mógłbyś siebie i żonę utrzymać. I cóż mam im na to odpowiedzieć? Jeśli więc nawet ludziom równie ubogim jak my nie wiem, jakiej udzielić odpowiedzi, jakżeż mogłabym się ośmielić zabiegać dla ciebie o rękę córki chińskiego cesarza, który nie miał i nie ma sobie równego władcy? Zważ to wszystko w swoim umyśle! I powiedz mi, jak mam go o rękę córki dla krawieckiego syna prosić! Wiem na pewno, że jeśli mu tylko o tym wspomnę, obróci się to na nasze nieszczęście, narażając nas na niebezpieczeństwo sułtańskiego gniewu. Ba, może nawet przynieść to zarówno mnie, jak i tobie wyrok śmierci. A przypuśćmy nawet, że pójdę i zażadam wstępu do sułtana, jakież upominek mam przynieść dla jego sułtańskiej mości?! I tak matka nie przestawała przemawiać do rozsądku syna. - Wiem, moje dziecko, że nasz sułtan jest łagodny, że nikogo nie odpędza, kto do niego przyjdzie błagać o sprawiedliwość lub łaskę. Wiem, że jest dobrotliwy i łaskawy zarówno dla swoich, jak i dla obcych. Ale sułtan obdarza swą łaską tylko tego, kto na to zasługuje, kto w obliczu sułtana dokona bohaterskiego czynu na wojnie lub kto obroni przed napaścią wroga swój kraj. A ty, mój synu, cóż za bohaterski czyn, zasługujący na wdzięczność sułtana, spełniłeś, abyś miał na jego łaskę zasłużyć? Przy tym, kto do władcy się zbliża i prosi go o wyświadczenie łaski, musi przynieść ze sobą upominek godny jego sułtańskiej mości, jak ci już o tym wspominałam. - Kochana matko - odpowiedział Aladyn - słowa twoje trafiają w sedno. Przypomniałaś mi o czymś, o czym zapomniałem, i to właśnie dodaje mi otuchy, aby za twoim pośrednictwem o rękę sułtańskiej córki prosić. Pytasz mnie, matko, czy posiadam coś, co mógłbym złożyć, zgodnie z obyczajem, jako upominek do stóp sułtana. Otóż jestem na to dosyć bogaty i wydaje mi się, że żaden król na świecie nie ma nic, co by dorównywało temu, co ja

posiadam. To, co uprzednio brałem za szkło i kryształ, okazało się najprawdziwszymi drogimi kamieniami. Dzięki stosunkom z jubilerami dowiedziałem się, że kamienie, które przyniosłem w sakwach z podziemnej pieczary, są po prostu bezcenne. Przeto bądź taka dobra i przynieś mi naszą porcelanową misę, abym mógł ją tymi drogimi kamieniami napełnić, a następnie zaniesiesz ją jako upominek dla sułtana. Jestem pewien, że ułatwi to znacznie twoje zadanie, kiedy staniesz przed sułtanem i będziesz go błagała o spełnienie mej prośby. Nie będziesz potrzebowała wstydić się takiego upominku! Daj mi wiarę, matko, chodziłem cztery razy na bazar jubilerów i widziałem na własne oczy, jak sprzedają za drogie pieniądze kamienie, które urodą są cztery razy gorsze od naszych. Przeto wstań i tak jak cię prosiłem, przynieś mi porcelanową misę, abyśmy tymi klejnotami ją napełnili i zobaczyli, jak w niej wyglądają. Matka Aladyna poszła i przyniosła porcelanową misę, mówiąc do siebie: "Chciałabym się przekonać, czy to, co mój syn o tych kamieniach mówi, jest istotnie prawdą czy też nie". Aladyn zaś wyjął z obu sakw drogie kamienie i włożył do misy, aż była nimi wypełniona po brzegi. Wtedy matka spojrzała na nie, ale nie mogła długo patrzeć i musiała przymrużyć oczy, gdyż drogie kamienie lśniły, błyszcząły i skrzyły się oślepiającym blaskiem. - Widzisz, matko, jaki to będzie wspaniały upominek dla sułtana? Jestem pewien, że dzięki temu padyszach cię uhonoruje i przyjmie z najwyższą czcią. Teraz nie masz już żadnej wymówki, weź tę misę i idź z nią do sułtańskiego pałacu. - Dobrze, mój synu - odparła matka - upominek ten jest zaiste piękny i nikt na świecie nie posiada czegoś podobnego, jak sam to przed chwilą powiedziałeś. Ale i tak nie starczy mi odwagi, aby zbliżyć się do sułtana i prosić dla ciebie o rękę jego córki. Nie, mój synu, język odmówiłby mi posłuszeństwa. A przypuścmy nawet, że Allah dałby mi dosyć sił i śmiałości, abym mogła do sułtana rzec: "Chcę przez małżeństwo twojej córki księżniczki Badr-el-Budur z moim synem Aladynem stać się twoją powinowatą" - uznano by mnie za szaloną i wygnano ze wstydem i hańbą, nie mówiąc już o tym, że mogłoby to być niebezpieczne nie tylko dla mego życia, ale i dla twojego. Ale mimo wszystko, synu mój, iżby tobie dogodzić, zdobędę się na odwagę i pójdę. A jeśli sułtan ze względu na upominek przyjął mnie raczej z honorami, przedstawię mu twoją prośbę. I matka Aladyna tak dalej do syna mówiła: - A więc przedstawię sułtanowi twoją prośbę i oznajmię mu, że prosisz o rękę jego córki. Ale kiedy mnie zapyta, co posiadasz i jakie masz dochody, o co ludzie zazwyczaj w takich wypadkach pytają, cóż mam mu na to odpowiedzieć? Aladyn zaś odrzekł: - Nie myślę, aby sułtan o to cię zapytał, kiedy zobaczy moje drogie kamienie i zachwyci się ich wspaniałością. Przeto nie kłopotcz się o to, co nigdy nie nastąpi, ale wybierz się w drogę i zanieś mu te klejnoty, prosząc go w moim imieniu o rękę jego córki. Szkoda tu dłużej siedzieć i frasować się nadaremnie! Od dawna przecie wiesz, że posiadam czarodziejską lampę, która dostarczy wszystkiego, czego tylko od niej zażadam. Tuszę, że z jej pomocą potrafię odpowiedzieć na pytanie, jakie są moje dochody. I tak rozmawiali ze sobą Aladyn i jego matka przez całą noc. Skoro nadszedł ranek, matka nabrała otuchy, pomna tego, co jej syn powiedział o mocy i zaletach czarodziejskiej lampy. Aladyn widząc, że tak ją to ośmieliło, przestraszył się nawet, że matka będzie się teraz posiadaniem lampy przed obcymi chwalić, i dlatego tak do niej powiedział: - Matko, wystrzegaj się, abyś komuś nie wyjawiała tajemnicy o czarodziejskiej mocy naszej lampy, gdyż jest to największy skarb, jaki posiadamy. Nie waż się komukolwiek czegoś o tej lampie wyjawić, abyśmy nie utracili możliwości prowadzenia nadal takiego szczęśliwego życia, jak to, które dzięki niej obecnie prowadzimy. Matka uspokoiła Aladyna, że tego nie uczyni, po czym wzięła czarę z drogimi kamieniami, owinęła ją delikatną tkaniną i wyruszyła w drogę, aby zawczasu dostać się do sali dywanu, zanim wypełni się ona ludźmi. Szła, szła, aż przyszła ze swoją misą z klejnotami pod pałac. Kiedy przybyła, dywan się jeszcze nie zaczął, tak że mogła zobaczyć, jak wielki wezyr wraz z kilku baszami wkracza do sali, gdzie miała odbyć się Wielka Rada. Wkrótce sala zapełniła się po brzegi wezyrami, szejkami, emirami\* i bejami\*. Po chwili ukazał się sam sułtan, a wszyscy witali go z najwyższym szacunkiem. Padyszach zasiadł na tronie, a wszyscy obecni stali przed nim ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, oczekując, aż da znak, aby usiąść. Następnie przedstawiono sułtanowi różne sprawy do rozstrzygnięcia, a on raczył wydać orzeczenie o każdej, słuszne i sprawiedliwe, aż dywan dobiegł końca. Wówczas sułtan wstał i wrócił na swoje pokoje, a wszyscy rozeszli się do swoich zajęć. Matce Aladyna, ponieważ przyszła wcześniej od innych, udało się dostać na salę

dywanu, ale ponieważ nikt do niej się nie zwrócił i nie zaprowadził jej przed oblicze sułtana, pozostała tam, gdzie stanęła, aż rada się skończyła. Kiedy zobaczyła, że sułtan wstał z tronu i udał się do swego haremu, wybrała się w powrotną drogę i wróciła do domu. Skoro Aladyn ujrzał matkę wracającą z misą pełną klejnotów, zmiarkował, że coś niedobrego musiało się przydarzyć. Nie chciał jednak o nic pytać, dopóki matka sama nie opowie, jak to było. - Kochany synku - ozwała się - niech Allah będzie pochwalony za to, że dał mi dziś tyle odwagi, iż potrafiłam dostać się do sali dywanu. I chociaż nie miałam dotychczas możliwości przemówić do padyszacha, to jednak, jeśli Allah pozwoli, uczynię to jutro. Bądź dobrej myśli, synku, jutro na pewno będę z jego sułtańską mością o tobie mówiła i zrobię to dla ciebie, choćby nie wiem co miało się potem stać. Aladyn usłyszawszy słowa matki, nie posiadał się ze szczęścia chociaż bezmiar miłości i tęsknoty, jakie odczuwał do księżniczki Badr-el-Budur, z godziny na godzinę wzmagał się i nie pozwalał mu dłużej czekać. Nazajutrz skoro świt matka wybrała się znowu w drogę i poszła ze swoją misą z klejnotami do sali przyjęć padyszacha. Zastała ją jednak zamkniętą, a kiedy zapytała ludzi o powód, usłyszała odpowiedź: - Sułtan tylko trzy razy na tydzień odbywa dywan. Musiała więc, nic nie wskórawszy, do domu powrócić i tak chodziła tam co dzień. Tego dnia kiedy odbywał się dywan, wślizgiwała się do sali przyjęć i stała tam tak długo, aż rada dobiegła końca. Tak minął cały tydzień. Nareszcie sułtan zauważył staruszkę stojącą w kącie podczas każdego dywanu. I pewnego dnia, kiedy matka Aladyna znów przyszła i jak zwykle stała w sali przyjęć, nie mając odwagi wystąpić naprzód i wymówić pierwszego słowa, sułtan zwrócił się do wielkiego wezyra: - Wezyrze, od sześciu czy siedmiu dni widzę podczas każdego dywanu, jak ta staruszka przychodzi, trzymając coś pod swoją parandzą\*. Czy wiesz coś o niej, wezyrze, lub o tym, co ją tu sprowadza? - Padyszachu nasz i sułtanie - odparł wezyr - białogłowy nie grzeszą zwykle zbytym rozsądkiem, może więc ta staruszka przychodzi poskarżyć się przed tobą na swojego męża lub kogoś ze swoich krewnych. Sułtana atoli odpowiedź wielkiego wezyra nie zadowoliła i rozkazał mu aby kiedy owa kobieta znów przybędzie, przyprowadził ją przed jego tron. Wielki wezyr przyłożył rękę do czoła i rzekł: - Słucham i jestem posłuszny rozkazom mego padyszacha i sułtana! Kiedy więc matka Aladyna, która przyzwyczaiła się przychodzić codziennie do sali przyjęć i tam przed najmiłościvszym obliczem sułtana wystawać, znów przyszła i tak stanęła, aby władca mógł ją dojrzeć, sułtan zwrócił się do wielkiego wezyra: - Oto jest ta niewiasta, o której ci mówiłem. Przyprowadź ją niezwłocznie przed moje oblicze, abym mógł dowiedzieć się od niej, o co mnie prosić zamierza, i jej sprawę rozpatrzyć. Wielki wezyr podszedł więc do matki Aladyna i podprowadził ją pod tron padyszacha. Skoro staruszka przed swym władcą stanęła, skłoniła mu się nisko, życząc coraz większej potęgi, długiego życia i wiecznego szczęścia, i ucałowała ziemię u jego stóp. - Niewiasto - ozwał się do niej sułtan - od iluż to już dni widzę ciebie w sali, gdzie odbywa się wielki dywan, a ty nigdy jeszcze nie przemówiłaś do mnie ani słowa! Powiedz mi, czy masz do mnie jakąś prośbę, którą mógłbym spełnić. Tedy matka Aladyna po raz drugi ucałowała ziemię, błagając Allacha o błogosławieństwo dla sułtana, po czym zaczęła w te słowa: - Tak jest, klnę się na moją głowę, o największy władco naszych czasów, że mam do ciebie błagalną prośbę, ale przede wszystkim obiecaj, że nic mi grozić nie będzie, kiedy odważę się prośbę moją powierzyć uszom mego padyszacha i sułtana, być może bowiem, że uznasz moją prośbę za nieco dziwną. Sułtan jednak nalegał, chcąc koniecznie dowiedzieć się, co to za prośba, a ponieważ był z natury człowiekiem dobrotliwym, zapewnił staruszkę, że nic jej się nie stanie. Rozkazał ponadto, aby wszyscy obecni opuścili salę, tak że pozostali jedynie sułtan, wielki wezyr i matka Aladyna. Wtedy sułtan tak rzecze do onieśmiałej staruszki: - Wyłóż mi twoją sprawę i niech Allah ma cię w swojej opiece! - O największy władco naszych czasów - powiedziała matka Aladyna - proszę cię z góry o przebaczenie za to, co ci powiem. - Niech Allah ci przebaczy - rzekł sułtan. A ona mówiła dalej: - O padyszachu nasz i sułtanie, mam syna imieniem Aladyn. Pewnego dnia usłyszał on, jak twój czausz obwieszczał, że nikomu nie wolno otworzyć sklepu ani przebywać na ulicy, ponieważ księżniczka Badr-el-Budur ma udać się do łaźni. Skoro mój syn to usłyszał, postanowił wbrew twoim rozkazom ją zobaczyć i ukrył się w miejscu, skąd można ją było dobrze widzieć. Było to tuż za drzwiami wiodącymi do łaźni. Kiedy księżniczka tam przybyła i uchyliła czarczaf, syn mój spojrział na nią i od tej chwili, o największy władco naszych czasów, życie straciło dlań wszelki

urok. Przeto zażądał ode mnie, żebym waszą sułtańską mość poprosiła dla niego o rękę córki. Błagam więc waszą sułtańską mość o łagodne potraktowanie moich słów i o przebaczenie mi tej bezczelnej prośby, którą zanoszę przed jego tron w imieniu własnym i mego syna. Kiedy sułtan jej słowa usłyszał, uśmiechnął się, ponieważ był to pan wielce dobrotliwy, i zapytał: - A cóż to masz pod parandzą? Kiedy matka Aladyna zmiarkowała, że sułtan się nie rozsierdził, lecz tylko się uśmiecha, odwinęła tkaninę i podała mu misę z klejnotami. A kiedy tkanina została zdjęta, wydało się, że cała sala rozbłysła rześcicie od nagle zapalonych żyrandoli i kandelabrow. Sułtan spojrzął na drogie kamienie i oślepiiony ich blaskiem nie mógł nadziwić się ich wspaniałości, rozmiarom i pięknu. - Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś podobnego jak te klejnoty! - zawołał. - Zdaje mi się, że w moich skarbcach nie mam ani jednego, który by im dorównał. - A zwracając się do swego wielkiego wezyra mówił dalej: - I cóż ty na to, wezyrze, czy widziałeś w swoim życiu takie klejnoty? Wielki wezyr odrzekł: - Nic podobnego nie widziałem, o padyszachu i sułtanie. A sułtan rzecze: - Zaprawdę, kto przynosi mi w darze takie klejnoty, godzien jest tego, aby stać się małżonkiem mojej córki Badr-el-Budur, zwłaszcza że dotychczas nie było jeszcze nikogo, kto byłby godniejszy dostąpić tego zaszczytu. Skoro wielki wezyr te słowa sułtana usłyszał, odjęło mu mowę ze zmartwienia, a smutek jego był o tyle zrozumiały, iż sułtan był kiedyś obiecał wydać księżniczkę Badr-el-Budur za jego syna. Po chwili opanował się jednak i powiedział: - O największy władco naszych czasów, przebacz! Wasza sułtańska mość był łaskaw zaszczyścić mnie kiedyś obietnicą, że księżniczka Badr-el-Budur ma przypaść w udziale memu synowi. Niechże więc mój sułtan będzie na tyle łaskaw, by wyznaczyć teraz zwłokę trzech miesięcy dla załatwienia tej sprawy. Nie wątpię, że podarunek mego syna będzie jeszcze o wiele wspanialszy od podarunku tego obcego młodzieńca. Chociaż sułtan wiedział dobrze, że nie tylko dla wezyra, ale nawet dla najpotężniejszego monarchy nie będzie możliwe obdarować go wspanialszym upominkiem, raczył jednak w swej dobroci zgodzić się na trzymiesięczną zwłokę, o którą wezyr prosił. Po czym sułtan zwrócił się uprzejmie do starej matki Aladyna, mówiąc: - Niewiasto, idź do twego syna i oznajmij mu, że daję moje sułtańskie słowo, iż córka ma będzie dla niego przeznaczona. Uprzednio jednak muszę sprawić jej wyprawę i poczynić odpowiednie przygotowania do godów. Syn twój musi więc cierpliwie poczekać jeszcze trzy miesiące. Matka Aladyna, otrzymawszy taką odpowiedź od padyszacha, podziękowała mu, zanosząc modły do Allacha o jego szczęście, po czym jakby niesiona na skrzydłach udała się pośpiesznie do swego domu. Skoro syn zauważył, że oblicze matki promienieje i że tym razem matka nie przyniosła z powrotem misy z klejnotami, uradował się i skierował do matki następujące pytania: - Powiedz mi, kochana matko, czy Allah pozwolił ci przynieść dobrą nowinę? Czy klejnoty i wielka ich wartość zrobiły swoje? Czy sułtan przyjął cię dobrze, czy potraktował cię łaskawie i prośbę twoją spełnił? Matka Aladyna wszystko synowi opowiedziała i zakończyła swoje opowiadanie słowami: - Sułtan przyrzekł mi, że córka jego będzie tobie przeznaczona, ale potem wielki wezyr coś doń po cichu szeptał, a kiedy już się potajemnie zmówili, sułtan oznajmił, że odkłada wszystko na trzy miesiące. Obawiam się, że wezyr coś knuje i chce wpłynąć na zmianę sułtańskiego postanowienia. - Jeśli nawet sułtan wyznaczył trzy miesiące zwłoki, to i tak szczęście moje jest niezmiernie - rzekł Aladyn, dziękując matce z całego serca za trud, jaki sobie dla niego zadała. Następnie cierpliwie czekał, aż dwa miesiące z tych trzech przeminęły. Pewnego razu matka Aladyna poszła przed wieczorem na bazar, aby zakupić trochę oliwy. Ale wszystkie stragany były pozamykane, a całe miasto odświętnie przystrojone. Mieszkańcy stawiali świeczki i kwiaty w oknach domów, główną ulicą zaś sunął wspaniały orszak, złożony z gwardii sułtana i wielu agów\* na pięknych rumakach, wśród płonących pochodni i kaganków. Zdumiona tym niepowszednim widokiem staruszka weszła do sklepu z oliwą, który był wyjątkowo otwarty, i zakupiła jej trochę, prosząc kupca o wyjaśnienie przyczyny tych uroczystości. - Niewiasto - odparł handlarz oliwy - wydaje się, że jesteś obca w tym mieście, jeśli nie wiesz, że syn wielkiego wezyra wyprawia dziś swoje gody z córką sułtana, księżniczką Badr-el-Budur. Pan młody jest teraz w łaźni, a ci agowie i wojownicy, to jego świta, przybyli tu, aby w uroczystym pochodzie odprowadzić go do sułtańskiego pałacu, do córki jego sułtańskiej mości. Usłyszawszy te słowa, matka Aladyna wielce się zafrasowała i nie wiedziała, w jaki sposób tę smutną nowinę powtórzyć synowi, który z godziny na godzinę wyczekiwał końca wyznaczonej mu trzymiesięcznej

zwłoki. Wróciła wszakże od razu do domu, a kiedy weszła do izby, gdzie jej syn się znajdował, tak do niego rzecze: - Synku mój, muszę ci coś ważnego donieść, ale możesz być pewny, że zmartwienie, które ci ta nowina zgotuje, będzie i dla mnie nader ciężkie do zniesienia. - Powiedz, co to za nowina - poprosił Aladyn. A matka tak mówiła dalej: - Sultan nie dotrzymał swego sułtańskiego słowa, które dał mi, przyrzekając tobie rękę księżniczki Badr-el-Budur. Dziś wieczór bowiem syn wielkiego wezyra ma ją poślubić. Skoro Aladyn to usłyszał, z początku zasłabł z rozpaczy, ale zaraz potem przypomniała mu się czarodziejska lampa i pocieszony tym tak do matki powiada: - Klnę się na twoje życie, kochana matko, że syn wezyra niedługo cieszyć się będzie swoim szczęściem. Na razie wszakże musimy zachować milczenie. Po wieczery Aladyn poszedł do swej komory, zamknął za sobą drzwi, wyjął lampę i potarł ją. Natychmiast zjawił się džinn i rzekł: - Powiedz, panie, czego żądasz, a ja spełnię każde twoje życzenie, jestem bowiem sługą tego, kto posiada tę czarodziejską lampę. Aladyn zaś odparł: - Słuchaj, džinnie, prosiłem sułtana, aby dał mi swoją córkę za żonę i sułtan obiecał, że spełni moją prośbę, kiedy przeminą trzy miesiące. Tymczasem nie dotrzymał swego sułtańskiego słowa, gdyż dziś wieczór ma odbyć się jej wesele z synem wielkiego wezyra. Otóż rozkazuję ci, wierny sługo czarodziejskiej lampy, kiedy ujrzysz, że pan młody i panna młoda będą razem, porwij ich i przynieś ich tutaj, Taka jest moja wola. - Słucham cię i zastosuję się do twego rozkazu! - zawołał džinn i znikł, a Aladyn powrócił do matki, aby spędzić z nią spokojnie resztę wieczoru. Kiedy nadeszła pora, w której spodziewał się przybycia džinna, wstał i poszedł do swojej komory. Zaledwie zdążył tam wejść, jak już posłuszny džinn przyniósł przerażonych nowożeńców. Aladyn ujrawszy ich, nie posiadał się z radości i tak do džinna powiada: Weź stąd tego nędznika i połóż go na śmietniku! Dżinn momentalnie porwał wezyrowego syna i rzucił go między śmiecie, ale nim to uczynił, tchnął na niego, aby go obezwładnić, tak że nieszczęśnik musiał pozostać tam, gdzie się znalazł, w pożałowania godnym stanie. Po czym džinn wrócił do Aladyna i pyta: - Czy masz jeszcze jakieś inne pragnienie? Jeśli tak, to mi je wyjaw. Aladyn odpowiedział: - Wróc tu jutro rano, abyś mógł nowożeńców odnieść z powrotem tam, skąd ich przyniosłeś. - Słucham i jestem posłuszny! - zawołał džinn i znikł. Aladyn zaś nie mógł sam w to uwierzyć, iż mu się wszystko tak świetnie udało, że ta, do której płonął gorącą miłością, znalazła się w jego domu. I tak do niej powiedział: - O najpiękniejsza wśród pięknych, nie myśl, że cię tu sprowadziłem, aby cię skrzywdzić! Daleki jestem od tego. Nie mogłem tylko dopuścić, aby kto inny był twoim oblubieńcem, gdyż ojciec twój, sułtan, obiecał mi ciebie za żonę. Śpij więc beztrąsko. Gdy księżniczka Badr-el-Budur ujrzała siebie w tej ubogiej i ciemnej komorze i usłyszała słowa Aladyna, stropiła się tak, że nie wiedziała, co odpowiedzieć. Aladyn zaś położył się spać obok niej, umieściwszy wyciągniętą z pochwy szablę pomiędzy nimi. Księżniczka Badr-el-Budur spędziła jednak bardzo złą noc, zaiste w całym swym życiu nie przeżyła gorszej. Z przerażenia nie zmrużyła bowiem oka aż do świtu. Syn wezyrowy zaś leżał na śmietniku i ze strachu, jaki odczuwał przed džinnem, nie mógł się ruszyć. Kiedy nastał ranek, džinn, nie czekając nawet na potarcie lampy przez Aladyna, ukazał się przed nim i rzekł: - Panie mój i władco, jeśli masz jakieś życzenie, rozkazuj, abym mógł je z ochotą i radością wykonać. Aladyn zaś na to: - Weź nowożeńców i odnieś ich tam, skąd ich przyniosłeś. W jednej chwili džinn wykonał polecenie Aladyna. Odniósł syna wezyra i księżniczkę Badr-el-Budur do pałacu sułtańskiego, w to samo miejsce, skąd był ich zabrał. A uczynił tak, że nikt tego nie dostrzegł. Przy czym oboje byli na wpół żywi ze strachu, gdy ich tak przenoszono z miejsca na miejsce. Zaledwie džinn zdążył nowożeńców do ich komnaty przynieść, gdy zjawił się sam sułtan w odwiedzinie. Skoro syn wezyra usłyszał, że ktoś otwiera drzwi, zerwał się zaraz na równe nogi, wiedząc, że nikomu poza sułtanem nie było wolno wchodzić do komnaty nowożeńców. Ale był wielce markotny i trząśł się z zimna, ponieważ dopiero co opuścił śmietnik, na którym przeleżał całą noc. Sułtan zbliżył się do księżniczki Badr-el-Budur, złożył na jej czole ojcowski pocałunek, życzył dobrego dnia i spytał, czy rada jest swemu małżonkowi. Ale księżniczka nie dała żadnej odpowiedzi. Tedy sułtan spojrzął na nią chmurnie i błyskawice gniewu strzeliły z jego oczu. Kiedy zaś jeszcze kilka razy do niej przemówił, a ona wciąż milczała i nie odpowiadała ani słowem, odszedł nie żegnając się z młodą parą. Potem udał się do swej żony i poskarżył się, że księżniczka Badr-el-Budur ośmieliła się nie odpowiedzieć na jego pytanie. Żona sułtana nie chcąc dopuścić do tego, aby dostojny jej mąż gniewał się na ich córkę,

rzekła: - O największy królu naszych czasów, udam się zaraz do księżniczki, aby zobaczyć, co się z nią stało. Po czym żona sułtana poszła do córki, weszła do jej komnaty życzyła jej dobrego dnia i złożyła pocałunek na jej czole. Ale i matce księżniczka nie odpowiedziała ani słowa. Wtedy żona sułtana pomyślała, iż córce musiało przytrafić się coś niedobrego, że jest tak wylekła, i zapytała: - Kochana córko, powiedz mi, z jakiego powodu tak się zachowujesz? Wyjaw mi, co się wydarzyło, że nie chcesz dać żadnej odpowiedzi nawet mnie, która przybyła do ciebie, aby ci życzyć dobrego dnia? Tedy księżniczka Badr-el-Budur podniosła głowę i rzekła: - Nie gniewaj się na mnie, kochana matko, wiem, że powinnam była przywitać cię uprzejmie i z najwyższym szacunkiem, gdyż czuję się odwiedzinami twymi zaszczycona, ale błagam cię, bądź cierpliwa i pozwól mi wyjaśnić przyczynę mego zachowania, a przekonasz się, że noc, która minęła, była najstraszniejszą nocą mego życia! Bo zaledwie zdążyliśmy z małżonkiem ułożyć się do snu, gdy ktoś, którego postaci nie jestem w stanie opisać, uniósł nas w powietrze i zaniósł do ciemnej, brudnej i ubogiej komory. Następnie księżniczka Badr-el-Budur opowiedziała matce o wszystkim, co tej nocy przeżyła, jak zabrano jej młodego małżonka, jak została sama i jak wkrótce potem przybył do niej jakiś inny młodzieniec i ułożył się do snu, umieściwszy między nią a sobą wyciągniętą z pochwy szablę. Opowiadanie swoje zakończyła słowami: - Skoro nastał poranek, powrócił ten, który nas tam był zaniósł i wkrótce znaleźliśmy się znów na dawnym miejscu. Zaledwie nas tu przyniósł i zdążył opuścić, gdy wkroczył do komnaty mój ojciec, sułtan. Serce przestało mi więc bić z przerażenia, a język odmówił posłuszeństwa i nie mogłam do mego rodzica przemówić, bo gwałtowny strach miał mnie jeszcze w swoim władaniu. Wiem, że ojciec się za to na mnie gniewa, przeto proszę cię, kochana matko, wyjaśnij mu istotną przyczynę dziwnego zachowania, aby mnie nie ganił, lecz wyrozumiał. - Kochana córko - odparła matka - pamiętaj, abyś nikomu tego, co zaszło, nie wyjawiała. Mówiono by bowiem wówczas, że córka sułtana nie jest przy zdrowych zmysłach. Dobrze zrobiłaś, że ojcu tego nie opowiedziałaś. Strzeż się, moja córko, abyś mu tej tajemnicy nigdy nie wyjawiała. A księżniczka Badr-el-Budur na to: - Matko, mówiłam do ciebie w pełnej świadomości, jestem bowiem przy zdrowych zmysłach i wszystko to naprawdę przeżyłam, a jeśli mi nie wierzysz, spytaj o to mego małżonka. Tedy żona sułtana sprowadziła do siebie potajemnie wezyrowego syna i zapytała go, co się tej nocy stało i czy słowa księżniczki Badr-el-Budur odpowiadają prawdzie. Syn wezyra wszakże bał się, że mówiąc prawdę może utracić swoją młodą małżonkę, i dlatego odpowiedział: - Dostojna pani, nie wiem, o czym mówisz. Wówczas żona sułtana upewniła się w przekonaniu, iż córkę jej nawiedziły jedynie koszarne widziadła senne, i doniosła o tym swemu małżonkowi, prosząc go, aby już nie gniewał się na swoją córkę za to, że mu na jego pytania nie odpowiedziała. Tymczasem uroczystości weselne trwały cały dzień. Bajadery\* płaśały, śpiewaczki śpiewały, a muzykanci przygrywali. Żona sułtana zaś oraz syn wezyra niczego nie zaniedbali, co mogłoby księżniczce Badr-el-Budur zrobić przyjemność, aby tylko wyrwać ją z zadumy i rozpogodzić jej lica. Ale wszystko to nie wywierało żadnego wrażenia, księżniczka trwała w uporczywym milczeniu i jak nieprzytomna wracała wciąż myślą do tego, co jej się nocą przydarzyło. Wprawdzie przygoda syna wezyrowego była o wiele jeszcze gorsza, ponieważ przeleżeć musiał całą noc na śmietniku, ale on przeczył wszystkiemu i starał się zapomnieć o przebytej męce, gdyż obawiał się utracić młodą małżonkę i ludzkie poważanie, gdyby się o jego hańbie dowiedziano. Na razie więc wszyscy zazdrościli mu szczęścia, myśląc, iż doszedł do wielkich zaszczytów, zwłaszcza że księżniczka Badr-el-Budur była taka powabna i piękna. Tymczasem Aladyn wyszedł na ulicę i przyglądał się uroczystościom odprawianym w mieście i przed pałacem sułtana. Ale uśmiechał się tylko słysząc, jak ludzie mówią o wysokich zaszczytach, których syn wezyra dostąpił, i o jego wielkim szczęściu, iż został zięciem padyszacha. W duchu zaś tak do siebie szeptał: "Nie wiedzą głupcy, co synowi wezyra się tej nocy przytrafiło, gdyby bowiem wiedzieli, toby mu już nie zazdrościli!" A kiedy zbliżała się pora spoczynku, Aladyn wrócił do swojej komory i potarł lampę. Momentalnie dzinn stanął przed nim. Aladyn rozkazał mu, aby tak samo, jak poprzedniej nocy, przyniósł do niego córkę sułtana wraz z jej oblubieńcem. Dzinn nie zwlekał i po krótkiej chwili zjawił się przynosząc księżniczkę Badr-el-Budur oraz wezyrowego syna. Po czym uczynił z panem młodym to samo, co poprzedniej nocy: porwał go i cisnął na śmietnik znieruchomiałego ze strachu i przerażenia. Aladyn zaś, umieściwszy wyciągniętą z



pochwy szablę pomiędzy sobą a księżniczką Badr-el-Budur, ułożył się obok niej do snu. Wczesnym rankiem dzinn powrócił i odniósł młodą parę tam, skąd był ją zabrał, a Aladyn nie posiadał się ze złośliwej radości z powodu hańby wezyrowego syna. Kiedy sułtan wstał wczesnym rankiem, przyszło mu znów na myśl odwiedzić swoją córkę, aby przekonać się, czy zachowa się tak samo względem niego jak poprzedniego dnia. Zaledwie otworzył drzwi do komnaty nowożeńców, jak syn wezyra skoczył na równe nogi i chciał się z teściem przywitać, chociaż cały trząśł się z zimna, gdyż dzinn przyniósł był młodą parę do ich komnaty dopiero w chwili, kiedy sułtan wchodził. Tedy padyszach zbliżył się do swej córki, księżniczki Badr-el-Budur, która spoczywała jeszcze na posłaniu, ucałował ją w czoło i zapytał o zdrowie. Kiedy jednak ujrzał, że córka marszczy brwi i nie wie co odpowiedzieć, patrząc na ojca gniewnie i żałośnie zarazem, wzbudziło to w nim podejrzenie, że coś z jej rozumem nie jest w porządku. Wyciągnął więc szablę z pochwy i krzyknął: - Albo mi powiesz zaraz, co ci się przytrafiło, albo pozbawię cię życia. Czyż szacunek należny ojcu okazuje się w ten sposób, że się na jego pytania nie odpowiada? Kiedy księżniczka ujrzała, że ojciec jej, sułtan, trzyma w ręku obnażoną szablę, przerażenie minionej nocy ją opuściło i podniósłszy głowę powiedziała: - Kochany ojcze, nie gniewaj się i strzeż się, abyś nie popełnił nieopatrznego czynu w złości, gdyż nie ponoszę winy za pożałowania godny stan, w jakim mnie widzisz! Jestem pewna, że gdy usłyszysz moją opowieść o tym, co przeżyłam podczas tych dwóch ostatnich nocy, usprawiedliwisz mnie i okażesz serdeczne współczucie, jakiego zawsze od twojej miłości się spodziewałam. Następnie księżniczka Badr-el-Budur opowiedziała ojcu wszystko, co się jej przytrafiło, i zakończyła słowami: - Ojcze mój, jeśli mi nie wierzysz, spytaj mego małżonka, na pewno opowie ci wszystko, jak było, gdyż ja nie wiem nawet, co z nim uczyniono, kiedy go od mojego boku wzięto. Sułtan wysłuchał córki, zasmucił się wielce i ze łzami w oczach włożył szablę z powrotem do pochwy. Pochylił się nad księżniczką, ucałował ją i rzekł: - Droga córko, dlaczego nie powiedziałaś mi tego od razu wczoraj, wtedy bowiem mógłbym całą tę biedę i strach, które ostatniej nocy przeżyłaś, od ciebie oddalić. Ale nie martw się! Odegnaj smutne myśli, dziś wieczór postawię strażników, aby cię strzegli, wówczas takie nieszczęście już się nie będzie mogło powtórzyć. Następnie sułtan wrócił do pałacu i kazał zaraz zawołać wezyra. Ten stanął natychmiast na rozkaz swego władcy, a sułtan spytał: - Powiedz mi, wezyrze, co o tym wszystkim myślisz. Czy syn twój nic ci nie opowiedział, co się jemu i mojej córce przytrafiło? - O największy władco naszych czasów - odparł wezyr - syna mego nie widziałem ani wczoraj, ani dziś. Tedy sułtan opowiedział mu wszystko, o czym mu jego córka Badr-el-Budur mówiła, i dodał: - Życzę sobie teraz, abyś spytał syna, jak się naprawdę rzecz miała. Jest bowiem możliwe, że moja córka ze strachu sama nie wie, co się jej przytrafiło, chociaż skądinąd zdaje mi się, że słowa jej odpowiadają prawdzie. Wezyr zaraz wrócił do siebie i kazał sprowadzić syna. Potem zapytał go, czy wszystko istotnie tak było, jak córka sułtana ojcu swemu opowiedziała. Wówczas młodzieniec zawołał: - O wezyrze, mój ojcze, jestem daleki od tego, abym mógł posądzić księżniczkę Badr-el-Budur o kłamstwo. Zaiste, wszystko, co powiedziała, jest szczerą prawdą. Obie te noce były dla nas najgorszymi, jakie można sobie wyobrazić. Ale to, co mnie spotkało, było najstraszniejsze, bo zamiast spoczywać na miękkim posłaniu, musiałem leżeć na śmietniku w ciemnym, okropnym i śmierdzącym miejscu, tak że cały trząśłem się z zimna. Po czym młodzieniec opowiedział ojcu wszystko i dodał: - Kochany ojcze, błagam cię teraz, rozmów się z sułtanem i poproś go, aby mnie od tego małżeństwa uwolnił! Wprawdzie byłoby to dla mnie wielkim zaszczytem być zięciem sułtana, zwłaszcza że i miłość do księżniczki Badr-el-Budur owładnęła już moim sercem. Ale nie mam siły, aby znieść jeszcze jedną taką noc jak te dwie ostatnie. Słyszając te słowa wezyr zafrasował się wielce i zmartwił, zamierzał bowiem czyniąc syna zięciem sułtana pozyskać dlań najwyższe zaszczyty i ogólne poważanie. Toteż popadł w zadumę i nie wiedział, co mu w tej sprawie doradzić. - Poczekaj, mój synu - rzekł - zobaczymy, co się następnej nocy stanie. Postawimy straż przed waszą komnatą, aby was strzegła. Nie wolno zrzekać się tak łatwo wysokiego zaszczytu, który stał się twoim udziałem. Potem wezyr udał się do sułtana i doniósł mu, że wszystko, co księżniczka Badr-el-Budur powiedziała, odpowiada prawdzie, a sułtan na to: - Jeśli tak jest, to nie potrzebujemy już sprawiać wesela! I rozkazał, aby przerwano natychmiast uroczystości, ogłaszając małżeństwo za nieważne. Cały lud i mieszkańcy stolicy dziwowali się wielce z powodu tej niespodziewanej

zmiany, zwłaszcza kiedy ujrano wezyra oraz jego syna powracających z pałacu w żalnym stanie, w rozpacz i wściekłości. Od razu ludzie zaczęli się jeden drugiego wypytywać: Co się właściwie przydarzyło? Dlaczego małżeństwo zostało unieważnione? Nikt jednak nie wiedział, co naprawdę zaszło, z wyjątkiem sprawcy tego wszystkiego, Aladyna, który śmiał się w kułak. Lecz choć małżeństwo syna wezyrowego zostało unieważnione, sułtan nie pamiętał o obietnicy, którą dał matce Aladyna. Również i wezyr o tym zapomniał i dlatego obaj nie wiedzieli, skąd doszło do owych dziwnych nocnych przygód. Aladyn zaś czekał, aż przeminą wyznaczone mu trzy miesiące, po których, zgodnie z obietnicą sułtana, miały się odbyć jego zaślubiny z księżniczką Badr-el-Budur. Kiedy oczekiwany termin nadszedł, posłał natychmiast matkę do sułtana, aby przypomniawszy mu o danym słowie. Staruszka poszła do pałacu, a gdy padyszach wszedł do sali przyjęć i ujrzał matkę Aladyna stojącą przed nim, przypomniawszy sobie o danej obietnicy i zwrócił się do wezyra tymi słowami: - Wezyrze, oto niewiasta, która mi wtedy te wspaniałe klejnoty przyniosła i której daliśmy nasze sułtańskie słowo, że po trzech miesiącach... Przyprowadź ją więc przed moje oblicze przed wszystkimi innymi! Tedy wezyr przyprowadził matkę Aladyna przed oblicze sułtana. Staruszka skłoniła się nisko i życzyła padyszachowi potęgi, długiego życia i szczęścia. Kiedy zaś sułtan spytał, czy ma jakąś prośbę do niego, usłyszał odpowiedź: - O największy władco naszych czasów, trzy miesiące zwłoki, po których obiecałeś spełnić twoje przyrzeczenie, minęły. Nadeszła pora, abyś syna mego Aladyna ożenił z córką twoją, księżniczką Badr-el-Budur. Sułtan nie wiedział, jak się zachować wobec tak stanowczego przypomnienia, zwłaszcza że matka Aladyna wyglądała na ubogą i należącą do najniższych warstw ludu. Ale podarunek, który mu wtedy przyniosła, był przecież drogocenny i nie dał się wprost oszacować. Sułtan zwrócił się więc do wezyra i zapytał: - Co radzisz mi uczynić? Istotnie dałem jej moje sułtańskie słowo, ale nie ulega wątpliwości, że to ubodzy ludzie i nie należą do szlachetnie urodzonych. Wezyr, który umierał z zazdrości, a tym, co się jego synowi przytrafiło, poczuł się w swej dumie urażony, powiedział sam do siebie: "Co, taki prostak ma żenić się z córką sułtana, z którą małżeństwo mego syna zostało zerwane?" A do sułtana rzekł: - Dostojny panie, jest rzeczą łatwą tego przybłądę odprawić, gdyż nie godzi się waszej sułtańskiej mości dać córki swojej za żonę takiemu, o którym w ogóle nie wiadomo, co to za jeden. Tedy sułtan spytał: - W jaki sposób możemy tego człowieka odprawić, skoro dałem mu moje sułtańskie słowo? A słowo monarsze jest przecież równe pisanemu dokumentowi. - Dostojny panie - odparł wezyr - moja rada jest następująca. Powinieneś zażądać od niego czterdziestu czasz ze szczerego złota, wypełnionych po brzegi takimi samymi klejnotami, jak te, które wówczas ta kobieta przyniosła, czterdziestu niewolnic, które by te czasze niosły, oraz czterdziestu niewolników. A sułtan na to: - Na Allacha, dobrze powiedziałeś. To jest coś, czego on spełnić nie potrafi i w ten sposób będziemy mogli się po dobremu z nim rozstać. I sułtan powiedział do matki Aladyna: - Idź i powiedz twojemu synowi, że obietnica, którą mu dałem, pozostaje w mocy, ale pod warunkiem, że przygotuje godny okup za moją córkę. Żądam czterdziestu czasz ze szczerego złota, wypełnionych takimi klejnotami, jak te, które mi wówczas przyniosłaś, czterdziestu niewolnic, które by te czasze niosły, oraz czterdziestu niewolników do obsługi i ochrony. Jeśli syn twój potrafi tego wszystkiego dostarczyć, oddam mu rękę mojej córki. Po wysłuchaniu tych słów matka Aladyna wyruszyła w powrotną drogę, potrząsając głową i mówiąc do siebie: "Skądże mój biedny syn mógłby wziąć takie czasze i klejnoty? Przypuśćmy nawet, że wróci do owej pieczary ze skarbami, aby przynieść stamtąd złote czasze, i pozrywa z rosnących tam drzew drogie kamienia, ale skądże ma wziąć tyle niewolnic i niewolników?" Tak rozprawiając sama ze sobą doszła w końcu do swego ubożego domu. Aladyn już na nią czekał. A ona przestąpiwszy próg tak do niego powiada: - Mój synku, czyż cię nie przestrzegałam, że nigdy księżniczki Badr-el-Budur za żonę nie dostaniesz! Dla ludzi takich, jak my, jest to nieosiągalne. - Powiedz, co się stało? - zapytał Aladyn. A matka mówiła dalej: - Synu mój, padyszach przyjął mnie z wielką czcią i wydaje mi się, że jest dla nas dobrze usposobiony, ale wrogiem twoim jest wezyr. Bo skoro tylko wymieniłam twoje imię, zgodnie z tym, co mi kazałeś, przypominając, że minął termin zwłoki i dane słowo sułtana obowiązuje, sułtan zwrócił się do wezyra i coś do niego mówił. Wezyr zaś szeptał długo sułtanowi do ucha i dopiero wtedy padyszach dał mi odpowiedź. Potem staruszka opowiedziała synowi o warunkach postawionych przez sułtana, dodając: - Synu mój, wydaje mi się, że nie mamy co odrzec sułtanowi.

Aladyn usłyszawszy słowa matki, zaczął się śmiać i tak do niej powiada: - Kochana matko, sądzisz, że nie mamy co mu odrzec. Bądź tak dobra i przynieś mi coś do zjedzenia. Po posiłku, jeśli Allah pozwoli, zobaczysz, jaką będzie moja odpowiedź. Sułtan, tak samo jak ty, przypuszcza, iż zażądał ode mnie rzeczy niewykonalnej. W rzeczywistości jednak domaga się czegoś znacznie łatwiejszego do wykonania, niż się spodziewałem. Ale idź już, kup coś na obiad i pozostaw mnie samego, abym mógł przygotować moją odpowiedź. Matka udała się na bazar, aby zakupić wszystko potrzebne na obiad, Aladyn zaś poszedł do swojej komory, wyjął lampę i potarł ją. W tym samym momencie stanął przed nim džinn i rzekł: - Mój panie i władco, mów, czego sobie życzysz? Aladyn zaś na to: - Mam otrzymać córkę sułtana za żonę, ale padyszach zażądał ode mnie czterdziestu czasz ze szczerego złota, z których każda ma być wypełniona po brzegi takimi klejnotami, jak te, które znajdują się w podziemnym ogrodzie, w pieczarze ze skarbami. Czterdzieści niewolnic ma owe czterdzieści półmisków nieść, a przy każdej niewolnicy ma być po jednym niewolniku. Otóż rozkazuję ci, abyś mi to wszystko natychmiast dostarczył. - Słucham i zastosuję się do twego rozkazu, mój panie i władco - rzekł džinn. I po krótkiej chwili stało się wszystko tak, jak sobie Aladyn życzył, po czym džinn znikł. Kiedy matka Aladyna powróciła i ujrzała niewolników i niewolnice ze złotymi czaszami wypełnionymi po brzegi najkosztowniejszymi klejnotami, zdumiała się wielce i zawołała: - I to wszystko zawdzięczamy lampie! Niech Allah zachowa ją mojemu synowi na wieki! Ale zaledwie zdążyła zdjąć parandżę, jak Aladyn już ją zaczął przynaglać: - Matko, czas na ciebie, abyś poszła do sułtana, zanim uda się do swego haremu. Weźmiesz ze sobą wszystko to, czego zażądał, aby się przekonał, iż jestem w stanie sprostać jego wymaganiom, i to nawet z naddatkiem. Chodzi również o to, aby sułtan zrozumiał, iż został przez swojego wezyra w błąd wprowadzony, kiedy ten utrzymywał, że można się będzie mnie pozbyć, stawiając mi wygórowane warunki. Po czym Aladyn otworzył na oścież bramę i kazał niewolnicom i niewolnikom wyjść parami, aż wypełnili niemal całą ulicę. Na czele orszaku kroczyła stara matka Aladyna, a ludzie, mieszkający w tej samej dzielnicy miasta, stawali jak wryci, widząc to wspaniałe widowisko. Przyglądali się, dziwowali i zachwycali powabnymi postaciami niewolnic przystrojonych w jedwabie przetykane złotem i obwieszonych klejnotami, z których najmniejszy wart był tysiąc denarów. Przyglądali się czasom z drogimi kamieniami i nie mogli nadziwić się blaskowi, jaki bił od nich, zaćmiewając blask słońca, chociaż każda z nich była nakryta złotogłowie, obszytym bogato zdobionym szlakiem. I szli tak podziwiani przez coraz to innych ludzi, aż dotarli do pałacu sułtana. Skoro emirowie i pokojowcy oraz dowódcy gwardii sułtańskiej orszak ten ujrzeli, zdumieni się, oślepieni widokiem, jakiego nigdy w życiu jeszcze nie oglądali, a zwłaszcza urodą niewolnic, z których każda była nadziemsko piękna. Stojący na warcie strażnicy weszli do pałacu i oznajmili padyszachowi o przybyciu matki Aladyna, a władca niezwłocznie wydał rozkaz, aby wprowadzić ją wraz z jej świtą do sali dywanu przed jego dostojne oblicze. Kiedy stanęły przed tronem, skłoniły się kornie z najniższą czołobitnością, życząc sułtanowi potęgi i szczęścia, a czterdzieści niewolnic zdjęło z głów czterdzieści czasz z klejnotami i złożyło je u stóp tronu. Po czym stanęły ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, zdjawszy nakrycia ze złotogłowiu z owych czasz. Zdumienie sułtana nie miało granic. Nieopisana uroda i powab dziewcząt oszołomiły go, a rozum odmówił mu posłuszeństwa, kiedy ujrzął czasie pełne najcudowniejszych klejnotów. Nie wiedział wprost, co począć, a z nadmiaru zachwyty nie mógł wymówić ani słowa. Najbardziej dziwiło go przy tym, że to wszystko stało się w ciągu tak krótkiego czasu. Potem dał rozkaz, aby niewolnice ze wszystkim, co przyniosły, udały się na pokoje księżniczki Badr-el-Budur. Wówczas wystąpiła naprzód matka Aladyna i tak do sułtana rzekła: - Dostojny panie, wszystko to jest niczym w porównaniu do wysokiej godności twojej córki, która zasługuje na wielekroć więcej wspaniałych darów. Wtedy sułtan zwrócił się do wezyra i zapytał: - No, i co ty na to? Czy ktoś, kto w tak krótkim czasie zdołał dostarczyć mi takich bogactw, nie zasługuje na to, aby zostać zięciem sułtana i otrzymać sułtańską córkę za żonę? Wezyr był wprawdzie wszystkim tym jeszcze bardziej od swego sułtana zdumiony, ale śmiertelna zawiść pożerała go i wzmagała się w nim jeszcze, gdy widział zadowolenie sułtana z otrzymanych darów. Z jednej strony nie mógł zaprzeczyć prawdzie i powiedzieć sułtanowi że wszystko to nie jest godne jego córki, z drugiej zaś - przemyślał tylko nad sposobem, jak by nakłonić sułtana do odmówienia Aladynowi ręki księżniczki Badr-el-Budur.

Przeto tak do sułtana rzecze: - Dostojny panie, wszystkie skarby tego świata nie są warte jednego paznokcia u ręki sułtańskiej córki. Kiedy sułtan usłyszał słowa wezyra, zmiarkował od razu, że podszeptała mu je niezmierna zazdrość. Zwrócił się więc do matki Aladyna w następujących słowach: - Niewiasto, idź do syna i powiedz mu, że przyjąłem z zadowoleniem jego dary. Dotrzymuję więc danej obietnicy i córkę moją uważam odtąd za jego narzeczoną, a jego za zięcia! Powiedz poza tym swemu synowi, by tu przybył, żebym mógł go poznać. Zostanie przyjęty przeze mnie z najwyższą czcią i poważaniem, a dziś wieczór rozpoczną się uroczystości weselne. Usłyszawszy te słowa padyszacha staruszka pobiegła do domu, aby zanieść synowi radosną nowinę. Czując, iż ze szczęścia wyrastają jej skrzydła u ramion na myśl, że jej syn będzie zięciem samego sułtana. Sułtan zaś po odejściu matki Aladyna wydał rozkaz, aby zakończyć dywan, i poszedł na pokoje księżniczki Badr-el-Budur, która rozkoszowała się widokiem pięknych niewolnic i przyniesionymi przez nie klejnotami. Kiedy zaś dowiedziała się, że wszystko to jest darem jej nowego narzeczonego, uradowała się wielce i przestała oplakiwać swego niedoszłego małżonka, a wezyrowego syna. Wróćmy teraz do Aladyna. Kiedy matka z promieniejącą od szczęścia twarzą weszła do izby, poznał on od razu z jej wyglądu, że wszystko poszło jak najlepiej, i rzekł: - Niech Allah będzie uwielbiony na wieki! Teraz życzenie moje się spełniło! - Radosna nowina, mój synu! - zawołała matka. - Bądź dobrej myśli, gdyż cel twój został osiągnięty! Sułtan przyjął łaskawie twój dar jako okup za swoją córkę, księżniczkę Badr-el-Budur. Jeszcze dziś wieczór ma odbyć się wasze wesele. Sułtan, aby wzmocnić dane mi słowo, oznajmił przed całym światem, że uznaje cię za zięcia. Potem zaś dodał: "Niech syn twój do mnie przyjdzie, abym mógł go poznać. Przyjmę go z najwyższą czcią i obsypię najwyższymi zaszczytami!" A więc moje zadanie zostało spełnione, reszta należy do ciebie. Aladyn ucałował rękę matki i dziękował jej, po czym udał się do swej komory, wziął lampę i potarł. Natychmiast zjawił się džinn, któremu rzekł: - Życzę sobie, abyś mnie zaprowadził do łaźni, jakiej na tym świecie nie ma równej, a potem dostarczył mi tak kosztownej szaty, jakiej żaden król nie posiada. - Słucham i jestem posłuszny - zawołał džinn, uniósł Aladyna w powietrze i zaniósł do tak wspaniałej łaźni, że podobnej ani chiński cesarz, ani perscy królowie nigdy nie widzieli. Cały gmach był z marmuru i chalcedonu\*, ściany były pokryte cudnymi, pieszczącymi wzrok malowidłami, a jedna z sal cała wysadzana szlachetnymi kamieniami. W łaźni nie było żywej duszy, lecz kiedy Aladyn do niej wszedł, zjawił się od razu džinn w ludzkiej postaci, obmył go i wyświadczył mu wszystkie usługi łaźniarza. Umywszy się i nacieszywszy kąpielą, Aladyn udał się do owej wspaniałej sali. Tam zauważył, że jego własna odzież została zabrana, a na jej miejscu leżała najwspanialsza szata królewska. Po czym džinn przyniósł rzeźwiące napoje i kawę o najcudowniejszym aromacie. Kiedy Aladyn wypił, podeszła do niego gromada niewolników, aby pomóc mu przy wdziewaniu przygotowanego dlań wspaniałego stroju. Przywdziawszy weń Aladyna, opryskali go wonnymi pachnidłami. I chociaż Aladyn był synem biednego krawca, teraz nikt by już tego nie poznał, a każdy zawołałby z zachwytem: "Oto najwykwintniejszy książę!" Potem džinn wzleciał znów z Aladynem w powietrze, odniósł go z powrotem do jego domu i zapytał: - Mój panie i władco, czy jeszcze czegoś sobie życzysz? - Tak jest - odparł Aladyn. - Życzę sobie, abyś sprowadził mi czterdziestu ośmiu mameluków\*, z których dwudziestu czterech ma tworzyć moją świtę, a do tego potrzeba mi jeszcze odpowiednich rumaków, zbroi i broni oraz wszystkiego, co do ich wyposażenia należy. A rzeczy te mają być najdroższe i najlepszej jakości, tak że nie znajdziesz droższych i lepszych u żadnego króla. Prócz tego sprowadź mi jeszcze żrebca, z tych, jakich dosiadać zwykli perscy królowie, a rząd na nim ma być szczerozłoty i wysadzany modrymi turkusami. Dostarcz mi również czterdziestu ośmiu tysięcy denarów, na każdego mameluka po tysiącu. Nie zwlekaj przy tym ani chwili, gdyż bez tego wszystkiego, co wymieniłem, nie mogę zjawić się przed obliczem padyszacha. Wreszcie sprowadź mi jeszcze dwanaście niewolnic przedziwnej urody, aby towarzyszyły mojej matce do pałacu sułtana. Każda z nich ma nieść dla mej matki szatę, jakie mają tylko małżonki królów! - Słucham i zastosuję się - ozwał się džinn i znikł na krótką chwilę, a zaraz potem dostarczył wszystkiego, co mu kazano. Prowadził sam za uzdę żrebca, jakiego trudno znaleźć wśród rumaków najczystszej krwi arabskiej, z czaprakiem z najkosztowniejszego złotogłowiu. Aladyn zaś polecił przywołać matkę, ofiarował jej dwanaście niewolnic, wręczył przyniesione przez nie szaty, aby się pięknie

przystroila i udała ze swoimi niewolnicami do pałacu. Po czym posłał do sułtana jednego z mameluków, których mu dzinn sprowadził, aby dowiedzieć się, czy sułtan opuścił już harem. Mameluk pomknął szybciej od błyskawicy i wrócił z wiadomością, że najdostojniejszy padyszach czeka na Aladyna. Wówczas Aladyn dosiadł rumaka, a mamelucy za nim i przed nim skoczyli na swoje wierzchowce. Cały orszak stanowił widowisko nadziejsko piękne. Przy tym mamelucy rozsypywali złote monety między lud, jadąc przed i za swoim panem, Aladynem, który przewyższał ich wszystkich urodą i wdziękiem, nie ustępując pod tym względem żadnemu królewiczowi. Pospólstwo dziwowało się szczodroblewości i niezwyklej wspaniałomyślności Aladyna, błagając niebiosa o błogosławieństwo dla niego, i chociaż znali go jako syna ubogiego krawca, nikt mu nie zazdrościł, ale wszyscy wołali: "On na to w pełni zasługuje!" Tymczasem sułtan zgromadził wokoło siebie najwyższych dostojników państwa i oznajmił im, iż daje rękę swojej córki Aladynowi. Rozkazał im, aby oczekiwali na przybycie pana młodego, a kiedy go ujrzą nadjeżdżającego, aby ruszyli na jego spotkanie. Kiedy Aladyn nadjechał, chciał przy pałacowej bramie z konia zeskoczyć, ale jeden z emirów, którego sułtan do tego wyznaczył, obwieścił: - Najdostojniejszy padyszach wydał rozkaz, abyś przez bramę pałacową przejechał nie zsiadając z rumaka i dopiero przed wejściem do sali dywanu zsiadł z twojego wierzchowca. Kiedy zsiadał, jedni dostojnicy przytrzymywali mu strzemię, inni podpierali go z obu stron, a jeszcze inni brali go pod rękę i pomagali zsiąść. Potem wprowadzono go w uroczystym orszaku do sali, w której odbywa się dywan, aż pod sam tron padyszacha. Skoro sułtan go ujrzał, zszedł ze stopni tronu i nie pozwolił mu ucałować kobierca. Ba, nawet sam objął i ucałował zięcia i posadził go po swojej prawicy. Aladyn zaś złożył mu należny hołd i życzył szczęścia, jak godzi się czynić w obliczu monarchy, a potem rzekł: - O władco nasz i padyszachu, łaska waszej dostojności raczyła obdarzyć mnie ręką twojej córki, księżniczki Badr-el-Budur, chociaż na tak wielki zaszczyt niczym nie zasłużyłem, będąc jednym z najniższych spośród twoich sług. Zaprawdę język mój nie zdoła wyrazić mojej wdzięczności dla ciebie, gdyż ponad wszelką miarę wielka jest łaska, którą raczyłeś mi wyświadczyć. Ośmielę się wszakże prosić waszą dostojność jeszcze o wyznaczenie mi odpowiedniego placu, żebym mógł na nim wybudować pałac godny twojej córki. Sułtan nie posiadał się ze zdziwienia, widząc Aladyna w królewskim stroju, przypatrywał mu się i nie mógł oderwać oczu od jego wdzięcznej urody. Widział również mameluków, którzy czekali na rozkazy swego pana i nad wyraz wspaniale wyglądali. Największe zdziwienie opanowało jednak sułtana, kiedy ujrzał wkraczającą na salę matkę Aladyna, wystrojoną z kosztownym przepychem, jak gdyby była królową, a za nią dwanaście niewolnic, posuwających się cicho ze skrzyżowanymi na piersiach rękami w postawie pełnej szacunku i poważania. Zdumiała go również czysta i wykwinna wymowa Aladyna i dziwował się z tego powodu wraz ze wszystkimi obecnymi na sali dywanu. Atoli w sercu wezyra żarzył się ogień zazdrości wobec Aladyna. Sułtan wysłuchawszy przemówienia swego przyszłego zięcia i mile zdziwiony jego krasomówstwem oraz pełnym godności, a równocześnie i należnego szacunku, zachowaniem przyciągnął go do piersi, ucałował i rzekł: - Jest mi przykro, mój synu, że wcześniej się tobą cieszyć nie mogłem. Potem, wielce rad z przybycia Aladyna, sułtan natychmiast rozkazał, aby muzykanci zaczęli grać i przy dźwiękach muzyki udał się w towarzystwie Aladyna do innego pałacu, gdzie była przygotowana wieczerza i służba rozstawiała stoły. Sułtan usiadł i kazał Aladynowi zająć miejsce po swojej prawicy, dalej usiedli wezyrowie, agowie i wysocy dostojnicy państwa, każdy wedle należnej mu rangi. Zagrzały kapele i zaczęła się uroczysta ucztę weselna. Sułtan rozmawiał z Aladynem i zwracał się ciągle do niego, a ten odpowiadał mu z należną czcią i wykwinną dwornością, jak gdyby był wychowany na pokojach królewskich i zawsze tylko z monarchami przebywał. Im dłużej trwał ich dyskurs, tym sułtan radował się bardziej, słysząc z ust swego przyszłego zięcia tak płynne odpowiedzi i tak wyszukane słowa. Kiedy już sobie pojedli i popili, służba wyniosła stoły, a sułtan dał rozkaz, aby do sali wkroczył kadi w towarzystwie świadków. Weszli i dopełnili formalności zawarcia małżeństwa, spisawszy dokument, stwierdzający zaślubiny Aladyna z księżniczką Badr-el-Budur. Po czym Aladyn wstał i chciał odejść, ale sułtan zatrzymał go i tak do niego rzecze: - Dokąd ci tak śpieszno, mój synu? Radość i wesele już blisko, jako że zawarty został nasz układ i spisany kontrakt małżeński. - Mój władco i padyszachu - odparł Aladyn - pragnieniem moim, jak ci

już wspomniałem, jest, aby córka twoja miała pałac godny jej rangi i stanowiska, muszę więc zarządzić, aby budowa jej pałacu została w najkrótszym czasie ukończona. I dlatego śpieszno mi jak najprędzej stąd odejść, aby zaraz przystąpić do dzieła. Odpowiadając mu sułtan rzecze: - Wybierz sobie, mój synu, plac odpowiedni pod budowę tego pałacu i weź go sobie. Wszystkim możesz rozporządzać, ale wydaje mi się, że najlepiej będzie, abyś kazał zbudować ów pałac naprzeciwko okien mojego pałacu, oczywiście, jeśli będzie ci to odpowiadało. Wróciwszy do domu, Aladyn wszedł do swojej komory, potarł lampę i oto dzinn stał już przed nim, mówiąc: - Czego sobie życzysz, mój panie i władco! - Życzę sobie - odparł Aladyn - byś wyświadczył mi nader ważną przysługę. Wybuduj mi pałac naprzeciwko pałacu sułtańskiego, i to w ciągu jednej nocy. Powinien to być najwspanialszy gmach, jakiego nawet królowie nigdy nie widzieli. - Słucham i jestem posłuszny! - zawołał dzinn i znikł. A zanim zorza poranna się zarumieniła, powrócił do Aladyna i oznajmił: - Mój panie i władco, oto pałac już gotów i udał się tak doskonale, że lepszego nie mogłeś sobie wymarzyć! Jeśli chcesz go obejrzeć, racz tam pójść i rzucić nań okiem. I w jednej chwili dzinn przeniósł Aladyna przed nowo wzniesiony pałac, cały zbudowany z zielonego agatu, białego marmuru oraz szkarłatnego porfiru\* i bogato ozdobiony różnokolorową mozaiką. Po czym dzinn zaprowadził go w podziemia pałacu do skarbcza, wypełnionego najróżniejszymi złotymi i srebrnymi przedmiotami oraz szlachetnymi kamieniami, których było nieprzeliczone mnóstwo, tak że nikt nie mógłby tego nie tylko zakupić, ale nawet oszacować. Były tam kosztowne zastawy, półmiski i łyżki, konwie i czary ze szczerzego złota oraz srebrne dzbany i roztruchany. Następnie dzinn zaprowadził go do pałacowej kuchni i tam Aladyn ujrzał kuchmistrzów zaopatrzonych we wszelkiego rodzaju sprzęt kuchenny, również całkowicie ze złota i srebra, a potem powiódł jeszcze do innych pomieszczeń, gdzie stały skrzynie ze złotolitymi tkaninami, ciężkim brokatem oraz innymi kosztownymi materiałami, od których podziwiania można było stracić rozum. W końcu poszli obaj do pałacowej stajni i tu Aladyn ujrzał rumaki, jakich żaden król na całym świecie nie posiada, a jeszcze dalej pokazał Aladynowi obszerną salę, gdzie wisiały drogocenne rzędy i kulbaki, wysadzone perłami i turkusami. Wszystko to zostało wyczarowane z niczego w ciągu jednej nocy. Największym cudem wszakże ze wszystkich cudów tego pałacu była na górnym piętrze komnata z dwudziestoma czterema niszami, które były całkowicie wyłożone szmaragdami, hiacyntami oraz innymi szlachetnymi kamieniami. Jedna z tych nisz była umyślnie na rozkaz Aladyna nie dokończona, aby udowodnić sułtanowi, że nawet jego sułtańską mość nie będzie stać na jej wykończenie. Obejrząwszy cały pałac, Aladyn poczuł się nad wyraz szczęśliwy i zwrócił się do dzinna następującymi słowami: - Teraz żądam od ciebie jeszcze jednej rzeczy, o której ci powiedziałem. Domagam się, abyś dostarczył mi chodnik z ciężkiego brokatu, złotą nicią przetykany, który kiedy każe go rozścielić, sięgałby od mojego pałacu aż do sułtańskiego, tak aby księżniczka Badr-el-Budur, kiedy raczy tu przyjść, mogła po nim kroczyć, a jej stopa nie dotknęła nagiej ziemi. Dzinn znikł, a po krótkiej chwili pokazał Aladynowi przepiękny chodnik, rozciągnięty między pałacami sułtana i Aladyna. Potem dzinn odniósł swego pana do jego dawnego domu. O świecie sułtan ocknął się ze snu, wstał z łoża i otworzywszy okno wyjrzał na dwór. A kiedy naprzeciwko swego pałacu zobaczył nowo wzniesiony gmach, jął przecierać oczy i otwierał je coraz szerzej, aby dokładnie mu się przypatrzeć. I oto wznosił się przed nim olbrzymi pałac, oślepiająco piękny i bogaty, od którego ciągnął się kosztowny chodnik aż do wrót sułtańskiego pałacu. Tymczasem nadszedł wezyr i wchodząc do pałacu padyszacha również spostrzegł nowo wzniesiony gmach i wzorzysty chodnik. Wszedłszy na pokoje sułtana zaczął od razu mówić o widzianym dopiero co cudzie, dając wyraz najwyższemu zdumieniu, że coś podobnego mu się ujrzeć przydarzyło, coś, co oślepia wzrok i zachwyca serce. - Czy nie przyznajesz obecnie, wezyrze, że Aladyn zasługuje na to, aby zostać małżonkiem mojej córki? Ale wezyr, pełen zawiści względem Aladyna, odparł: - O największy władco naszych czasów, wiedz, że ten gmach mógł powstać jedynie dzięki nieczystej sile czarnoksiężkiej. Żaden bowiem człowiek na całym świecie, ani najpotężniejszy władca, ani największy bogacz, nie byłby w stanie wnieść takiej budowli i wykończyć jej w ciągu jednej nocy. A sułtan na to: - Dziwię się tobie, wezyrze, że zawsze masz złe myśli w stosunku do Aladyna. Sam byłeś przecież przy tym, kiedy mu ten plac podarowałem, aby mógł na nim wnieść pałac dla mojej córki. I dlaczegóż by ktoś, kto jako dar narzeczeński dla mojej

córki przyniósł drogie kamienie, jakich nawet najbogatsi królowie nie posiadają, nie miałby potrafić w ciągu jednej nocy zbudować takiego pałacu? Skoro wezyr usłyszał z ust sułtana takie słowa i wywnioskował, że padyszach wielce Aladyna miłuje, poczuł w sobie jeszcze większą zawiść. Ponieważ jednak na razie nie mógł nic przeciwko Aladynowi uczynić, zmilczał. Tymczasem nastał już dzień i nadeszła pora udania się do pałacu, ponieważ uroczystości weselne miały się rychło rozpocząć, a emirowie i dostojnicy państwa już się u sułtana zgromadzili. Aladyn powstał z łoża i potarł lampę. Natychmiast ukazał się džinn i zapytał, czego pan jego sobie życzy. - Chcę zaraz udać się do pałacu sułtana, gdyż dzisiaj jest moje wesele - odparł Aladyn. - Potrzeba mi przeto dziesięciu tysięcy denarów. Rozkazuję ci, abys mi je natychmiast dostarczył. Dżinn znikł na chwilę i wkrótce wrócił z dziesięcioma tysiącami denarów dla swego pana. Aladyn zaś dosiadł rumaka, a mamelukowie z jego świty uczynili to samo, ustawiając się przed nim i za nim. Potem w uroczystym pochodzie podążyli do pałacu sułtana, rozrzucając garściami złoto pospółstwu, a wszyscy zgromadzeni byli przejęci wdzięcznością i sławili szczodrość Aladyna. Kiedy zjawił się u wrót sułtańskiego pałacu, a szejkowie, emirowie i wojownicy, którzy tam na niego czekali, tylko go spostrzegli, pośpieszyli niezwłocznie do sułtana i zameldowali o przybyciu Aladyna. Sułtan wstał z tronu, wyszedł na spotkanie zięcia, objął go, ucałował i wprowadził do pałacu. Całe miasto było odświętnie przybrane. Dźwięki instrumentów muzycznych rozbrzmiewały po salach pałacu sułtańskiego i słychać było wszędzie weselne pieśni. Sułtan wydał rozkaz, aby wniesiono stoły zastawione z przepychem iście monarszym, a sułtan i Aladyn oraz agowie i najwyżsi dostojnicy państwa zasiedli do uczyty. Ucztowano w pałacu sułtańskim i w mieście, weselili się szlachetnie urodzeni, a ludność całego kraju wraz z nimi. Przybyli również szejkowie z dalekich okolic i wielkorządcy z odległych prowincji, aby uczestniczyć w weselnej uczcie Aladyna. Sułtan zaś dziwował się w myślach szczególnie temu, dlaczego matka Aladyna zwykła była przedtem przychodzić do niego w szatach świadczących o wielkim ubóstwie podczas gdy jej syn rozporządzał tak olbrzymim bogactwem. Po skończonej uczcie Aladyn pożegnał się z sułtanem i odjechał wraz ze swoimi mamelukami do nowo wzniesionego pałacu, aby przygotować tam przyjęcie dla młodej małżonki, księżniczki Badr-el-Budur. Wszyscy ludzie, których mijał, witali go zgodnym chórem, wołając: - Niech Allah udzieli ci wiele radości i szczęścia, niech pomnaża twoją sławę i niech da ci długi żywot! W ten sposób utworzył się olbrzymi orszak weselny, złożony z pospółstwa, które odprowadzało Aladyna do jego pałacu, kiedy się tam udawał, aby przyszykować wszystko na przyjęcie swojej oblubienicy, księżniczki Badr-el-Budur. Tymczasem, kiedy nadeszła popołudniowa pora i powietrze się orzeźwiło, gdyż żar słoneczny ustał, sułtan rozkazał swoim wojownikom, emirom i bejom podążyć na wielki majdan, gdzie zwykle odbywały się turnieje. Wszyscy pociągnęli tam hucznie, a i sam sułtan dosiadł wspaniałego rumaka i udał się wraz z nimi. Również i Aladyn wraz ze swoimi mamelukami tam pocwałował. Rozpoczął się turniej i Aladyn zablęsnął takim rycerskim kunsztem, że nikt nie potrafił dotrzymać mu pola. Przy czym dosiadł żrebca jakiego trudno znaleźć nawet wśród arabskich koni najczystszej krwi. Młoda jego małżonka, księżniczka Badr-el-Budur, przyglądała mu się z daleka z okien sułtańskiego pałacu. A kiedy widziała go tak w całej jego krasie i rycerskości, poczuła do niego niezmierną miłość i zdało się jej, że rosną jej skrzydła u ramion z dumy i szczęścia. Po odbyciu wielu gier i gonitw, w których każdy z dzygitów mógł okazać swoje rycerskie cnoty, a Aladyn odniósł zwycięstwo nad wszystkimi współzawodnikami, sułtan powrócił do swego pałacu, a Aladyn do swojego. Skoro zapadł już wieczór, agowie i dostojnicy udali się w liczny orszaku, towarzysząc Aladynowi do sławnej łaźni sułtańskiej. Aladyn wykapał się i namaścił wonnymi olejkami, a po odbytej kąpieli przeszedł do wielkiej sali, gdzie czekały na niego przygotowane szaty jeszcze wspanialsze od tych, które miał uprzednio, i przystroiwszy się dosiadł znów swego rumaka. Wojownicy i emirowie jechali przed nim, a czterech wezyrów czciło go, dźierząc nad nim cztery wzniesione do góry miecze. Liczni mieszkańcy miasta, goście i wojownicy kroczyli za nim w uroczystym pochodzie z pochodniami, bębnami, fletami i rozmaitymi innymi instrumentami muzycznymi, aż doprowadzili go do jego nowo wzniesionego pałacu. Aladyn zeskoczył z konia i wszedł do środka, po czym usiadł wśród wezyrów i emirów, którzy mu towarzyszyli. Mamelucy wnieśli orzeźwiające napoje i słodycze, którymi częstowano również całe pospółstwo przybyłe wraz z orszakiem, a były to nieprzeliczone

tlumy. Tymczasem sułtan powróciwszy z turnieju polecił, aby odprowadzono zaraz księżniczkę Badr-el-Budur w uroczystym pochodzie do pałacu wzniesionego dla niej przez Aladyna. U boku księżniczki szła jej świekra, a przed nią kroczyły żony emirów i wezyrów, agów i wysokich dostojników. Towarzyszło jej również owe czterdzieści niewolnic, które Aladyn był jej podarował, a każda z nich niosła w złocistym lichtarzu, wysadzonym drogimi kamieniami, wielką świecę, pachnącą kamforą i wszelkimi wonnościami. Również wszystkie niewiasty i wszyscy mężowie, którzy byli w pałacu sułtańskim, odprowadzali księżniczkę aż do wrót pałacu wzniesionego dla niej przez młodego małżonka. Niewiasty weszły razem z panną młodą po schodach aż do owej najpiękniejszej ze wszystkich komnat z dwudziestoma czterema niszami i rozłożyły tam nieprzeliczone mnóstwo prześlicznych szat, aby księżniczka mogła je sobie obejrzeć. Kiedy panna młoda skończyła oglądać ofiarowane jej stroje, niewiasty zaprowadziły ją do komnaty, gdzie oczekiwał na nią małżonek jej, Aladyn. Pan młody podszedł z wykwintnym ukłonem do księżniczki, kiedy jego matka stała jeszcze u jej boku. Skoro Aladyn przystąpił do swej oblubienicy i zdjął czarczaf z jej lic, staruszka nie mogła nachwalić się urody i wdzięku księżniczki Badr-el-Budur. Po czym dopiero matka Aladyna rozejrzała się po komnacie, w której się znalazła. Wszystko było tam ze złota i szlachetnych kamieni, a z pułapu zwisał szczerozłoty świecznik, wysadzany szmaragdami i hiacyntami. I wtedy staruszka tak powiedziała do siebie: "Dawniej mniemałam, że pałac sułtana jest najwspanialszy ze wszystkich, ale ta jedna komnata jest tak piękna, iż wydaje mi się, że żaden z potężnych królów perskich i sławnych cesarzy chińskich nigdy chyba nie posiadał nic podobnego. Zaiste, zdaje mi się nawet, że na całym świecie nie ma komnaty dorównującej tej oto". Również i księżniczka Badr-el-Budur zaczęła się rozglądać i zachwyciła się pałacem i całym otaczającym ją przepychem. Po czym znów wniesiono stoły i wszyscy jedli, pili i weselili się. Do sali weszło osiemdziesiąt niewolnic, z których każda niosła w ręku inny instrument muzyczny. Dziewczęta uderzyły w struny i zagrały tęskną melodię, aż serca słuchaczy zamarły z żalości. Księżniczka Badr-el-Budur dziwowała się coraz bardziej, mówiąc do siebie: "W ciągu całego mego życia nigdy jeszcze tak cudownych melodii nie słyszałam". Ba, zapomniała nawet o jedzeniu, zasłuchana w ich urzekające piękno. Aladyn zaś dolewał jej tymczasem wina i podawał puchar własną ręką. Po skończonej uczcie wyniesiono stoły, Aladyn zaś wstał i udał się do komnaty swej oblubienicy. Kiedy nastał dzień, pokojowiec przyniósł Aladynowi jeszcze wspanialszą szatę, iście monarszą. Aladyn wdział ją i usiadł na miękkich poduszkach, a słudzy przynieśli mu kawę z wonnymi przyprawami. Po wypiciu jej wydał rozkaz, aby podprowadzono mu konia, po czym dosiadł rumaka, a jednocześnie wskoczyli na koń mamelucy i cały orszak udał się do pałacu sułtańskiego. Wnet przejechał bramę pałacu, a słudzy pośpieszyli donieść sułtanowi, że Aladyn przybywa, aby swojego teścia odwiedzić. Sułtan wyszedł mu od razu na spotkanie, objął go i ucałował jak rodzzonego syna, a potem kazał mu usiąść po swojej prawicy. Wezyrowie i emirowie, wysocy dostojnicy państwa i agowie z całego kraju podchodzili doń, aby mu złożyć życzenia, a sam sułtan życzył mu również szczęścia i błogosławił. Potem padyszach polecił przynieść śniadanie, co też się stało, i obaj spożyli je wspólnie. Skoro służba wyniosła znów stoły, Aladyn zwrócił się do sułtana i rzekł: - Dostojny panie, czy wasza sułtańska mość nie raczyłby spożyć dziś obiadu u swej ukochanej córki księżniczki Badr-el-Budur, przybywszy do nas wraz z całą swoją świtą, z wezyrami i agami z całego kraju? - Z przyjemnością, mój synu - odparł sułtan, wielce rad z zaproszenia. Polecił też wezyrom, agom i wysokim dostojnikom państwa poczynić odpowiednie przygotowania, po czym sułtan i jego świta dosiedli rumaków i pojechali do nowo wzniesionego pałacu Aladyna. Tam sułtan jął przyglądać się dokładnie wspaniałemu wnętrzu, ozdobionemu szlachetnymi kamieniami, zielonym agatem i rdzawym karniolem\*. Oszołomiony bogactwem i przepychem pałacu Aladyna zwrócił się do wezyra: - No i co powiesz teraz, wezyrze, czyś w całym swoim życiu widział coś równie pięknego? Czyż u najpotężniejszego na całym świecie władcy istnieją takie skarby i jest tyle złota i klejnotów co w tym oto gmachu? - Mój panie i padyszachu - odparł wezyr - coś podobnego przekracza możliwość każdego, najpotężniejszego nawet spośród śmiertelnych władców. Gdyby wszystkie narody całego świata zapragnęły zbudować taki pałac, nie zdołałyby tego uczynić. Ba, nie znalazłby się nawet budowniczy, który potrafiłby dokonać takiego dzieła. Przeto, jak to już jego sułtańskiej mości raz mówiłem, powtarzam, że wszystko to mogło



powstać jedynie za pomocą nieczystej siły czarnoksiężkiej. Sułtan wiedział wszakże, iż wezyr mówi tak tylko z zazdrości, toteż odpowiedział mu: - Dosyć, nie chcę tego więcej słyszeć. Wiem bowiem, co cię skłania do takiej mowy. Następnie Aladyn oprowadził sułtana po całym pałacu, aż w końcu doszedł do komnaty z dwudziestoma czterema niszami. Padyszach oglądał piękne sklepienie, kształtne okna i kunsztowne kraty wysadzone szmaragdami, hiacyntami i innymi drogimi kamieniami, zachwycał się i dziwował nieomal do utraty zmysłów i zamroczenia rozumu, po czym jął obchodzić dookoła komnatę, przyglądając się z bliska wszystkiemu, co wzrok jego osłepiało. Wtedy też dostrzegł ową niszę, którą Aladyn umyślnie pozostawił nie wykończoną, i zawołał: - O jakże mi Ciebie żal, piękna niszko, że widzę cię w takim stanie! Zwracając się zaś do wezyra, zapytał: - Czy wiesz, wezyrze, dlaczego ta jedna nisza spośród wszystkich nie została wykończona? A wezyr na to: - Dostojny panie, wydaje mi się, że niszę tej nie zdążono wykończyć, ponieważ wasza sułtańska mość zbyt przyspieszył termin zaślubin Aladyna, tak że zabrakło już czasu tego dokonać. Tymczasem Aladyn poszedł do swej młodej małżonki, aby oznajmić jej o przybyciu sułtana. Kiedy od niej powrócił, padyszach go zapytał: - Synu mój Aladynie, powiedz mi, dlaczego krata w tej oto niszy nie jest gotowa? Aladyn odrzekł: - O największy władco naszych czasów, ponieważ raczyłeś przyspieszyć termin mojego wesela, majstrowie nie zdążyli kratę wykończyć. - Tedy ja się tym zajmę - rzekł sułtan. Aladyn zaś na to: - Niech Allah pomnaża twoją sławę, o padyszachu! W ten sposób i tu, w pałacu twojej córki, pamięć o tobie zostanie po wsze czasy zachowana. Sułtan rozkazał niezwłocznie zawezwać jubilerów i złotników i polecił, aby wydano im z jego skarbcza wszystko, czego zażądają: czy to będzie złoto, inne szlachetne kruszce, czy drogie kamienie i klejnoty. A kiedy się zjawili, padyszach rozkazał im natychmiast przystąpić do wykończenia brakującego kawałka kraty. Tymczasem nadeszła księżniczka Badr-el-Budur, aby powitać dostojnego rodzica. Gdy sułtan ujrzał promieniejące ze szczęścia oblicze swej ukochanej córki, wziął ją w objęcia, ucałował i udał się wraz z nią na jej pokoje, a wszyscy podążyli za nimi. Tymczasem nadeszła pora obiadu i stoły zostały wniesione, jeden dla sułtana, księżniczki Badr-el-Budur i Aladyna, a drugi dla wezyra i pozostałych dostojników państwa, emirów, szejków i agów. Sułtan zasiadł pomiędzy córką, księżniczką Badr-el-Budur, a zięciem, Aladynem. Kosztował potraw i dziwował się wielce, że są takie smaczne, korzenne i wyszukane. Podczas uczyty wkroczyło do sali i stanęło przed nimi osiemdziesiąt niewolnic, z których każda mogła śmiało powiedzieć do księżycy: "Zejdź z nieboskłonu, a ja zastąpię twój blask!" Każda z nich miała w ręku instrument muzyczny. Nastroiły je, uderzyły w struny i popłynęła tak urzekająca melodia, że najsmutniejsze serce zapomnieć musiało o swoich troskach. Następnie udano się do innej sali, aby spożyć tam deser. W końcu sułtan powstał i poszedł zobaczyć, czy dzieło jego jubilerów i złotników dorównuje jakością arcydziełom tego pałacu. Udał się więc do nich na górę, aby obejrzeć ich robotę, ale przekonał się, że umiejętność ich nie dorównuje mistrzostwu, z jakim pozostałe nisze były wykończone. Kiedy sułtan obejrzał robotę swoich złotników i jubilerów, a ci oznajmili mu, że zużyli już wszystkie drogie kamienie, jakie były w jego skarbcu, ale i to nie wystarczyło, rozkazał, aby otwarto główny skarbiec sułtański i wydano rzemieślnikom wszystko, czego zażądają, a jeśli i to nie wystarczy, to należy im dać nawet te drogie kamienie, które sułtan otrzymał w darze od Aladyna. Jubilerzy wzięli wszystkie te drogie kamienie i pracowali dalej. Ale wnet doszli do przekonania, że i tego za mało. Ba, nie zdołali wykonać nawet połowy brakującej kraty. Wtedy sułtan rozkazał, by dodano im jeszcze wszystkie szlachetne kamienie, jakie znajdowały się we władaniu wezyrów i agów w całym kraju. Jubilerzy wzięli i te i użyli do roboty, lecz i to nie starczyło. Nazajutrz rano Aladyn wszedł na górę, aby obejrzeć dzieło sułtańskich jubilerów, i zauważył, że mimo wszystko nie zdołali wykonać nawet połowy brakującego kawałka kraty. Rozkazał im więc natychmiast, aby wszystko, co dotąd zrobili, znów rozebrali, a drogie kamienie zwrócili ich dawnym właścicielom. Jubilerzy usłuchali rozkazu i odesłali wszystko: co było sułtana - sułtanowi, a co było wezyrów i agów - wezyrom i agom. Po czym poszli do sułtana i oznajmili mu, że uczynili tak z rozkazu Aladyna. - Cóż on wam rozkazał? - zapytał sułtan. - Dlaczego nie życzył sobie, abyście skończyli kratę? I dlaczego kazał wam to, coście już zrobili, rozebrać? - O panie nasz i padyszachu! - odparli rzemieślnicy. - My nic nie wiemy, ale takie były jego rozkazy. Tedy sułtan natychmiast dosiadł rumaka i wraz ze świtą udał się do pałacu swego zięcia. Ten zaś,

odesławszy złotników i jubilerów, poszedł był właśnie do komory w swym dawnym domu i potarł lampę. W tym samym momencie zjawił się przed nim dzinn i zawołał: - Żądaj, czego ci potrzeba, sługa twój stoi przed tobą i czeka! Aladyn na to: - Żądam, aby krata w oknie niszy w komnacie mojej małżonki została dokończona. - Do usług! - odparł dzinn, znikł na chwilę, a potem powrócił i oznajmił: - Panie mój i władco, to, coś mi rozkazał, uczyniłem. Wówczas Aladyn udał się do swego nowo wzniesionego pałacu, wszedł na górę do komnaty z dwudziestoma czterema niszami i przekonał się, że wszystkie kraty w niszach są wykończone. Gdy je oglądał, zjawił się nagle jeden ze służących i oznajmił: - Dostojny panie, jego sułtańska mość zaraz tu przybędzie, jest już u wrót twego pałacu. Aladyn zszedł więc natychmiast na dół, aby powitać sułtana. Kiedy ten ujrzał swego zięcia, tak do niego rzecze: - Powiedz mi, mój synu, dlaczegoś nie pozwolił moim jubilerom dokończyć kraty w komnacie o dwudziestu czterech niszach? - O największy władco naszych czasów - odparł Aladyn - rozmyślnie pozostawiłem to miejsce nie dokończonym, choć z łatwością można je było wykończyć. Nie mogę jednak dopuścić, aby wasza sułtańska mość zaszczycił mnie swoimi odwiedzinami w pałacu, w którym sam zauważył jakowys brak. Proszę przeto, aby wasza sułtańska mość raczył wejść na górę, aby obejrzeć kraty w komnacie o dwudziestu czterech niszach i sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Tedy sułtan wszedł na górę do komnaty z niszami i jał rozglądać się na wszystkie strony. Ale nigdzie nie mógł dostrzec najmniejszego braku, a przeciwnie, zauważył, że wszystko jest w jak największym porządku. Przekonawszy się o tym zdziwił się niepomernie, wziął Aladyna w objęcia, ucałował go i tak do niego powiada: - Kochany synu, cóż to za nowy cud! W ciągu jednej nocy dokonaleś znów dzieła, jakiego moi jubilerzy i złotnicy w ciągu długich miesięcy nie zdołaliby dokonać! Na Allacha, wydaje mi się, że nikt na całym świecie nie potrafi ci dorównać! A Aladyn na to: - Niech Allah ci użycz długiego życia i wiecznego trwania! Sługa twój nie zasługuje na taką pochwałę. - Na Allacha, mój synu - ciągnął dalej sułtan - nie ma pochwały, na jaką byś nie zasługiwał, albowiem stworzyłeś arcydzieło, jakiego stworzyć wszyscy budowniczywie całego świata by nie potrafili. Następnie sułtan udał się na pokoje swojej córki księżniczki Badr-el-Budur, aby u niej chwilę odpocząć. Zastał ją uradowaną wspaniałym przepychem, jakim ją Aladyn otoczył. Odpocząwszy u niej powrócił do swego pałacu. Od tego dnia Aladyn przejeżdżał codziennie ulicami miasta w otoczeniu swoich mameluków, którzy rozrzucali złote monety wśród pospólstwa. Toteż cały lud go miłował, zarówno mieszkańcy stolicy, jak i przybysze z bliskich i dalekich okolic, za to, że był ponad wszelką miarę hojny i wspaniałomyślny, że wspierał biednych i niezamożnych, a nawet rozdawał własnoręcznie jałmużnę ubogim. Czyniąc tak, Aladyn zdobywał sobie mir u wszystkich i rozgłos w całym kraju. Większość agów i emirów chętnie ucztowała w jego domu, a ludzie przysięgali się obecnie już tylko na jego drogocenne życie. Od czasu do czasu zwykł był również jeździć na polowanie albo harcować na przeznaczonym do turniejów majdanie, biorąc udział w rycerskich grach i gonitwach, urządzanych przez sułtana. Gdy księżniczka Badr-el-Budur mu się przyglądała, jak toczył koniem, miłość jej do niego coraz bardziej rosła i księżniczka myślała w duchu, że Allah obdarzył ją wielkim szczęściem, rozdzielając z synem wezyra, aby zachować dla prawowitego małżonka Aladyna. Sława i rozgłos Aladyna wzmagaly się z dnia na dzień. Miłość do niego w sercach wszystkich poddanych sułtana była coraz głębsza i w oczach ludzkich stanął wysoko w aureoli majestatu. Zdarzyło się, że wkrótce potem na państwo sułtana napadły hordy wrogich najeźdźców. Zebrał więc sułtan wojsko i postawił na jego czele Aladyna, który ze swymi hufcami wnet znalazł się w obliczu nieprzeliczonych zastępów wrogich hord. Nie uląkł się ich wszakże, lecz z obnażoną szablą rzucił się na nieprzyjaciela. Rozgorzała zaciekle bitwa i Aladyn rozgromił wraźą potęgę zmuszając najeźdźców do ucieczki. Wielu położył trupem, a całe ich mienie stało się jego zdobyczą. Po czym wrócił do stolicy z nieprzeliczonymi i nie dającym się ocenić łupami. Jako dumny zwycięzca wjechał tryumfalnie do miasta, które na jego cześć zostało wspaniale przyozdobione. Sam sułtan wyjechał na jego spotkanie, wieszował mu zwycięstwa, wziął w swoje objęcia i ucałował, a w całym mieście obchodzono radośnie wielkie święto zwycięstwa. Sułtan wraz z Aladynem pojechał do jego pałacu. Tam na ich spotkanie wyszła księżniczka Badr-el-Budur witając ich z wielką radością i wzruszeniem. Ucałowawszy męża, poprowadziła go na swoje pokoje. Po krótkiej chwili przyszedł tam i sułtan. Usiedli i pili przyniesione przez niewolnice napoje chłodzące, a sułtan wydał

rozkaz, aby nie tylko stolica, ale cały kraj uroczyście świętował zwycięstwo Aladyna. Od tej chwili dla wszystkich poddanych sułtana, zarówno mieszkańców miasta, jak i wojowników i wieśniaków, istniał tylko Allah na niebie i Aladyn na ziemi. Miłowano go coraz bardziej, gdyż był przecież nie tylko ponad wszelką miarę szczodry i wspaniałomyślny, ale był również tym, który obronił walecznie kraj przed hordami najeźdźców. Zostawmy teraz Aladyna i zobaczymy, co stało się z mauretańskim czarnoksiężnikiem. Wróciwszy do swego kraju przebywał tam, przez cały ten czas utyskując i narzekając, gdyż mimo że nie żałował trudów i wysiłków, aby zdobyć czarodziejską lampę, w końcu wszystko okazało się całkowicie daremne i kęs, który miał już nieomal w ustach, został mu w ostatniej chwili odebrany. A kiedy tak lamentując rozmyślał o swojej porażce, przeklinał Aladyna, pałając do niego bezmierną nienawiścią, przy tym tak do siebie mówił: "Przynajmniej z tego jednego się cieszę, że ten łotr zginął marnie w podziemnej pieczarze, i nie tracę nadziei, że uda mi się jeszcze kiedyś dostać w posiadanie ową czarodziejską lampę, która jest tam bezpiecznie ukryta". Pewnego dnia wszakże jął znowu czynić gusła rzucając garście piasku, aż ukazały mu się magiczne figury. Uporządkował je należycie i odrysował, aby móc je dokładnie zbadać i na zasadzie tego stwierdzić, czy Aladyn istotnie już nie żyje i czy lampa czarodziejska znajduje się jeszcze, bezpiecznie ukryta, pod ziemią. Przyjrzał się wyczarowanym znakom starannie i przekonał się, że lampy już pod ziemią nie ma. Wtedy porwała go wściekłość i rzucił raz jeszcze piaskiem, aby dowiedzieć się o śmierci Aladyna. Ale i młodzieńca nie ujrzał w pieczarze ze skarbami. Wówczas wściekłość jego jeszcze się wzmogła i stawała się coraz większa, w miarę, jak mówił sam do siebie: "Zniosłem wiele udręki, podjąłem się ciężkich trudów, których by nikt nie zniósł, jedynie po to, aby tę czarodziejską lampę posiadać. A ten piekielnik dostał ją bez wysiłku. Na pewno, jeśli zna jej czarodziejską moc, jest obecnie największym na świecie bogaczem". Po czym rzucał znów piasek, badał magiczne figury i dowiedział się z nich, że Aladyn posiada niesłychane bogactwa i że poślubił sułtańską córkę. Wtedy zawiść podsyciła w nim płomień gniewu i nie zwlekając wyruszył w drogę do krainy chińskiej. Skoro osiągnął stolicę sułtana, w której Aladyn mieszkał, wszedł do miasta i zatrzymał się w jednym z karawanserajów. Tam musiał ciągle wysłuchiwać, jak ludzie opowiadali o przepychu w pałacu Aladyna. Odpocząwszy po podróży ubrał się i wyszedł, aby pochodzić po ulicach miasta. A od każdego przechodnia słyszał ciągle tylko o nowo wzniesionym pałacu i jego przepychu lub o promiennej urodzie, wspaniałomyślnej szczodrości oraz innych niedościgłych zaletach Aladyna. Wówczas mauretański czarodziej podszedł do jednego z tych, którzy w ten sposób o Aladynie mówili, i zapytał go: - Dobry młodzieńcze, kim jest ten człowiek, o którym tyle mówicie i tak go wielbicie? Ów zaś odpowiedział: - Człowieku, wydaje się, że jesteś obcy w tym mieście i że przybywasz z dalekich krajów. A jeśli nawet jesteś istotnie obcokrajowcem, to i tak dziwię się, że nie słyszałeś o naszym Aladynie, którego sława, jak myślałem, rozeszła się po całym świecie. Jego pałac jest jednym z cudów świata, o którym musiał słyszeć każdy, zarówno ten, co jest blisko, jak i ten, co przybywa z daleka. W jakież więc sposób mogło się stać, że cię żadna wieść nie doszła ani o tym pałacu, ani o Aladynie, któremu oby Allah pomnożył sławę i przysporzył szczęścia? A Mauretanin na to: - Jest moim najgłębszym pragnieniem pałac ten obejrzeć. Jeśli chcesz mi wyświadczyć usługę, zaprowadź mnie tam, gdyż nie znam tego miasta. - Spełnię chętnie twoje życzenie - odparł ów młodzieniec i zaprowadził Mauretanina do pałacu Aladyna. Mauretanin przyjrzał się pałacowi i od razu zmiarkował, że wszystko to jest dziełem czarodziejskiej lampy. Wtedy wykrzyknął: - Muszę na tego przekłętą syna krawca, który dawniej nie miał nawet tyle, aby wieczerzać do syta, zastawić sidła. Jeśli Allah da mi tyle siły, to doprowadzę do tego, aby matka jego znowu przędła na kołowrotku, jak czyniła to uprzednio. Jego samego zaś pozbawię życia! Po czym wrócił do karawanseraju zafrasowany, pełen smutku i pożerany zawiścią. Wróciwszy wziął swoje przybory czarnoksiężskie i rzucał piasek, aby dowiedzieć się, gdzie jest lampa. Wnet odkrył, że znajduje się w pałacu Aladyna, ale że on sam nie ma jej przy sobie. Uradowany tym wielce rzekł do siebie: "Będę mógł bez żadnych trudności piekielnikowi temu życie odebrać i widzę już nawet sposób, aby lampę zdobyć". Następnie poszedł do lampiarza i powiedział: - Zrób mi kilka lamp, a otrzymasz większą zapłatę. Ale wymagam od ciebie, ażebyś szybko je wykonał. - Słucham i zastosuję się do twego zlecenia - odparł tamten i wziął się zaraz do roboty. Kiedy lampy były gotowe, Mauretanin zapłacił

i zabrał je do karawanseraju. Tam włożył je do koszyka i zaczął krążyć po bazarach i ulicach miasta, wołając: - Hej, zamieniam stare lampy na nowe! Kiedy ludzie słyszeli go tak wołającego, zaczęli się z niego wyśmiewać i mówili: - Ten człowiek zapewne jest szalony, jeśli chodzi po domach, aby oddawać nowe lampy za stare. I pospólstwo zaczęło za nim gonić, a ulicznicy nie odstępowali go ani na krok i wyśmiewali się z wariata. On wszakże nie zatrzymywał się i nie zważał na nic, ale krążył coraz dalej i dalej po mieście, aż w końcu doszedł do pałacu Aladyna. Tam powtórzył swoje wołanie tak głośno, jak tylko mógł, przekrzykując chłopaków, którzy wrzeszczeli: "Wariat! Wariat!" Przy tym zdarzyło się, że księżniczka Badr-el-Budur była właśnie w komnacie z dwudziestoma czterema niszami i usłyszała, że ktoś woła, a ulicznicy mu głośno urągają. Nie rozumiała wszakże o co chodzi. Wydała więc jednej ze swoich niewolnic polecenie: - Zejdź na dół i zobacz, co to za człowiek i co wykrzykuje! Niewolnica zeszła, spojrzała i zobaczyła przekupnia wołającego: "Hej, zamieniam stare lampy na nowe!", gdy tymczasem ulicznicy go wyśmiewali. Wróciła więc do swej pani, księżniczki Badr-el-Budur i oznajmiła: - Człowiek ten wykrzykuje: "Hej, zamieniam stare lampy na nowe!" A chłopaki biegną za nim i wyśmiewają go. Wówczas księżniczka Badr-el-Budur zaczęła również śmiać się z tego dziwaczego przekupnia. Zdarzyło się właśnie, że Aladyn zostawił był lampę czarodziejską w swojej komnacie, zamiast ją odnieść do skarbcza i tam zamknąć. Jedna z niewolnic zauważyła to i rzekła do księżniczki Badr-el-Budur: - Dostojna pani, zdaje mi się, że widziałam w komnacie naszego władcy i pana starą lampę. Spróbujmy zamienić ją u tego przekupnia na nową, aby przekonać się, czy jego słowa są prawdziwe, czy też nie. Wtedy księżniczka Badr-el-Budur powiedziała: - Przynies starą lampę, o której mówisz, że widziałas ją w komnacie naszego pana! Księżniczka bowiem nic nie wiedziała ani o istnieniu lampy, ani o jej czarodziejskiej mocy i nie przypuszczała nawet, że lampie tej małżonek jej zawdzięcza całe swoje bogactwo. Obecnie zachciało się jej po prostu wypróbować rozum owego człowieka, który chce wymieniać nowe lampy za stare. Niewolnica udała się więc do komnaty Aladyna i wróciła do księżniczki Badr-el-Budur z czarodziejską lampą w ręku. Ponieważ zaś nikt nie spodziewał się podstępu i złośliwości ze strony przekupnia, księżniczka kazała swemu naczelnemu słudze aby zszedł na dół i zamienił lampę Aladyna na nową. Sługa wziął lampę, zszedł na dół i wręczył ją Mauretaninowi, a otrzymawszy od niego nową, powrócił podając lampę księżniczce. Księżniczka przyjrzała się i przekonała, że jest naprawdę nowa. Wobec czego zaczęła drwić ze stanu rozumu Mauretanina. Czarownik otrzymawszy lampę i poznawszy, że to ta sama, która była w pieczarze ze skarbami, schował ją zaraz w zanadrze, a wszystkie inne lampy, jakie miał ze sobą, oddał ludziom chcącym zrobić z nim zamianę. Po czym pobiegł tak prędko, jak mógł, aż znalazł się daleko poza miastem. Następnie szedł jeszcze długo, aż noc zapadła. Zmiarkowawszy, że jest już sam na pustkowiu i że nikogo prócz niego tam nie ma, wyciągnął lampę z zanadza i potarł ją. Natychmiast ukazał się džinn i powiedział: - Niewolnik twój stoi przed tobą! Mów, czego sobie życzysz! Mauretanin na to: - Życzę sobie, abyś pałac Aladyna z jego mieszkańcami oraz wszystkim, co w nim jest, zabrał z tego miejsca, gdzie się obecnie znajduje, i wzięwszy mnie z nim razem, przeniósł do mojej ojczyzny Afryki, a tam postawił go znów na ziemi. Życzę sobie, aby pałac ten stanął wśród ogrodów mego miasta! - Słucham i zastosuję się do twego życzenia! - odparł usłużny džinn. - Zamknij oczy, a kiedy je otworzysz, znajdziesz się wraz z całym pałacem w twoim kraju. I natychmiast tak się stało. W jednej chwili Mauretanin wraz z pałacem i wszystkim, co w nim było, został przeniesiony do afrykańskiej krainy. Tyle o mauretańskim czarodzieju. Wróćmy teraz do sułtana i Aladyna. Sułtan miał zwyczaj codziennie rano, z troskliwej miłości do swej córki, księżniczki Badr-el-Budur, otwierać okno i przez nie na jej pałac spoglądać. Tak też uczynił i owego dnia, aby spojrzeć w kierunku, gdzie znajdowała się jego córka. Skoro jednak sułtan rzucił wzrokiem z okna swojej komnaty w kierunku, gdzie powinien był stać pałac Aladyna, nie ujrzał nic, jeno pusty plac, tak jak dawniej. Nie mógł dojrzeć ani pałacu, ani żadnego innego budynku. Wtedy naszło na sułtana niezmierne zdumienie i rozum mu się pomieszał. Zaczął przecierać oczy, aby przekonać się, czy nie są zamglone lub ociemniałe. Potem przyjrzał się jeszcze raz, ale w końcu doszedł do przekonania, że po pałacu nie zostało ani śladu. Wtedy pomieszanie jego jeszcze się wzmogło. Załamywał ręce, a łzy ciekły mu po brodzie, bo nie wiedział, co się mogło córce jego przydarzyć. Natychmiast wysłał sługę po wezyra. Ten przybył zaraz i kiedy

wszedł do komnaty swego władcy i ujrzał go w tak żalnym stanie, powiedział: - O największy władco naszych czasów, niechże Allah zachowa cię od nieszczęścia! Powiedz mi, dlaczego jesteś tak zafrasowany? Sułtan zaś zawołał: - Czyż naprawdę nie wiesz nic o moim nieszczęściu? - Zaiste nic, dostojny padyszachu odparł wezyr. - Na Allacha, nie doszła mnie żadna wieść. A sułtan na to: - Widocznie nie spoglądałeś w kierunku pałacu Aladyna. - To prawda, panie mój i padyszachu - rzekł wezyr - ale o tej porze pałac ten jest pewnie jeszcze zamknięty. A sułtan mówił dalej: - Ponieważ o niczym jeszcze nie wiesz, spójrz przez to okno i zobacz, co się stało z pałacem Aladyna, o którym to pałacu mówisz, że jest jeszcze zamknięty. I wezyr spojrział przez okno we wskazanym kierunku. Nie zobaczył jednak nic, ani pałacu, ani śladu po nim. Całkiem oszołomiony spojrział na sułtana, a ten zapytał: - Znasz teraz przyczynę mojej żaloby? - O największy władco naszych czasów - rzekł wezyr - już dawniej ośmieliłem się mówić waszej sułtańskiej mości, że zarówno ten pałac, jak i wszystko inne jest dziełem nieczystej czarnoksiężskiej siły. Tedy sułtan zapłonął gniewem i krzyknął: - Gdzie jest Aladyn? Skoro wezyr odpowiedział, że Aladyn jest na polowaniu, padyszach wydał rozkaz, aby kilku emirów ze swymi wojownikami wyruszyło w pogoń za Aladynem i skrepowawszy mu ręce i nogi, natychmiast tu go przywiozło. Emirowie wraz z wojownikami wyruszyli zaraz, a kiedy spotkali Aladyna, tak do niego powiedzieli: - O panie nasz, Aladynie, nie bądź na nas o to krzyw, ale otrzymaliśmy od sułtana rozkaz, abyśmy cię, spętawszy ci ręce i nogi, do niego odstawili. Błagamy cię, nie przypisuj nam za to winy, gdyż czynimy jedynie to, co nam rozkazano, i nie możemy sprzeciwić się woli padyszacha! Aladyn usłyszawszy te słowa, nie posiadał się ze zdumienia. Odjęło mu mowę na czas jakiś, ponieważ nie znał przyczyny tego wszystkiego, lecz po chwili tak do nich powiada: - Ludzie, czyż nie znacie powodu, dla którego sułtan wydał ten rozkaz? Czuję się niewinny, nie popełniłem bowiem żadnej zbrodni ani przeciwko mojemu padyszachowi, ani mojej ojczyźnie. - O panie nasz - padła odpowiedź - nic o niczym nie wiemy. Wówczas Aladyn zeskoczył ze swego rumaka i tak do nich rzekł: - Róbcie ze mną, co sułtan wam polecił. Albowiem rozkazom padyszacha muszę się poddać. Emirowie nałożyli Aladynowi okowy na nogi i kajdany na ręce i powlekli go w żelaznych łańcuchach do miasta. Skoro mieszkańcy miasta ujrzeli Aladyna w żelaznych okowach na rękach i nogach, zmiarkowali od razu, że sułtan każe go ściąć, ponieważ jednak miłowali wielce Aladyna, zgromadzili się wszyscy z bronią w ręku, opuszczając swoje domy, i podążyli za wojownikami, aby zobaczyć, co dalej będzie. Gdy wojownicy z więźniem przybyli do sułtańskiego pałacu, złożyli padyszachowi sprawozdanie z tego, co działali, a ten wydał od razu polecenie katu, aby przybył i ściął Aladynowi głowę. Lecz skoro tylko zgromadzony lud to usłyszał, zatarasował bramę pałacu i kazał sułtanowi powiedzieć: - Zburzymy twój pałac ponad głowami wszystkich, co się tam znajdują, a w tym również i ponad twoją głową, padyszachu, jeśli Aladynowi stanie się chociażby najmniejsza krzywda. Wezyr podszedł wówczas do sułtana i rzekł: - O największy władco naszych czasów, nastał dla nas koniec! Przeto najlepiej będzie, jeśli Aladynowi przebaczysz, abyśmy uniknęły nieszczęścia, gdyż ludność miłuje go bardziej niż nas obu. Kat zaś przyniósł tymczasem skórę, na której ścinano głowy, posadził na niej Aladyna i zawiązał mu oczy, po czym obszedł go trzy razy dookoła, czekając na ostatni rozkaz sułtana. Sułtan widział wszakże, jak pospólstwo do pałacu szturmuje i już nawet na mury się wspina, aby zacząć je burzyć. Toteż natychmiast rozkazał katu oswobodzić Aladyna i polecił czauszowi, aby oznajmił zebranemu pospólstwu, iż padyszach przebaczył Aladynowi i uwolnił go od winy i kary. Skoro Aladyn znalazł się na wolności i ujrzał sułtana siedzącego na tronie, podszedł do niego i tak rzecze: - Dostojny panie, jeśli wasza sułtańska mość raczy darować mi życie, to niech raczy również powiedzieć, jaką zbrodnię popełniłem. - Ha, zdrajco! - krzyknął sułtan. - A więc nie znasz jeszcze własnej zbrodni? - Potem zwrócił się do wezyra, mówiąc: - Weź go i pokaż mu przez okno, co się stało z jego pałacem! Kiedy wezyr go tam zaprowadził i kiedy Aladyn spojrział przez okno w kierunku swego pałacu, ujrzał pusty plac, taki, jaki był przedtem, zanim pałac został wybudowany. Z pałacu nie pozostało najmniejszego śladu. Aladyn osłupiał ze zdumienia, nie rozumiejąc, co się stało. Skoro powrócił do sułtana, ten krzyknął: - No i cóż, widziałeś? Gdzie jest twój pałac? Gdzie jest moja córka, serdeczna krew mojej krwi, moje jedyne dziecko? - O największy władco naszych czasów - odparł Aladyn - nic z tego nie rozumiem i zaiste nie wiem, co się stało! A sułtan ciągnął dalej: - Wiedz, Aladynie, że

przebaczyłem ci tylko po to, abyś mógł całą tę rzecz zbadać, udać się w drogę i odnaleźć moją córkę. Ale wolno ci się zjawić przed moim obliczem jedynie z nią razem. Jeśli zaś mi jej nie sprowadzisz, knę się na własną głowę, każę odrąbać twoją. - Słucham i zastosuję się do twych rozkazów, o największy władco naszych czasów - odparł Aladyn. - Ale udziel mi czterdziestu dni zwłoki. Jeśli po upływie tego czasu córki twej ci nie sprowadzę, każę odrąbać mi głowę i uczynić ze mną, co ci się podoba. Wtedy sułtan rzekł do Aladyna: - Daję ci czterdzieści dni zwłoki, o które prosisz, ale niech ci się nie wydaje, że zdołasz ująć mojej karzącej ręki, gdyż potrafię cię tu sprowadzić, i to nie tylko, gdy chodzisz po ziemi, ale nawet gdybyś się unosił ponad chmurami! - O mój panie i padyszachu - odparł Aladyn - jak to już waszej sułtańskiej mości powiedziałem, jeśli nie zdołam sprowadzić w oznaczonym terminie twej córki, sam stawię się przed twym obliczem, abyś kazał mi odrąbać głowę. Kiedy zgromadzony lud ujrzał Aladyna, nie posiadał się ze szczęścia na jego widok i wydawał radosne okrzyki, widząc go na wolności. Ale hańba i wstyd, odczuwane przez Aladyna, jak również i złośliwa radość zazdrośników pochylały jego głowę. Odszedł i błądził bez celu po ulicach, nie mogąc zrozumieć, jak to się wszystko stało. Przez dwa dni pozostał w mieście pogrążony w głębokiej rozpaczy, nie wiedząc, co ma uczynić, aby odzyskać swoją młodą małżonkę, księżniczkę Badr-el-Budur, oraz swój pałac. Niektórzy z mieszkańców miasta przychodzili do niego potajemnie, aby przynieść mu jedzenie i picie. Potem wszakże Aladyn opuścił miasto i tułał się po szerokiej równinie, nie zważając nawet na to, w jakim kierunku się nawet udaje. Idąc tak ciągle przed siebie, doszedł do jakiejś rzeki. Nadmiar cierpienia wypełniający jego duszę zabił w nim wszelką nadzieję i Aladyn chciał się rzucić w odmęty. Zatrzymał się jednak nad brzegiem rzeki, aby spełnić przedtem nakazane przez religię ablucje\*. A kiedy czerpał wodę dłonią i pocierał palce jedne o drugie, stało się, że potarł czarodziejski pierścień. Wówczas niezwłocznie ukazał się džinn i powiedział: - Twój niewolnik stoi przed tobą, mów, czego sobie życzysz! Aladyn ujrzawszy džinna odczuł wielką radość i powiedział: - Domagam się od ciebie, sługo, abyś mi natychmiast mój pałac wraz z moją małżonką, księżniczką Badr-el-Budur, oraz wszystkim, co się w nim znajduje, tu sprowadził. Ale džinn odpowiedział: - Mój panie i władco, domagasz się ode mnie czegoś, czego wykonać nie zdołam, gdyż to zależy jedynie od czarodziejskiej lampy. Aladyn odrzekł: - Unieś mnie więc i postaw obok mojego pałacu, niezależnie od tego, w jakiej krainie on się obecnie znajduje! - To mogę i zastosuję się do twoich rozkazów, mój panie i władco! - odparł džinn, uniósł Aladyna i w jednej chwili postawił go obok jego pałacu w afrykańskiej krainie, przed oknami komnaty jego małżonki. Była to pora zmierzchu, lecz Aladyn momentalnie poznał swój pałac, a troski i smutki opuściły go. I zaczął modlić się do Allacha, aby pozwolił jemu, który był już poniechał wszelkich nadziei, ujrzeć jeszcze raz umiłowaną małżonkę. Ponieważ jednak od czterech dni z powodu nadmiaru bóleści, trosk i kłopotów oraz dręczących go myśli nie zmrużył oka, podszedł blisko do pałacu i położył się pod drzewem do snu. Pałac bowiem, jakżeśmy to już mówili, znajdował się teraz w afrykańskiej krainie wśród pięknych ogrodów podmiejskich. Aladyn przespał ową noc obok swego pałacu, leżąc spokojnie pod drzewem. Ten, czyja baranina znajduje się u właściciela podejrzonej spelunki, nie może zwykle zmrużyć oka z obawy o swoją własność, ale sen mimo to zawładnął Aladynem, ponieważ był bardzo zmęczony. Toteż spał aż do chwili, kiedy rankiem obudził go świergot ptaków. Wtedy wstał i poszedł nad rzekę, która tam właśnie przepływała. Obmył ręce i twarz, dokonał nakazanych przez religię ablucji i odmówił poranną modlitwę. Pomodliwszy się, powrócił i usiadł pod oknami komnaty księżniczki Badr-el-Budur. Księżniczka zaś w swej wielkiej żalości z powodu rozłąki z ukochanym małżonkiem i ze swym ojcem sułtanem oraz z powodu całego tego nieszczęścia, jakie przeklęty mauretański czarodziej na nią sprowadził, zwykła była wstawać skoro świt i gorzko płakać. Nocami nie mogła sypiać i odstawiała nietknięte jedzenie i picie. Kiedy wymawiała przepisowe pozdrowienie na końcu modlitwy porannej, zwykle wkraczała do pokoju jedna z niewolnic, aby pomóc jej przy ubieraniu. Tego dnia wszakże zdarzyło się, że niewolnica otworzyła okno, aby swą panią widokiem drzew i strumieni uradować i w strapieniu pocieszyć. Spojrzała przez okno, dostrzegła Aladyna, jak siedział pod oknami balkonu, i zaraz zawołała do księżniczki Badr-el-Budur: - O moja pani, tam przecież pod murami pałacu siedzi nie kto inny, jak nasz pan i władca Aladyn! Księżniczka podbiegła śpiesznie do okna, wyrzała przez nie i również

zobaczyła Aladyna, który właśnie był podniósł głowę i też spostrzegł swoją małżonkę. Pozdrowiła go więc, a on ją pozdrowił i oboje poczuli ze szczęścia niemal skrzydła u ramion. Księżniczka zawołała: - Wstań i przyjdź do mnie przez tajną furtkę, gdyż owego piekielnika na razie tu nie ma. Po czym na jej rozkaz niewolnica zbiegła na dół i otworzyła mu tajemne wejście. Aladyn wszedł do pałacu, a małżonka jego księżniczka Badr-el-Budur zbiegła po schodach na jego spotkanie. Padli sobie w objęcia, ucałowali się nie posiadając się z radości, a nawet rozplakali z nadmiaru szczęścia. Po czym usiedli i Aladyn tak zaczął: - Księżniczko Badr-el-Budur, przede wszystkim chciałbym cię o coś zapytać. W mojej komnacie znajdowała się stara mosiężna lampa. Skoro tylko księżniczka to usłyszała, westchnęła i przerwała Aladynowi: - O mój przyjacielu, z powodu tej właśnie lampy popadliśmy w to straszne nieszczęście! - A jakże to się stało? - zapytał Aladyn. Księżniczka Badr-el-Budur opowiedziała mu wszystkie swoje przeżycia od początku do końca, o tym, jak wymieniła ową starą lampę na nową, i zakończyła tymi słowy: - Nazajutrz ujrzeliśmy się wczesnym rankiem w tej oto krainie, a ten, który nas oszukał, obwieścił, iż uczynił to potęgą swych czarów dzięki właśnie owej lampie, że jest Mauretaninem z Afryki i że obecnie znajdujemy się w jego mieście. Powiedziawszy to księżniczka umilkła, a Aladyn tak rzecze do niej: - Powiedz mi, co ten piekielnik zamierza z tobą uczynić? Jak się do ciebie zwraca? Czego od ciebie żądał? A księżniczka na to: - Każdego dnia przybywa do mnie i chce mnie różnymi obietnicami skusić, abym go pokochała. Domaga się, abym wzięła go zamiast ciebie za małżonka, a o tobie zapomniała i wygnała cię z moich myśli. Powiedział mi również, że ojciec mój sułtan kazał ci odrąbać głowę. A przy tym stale powtarza, że jesteś synem biednych ludzi, a on jest sprawcą całego twego bogactwa. Przemawia do mnie przyjaźnie, ale z mojej strony spotyka się jedynie ze łzami i płaczem i nie usłyszał dotychczas ode mnie ani jednego słodkiego słówka. Aladyn pytał dalej: - Powiedz mi, jeśli wiesz, gdzie on schował lampę? A ona na to: - Stale nosi ją przy sobie w zanadrzu i nie chce ani na chwilę się z nią rozstać. Aladyn uradował się wielce tą wiadomością i tak do swej małżonki powiada: - Teraz odejdę, ale wkrótce powrócę przebrany w inne szaty. Wtedy nie dziw się mojemu wyglądowi. Każ jednej z niewolnic stać stale przy tajemnej furtce, aby natychmiast, kiedy mnie ujrzy, mogła mnie tutaj wpuścić! Muszę obmyślić środki i sposoby, by tego piekielnika zgładzić. Po czym Aladyn opuścił pałac i szedł przed siebie, aż spotkał na drodze chłopca i tak do niego powiedział: - Dobry człowieku, weź moje szaty, a oddaj mi twoje. Chłop nie chciał się zgodzić, lecz Aladyn go zmusił, zabrał mu ubranie, odział się w nie i oddał mu własne kosztowne szaty. Następnie poszedł dalej drogą wiodącą do miasta i tam udał się na bazar, gdzie sprzedawano leki; kupił w sklepie korzennym mocnego proszku z zieleń blekotu, które natychmiast działa, sześć miarek za dwa denary. Po czym tą samą drogą powrócił i stanął znów przed pałacem. Niewolnica otworzyła mu niezwłocznie potajemną furtkę i Aladyn wszedł na pokoje księżniczki Badr-el-Budur. Wkroczywszy do komnaty swej małżonki, Aladyn tak do niej powiada: - Życzę sobie, abyś się pięknie ubrała i przystroiła rzuciwszy żalobę. Potem skoro tylko Mauretanin tu przybędzie, przyjmij go serdecznym pozdrowieniem i uśmiechniętym obliczem, a następnie zaproś go, aby z tobą spożył wieczerzę. Zachowaj się z nim tak, jakbyś zapomniała o swoim umiłowanym Aladynie i o twoim ojcu, jego zaś mocno pokochała. Zażądaj od niego czerwonego wina, udawaj zadowoloną i wesołą, przypijając do niego! Kiedy zaś po wypiciu dwóch czy trzech pucharów przestanie być czujny, wsyp mu ten oto proszek do pucharu i nalej doń wina. Skoro Mauretanin wychyli puchar, upadnie zaraz na wznak jak nieżywy. Gdy księżniczka Badr-el-Budur usłyszała te słowa z ust Aladyna, tak do niego rzecze: - Jest to zadanie, które tylko z trudem zdołam wykonać. Ale ponieważ jedynie w ten sposób możemy ocalić się przed nikczemnością tego piekielnika, który udęczył mnie rozłąką z tobą i moim ojcem, wolno nam chyba to uczynić. Następnie Aladyn zjadł i wypił ze swoją małżonką, lecz jedynie tyle, aby głód swój i pragnienie zaspokoić. Po czym wstał i opuścił pałac. Księżniczka Badr-el-Budur zaś przywołała swoją służebnicę, która przybrała i przystroiła ją odświętnie. Przywdziawszy wspaniałe szaty, księżniczka namaściła się wonnymi olejkami. Ledwie zdążyła to uczynić, a już nadszedł przeklęty Mauretanin. Ujrzawszy ją tak wystrojoną, ucieszył się wielce, a jeszcze bardziej, kiedy przywitała go uśmiechniętym obliczem, całkiem inaczej niż dotąd. Płomień miłości do niej rozgorzał w nim mocniej, ona zaś posadziła go obok siebie, podsunęła miękkie poduszki i tak do niego powiada: - Mój panie i władco, jeśli chcesz,

możesz dziś wieczór do mnie przybyć, ażebyśmy wspólnie spożyli wieczerzę. Sprzykrzyła mi się już żaloba, albowiem gdybym siedziała lamentując nawet przez tysiąc lat, nic by to i tak nie pomogło. Aladyn nie może przecież powrócić z grobu. Wierzę bowiem w to, co mi onegdaj powiedziałeś, że ojciec mój w niezmiernym bólu z powodu rozłąki ze mną kazał go ściąć. Nie dziwuj się przeto, iż wyglądam dziś inaczej niż wczoraj! Przyczyna tego jest taka, że po namyśle postanowiłam uczynić cię moim małżonkiem zamiast Aladyna, gdyż nie mam już teraz nikogo na świecie prócz ciebie. Przeto żywię nadzieję, że dziś wieczór do mnie przybędziesz, abyśmy wspólnie wieczerzali i trochę wina wspólnie wypili. Chciałabym, ażebyś mi dał skosztować wina z twojej afrykańskiej krainy. Może jest ono lepsze od tego, które pochodzi z mojej ojczyzny? Zaiste mam życzenie pić tylko wino z twojego kraju. Skoro Mauretanim zauważył, jak wielką miłość księżniczka Badr-el-Budur chce mu okazać i że stała się całkiem inną, niż była dotąd, zawołał z wielką radością: - Życie mojego życia, słucham i zastosuję się do wszystkiego, czego sobie życzysz i co mi rozkażesz. Mam w moim domu bukłak z winem z naszego kraju, który od ośmiu lat przechowuję w ziemi. Teraz chcę tam pójść i zaczerpnąć zeń tyle wina, ile nam będzie potrzeba i niebawem znów do ciebie powrócę. Księżniczka zaś, która chciała uspić całkowicie w nim czujność, odparła: - O mój luby, nie odchodź ode mnie, a poślij jednego z twych sług, aby zaczerpnął nam wina, ile trzeba, a ty zostań przy mnie, abym mogła nacieszyć się twym towarzystwem. - O pani mojego serca - odparł Mauretanim - nikt oprócz mnie jednego nie zna miejsca, gdzie schowany jest ów bukłak, nie oddalę się wszakże na długo. Po czym Mauretanim odszedł i wrócił po krótkiej chwili, przynosząc tyle wina, ile im było potrzeba. Księżniczka Badr-el-Budur zawołała: - Musiałeś się tak trudzić, i to z mojej winy, o mój najmilszy! - Wcale się nie trudziłem, żrenico mojego oka - odpowiedział czarownik księżniczce - czuję się wielce szczęśliwy, jeśli mogę ci służyć. Następnie księżniczka Badr-el-Budur zasiadła z nim razem do stołu i zaczęły się posilać. Wkrótce jednak księżniczka wyraziła życzenie, aby podano wino. Służebna od razu napełniła jej puchar, a potem również i Mauretanimowi. Księżniczka wypła za jego zdrowie i długie życie, a on odpowiedział tym samym. I tak przypijali wesoło do siebie. A ponieważ umiała nad wyraz pięknie i wyszukanie prowadzić rozmowę, omotała go wkrótce, gawędząc z nim, słodkimi wieloznaczącymi słówkami. Namietność jego wciąż się wzmagala i wprost umierał z miłości, kiedy tak słuchał czułych słówek, jakie do niego szeptała. Zdawało się, że postradał zmysły, a cały świat nie miał już dla niego żadnego znaczenia. Kiedy uczta dobiegła końca i Mauretanim miał już dobrze w czubie, księżniczka Badr-el-Budur, zauważywszy to, tak do niego powiada: - W naszym kraju panuje pewien obyczaj, ale nie wiem, czy w twojej krainie go znają? - Cóż to za obyczaj? - zapytał Mauretanim. A księżniczka na to: - Obyczaj ten polega na tym, że na końcu uczty każdy bierze puchar swego przyjaciela i wychyla go do dna. Po czym wzięła od razu jego puchar i napełniła go dla siebie winem, a Mauretanimowi kazała podać swój puchar, w którym wino zostało pomieszane z blekotem, zgodnie ze zleceniem, które przedtem niewolnicy swej dała. Wszystkie niewolnice i cała służba w pałacu życzyli bowiem Mauretanimowi śmierci i byli co do tego jednej myśli z księżniczką. Niewolnica podała mu więc ów puchar, Mauretanim zaś usłyszawszy słowa księżniczki i widząc, jak z jego pucharu pije, a ze swojego własnego go częstuje, poczuł się zwycięzcą przyjmując to za oznakę wielkiej miłości z jej strony. Ona zaś mówiła przymilnie wdzięcząc się do niego: - O duszo mojej duszy, oto ja mam twój puchar, a ty masz mój! Tak przypijają zakochani nawzajem do siebie. Potem księżniczka Badr-el-Budur przyłożyła jego puchar do ust, wypła i odstawiła. Po czym przechyliła się do Mauretanimu i ucałowała go w policzek. Jemu zaś zdało się, że ulatuje ze szczęścia pod niebiosy. I aby to samo uczynić co ona, zbliżył jej puchar do ust i wychylił go do dna. W tej samej chwili osunął się jak martwy na wznak, a puchar wypadł mu z ręki. Księżniczka Badr-el-Budur nie posiadała się z radości, a niewolnice pobiegły jedna przez drugą, aby panu swemu Aladynowi otworzyć bramę. Aladyn wszedłszy do pałacu pobiegł od razu na górę do komnaty swej małżonki księżniczki Badr-el-Budur i ujrzał ją siedzącą przy stole, a Mauretanimu leżącego u jej stóp. Podszedł więc do niej i ucałował ją, dziękując za to, co uczyniła, pełen najszczerzej radości. Potem zaś przemówił do niej w te słowa: - Pójdź teraz ze swymi niewolnicami do komnat, a mnie zostaw tu samego, abym dokonał mojego dzieła. Księżniczka nie zwlekając udała się wraz ze służebnymi na swoje pokoje, Aladyn zaś zamknął za nimi drzwi,



podszedł do Mauretanina, włożył mu rękę w zanadrze i wyciągnął stamtąd lampę. Po czym dobył szabli i odrąbał Mauretaninowi głowę. Następnie potarł lampę. Natychmiast ukazał się džinn i powiedział: - Oto jestem do twoich usług, mój panie i władco, mów, czego sobie życzysz! - Życzę sobie - odparł Aladyn - abyś pałac ten z tego kraju zabrał, zaniósł do chińskiej krainy i tam postawił na tym samym miejscu, gdzie był przedtem, naprzeciwko sułtańskiego pałacu. - Słucham i zastosuję się do twojej woli, panie i władco - odparł džinn. Wówczas Aladyn wrócił do swojej małżonki, usiadł przy niej, objął ją i pocałował, a ona oddała mu pocałunek i gdy tak przy sobie siedzieli, džinn przeniósł cały pałac wraz z nimi na dawne miejsce, naprzeciwko pałacu sułtana. Aladyn dał rozkaz niewolnicom, aby ustawiły przed nim nakryty stół. Skoro go ustawiono, usiadł przy nim wraz ze swoją małżonką księżniczką Badr-el-Budur i zaczęli w niezamąconej radości i weselu jeść i pić, aż się nasycili. Potem udali się do innej sali, jeszcze o wiele wspanialszej, usiedli tam i gawędzili, wymieniając gorące pocałunki. I tak mijał im radośnie czas, aż słońce wina w ich głowach wzeszło. Wówczas posnęli, ułożywszy się wygodnie na posłaniu. Nazajutrz rano Aladyn wstał i zbudził swoją małżonkę księżniczkę Badr-el-Budur. Wkrótce potem przybyły niewolnice, przystroїły ją i obwiesiły klejnotami. Również Aladyn wziął swoją najwspanialszą szatę, przy czym oboje umierali niemal ze szczęścia, że po tak długiej rozłące znowu są razem. A księżniczka cieszyła się jeszcze szczególnie tym, że tego dnia miała znów ujrzeć tak dawno nie widzianego ojca. Pozostawmy teraz Aladyna i księżniczkę Badr-el-Budur i wróćmy do sułtana. Wypuściwszy na wolność Aladyna, nieustannie rozpaczał z powodu utraty córki. O każdym czasie i o każdej godzinie siedział i szlochał jak żałobne płaczki, ponieważ była ona jego jedynym dzieckiem. I co rano, gdy tylko budził się ze snu, szedł pośpiesznie do okna, otwierał je i patrzył na miejsce, na którym stał ongiś pałac jego córki. Ronił tak łzy, że oczy jego od płaczu niemal oślepiły, a na nabrzmiałych powiekach potworzyły się rany. Aż pewnego dnia, kiedy jak zwykle wstał wcześniej z posłania, otwarł okno i wyrztał przez nie, zobaczył przed sobą znów jakiś gmach: przetarł oczy, przyjrzał się dokładniej i teraz był już pewien, że to pałac Aladyna. W tej samej chwili kazał sobie podać konia. Zaledwie go osiodłano, jak już zbiegł na dół, skoczył w siodło i udał się do pałacu. Skoro Aladyn ujrztał sułtana podjeżdżającego, zbiegł po schodach i wyszedł na spotkanie na wpół drogi. Potem wziął go za rękę i skierował się wraz z nim na górę do komnaty księżniczki Badr-el-Budur. Ale i ona nie mogła się doczekać ojca, zbiegła również na dół i powitała go w sieni. Ojciec wziął ją w ramiona, ucałował i rozplakał się z radości, a ona uczyniła to samo. Aladyn zaś odprowadził oboje do górnej komnaty i tam wszyscy usiedli. Sułtan począł zasypywać córkę pytaniami, jak się czuje i co się jej przydarzyło. Księżniczka Badr-el-Budur odpowiedziała zaś swemu ojcu sułtanowi zaczynając tymi słowami: - Kochany ojcze, dopiero wczoraj wróciłam do życia, kiedy ujrzałam znów mego małżonka. To on wybawił mnie z niewoli, w której trzymał mnie przeklęty mauretański czarownik. Zdaje mi się, że na całym świecie nie było nigdy nikczemniejszego człowieka. Gdyby nie mój umiłowany Aladyn, nigdy nie wyrwałabym się z rąk owego nikczemnika, a wtedy, ojcze, nigdy w życiu byś już mnie nie ujrztał. Zaiste, kochany ojcze, żałoba i głębokie strapienie miało mnie w swojej mocy, nie tylko dlatego, że byłam z tobą rozłączona, ale również, ponieważ musiałam przebywać z dala od mego małżonka. Jemu też będę przez wszystkie dni mojego żywota wdzięczna, ponieważ wybawił mnie z niewoli owego przeklętego czarownika. Po czym księżniczka Badr-el-Budur opowiedziała dokładnie wszystkie swoje przeżycia. Jakim to nikczemnikiem był ów Mauretanin, jaką krzywdę jej wyrządził przebrawszy się za handlarza lamp, który wymienia nowe lampy za stare. - Ponieważ zaś - mówiła dalej księżniczka - nie miałam pojęcia o jego podstępnych zamiarach, wzięłam starą lampę, która znajdowała się w komnacie mego małżonka, posłałam ją przez służącego na dół handlarzowi, a ten zamienił mi ją na nową. Nazajutrz wszakże, kochany ojcze, znaleźliśmy się wczesnym rankiem wraz z pałacem i wszystkim, co w nim było, w afrykańskiej krainie. Nie wiedziałam bowiem nic jeszcze o czarodziejskiej mocy lampy należącej do mego małżonka, którą na nową wymieniłam. Aż wreszcie przybył do mnie Aladyn we własnej osobie i wymyślił podstęp dla uwolnienia mnie z rąk czarownika. A gdyby mój małżonek w odpowiedniej chwili do nas nie przybył, ów piekielnik osiągnąłby swój cel i przymusił mnie do małżeństwa. Wszelako Aladyn dał mi pewien proszek, a ja nasypałam go do mego pucharu, który podałam czarownikowi. Ten, wychyliwszy puchar, padł jak nieżywy na ziemię. Po czym przybył do

nas mój małżonek i nie wiem, co potem zrobił, lecz wkrótce z afrykańskiej krainy powróciliśmy tu na swoje dawne miejsce. - Panie mój i padyszachu - przemówił z kolei Aladyn - kiedy wówczas wszedłem na górę ujrzałem czarownika rozciągniętego na ziemi i odurzonego blekotem. Wówczas powiedziałem do księżniczki Badr-el-Budur: "Idź z niewolnicami do swoich komnat. Udała się więc tam ze służebnymi, uchodząc przed strasliwym widokiem. Ja zaś przystąpiłem do przeklętego Mauretana, włożyłem mu rękę w zanadrze i wyciągnąłem stamtąd moją czarodziejską lampę, po czym dobyłem szabli i odrąbałem owemu piekielnikowi głowę. Dżinnowi zaś, który lampie służy, rozkazałem, aby pałac wraz ze wszystkim, co w nim się znajduje, uniósł w powietrze i postawił wraz z nami tutaj na dawnym jego miejscu. Atoli jeśli wasza sułtańska mość nie wierzy moim słowom, to racz wraz ze mną obejrzyć ciało owego przeklętego Mauretana. Sułtan poszedł tam, gdzie Aladyn mu wskazał, i znalazł się w komnacie z dwudziestoma czterema niszami. Kiedy sułtan ujrzał zwłoki Mauretana, wydał zaraz rozkaz, aby je wyniesiono i spalono, a popiół rozsypano na wszystkie cztery strony świata. Po czym wziął w objęcia Aladyna, ucałował go i tak do niego powiada: - Nie bierz mi za złe, mój synu, że chciałem pozbawić cię życia z powodu nikczemności owego przeklętego czarodzieja, który wtrącił cię w otchłań całego tego nieszczęścia. Mnie, kochany synu, możesz przebaczyć to, co ci uczyniłem. Wydawało mi się bowiem, że utraciłem moją córkę, jedyne moje dziecko, którą umiłowałem więcej niż całe państwo. A wiesz przecie, jak serce rodziców tęskni do swych dzieci. Uczyniłem tak, dlatego że nie mam nikogo na świecie poza księżniczką Badr-el-Budur. I tak prosił sułtan Aladyna o przebaczenie, aż ten mu przebaczył, mówiąc: - Nic przeciwko mnie nie uczyniłeś, co sprzeczne byłoby ze świętymi prawami. Ale i ja nie ponoszę żadnej winy, całemu temu nieszczęściu winien jest jedynie ów mauretański nikczemny czarownik. Następnie padyszach rozkazał całe miasto przyozdobić. Tak się też i stało i rozpoczęły się radosne uroczystości. Czauszowi zaś kazał sułtan ogłosić, co następuje: "Dzień ten ustanawiam jako wielkie święto. Dziś rozpoczynają się radosne uroczystości w całym kraju i mają trwać przez miesiąc, całe dni trzydzieści, ponieważ księżniczka Badr-el-Budur oraz jej małżonek Aladyn cali i zdrowi do nas powrócili". I od tego czasu Aladyn i jego małżonka księżniczka Badr-el-Budur żyli w szczęściu i radości, wolni od wszelkiego niebezpieczeństwa. Po pewnym czasie zaś umarł sułtan, a zięć jego wstąpił na tron. Sprawował sprawiedliwe rządy nad swymi poddanymi, tak że cały lud miłował go wielce. Wraz ze swoją żoną księżniczką Badr-el-Budur pędził życie pełne zadowolenia i błogiego spokoju, aż nadeszła ta, która każe zamilknąć wszelkiej radości i rozrywa najmocniejsze więzy przyjaźni.



## **Opowieść o Sindbadzie Żeglarzu**

W czasach kiedy kalif Harun ar-Raszid władał wszystkimi, wiernymi, żył sobie w mieście Bagdadzie pewien człowiek, zwany Sindbadem Tragarzem. Był to człek ubogi, który, aby zarobić na życie, musiał nosić ciężary na głowie. Otóż pewnego dnia zdarzyło się, że kiedy miał szczególnie ciężki toból do przeniesienia, omal nie stracił przytomności, zwłaszcza że panował niebywały upał. Tragarz pocił się bardzo i cierpiał od nielitościwie prażącego słońca. Przechodził właśnie koło siedziby pewnego bogatego kupca, przed którą ulica była czysto zamieciona i spryskana wodą. Powietrze było tam przyjemnie chłodne, a obok bramy stała szeroka ława. Tragarz złożył na niej swój ciężki toból, aby chwilę odpocząć i odetchnąć. Z bramy wionęło orzeźwiającym powietrzem i przyjemnym aromatem. Ucieszony tym biedak usiadł na ławie. Nagle usłyszał dolatujący z wnętrza domu precudny dźwięk harf i lutni, a wdzięczne głosy wyśpiewywały urzekające melodie. Usłyszał także trele ptaków wielbiących Allacha Miłościwego na różne tony.

Każdy ptaszek śpiewał w swojej własnej mowie, a były tam turkawki, szpaki, kosy, słowiki, grzywacze i przepiórki. Pełen zdumienia i zachwytu Sindbad Tragarz podszedł bliżej i zauważył, że przy domu rozciąga się olbrzymi ogród, a w nim ujrzał paziów i niewolników oraz przeróżne wspaniałości, jakie spotyka się tylko na dworze króla czy sułtana. A zapach smakowitych i korzennych potraw wszelakiego rodzaju oraz delikatnych win łechtał mu mile podniebienie. Wzniósł tedy Sindbad Tragarz oczy ku niebu i rzekł: - Chwała ci, o Panie i Stwórcu, za Twe hojne dary, którymi obsypujesz, kogo zechcesz, nie licząc i nie rachując. Błagam cię, Panie, o przebaczenie wszystkich moich grzechów, a skrucha moja niech zadość uczyni Ci za wszystkie moje błędy! Nie ma w Tobie żadnych sprzeczności między Twymi postanowieniami a Twoją wszechmocą. Nikt nie może żądać od Ciebie rachunku za Twoje czyny, gdyż potęga Twoja stoi ponad wszystkim. Chwała Tobie, który bogacisz i wywyższasz, kogo zechcesz, a czynisz ubogim i ponizasz, kogo Ci się spodoba. Jakżeż wielka jest Twoja wspaniałość, jakżeż przemożna Twoja potęga i jakżeż doskonale Twoje rządy! Darzysz łaską spośród Twoich sług, kogo masz ochotę. I tak pan tego domostwa żyje w przepychu i radości, dane mu jest rozkoszować się cudownymi woniami, wyśmienitym jadem i szlachetnym winem. W mądrości Twojej postanowiłeś dla stworzeń Twoich to, co zgodne z Twoją wolą, i to, co z góry im przeznaczyłeś. Jedni ze stworzonych przez Ciebie ludzi muszą się mozolić, inni mogą zażywać spokoju. Jedni żyją w szczęściu, a inni, muszą ciężko pracować i znosić niedostatek. Potem skarżył się jeszcze na swą niedolę mową wiązaną. Wypowiedziawszy swoją wierszowaną skargę, chciał znowu podnieść tobół i iść dalej. Ale wtedy ukazał się w bramie młody paź o pięknym obliczu i wdzięcznej postaci, ubrany we wspaniałe szaty. Ujął Tragarza za rękę i tak do niego powiada: - Wstąp w nasze progi, dokąd zaprasza cię mój pan, który życzy sobie pomówić z tobą! Tragarz zawahał się chwilę, czy wejść tam, gdzie go ów paź zaprasza, ale w końcu nie mógł się oprzeć i pozostawiwszy swój tobół u odźwiernego w sieni, wszedł za swym przewodnikiem do wnętrza domu. Ujrzał, że była to piękna siedziba, zarówno przyjemna, jak i okazała. W wielkiej sali zobaczył tłum dostojnych emirów i innych wytwornych gości. Były tam wszelkiego rodzaju kwiaty i wonne zioła, a na stołach rozstawiono mnóstwo łakoci i owoców, wielką ilość najrozmaitszych wyszukanych potraw i win z wyborowych winorośli. Potem usłyszał Sindbad Tragarz grę na harfach i śpiew wielu pięknych dziewcząt. Każdy z gości siedział na należnym mu miejscu, a na miejscu honorowym tronął dostojny i czcigodny pan, którego zarost na policzkach był posrebrzony już siwizną. Postać jego była wspaniała, twarz piękna, pełna godności i wykwintu, dostojności i majestatu. Sindbad Tragarz poczuł się tym wszystkim onieśmielony i tak do siebie powiedział: "Na Allacha, to chyba kawałek raju albo siedziba jakiegoś króla czy sułtana". Skłonił się więc dwornie, pozdrowił dostojnych panów, życzył im błogosławieństwa Allacha i ucałował ziemię przed ich stopami. Po czym stanął z pokornie pochyloną głową. Pan domu skinął na niego, aby przystąpił bliżej i usiadł. Kiedy Tragarz to uczynił, tamten pozdrowił go przyjaznymi słowami. Po czym kazał mu podać kilka wspaniałych, smakowitych i wyszukanych potraw. Tragarz przysunął się bliżej do stołu i pochwaliwszy Allacha, zaczął jeść aż do sytości. Potem powiedział: - Chwała Allahowi we wszelkich Jego sprawach! - Umył ręce i podziękował pięknie za posiłek. A pan domu na to: - Cieszymy się, żeśmy ci dogodzili. Niech ten dzień będzie dla ciebie błogosławiony! Powiedz, jak się nazywasz i w jakim zawodzie pracujesz. Ów zaś odpowiedział: - Dostojny panie, nazywam się Sindbad Tragarz i dla zarobku noszę ciężary innych ludzi na mojej głowie. Pan domu uśmiechnął się i ciągnął dalej: - Wiedz, Tragarzu, że noszę takie samo imię jak ty. Jestem Sindbad Żeglarz. Ale teraz życzę sobie, Tragarzu, abys mi powtórzył te piękne rymy, któreś mówił stojąc u mojej bramy. Tragarz stropił się i odrzekł: - Na Allacha, zaklinam cię, nie gniewaj się na mnie za to! Ciężka praca, codzienna udręka i puste ręce uczą bowiem człowieka złych obyczajów i czynią go gburem. - Nie wstydz się - odparł pan domu. - Stałeś się bowiem teraz moim bratem. Powtórz ów wiersz! Podołał mi się bardzo, kiedy usłyszałem, jak mówiłeś go u mojej bramy! Tragarz powtórzył więc ów wiersz. I znów pan domu zachwycił się nim, słysząc go po raz wtóry. - Wiesz, Tragarzu - mówił dalej - że dzieje moje są niezwykle i pragnę opowiedzieć ci wszystko, co mi się przytrafiło i co przeżyłem, zanim doszedłem do takiego dobrobytu i mogłem zamieszkać w tym domu, w którym mnie widzisz. Bogactwa te bowiem i ta siedziba przypadły mi dopiero po ciężkich udrękach,

wielkich utrapieniach i niezliczonych okropnościach. Ach, ileż męki i trosk musiałem znieść w dawnych czasach! Przedsiębrałem siedem podróży, a każda z nich łączy się z jakąś osobliwą historią, od której się rozum maści. Ale wszystko to było z góry przez los przeznaczone, a co komu sądzone, temu nikt nie umknie i od tego się nie uchroni. Powiedziawszy to zaczął opowiadać.

### Pierwsza podróż Sindbada Żeglarza

Wiedźcie, szlachetni panowie, że ojciec mój był kupcem jednym z najbardziej poważanych zarówno wśród prostego ludu, jak i zamożnego kupiectwa i że posiadał wiele pieniędzy i mienia. Umarł, kiedy byłem jeszcze małym chłopcem, pozostawiając mi wielkie bogactwo w gotówce, nieruchomościach i dobrach ziemskich. Kiedy dorosłem, objąłem to wszystko w posiadanie, jadałem najwykwintniejsze potrawy, pijałem najszlachetniejsze wina i zadawałem się z bogatymi młodzieńcami. Stroiłem się w złotolite szaty i przechadzałem się z przyjaciółmi i towarzyszami zabaw w mniemaniu, że tak już na zawsze pozostanie i wyjdzie ku memu dobru. Pędziłem długo takie życie, ale w końcu ocknąłem się z mojej beztroski. A kiedy wróciłem do rozumu, zauważyłem, że mój dobrobyt należy już do przeszłości, gdyż moje zasoby się wyczerpały. Kiedy zmiarkowałem, że utraciłem wszystko, co kiedykolwiek posiadałem, oprzytomniałem ze strachu i przerażenia. Przypomniała mi się wtedy pewna przypowieść, którą kiedyś od mojego ojca usłyszałem. Były to słowa króla Salomona, które brzmiały: "Trzy rzeczy są lepsze od trzech innych: dzień śmierci jest lepszy od dnia urodzin, żywy pies jest lepszy od zdechłego lwa, a mogiła jest lepsza od ubóstwa". Postanowiłem więc wyjechać, zebrałem wszystko, co mi jeszcze pozostało ze sprzętu domowego, i rozprzedałem. Potem sprzedałem również moją posiadłość i to, co w ogóle jeszcze było moją własnością. W ten sposób w końcu zgromadziłem trzy tysiące denarów. Wtedy przyszło mi na myśl przedsięwziąć podróż w obce kraje, pamiętając o słowach poety: Wysiłkiem nawet strome szczyty się zdobywa. @ Kto pragnie sławy, musi nie dosypiać nocy. @ W głębiny mórz nurkuje ten, kto szuka pereł. @ By zdobyć więcej złota, majątku i mocy. @ Lecz kto sobie wysiłku i trudu nie zada, @ Nic w życiu nie zdziaławszy, życie swe postrada. Jak postanowiłem, tak zrobiłem. Nakupiłem towarów różnorodnych oraz wszelaki sprzęt potrzebny do podróży. A ponieważ duszę moją wabiła podróż morska, wsiałem na okręt i udałem się do miasta Basry wraz z całą gromadą kupców. Stamtąd popłynęliśmy po morzu przez wiele dni i nocy, od wyspy do wyspy, z morza na morze i od lądu do lądu. Wszędzie, gdzieśmy przybijali do brzegu, trudniliśmy się handlem i wymieniali towary. Żeglując tak po morzach, przybyliśmy pewnego dnia na wyspę, która była tak piękna, iż przypominała rajski ogród. Kapitan tam się zatrzymał i zarzuciwszy kotwicę spuścił pomost. Wszyscy, którzy byli na statku, wysiedli na brzeg. Zbudowali paleniska, rozniecili ogień zajęli się różnymi sprawami. Jedni gotowali, inni prali, jeszcze inni zwiedzali wyspę. Ja należałem do tych ostatnich. Kiedy tak cała załoga zajęta była jedzeniem i piciem, beztroską gawędą lub grą, kapitan, który pozostał na pokładzie statku, nagle zakrzyknął do nas nie spodziewających się niczego złego donośnym głosem: - Hej, ludzie, ratujcie wasze życie! Spieszcie i wracajcie na pokład co tchu! Pozostawcie wasze rzeczy na pastwę losu! Uciekajcie, dopókiście jeszcze żywi, ratujcie się od zguby! Wyspa, na której stoicie, nie jest wyspą. To wieloryb, który zatrzymał się pośrodku morza. Piasek go pokrył i ziemia, tak że wygląda jak wyspa, i nawet drzewa na nim wyrosły. Ale kiedy rozpaliliście na nim ogień, poczuł żar i poruszył się. Lada chwila zanurzy się z wami w odmęty morza, a wtedy potopicie się wszyscy. Udajcie się więc w bezpieczne miejsce, zanim nastąpi wasza zguba! Skoro ludzie usłyszeli słowa kapitana, uciekli z wyspy i wdrapali się pośpiesznie na statek, pozostawiwszy na brzegu swoje rzeczy, szaty, sagany i paleniska. Jednym udało się jeszcze dostać na okręt, inni spóźnili się, gdyż owa wyspa poruszyła się i wkrótce znikła w odmętach morskich ze wszystkim, co na niej było, a huczące morze zamknęło się nad nią, bijąc falami dookoła. Ja byłem jednym z tych, co na wyspie pozostali, tak że zanurzyłem się wraz z innymi w topieli. Lecz Allah uchronił mnie i ocalił przed utonięciem. Zesłał mi bowiem wielki drewniany ceber, jeden z tych, w którym ludzie dopiero co prali. W trosce o słodkie życie uczepiłem się cebra ręką i siadłem nań okrakiem, a potem wiosłowałem nogami, gdy fale igrając mną rzucały to na prawo, to na lewo. Kapitan zaś rozwinął żagle na statku odpłynął z

tymi, którym udało się wrócić na pokład, nie troszcząc się o tonących. Spoglądałem tęsknie za odjeżdżającym statkiem, aż znikł mi z oczu. Wtedy śmierć wydała mi się nieunikniona. A potem noc zapadła nade mną nieszczęśliwym. Przez całą noc i przez cały następny dzień pozostawałem w tym samym położeniu. Później jednak pomyślne wiatry i fale poniosły mnie do stóp wyspy o stromych brzegach, na której rosły drzewa z konarami zwisającymi nad wodą. Udało mi się schwycić gałąź jakiegoś wysokiego drzewa i ucześć się jej mocno, mając już śmierć przed oczyma. Po tej gałęzi wdrapałem się na drzewo, no i udało mi się z niego zeskoczyć na wyspę. Tu dopiero dostrzegłem, że nogi moje spuchły i zdrętwiały, a na stopach widniały ślady ukąszeń ryb. Uprzednio w wielkim strachu i rozpaczycy wcale tego nie zauważyłem. Padłem na ziemię jak martwy i pogrzyłem się w ołowiany sen. Tak przeleżałem aż do następnego ranka i dopiero kiedy słońce wzeszło nade mną, obudziłem się. Ponieważ jednak miałem nogi spuchnięte, z trudem posuwałem się naprzód. To raczkowałem jak dziecko, to czołgałem się na kolanach. Na wyspie było wiele owoców i źródeł słodkiej wody. Jąłem więc karmić się tymi owocami. Ale jeszcze przez wiele dni i nocy nie mogłem się podnieść. Później dopiero poczułem w sobie nowe siły, wróciła mi otucha i mogłem lepiej się poruszać. Postanowiłem więc obejść wyspę dookoła i wypatrywałem pomiędzy drzewami, co też Allah zechciał tam stworzyć w łaskowości swojej. Zrobiłem sobie też laskę z gałęzi jednego z drzew i podpierałem się nią przy chodzeniu. Dopiero po pewnym czasie w trakcie wędrówki wzdłuż brzegu wyspy ujrzałem z daleka jakąś postać. Myślałem, że to dzikie zwierzę czy też potwór morski. Skoro jednak zbliżyłem się i przyjrzałem dokładniej, zoczyłem, że to szlachetna klacz stoi uwiązana nad brzegiem morskim. Kiedy jednak podszedłem zupełnie blisko, zarżała głośno; zląkłem się i chciałem uciec. Nagle wychynął spod ziemi jakiś człowiek i podbiegł do mnie wołając: - Coś za jeden? Skąd przybywasz? Co sprowadza cię na tę wyspę? - Efendi - odparłem - jestem tu obcy; z kilku innymi podróżnikami płynąłem statkiem, który zaczął tonąć. Wtedy miłosierny Allah zesłał mi drewniany ceber, na którym przyplynałem, niesiony przez fale, aż do tej wyspy. Usłyszawszy moje słowa ów człowiek chwycił mnie za rękę i zawołał: - Chodź ze mną! Po czym zaprowadził mnie do podziemnego korytarza, którym doszliśmy do wielkiej podziemnej komnaty. Tam posadził mnie na honorowym miejscu, naprzeciwko drzwi, i przyniósł mi coś do zjedzenia. Byłem głodny, jadłem więc aż do sytości i przestałem dopiero, kiedy poczułem się silniejszy. Wtedy nieznajomy znowu wypytywać mnie zaczął o moje przeżycia, a ja opowiedziałem mu wszystko, co mi się przytrafiło, od początku do końca. Tamten słuchał mego opowiadania ze wzrastającym zdumieniem i dlatego skończywszy moją opowieść tak do niego powiedziałem: - Na Allacha, zaklinam cię, panie, nie bądź na mnie krzyw! Opowiedziałem ci prawdę o mnie i o moich przygodach, a teraz błagam cię, abys mi powiedział, kim ty jesteś i dlaczego mieszkasz tu w tej podziemnej komnacie oraz dlaczego owa klacz stoi nad brzegiem morza. Wtedy mój rozmówca tak odpowiedział: - Wiedz, że jest tu nas cała gromada ludzi rozsypanych po tej wyspie. Jesteśmy koniuchami króla Mahradžanu i doglądamy wszystkich jego rumaków. Co miesiąc podczas nowiu przyprowadzamy tu jego szlachetne klacze i pozostawiamy je uwiązane na tej wyspie. Potem chowamy się do tej podziemnej komnaty, aby nikt nas nie zauważył. Wówczas przybywa tu ogier morski i poczuwszy węchem klacze wstępuje na brzeg. Rozgląda się na wszystkie strony, a kiedy nikogo nie zobaczy, usiłuje uprowadzić jedną z klaczy. Uwiązana klacz nie może podążyć za nim, więc ogier zaczyna złościć się, bić ziemię kopytami i rzeć. Skoro usłyszymy ten hałas, wybiegamy z naszego ukrycia z wrzaskiem. Ogier płoszy się i wraca do morza, klacz zaś później rodzi źrebca lub źrebicę, które są warte całe góry złota i nie mają na ziemi sobie równych. Teraz jest właśnie pora, kiedy ogier morski wychodzi z morza. Potem, jeśli Allah pozwoli, zabiorę cię ze sobą do króla Mahradžanu, aby pokazać ci nasz kraj. Wiedz jednak, że gdybyś nas tu nie spotkał, nie ujrzałbyś żywej duszy na tej wyspie i zginąłbyś marnie, a nikt nie dowiedziałby się nawet o twej śmierci. Jestem przeto przyczyną twego ocalenia i mnie zawdzięczać będziesz powrót do ojczyzny. Błagałem więc niebiosa o błogosławieństwo dla niego i dziękowałem mu za jego dobroć. Gdyśmy tak ze sobą gwarzyli, ogier wyszedł z morza i zarżał głośno, po czym chciał uprowadzić klacz. Ale nie udało mu się tego uczynić, gdyż zaczęła wierzgać i rzeć na niego. Wówczas starszy koniuch chwycił miecz i tarczę i wybiegłszy przez drzwi z podziemnej komnaty zawołał na swych towarzyszy: - Naprzód! Dalej na ogiera! - i uderzał przy tym mieczem o tarczę. Natychmiast

przybiegła gromada koniuchów, wrzeszcząc i wygrażając dzidami. Ogier się spłoszył, skoczył do morza niczym bawół wodny i wkrótce znikł wśród spienionych fal. Wtedy starszy koniuch siadł przy mnie, ale już po krótkiej chwili jego towarzysze przybiegli do niego, każdy prowadząc po klaczy. Kiedy zoczyli mnie przy starszym koniuchu, spytali, co tu robię. Opowiedziałem im to samo, co już opowiedziałem tamtemu. Wtedy ustawili stoły do posiłku i zaprosili mnie, abym z nimi spożył wieczerzę. Usiadłem więc i jadłem z nimi. W końcu powstali z miejsc i dosiedli swoich klaczy, dając mi również jedną do jazdy i zapraszając mnie ze sobą. Jechaliśmy coraz dalej, aż dotarliśmy do stolicy króla Mahradžanu. Tam koniuchowie poszli do niego i opowiedzieli mu o moim przybyciu. Król kazał mnie zawezwać. Przyprawiono mnie więc przed jego oblicze. Pozdrowiłem go, a on oddał mi pozdrowienie, witając mnie gościnnie w swym kraju. Potem zapytał, kim jestem, i opowiedziałem mu wszystko, co mi się przytrafiło, wszystkie moje przygody od początku do końca. Król dziwował się wielce nad ilością moich przygód i tak do mnie rzecze: - Synu mój, na Allacha, po dwakroć zostałeś ocalony. Gdyby ci nie było przeznaczone długie życie, nie uratowałbyś się od tych wszystkich niebezpieczeństw. Ale niech będzie chwała Allahowi za twoje ocalenie! Potem król obsypał mnie wielkimi zaszczytami, sadzając po swojej prawicy i traktując łaskawie w słowach i czynach. Mianował mnie zarządcą przystani, do którego obowiązków należało zapisywać wszystkie przybywające statki. Służyłem mu wiernie, załatwiając jego sprawy, a on okazywał mi swoją łaskę i wyświadczał wiele dobrego. Również odział mnie w piękne i wspaniałe szaty. Ba, nawet zostałem pośrednikiem do załatwiania próśb i podań jego poddanych i stałem się w ten sposób orędownikiem ludu. Tak przeżyłem u niego pewien czas, ale za każdym razem, gdy szedłem do przystani, wypytywałem przejeżdżających kupców i żeglarzy o miasto Bagdad, czy przypadkiem któryś z nich nie wie, że mogę do ojczyzny powrócić. Ale nikt nie znał tego miasta i nie znał nikogo, kto by się tam udawał. Martwiło mnie to bardzo, gdyż obrzydło mi już długie przebywanie na obczyźnie. Ale trwało to jeszcze jakiś czas. Pewnego dnia przyszedłem do króla Mahradžanu i zastałem u niego gromadę Hindusów. Kiedy ich powitałem, odpowiedzieli mi uprzejmie, przyjaźnie mnie pozdrowili i zapytali o moją ojczyznę. Skoro ja potem o ich ojczyznę pytałem, oznajmili, iż należą do rozmaitych stanów i kast. Jedni z nich to kszatrijowie, szlachetni wojownicy, znani z tego, że nie popełniają nigdy niesprawiedliwego uczynku ani nie zadają nikomu gwałtu. Inni to bramini. Nie piją nigdy wina, ale mimo to żyją szczęśliwie i wesoło, grając i śpiewając, a posiadają również stada wielbłądów, koni i bydła. Poza tym opowiedzieli mi, że naród hinduski dzieli się na siedemdziesiąt dwie kasty, a ja nie mogłem wyjść z podziwu nad tym. W państwie króla Mahradžanu zwiedziłem też jedną wyspę zwaną Kabil, na której przez całą noc słychać bicie w tamburyny i bębny. Mieszkańcy innych wysp oraz podróżnicy mówili nam jednak, że tamtejsi ludzie są poważni i pełni rozsądku. Poza tym widziałem w morzu rybę na dwieście łokci długą i jeszcze inną o sowim obliczu. Zaiste widziałem podczas tej podróży wiele cudów i dziwów, tak że gdybym chciał o nich wszystkich opowiedzieć, czasu by nie starczyło. I tak zwiedzałem sobie owe wyspy i przyglądałem się wszystkiemu, co tam było, aż tu pewnego dnia, kiedy z łaską w ręku stałem jak zazwyczaj na nadbrzeżu, podpłynął wielki okręt, pełen kupców. Kiedy zawinął do przystani i stanął wśród innych zakotwiczonych tam statków, kapitan kazał zwinąć żagle i zarzucić kotwicę. Spuszczono pomost i załoga zaczęła wynosić na brzeg cały ładunek statku. Długo już tak pracowali, a ja stałem z boku i zapisywałem wszystko. W końcu zwróciłem się do kapitana z zapytaniem: - Czy pozostało jeszcze coś na twoim statku? - Tak, efendi - padła odpowiedź. - W ładowni mam jeszcze towary, których właściciel podczas podróży utonął przy jednej z wysp, gdy my musieliśmy płynąć dalej. Zamierzamy je sprzedać i przychód dokładnie zaksięgować, aby móc doręczyć pieniądze jego rodzinie w mieście Bagdadzie, które między wszystkimi miastami słynie jako przybytek pokoju. Zapytałem wówczas kapitana: - A jak się nazywał ów człowiek, do którego te towary należały? - Sindbad Żeglarz - odpowiedział kapitan - było miano człowieka, który nam w morzu utonął. Usłyszawszy te słowa, przyjrzałem mu się dokładniej i wtedy poznałem go. Wydałem głośny okrzyk, a potem powiedziałem: - Wiedz, kapitanie, że to ja jestem właścicielem tych towarów, o których mówisz! Jestem bowiem tym Sindbadem Żeglarzem, który wraz z gromadą kupców przy owej wyspie okręt twój opuścił. Kiedy wieloryb, na którego grzbiecie znajdowaliśmy się, poruszył się, a ty nas zawołałeś, to poniekórym

udało się na pokład powrócić, inni zaś wpadli do wody. Ja należałem do tych, którzy pograżyli się w morskich falach, ale Allah miłościwy uchronił mnie i ocalił przed utonięciem, zsyłając mi wielki ceber, jeden z tych, których podróżni używali do prania. Usiadłem na nim okrakiem i zacząłem wiosłować nogami, a przychylny wiatry i fale przyniosły mnie do tej oto wyspy. Tu wyskoczyłem na brzeg i Allah w łaskawości swojej pozwolił mi spotkać się z koniuchami króla Mahradžanu. Ci zaś zabrali mnie ze sobą i wraz z nimi dotarłem do tego miasta, gdzie przywieśli mnie przed oblicze ich króla. Opowiedziałem mu całe moje dzieje, a on okazał mi królewską łaskę, mianując mnie zarządcą przystani w tym oto mieście. W służbie jego dobrze mi się powodziło i zasłużyłem sobie w jego oczach na wielką przychylność. Towary więc, które masz na swoim okręcie, są moją własnością. Tedy kapitan zawołał: - Nie ma już rzetelności i wiary wśród ludzi! A ja pytałem dalej: - Kapitanie, cóż to ma znaczyć? Słyszałeś przecież moją historię, którą ci dopiero co opowiedziałem! On zaś odparł: - Ponieważ dowiedziałeś się ode mnie, iż mam na moim statku towary, których właściciel utonął, chcesz teraz je sobie bezprawnie przywłaszczyć. To wielki grzech! Samiśmy bowiem widzieli, jak tamten utonął wraz z wielu innymi podróżnymi, z których żaden się nie uratował. Jakżeż więc śmiesz twierdzić, że towary te do ciebie należą? - Kapitanie - rzekłem na to - wsłuchaj się w moje słowa i staraj się pojąć sens mojej mowy! Wtedy przekonasz się, że mówię szczerą prawdę. Kłamstwo cechuje tylko obłudników. Po czym opowiedziałem kapitanowi wszystko, co mi się przytrafiło od chwili, kiedy wyjechałem z Bagdadu, aż do naszego przyjazdu na ową wyspę, wraz z którą zanurzyliśmy się w odmęty morskie. Przypomniałem mu również pewne szczegóły, o których tylko my obaj mogliśmy wiedzieć. Wówczas zarówno kapitan, jak i przybyli z nim kupcy uwierzyli w prawdziwość moich słów. A skoro mnie poznali, wieszowali mi mego ocalenia i mówili jeden przez drugiego: - Na Allacha, nie wierzyliśmy, żebyś mógł ująć śmierci w falach morskich. Zaiste Allah dał ci po raz drugi życie. Potem oddali mi towary, na których znalazłem wypisane moje imię, i nic z nich nie brakowało. Od razu rozpakowałem jeden z tobołów i wyjąłem drogocenne przedmioty najwyższej jakości. Rozkazałem żeglarzom z owego okrętu, aby zanieśli je do pałacu królewskiego, i ofiarowałem je w darze królowi Mahradžanu. Oznajmiłem mu również, że okręt ów jest tym, na którym w te strony przypląnałem, dodając, że znalazłem wszystkie moje towary nienaruszone, tak że i dary te stamtąd pochodzą. Wówczas król dziwował się wielce, a prawdziwość wszystkiego tego, co mu w swoim czasie opowiedziałem, znalazła na nowo potwierdzenie. Umiłował mnie tedy bardzo, otoczył swoją łaską jeszcze w większym stopniu niż dotychczas i w zamian za moje upominki obdarzył mnie hojnie. Potem zakupiłem wiele towarów i wszelakiego dobra w owym mieście, a kiedy kupcy mieli na swym okręcie odjechać, kazałem całe moje mienie zanieść na pokład. Po czym poszedłem do króla i podziękowałem mu za jego dobrodziejstwa, prosząc go równocześnie o zezwolenie, abym mógł powrócić do ojczyzny i rodziny. Tedy król pożegnał się ze mną i obdarował mnie jeszcze na pożegnanie różnymi cennymi przedmiotami wyrabianymi w jego stolicy. Pożegnawszy go, udałem się na pokład i wyruszyliśmy w drogę, ufni w dobroć Allacha. Szczęście nam sprzyjało i los był dla nas przychylny, tak że mogliśmy płynąć dniami i nocą bez ustanku, aż dotarliśmy do miasta Basry. Tam wyszliśmy na brzeg i spędzili krótki czas. Radowałem się, iż udało mi się szczęśliwie powrócić do mego ojczystego kraju. Potem udałem się do miasta Bagdadu, Przybytku Pokoju, wraz z moimi jukami z towarem i wszelakim dobrem, co wszystko razem stanowiło wielki skarb wysokiej wartości. Przybywszy do miasta udałem się do mojej dzielnicy i przestąpiłem próg mojego domu, a cała moja rodzina i przyjaciele zbiegli się do mnie. Nabyłem sobie liczną służbę rozmaitego rodzaju, mameluków, odaliski i czarnych niewolników, i zacząłem prowadzić życie na szeroka skalę. Poza tym zakupiłem wiele domów i posiadłości ziemskich, tak że miałem ich więcej niż uprzednio. Odnowiłem stare przyjaźnie i weseliłem się z moimi kompanami jeszcze bardziej niż przedtem. Zapomniałem o wszystkich moich przeżyciach, o ciężkich przejściach na obczyźnie, o przebytych udrękach i niebezpieczeństwach. Oddałem się całkowicie przyjemnościom i radości życia, rozkoszowałem się wyszukаныmi potrawami i przednimi winami, żyjąc bezmyślnie z dnia na dzień. Oto dzieje mojej pierwszej podróży. Jutro opowiem wam, jeśli Allah miłościwy pozwoli, o drugiej z moich siedmiu wypraw.



Potem Sindbad Żeglarz kazał przyszykować wieczerzę i zaprosił na nią Sindbada Tragarza. Kazał mu wypłacić sto miskali złotem i pożegnał się z nim mówiąc: - Uradowałeś nas dzisiaj swoim towarzystwem. Sindbad Tragarz podziękował mu, przyjął podarunek i poszedł w swoją drogę, rozmyślając nad tym, co mu się przydarzyło i co się ludziom może w ogóle przytrafić. Noc przespał w swoim mieszkaniu. A skoro nadszedł ranek, udał się znowu do siedziby Sindbada Żeglarza i przestąpił jego próg. Ten przyjął go z honorami i poprosił, aby usiadł po jego prawicy; następnie, skoro inni jego przyjaciele się zgromadzili, podano różne potrawy i napoje, tak że wszyscy weselili się i było im dobrze. Tedy Sindbad Żeglarz zaczął znów opowiadać.

### Druza podróz Sindbada Żeglarza

Otóż, bracia moi, jak to już wczoraj wam opowiedziałem, wiodłem wspaniałe życie, zażywając samych przyjemności. Aż pewnego dnia znowu przyszło mi na myśl pojechać w szeroki świat. Zapragnąłem w duszy mej trudnić się handlem, zarabiać pieniądze i zwiedzać obce lądy i wyspy. Skoro utwierdziłem się w tym postanowieniu, wziąłem większą sumę pieniędzy, nakupiłem towarów i podróżnego sprzętu, kazałem wszystko zapakować i poszedłem na brzeg rzeki. Tam ujrzałem piękny nowy okręt z żaglami z najprzedniejszego płótna, z doborową załogą i dobrze przysposobiony do dalekiej podróży. Kazałem nań załadować moje towary, a inni kupcy uczynili to samo. Jeszcze tego samego dnia wyruszyliśmy w podróż, a ponieważ los nam sprzyjał, pożeglowaliśmy bez zatrzymania z morza na morze i od wyspy do wyspy. Wszędzie, gdzie nasz okręt zawijał, odwiedzaliśmy tamtejszych kupców i dostojników państwa oraz kupujących i sprzedających. Trudniliśmy się handlem i wymieniali towary. Tak minął dłuższy czas, aż los przywiódł nas na pewną piękną wyspę, na której rosły kępy drzew uginających się pod ciężarem dojrzałych owoców, gdzie unosił się aromat kwiatów, ptactwo śpiewało, a przejrzyste źródła biły w górę. Ale nie było na owej wyspie żadnego mieszkańca ani nikogo, kto rozniecałby tam ogień. Kiedy nasz kapitan zarzucił przy tej wyspie kotwicę, kupcy i podróżni wyszli na brzeg, aby wytchnąć w cieniu drzew i przyjrzeć się różnorodnemu ptactwu. Wówczas i ja wyszedłem na brzeg wraz z innymi i usiadłem sobie nad przejrzystym strumieniem, który przepływał pod drzewami. Miałem ze sobą nieco jada, zacząłem więc spożywać to, co mi Allah miłościwy udzielić raczył. Wiał miły wietrzyk południowo-zachodni i przyjemnie upływał mi czas, aż usnąłem. I tak odpoczywałem tam pogrążony we śnie, owiany letnim wietrzykiem i słodkim aromatem kwiatów. Kiedy się wszakże obudziłem, nie było już nikogo, żadnego śmiertelnego stworzenia ani żadnej żywej duszy. Okręt odpłynął, nikt spośród kupców i żeglarzy o mnie nie pomyślał i tak pozostawili mnie na bezludnej wyspie. Rozejrzałem się na prawo i na lewo, ale nie ujrzałem nikogo. Byłem zupełnie sam. Chwyciło mnie więc takie przerażenie, że nie można sobie wyobrazić większego. Żółć mnie omal nie zalała z całej tej troski, smutku i udręki. Nie miałem niczego przy sobie ani do jedzenia, ani do picia. W poczuciu opuszczenia i w udręce duszy uznałem się za zgubionego i powiedziałem do siebie: "Do czasu dzban wodę nosi. Pierwszy raz mogłem się jeszcze uratować, gdyż spotkałem kogoś, kto mnie z samotnej wyspy do zaludnionych okolic zaprowadził. Ale tym razem jakżeż daleki jestem od nadziei, abym mógł tu kogoś spotkać, który zaprowadziłby mnie do krainy zamieszkałej przez ludzi!" Zacząłem więc płakać i lamentować nad moim losem, aż gniew mnie porwał i czyniłem sobie gorzkie wyrzuty z powodu moich postępów i poczynań. "Po cóż naraziłem się znów na mozolną podróż, skoro mogłem we własnym domu w ojczyźnie wieść spokojny żywot, ciesząc się i rozkoszując smacznym jadem i pić oraz bogatymi szatami. Niczego mi tam nie brakowało, ani pieniędzy, ani żadnego dolara". Srodze żałowałem, że opuściłem miasto Bagdad i znów wyruszyłem na morze, mimo iż w trakcie pierwszej podróży zaznałem tak wielu nieszczęść i niepowodzeń. A widząc śmierć przed oczyma, tak sobie powiedziałem: "Patrz, oto jesteśmy wszyscy stworzeniami Allacha i do niego musimy powrócić!". Mówiąc to zachowywałem się jak szaleniec. Następnie jednak opanowałem się i zacząłem krążyć po wyspie we wszystkich kierunkach, nie mogąc usiedzieć na miejscu. W końcu wdrapałem się na wysokie drzewo i stamtąd zacząłem rozglądać się na wszystkie strony. Nie widziałem jednak niczego poza niebem i morzem, drzewami i ptactwem, sąsiednimi wyspami i wydrami. Kiedy

jednak rozejrzałem się dokładniej, dostrzegłem na wyspie coś białego olbrzymiej wielkości. Od razu zeskoczyłem z drzewa i udałem się w tym kierunku, idąc ciągle prosto, aż dotarłem do owego przedmiotu. A była to olbrzymia biała kopuła wznosząca się wysoko i bardzo wielka w obwodzie. Podeszedłem do niej blisko i okrążyłem ją dookoła, ale nie znalazłem w niej żadnych drzwi. Nie miałem również dość siły i zręczności, aby na nią się wdrapać, zwłaszcza że kopuła była gładka i śliska. Zrobiłem więc znak w miejscu, przy którym stałem, i zacząłem obchodzić ją dookoła, aby wymierzyć jej obwód. Okazało się, że wynosi pięćdziesiąt dużych kroków. Kiedy zacząłem się namyślać, jak dostać się do wewnątrz, zwłaszcza że dzień chylił się już ku końcowi, a słońce zbliżało się do widnokregu, nagle słońce znikło i niebo powlekła zupełna ciemność. A ponieważ nie mogłem wcale słońca dojrzeć, myślałem, że wielka chmura je przysłoniła. Ale przecież była piękna pogoda, więc dziwowałem się temu wielce. Podniosłem oczy ku niebu i przyjrzałem mu się dokładniej. I cóż zobaczyłem? Olbrzymiego ptaka o potężnych szeroko rozpostartych skrzydłach, jak szybował nade mną. To on przysłonił mi słońce i odebrał wyspie światło. Moje zdumienie wzmogło się więc jeszcze i przypomniałem sobie opowiadanie, które słyszałem kiedyś od pielgrzymów i podróżnych, że mianowicie na pewnej wyspie przebywa olbrzymi sęp, którego Hindusi nazywają Garudą, a który swoim pisklętom przynosi w dziobie młode słońtka na pożywienie. Tedy byłem już pewny, że i owa kopuła, która była przede mną, jest jajem owego olbrzymiego sępa. Podziwiałem więc dzieła Allacha. Kiedy tak stałem, ptak ów opuścił się nagle na kopułę, rozłożył skrzydła nad nią, jakby sposobił się do wysiadywania jaj, wyciągnął na ziemię nogi do tyłu i zasnął. "Chwała niech będzie Allahowi, który nie śpi nigdy!" Zdjąłem tedy mój turban z głowy, rozwinąłem go i uplotłem z niego sznur. Sznurem tym opasałem się mocno w biodrach i przywiązałem do nóg owego ptaka. Mówiłem sobie przy tym: "Może sęp ten zanieś mnie do jakiejś krainy, gdzie są miasta zamieszkałe przez ludzi. Będzie to lepiej, niż żebym miał na tej wyspie pozostać". Przez całą noc nie zmrużyłem oka w obawie, aby ów olbrzymi ptak nie odleciał ze mną nagle podczas mego snu. Kiedy wszakże zarumieniła się poranna zorza i zaczęło dnieć, sęp uniósł się znad jaja i wydał ostry krzyk. Po czym wzbił się wraz ze mną w przestworza, coraz wyżej i wyżej, aż wydało mi się, że dotarliśmy do chmur na wysokim niebie. Potem zaczął się opuszczać powoli i usiadł na szczycie wysokiej góry. Jak tylko poczułem twarde gruntu pod nogami, postanowiłem umknąć, ponieważ bałem się bardzo, chociaż ptak wcale mnie nie zauważył i nie odczuł mojego ciężaru. Rozwiązałem więc mój turban i uwolniony, drżąc cały ze strachu, uciekłem. Wkrótce potem sęp chwycił coś w swoje szpony i odleciał z tym ku chmurom wysokiego nieba. Skoro przyjrzałem się dokładniej, rozpoznałem, że był to wąż olbrzymiej długości i o potężnym cielsku. Sęp porwał go i niósł w powietrzu. Widok ten nappełnił mnie przerażeniem na myśl o tym, co mi groziło. Kiedy potem poszedłem dalej po grzbiecie owej góry, zauważyłem, że znajduję się na stromej skale, u stóp której ciągnie się długi i szeroki wąwóz. Po drugiej stronie skały zaś wznosił się potężny łańcuch górski, tak wysoki, że z powodu tej niebotycznej wysokości nikt nie mógł dojrzeć jego szczytów. Góry te były całkowicie niedostępne. Zacząłem więc uragać sam sobie za to, co uczyniłem, tak do siebie przemawiając: "Obym był pozostał na tamtej wyspie! Była ona stokroć lepsza niż to pustkowienie. Tam przynajmniej miałem owoce do jedzenia i wodę do picia, a tu nie ma żadnego drzewa, owocu ani strumienia. Za każdym razem, kiedy ratuję się od jednego nieszczęścia, popadam w inne jeszcze większe i gorsze". Mimo to zdobyłem się na odwagę, zszedłem w ów wąwóz i zauważyłem, że cała ziemia była pokryta diamentami. Diament to taki kamień, którym można ciąć wszelkie kruszce i szlachetne kamienie, porcelanę i onyks, gdyż jest tak twardy i wytrzymały, że ani żelazo, ani skała nie pozostawiają na nim najmniejszego śladu i nikt nie może z takiego diamentu ani kawałka odciąć czy odłupać, chyba że użyje do tego ołowianego kamienia. Cały wąwóz roił się od węzów i żmij. Każde z tych stworzeń było takie długie, jak wysokie bywają palmy, i takie wielkie, że mogło połknąć nawet słonia, gdyby słoń odważył się tam przyjść. Węże te ukazują się tylko nocą, a w dzień kryją się starannie w obawie, aby ów olbrzymi sęp lub jakiś orzeł nie porwał ich i nie rozszarpał. Dlaczego ptaki te to czynią, nie wiem. Pozostałem w wąwozie skruszony moim postępowaniem i tak do siebie mówiłem: "Na Allacha, widocznie śpieszno mi było sprowadzić na siebie zgubę!" Tymczasem zmierzch już zapadał, kroczyłem więc dalej, chcąc znaleźć jakieś miejsce, gdzie mógłbym rozłożyć się na nocleg. W

strachu przed owymi węzami nie myślałem wcale o jedzeniu i picciu, ale troszczyłem się jedynie o moje życie. Wreszcie odkryłem w pobliżu pieczarę. Podeszedłem ku niej i zauważyłem, że wejście jest wąskie. Wszedłem więc do środka, wziąłem wielki głaz, który leżał przy wejściu, i zagroziłem wejście do pieczary. Będąc zaś w środku tak do siebie powiedziałem: "Teraz jestem bezpieczny. Skoro zrobi się znów dzień, wyjdę na dwór i będę czekał na to, co los mi przyniesie". Spojrzałem potem w głąb pieczary i ujrzałem w najdalszym jej krańcu potężnego węża leżącego na jajach. Dreszcz lęku przeszedł przez całe moje ciało, ale podniosłem głowę do góry i zdałem się na łaskę losu. Przez całą noc czuwałem, aż zorza poranna zarumieniła się i zrobiło się widno. Wtedy pośpiesznie odsunąłem głaz, którym zagroziłem wejście do pieczary, i wybiegłem chwając się na nogach jak pijany, ze zmęczenia, głodu i strachu. I kiedy tak wędrowałem dalej wąwozem, padło nagle przede mną jakieś duże zarżnięte zwierzę, choć nie widziałem żadnego człowieka w pobliżu. Nie posiadałem się przeto ze zdziwienia i przypomniałem sobie pewną przypowieść, którą wielokrotnie słyszałem opowiadaną przez kupców, podróżników i pielgrzymów o tym, że diamentowe góry są pełne okropnego przerażenia, tak że nikt nie może tam wejść. Jedynie kupcy handlujący diamentami znają sposób, aby je stamtąd wydobyć. Biorą mianowicie owcę, zarzynają ją, zdejmują z niej skórę, ćwiartują i rzucają ze szczytu góry w dolinę, a ponieważ mięso jest jeszcze świeże, wiele diamentów się do niego przylepia. Tam pozostawiają je do południa, a wtedy przybywają drapieżne ptaki, orły i sępy, chwytają w szpony owe kawałki mięsa i wzlatują z nimi na szczyt góry. Wówczas kupcy przybiegają z tak wielkim krzykiem, że ptaki pierzchają spłoszone, pozostawiając mięso. Kupcy mogą wtedy spokojnie podejść i pozbierać diamenty, mięso zaś pozostawiają zwykle drapieżnym ptakom i dzikim zwierzętom. Nikt wszakże nie może do tych diamentów dobrać się inaczej, jak używając powyższego podstępu. Kiedy ujrzałem owo zarżnięte zwierzę, przypomniałem sobie tamtą opowieść; podeszedłem więc szybko do padliny, zebrałem mnóstwo diamentów i schowałem w zanadrze oraz między szaty. Zbierałem je bez przerwy i wpychałem do kieszeni, za pas, do turbanu i we wszystkie fałdy mego stroju. Kiedy byłem tym zajęty, drugie martwe zwierzę upadło u mych stóp. Przywiązałem się więc doń rozwinąwszy turban, położyłem się na wznak, umieściłem padlinę nad sobą, a kiedy podniosłem ją oburącz w górę, widoczna była z daleka. Wkrótce też nadleciał orzeł, chwycił zdobycz w szpony i wzniósł się w powietrze, porywając mnie z nią razem. Doleciał do szczytu góry, usiadł tam i zaczął szarpać mięso dziobem. Ale nagle rozległ się za nim straszny harmider, wrzask i łoskot uderzeń drewnianych pałek o skałę. Orzeł się spłoszył i z przestraszenia wzbił się do góry, ja zaś odczepiłem się od zabitego zwierzęcia. Kiedy tak stałem w umazanych krwią szatach, nadbiegł nagle kupiec, który straszył orła, a kiedy mnie zauważył, nie odezwał się do mnie ani słowem; oniemiały ze strachu i przerażenia. Mimo to zbliżył się do padliny, odwrócił ją i nie znalazłszy ani jednego drogiego kamienia, zawołał wielkim głosem: - Cóż za zawód! Niech Allah będzie moją ucieczką przed tym przeklętym szatanem! Po czym w swoim wielkim strapieniu załamał ręce i lamentował: - O, cóż za nieszczęście! Ale jak to się stało? Podeszedłem do niego, a on mnie zapytał: - Coś ty za jeden? Co cię w te strony sprowadza? A ja mu na to: - Płonna jest twoja obawa! Jestem ludzką istotą i dobrym człowiekiem. Trudnię się handlem. Przeszedłem wszakże wiele i przeżyłem niejedną dziwną przygodę. Również i to, jak się na tę górę i do tego wąwozu dostałem, opowiedzieć trudno. Wszelako nie lękaj się! Sprawię ci radość. Mam mnóstwo diamentów przy sobie i dam ci z nich tyle, że będziesz miał ich w bród. Każdy z nich jest cenniejszy od tych, które byś beze mnie mógł zdobyć. Przeto nie trwóż się więcej. Tedy człowiek ów mi podziękował, pomodlił się do Allacha o błogosławieństwo dla mnie i zaczął ze mną gawędzić. Kiedy zaś inni kupcy usłyszeli, że z ich towarzyszem rozmawiam, przybliżyli się również. Każdy z nich był już rzucił swój kawał mięsa. Stanąwszy przede mną, przywitali się i wieszowali szczęśliwego ocalenia. Potem, kiedy mnie ze sobą zabrali, opowiedziałem im całą moją historię, o wszystkim, co podczas podróży przecierpiałem i w jaki sposób w końcu dostałem się do owego wąwozu. Następnie właścicielowi owego zwierzęcia dałem wiele diamentów spośród tych, które miałem przy sobie; wielce uradowany błogosławił mi i dziękował za to. Kupcy zaś mówili: - Na Allacha! Widocznie długie życie jest ci przeznaczone. Nikomu przed tobą nie udało się dostać do tego wąwozu i ująć stamtąd z życiem. Chwała więc Allahowi za twoje ocalenie. Przez noc odpoczęliśmy w bezpiecznej i pięknej okolicy; pozostałem

u nich uradowany wielce tym, że wyszedłem żywy i cały z doliny węzów, a obecnie znajdowałem się znów między ludźmi. Skoro nadszedł świt, wyruszyliśmy w drogę i przeprawiliśmy się przez owe wysokie góry, widząc przy tym pod nami mnóstwo węzów, od których roilo się w dolinie. Potem pojechaliśmy dalej, aż dotarliśmy do pięknej wielkiej wyspy, na której był ogród. Rosły tam drzewa kamforowe, z których każde było tak wielkie, że w jego cieniu mogło łącno odpoczywać stu ludzi. Kiedy ktoś chce dostać trochę kamfory, wierce długim drągiem dziurę w takim drzewie i zbiera ciecz, która stamtąd spływa. Płynna kamfora, to znaczy sok z owych drzew, spływa bowiem z nich i zastyga jak kauczuk. Wówczas pień wysycha i służy za opał. Na owej wyspie mieszka również pewien gatunek dzikiego zwierzęcia, zwanego nosorożcem. Pasię się on tam, jak w naszym kraju pasą się krowy i bawoły. Wzrostem wszakże taki nosorożec jest większy nawet od wielbłąda, choć żywi się tylko trawą i objada liście z drzew. Jest to potwór przedziwnej postaci, z potężnym rogiem pośrodku łba na jakieś dziesięć łokci długim, a na nim wyobrażony jest wizerunek człowieka. Na owej wyspie żyje także pewien gatunek słoni. Żeglarze, podróżnicy i pielgrzymi, którzy wędrują po górach i dolinach, opowiadali nam, że nosorożec, czy jak on się tam nazywa, potrafi na swoim rogu unieść takiego słonia, a potem pasie się dalej na wybrzeżu wyspy, jak gdyby nigdy nic. Słoń zaś zdycha nabity na róg, a tłuszcz jego topi się w słonecznym skwarze, spływa nosorożcowi na łeb i zalewa mu oczy, aż ten od tego ślepie i pada na ziemię. Wtedy nadlatuje olbrzymi sęp, którego Hindusi nazywają Garudą, porywa nosorożca w szpony i zanosi go do swoich piskląt, którym wtyka go do ich olbrzymich dziobów wraz ze słoniem nabitym na róg. Poza tym widziałem na owej wyspie jeszcze wiele bawołów, i to gatunku, jakiego u nas nie ma, i wiele innych dziwów. Ale najważniejsze to to, że przyniosłem z węzowej doliny mnóstwo diamentów, które ukryłem był w moich szatach. Część wymieniłem u ludzi na towary i miejscowe wyroby, część zaś sprzedałem za monety złote i srebrne. Po czym wyruszyłem wraz z kupcami w dalszą podróż, przyglądając się obcym krajom i ludziom, podziwiając wszystko, co Allah stworzył. Tak podróżowaliśmy z doliny do doliny i z miasta do miasta, trudniąc się po drodze handlem, aż dotarliśmy do miasta Basry. Tam zatrzymaliśmy się kilka dni i w końcu udałem się w dalszą podróż już sam do Bagdadu. Powróciwszy z dalekiej podróży i znalazłszy się znowu w mieście Bagdadzie, Przybytku Pokoju, udałem się do mojej dzielnicy i przestąpiłem próg mego domu, bogato obładowany diamentami, pieniędzmi, towarami i wszelakim dobrem, które warte było oglądania. Toteż niezwłocznie zgromadzili się najbliżsi i przyjaciele u mnie, a ja rozdawałem im podarunki i upominki wszelkiego rodzaju, zarówno krewnym, jak i znajomym. Zacząłem znów dobrze jeść i pić, ubierać się pięknie i zabawiać wesoło z przyjaciółmi. Rychło zapomniałem o wszystkim, co przecierpiałem, i żyłem wesoło i beztrąsko z dnia na dzień, radując serce krotoczwilą i słuchając gry na lutni. A każdy, kto tylko usłyszał o moim powrocie, przybywał do mnie w odwiedziny wypytywał, jak mi się podczas podróży powodziło i jak owe obce raje wyglądają. Mogłem im więc wiele opowiedzieć o tym wszystkim, co przeżyłem i przeszedłem, a ludzie dziwowali się wielce moim niebezpiecznym przygodom i wieszowali mi szczęśliwego powrotu. Oto koniec opowieści o tym, co mi się podczas mej drugiej podróży przytrafiło i przydarzyło. Jutro, jeśli miłościwy Allah pozwoli, opowiem wam, jak mi się powodziło podczas mojej trzeciej podróży.

Sindbad Żeglarz skończył opowiadać, wszyscy zaś obecni dziwili się wielce temu, co usłyszeli, a następnie zasiedli wraz z nim do wieczerzy. Po czym pan domu kazał Sindbadowi Tragarzowi wypłacić znowu sto miskali złotem. Ten zaś przyjął je z wdzięcznością i udał się w swoją drogę, dziwując się wszystkiemu, co przytrafiło się Sindbadowi Żeglarzowi. Przy tym dziękował mu i modlił się jeszcze za niego, wróciwszy do własnego domu. Kiedy zaś nastał poranek i wschodzące słońce opromieniło świat swym blaskiem i światłem. Sindbad Tragarz odprawił poranne modły i udał się znów do pałacu Sinbada Żeglarza, tak jak mu ów przykazał. Skoro wszedł do komnaty życząc mu dobrego dnia, tamten przywitał go serdecznie i usiadł przy nim, czekając na przybycie pozostałych gości. Kiedy zjedli, wypili, rozweselili się i popadli w błogostan, Sindbad Żeglarz jął znów opowiadać.

### Trzecia podróż Sindbada Żeglarza

Słuchajcie, moi bracia, co wam teraz opowiem, gdyż jest to jeszcze dziwniejsze od tego, co wam dotąd opowiedziałem. Wszelako Allah jest wszechwiedzący i zna swoje własne najskrytsze zamiary! A więc, jak już powiedziałem, powróciłem z mojej drugiej podróży wesół i promieniejący ze szczęścia. Radowałem się bowiem nie tylko ze szczęśliwego powrotu, ale również wzbogaciłem się wielce w pieniądzu i wszelakie dobro, jak wam to już również wczoraj opowiedziałem. Allah zwrócił mi z nadatkiem wszystko, co początkowo utraciłem. Pędziłem więc żywot w mieście Bagdadzie w szczęściu i błogostanie, radości i weselu. Mimo to dusza moja znów ciągnęła mnie do podróży i do oglądania szerokiego świata. Znów tęskniłem do uprawiania handlu, zarabiania pieniędzy i zdobywania zysku. Zaiste dusza człowieka ciągnie go często do złego! Skoro powziąłem postanowienie, nakupiłem wiele towarów i rzeczy potrzebnych do morskiej podróży, kazałem spakować je i pojechałem z nimi z Bagdadu do Basry. Tam udałem się do przystani i wyszukałem sobie wielki okręt, na którym było już wielu kupców i podróżników, samych zacnych, porządnych i dzielnych ludzi, znanych z niezłomnej wiary w Allacha, uprzejmego obejścia i uczciwości. Wsiadłem wraz z nimi na okręt i popłynęliśmy, zdając się na błogosławieństwo Allacha, Jego pomoc i łaskawe przewodnictwo, pełni radosnej ufności, że podróż nasza będzie pomyślna i szczęśliwa. I tak żeglowaliśmy z morza na morze, od wyspy do wyspy i od miasta do miasta. Wszędzie, gdzieśmy przybijali do brzegu, zwiedzaliśmy wszystko i trudniliśmy się handlem, zawsze weseli i pogodni. W końcu wszakże, kiedy pewnego dnia płynęliśmy środkiem wzburzonego morza, a wkoło z hukiem przewalały się bałwany, kapitan, który ze swojego mostka patrzył na morze, zaczął nagle bić się z rozpaczą po twarzy. Szybko rozkazał zwinąć żagle i zarzucić kotwicę, a przy tym szarpał brodę, rwał szaty i głośno lamentował. Zawołaliśmy więc: - Co ci jest, kapitanie? A on odpowiedział: - Podróżni, niech Allah się nad wami zmiłuje! Przemozny wiatr nami zawładnął i na pełnym morzu zepchnął z właściwego kierunku. Zły los zaś na naszą zgubę zagnał nas ku Góróm Małpoludów. Są to istoty podobne do małp i nie zdarzyło się jeszcze, aby ktoś, kto tam trafił, powrócił z życiem. Serce moje przeczuwa, że wszyscy zginiemy marnie. Ledwie kapitan zdążył to powiedzieć, jak zbiegli się już włochaci ludzie, otaczając nasz okręt ze wszystkich stron. Straszne mnóstwo tych małpoludów zaroilo się niebawem na pokładzie i na brzegu niczym chmara szarańczy. Baliśmy się wszakże, że gdybyśmy jednego z nich zabili, uderzyli czy przegnali, pozostałe małpoludy by nas na śmierć zagryzły, gdyż było ich nieprzeliczone mnóstwo. Wielka liczebność bowiem ma zawsze przewagę nad walecznością. Staliśmy beczynnici, chociaż pełni obawy, że obrabują nas doszczętnie. Były to najohydniejsze stwory, jakie można sobie wyobrazić. Włosie, którym były obrośnięte, przypominało czarną pilśń. Wygląd ich był przerażający i nikt nie rozumiał ani słowa z tego, co do nas gadały. Zresztą owe bestie z żółtymi ślepiami, czarnymi pyskami i nader mizernej postaci, bo nie wynoszącej więcej niż cztery piędzie, w gruncie rzeczy bały się ludzi. Obecnie wszakże wspięły się po linach od kotwicy, porozrywały je swymi zębiskami i poprzegryzały również cały sprzęt naszego statku, tak że wiatr go porwał i przygnał do skalistego brzegu. Kiedy statek już tam stanął, małpoludy rzuciły się na wszystkich kupców i podróżnych i zawlokły ich na swoją wyspę, po czym porwały nasz okręt ze wszystkim, co na nim było, i odpłynęły na pełne morze. Rychło statek znikł nam z oczu, a my nie wiedzieliśmy nawet, dokąd nim małpoludy odpłynęły. Pozostawszy sami na wyspie zaczęliśmy żywić się jej owocami, jagodami i warzywami, popijając wodą ze strumieni. Pewnego dnia jednak ujrzeliśmy pośrodku wyspy coś, co z daleka przypominało zamieszkały dom. Poszliśmy szybko w tym kierunku i odkryliśmy zamek z wysokimi kolumnami i murami. Do zamku prowadziły dwuskrzydłowe wrota z hebanowego drzewa. Wrota były otwarte. Weszliśmy przez nie i znaleźliśmy się na przestronnym podworcu, podobnym do wielkiego i rozległego placu. Dookoła było wiele wysokich podwoi, a w najdalszym krańcu, naprzeciwko wejścia, stała szeroka i wysoka ława; poza tym były tam porozwieszane sprzęty kuchenne nad paleniskiem, a wokoło leżało mnóstwo ludzkich kości. Wszelako ludzi nigdzieśmy nie widzieli. Wszystkiemu temu dziwowaliśmy się wielce. Mimo to usiedliśmy na chwilę na podworcu zamkowym i ze zmęczenia usnęli. Spaliśmy od przedpołudnia aż do zachodu słońca. Nagle ziemia zadrżała pod nami i straszny huk wstrząsnął powietrzem, a z blanków zamku zeszła jakaś potężna istota. Przypominała trochę

człowieka, ale była czarna i olbrzymiego wzrostu, równego wysokiej daktylowej palmie. Ślepią potwora żarzyły się jak ogniste główne, zębiska miał niczym kły odyńca, a gębę niczym otwór studni, wargi podobne do warg wielbłąda zwisały aż na piersi, a uszy jak dwie wielkie płachty spadały mu na ramiona. Paznokcie u jego rąk przypominały pazury lwa. Ujrzawszy tego potwora, nieomal postradaliśmy zmysły. Gwałtowny strach i okropne przerażenie nas ogarnęły i zeszywnieliśmy niczym trupy z nadmiaru bojaźni, lęku i zgrozy. Szaleństwo dzikiego strachu zawładnęło nami całkowicie, olbrzym zaś zszedłszy na dół rozsiadł się na chwilę na ławie, potem zerwał się, podszedł ku nam i wyciągnął mnie spośród moich towarzyszy, podniósł do góry i zaczął obmacywać i obracać na wszystkie strony, a ja w jego olbrzymiej łapie byłem niczym mały kęsek. I tak obmacywał mnie jak rzeźnik owcę, kiedy zamierza ją zarznąć, gdy jednak przekonał się, że jestem chudy i wynędzniały od wszystkich tych wzruszeń i wysiłków podczas podróży i że nie ma już na mnie prawie wcale ciała, wypuścił mnie ze swej ręki i złapał jednego z moich towarzyszy. I nim również obracał na wszystkie strony i macał go tak, jak ze mną to był czynił, po czym i jego puścił. I tak macał i obracał wszystkich nas po kolei, aż doszedł do kapitana statku, na którymśmy przyjechali. Był to człek tęgi, tłusty i barczysty, o wielkiej sile. Toteż potwór chwyciwszy go, jak rzeźnik zwierzę do zarznięcia, przypalił nad ogniem i pożarł. Potem usiadł znów na chwilę na swej ławie, ale wkrótce zaczął przeciągać się i zasnął. Chrapał przy tym i rzeził niczym baran lub wół, kiedy je zarzynają. Przespał tak do rana, nie obudziwszy się ani razu, po czym wstał i poszedł w swoją drogę. Upewniwszy się, że go nie ma, zaczęliśmy się naradzać i lamentować nad naszym losem, mówiąc: - Ach, czemuż nie utonęliśmy w morzu i czemuż małpy nas nie pożarły! Byłoby to po stokroć lepiej niż być tu upieczonym żywcem na węglach. Na Allacha! To ohydna śmierć! Zginie tu marnie, a nikt się nawet o tym nie dowie. Nie ma stąd dla nas żadnej ucieczki. Potem poszliśmy w głąb wyspy, aby wynaleźć jakąś kryjówkę lub sposób ucieczki. Wydało nam się teraz, że sama śmierć jest niczym, jeśli tylko ciało nasze nie będzie przypiekane na ogniu. Nie znaleźliśmy wszakże żadnej kryjówki, a ponieważ wieczór już zapadł, powróciliśmy do zamku, pełni najgorszych obaw, i usiedli na chwilę. Nagle ziemia znów zadrżała pod naszymi stopami i czarny olbrzym przystąpił do nas, i jął obracać i macać jednego po drugim, tak jak czynił to za pierwszym razem, aż jeden z nas mu się spodobał. Chwycił go więc i zrobił z nim to samo, co poprzedniego dnia z kapitanem. Upiekł go, pożarł i położył się spać na owej ławie. Przespał całą noc rzeżąc znów jak zarzynane zwierzę. O świcie wstał i poszedł w swoją drogę pozostawiając nas samych, jak to zwykł był czynić. Zbiliśmy się więc w gromadę i naradzali ze sobą, mówiąc: - Na Allacha! Jeśli rzucimy się do morza i pożegnamy się z życiem przez utonięcie, będzie to po stokroć lepiej niż ginąć tu ogniową śmiercią. Jest to bowiem ohydny rodzaj śmierci. A jeden z nas tak zaczął mówić: - Słuchajcie mych słów! Użyjmy wobec niego podstępu, aby go uśmiercić i uwolnić się od niego, a innym wiernym muzułmanom zapewnić spokój. A ja na to: - Słuchajcie, bracia! Zanieśmy przedtem trochę tych desek i drzewa opałowego na brzeg morza, aby z tego zmajstrować łódź. Potem zabijemy go, używając podstępu, i będziemy mogli albo popłynąć łodzią przez morze tam, dokąd Allah nas poprowadzi, albo też pozostać na wyspie, aż jakiś okręt tu nadpłynie i weźmie nas z sobą. Jeśli się nam zaś nie uda zabić potwora, będziemy mogli wsiąść do łodzi i uciec na pełne morze. Gdybyśmy nawet mieli utonąć, przestanie nam grozić straszniejsza śmierć przez upieczenie żywcem na ogniu. Jeśli los się do nas uśmiechnie, będziemy ocaleni, a jeśli utoniemy, umrzemy w chwale dobrowolnego męczeństwa. I wszyscy powiedzieli: - Na Allacha! Plan twój jest dobry. Zgodni w swych postanowieniach, wzięliśmy się zaraz do pracy, wynosząc deski z zamku i budując z nich łódź. Zbudowawszy, przywiązaliśmy ją do brzegu, załadowali na nią nieco żywności, a potem powrócili do zamku. Skoro tylko zapadł zmierzch, ziemia znów zadrżała pod nami i czarny podszedł do nas niczym kąsający pies. Znowu zaczął nas obracać i obmacywać jednego po drugim, aż wybrał któregoś z nas i uczynił z nim to samo, co z jego poprzednikami. Pożarłszy go zasnął na ławie i jego chrapanie rozlegało się jak dudnienie grzmotu. Wstaliśmy wtedy po cichu, wzięli ostrożnie dwa żelazne rożny, które tam stały, i włożyliśmy je do ognia, aż rozpały się do czerwoności. Następnie uchwyciliśmy je mocno, podkradli się z nimi do czarnego olbrzyma i, gdy spał i chrapał w najlepsze, przytknęliśmy je do jego oczu opierając się na nich ze wszystkich sił i całej naszej mocy. W taki oto sposób pozbawiliśmy go wzroku. Olbrzym ryknął z

bólu straszliwie, skoczył potężnym susem na równe nogi i zaczął nas szukać po omacku. Wtedy rozbiegliśmy się na wszystkie strony, gdyż choć potwór był ślepy i nie mógł nas dojrzeć, odczuwaliśmy jednak gwałtowny lęk przed nim i w chwili tej mieliśmy znów śmierć przed oczyma, zwątpiwszy o naszym ocaleniu. Potwór odnalazł po omacku łapami wrota i wybiegł przez nie, głośno rycząc, gdy my ciągle jeszcze pozostawaliśmy między śmiertelną trwogą i nadzieją, a ziemia drżała w posadach od jego ryku. Kiedy potwór opuścił zamek, wykradliśmy się po cichu za nim, a on biegał tam i z powrotem szukając nas wszędzie. Wkrótce jednak powrócił wraz z olbrzymią samicą, która była jeszcze większa i szpetniejsza od niego. A skoro tylko ujrzelśmy przy nim ową przerażającą istotę, wielki strach znów nas obleciał, kiedy oba potwory, szczękając zębami, jeły się do nas zbliżać. Tedy odczepiliśmy szybko łódź, którąśmy byli wybudowali, wsiedliśmy do niej i odbili od brzegu na pełne morze. Ale oba potwory chwyciły w łapy po olbrzymim głazie i cisnęły je w nas, tak że przeważająca część moich towarzyszy poniosła śmierć pod tymi głazami. Tylko trzech z nas zostało przy życiu, ja i jeszcze dwóch innych. Łódź nasza pomknęła chyżo i przybiła znów do jakiejś wyspy. Wędrowaliśmy po niej, aż zapadł zmierzch. A kiedy zrobiło się już ciemno, położyliśmy się i mimo naszej rozpacz, usnęliśmy. Ale po krótkiej chwili ocknęliśmy się ze snu i ujrzeli olbrzymiego węża potwornej długości i o spasionym cielsku. Zwinął się dookoła nas w pierścien i rzucił się na jednego z mych towarzyszy połykając go aż do ramion. Po chwili połknął go całkowicie, a potem odpełził sobie precz. Wszystko to napełniło nas zdumieniem i przerażeniem. Opłakiwaliśmy naszego towarzysza i baliśmy się o własne życie, mówiąc: - Na Allacha! Wielce to osobliwe, że każda nowa śmierć, która na nas czyha, jest jeszcze ohydniejsza od uprzedniej. Cieszyliśmy się już z naszego ocalenia przed czarnym ludożercą, ale radość nasza okazała się przedwczesna. Na Allacha! Umknęliśmy czarnemu olbrzymowi oraz śmierci od utonięcia. Ale w jaki sposób możemy uratować się od tego obrzydliwego gada? Potem powstaliśmy z ziemi i wędrowaliśmy po wyspie, jedząc jej owoce i pijąc z jej strumieni. Tak zeszło nam do wieczora, a wtedy wyszukaliśmy potężne i wysokie drzewo. Wdrapaliśmy się na nie i położyliśmy się spać w jego koronie. Ja zaś wspiałem się na najwyższy konar. Zaledwie jednak nastąpiła noc i nadeszła pora ciemności, wąż znowu podpełzł, rozejrzał się na wszystkie strony i wspiał na owo drzewo, w którego koronie myśmy się znajdowali. Dopełził do góry do mojego towarzysza, połknął go aż do ramion i obwinął się wysoko wokoło drzewa. Potem przełknął raz jeszcze i wchłonął nieszczęśnika całego, co widziałem na własne oczy. W końcu wszakże syty i najedzony zsunął się z drzewa i odpełził precz. Przez całą noc pozostałem na drzewie, ale skoro nadszedł dzień i zrobiło się widno, zszedłem na ziemię na wpół martwy ze strachu i przerażenia. Chciałem się rzucić do morza, aby wreszcie znaleźć spokój od wszelkich doczesnych nieszczęść. Ale życie było mi jednak zbyt miłe. Życie jest bowiem największym skarbem! Przywiązałem sobie szeroki kawał drewna do stóp, drugi do mojego lewego boku, trzeci do prawego, a czwarty do brzucha. Potem przymocowałem jeszcze nad moją głową równie długie i szerokie drewno jak to, które miałem pod stopami. Wśród tych drewnianych czułem się bezpieczny, gdyż zewsząd mnie one chroniły. Wszystkie kawałki drewna związałem mocno razem i rzuciłem się jak długi na ziemię. I leżałem tak bezpieczny w moim drewnianym pudle jak w zewsząd zamkniętym lochu. Kiedy zapadł wieczór, wąż przybył jak zazwyczaj, ujrzął mnie i podpełzł blisko. Nie mógł mnie jednak połknąć, ponieważ byłem ze wszystkich stron chroniony moimi kawałkami drewna; zaczął więc pełzać dookoła, nie mogąc się do mnie zbliżyć, a ja przypatrywałem mu się, umierając niemal ze strachu i przerażenia. Wąż wielokrotnie to oddalał się, to znów powracał. Za każdym razem, kiedy rzucał się na mnie, aby mnie połknąć, przeszkadzały mu drewna, które wszędzie szczelnie do mnie przylegały. Od zachodu słońca aż do brzasku wąż nie dawał za wygraną. Kiedy jednak zrobiło się jasno i słońce wzeszło, wąż odpełził w swoją drogę, nie posiadając się z gniewu i wściekłości. Ja zaś wyciągnąłem rękę i uwolniłem się z mojej drewnianej klatki. Wydało mi się jednak, że znajduję się już w królestwie śmierci, gdyż wszystko to, co przeżyłem z owym olbrzymim wężem, zbyt mi przejęło. Potem udałem się w drogę i doszedłem aż do najdalszego krańca wyspy. Kiedy stamtąd spojrziałem na morze, ujrziałem w oddali okręt. Odłamałem od drzewa sporą gałąź i zacząłem nią dawać żeglarzom znaki, wołając równocześnie wielkim głosem. Kiedy mnie dostrzegli, tak do siebie powiedzieli: - Musimy zobaczyć, co to takiego. Może to człowiek. Podpłynęli bliżej i usłyszeli moje wołanie.

Niezwłocznie przybyli do brzegu, zabrali mnie na pokład i zaczęli wypytywać, co mi się przytrafiło. Wtedy opowiedziałem im wszystko, co przeżyłem, od początku do końca, o wszystkich groźnych niebezpieczeństwach, które musiałem przeżyć. Oni zaś dziwowali się wielce, po czym dali mi trochę ze swych szat, aby przykryć nagość moją, przynieśli coś do jedzenia, abym mógł się nasycić, i podali zimnej, świeżej wody do picia. Sercu mojemu wróciły siły, a duszy otucha. Ogarnął mnie wielki spokój, gdyż poczułem się, jak gdybym był wskrzeszony przez Allacha z martwych. Wielbiłem Go za Jego nieograniczoną łaskę i składałem Mu dzięki. Będąc już całkiem zrozpaczony, nabrałem obecnie znowu odwagi, a wszystko, co przecierpiałem, wydało mi się złym snem. A ponieważ z łaski Allacha mieliśmy sprzyjający wiatr, popłynęliśmy szybko naprzód, aż dotarli do wyspy, która zwie się as-Salahita. Tam kapitan zarzucił kotwicę, a kupcy i podróżni wyszli na ląd, aby trudnić się handlem. Wtedy kapitan tak do mnie powiedział: - Słuchaj, co ci powiem! Jesteś ubogim cudzoziemcem i opowiedziałeś nam, ile strasznych rzeczy już przeżyłeś. Przeto chcę coś dla ciebie uczynić, co ci pomoże powrócić do twojego kraju, abys mógł mnie zawsze potem błogosławić. - Chętnie - odparłem - niech błogosławieństwo moje stanie się twoim udziałem. A on tak dalej mówił: - Słuchaj więc. Był kiedyś na naszym okręcie podróżny, któregośmy zgubili i o którym nie wiemy, czy jeszcze żyje, czy też umarł, gdyż nigdy już nic o nim nie słyszeliśmy. Chcę ci więc oddać jego towary, abys mógł nimi się zaopiekować i na tej wyspie je sprzedać. Pewien udział w zysku chcemy ci odstąpić w nagrodę za twój trud i dobre zasługi. Co zaś pozostanie, chcemy zachować, aż znowu powrócimy do Bagdadu, tam dowiemy się o jego rodzinie i oddamy jej nie sprzedane towary oraz resztę zysku. Powiedz, czy chcesz się tym zająć i część towarów na tej wyspie sprzedać, jak zwykli to czynić kupcy? - Słucham cię i jestem posłuszny, efendi - odparłem - gdyż dobroć twa nie ma granic. A powiedziawszy to błogosławiłem mu i dziękowałem. On zaś kazał tragarzom i żeglarzom one towary na wyspę wynieść i mnie doręczyć. Wszelako pisarz okrętowy zapytał: - Kapitanie, co to za towary, które tragarze i majtkowie na ląd wynoszą? Na jakiego kupca imię mam je zapisać? Kapitan odpowiedział: - Zapisz na imię Sindbada Żeglarza, który uprzednio był na naszym okręcie, ale potem znalazł śmierć na pewnej wyspie, tak że o nim wszelki słuch zaginął. Chcemy, aby ten cudzoziemiec towary te sprzedał i uzyskany za nie przychód nam wpłacił. Wtedy damy mu pewną część jako nagrodę za trud przy dokonywaniu sprzedaży, a co pozostanie, schowamy aż do naszego powrotu do Bagdadu. Gdybyśmy mieli odnaleźć owego człowieka, to mu wszystko wręczymy, a jeśli nie, to oddamy jego rodzinie. A pisarz na to: - Słowa twe nie są pozbawione słuszności, a rada twa sprawiedliwa! Skoro wszakże usłyszałem, że kapitan nazwał właściciela towarów moim imieniem, powiedziałem do siebie: "Na Allacha, przecież to ja jestem Sindbadem Żeglarzem". Ale postanowiłem cierpliwie odczekać, aż wszyscy kupcy wyjdą na brzeg i zgromadzą się, aby pogawędzić i pomówić o interesach. Wówczas przystąpiłem do kapitana i zapytałem: - Efendi, czy wiesz, kim był ten człowiek, którego towary oddałeś mi do sprzedania? - Nie wiem nic dokładniejszego o nim - odparł kapitan - jak tylko to, że pochodził z miasta Bagdadu i nazywał się Sindbad Żeglarz. Pozostał na owej wyspie, do którejśmy przybili, i aż do dnia dzisiejszego nieśmy już więcej o nim nie słyszeli. Wówczas wydałem radosny okrzyk i zawołałem: - Kapitanie, niech Allah ma cię w swojej opiece! Wiedz, że ja jestem tym Sindbadem Żeglarzem i wcale nie utonałem. Przeciwnie, kiedy wówczas okręt twój stał na kotwicy, a kupcy i podróżni wyszli na ląd i ja również wysiadłem z kilku ludźmi. Miałem ze sobą trochę pożywienia, aby spożyć je na wyspie, i kiedy tam usiadłem i chciałem odpocząć, opanowała mnie senność i mocno usnąłem. Kiedy zaś się ocknąłem, nie było już ani śladu okrętu, ani żadnej żywej duszy. To mienie jest moim mieniem i te towary moimi towarami! Wszyscy kupcy, którzy handlują diamentami, widzieli mnie, kiedy byłem w diamentowych górach, i oni mogą zaświadczyć, że istotnie jestem Sindbadem Żeglarzem, gdyż opowiedziałem im wówczas wszystkie moje przygody: jak jechałem na twoim okręcie, jak zostawiłście mnie śpiącego na wyspie i jak po obudzeniu się już nikogo tam nie zastałem. Kiedy kupcy i podróżni moje słowa usłyszeli, otoczyli mnie ciasnym kołem. Jedni wierzyli mi, inni uważali mnie za kłamcę. Gdyśmy tak między sobą rozmawiali, zerwał się nagle jeden z kupców, który słyszał, że wspomniałem o górach diamentowych, podbiegł do mnie blisko i rzekł do otaczających mnie ludzi: - Słuchajcie, co wam powiem! Kiedy wam opowiadałem o mojej najdziwniejszej przygodzie i opisywałem, jak wraz z



innymi rzucałem, zgodnie z naszym zwyczajem, zarżnięte zwierzęta do diamentowego wężu i okazało się potem, że do ścierwa mego zwierzęcia przyczepił się człowiek i tak wyniesiony został przez sepa na górę, nie chcieliście mi wierzyć, a nawet ogłosiliście mnie za kłamcę. - Zaiste - odparli tamci - opowiadałeś nam o tym, ale nie mogliśmy w to uwierzyć. I kupiec tak ciągnął dalej: - Oto ten człowiek! Dał mi cenne diamenty, jakich nigdzie się nie znajdzie. Ba, dał mi nawet więcej, niżbym mógł zebrać z mego zarżniętego zwierzęcia. Potem podróżowałem z nim razem, aż dotarliśmy do Basry. Stamtąd pojechał do swojego miasta, pożegnał się ze mną, a my wróciliśmy do naszego kraju. Oto ten człowiek we własnej osobie. Istotnie nazywa się Sindbad Żeglarz. I nam wtedy opowiedział, że okręt jego odjechał, gdy spał na owej wyspie. Obecnie wiecie, że człowiek ten przyszedł tu tylko po to, aby dać świadectwo prawdzie moich słów. Wszystkie te towary są istotnie jego własnością, bo i nam również mówił o nich, kiedy był u nas. Obecnie potwierdza się, że mówił szczerą prawdę. Skoro kapitan usłyszał to wszystko z ust owego kupca, podszedł do mnie całkiem blisko i przez chwilę przyglądał mi się dokładnie. W końcu zapytał: - Jak oznakowane są twoje towary? A ja mu odpowiedziałem: - Wiedz, że moje towary znakowane są w taki to a taki sposób. Równocześnie zaś przypomniałem mu o pewnym drobnym wydarzeniu podczas naszego odjazdu z Basry, o którym to wydarzeniu tylko my dwaj mogliśmy wiedzieć. Tedy uwierzył mi, że jestem Sindbadem Żeglarzem, rzucił mi się na szyję, witał mnie i wieszował szczęśliwego ocalenia mówiąc: - Na Allacha! Dzieje twoje są rzeczywiście do cudu podobne. Osobliwe rzeczy ci się przytrafiły. Ale chwała niech będzie Allahowi, że przyprowadził cię znowu do nas i zwrócił ci twoje towary i twoje mienie! Skoro kapitan i kupcy przekonali się, że istotnie jestem owym człowiekiem, kapitan powtórzył raz jeszcze: - Chwała niech będzie Allahowi za to, że zwrócił ci twoje towary i twoje mienie! Potem rozporządziłem według najlepszej wiedzy moimi towarami i rzeczywiście osiągnąłem wielki zysk z owej podróży. Cieszyłem się z tego bardzo i wieszowałem sobie szczęśliwego ocalenia i zwrotu całego mego dobytku. Uprawialiśmy potem na tamtejszych wyspach handel i w końcu dopłynęli do Hindustanu i tam również sprzedawaliśmy i kupowaliśmy. Na owych morzach widziałem tyle osobliwości, że nie mogę ich ani zliczyć, ani zrachować. Między innymi widziałem rybę, która wyglądała jak krowa, oraz inne ryby podobne do osłów. Również zobaczyłem ptaka, który wychodzi z morskiej muszli i który zwykł składać jaja na wodzie, tam je wysiadywać, i który nigdy z wody na ląd nie przelatuje. Wreszcie po długim żeglowaniu popłynęliśmy do domu z pomocą miłościwego Allacha. Wiatr i pogoda nam sprzyjały i tak dotarliśmy do Basry. Tam spędziłem kilka dni, a potem pojechałem do Bagdadu, udałem się do mojej dzielnicy, wszedłem do mego domu i przywitałem się z rodziną i przyjaciółmi. Cieszyłem się wielce ze szczęśliwego powrotu i z tego, że oglądam znów mój kraj, moje miasto i mój własny dom. Rozdzielałem dary i jałmużnę, przyodziewałem wdowy i sieroty i zbierałem moich przyjaciół wokoło mnie. I tak żyłem sobie, jedząc i pijąc przy muzyce i śpiewie. Jadłem smacznie, piłem szlachetne trunki, rozkoszowałem się godną kompanią i wkrótce zapomniałem o wszystkich niebezpieczeństwach i okropnościach, które przeżyłem. Przywiozłem też z owej podróży bogactwa, których ani zliczyć, ani zrachować nie można. Oto są najosobliwsze przypadki, jakie podczas mej trzeciej podróży mnie spotkały. Jeśli Allah pozwoli, wróćcie tu jutro znowu, abym mógł wam opowiedzieć o mojej czwartej podróży, która jest jeszcze cudowniejsza niż wszystkie uprzednie.

Po czym Sindbad Żeglarz kazał jak zwykle wypłacić Sindbadowi Tragarzowi sto miskali złotem. Następnie polecił rozstawić biesiadne stoły i całe towarzystwo spożyło wieczerzę. Przy tym wszyscy rozprawiali jeszcze długo, dziwując się wielce zasłyszanej opowieści i wszystkiemu, co w niej było zawarte. Po wieczerzy zaś rozeszli się każdy w swoją drogę. Również Sinbad Tragarz otrzymawszy przeznaczone dlań złoto wrócił do domu, ciągle jeszcze pełen zdumienia nad tym, co usłyszał od Sindbada Żeglarza, i spędził noc u siebie. Skoro zaś brzask się ukazał otulając świat tkaniną z błyszczących promieni, Sindbad Tragarz wstał, odmówił ranną modlitwę i udał się do Sindbada Żeglarza. Gdy przestąpił jego próg i życzył szczęśliwego dnia, tamten powitał go uprzejmie i posadził obok siebie, aby tam czekał, aż pozostali goście przybędą. Przyniesiono jedzenie i kiedy wszyscy nasytili się i wypili do woli, Sindbad Żeglarz zaczął opowiadać, co następuje.

### Czwarta podróż Sindbada Żeglarza

Wiecie, moi bracia, że kiedy powróciłem do miasta Bagdadu, spędziłem jakiś czas wśród moich krewnych, przyjaciół i towarzyszy, żyjąc w największym przepychu, radości i wygodzie, tak że zapomniałem o tym, co przeżyłem, ponieważ działo mi się tak dobrze. Oddałem się całkowicie przyjemnościom muzyki i śpiewu, rozkoszowałem się godną kompanią krewnych i przyjaciół i wiodłem najpiękniejszy żywot, jaki można sobie wyobrazić. Mimo to dusza moja kusiała mnie do złego i szeptała mi, abym znów wyruszył w szeroki świat. Znowu tęskniłem za przebywaniem wśród obcych narodów, pragnąłem trudnić się handlem, aby osiągać pokaźne zyski. Skoro tylko umocniłem się w swym postanowieniu, zakupiłem drogocenne towary, nadające się do przewozu morzem, spakowałem więcej niż zazwyczaj tobołów, po czym wyruszyłem z Bagdadu do Basry. Tam załadowałem moje toboły na okręt i spotkałem się z ludźmi należącymi do najwykwintniejszego towarzystwa w tym mieście. Następnie wyruszyliśmy w podróż i okręt nasz popłynął, korzystając z błogosławieństwa Allacha, przez wzburzone morze z huczącymi falami dokoła. Ponieważ mieliśmy pomyślny wiatr, żeglowaliśmy długo przez wiele dni i nocy od wyspy do wyspy i z morza na morze, aż nagle pewnego dnia natarła na nas nawałnica. Kapitan kazał zarzucić kotwicę i zatrzymał okręt w obawie, aby na pełnym morzu nie zatonął. I chociaż zaczęliśmy w naszej niedoli modlić się, wznosząc korne błagania do Allacha, spadł nagle na nas jeszcze gwałtowniejszy huragan, podarł żagle na strzępy i cisnął ludzi, wraz z ich towarami, całym ich mieniem i dobytkiem, do morza. Wraz z innymi i ja wpadłem do wody, ale przez pół dnia utrzymywałem się na powierzchni pływając. W końcu, kiedy uważałem się już za straconego, Allah zesłał mi jakąś deskę z naszego rozbitego okrętu. Wdrapałem się na nią, a to samo uczyniło i kilku spośród kupców. Zobaczywszy, że nas się tylu uratowało, poczuliśmy się różnie i trzymaliśmy się już razem, wiosłując nogami w morskiej topieli. Przy tym wiatr i fale okazały się dla nas łaskawe. W takim położeniu spędziliśmy cały dzień i jedną noc. Nazajutrz o świcie wybuchła znów nowa burza i morze zaczęło szaleć, wiatr podnosił olbrzymie bałwany, aż w końcu morze wyrzuciło nas na jakąś wyspę. Byliśmy na wpół martwi z bezsenności i wysiłku, zimna i głodu oraz strachu i pragnienia. Mimo to poszliśmy zaraz w głąb wyspy i znaleźli tam przeróżne rośliny, które jedliśmy, aby utrzymać się przy życiu i powrócić do sił. Noc spędziliśmy na brzegu wyspy. Skoro jednak nastał poranek i opromienił świat swoim blaskiem i światłem, wstaliśmy i zaczęli zwiedzać wyspę. W oddali zabłysnął nagle przed nami biały gmach. Poszliśmy w tym kierunku i nie zatrzymaliśmy się wcześniej, aż stanęliśmy przed jego wrotami. Ale zaledwieśmy tam doszli, jak z owych wrót wybiegła cała gromada nagich mężczyzn. Nie powiedziawszy ani słowa pojмали nas i zawlekli przed oblicze swojego króla. Ten skinął na nas, abyśmy usiedli. A skorośmy to uczynili, wniesiono potrawy, jakichśmy nie znali i nigdy podobnych nie widzieli. Dusza moja ostrzegła mnie przed nimi i nie wziąłem nic do ust, chociaż moi towarzysze potrawy te spożywali. Temu właśnie, że wówczas powstrzymałem się od jedzenia, zawdzięczam, iż obecnie żyję. Zaledwie bowiem moi towarzysze owych potraw skosztowali, postradali rozum i zaczęli wić się obłąkańczo, a cały ich wygląd zmienił się nie do poznania. Po czym dzicy przynieśli im oleju z kokosowych orzechów, dali go do picia i namaścili ich nim. Napiwszy się owego oleju moi towarzysze zaczęli przewracać oczami i ponownie rzucili się na podane im potrawy, całkiem inaczej niż zazwyczaj to czynili. Byłem wielce niespokojny o stan ich umysłów i litowałem się nad nimi bardzo. Równocześnie bałem się mocno i o moje życie wśród owych nagich dzikusów. Tymczasem przyjrzałem się im nieco bliżej. Był to jakiś bardzo dziki lud, a królem ich był odmieniec. Każdego, kto przybył do ich kraju lub kogo spotkali w dolinie czy na drogach, które tam wiodły, przyprowadzali do swojego króla, częstowali nieszczęsną ofiarę owymi nieznanymi potrawami i namaszczeni ją owym olejem. Wtedy żołądek takiego nieszczęśnika tak się rozszerzał, że mógł pożreć o wiele więcej, niż był zwykle jadać, rozum zachodził mu mgłą, a myśli płątały się. Wtedy dawano mu jeszcze więcej owych potraw do jedzenia i owego oleju do picia, aż stawał się gruby i tłusty, a wówczas zarzynano go i przyrządzano z niego wykwintne danie dla króla. Ludzie zaś z królewskiej świty pożerali surowe ludzkie mięso, nie piekąc go wcale i nie gotując. Kiedy

podpatrzyłem ich obyczaje, przeraziłem się okropnie o własne życie oraz o życie mych towarzyszy, którzy mając zmysły zamroczone nie wiedzieli, co się z nimi dzieje, i zostali oddani pod opiekę jakiegoś draba, który ich codziennie wypędzał na pastwisko niczym bydło. Ja zaś ze strachu i głodu zupełnie osłabłem i zaniemogłem, ciało opadło ze mnie i pozostały jeno skóra i kości. Kiedy dzicy ujrzeni mnie w takim stanie, dali mi spokój i zapomnieli o mnie. Żaden z nich o mnie nie myślał i nikomu nie przychodziła na mnie chętka, tak że pewnego dnia udało mi się chyłkiem uciec. Biegłem przez wyspę wciąż przed siebie, aby się od tego straszego miejsca jak najbardziej oddalić. Nagle ujrzałem jakiegoś pasterza, który siedział na wysokiej skale pośrodku morza. Skoro mu się dokładniej przyjrzałem, rozpoznałem w nim owego draba, który wyganiał moich towarzyszy na pastwisko, a przy nim było jeszcze wielu innych nieszczęśników, widocznie takich samych rozbitków jak i my. Drab dał mi z daleka znak i krzyknął: - Zawracaj i pójdz drogą na prawo, a dojdiesz do szerokiego gościńca! Zawróciłem więc, jak mi doradził, odnalazłem drogę po prawej stronie i poszedłem nią przed siebie. Przez pewien czas podążałem tą drogą, to biegnąc ze strachu, to idąc powoli, aby odetchnąć, i czyniłem to tak długo, aż straciłem z oczu poczciwego draba, który był mi wskazał drogę. Nareszcie podszedłem już tak daleko, że i on mnie widzieć nie mógł. Słońce schowało się za widnokrzem i zapadł zmierzch. Wtedy usiadłem, aby odpocząć. Chętnie bym usnął, ale sen nie chciał tej nocy zejść na mnie, tak byłem przejęty strachem, głodny i przemęczony. Kiedy minęła już połowa nocy, wstałem i poszedłem dalej przez wyspę, aż zaczęło świtać. Skoro słońce wzeszło i okryło świat tkaniną ze swych błyszczących promieni, a słoneczny blask rozjaśnił góry i doliny, poczułem głód i pragnienie i jąłem pożywiać się roślinami rosnącymi na wyspie. Jadłem, aż nasyciłem się. Po czym na nowo wyruszyłem w drogę i powędrowałem dalej w głąb wyspy. Szedłem przez cały dzień i całą noc, żywiąc się w ten sposób, skoro tylko poczułem głód. Tak przebyłem siedem dni i siedem nocy. Skoro zaś rozpoczął się ósmy dzień, wzrok mój padł na coś majaczącego w oddali. Udałem się w tę stronę, ale dopiero po zachodzie słońca znalazłem się całkiem blisko tego miejsca. Kiedy znajdowałem się jeszcze w pewnym oddaleniu, a serce biło mi z powodu wszystkich tych okropności, które przeżyłem, przyjrzałem się dokładniej i rozpoznałem, że to gromada ludzi zbierających ziarna pieprzu. Podszedłem do nich całkiem blisko, a kiedy mnie ujrzeni, przybiegli do mnie, otoczyli zewsząd i zapytali: - Coś za jeden i skąd przybywasz? A ja tak im odpowiedziałem: - Wiedźcie, ludzie, że jestem ubogim cudzoziemcem. Po czym opowiedziałem im wszystko o sobie i na jakie okropności i niebezpieczeństwa byłem narażony. - Dzieje twe są do cudu podobne! - odparli. - Ale w jaki sposób udało ci się umknąć tym ludożercom, których jest tak wiele na tej wyspie i od których nikt jeszcze nie uciekł i nikomu nie udało się uratować? Tedy opowiedziałem im, jak mi się to udało, jak dzicy moich towarzyszy pojмали i nakarmili ich owymi potrawami, których ja jeść nie chciałem. Winszowano mi wówczas mego ocalenia i dziwowano się ponownie moim przygodom. Po czym zbieracze pieprzu prosili mnie, abym z nimi pozostał. Skoro zakończyli pracę, przynieśli mi smaczne jadlo, które spożyłem z przyjemnością, ponieważ byłem głodny. Następnie wzięli mnie ze sobą do łódki i zawieźli na inną wyspę, na której mieszkali. Tam powiedli mnie zaraz przed oblicze swojego króla. Kiedy przywitałem go z szacunkiem, król pozdrowił mnie przychylnie i zapytał, kim jestem. Opowiedziałem mu wszystko o sobie, o moich przeżyciach i przygodach od dnia mego wyjazdu z Basry aż do czasu przybycia przed jego oblicze. Król z najwyższym zdumieniem wysłuchał opowieści o moich przygodach, a razem z nim i wszyscy obecni w tronowej sali. Następnie rozkazał mi usiąść u swego boku i wyświadczywszy mi ten zaszczyt, kazał przynieść różne smaczne potrawy. Kiedy postawiono je przede mną, podjadłem sobie do sytości, po czym umyłem ręce i podziękowałem Allachowi, wielbiąc Go za jego dobroć. Wreszcie pożegnałem się z królem, aby udać się do miasta, które zamierzałem zwiedzić. Zobaczyłem, jak było pięknie zbudowane, ludne i zasobne we wszelkiego rodzaju żywność, ze wspaniałymi bazarami pełnymi towarów, z tłumami kupujących i sprzedających. Radowałem się więc, że do miasta tego trafiłem, i cieszyłem się życiem. Pozawierałem również wiele przyjaźni z tamtejszymi mieszkańcami i wkrótce ich król darzył mnie większym poważaniem niż najwyższych dostojników wywodzących się z ludności tego miasta. Zauważyłem też, że wszyscy oni, zarówno możni, jak i maluczcy, dosiadali szlachetnych i pięknych rumaków, ale na oklep. Zdziwiłem się tym bardzo i zapytałem króla: - Dostojny władco, czy i ty nie jeździsz na siodle? Siodło bowiem

zapewnia jeźdźcowi wygodę i oszczędza mu sił. Król odpowiedział na to pytaniem: - A co to jest siodło? Czegoś podobnego nie widzieliśmy jeszcze w ciągu całego naszego życia i nigdybyśmy na czymś podobnym nie siedzieli. A ja na to: - Jeśli mi pozwolisz, abym sporządził ci siodło, będziesz mógł na nim jeździć i ocenić należycie jego wartość. - Uczyn to! - odrzekł król. Wtedy poprosiłem go, aby kazał mi przynieść trochę drewna. Król rozkazał, aby mi dostarczono wszystkiego, czego zażadam. Poleciałem tedy sprowadzić zręcznego cieślę i nauczyłem go, jak sporządzić drewniany szkielet siodła. Po czym wzięłem nieco wełny, zgręplowałem ją i zrobiłem z niej wołokową podkładkę. Następnie kazałem przynieść kawałek skóry i obciągnąłem nią drewnianą ramę. Po czym wygładziwszy wszystko, przytwierdziłem jeszcze odpowiednie rzemienie i popręg. Na końcu wezwałem kowala i wytłumaczyłem mu, jak mają wyglądać strzemiona. Kowal sporządził mi parę wielkich strzemion, wygładziłem je pilnikiem i pobieliałem cyną. Poza tym przymocowałem jeszcze jedwabne frędzle do siodła. Jak już wszystko było gotowe, kazałem przyprowadzić jednego z najlepszych rumaków z królewskiej stajni. Nałożyłem nań siodło, przymocowałem strzemiona i założywszy wędzidło podprowadziłem rumaka królowi. Widok osiodłanego wierzchowca sprawił mu wielką przyjemność i dziękował mi bardzo. Skoro jednak dosiadł rumaka, jego radość z powodu siodła nie miała granic i obdarował mnie szczerze w nagrodę za trudy. A kiedy wezyr ujrzał, że sporządziłem królowi siodło, poprosił mnie, abym mu zrobił takie samo, co też niezwłocznie uczyniłem. Wtedy przyszli do mnie wszyscy możni i dostojnicy owego państwa i chcieli ode mnie dostać takie same siodła, a ja spełniłem ich prośbę. Wyuczyłem bowiem cieślę, jak robić szkielety siodła, a kowala - jak kuć strzemiona. Toteż zmajstrowaliśmy wspólnie wiele siodła i strzemion i sprzedawali je potem możnym dostojnikom. W ten sposób zarobiłem wiele pieniędzy i zdobyłem ogólny szacunek. Zaiste wysokie było stanowisko moje zarówno u króla, jak i u jego świty, u możnych stolicy i u dostojników państwa. Pewnego dnia, kiedy siedziałem u króla, radując się z doznawanych zaszczytów, król tak do mnie powiedział: - Wiedz, że obecnie cieszysz się u nas najwyższym poważaniem i stałeś się jednym z nas. Nie możemy się już z tobą rozstać i nie moglibyśmy znieść, abyś miasto nasze opuścił. Dlatego żądam od ciebie jednej rzeczy, w której musisz mi być bez sprzeciwu posłuszny. Odpowiedziałem mu na to pytaniem: - Ale co to za rzecz, której ode mnie żądasz, o królu? Nie chcę sprzeciwiać się twoim słowom, albowiem jesteś dla mnie dobry, przyjazny i wspaniałomyślny. Niech chwała będzie Allahowi za to, iż stałem się jednym z twoich sług! A król tak mówił dalej: - Chciałbym, abyś się tu całkiem zadomowił: ożeniłbym cię z piękną, mądrą i pełną wdzięku dziewczyną, a przy tym zasobną w pieniądze i cieszącą się wielkim powodzeniem. Potem wyznaczę ci mieszkanie w obrębie mego pałacu. Nie sprzeciwiaj mi się tylko i nie odrzucaj mojej rady! Skoro słowa te z ust króla usłyszałem, zamilkłem zaskoczony i pełen wstydu. On zaś zapytał: - Dlaczego mi nie odpowiadasz, mój synu? A ja na to: - Władco mój i panie, twoja rzecz rozkazywać, o największy królu naszych czasów! W tejże godzinie król sprowadził kadiego i potrzebnych świadków i natychmiast ożenił mnie z dziewczyną dostojnego stanu i wysokiego urodzenia, posiadającą wiele pieniędzy i dobytku, a przy tym o przedziwnym wdzięku i urodzie, panią wielu domów, dworów i dóbr. Pobłogosławiwszy nasz związek, podarował mi wielki i piękny, stojący za miastem dom i wiele rozlicznej służby, wyznaczając mi stałe pobory i dochody. Żyłem więc sobie korzystając z wszelkich wygod, zadowolony z losu i radosny, tak że zapomniałem o wszystkich trudach, udreće i niedoli, jakie uprzednio wycierpiałem. Mówiłem sam do siebie: "Jeśli powrócę kiedyś do ojczyzny, wezmę moją małżonkę ze sobą". Atoli wszystko, co człowiekowi jest przeznaczone, musi go spotkać, choć nikt nie wie, co go czeka. Miłowałem moją żonę z całego serca i żywiłiśmy dla siebie nawzajem najgorętsze uczucie. Przeżyliśmy razem w wielkim przepychu i nieustannej radości dłuższy czas. Aż nagle Allah powołał do siebie małżonkę mego sąsiada. Był on moim przyjacielem i poszedłem do niego, aby go w jego strapieniu pocieszyć. Zastałem go w najgłębszej żałości, serce i umysł jego były do cna udrećzone. Wyraziłem mu swoje współczucie i starałem się go uspokoić, mówiąc: - Nie lamentuj tak nad utratą swojej małżonki! Allah niewątpliwie obdarzy cię na jej miejsce inną, lepszą, i będziesz długo jeszcze żył, jeśli będzie taka wola Allacha. Ale on wybuchnął gwałtownym płaczem i tak rzekł do mnie: - Mój przyjacielu, jakżeż mogę w ogóle inną kobietę poślubić i w jaki sposób Allah może mnie obdarzyć lepszą małżonką, kiedy życie moje ma trwać już tylko jeden dzień? Mówiłem tedy

dalej: - Bracie mój, zachowaj rozsądek i nie wywołuj dnia twojej śmierci, jesteś przecie w kwitnącym zdrowiu! A tamten tak odpowiedział: - Przyjacielu mój, klnę się na twoje życie, że jutro mnie utracisz i nigdy w życiu więcej nie zobaczysz. - Jakżeż to może być? - zapytałem. A on na to rzecze: - Dziś jeszcze pochowają moją małżonkę, a mnie złożą w tej samej mogile. Istnieje bowiem obyczaj w naszym kraju, że jeśli żona pierwsza umrze, grzebie się jej małżonka żywcem z nią razem, i tak samo, jeśli mąż umrze pierwszy, zakopuje się jego żonę żywcem w tej samej mogile, aby nikt z małżonków nie mógł po śmierci drugiego cieszyć się jeszcze życiem. - Na Allacha! - zawołałem. - To bardzo niedobry obyczaj i nikt nie może się nań zgodzić! Kiedyśmy tak ze sobą rozmawiali, przybywało wielu ludzi z miasta, aby wyrazić mojemu przyjacielowi współczucie z powodu śmierci jego żony oraz jego własnego losu. Po czym ułożyli zwłoki zgodnie z tamtejszym obyczajem, przynieśli nosze i odnieśli zmarłą, zabierając jej męża z sobą. Wyszli z nimi za miasto i doszli do stóp wysokiej góry nad brzegiem morza. Tam podeszli bliżej i odsunęli olbrzymi głaz, pod którym ujrzelismy wielki otwór, przypominający głęboką studnię. Do tego otworu, prowadzącego do wielkiej pieczary, zrzucili zwłoki zmarłej, po czym przywiedli jej męża, obwiązali mu piersi sznurem i spuścili go w dół, a wraz z nimi wielki dzban świeżej wody i siedem chlebów. Kiedy go już na dół spuścili, nieszczęśnik odwiązał się od sznura, który zaraz znów do góry wciągnięto. Następnie zasunięto znów owym olbrzymim głazem wylot pieczary, tak że wszystko odzyskało uprzedni wygląd, i wszyscy rozeszli się, każdy w swoją drogę, pozostawiając mego przyjaciela pod ziemią przy zwłokach zmarłej małżonki. Tedy tak w duchu do siebie powiedziałem: "Na Allacha, ten rodzaj śmierci jest jeszcze gorszy niż wszystkie te, które dotąd widziałem". Pomyślawszy tak poszedłem natychmiast do króla i tak do niego powiedziałem: - Panie mój i władco, jakżeż to się dzieje, że w waszym kraju grzebie się żywych wraz z umarłymi? - Istnieje obyczaj w naszym kraju - odparł król - że grzebie się żonę z mężem, jeśli on umrze wcześniej, a tak samo i męża ze zmarłą żoną, aby złączeni byli zarówno za życia, jak i po śmierci. Obyczaj ten otrzymaliśmy w spadku po naszych przodkach. Pytałem więc dalej: - O największy królu naszych czasów, powiedz mi, czy jeśli jakiemuś cudzoziemcowi, jak na przykład mnie, umrze żona, to postąpicie z nim tak samo, jak postąpiliście z owym nieszczęśnikiem? - Oczywiście - odparł król - pogrzebiemy go razem ze zwłokami żony i los jego będzie taki, na jaki przed chwilą miałeś sposobność patrzeć. Gdy usłyszałem te słowa z jego ust, żółć o mało nie zalała mnie ze strachu o własne życie. Umysł mój się zmacił i żyłem odtąd w ciągłym strachu, że żona moja przede mną umrze, a wtedy ludzie tutejsi pochowają mnie żywcem. W końcu jednak pocieszyłem się, mówiąc tak do siebie: "Może jednak ja umrę przed nią, nikt bowiem nie wie, komu sądzone jest odejść pierwszym, a komu ostatnim". Zacząłem więc odwozić moje myśli od tych smutnych dumań, zajmując się przeróżnymi sprawami. Ale nie minęło wiele czasu, a żona moja zaniemogła i przechorowawszy tylko kilka dni, zmarła. Wielu ludzi z miasta zgromadziło się u mnie, aby mnie i jej krewnych pocieszać po tej stracie. Ba, nawet sam król przybył, aby wypowiedzieć swój żal z powodu zgonu mej małżonki, zgodnie z tamtejszym obyczajem. Po czym sprowadzono kobietę, aby obmyła zwłoki. Po obmyciu wystrojono zmarłą w najpiękniejsze szaty i klejnoty, bransolety i drogie kamienie, jakie tylko posiadała. Kiedy już ją tak przystrojono, złożono ciało na nosze, zaniesiono za miasto, do stóp wysokiej góry, i odsunawszy głaz z wylotu pieczary w dół je opuszczono. Wszyscy moi przyjaciele i krewni mojej zmarłej żony podeszli wreszcie do mnie, aby się ze mną pożegnać, choć ja przecież jeszcze żyłem. Zacząłem więc krzyczeć wniebogłosy: - Jestem cudzoziemcem i nie obchodzą mnie wasze obyczaje! Ale oni nie słuchali moich słów, tylko schwyтали mnie i spętali przemocą. Przywiązali do mnie siedem bochenków chleba i dzban świeżej wody, jak to leżało w ich zwyczaju, i opuścili mnie w dół do owej wielkiej pieczary pod skalnym głazem, wołając przy tym: - Odwiąż się od sznura! Wszelako wzbraniałem się to uczynić, więc zrzucili w dół sznur za mną, po czym zasunęli olbrzymim głazem wylot pieczary i poszli w swoją drogę. Pozostawiony ze zwłokami mojej żony w owej pieczarze, rozejrzałem się wokół i ujrzałem tam mnóstwo trupów. Zacząłem więc sobie robić gorzkie wyrzuty z powodu tego, co uczyniłem, wołając: - Na Allacha, zasłużyłem na wszystko to, co mi się przydarzyło i co mi się jeszcze przydarzy! Od tego czasu wszakże nie mogłem już odróżnić dnia od nocy i żywiłem się jak najoszczędniej. Jadłem jedynie wtedy, jeśli głód mnie przynaglił, a piłem jedynie wówczas, kiedy

pragnienie już mnie zbyt dręczyło, aby odłożyć chwilę, kiedy zapas chleba i wody się wyczerpie. Cóż za przekleństwo ciążyło na mnie, że musiałem się właśnie w tym mieście ożenić! Za każdym razem, gdy wydaje mi się, że umknąłem od jakiegoś nieszczęścia, popadam w jeszcze gorsze. Na Allacha, śmierć tutaj jest obrzydliwym rodzajem śmierci. Obym był utonął w morzu albo znalazł śmierć w pustkowiu górskim! Byłoby to lepsze niż zginąć tu nędznie z głodu. W ten sposób nie ustawałem uragać samemu sobie, leżąc na kościach umarłych i zanosząc do Allacha błagania, aby skrócił moją mękę, gdyż ku mojej rozpaczy jakoś nie mogłem umrzeć własną śmiercią. Głód znowu upomniał się o swoje prawa i pragnienie zaczęło mnie palić. Wstałem, wyszukałem po omacku chleb, zjadłem go trochę i przełknąłem kilka haustów wody. Zacząłem przechadzać się po pieczarze i przekonałem się, że rozciąga się ona daleko i ma wiele pustych wgłębień. Posłałem sobie legowisko w jednym z nich i tam układałem się zwykle do snu. Ale moje zapasy stopniowo zaczęły się wyczerpywać i pozostała mi już tylko drobna resztką, chociaż jadłem kęs chleba i wypijałem haust wody jedynie raz dziennie, a nawet co drugi dzień, z obawy, że woda i chleb się skończą, zanim zdążę umrzeć. I tak trwałem w swej niedoli, aż pewnego dnia, kiedy siedziałem i rozmyślałem, co począć, gdy zapasy moje się skończą, ujrzałem nagle, że odsunięto głaz u góry. Snop światła dziennego padł na mnie, zapytałem się więc samego siebie: "Co to ma znaczyć?" Niebawem ujrzałem, jak na górze zgromadzili się jacyś ludzie, po czym opuścili w dół zwłoki mężczyzny, a wraz z nim żywą kobietę, która głośno płakała i narzekała na swój los. Kobiecie tej dano obfity zapas chleba i wody. Kiedy do niej podszedłem, była już martwa, gdyż serce jej przestało bić z przerażenia. Zabrałem więc wodę i chleb na moje legowisko, gdzie zwykle sypiałem. Potem zacząłem po trochu zapasem tym się żywić, ale ostrożnie, tylko tyle, aby utrzymać się przy życiu. Bałem się bowiem zbyt szybko zużyć go, a potem umierać z głodu i pragnienia. Pewnego dnia ocknąwszy się nagle z drzemki, usłyszałem jakiś szelest w kącie pieczary. Podniosłem się i podczołgałem w kierunku tego szelestu. Żywa istota, która była sprawcą tego hałasu, zauważyła mnie i uciekła pośpiesznie. Musiało to być jakieś dzikie zwierzę. Poszedłem za nim aż na drugi koniec pieczary i tam odkryłem nagle światło nie większe od gwiazdy na niebie, które to ukazywało się, to znów nikło. Poszedłem prosto w tym kierunku, a im bliżej podchodziłem, tym światło stawało się jaśniejsze i większe. Byłem więc teraz pewien, że musi być w skale szczelina, przez którą będzie można wydostać się na świeże powietrze. Powiedziałem do siebie w duchu: "To światło wskazuje że jest tu jakieś przejście. Albo jest to drugi wylot pieczary, podobny do tego, przez który mnie na dół spuszczone, albo pęknięcie w skale". Namysłiwszy się przez chwilę, poszedłem dalej w kierunku owego światła i wtedy ukazał się moim oczom otwór po drugiej stronie skały, przekopany zapewne przez dzikie zwierzęta. Kiedy to zobaczyłem, doznałem wielkiej ulgi i spokój spłynął na moją duszę. Serce moje poczuło się wolne, a po zrzućeniu pęt śmierci powróciła mi wiara w życie. Szedłem wszakże tam jak we śnie. Kiedy udało mi się wyczołgać na zewnątrz przez ową szczelinę, znalazłem się na wysokiej skale nad samym brzegiem słonego morza. Skała ta wrzynała się w morze i odgradzała miasto, i jedną stronę wyspy od drugiej, tak że nikt nie mógł stamtąd tu ani stąd tam się przedostać. Wielbiłem tedy Allacha i zasyłałem doń korne dzięki, uradowany i pełen nowej otuchy w sercu. Po czym powróciłem znów przez tę samą szczelinę do pieczary, aby zabrać chleb i wodę, które tam sobie zaoszczędziłem. Również wziąłem trochę leżących tam bezużytecznie szat i zmieniłem na sobie odzież. Zabrałem też zmarłym wiele z tego, co mieli na sobie: złote łańcuchy, szlachetne kamienie, sznury pereł, ozdoby ze srebra i złota wysadzane drogimi kamieniami oraz inne klejnoty. Wszystko to włożyłem w swoją dawną szatę i w szaty zmarłych, związałem w kilka tobołków i wyniosłem przez szczelinę na grzbiet skały. Tam usiadłem na brzegu morza i czekałem, by Allah ocalił mnie zsyłając okręt, który by tamtędy przepływał. W ten sposób przeżyłem jakiś czas nad brzegiem morza. Pewnego dnia ujrzałem okręt płynący po wzburzonym morzu wśród huczących bałwanów. Wziąłem więc kawałek białego płótna i przymocowałem go do drąga, po czym zacząłem biegać po brzegu tam i z powrotem, czyniąc ludziom na okręcie znaki ową białą płachtą, aż zwrócili na mnie uwagę i dostrzegli, że ktoś stoi na skale. Okręt podpłynął bliżej i skoro mój głos usłyszano, wysłano po mnie łódkę z kilku żeglarzami. Ci podjechawszy blisko zawołali: - Powiedz, kim jesteś i w jaki sposób dostałeś się na tę skałę, na której nigdy w życiu jeszcześmy człowieka nie widzieli? A ja im odpowiedziałem: - Jestem

kupcem, okręt, na którym jechałem, zatonął, a ja z moimi rzeczami uratowałem się, uczepiwszy deski. Dzięki pomocy Allacha wylądowałem tutaj, a rzeczy moje zachowałem dzięki własnej sile i zręczności, utrudziwszy się wielce. Obcy żeglarze wzięli mnie do swojej łódki i władowali na nią wszystko, co wyniosłem w tobołach z pieczary, po czym powiosłowali ze mną do okrętu pozwalając zabrać mi ze sobą cały mój dobytek. Tam zaprowadzili mnie do kapitana, który zapytał: - Człowieku, w jaki sposób dostałeś się na to miejsce? Przecież to bardzo stroma skała, za którą leży wielkie miasto. Przez całe moje życie pływam po tym morzu i ciągle mijam tę skałę, ale nigdy nie widziałem na niej nic poza dzikimi zwierzętami i ptactwem. Odpowiedziałem tedy kapitanowi: - Jestem kupcem, jechałem na wielkim okręcie, który zatonął, a ja z moimi rzeczami wpadłem do morza, ze wszystkimi moimi rzeczami. To, co widzisz, udało mi się pomieścić na desce z rozbitego okrętu, a potem dzięki szczęściu i własnej zręczności dostałem się na tę stromą skałę. Tu czekałem nieustannie, czy jakiś okręt tędy nie przejedzie i mnie na pokład nie weźmie. Wszelako zataiłem przed nim, co mi się w owym mieście i w owej pieczarze przytrafiło, gdyż lękałem się, czy ktoś spośród mieszkańców owego miasta nie znajduje się na okręcie. Następnie wyjąłem niejedno z mojego bogactwa i wręczyłem kapitanowi mówiąc: - Efendi, tobie zawdzięczam ocalenie od śmierci na tej górze, przyjmij więc to w nagrodę za dobrodziejstwo, któreś mi wyświadczył! Kapitan nie chciał wszakże nic ode mnie wziąć i rzekł: - Nie godzi się nam nic przyjąć. Kiedy spotykamy rozbitka na pełnym morzu lub na jakiejś wyspie, ratujemy go i dajemy mu jeść i pić, a kiedy jest nagi, to go przyodziewamy. Kiedy zaś w końcu dopływamy do bezpiecznej przystani, obdarowujemy go jeszcze i postępujemy z nim życzliwie i przyjaźnie, wszystko to w imię Allacha. Usłyszawszy to zacząłem się modlić o długie życie dla kapitana. Popłynęliśmy dalej od wyspy do wyspy i z morza do morza, a we mnie rósł zaczęła nadzieja, że teraz zostałem już ocalony od wszelkich nieszczęść i uszedłem z życiem. Ile razy wszakże powracałem myślą do chwili, kiedy siedziałem w mogile obok zwłok mojej żony, odchodziłem od zmysłów. Dzięki wszechmocy Allacha dotarliśmy potem zdrowi i cali do miasta Basry. Tam wysiadłem na ląd i spędziwszy kilka dni w mieście, powróciłem do ojczyznoego Bagdadu. Udałem się natychmiast do mojej dzielnicy i przestąpiłem próg mojego domu. Potem przywitałem się z rodziną i przyjaciółmi i wypytywałem ich, jak im się powodzi. Wszyscy cieszyli się z mojego szczęśliwego powrotu i wieszowali mi. Przywiezione towary pomieściłem w moich składach, rozdałem jałmużnę i podarunki i przyodziałem wiele wdów i sierot. Pędziłem życie wygodne i beztrioskie, że lepszego nie można sobie wyobrazić. Tak samo jak uprzednio zabawiałem się w wesołej kompanii z moimi towarzyszami, żartując i śpiewając. Oto dzieje tych dziwów nad dziwy, jakie przytrafiły mi się podczas mojej czwartej podróży. Obecnie zaś, mój bracie Sindbadzie Tragarzu, wieczierzaj ze mną i przyjmij ode mnie podarunek, którym cię zazwyczaj obdarzam. Kiedy jutro znów do mnie przybędziesz, opowiem ci przeżycia i przygody mojej piątej podróży, która była jeszcze cudowniejsza i osobliwsza od wszystkiego, co ją poprzedziło.

Następnie Sindbad Żeglarz kazał znowu przynieść sto miskali złotem i nakryć stoły. Kiedy goście skończyli wieczerać, rozeszli się każdy w swoją drogę, nie posiadając się ze zdumienia, gdyż każda nowa opowieść, którą słyszeli, była jeszcze bardziej podniecająca niż uprzednia. Również Sindbad Tragarz poszedł do domu i spędził noc w radości i pogodnym nastroju. Skoro zaś nadszedł poranek i oświetlił świat swym jasnym blaskiem, Sindbad Tragarz wstał, odprawił modlitwę poranną i udał się do domu Sindbada Żeglarza, aby mu życzyć dobrego dnia. Ten powitał go przyjaźnie i poprosił, aby zajął miejsce obok niego. Skoro zaś i inni goście nadeszli, jęli jeść i pić w radości i weselu, mile gawędząc ze sobą. Po czym Sindbad Żeglarz zaczął znów opowiadać.

### Piąta podróż Sindbada Żeglarza

Otóż wiecie, moi bracia, że kiedy powróciłem z mojej czwartej podróży, znowu oddałem się całkowicie przyjemnościom, zabawom i beztriosce. Radując się wielkim zyskiem i zarobkiem zapomniałem o wszystkim, co mi się przytrafiło, co przeżyłem i przecierpiałem, i dusza moja szeptała mi znowu, że należy wyruszyć w podróż, aby obejrzeć ludne krainy i wyspy. Kiedy

utwierdziłem się w moim postanowieniu, nabyłem towary stosowne do morskiej podróży, kazałem je spakować i opuściłem Bagdad. Ponownie udałem się do miasta Basry i przechadzając się tam wzdłuż przystani, ujrzałem wielki, wysoki i piękny statek, który mi przypadł do gustu. Całe jego wyposażenie było nowe, więc go kupiłem. Potem zwerbowałem kapitana i żeglarzy, wskazałem moim niewolnikom i sługom ich powinności na statku i poleciłem im załadować moje towary. Po czym przyszli do mnie gromadą kupcy i poprosili, abym przyjął na mój statek również ich towary, płacąc mi z góry za przewóz i przejazd. Następnie odpłynęliśmy od brzegu weseli i radośni jak nigdy. Obiecywaliśmy sobie bowiem szczęśliwy powrót z bogatym zyskiem. Żeglowaliśmy od wyspy do wyspy i z morza na morze, zwiedzając wyspy i miasta i uprawiając handel. Po pewnym czasie przybiliśmy do wielkiej, bezludnej wyspy, na której nie było żywej duszy. Jedyne, co znajdowało się na niej, to wielka kopuła. Kilku z nas zeszło na brzeg, aby się jej przyjrzeć, i oto okazało się, że było to znowu wielkie jajo owego olbrzymiego ptaka, którego Hindusi nazywają Garudą. Kupcy zaś, którzy tam poszli i chcieli kopułę z bliska obejrzeć, nie wiedzieli, że jest to jajo, i zaczęli rzucać weń kamieniami. Wówczas jajo rozpękło się i wypłynęła z niego ciecz, w której ukazało się olbrzymie pisklę. Kupcy wyciągnęli je z jaja i, zarznawszy, mieli zeń wiele mięsa. Ja byłem w tym czasie na statku i nie wiedziałem, co oni robią. Dopiero jeden z podróżnych zawołał do mnie: - Efendi, przyjdź tu i zobacz to jajo, które uważaliśmy za kopułę! Udałem się tam niezwłocznie i zastałem kupców zajętych rozbijaniem jaja. Krzyknąłem więc na nich: - Nie czyńcie tego! Bo przyleci niebawem olbrzymi sęp, który zniszczy nasz okręt i doprowadzi nas wszystkich do zguby! Nie chcieli wszakże mnie słuchać i czynili dalej swoje. Nagle znikło słońce sprzed naszych oczu i jasny dzień przemienił się w czarną noc. Zdało nam się, że jakaś olbrzymia chmura zawisła nad nami, zaciemniając całe niebo. Podnieśliśmy więc oczy do góry, aby przekonać się, co znajduje się pomiędzy nami a słońcem. I wtedy odkryliśmy, że było to olbrzymie skrzydło owego ptaka, które przysłoniło nam słoneczny blask, tak że stała się zupełna ciemność. Kiedy sęp podleciał bliżej i ujrzał, że jajo zostało rozbite, zaczął wściekle wrzeszczeć. Na ten wrzask przyfrunęła jego samica i oboje zaczęli krążyć nad naszym okrętem, kracząc na nas głosem potężniejszym od grzmotu. Wówczas zawołałem do kapitana i załogi: - Odbijcie od brzegu i ratujmy się ucieczką, zanim śmierć nas dosięgnie! Kupcy rzucili się z powrotem na pokład, a kapitan szybko podniósł kotwicę, po czym odpłynęliśmy od wyspy. Kiedy sęp zauważył, że jesteśmy na morzu, odfrunął i na chwilę znikł nam z oczu, a my spieszyliśmy się, jakeśmy mogli, aby straszliwym ptakom umknąć i wydostać się poza ich zasięg. Ale sępy wkrótce powróciły i zaczęły się zbliżać coraz bardziej, a każdy z nich trzymał w szponach olbrzymi głaz. Najprzód cisnął na nas swój głaz samiec, ale kapitan wykręcił tak zwinnie okręt, że ów głaz przeleciał tuż obok i wpadł do morza z takim rozmachem, że statek nasz najpierw uniósł się wysoko na falach, a następnie runął w dół tak głęboko, że mogliśmy ujrzeć dno morza. Tak wielkie bowiem były siła i ciężar owego głazu. Następnie samica zrzuciła głaz, który trzymała w szponach. Głaz ten był wprawdzie nieco mniejszy od tamtego, ale za to rzut okazał się celniejszy i trafił w rufę okrętu miażdżąc ją, tak że ster rozleciał się w drzazgi, a wszyscy, co byli na pokładzie, wpadli do wody. Od razu zacząłem walczyć o ocalenie, bo życie jest jednak słodkie. Kiedy więc Allah miłościwy zesłał mi i tym razem deskę z naszego rozbitego statku, uczepiłem się jej, wgramoliłem się na nią i zacząłem wiosłować nogami. Wiatry i fale okazały się dla mnie łaskawe podczas tej mojej jazdy, a ponieważ statek nasz utonął niedaleko od wyspy, los z łaski Allacha rzucił mnie tam znowu. Wdrapałem się po stromym brzegu, lecz byłem do cna wyczerpany i na wpół martwy, ponieważ wszystkie trudy i znoje, głód i pragnienie straszliwie mnie osłabiły. Rzuciłem się więc na ziemię i leżałem chwilę bez ruchu, aż siły mi nieco powróciły i serce zaczęło znów bić spokojniej. Potem jałem przechadzać się po wyspie i wydało mi się, że pięknem swym dorównuje ona ogrodowi rajskiemu. Drzewa były obwieszane dojrzałymi owocami, źródła były wysoko, a ptaki śpiewały pod niebiosami, wysławiając Allacha. Zaiste wszelakich gatunków drzew, owoców i kwiatów było na tej wyspie nieprzeliczone mnóstwo. Jałem więc owoce te jeść, aż się nasyciłem, i pić wodę źródlaną, aż ukołem pragnienie, wielbiąc Allacha Miłościwego za Jego dobroć. I pozostawałem tam, aż dzień schylił się ku wieczorowi i nadeszła noc. Ale ciągle jeszcze czułem się na wpół martwy, gdyż nadmierny wysiłek i lęk zużyły moje siły do cna. I tak nie usłyszawszy żadnego ludzkiego głosu i



nie spotkawszy żadnej ludzkiej istoty, przespałem na owej wyspie do rana. Potem wstałem i zacząłem przechadzać się pomiędzy drzewami. Nagle przy strudze płynącej ze źródła ujrzałem drewniane koryto, przy którym siedział zgrzybiały staruch, odziany jedynie w przepaskę z liści. Powiedziałem więc sobie: "Zapewne starzec ten wylądował tu ongiś i musi być tak jak ja rozbitkiem z zatopionego okrętu". Zbliżyłem się więc do niego i pozdrowiłem uprzejmie. On wszakże odpowiedział na moje pozdrowienie tylko skinieniem głowy, nie wymówiwszy ani jednego słowa. Tedy zapytałem go: - Starcze, co sprawiło, że siedzisz na tej wyspie? On zaś potrząsnął głową, westchnął i dał mi znakiem ręki do zrozumienia, abym go wziął na plecy i przeniósł na drugą stronę strugi. Wtedy powiedziałem sobie w duchu: "Wyświadcę staremu tę uprzejmość i zaniosę go tam, gdzie sobie życzy. Może Allach mi to wynagrodzi". Wziąłem więc starca na plecy i zaniósłem na miejsce, które mi wskazał. Tam rzekłem do niego: - Zejdź teraz ostrożnie ze mnie! Ale on nie chciał zejść, lecz zacisnął tylko mocniej nogi wokół mej szyi. A kiedy przyjrzałem się tym nogom, wyglądały, jak gdyby były pokryte bawołą skórą, czarną i włochatą. Przeraziłem się więc i chciałem go zrzucić z pleców. Ale on ścisnął jeszcze mocniej moją szyję udami i zaczął mnie tak gwałtownie dusić, że zrobiło mi się ciemno przed oczyma. Straciłem przytomność i padłem zemdłony na ziemię. Staruch zaś jął tłuc mnie nogami po plecach i ramionach. A było to tak bolesne, że poderwałem się, chociaż stary wciąż jeszcze siedział mi na plecach i uginałem się pod jego ciężarem. Potem dał mi znak ręką, abym zaniósł go pod drzewa o najsmaczniejszych owocach. A kiedy odmówiłem, jął mnie znów kopać boleśniej, niż gdyby chłostał biczem. Przy tym nieustannie wskazywał ręką miejsce, na które miałem go zanieść, tak że musiałem chcąc nie chcąc to czynić. Kiedy ociągałem się lub zwalniałem kroku, kopał mnie, tak że byłem całkowicie w jego mocy. I ta męka wydawała się nie mieć końca. Staruch nie schodził bowiem z mego grzbietu ani w dzień, ani w nocy, a kiedy zachciało mu się spać, okręcał mocniej włochate nogi wokół mojej szyi i zasypiał na krótką chwilę. Skoro tylko znów się zbudził, od razu zaczynał mnie tłuc nogami, tak że musiałem szybko wstawać, gdyż w przeciwnym razie mógłbym uciepieć dotkliwie. Toteż robiłem sobie teraz wyrzuty, że nad tym starcem ulitowałem i że go wziąłem na plecy. Ale niedola moja nie ustawała i byłem w największych opalach, jakie można tylko sobie wyobrazić. Powiedziałem więc tak do siebie: "Wyświadczyłem temu staruchowi dobrodziejstwo, a on odpłacił mi złem za dobre. Biorę Allacha za świadka, że od tej chwili przez całe moje życie nie wyświadczę już nikomu żadnego dobrodziejstwa". I błagałem nieustannie Allacha aby mi pozwolił umrzeć, gdyż nie mogłem już dłużej znosić owego straszego wysiłku i owej okrutnej udręki. Mimo to musiałem jeszcze przez dłuższy czas tak cierpieć, aż nareszcie któregoś dnia przybyłem z moim dręczycielem do pewnego miejsca na wyspie, gdzie rosło wiele dyń, a niektóre z nich były wyschnięte. Wybrałem sobie wielką i suchą tykwę, naciąłem ją u góry i wydrążyłem. Potem zaniósłem ją do winorośli, napełniłem winnym sokiem, zamknąłem otwór i postawiłem na słońcu. Po kilku dniach sok zamienił się w mocne wino. Zacząłem tedy co dzień wino to pić, aby wzmocnić się do znoszenia mej męki, którą od owego nieznośnego szatana cierpiałem. Za każdym razem, kiedy upiłem trochę wina, wstępowała we mnie na nowo otucha. Ale pewnego dnia, kiedy mój dręczyciel zobaczył, że coś piję, zapytał na migi, co to jest. - To taki przedni napój - odparłem - co daje sercu siłę, a duszy nowe życie. Odpowiedziawszy tak, zacząłem biegać wśród drzew, podskakując i tańcząc. W pijaństwie, któremu uległem, klaskałem w ręce, śpiewałem i zachowywałem się jak szalony. Kiedy staruch ujrzał mnie w takim stanie, dał mi do zrozumienia na migi, abym mu podał tykwę, by i on mógł się z niej napić. Bałem się go, więc uczyniłem, jak żądał, i mój dręczyciel wypił wszystko, co w niej było, i odrzucił ją precz. Wtedy i on poweselał i zaczął na moich plecach kołysać się w obie strony. W końcu naszło nań ciężkie odurzenie, jego ścięgna i mięśnie rozluźniły uścisk i staruch zaczął chwiać się na moich ramionach. Skoro tylko zmiarkowałem, że się upił i już nie panuje nad swoimi zmysłami, uwolniłem szyję z jego nóg, pochyliłem się naprzód i szybko usiadłem, zrzucając go na ziemię. Kiedy udało mi się od tego szatana uwolnić, nie chciałem wprost wierzyć szczęściu, że jestem znów swobodny i że udało mi się pozbyć mego jarzma. Ponieważ zaś bałem się, że mój dręczyciel może się ocknąć z odurzenia i wyrządzić mi krzywdę, podniosłem wielki kamień, który leżał pod drzewem, przystąpiłem do śpiącego starucha i ugodziłem go z całej siły w głowę. I oto leżał już martwy, oby

Allach nie miał dlań zmiłowania! Potem odszedłem z lekkim sercem w głąb wyspy i powróciłem do miejsca, gdzie już uprzednio przebywałem. Sądzone mi było jeszcze przez dłuższy czas pozostać na tej wyspie, gdzie żywiłem się jej owocami i piłem wodę z jej strumieni, wyczekując, aż jakiś okręt tamtędy przepłynie. W końcu pewnego dnia, kiedy siedziałem i rozmyślałem nad moimi przeżyciami i losem, mówiąc do siebie: "Chciałbym wiedzieć, czy Allach zezwoli mi szczęśliwie stąd wyjechać, abym mógł wrócić do mojej ojczyzny i znów żyć spokojnie wśród rodziny i przyjaciół", nagle na wzburzonym morzu spośród huczących fal wyłonił się okręt. Płynął wprost ku wyspie, aż zbliżył się i zarzucił kotwicę. Podróźni wysiedli na ląd, a ja podszedłem do nich. Kiedy mnie ujrzeli, przybiegli do mnie i tłocząc się, jeden przez drugiego pytali, com za jeden i w jaki sposób się na tę wyspę dostałem. Tedy opowiedziałem im o moich przeżyciach i przygodach, a oni słuchali z najwyższym zdumieniem. Potem powiedzieli: - Ów człowiek, który siedział na twym grzbiecie, to Dziad Morski. Nikt jeszcze, na kogo on wsiadł, nie zdołał uwolnić się od potwornego uścisku jego nóg oprócz ciebie. Chwała niech będzie Allachowi za twoje ocalenie! Następnie przynieśli mi coś do zjedzenia i zjadłem do syta. Obdarzyli mnie również szatami, abym je wdział i przysłonił moją nagość, a w końcu wzięli mnie ze sobą na pokład. Płynęliśmy dzień i noc, aż los przywiózł nas do wysoko piętrzącego się miasta, gdzie okna wszystkich domów patrzyły na morze. Miasto owo zwało się Małpim Grodem. A kiedy zapadała noc, wszyscy tameczni mieszkańcy zwykli byli wychodzić przez bramy miejskie nad morze, wsiadać do łodzi i statków i nocować na wodzie w obawie, aby małpy nie zeszyły z gór i na nich nie napadły. Wysiadłem na ląd, aby miasto owo obejrzeć, a okręt nasz tymczasem odpłynął bez mojej wiedzy. Żałowałem więc, że wysiadłem, a rozmyślając o moich towarzyszach i o tym wszystkim, co już w życiu od małp ucierpiałem, usiadłem na brzegu płacząc. Tedy podszedł do mnie jeden z mieszkańców miasta i zapytał: - Efendi, azali jesteś obcym przybyszem w tej krainie? - Tak jest - odparłem - jestem ubogim cudzoziemcem, przypląnąłem okrętem, który tu był zarzucił kotwicę. Wszelako kiedy wysiadłem, aby miasto zwiedzić, wróciwszy na brzeg nie zastałem już mojego statku. Ów człowiek zaś powiedział: - Chodź więc do nas i wsiądź wraz z nami do łodzi, gdyż jeśli nocą pozostaniesz w mieście, małpy cię uśmiercą. - Słucham i jestem posłuszny - odparłem i niezwłocznie wsiadłem wraz z innymi do łodzi. Odbiliśmy od brzegu i popłynęli na pełne morze. Wreszcie zatrzymaliśmy się w miejscu odległym o jakąś milę od brzegu i tam spędzili noc. Kiedy nastał świt, łodzie powróciły do miasta, wszyscy wysiedli na ląd i każdy udał się do swoich zajęć. Tak też zwykli byli czynić co noc. Kiedy jednak ktoś z nich wieczorem w mieście pozostał, małpy napadały na niego i zabijały go. Za dnia małpy uciekały z miasta najadłszy się owoców w ogrodach i spały w górach aż do wieczora. Dopiero kiedy się ściemniało, wracały. Miasto owo leży w najodleglejszej części krainy czarnych ludzi. Najosobliwszym jednak wydarzeniem, jakie tam przeżyłem, było następujące. Jeden z tych, którzy ze mną nocowali w łodzi, rzekł kiedyś do mnie: - Efendi, jesteś obcy w naszej krainie, powiedz, czy znasz jakieś rzemiosło, którym mógłbyś się trudnić? - Nie, na Allacha - odparłem. - Nie znam żadnego rzemiosła i nie umiem pracować. Jestem bowiem kupcem, który posiadał pieniądze, majątek i własny okręt naładowany wielu towarami i wszelakim dobrem. Ale okręt się rozbił i zatonał, a wraz z nim wszystko, co na nim było; jedynie ja z pomocą Allacha się uratowałem, gdyż zesłał mi deskę, której mogłem się ucześcić, i oto przyczyna, dlaczego uszedłem z życiem. Tedy ów człowiek przyniósł mi bawelniany wór i powiedział: - Weź ten wór i napełnij go zwirem, który tu wszędzie leży. Potem idź razem z gromadą tutejszych mieszkańców, z którymi cię poznam i pod których pieczę cię oddam. Czyń wszystko, co oni czynić będą! Być może, że wtedy uda ci się coś zarobić, co ci ułatwi dalszą podróż i powrót do ojczyzny. Powiedziawszy to, ów człowiek wyprowadził mnie za miasto. Tam nabierałem kamyków i napełniłem nimi wór, który był mi wręczył. Niebawem przyszła też gromada ludzi z miasta, a mój przyjaciel zapoznał mnie z nimi i powierzył ich pieczy, tak do nich mówiąc: - Człowiek ten jest cudzoziemcem. Weźcie go ze sobą i nauczcie zbierania, aby zarobił na chleb powszedni, a wy za to nagrodę w niebie uzyskacie! - Słuchamy i jesteśmy posłuszni - odpowiedzieli, po czym powitali mnie przyjaźnie i zabrali ze sobą. Każdy z nich miał wór napełniony kamykami taki sam, jaki ja miałem. Wędrowaliśmy coraz dalej, aż doszliśmy do rozległej doliny, porosłej wielu drzewami, tak wysokimi, że żaden człowiek nie mógł się na nie wdrapać. W owej dolinie było również wiele

małp, które skoro nas ujrzały, umknęły zaraz i wdrapały się na drzewa. Wówczas ludzie, którzy ze mną przyszli, zaczęli kamykami, przyniesionymi w worach, ciskać w małpy, a one zrywały owoce z drzew i obrzucały nimi ludzi. Przyjrzałem się dokładniej owocom, jakie małpy na nas ciskały, i stwierdziłem, że są to orzechy kokosowe. Zmiarkowawszy więc, co tamci ludzie robią, wybrałem sobie wielkie drzewo, na którym siedziało mnóstwo małp, poszedłem bliżej i zacząłem ciskać w nie kamykami. Tedy małpy zaczęły zrywać orzechy i rzucać nimi we mnie, a ja zbierałem je, jak czynili to inni. Zanim opróżniłem wór ze wszystkich kamyków, już znaczna ilość orzechów była w moim posiadaniu. Skoro ludzie zakończyli pracę, zebrali wszystkie orzechy, które przy nich leżały, i każdy z nich zaniósł tyle, ile tylko mógł udźwignąć. W końcu jeszcze przed zmrokiem wróciliśmy do miasta. Tam poszedłem niezwłocznie do mojego przyjaciela, owego człowieka, który mnie z innymi zapoznał, i chciałem mu oddać wszystkie orzechy, które zebrałem, aby odwdzińczyć mu się za jego dobroć. A on tak do mnie rzecze: - Weź te orzechy, sprzedaj je i zużytkuj uzyskane pieniądze na własne potrzeby. Po czym dał mi klucz od komory swojego domu i rzekł: - W komorze tej będziesz mógł zawsze przechowywać zebrane orzechy. Idź co rano z innymi zbieraczami, jak to dzisiaj uczyniłeś, a z orzechów, które przyniesiesz, wybierz najgorsze, sprzedaj je i zużytkuj uzyskane pieniądze na własne cele. Dobre orzechy zaś przechowaj w tej oto komorze. Być może, zbierzesz ich tyle, że ci wystarczy na opłacenie kosztów podróży! - Niech Allah ci to stokrotnie wynagrodzi - odparłem i uczyniłem, jak mi zalecił. Codziennie napełniałem mój wór kamykami, wyruszałem ze zbieraczami orzechów i czyniłem to samo, co oni. A oni polecali mnie jeden drugiemu i wskazywali drzewa kokosowe, z których zwisało najwięcej orzechów. Pozostałem u nich przez pewien czas i zdołałem zgromadzić wielki zapas dobrych orzechów kokosowych. Sprzedałem również ich wiele i uzyskałem tak dużo pieniędzy, że mogłem kupować sobie wszystko, co tylko zobaczyłem i co chciałem posiadać. W ten sposób czas mijał mile, a w całym mieście szanowano mnie coraz bardziej i żyłem tak z dnia na dzień; aż pewnego razu, kiedy stałem nad brzegiem morza, ujrzałem wielki okręt, który płynął do naszego miasta. Na nim znajdowali się kupcy, którzy mieli ze sobą wiele towarów, handlowali orzechami kokosowymi i wielu innymi rzeczami. Poszedłem więc do mojego przyjaciela i opowiedziałem mu o okręcie, który przybił do brzegu. Równocześnie wszakże powiedziałem mu, że chciałbym powrócić do mojej ojczyzny. - To zależy tylko od ciebie - odparł. Więc pożegnałem się z nim, podziękowawszy za całą okazaną mi przez niego dobroć. Po czym udałem się na okręt, spotkałem się z kapitanem i umówiłem z nim cenę przejazdu i przewozu mojego mienia. Następnie załadowałem cały mój zapas orzechów i innych rzeczy, jakie posiadałem, na ów statek. Ponieważ zaś cena przejazdu i przewozu była już z kapitanem przedtem umówiona, odpłynęliśmy jeszcze tego samego dnia. Żeglowaliśmy od wyspy do wyspy i z morza na morze. Na każdej wyspie, do którejśmy zawijali, sprzedawałem orzechy kokosowe lub wymieniałem je na inne towary. I dobry Allah sprawił, że stałem się bogatszy, niż byłem uprzednio, i zarobiłem więcej, niż com stracił. Przybyliśmy do pewnej wyspy, na której rósł cynamon i pieprz, a tubylcy opowiadali nam, że przy każdej kiści pieprzu wyrasta wielki liść, który ją ocienia i chroni od wilgoci, kiedy pada deszcz. Skoro jednak pora deszczowa mija, liść odkręca się i zwisa obok kiści. Z wyspy tej wywiozłem wielki zapas pieprzu i cynamonu, który dostałem w wymianie za orzechy kokosowe. Następnie przejechaliśmy obok urodzajnych wysp, na których rosną drzewa kumaryjskiego aloesu, potem minęliśmy inną wyspę, tak długą, że jedzie się obok niej aż pięć całych dni. Tam rosły znów drzewa chińskiego aloesu, który jest lepszy od kumaryjskiego. Ale mieszkańcy tej wyspy pod względem obyczajów i wiary o wiele niżej stoją od wyspiarzy mieszkających tam, gdzie rośnie kumaryjski aloes. Hołdują bowiem pijaństwu, nie odprawiają modłów i w ogóle nawet nie wiedzą, co to jest obowiązek modlitwy. Potem przybyliśmy do okolic, gdzie wyławia się perły. Dałem więc nurkom kilka orzechów kokosowych i kazałem im nurkować na los szczęścia. Wykonali mój rozkaz i rzeczywiście wyłowili z morza nieprzeliczone mnóstwo wielkich i drogocennych pereł. Po czym powiedzieli mi: - Dostojny panie, na Allacha, szczęście ci sprzyja! Ja zaś wziąłem ze sobą wszystko, co dla mnie wyłowili, i wsiałem z tym na okręt. Z błogosławieństwem Allacha płynęliśmy coraz dalej, aż w końcu dotarliśmy do miasta Basry. Tam wysiadłem i zabawiłem niedługo, po czym wyruszyłem w dalszą podróż do Bagdadu, udałem się do mojej dzielnicy i poszedłem do mojego domu. Tu powitałem rodzinę i przyjaciół, a oni mi

winszowali ocalenia. Zgromadziwszy na składzie wszystkie towary i wszelakie dobro, które przywiozłem, odziewałem na mój koszt wdowy i sieroty, rozdzielałem jałmużnę i obsypywałem podarunkami krewnych, przyjaciół i towarzyszy. Allah bowiem uczynił mnie czterokrotnie bogatszym, niż byłem. Zapomniałem znów z powodu tego obfitego zysku i zarobku o całym trudzie i znoju, które zniosłem i przeżyłem, i beztróska wróciłem do dawnego sposobu życia w godnej kompanii moich przyjaciół. Takie oto są największe dziwy, jakie przeżyłem podczas mojej piątej podróży. Ale czas wieczerzać! Kiedy jutro rano tu powrócicie, opowiem wam o przygodach, jakie mi się przytrafiły podczas mojej szóstej wyprawy. Są one jeszcze dziwniejsze niż te, o których dzisiaj opowiadałem.

Skoro goście skończyli wieczerzę, Sindbad Żeglarz rozkazał wypłacić Sindbadowi Tragarzowi sto miskali złotem. Ten przyjął je i poszedł dziwując się znowu wszystkiemu, co usłyszał. Noc spędził u siebie w domu, ale skoro zrobiło się widno, wstał, odmówił poranną modlitwę i udał się znowu do domu Sindbada Żeglarza. Przestąpił jego próg i życzył mu dobrego dnia. Ów zaś poprosił, aby zajął miejsce, a skoro Sindbad Tragarz usiadł, gawędzili obaj, aż nadeszła reszta gości. Wówczas pozdrowili się nawzajem, wniesiono stoły i wszyscy jedli i pili, cieszyli się i weselili. Po czym Sindbad Żeglarz znów zaczął opowiadać.

### Szósta podróż Sindbada Żeglarza

Wiedzieć tedy, moi bracia, przyjaciele i towarzysze, że skoro z owej piątej podróży powróciłem, zapomniałem przy krotchwili i śpiewie, w dobrobycie i weselu o wszystkim, co uprzednio przeżyłem, i jałem wieść najrozkoszniejsze i najradośniejsze życie, jakie można sobie wyobrazić. I tak żyłem sobie z dnia na dzień, aż pewnego razu, kiedy rozkoszowałem się niezamąconym szczęściem i błogostanem, odwiedziła mnie gromada kupców, po których można było poznać, że przybywają z dalekiej podróży. Przypomniało mi się więc, jak to było, kiedy ja sam powracałem z podróży ciesząc się, że zobaczę krewnych, przyjaciół i towarzyszy, i z tego, że znów będę w ojczyźnie. Wówczas porwała mnie na nowo tęsknota za podróżami i kupieckim życiem. A skoro postanowiłem wyjechać, zakupiłem drogocenne i wspaniałe towary, nadające się do morskiej podróży, spakowałem je i wyruszyłem z nimi z Bagdadu do Basry. Tam wyszukałem wielki okręt z kupcami i bogaczami wiozącymi drogocenne towary. Kazałem tak samo jak oni załadować na ów okręt moje towary i wyruszyliśmy szczęśliwie z Basry. Żeglowaliśmy coraz dalej od siebie, z jednej miejscowości do drugiej i od miasta do miasta, wszędzie handlując i zwiedzając obce krainy. Szczęście nam sprzyjało, podróż przebiegała pomyślnie i zbieraliśmy wielkie zyski. Ale pewnego dnia, kiedy znajdowaliśmy się na pełnym morzu, nagle kapitan zrzucił z głowy turban i zaczął głośno krzyżeć; bił się po twarzy, szarpał brodę, aż wreszcie pełen strachu i wzburzenia padł na pokład. Wszyscy kupcy i podróżni obstarpi go wołając: - Kapitanie, co się stało? - Ludzie, słuchajcie! - krzyknął. - Statek nasz zmylił drogę. Opuściliśmy morze, po którym mieliśmy płynąć, i znajdujemy się obecnie na innym, którego dróg nie znamy. I jeśli Allah nie ześle nam swojej pomocy, aby nas z morza tego uratować, jesteśmy wszyscy skazani na śmierć. Módlcie się do Allacha, aby nas z tego niebezpieczeństwa wybawił! Krzyknawszy to, skoczył na równe nogi, wdrapał się na maszt i chciał zwinąć żagle. Ale wiatr zawładnął i pchnął go tak do tyłu, że ster roztrzaskał się o wysoką skałę. Tedy kapitan ześliznął się z masztu na pokład i zawołał: - Żaden śmiertelny człowiek nie zdoła okiełzać losu. Na Allacha, znajdujemy się obecnie w wielkim niebezpieczeństwie. Nie masz dla nas ratunku ni ucieczki. Tedy wszyscy podróżni zaczęli swój los oplakiwać i żegnać się nawzajem, ponieważ czas ich życia dobiegał kresu i nie było znikąd nadziei. Od razu potem okręt uderzył z całej siły o skałę i rozbił się. Deski kadłuba rozleciały się i wszystko, co było na okręcie, zatoneło w morzu. Również kupcy wpadli do wody i kilku z nich utoneło, a inni uczepiwszy się skały z trudem się na nią wdrapali. Ja należałem do tych, którym udało się wspiąć na skałę, a z jej wierzchołka ujrzalem, że znajdujemy się na wielkiej wyspie. Na wybrzeżu wyspy leżało moc rozbitych statków, których szczątki morze wyrzuciło na owo wybrzeże i których załogi potoneły. Leżała tam taka obfitość sprzętu okrętowego i wszelakiego dobytku przez morze

wyrzuconego, że wprost mąciły się od tego rozum i zmysły. Wdrapałem się na najwyższy szczyt na owej wyspie i rozejrzawszy się dokoła spostrzegłem w najdalszym jej końcu strumień słodkiej wody, wypływający spod góry i znikający w ziemi pod przeciwległym łańcuchem gór. Pozostali podróżni wdrapali się również na ową górę i poszli w głąb wyspy, gdzie rozproszyli się oszołomieni i wręcz obłąkani od widoku takiego bogactwa, najróżniejszego dobra i towarów leżących na brzegu morza. Ja zaś odkryłem na dnie owego strumienia olbrzymie mnóstwo klejnotów, szlachetnych kamieni, krwawych rubinów i wielkich matowych pereł królewskich wszelkiego rodzaju. Leżały one niczym żwir w łóżysku strumienia wijącego się wśród zielonych łąk, a całe dno potoku lśniło i skrzyło się od mnóstwa drogich kamieni. Znaleźliśmy na owej wyspie również drogocenne drzewa aloesu zarówno chińskiego, jak i kumaryjskiego. Bije tam także źródło pewnego rodzaju surowej ambry, która topnieje w skwarze słonecznym jak wosk, przelewa się przez brzegi źródła i spływa ku morzu. Z głębin morskich wynurzają się wtedy różne potwory, połykają ambre i znikają znów w odmętach morza. Ale ambra pali je tak w brzuchu, że wypluwają ją znowu z pyska do morza. Potem tężeje ona na powierzchni wody, zmieniając barwę i kształt, a fale wyrzucają ją na wybrzeże. Tam zbierają ją podróżni i kupcy, którzy znają jej wartość i sprzedają jako żółty jantary za drogą cenę. Surowa ambra wszakże, której potwory jeszcze nie połknęły, wypływa poza brzegi owego źródła i tężeje na ziemi. A kiedy słońce przygrzeje, ambra topi się i cała dolina pachnie nią jak piżmem; skoro jednak słońce się chowa, ambra na nowo krzepnie. Wszelako do miejsca, z którego owa surowa ambra wypływa, żaden człowiek nie może dotrzeć ani nawet podejść, gdyż jest ono ze wszystkich stron okolone niedostępnymi górami. Wędrowaliśmy przez pewien czas po wyspie i choć zatroskani naszym położeniem podziwialiśmy cuda natury, jakie Allah stworzył. Było się bowiem o co troskać. Na wybrzeżu znaleźliśmy trochę pożywienia, któreśmy przezornie oszczędzali, jedząc tylko raz dziennie, a potem nawet co drugi dzień. Obawialiśmy się bowiem, że zapas nasz się skończy, a wtedy poginiemy marnie z głodu i wycieńczenia. Kiedy któryś z naszych towarzyszy umierał, obmywaliśmy jego zwłoki i odziewaliśmy w szaty lub obwijaliśmy w całun z płótna, które fale tam na brzeg wyrzuciły. Z czasem pomarło wielu z nas i pozostała jedynie mała garstka. Ale i my cierpieliśmy bardzo na chorobę żołądka od picia wody morskiej. Nie trwało długo, aż pomarli wszyscy moi przyjaciele i towarzysze, jeden po drugim, i zostali pogrzebani. W końcu pozostałem sam jeden na owej dalekiej wyspie, mając już tylko niewielki zapas żywności, ja, który ongiś byłem tak bogaty. Lamentowałem więc nad moim losem, mówiąc: "Dlaczegoż nie umarłem wcześniej od moich towarzyszy! Wtedy obmyliby moje zwłoki i wykopaliby mi mogiłę!" Kiedy wszyscy moi towarzysze już byli pogrzebani i pozostałem sam jeden na wyspie, przeczekałem jeszcze pewien czas, a potem zabrałem się do wykopania sobie głębokiego grobu na brzegu morza. I tak przy tym mówiłem do siebie: "Kiedy osłabnę i pocuję, że śmierć moja już bliska, położę się w tym grobie i umrę. Wtedy wiatry nawieją na mnie piasku, który mnie nakryje, tak że i ja będę miał mogiłę". Przy tym wyrzucałem sobie gorzko, że byłem tak głupi, aby opuścić swoje miasto rodzinne i ojczyznę, wyruszając znów w świat i to po tym wszystkim, co przeżyłem już w czasie pierwszej, drugiej, trzeciej, czwartej i piątej podróży. Zawsze każda kolejna wyprawa przynosiła mi gorsze, straszniejsze okropności i niebezpieczeństwa niż uprzednia, a teraz w końcu nie mam już nadziei ująć z życiem. Żałowałem, że ciągle na nowo wyruszałem na morze, zwłaszcza że wcale nie musiałem mieć więcej pieniędzy. Byłem bowiem tak bardzo bogaty, że nie mogłem nawet wykorzystać tego, co posiadałem. Ba, nawet połowy tego nie byłem w stanie wydać podczas całej reszty mojego życia, mając wszystkiego w bród, a nawet więcej, niż potrzebowałem! Potem zacząłem się namyślać i tak sobie powiedziałem: "Na Allacha, ten strumień musi mieć przecież początek i koniec, gdzieś w jakimś zamieszkanym przez ludzi kraju musi znowu wypływać na światło dzienne. Przeto będzie rzeczą najbardziej słuszną, jeśli zmajstruję sobie małą tratwę, tylko taką, abym mógł się na niej zmieścić, na ten strumień ją spuszczyć i pozwolę się nieść prądowi. Może w ten sposób znajdę drogę do ludzi i życie moje będzie z pomocą Miłościwego Allacha ocalone. Jeśli zaś jej nie znajdę, to utonę w nurtach tego strumienia, a taka śmierć jest jednak lepsza od śmierci głodowej". Wzdychając nad swoim losem, wziąłem się do roboty, przyniosłem kilka pni z wyspy, i to pni drzew chińskiego i kumaryjskiego aloesu, związałem je linami wziętymi z rozbitych okrętów, wyszukałem sobie deski równej wielkości z tychże i położyłem je na owych

pniach. W ten sposób zmajstrowałem sobie tratwę, trochę węższą od szerokości strumienia, po czym związałem ją dobrze i mocno. Następnie zebrałem sporo drogich kamieni, klejnotów i wielkich pereł, leżących tam niczym żwir dokoła, wiele innych cennych rzeczy, które znalazłem na wyspie, oraz kilka kawałków delikatnej, czystej surowej ambry i pomieściłem to wszystko na tratwie. Poza tym wziąłem ze sobą pozostały mi jeszcze zapas żywności. Wreszcie umocowałem u obu boków tratwy dwa drągi, które miały służyć mi za wiosła, po czym postąpiłem zgodnie ze słowami poety: Idź precz od złego miejsca, gdzie nieszczęście czyha.@ Niech strata domu boli tego, kto zbudował.@ Zawsze gdzieś czeka na cię jakaś przystań cicha,@ Lecz kiedy życie stracisz, nie zaczniesz od nowa.@ Przeto nie bój się ciemnej nocy przeznaczenia,@ Zawsze nieszczęściu jakiś kres położon będzie,@ Bo miejsca twojej śmierci los nigdy nie zmieni@ I śmierć cię tam przydybie, a nigdy gdzie indziej.@ Więc nie posyłaj posłów, by o radę prosić,@ Najlepszą radę własna dusza ci przynosi! I popłynąłem owym strumieniem na tratwie, rozmyślając, jak to moje przedsięwzięcie się skończy. Prąd pchał mnie naprzód, aż dotarłem do miejsca, gdzie strumień zniknął pod łańcuchem gór. Skoro tylko tratwa tam wjechała, otoczyły mnie nagle gęste ciemności. Prąd wszakże niósł tratwę coraz dalej w głąb góry, aż do miejsca, gdzie zwięzło się wyżłobione w skale przejście. Tam brzegi tratwy ocierały się o ściany skalne, a głową uderzałem raz po raz o sklepienie. Ale nie było już dla mnie powrotu. Znowu wyrzucałem sobie, com uczynił, i tak do siebie mówiłem: "Jeśli to przejście okaże się jeszcze węższe, tratwa nie będzie mogła ani tamtędy przepłynąć, ani wrócić, a wtedy niechybnie zginę marnie". Po czym, ponieważ robiło się coraz ciasniej, padłem twarzą na tratwę. Prąd wszakże niósł mnie coraz dalej, a wewnątrz skały było tak ciemno, że nie wiedziałem, czy to dzień, czy noc, do czego dochodziło jeszcze przerażenie i lęk mojej duszy przed śmiercią. I tak dałem się nieść prądowi to przez szerszy, to węższy korytarz skalny. Wszelako ciemność tak mnie zmęczyła, że pomimo całego podniecenia usnąłem. I tak leżałem śpiąc twarzą na tratwie, która ze mną płynęła podczas mego snu, nie wiem nawet, długo czy krótko. Ale nagle ocknąłem się i znalazłem się w świetle dnia. Skoro otwarłem oczy, ujrzałem rozległą okolicę. Moja tratwa była przywiązana do brzegu, a wokół mnie stała gromada Hindusów i czarnych ludzi. Jak tylko zobaczyli, że się obudziłem, podeszli do mnie i zaczęli w swoim narzeczu przemawiać. Ja wszelako nie rozumiałem nic z tego, co mówili. Wydawało mi się, że to tylko zjawa i że wszystko dzieje się we śnie, ponieważ nie zmożłem jeszcze w sobie strachu i podniecenia. Kiedy pojęli, że ja ich mowy nie rozumiem jeden z nich zbliżył się i rzekł po arabsku: - Pokój z tobą, bracie! Kim jesteś? Skąd przybywasz i co cię tu przywiodło? Jaki kraj znajduje się za tą górą? Nie znamy bowiem nikogo, kto by do nas stamtąd przybył. Jesteśmy wieśniakami i przyszliśmy tu, aby nasze pola i uprawy nawodnić. Kiedy ujrzeliśmy cię śpiącego na tratwie, zatrzymaliśmy ją i przywiązaliśmy tu do brzegu, abyś mógł spokojnie się obudzić. Ale powiedz nam teraz, w jakim celu tu przybyłeś. - Na Allacha - zawołałem - przynieś mi najprzód coś do zjedzenia, gdyż jestem głodny, a potem dopiero pytaj, o co ci się będzie podobało! Od razu pobiegł i przyniósł jedzenie, na które się rzuciłem, aż głód mnie odszedł i poczułem się wypoczęty. Strach minął, a uczucie sytości dało mi nowe siły. Wielbiłem Allacha, dziękując mu za wszystko, i cieszyłem się, że płynąc owym strumieniem udało mi się dotrzeć do ludzi. Opowiedziałem im o wszystkim, co przeżyłem, od początku do końca, zwłaszcza o tym, jak przedostawałem się strumieniem przez najwęższe miejsca podziemnego korytarza. Tedy owi ludzie zaczęli coś szeptać między sobą i powiedzieli: - Trzeba nam wziąć go ze sobą i zaprowadzić przed oblicze naszego króla, aby i jemu opowiedział swoje przygody. I rzeczywiście zabrali mnie z sobą i ponieśli za mną moją tratwę ze wszystkim, co znajdowało się na niej, złotem i wszelakim dobrem szlachetnymi kamieniami oraz innymi klejnotami. Stanąwszy przed swoim monarchą, powiadomili go o moim przybyciu, król zaś pozdrowił mnie przyjaźnie i spytał, kim jestem i co za przygody przeżyłem. Opowiedziałem więc mu wszystko o swojej osobie i swoich przeżyciach od początku do końca. Wysłuchawszy mojego opowiadania z największym zdumieniem, król winszował mi ocalenia. Wtedy poszedłem do mojej tratwy i wziąłem stamtąd sporo drogich kamieni, klejnotów, drzewa aloesowego i surowej ambry i złożyłem w darze królowi. Ten przyjął to i świadcząc mi coraz więcej zaszczytów, dał mi nawet gościnę we własnym pałacu. Obcowałem tam z wielu dostojnikami, którzy zawsze odnosili się do mnie z wielkim respektem. Obcy przybysze zaś, którzy do tej wyspy zawijali, pytali mnie o moją

ojczyznę, a ja im o niej opowiadałem. Również i ja wypytywałem ich o sprawy ich ojczyzny, a oni mi o tym opowiadali. Pewnego dnia wszakże zapytał mnie sam król, jak wygląda moja ojczyzna i jakie rządy sprawuje kalif w mieście Bagdadzie. Opowiedziałem mu więc o sprawiedliwych rządach naszego kalifa. Zachwycił się tym i tak do mnie rzecze: - Na Allacha, rządy waszego kalifa są mądre, a panowanie jego chwalebne. Przez swoją opowieść wzbudziłeś we mnie miłość do niego, chciałbym więc przygotować dlań podarunek i posłać mu go za twoim pośrednictwem. - Słucham i jestem posłuszny, królu i panie! - odparłem. - Chętnie mu dary twoje wręczę i doniosę, że jesteś mu szczerym przyjacielem. Pozostałem jednak jeszcze przez dłuższy czas na dworze owego króla, otrzymując dowody najwyższego szacunku i pędząc rozkoszne życie, aż w końcu pewnego dnia, gdy przebywałem w pałacu, usłyszałem, że gromada tamtejszych kupców sposobila okręt, którym zamierza popłynąć do miasta Basry. Powiedziałem więc sobie: "Nie może być dla mnie lepszej okazji jak z tymi kupcami wyruszyć". Niezwłocznie udałem się do króla, ucałowałem mu rękę i powiadomiłem go, iż zamierzam odjechać z ową gromadą kupców, którzy okręt do podróży przysposobili, ponieważ tęsknię za swoimi najbliższymi i ojczyzną. Król odpowiedział mi na to: - Postąpisz, jak zechcesz, ale gdybyś jednak wolał u nas pozostać, to z całego serca będziemy ci radzi, gdyż stałeś się nam już bliski. - Na Allacha, najjaśniejszy panie - odpowiedziałem na to - zasypujesz mnie dowodami twojej łaski i dobroci. Mimo to jednak tęsknię do moich ziomeków, do ojczyzny i rodziny. Skoro król usłyszał te słowa, przywołał do siebie owych kupców i powierzył mnie ich pieczy. Obsypał mnie również sownicami różnymi darami ze swojego skarbcza i zapłacił za mnie koszty przejazdu na okręcie. Krom tego wręczył mi wspaniałe upominki dla kalifa Harun ar-Raszida w mieście Bagdadzie oraz list do niego mówiący: - Oddaj to kalifowi Harun ar-Raszidowi i przekaz mu wiele pozdrowień ode mnie! - Słucham i jestem posłuszny - odpowiedziałem. W liście owego króla do kalifa było napisane, co następuje: Śle Ci pozdrowienia władca Hindustanu, który ma do swych usług tysiąc słoni, a na blankach jego zamku skrzy się tysiąc drogich kamieni. Przesyłamy Ci również drobne upominki, które racz od nas przyjąć. Uważamy Cię za przyjaciela i brata, a miłość do Ciebie wypełnia po brzegi nasze serca. Wprawdzie upominki nasze nie odpowiadają Twojej wysokiej godności, ale mimo to prosimy Cię, o nasz bracie, abys raczył je łaskawie przyjąć. Pokój z Tobą! Upominkami tymi były zaś: puchar rubinowy wysadzany drogocennymi perłami, poza tym skóra z olbrzymiego węża, który połyka słonie, cętkowana w plamki wielkości denara i mająca tę właściwość że każdy, kto na niej siądzie, nigdy nie zachoruje. A krom tego jeszcze sto miskali drewna indyjskiego aloesu oraz niewolnica piękna jak poświata miesiąca. Po czym pożegnałem się z królem i wszystkimi moimi przyjaciółmi, u których stale bywałem. I wsiadłszy z owymi kupcami na ich okręt, odpłynąłem. Wiatr był pomyślny i podróż nam się szczęściła. Pokładając ufność w Allachu, płynęliśmy z morza na morze i od wyspy do wyspy, aż z Jego pomocą dotarliśmy w dobrym zdrowiu do miasta Basry. Tam opuściłem okręt i spędziłem kilka dni i nocy, aby przysposobić się do dalszej podróży i przeładować swoje sakwy. Potem wyruszyłem do miasta Bagdadu, Przybytku Pokoju. Przybywszy tam zostałem przyjęty przez kalifa Haruna ar-Raszida, gdyż miałem mu wręczyć dary i list od owego króla. Kiedy stanąłem przed jego obliczem, ucałowałem mu rękę i wręczyłem wszystko, co dla niego przywiozłem. Również dałem mu list, a on go przeczytał. Przyjął dary z wielką radością, po czym spytał mnie: - Sindbadzie, czy to, co ów król mówi w tym swoim piśmie, odpowiada prawdzie? Ucałowałem ziemię u jego stóp i odrzekłem: - Dostojny kalifie, w państwie jego widziałem jeszcze o wiele więcej niż to, o czym on pisze. W dniu, kiedy władca Hindustanu ukazuje się swemu ludowi, wznosi się dla niego tron na grzbiecie olbrzymiego słonia, wysokiego na jedenaście łokci, i król na ów tron siada. Przy nim stoją jego dostojnicy, słudzy i towarzysze uczt, tworząc dwa rzędy po jego prawej i lewej ręce, przed nim stoi człowiek ze złotą dzidą w rękę, a z tyłu za nim drugi, ze złotym buzdyganem, na końcu którego znajduje się olbrzymi szmaragd. A kiedy król wyrusza na swoim słoniu, wokoło niego cwałuje tysiąc dzigitów, przystrojonych w przetykany złotem jedwab. Podczas jazdy biegnie przed nim czausz, wołając: "Oto władca, któremu należy się najwyższa cześć, oto sułtan i padyszach!" Po czym czausz wychwala go wielu jeszcze innymi słowami i tytułami, których wszystkich nie byłem w stanie spamiętać, a na końcu wielbi go zawołaniem: "Oto władca, który posiada tak wspaniałą koronę, jakiej ani król Salomon, ani żaden maharadza nigdy

nie widział". W owym mieście zaś nie ma kadiego, gdyż cały naród tamtejszego kraju wie, co jest dobre, a co złe. Kalif przysłuchiwał się z najwyższym zdumieniem moim słowom, po czym zawołał: - Jakżeż potężny musi być ów król! Już jego list świadczy o tym, ale prawdziwą wielkość jego potęgi dopiero ty nam ujawniłeś, opowiadając o tym, co widziałeś na własne oczy. Na Allacha, mądrość i siła przypada owemu królowi w udziale! Potem złożyłem w swoich składach wszystkie skarby i wszelakie dobro, a sam udałem się do swojej dzielnicy. Krewni i przyjaciele przyszli do mnie, a ja obdarowałem ich hojnie. Również rozdałem wiele jałmużny najbiedniejszym. Po pewnym czasie wszakże kalif przysłał po mnie i jął mnie wypytywać o dary, które przywiozłem, i o miasto, z którego one pochodziły. A ja mu odpowiedziałem: - O władco wiernych, na Allacha, nie znam nazwy owego miasta i trudno mi będzie znów tam dotrzeć. Kiedy bowiem okręt, na którym płynąłem, zatonął, przypląnąłem do pewnej wyspy, a tam zbudowałem sobie tratwę, na której dotarłem w głąb owej wyspy. I opowiedziałem mu o wszystkim, co podczas mej jazdy przeżyłem, jak szczęśliwie strumieniem owym płynąłem, aż dotarłem do owego miasta, oraz dlaczego dary te zostały mu przesłane. Kalif wysłuchawszy ze zdumieniem mojej opowieści, rozkazał swoim dziejopisom spisać moją historię i rękopis przechować w swoim skarbcu, jako naukę dla wszystkich, którzy go będą czytać. Uczyniwszy to obdarował mnie hojnie. Ja zaś pędziłem w mieście Bagdadzie takie samo życie jak uprzednio. Zapomniałem całkowicie o wszystkim, co przeżyłem i przecierpiałem, i żyłem sobie wspaniale wśród samych radości. Oto co przytrafiło mi się podczas mojej szóstej podróży, mili bracia! Jutro rano, jeśli Allah pozwoli, opowiem wam dzieje siódmej podróży, która spośród wszystkich moich wypraw jest najcudowniejsza i najbardziej osobiwa.

Następnie Sindbad Żeglarz rozkazał nakryć stoły i goście zasiedli do wieczerzy. Po czym jak zwykle podarował Sindbadowi Tragarzowi sto miskali złotem. Ten przyjął je i poszedł w swoją drogę. Również i inni goście udali się do swoich domostw, wszyscy nie posiadając się ze zdumienia nad tym, co usłyszeli. Sindbad Tragarz spędził noc u siebie. Potem odmówił poranną modlitwę i udał się znów do domu Sindbada Żeglarza. Nadeszli tam później także i pozostali goście, a skoro wszyscy zgromadzili się w komplecie, pan domu jął dalej opowiadać.

### Siódma podróż Sindbada Żeglarza

Wiedzieć, ludzie, że kiedy powróciłem z szóstej podróży, oddałem się znów wesołemu życiu, pływając się w dobrobycie i rozkoszy wśród ciągłych zabaw, muzyki i śpiewu, i spędziłem tak wiele dni i nocy. Zyski miałem bowiem obfite i zarobek wielki. Mimo to dusza moja znów kusila mnie, abym zwiedzał obce kraje, pływał po morzach i wraz z innymi kupcami cieszył się słuchając nowin o różnych nieznanach rzeczach. Skoro umocniłem się w swoim postanowieniu, kazałem znów spakować wiele cennego towaru, zdatnego do handlu morskiego, i przewiozłem go z miasta Bagdadu do Basry. Tam zastałem okręt, gotowy do odpłynięcia, na którego pokładzie znajdowała się gromada zamożnych kupców. Udałem się więc na ich okręt i zaprzyjaźniłem się z nimi. Wkrótce wyruszyliśmy razem wesoło i gwarno, w dobrym zdrowiu w szeroki świat. Pomyślny wiatr stale nam sprzyjał, aż dopłynęliśmy do pewnego miasta, które zwie się Madinat as-Sin. W równie dobrym nastroju, w jakim tam przybyliśmy, odpłynęliśmy stamtąd, gawędząc o naszej podróży i naszych sprawach handlowych, aż nagle wpadł na nas, znienacka, potężny huragan. Natarł na nas od przodu i zalał deszczem, i zarówno my, jak i nasz towar przemokliśmy do suchej nitki. Okryliśmy więc nasze towary wołokowymi derkami i zgrzebnym płótnem, w obawie, aby się od deszczu nie zepsuły. Modliliśmy się przy tym do Allacha Miłościwego i błagali pokornie, aby uratował nas od zagrażającego nam straszliwego niebezpieczeństwa. Kapitan zaś wstał, zakasał rękawy i wdrapał się na maszt. Stamtąd rozejrzał się na prawo i na lewo i spojrzął na ludzi stojących na pokładzie. Po czym jął się bić po twarzy i szarpać brodę. My zaś wołaliśmy do niego: - Kapitanie, co się stało? A on na to: - Błagajcie Miłościwego Allacha o ratunek w niebezpieczeństwie, które nam zagraża! Płaczcie nad waszym losem i pożegnajcie się wzajemnie! Wiedzieć bowiem, że przemożny huragan zawładnął naszym okrętem i wygnał go w najdalsze



morze, na samym krańcu świata! Rzekłszy to kapitan zesunął się z masztu, otworzył swoją skrzynię i wyjął z niej bawełnianą sakiewkę. Po czym rozwiązał ją i wydostał z niej jakiś proszek, który wyglądał na popiół, następnie zwilżył proszek wodą, odczekał chwilę i jął wachać. Krom tego wyciągnął jeszcze ze swojej skrzyni małą książeczkę, coś w niej przeczytał i tak do nas rzecze: - Wiedzcież, podróżni, że w książce tej znajduje się osobiwa wiadomość, a mianowicie, że każdy, kto w tę okolicę zabłądzi, z życiem stąd nie powróci, lecz musi zginąć marnie. Okolica ta zwie się bowiem królestwem duchów i tu znajduje się grób króla Salomona. Są tam również smoki potwornej wielkości i o strasznym wyglądzie. Za każdym razem, kiedy jakiś okręt do tego królestwa duchów zabłądzi, wynurza się z głębiny morskiej olbrzymia ryba i pożera okręt wraz ze wszystkim, co się na nim znajduje. Zdumieliśmy się usłyszawszy te słowa z ust kapitana. Zaledwie skończył on mówić, jak okręt nasz uniósł się nagle wysoko na falach, a potem raptownie opadł i usłyszeliśmy przeraźliwy ryk, niczym huk piorunu. Złękliśmy się śmiertelnie i uznali za straconych. Wówczas natarła na nasz okręt ryba, kształtem podobna do olbrzymiej góry, co napełniło nas przerażeniem. Zaczęliśmy płakać gorzko nad naszym losem i sposobie się na śmierć. Z najwyższą grozą przyglądaliśmy się przy tym owemu okropnemu potworowi, gdy raptem nadpłynęła druga ryba, większa i potężniejsza od wszystkiego, cośmy dotychczas widzieli. Toteż na jej widok jęliśmy się nawzajem żegnać ze sobą i lamentować nad naszą niechybną zgubą. I oto, niespodziewanie, zjawiała się trzecia ryba, jeszcze większa od tamtych obu, które przedtem wyłoniły się z morza. Wtedy opuściły już nas całkiem rozum i zdrowy rozsądek i byliśmy jak oblakani z przerażenia i strachu. Owe trzy olbrzymie ryby zaś zaczęły krążyć koło naszego statku, a ta trzecia, największa, rozwarła już paszczę, aby go połknąć ze wszystkim, co na nim było. Wówczas jednak zerwała się nagle gwałtowna burza, fale podrzuciły okręt do góry i cisnęły nim o olbrzymią rafę, o którą się rozbił. Deski z jego kadłuba rozleciały się we wszystkie strony, a towary oraz wszyscy kupcy i podróżni wpadli do morza. Tedy zerwałem z siebie wszystkie szaty, jakie na sobie miałem, i w jednej koszuli płynąłem dookoła, aż natknąłem się na deskę z rozbitego statku i uczepiłem się jej. Po czym wdrapałem się na nią i usiadłem okrakiem. Bałwany morskie i wichry rzucały mną uczepionym na owej desce to tu, to tam, niczym dziecinną zabawką. Fale unosiły mnie do góry lub znów zanurzały w głębiny morską. Położenie moje było tak okropne, że gorszego trudno sobie wyobrazić, gdyż dręczony byłem strachem, głodem i pragnieniem. Tedy zacząłem wyrzucać sobie wszystko, co uczyniłem, a dusza moja, która zażywała ongiś błęgiego spokoju, cierpiała teraz srogie męki. I tak do siebie mówiłem: "Sindbadzie Żeglarzu, nigdy nie potrafisz dać za wygraną i za każdym razem popadasz w nowe nieszczęścia i niebezpieczeństwa, a mimo to nie chcesz wyrzec się podróży morskich. A jeśli nawet to czynisz, to tylko pozornie. Znoś więc teraz wszystko, co ciebie spotyka, gdyż zasłużyłeś na to". I tak wpadłszy do morza i siedząc okrakiem na desce z rozbitego okrętu ciągle sobie powtarzałem: "Zasłużyłem na to, co na mnie spada! Allach zesłał to wszystko na mnie, abym nareszcie wyleczył się z mojej chciwości. Wszystkie moje strapienia pochodzą bowiem z żądy zysku, a przecież posiadałem już tyle pieniędzy i dostatku". A potem uspokoiwszy się nieco, tak do siebie mówiłem dalej: "Po tej podróży już naprawdę poprzysięgnę, biorąc Allacha za świadka, że wyrzekam się raz na zawsze wszelkich morskich wypraw. Nie będę już nigdy o czymś takim mówił, ba, nawet myślał". I modliłem się przez dłuższy czas do Allacha, lejąc gorzkie łzy wspominając, jak to ongiś w spokoju i radości, w pogodzie i weselu, wygodnie i dostatnio sobie żyłem. W ten sposób płynąłem przez dwa dni, aż wylądowałem na dużej wyspie, na której rosło wiele drzew i płynęło wiele strumieni. Tam jadłem owoce z owych drzew i piłem wodę z owych strumieni, aż powróciłem do sił. Życie się we mnie odnowiło i nabrałem otuchy, i serce poczuło ulgę od strasznego ucisku. Jąłem tedy przechadzać się po wyspie i natrafiłem po jej drugiej stronie na wielką rzekę, która płynęła wartkim prądem. Wtedy przypomniałem sobie tratwę, na której kiedyś płynąłem, i rzekłem sam do siebie: "Muszę teraz znowu sobie taką tratwę zbudować. Może w ten sposób się uratuję. Jeśli ujdę z życiem, cel mój będzie osiągnięty i poprzysięgnę w obliczu Allacha, że nigdy nie będę już podróżował. Jeśli zaś poniosę śmierć, to serce moje odpocznie wreszcie od wszelkich trudów i mąk". Jak pomyślałem, tak i zrobiłem. Nazbierałem gałęzi z owych drzew, które okazały się rzadkimi i drogocennymi drzewami sandałowymi, o czym zresztą wcale nie wiedziałem. Zebrawszy dosyć owego drewna, ułożyłem sobie nowy plan działania

i uplotłem powrozy z gałęzi i traw, które rosły na tej wyspie. Nimi to związałem tratwę, powtarzając sobie w duchu: "Jeśli się uratuję, to zawdzięczać to będę tylko łasce Allacha". Po czym siadłem na tratwę i popłynąłem wzdłuż rzeki, aż dotarłem do drugiego końca wyspy i wypłynąłem na pełne morze. Przepłynąłem jeden dzień, drugi i trzeci od chwili, kiedy ową wyspę opuściłem. Leżałem na mojej tratwie cały czas bez pożywienia, popijając jedynie wodę, której zapas zabrałem czerpiąc z owej rzeki. Wyglądem przypominałem bezradną kureę, tak byłem wygłodniały i wylekły. W końcu tratwa dopłynęła ze mną do wysokiej góry, pod którą rzeka wyłobila sobie podziemne koryto. Kiedy to ujrzałem, przestraszyłem się o swoje życie, przypominając sobie ów wąski korytarz, przez który ongiś płynąc po podobnym strumieniu ledwie się przecisnąłem. Chciałem już tratwę zatrzymać i wysiąść u stóp góry, ale prąd okazał się ode mnie silniejszy, porwał tratwę wraz ze mną i wepchnął w podziemne koryto wyłobione pod górą. Ujrawszy to, uznałem się za straconego. Ale po krótkiej chwili tratwa wypłynęła znów na świeże powietrze, a przede mną rozciągała się szeroka dolina, w którą rzeka, z podobnym do grzmotu hukiem, szybciej od wiatru spadała. Chwyciłem się kurczowo tratwy aby z niej nie spaść, gdy tymczasem fale ciskały mną na wszystkie strony. Tratwa zaś popędziła z tak szaloną szybkością z prądem w dół, że nie mogłem jej zatrzymać ani skierować do brzegu. W końcu tratwa przybiła do jakiegoś miasta o pięknym wyglądzie, wspaniale zabudowanego i gęsto zaludnionego. Mieszkańcy tego miasta widzieli mnie, kiedy środkiem rzeki mknąłem na tratwie z prądem, zarzucili sieć z długimi sznurami, i w ten sposób zdołali wyciągnąć mnie z wody na brzeg. Tam padłem na ziemię jak nieżywy. Głód, bezsenność i strach całkiem mnie bowiem wyczerpały. Z gromady ludzi wystąpił sędziwy starzec, podszedł do mnie, przywitał mnie życzliwie i rzucił mi piękną szatę, abym mógł nią nagość moją przyodzianą. Po czym wziął mnie ze sobą, przeszedł ze mną ulicami miasta i zaprowadził do łaźni. Tam przyniósł mi dla wzmocnienia rzeźwiące napoje i dał wonne pachnidła. Po opuszczeniu łaźni wprowadził mnie do swego domu, a jego rodzina uradowała się z mego przybycia. Następnie gościnnie gospodarz wskazał mi wygodne siedzenie i poczęstował smacznymi potrawami. Jadłem, aż się nasyciłem, i wielbiłem Allacha, dziękując mu za moje ponowne ocalenie. Kiedy się już pomodliłem, słudzy mojego gospodarza przynieśli mi ciepłą wodę, abym mógł w niej obmyć ręce, a niewolnice wręczyły mi jedwabne ręczniki, abym mógł wytrzeć sobie ręce i usta. Wkrótce potem gościnnie starzec przeznaczył dla mnie oddzielną komnatę w bocznym skrzydle swego domu i rozkazał swoim sługom i służebnicom, aby mi usługiwali, każdą zachciankę moją spełniali i troszczyli się o wszystko, czego mi będzie potrzeba. Kiedy tak się o mnie troszczono, pozostałem przez trzy dni w owym gościnnym domu, starając się z pomocą smacznego jadła, mocnych napojów i orzeźwiających zapachów powrócić do sił. Lęk mój się ulotnił, serce moje zaczęło bić równo, a dusza odnalazła spokój. Czwartego dnia zaszedł do mnie mój gospodarz. Ucieszyłeś nas twoimi odwiedzinami, mój synu. Niech Allah będzie uwielbion za twoje ocalenie. Powiedz teraz, czy chcesz wraz ze mną zejść na dół na wybrzeże, a potem udać się na bazar, aby towar twój sprzedać i osiągnąć zań dobrą cenę? Być może, kupisz za to coś innego, co będziesz mógł z kolei dobrze odprzedać. Milczałem przez chwilę, pytając siebie w duchu: "Skądże miałbym tu mieć jakiś towar? Nie rozumiem, o czym on mówi". Tamten zaś ciągnął dalej: - Synu mój, porzuć troski i nie namyślając się, chodź ze mną na bazar! Jeśli spotkamy kogoś, kto za twój towar zapłaci tyle, że cię to zadowoli, zgódź się na cenę. Jeśli jednak nie będą dosyć dawali, to przechowam twój towar w swoim składzie, aż nadejdzie pomyślniejsza dla handlu pora. A ja ciągle się zastanawiałem i tak do siebie mówiłem: "Zrób tak, jak ten starzec mówi, a zobaczysz, o jaki to towar chodzi". Odpowiedziałem więc: - Słucham i jestem posłuszny, panie. Niech to, co czynisz, będzie błogosławione! W niczym nie chcę ci się sprzeciwiać. Następnie udałem się z nim na bazar, gdzie zastałem moją tratwę rozebraną na części. Dopiero teraz zauważyłem, że była ona z drzewa sandałowego. Starzec kazał obwoływaczowi obwieścić, że drewno to jest na sprzedaż. I już podeszli kupcy, i zaczęli podbijać ceny, ofiarowując coraz więcej za sandałowe drzewo, aż cena doszła do tysiąca denarów i na tym stanęło. Starzec zaś zwrócił się do mnie i tak rzecze: - Słuchaj, synu, cena ta jest słuszną zapłatą za twój towar w obecnej porze. Czy chcesz go za tę cenę odstąpić, czy też wolisz poczekać i oddać go do mego składu na przechowanie, aż nadejdzie pora, kiedy będziesz mógł domagać się wyższej ceny i takową uzyskać? Odpowiedziałem na to: - Panie mój, ty

rozstrzygnij, uczyni, jak chcesz. - Mój synu - ciągnął starzec dalej - sprzedaj mi więc swoje drewno o sto denarów drożej, niż ofiarowują ci owi handlarze. - Zgoda - odparłem. - Odsprzedam ci je za tę cenę i zgadzam się na nią. Wtedy starzec rozkazał sługom zanieść owo sandałowe drzewo do swojego składu. A ja, powróciwszy wraz z nim do jego domu, usiadłem przy nim i dostałem od niego dokładnie odliczoną cenę kupna. Również kazał on przynieść dla mnie sakiewkę i włożył do niej owe pieniądze. Po czym zamknął sakiewkę w skrytce żelaznej i wręczył mi od niej kluczyk. Po kilku dniach mój gospodarz tak do mnie powiedział: - Synu mój, chcę ci zrobić pewną propozycję i byłbym wielce rad, gdybyś ją przyjął. - Co to za propozycja? - zapytałem. A on na to: - Wiedz, dożyłem już podeszłego wieku, wszelako nie mam męskiego potomka. Mam jednak córkę młodą latami i wyróżniającą się wdziękiem, bogatą w pieniądze i powaby. Pragnąłbym, byś ją poślubił i wraz z nią pozostał w naszym kraju, wówczas oddam ci na własność wszystko, co posiadam. Jestem bowiem już starym człowiekiem i wkrótce będziesz mógł mnie zastąpić. Ja wszakże milczałem, nic nie odpowiadając. On zaś tak do mnie mówił dalej: - Synu mój, zgódź się na to, co ci proponuję, gdyż chcę twego dobra. Skoro spełnisz moje życzenie, niezwłocznie oddam ci rękę mojej córki, a wtedy będziesz dla mnie jak rodzony syn i wszystko, co stanowi moją własność i majątek, będzie do ciebie należało. Jeśli będziesz miał ochotę uprawiać handel i pojechać do swojej ojczyzny, nikt ci w tym nie przeszkodzi. Będziesz mógł wtedy rozporządzać całym moim bogactwem. Czyń teraz, co zechcesz i dokonaj wyboru! - Na Allacha, panie - odparłem - stałeś się dla mnie jakby drugim ojcem. Przeszedłem bowiem tyle okropności, że nie mam już rozeznania i zdrowego sądu. Przeto rozstrzygaj o wszystkim za mnie według własnego życzenia. Tedy starzec wysłał swoje sługi, aby sprowadzić kadiego i świadków, kazał sporządzić akt ślubny i przygotował huczne wesele. Po czym zaprowadził mnie do swojej córki i ujrzałem przed sobą dziewicę najdoskonalszej urody, nieopisanego wdzięku i o przedziwnej harmonii kształtów. Była przyodziana w bogate szaty i przyozdobiona rozmaitymi kosztownościami, szlachetnymi kamieniami, drogocennymi naszyjnikami i klejnotami, które były warte tysiąc tysięcy złotych monet, a więc tyle, ile nikt nie byłby w stanie zapłacić. Spodobała mi się wielce i pokochaliśmy się gorąco od pierwszego wejrzenia. Spędziłem u jej boku wiele lat pełnych radości i wesela, aż ojciec jej został powołany przez Allacha przed Jego tron. Wtedy wyprawiliśmy mu uroczysty pogrzeb i złożyli jego ciało do grobu. Ja zaś przejąłem wszystko, co posiadał. Wszyscy jego niewolnicy stali się moją własnością i słuchali od tej chwili już tylko moich rozkazów, kupcy zaś tamtejsi powołali mnie na osierocony przez niego urząd. Zmarły był bowiem starszym całego kupieckiego stanu. I żadnemu z nich nie wolno było bez jego wiedzy i zezwolenia nic przedsięwziąć, ponieważ piastował on za życia godność szejka. Obecnie tedy ja objąłem to jego stanowisko. Kiedy zapoznałem się bliżej z mieszkańcami owego miasta, odkryłem, że raz jeden w każdym miesiącu zmieniają oni swoją postać. Wtedy wyrastają im skrzydła i wlatują ku chmurom na niebie, a w mieście nikt nie pozostaje krom kobiet i dzieci. Powiedziałem więc sobie tak: "Kiedy nadejdzie pierwszy taki dzień, poproszę jednego z nich, aby wziął mnie ze sobą i zaniósł tam, gdzie oni wszyscy się udają". I rzeczywiście kiedy następny miesiąc nadszedł i rysy twarzy mieszkańców miasta jęły się zmieniać, a ich postacie przeistaczać, podszedłem do jednego z nich i poprosiłem: - Na Allacha, zaklinam cię, weź mnie ze sobą, abym mógł własnymi oczyma wszystkiemu się przyjrzeć, a potem wraz z wami powrócić. Ale ów człowiek mi odmówił. - Nie leży to w granicach moich możliwości - rzekł. Nie przestałem jednak dalej nalegać, aż w końcu przystał, a ja uzyskałem zgodę również i pozostałych mieszkańców miasta, przy czym nikomu z moich domowników, sług i przyjaciół nic o tym nie powiedziałem. Tedy uczepiłem się go, a on wzleciał wraz ze mną w powietrze i wbił się pod niebiosa tak wysoko, że usłyszałem, jak aniołowie wielbią Allacha pod niebieską kopułą. Pełen zdumienia zawołałem: "Chwała ci, o Allachu!" Zaledwie wypowiedziałem te słowa uwielbienia, buchnął z nieba straszny ogień, który nieomal owych skrzydlatych ludzi nie spalił. Wtedy oni obniżyli szybko swój lot i, rozgniewani bardzo, porzucili mnie na wierzchołku wysokiej góry zupełnie samego. I tak leżałem opuszczony na wierzchołku owej góry, czyniąc sobie gorzkie wyrzuty, przy czym tak mówiłem do siebie: "Za każdym razem, kiedy zaledwie uda ci się jakiemuś nieszczęściu umknąć, wpadasz w inne jeszcze gorsze niż tamto". Gdy tak na wierzchołku owej góry siedziałem, nie wiedząc, dokąd się zwrócić, zjawili się nagle dwóch młodzianków, pięknych

niczym dwa księżycy, a każdy z nich dzierżył w ręku złotą laskę, którą się podpierał. Zbliżyłem się do nich i pozdrowiłem, a kiedy na moje pozdrowienie odpowiedzieli, tak do nich przemówiłem: - Zaklinam was na Allacha, powiedzcie mi, kim jesteście i co zamierzacie! A oni na to: - Jesteśmy sługami Allacha. Po czym wręczyli mi jedną ze swych lasek z czerwonego złota i odeszli w swoją drogę, pozostawiając mnie znów samego. Zacząłem wtedy przechadzać się po wierzchołku góry, podpierając się złotą laską i rozmyślając nad owymi oboma młodziankami. Raptem wyskoczył spod góry wąż, dzierżąc człowieka w paszczy, którego był aż do pępka połknął. A człowiek ów krzychał: - Kto mnie uratuje, tego niech Allah wybawi od wszelakiego nieszczęścia. Niezwłocznie podbiegłem do węża i ugodziłem go złotą laską w łeb a wtedy wąż wypluł owego człowieka z paszczy. Ten powstał z ziemi, podszedł do mnie blisko i rzekł, pełen nieopisanej wdzięczności: - Ponieważ moje ocalenie od tego jadowego węża zawdzięczam tobie, nigdy cię już nie porzucę. Będę na tej górze twoim nieodstępnym towarzyszem. - Bądź pozdrowiony! - odparłem i poszliśmy razem wzdłuż góry, aż nagle natknęliśmy się na gromadę ludzi. Przyjrzałem się im i oto wśród nich zobaczyłem owego człowieka, który niósł mnie na ramionach, lecąc ze mną w powietrzu. Podszedłem do niego, przeprosiłem go i powiedziałem przyjaźnie: - Prawdziwy przyjaciel tak nie postępuje ze swoim przyjacielem, jak ty postąpiłeś ze mną. Ale człowiek ten odpowiedział mi z ponurym wyrazem twarzy: - To ty sprowadziłeś na nas nieszczęście, wielbiąc Allacha. - Nie gniewaj się na mnie - mówiłem dalej - nie wiedziałem, że tak się stanie, od tego czasu nie powiem już ani słowa. Wówczas zgodził się wziąć mnie ze sobą, ale jedynie pod warunkiem, że nie wymówię już imienia Allacha ani go będę wielbił, dopóki ptak-człowiek nieść mnie będzie na swoim grzbiecie. Wtedy wziął mnie ze sobą i unióśł się ze mną w powietrze, jak poprzednio, i tak dolecieliśmy do mego domu. Tam moja żona wyszła mi na spotkanie, pozdrowiła mnie i winszowała bezpiecznego powrotu, mówiąc: - Wystrzegaj się tych ludzi i nie przestawaj z nimi, gdyż są to bracia szatana, którym nie wolno wymawiać imienia Allacha Miłościwego! - Cóż więc czynił wśród nich twój ojciec? - zapytałem. A ona na to: - Mój ojciec nie był jednym z nich i nie postępował tak jak oni. A ponieważ już nie żyje, uważam, że najlepiej będzie, jeśli wszystko, co posiadamy, wyprzedasz, za tę cenę zakupisz towar, a potem wraz ze mną pojedziesz do swojej ojczyzny i swoich najbliższych. Nie pragnę wcale w mieście tym dłużej pozostać, kiedy moja matka i mój ojciec już nie żyją. Wyprzedalem tedy całe mienie starego szejka, jedną rzecz po drugiej, rozejrzałem się, czy ktoś z tego miasta nie udaje się do Bagdadu, abyśmy mogli do niego się, przyłączyć. Kiedy byłem tym wszystkim zajęty, dowiedziałem się wkrótce, że wprawdzie kilku tamtejszych kupców wybiera się do Bagdadu, ale nie mogą znaleźć okrętu. Dlatego też kupili drzewo i zbudowali sobie wielki statek. Ugodziłem się z nimi co do kosztów przejazdu i przewozu, i wręczywszy im z góry całą zapłatę, załadowałem moją małżonkę i nasze ruchome mienie na ich statek. Jedynie posiadłości ziemskie i majątek nieruchomy musieliśmy pozostawić. Wyruszyliśmy na pełne morze i płynęli coraz dalej od wyspy do wyspy i z morza na morze. Wiatr i pogoda nam sprzyjały, aż dojechaliśmy w dobrym zdrowiu do miasta Basry. Tym razem nie zatrzymałem się tam, ale wynająłem od razu inny okręt, na który przeładowałem moje towary, i popłynęliśmy do Bagdadu. Tam udałem się do swojej dzielnicy, poszedłem do swojego domu i powitałem rodzinę, przyjaciół i towarzyszy. Potem złożyłem w składach wszystkie towary, które przywiozłem. Moi domownicy już obliczyli czas mej nieobecności w domu od chwili wyruszenia w siódmą podróż na lat dwadzieścia i siedem, tak że stracili byli wszelką nadzieję na mój powrót. Kiedy jednak zjawiłem się u nich i opowiedziałem im o wszystkich moich przeżyciach i przygodach, byli wielce zaskoczeni i winszowali mi szczęśliwego powrotu. Wtedy odprzysiągłem się raz na zawsze, biorąc na świadka Allacha, od podróżowania po lądzie i morzu, ponieważ wywiódł mnie szczęśliwie z niebezpieczeństw tej mojej siódmej podróży. Był to punkt zwrotny w moim życiu i kres mojej ochoty do podróżowania. Dziękowałem Allahowi za to, że pozwolił mi wrócić do ojczyzny. A teraz rozważ, Sindbadzie Tragarzu, to wszystko, co przeżyłem i przeszedłem, i jak się to wszystko odbyło! A przecież musiałem moją siódmą podróż jeszcze innym wydarzeniem zakończyć. Porzuciwszy podróżowanie i handel, tak powiedziałem do siebie: "Doznałem już dosyć przygód, a teraz żywot mój zbliża się ku końcowi". Pewnego dnia, kiedy siedziałem w moim domu, usłyszałem nagle pukanie do drzwi. Odźwierny otworzył i do komnaty wszedł niewolnik kalifa

oznajmiając: - Kalif wzywa cię do siebie. Poszedłem za owym posłańcem aż do pałacu jego pana, ucałowałem ziemię u stóp kalifa i oddałem mu należny pokłon. Władca zaś powitał mnie uprzejmie, mówiąc: - Sindbadzie, mam do ciebie prośbę. Czy jesteś skłonny ją spełnić? Tedy pocałowałem go w rękę i rzekłem: - Panie i władco, jakąż prośbę może pan mieć do swego sługi? On zaś tak mówił dalej: - Chcę, abyś pojechał do owego króla, u którego byłeś, i wręczył mu list oraz upominki ode mnie, ponieważ on uraczył mnie za twoim pośrednictwem odręcznym pismem i bogatymi darami. Przeraziło mnie to wielce i odparłem: - Na Allacha, mój panie i władco, odczuwam obecnie takie obrzydzenie do wszelkich podróży, że kiedy mówią mi o podróżowaniu po morzu czy gdzie indziej, członki moje przechodzi dreszcz na samo wspomnienie wszelkich tych niebezpieczeństw i okropności, które przeżyłem i przeszedłem. Obecnie nic nie ciągnie mnie już do podróżowania i poprzysiągłem sobie miasta Bagdadu nigdy nie opuszczać. Następnie opowiedziałem kalifowi całe moje życie Od początku do końca. Wysłuchał mnie w wielkim zdumieniu i tak ciągnął dalej: - Na Allacha, Sindbadzie, od czasów, do których sięga pamięć ludzka, nigdy nie słyszano, aby jakiś człowiek to przeżył, co ty przeżyłeś. Przeto słusznie czynisz, jeśli nie chcesz już nawet mówić o podróżach. Ale zrób to dla mnie i wyrusz jeszcze raz w podróż, aby wręczyć moje upominki i mój list królowi Cejlonu, bo tak się ta nieznaną ci wyspa zowie! Potem, jeśli będzie taka wola Allacha, możesz zaraz powrócić, a na mnie nie będzie już ciążył żaden obowiązek wdzięczności wobec owego króla. - Słucham i jestem posłuszny - odpowiedziałem kornie, gdyż nie mogłem sprzeciwić się rozkazowi kalifa. Wówczas kalif wręczył mi owe upominki i list oraz pieniądze na koszty podróży, ja zaś pocałowałem go w rękę i oddaliłem się sprzed jego oblicza. Wyjechałem z Bagdadu w kierunku morza. Wsiadłszy na okręt płynęliśmy z pomocą Allacha wiele dni i nocy, aż dotarliśmy do Cejlonu. Wraz ze mną podróżowała wielka ilość kupców. Kiedy zawinęliśmy do przystani, wysiedliśmy z okrętu i udali się do miasta. Wziąłem ze sobą upominki i odręczne pismo kalifa, poszedłem z nimi do tamtejszego króla i ucałowałem ziemię u jego stóp. Skoro mnie tylko ujrzał, od razu zawołał: - Bądź pozdrowiony, Sindbadzie! Na Allacha, już tęskniłem do ciebie. Chwała niech będzie Allahowi, że pozwolił mi raz jeszcze ujrzeć twoje oblicze. Po czym ujął mnie za rękę i posadził u swego boku. Potem raz jeszcze pozdrowił mnie pełen życzliwości i radości, gawędził ze mną i okazywał mi swoją łaskawość. - W jaki sposób się stało - zapytał - że znowu do nas przyjechałeś, o Sindbadzie? Pocałowałem go w rękę, dziękując, i odparłem: - Panie i władco, przybywam do ciebie z upominkami i listem od mojego pana, kalifa Haruna ar-Raszida. Następnie wręczyłem mu owe dary i pismo, a on przeczytał i widać było, że list go ucieszył. Darami kalifa były: wspaniały rumak wartości dziesięciu tysięcy denarów ze złożonym i wysadzonym drogimi kamieniami siodłem, księga pełna mądrości, bogate szaty, sto rozmaitych gatunków egipskiego płótna i jedwabi z Suezu i Aleksandrii, greckie kapy oraz sto podwójnych bel surowego jedwabiu i lnu. Poza tym był tam jeszcze jeden wielce osobliwy klejnot: kryształowy puchar, w którego wnętrzu był wyryty lew, a naprzeciw niego klęczący łucznicz, naciągający cięciwę ze strzałą tak mocno, że nie można już jej było więcej naciągnąć. Wśród darów znalazł się również starożytny stół króla Salomona. Treść listu kalifa zaś była następująca: Kalif Harun ar-Raszid, któremu Allah udzielił wielkiej potęgi i który z Bożej łaski tak jak i jego przodkowie czczony jest i sławiony z daleka i z bliska śle Ci pozdrowienie królu, najszcześniejszy z władców! I dalej: List Twój doszedł do naszych rąk i ucieszyliśmy się nim wielce. Przeto posyłamy Ci obecnie księgę, której tytuł brzmi: "Rozumnym rozkosz, a przyjaciołom drogocenny podarek". Do księgi zaś dołączamy kilka upominków, jakimi godzi się jeno królów obdarzać. Przyjmij je łaskawie! Pokój Tobie! Przeczytawszy list, król Cejlonu obdarzył mnie hojnie i obsypał dowodami czci, a ja prosiłem Niebo o błogosławieństwo dla niego i dziękowałem mu za jego dobroć. Po kilku dniach poprosiłem go o zezwolenie na powrót. Ale udzielił mi go dopiero po długich i usilnych błaganiach. Tedy pożegnałem się z nim i wyruszyłem z jego stolicy wraz z kilku kupcami oraz innymi towarzyszami podróży. Chciałem wrócić jak najwcześniej, gdyż utraciłem już smak do dalekich wypraw. Płynęliśmy coraz dalej i minęli niejedną wyspę. Raptem, kiedyśmy tak jechali, otoczyły nas na pełnym morzu łodzie, w których siedzieli ludzie podobni do diabłów, uzbrojeni w miecze, kindzały i łuki, w pancerzach i zbrojach. Napadli na nas, siekąc i kłując, ranili każdego, kto im się sprzeciwiał, i zabrali nam okręt ze wszystkim, co na nim było, potem zawieźli nas na jakąś wyspę i

sprzedali tam w niewolę po najniższej cenie. Mnie nabył pewien bogaty człowiek i wprowadził do swego domu. Tam dał mi jeść i pić, przydział i traktował przyjaźnie. Dusza moja odnalazła więc spokój i nieco odetchnęła. Pewnego dnia jednak ów człowiek tak do mnie powiedział: - Czy umiesz wykonywać jakąś pracę? A ja na to: - Efendi, jestem kupcem i umiem jedynie trudnić się handlem. On zaś pytał dalej: - A czy umiesz strzelać z łuku? - Tak, to potrafię - odpowiedziałem. Tedy przyniósł łuk i strzały i kazał mi usiąść za sobą na grzbiecie słonia. Kiedy noc miała się ku końcowi, wyruszyliśmy, a on poprowadził słonia, na którym siedzieliśmy, wśród olbrzymich drzew, aż dotarliśmy do jednego bardzo wysokiego i grubego. Mój pan kazał mi na to drzewo się wdrapać, wręczył łuk i strzały i rzekł: - Siedź tu spokojnie, a kiedy nad ranem nadejdą słonie, szyj w nie strzałami. Może ubijesz jednego z nich. A skoro się przewróci, przyjdź do mnie i donieś mi o tym. Potem opuścił mnie i oddalił się. Ja zaś pozostałem pełen lęku i strachu, ukryty w koronie drzewa. O wschodzie słońca ukazały się słonie, które przebiegały wśród drzew. Jąłem do nich strzelać i strzelałem tak długo, aż strzała moja zabiła jednego z nich. Wieczorem powiedziałem o tym mojemu panu, który ucieszył się wielce i obdarował mnie hojnie. Potem zaś kazał zabitego słonia zabrać. I tak działo się codziennie. Co rano zabijałem słonia, a pan mój zabierał go. Wszelako pewnego dnia, kiedy znów siedziałem w moim ukryciu w koronie owego wielkiego drzewa, nadeszła nagle, zanim się spostrzegłem, nieskończenie wielka gromada słoni. Kiedy usłyszałem straszliwy hałas, który czyniły rycząc i trąbiąc, wydało mi się, że ziemia drży od tego w posadach. Wszystkie słonie otoczyły drzewo, na którym siedziałem, a które miało pięćdziesiąt łokci w obwodzie. Nagle wystąpił naprzód najpotężniejszy ze wszystkich słoni, podbiegł do drzewa, obwinął jego pień trąbą, wyrwał je z korzeniami i cisnął na ziemię. Tedy padłem zemdłony pomiędzy słonie. Wówczas ów olbrzymi słoń podszedł do mnie, owinał mnie trąbą i posadził na swoim grzbiecie. Po czym pomknął ze mną, a inne słonie pokłusowały za nim. Niósł mnie dalej i dalej, leżącego nieprzytomnie na jego grzbiecie, aż doniósł tam, dokąd zamierzał mnie zanieść, zrzucił na ziemię i umknął, a pozostałe słonie pobiegły za nim. Ja zaś uspokoiłem się i strach mnie opuścił. Powoli odzyskałem przytomność i świadomość, co się ze mną dzieje. Wydawało mi się jednak, że to tylko sen. Powstawszy z ziemi ujrzałem, że znajduję się wśród samych kości słoni i zrozumiałem, że jest to ich cmentarzysko, a ów olbrzymi słoń przyniósł mnie tu ze względu na słoniowe kły. Udałem się niezwłocznie w drogę i przeszedłszy jeden dzień i jedną noc powróciłem do domu mojego pana. Spojrzawszy na mnie, ujrzał, że jestem blady z przerażenia i głodu, ale ucieszył się z mego powrotu i tak do mnie rzecze: - Na Allacha, zaiste ciężko mi było na sercu z twego powodu, gdyż kiedy poszedłem do owego drzewa i zobaczyłem je wyrwane z korzeniami, byłem pewien, że słonie cię zabiły. Ale opowiedz mi teraz, co ci się przytrafiło. Opowiedziałem mu wówczas o wszystkim, co przeżyłem. On zaś nie posiadał się ze zdumienia i radości i tak mnie zapytał: - Czy pamiętasz, jak się idzie do cmentarzyska słoni? A skoro mu odpowiedziałem: - Tak jest, mój panie i władco - wziął mnie na swojego słonia i pojechaliśmy w owo miejsce. Na widok tak wielkiej ilości słoniowych kłów mój pan nie mógł powstrzymać się od okrzyków radości. Objuczyliśmy więc naszego słonia taką ilością kłów, jaką się tylko dało, i powróciliśmy do domu. Tam pan mój obsypał mnie dowodami uznania i wdzięczności i powiedział: - Synu mój, utorowałem ci drogę do wielkich zysków. Niech Allah ci to po stokroć wynagrodzi! Ja zaś daruję ci za to wolność, biorąc na świadka Allacha Miłościwego. Słonie niejednemu już u nas zadały śmierć, mszcząc się za to, że polujemy na ich kły. Ciebie wszakże Allah Miłościwy przed nimi uchronił i mogłeś wyświadczyć nam wielką przysługę, wskazując drogę prowadzącą do owych kłów. - Panie mój i władco - odpowiedziałem - niech Allah cię za to od piekielnego ognia zachować raczy. A teraz, skoro jestem wolny, proszę cię, abys mi pozwolił powrócić do mojej ojczyzny. - Dobrze - padła odpowiedź. - Daję ci to zezwolenie. Co roku odbywają się u nas targi, na które przybywa wiele cudzoziemskich kupców, aby zakupić od nas słoniową kość. Niebawem nadejdzie pora tych targów. Skoro więc kupcy owi tu przybędą, odeślę cię stąd razem z nimi. Dam ci przy tym tyle pieniędzy, abys mógł dojechać aż do ojczyzny. Pomodliłem się więc do Allacha o błogosławieństwo dla mego dobroczyńcy i dziękowałem mu, a on traktował mnie od tego czasu z najwyższą czcią i szacunkiem. Po kilku dniach przybyli rzeczywiście zgodnie z jego zapowiedzią cudzoziemcy kupcy. Zajęli się kupnem, sprzedają i handlem wymiennym, a skoro zaczęli się

zbierać do powrotnej drogi, mój pan przyszedł do mnie i tak mi powiedział: - Oto kupcy ci są gotowi do odjazdu, przysposób się więc i ty do powrotu i jedź razem z nimi do ojczyzny. Przysposobiłem się tedy i przygotowałem do drogi z owymi kupcami. Kupcy spakowali nabytą słoniową kość i załadowali na okręt. Pan mój zaś wysyłając mnie w drogę powrotną zapłacił im za mój przejazd oraz pokrył wszelkie inne koszty, na jakie mógłbym być narażony. Prócz tego obdarował mnie jeszcze szczerze wszelakimi towarami. Popłynęliśmy więc od wyspy do wyspy, aż przemierzyliśmy morze i dotarliśmy do stałego lądu. Tam kupcy wylądowali i sprzedali swoje zapasy i ja uczyniłem to samo z wielkim zyskiem. Potem kupiłem wiele najdrogocenniejszych upominków i najpiękniejszych osobliwości owej krainy oraz wszystkiego, czego mi było potrzeba. Nabyłem również ręczego wierzchowca i pociągnęliśmy karawaną przez pustynię z kraju do kraju, aż odnaleźliśmy drogę do Bagdadu. Udałem się od razu do kalifa, wypowiedziałem słowa powitania, ucałowałem jego rękę i doniosłem o wszystkim, co mi się przytrafiło i co przeżyłem. On zaś ucieszył się wielce z mego ocalenia i dziękował za to Allahowi. Potem polecił całą moją historię spisać złotymi literami. Ja zaś powróciłem do domu i znowu znalazłem się wśród krewnych i przyjaciół.

Sindbad Tragarz tak zaś powiedział do Sindbada Żeglarza: - Na Allacha, daruj mi, jeśli oceniałem cię niesprawiedliwie. I od tego czasu Sindbad Żeglarz i Sindbad Tragarz żyli ze sobą jak wierni przyjaciele i równi sobie towarzysze, w weselu, radości i błogostanie, aż przyszła ta, która nakazuje umilknąć wszelkiej radości i rozrywa najściślejsze więzy, która burzy warowne zamki i sypie mogiły, i podała im puchar, którego odmówić nie wolno. Niech będzie chwała Najwyższemu, wiecznie Żywemu, który nigdy nie umiera!



## **Książę Ahmed i wróżka Peri Banu**

W dawnych czasach ginących w pomroce wieków żył sobie w Hindustanie pewien sułtan. Miał on trzech synów. Najstarszy nazywał się książę Hussein, średni - książę Ali, a najmłodszy - książę Ahmed. Miał ów sułtan również bratanicę, która zwała się Nur en-Nahar, a była córką najmłodszego z sułtańskich braci, który był wcześniej umarł, powierzając opiekę nad swoją jedynaczką jej stryjowi sułtanowi. Sułtan zajął się z wielką troskliwością jej wychowaniem i nie szczędził trudów, aby dziewczynka umocniła się w sztuce czytania i pisania, szycia i haftu, śpiewu i kunsztownej gry na różnych instrumentach, które dają nam rozkosz i sprawiają radość. Księżniczka ta górowała urodą i wdziękiem oraz rozumem i mądrością nad wszystkimi dziewczętami owych czasów we wszystkich krainach świata. Wzrastała ona wraz z młodymi książętami, a jej kuzynami, w szczęściu i beztrójce. Spożywali razem posiłki, razem bawili się i sypiali w jednej komnacie. Sułtan postanowił, że kiedy księżniczka dojdzie do swoich lat, wyda ją za któregoś z sąsiednich monarchów. Kiedy wszakże Nur en-Nahar wyrosła z lat dziecinnych, sułtan zmiarkował, że wszyscy trzej młodzi książęta pałają gorącą miłością do niej i że każdy z nich tęskni i pragnie pozyskać jej serce i rękę. Sułtan był tym głęboko zatroskany i tak mówił do siebie: "Gdybym wydał księżniczkę Nur en-Nahar za jednego z jej kuzynów, to dwaj pozostali byłiby niezadowoleni i sarkali na moje postanowienie. Serce me jednak nie zniesie widoku moich synów pograżonych w smutku i rozczarowaniu. Jeśli wszakże oddałbym jej rękę komuś obcemu, to wszystkich trzech



młodych książąt, a moich rodzonych synów, przygniotłyby smutek i ciężka zgryzota. Ba, kto wie, czy nie odebrali by sobie życia lub nie skazali się na dobrowolne wygnanie do jakiejś dalekiej i obcej krainy? To ciężka sprawa i brzemienna w wiele niebezpieczeństw. Toteż godzi się mnie, jako ich ojcu, tak postąpić, aby jeśli któryś z nich otrzyma ją za żonę, dwaj pozostali nie gniewali się nań za to". Długo rozważał sułtan w ojcowskim sercu tę sprawę i w końcu wymyślił takie rozwiązanie: kazał wszystkim trzem młodym książętom stawić się przed swoje oblicze i tak do nich powiedział: - Synaczkowie mili, wszystkich was trzech miłuję jednakowo. Każdego równie mocno jak dwóch pozostałych. Przeto nie mogę żadnego z was wyróżnić, dając mu za żonę księżniczkę Nur en-Nahar, a nie jest w mojej mocy oddać jej rękę wszystkim trzem naraz. Wymyśliłem więc sposób, aby jeden z was mógł jej rękę otrzymać, a jego bracia nie czuli się urażeni i nie mieli powodu do zawiści. Oby wasza wzajemna miłość i przyjaźń pozostały nienaruszone i żaden nie zazdrościł szczęścia drugiemu. Krótko mówiąc, plan mój jest następujący: Wybierzcie się w drogę i niech każdy z osobna jedzie do jakiegoś dalekiego kraju. Każdy z was ma mi przywieźć stamtąd najcudowniejszy i najosobliwszy przedmiot ze wszystkich, jakie podczas swej podróży zobaczy. A ten, który powróci z najrzadszym skarbem, zostanie mężem księżniczki Nur en-Nahar. Przystańcie na to, co wam radzę! Ile pieniędzy zaś będziecie potrzebowali na koszty podróży i nabycie owych osobliwych i jedynych w swoim rodzaju przedmiotów, tyle weźcie sobie z mego sułtańskiego skarbcza! Trzej młodzi książęta, którzy byli woli swego rodzica zawsze posłuszni, przystali jednogłośnie na ojcowskie postanowienie. Każdy z nich czuł się zadowolony i był pełen ufności, że to on właśnie przywiezie sułtanowi ów najcudowniejszy podarek, za który otrzyma rękę pięknej księżniczki. Sułtan rozkazał wypłacić każdemu z nich tyle pieniędzy, ile zażądał, bez ograniczenia i obrachunku, a potem tak do nich powiedział: - Szykujcie się bez zwłoki, wahania i namysłu i ruszajcie w drogę pod opieką Miłościwego Allacha. Niebawem trzej młodzi książęta przyszykowali się do podróży. Zakupili wszystko, co im było potrzeba, przebrali się za wędrownych kupców, dosiedli rumaków najczystszej krwi i wyjechali, każdy otoczony swoją świtą, wspólnie z sułtańskiego pałacu. Przez kilka dni jechali tym samym gościńcem, aż dotarli do miejsca, gdzie drogi rozchodziły się w trzech kierunkach. Tam zajechali do karawanseraju i spożyli wspólną wieczerzę. Potem umówili się i ustalili między sobą, że od tej chwili przestaną podróżować razem, ale skoro świt każdy wyruszy w swoją drogę. Każdy miał obrać inny kierunek i odwiedzić inną odległą krainę. Przy tym uzgodnili, że podróżować będą tylko przez jeden rok, a potem, jeśli będą jeszcze wśród żywych, spotkają się wszyscy trzej znów w tymże karawanseraju, aby stamtąd wspólnie do ich ojca sułtana powrócić. Poza tym postanowili jeszcze, że pierwszy, który do owego karawanseraju dotrze, czekać będzie na następnego, a potem obaj pozostaną tam tak długo, aż trzeci przybędzie. Po omówieniu tego wszystkiego w krótkiej i zgodnej naradzie, bracia udali się na spoczynek. Kiedy zaś brzask rozjaśnił niebo, uścisnęli się na pożegnanie. Po czym dosiedli rumaków i odjechali, każdy w swoją stronę. Najstarszy brat, książę Hussein, słyszał nieraz o cudach indyjskiej krainy Biszangarh i od dłuższego już czasu zamierzał ją zwiedzić. Dlatego wybrał drogę, która tam prowadziła, przyłączając się do karawany, zmierzającej do tego kraju. Wraz z nią podróżował długo przez morza i lądy, przemierzył dalekie obszary, odludne pustkowia i kamienne pustynie, nieprzebyte dżungle i urodzajne okolice z uprawnymi polami i ludnymi osadami, zielonymi ogrodami i bogatymi miastami. Podróżując tak przez trzy długie miesiące dotarł wreszcie do krainy Biszangarh, która była tak rozległa i której granice tak daleko sięgały, że rządzona była przez wielu królów. Książę Hussein zatrzymał się w karawanseraju przeznaczonym dla kupców z dalekich stron. Usłyszał od ludzi, którzy tam przebywali, że w stolicy kraju jest wielki bazar, na którym można nabyć i sprzedać wszelkiego rodzaju osobliwości i cudowne przedmioty. Następnego dnia więc udał się książę Hussein na ten bazar, a skoro go ujrzał, stanął jak wryty i dziwował się wielce jego długości i szerokości. Albowiem bazar dzielił się na wiele ulic, a wszystkie były przesklepione tak, że światło dochodziło jedynie przez okienka w górze. Kramy po obu stronach ulic były zbudowane wszystkie według wzoru i nieomal tej samej wielkości, a przed każdym sklepem rozpięty był parasol z płótna żaglowego, który chronił od słonecznego blasku i dawał chłodny cień. W sklepach tych były najróżniejszego rodzaju towary ułożone w długie szeregi. Były tam bele indyjskiej przezroczywej gazy, lniane tkaniny najdelikatniejszego wyrobu, jednolicie białe

lub farbowane i zdobne w barwne podobizny zwierząt, drzew i kwiatów, tak precyzyjnie odrobione, że wyglądały jak żywe. Były tam również materie jedwabne, ciężkie brokаты i najdelikatniejsze atłasy z Persji i Egiptu w nieskończonej wprost ilości. A w sklepach z porcelaną stały glazurowane naczynia najosobliwszych kształtów. Nie brakowało też sklepów, w których można było nabyć wspaniałe makaty i tysiące dywanów i kobierców. Książę Hussein przechodził ze sklepu do sklepu i nie posiadał się z zachwytu nad wszystkimi tymi cudownymi rzeczami, o których nawet nigdy nie śnił. W końcu przyszedł do ulicy złotników i tam ujrzał drogie kamienie i klejnoty, naczynia z żółtego złota i białego srebra, błyszczące od olbrzymich diamentów, krwawych rubinów, zielonych szmaragdów i matowych pereł oraz innych kosztownych kamieni, które wszystkie lśniły i iskrzyły się, tak że sklepy oświetlone były ich przedziwnym blaskiem. Tedy książę tak do siebie powiedział: "Jeśli na jednej jedynej ulicy można znaleźć tyle skarbów, to chyba nie wie nikt poza Allahem, jakie bogactwa kryć się muszą w całym tym mieście?" Nie mniej dziwował się widząc małżonki kapłanów przystrojone z nadmiernym przepychem najpiękniejszymi klejnotami i od stóp do głów spowite w najkosztowniejsze szaty. Nawet ich służcy i służebnice mieli złote naszyjniki, bransolety i kłamry wysadzone drogimi kamieniami. W jednej z ulic bazaru zaś stali wzdłuż ścian sprzedawcy kwiatów, gdyż cały tamtejszy naród zarówno z wyższych, jak i z niższych kast nosił wieńce i ozdoby z kwieciami. Jedni trzymali narecza kwiatów w ręku, inni zdobili głowy wieńcami, a jeszcze inni mieli zwisające girlandy na szyi. Cała ulica wyglądała jak jeden barwny dywan kwiatowy. Nawet kupcy przyozdobili swoje kramy wonnym kwieciami, a powietrze ciężkie było od dusznego aromatu. Książę Hussein przechadzając się tam i z powrotem w końcu się zmęczył i chętnie by usiadł, aby trochę odpocząć. Zauważył to jeden z kupców i poprosił go przyjaźnie i dwornie, aby raczył spocząć w jego sklepie. Przybysz wypowiedział zgodne z obyczajem powitanie i usiadł. Wkrótce potem zauważył przechodzącego machlerza\*, który niósł dywan kwadratowy, po cztery łokcie z każdej strony, i zachęcał do kupna, wołając: - Dywan na sprzedaż! Ale kto zdoła zapłacić mi jego wartość? Albowiem kosztuje on trzydzieści tysięcy złotych monet! Książę Hussein zdziwił się wielce słysząc tak wysoką cenę. Skinął na machlerza i obejrawszy dokładnie dywan powiedział: - Dywany takie, jak ten, sprzedaje się zazwyczaj za kilka srebrników! Cóż więc za szczególną zaletę ma twój dywan, że żądasz za niego tak wielkiej sumy, bo aż trzydzieści tysięcy złotych monet? Machlerz myślał, że książę Hussein jest kupcem, który dopiero przybył do krainy Biszangarh i dlatego tak mu odpowiedział: - Czcigodny panie, czy myślisz, że wyznaczyłem za ten dywan zbyt wygórowaną cenę? Mój pan, a właściciel tego dywanu, nie pozwolił mi sprzedać go taniej niż za czterdzieści tysięcy złotych monet! A książę Hussein na to: - Dywan ten musi posiadać jakąś cudowną zaletę, jeśli żądasz za niego tak olbrzymiej kwoty! - Zaiste, efendi - odparł machlerz. - Zalety dywanu są jedyne w swoim rodzaju i wprost cudowne. Kto bowiem na ten dywan siądzie i w myśli wyrazi życzenie, aby dywan unióśł go w powietrze i przeniósł na jakieś inne miejsce, ten w jednej chwili znajdzie się tam, niezależnie od tego, czy miejsce to leży blisko, czy jest oddalone o wiele dni drogi i trudne do osiągnięcia. - Skoro książę Hussein słowa te usłyszał, tak sam do siebie powiedział: "Zaiste nie mogę mojemu ojcu sułtanowi przywieźć rzadszego i cudowniejszego podarunku z podróży jak ten oto dywan i nic nie sprawi mu większej przyjemności i nie wzbudzi u niego większego zachwytu. Niech Allah będzie pochwalony! Cel mojej podróży został osiągnięty i dzięki temu, jeśli Allah tylko pozwoli, najgorętsze moje pragnienie zostanie spełnione! Jeśli coś ma być wiecznym źródłem radości dla mego ojca, to ten dywan. Pomyślawszy tak, książę Hussein postanowił latający dywan zakupić i zwrócił się do machlerza tymi słowami: - Jeśli dywan ten rzeczywiście posiada ową moc, o której mówisz, cena jego nie jest w samej rzeczy za wysoka. Jestem gotów wypłacić ci żadaną sumę. A sprzedawca dywanu na to: - Jeśli moim słowom nie ufasz, to proszę cię, wypróbuj ich prawdę i zbądź się swej podejrzliwości! Usiądź na tym dywanie, a zgodnie z twym życzeniem i wolą uniesie cię on do karawanseraju, w którym się zatrzymałeś. W ten sposób upewnij się, że słowa moje odpowiadają prawdzie. I dopiero kiedy przekonasz się o ich rzetelności, zapłacisz mi żadaną sumę. Dopiero tam i dopiero wtedy, nie wcześniej! Powiedziawszy to, ów człowiek rozłożył dywan na ziemi za sklepem, poprosił księcia Husseina, aby usiadł na nim, a sam zajął miejsce obok niego, po czym na życzenie księcia Husseina dywan zaniósł obu do karawanseraju, zupełnie jak gdyby to był latający tron króla Salomona. I cieszył się najstarszy z

trzech braci bardzo w myślach swoich, że posiadał tak osobliwą rzecz, jakiej nie mógłby spotkać w żadnym kraju, nawet na królewskich dworach. Serce i dusza jego weseliły się i radowały z tego, że był przyjechał do krainy Biszangarh i znalazł tam taki dziw nad dziwy. Zapłacił przeto nawet czterdzieści tysięcy złotych monet za dywan i obdarował machlerza jeszcze dwudziestoma tysiącami na dokładkę. I nieustannie powtarzał sobie, że skoro tylko sułtan ujrzy ten dywan, odda mu rękę księżniczki Nur en-Nahar. Bo wydawało mu się rzeczą całkiem niemożliwą, aby któryś z jego braci, choćby nawet objechał cały świat wszerz i wzdłuż, mógł znaleźć tak drogocenny skarb, by go można było do tego dywanu przyrównać. Miał ochotę od razu sięść na latający dywan i polecieć na nim do ojczyzny lub przynajmniej czekać na braci w karawanseraju, w którym się pożegnali dając sobie solennie zaprzysiężoną obietnicę, iż spotkają się tam znowu po roku. Ale wkrótce przyszło mu na myśl, że okres czasu, który musiałby tam spędzić na czekaniu, mógłby mu się bardzo dłużyć, i mógłby ulec pokusie i uczynić jakiś przedwczesny krok. Dlatego postanowił pozostać na razie w krainie, której króla i mieszkańców chciał już od dawna poznać. Postanowił więc spędzić ten czas na zwiedzaniu kraju Biszangarh i robieniu wycieczek do sąsiadujących krain. Pozostał tedy ksiązę Hussein przez kilka miesięcy w krainie Biszangarh. Władca tego kraju miał zwyczaj raz w tygodniu sprawować sądy, aby wysłuchiwać skarg i rozstrzygać zawile sprawy, dotyczące obcych kupców. W ten sposób ksiązę Hussein miał możność widzieć wiele razy tamtejszego króla, choć nigdy nikomu nie opowiedział o sobie. Ponieważ jednak ksiązę miał urodziwe oblicze i wdzięczny chód, dworne obejście, a przy tym odwagę i siłę, rozum, przezorność i dowcip, wkrótce naród tamtejszy uważał go więcej niż własnego władcę, nie mówiąc już o kupcach, rzekomych jego towarzyszach. Z czasem ksiązę Hussein stał się na dworze królewskim wielce lubiany i miał sposobność dowiedzieć się z ust samego władcy, jak wielkie jest jego państwo i potęga i jak rozległa jego kraina. Zwiedził również ksiązę Hussein najświetniejsze świątynie owego kraju. Pierwsza świątynia, którą widział, była cała z miedzi i mosiądzu najkunsztowniej obrobionego. W wewnętrznej czworokątnej niszy, mierzącej po trzy łokcie z każdej strony, stał złoty posąg bożka, wielkością i postacią równy mężowi najcudowniejszej urody. A robota tego posągu była tak kunsztowna, że oblicze jego zdawało się spoglądać dwójgiem oczu z olbrzymich rubinów bezcennej wartości na każdego zwiedzającego, gdzie by nie stanął. Następnie obejrzał ksiązę świątynię pełną bożków, która nie ustępowała pięknem i osobliwością pierwszej. Była ona zbudowana pośrodku wsi na placu wynoszącym mniej więcej pół morgi, na którym kwitły precudne róże, jaśminy, bazylię\* i wiele innych słodko pachnących roślin, których wonnym aromatem nasycone było całe powietrze. Wokoło dziedzińca świątyni biegł mur na trzy stopy wysoki, tak że nie mogło zabłąkać się tam żadne zwierzę. A pośrodku znajdował się na wysokości wzrostu człowieka taras, cały z białego marmuru i alabastru. Każda płyta była tak umiejętnie ociosana i tak dokładnie dopasowana, że cała olbrzymia posadzka tarasu wyglądała, jak gdyby zrobiona była z jednej tafli. Świątynia stała na tarasie uwieńczona kopułą wznoszącą się na jakieś pięćdziesiąt łokci i widoczną z odległości wielu mil. Długość gmachu wynosiła trzydzieści łokci, a szerokość dwadzieścia, a płyty z czerwonego marmuru, którymi świątynia była obłożona, były gładko wypolerowane, niczym zwierciadło, tak że każdy przedmiot odbijał się w nich w swej naturalnej postaci. Kopuła była kunsztownie rzeźbiona i od zewnętrznej strony pokryta bogatym ornamentem. Wewnątrz zaś ustawione według rangi i godności stały nieprzeliczone rzędy posągów pogańskich bożków. Do tej najświętszej ze świątyń napływały od rana do wieczora tysiące kapłanów, tysiące mężczyzn i niewiast, aby odprawiać codzienne nabożeństwo. Czekwały tam na nich nie tylko obrzędy, ale również zabawy i przyjemności. Jedni ucztowali, inni płąsali, jedni śpiewali, inni przygrywali wesoło i radośnie na przeróżnych instrumentach, a tu i tam odbywały się huczne zabawy i uczy. Tutaj gromadziły się też o każdej porze roku nieprzeliczone tłumy pielgrzymów z dalekich krajów, aby wypełnić swoje śluby i odprawić modły. Wszyscy oni przynosili z sobą złote i srebrne monety oraz rzadkie i kosztowne dary, które w obecności królewskich urzędników składali w ofierze. Poza tym ksiązę Hussein miał sposobność widzieć uroczyste pochody, które w stolicy Biszangarh odbywały się tylko raz do roku. Gromadzili się tam dzierzawcy, wielcy i mali, i obchodzili w procesji wszystkie świątynie, zwłaszcza jedną, która pod względem wielkości i przepychu górowała nad wszystkimi. Ślawni uczeni odbywali podróże

trwające cztery i pięć miesięcy, aby spotkać się ze sobą podczas uroczystości świątecznych. Ze wszystkich okolic Hindustanu lud odbywał pielgrzymki tak tłumnie, że książę Hussein nie posiadał się na ten widok ze zdumienia. A ponieważ nieprzeliczone tłumy ludzi tłoczyły się wokół świątyń, nie udało mu się nawet dojrzeć, w jaki sposób oddaje się cześć tamtejszym bóstwom. Po jednej stronie znajdującego się w pobliżu ogromnego placu stał nowo wzniesiony gmach o potężnych rozmiarach i urządzony z wyjątkowym przepychem. Miał dziewięć pięter i opierał się na mocnej podbudowie czterdziestu filarów. Tam zbierał król co tydzień swoich wezyrów, aby rozsądzać sprawy wszystkich obcych przybyszów. Wnętrze pałacu było bogato przyozdobione i zaopatrzone w kosztowny sprzęt. Od zewnątrz mury były pokryte malowidłami przedstawiającymi tamtejsze widoki oraz sceny z dalekich krajów. Prócz tego były tam wizerunki najrozmaitszych ptaków, a nawet komarów i much. Były one z takim kunsztem i tak zręczną ręką odtworzone, że wyglądały jak żywe, a lud wiejski, widząc z daleka wizerunki lwów, tygrysów i innych drapieżnych bestii, drżał ze strachu i przerażenia. Po drugiej stronie placu znajdowały się drewniane pawilony. Były one od wewnątrz i od zewnątrz pięknie zbudowane i bogato malowane podobnie jak ów gmach, o którym uprzednio wspominali. A przy tym był tak przemyślnie urządzony, że można je było wraz ze wszystkimi znajdującymi się w nich ludźmi obracać i przesuwając wszędzie, gdzie się tylko komu podobało. I tak przesuвано te potężne budowle z pomocą przedziwnych maccin tam i z powrotem, żeby znajdujący się wewnątrz ludzie mogli po kolei przyglądać się najrozmaitszym zabawom i widowiskom. Po pozostałych stronach owego placu stały rzędy słoń. Było ich chyba ponad tysiąc. Ich trąby, uszy i zady były pomalowane cynobrem\* i przyozdobione przeróżnymi wymyślnymi rysunkami. Miały bogate czapaki ze złotego brokatu, a na grzbietach baldachimy haftowane srebrną nicią. Pod baldachimami siedzieli grajkowie i przygrywali na przeróżnych instrumentach, wesółkowie bawili zebrany tłum krotoczwilą, a kuglarze pokazywali różne przedziwne sztuki. Ze wszystkich wszakże osobliwości, jakie książę Hussein widział, najbardziej podobała mu się parada słoń, wywołująca największe jego zdumienie. Był tam jeden potężny słoń, którego można było tu i tam przewozić, gdzie tylko jego kornakom\* się spodobało, ponieważ nogi olbrzyma spoczywały na platformie poruszającej się na rolkach. Słoń trzymał w trąbie flet, na którym tak pięknie przygrywał, że cały zgromadzony lud zachwycał się i nie żałował mu oklasków. Był tam jeszcze drugi słoń o wiele mniejszy od tamtego, który huśtał się na długiej belce, obciążonej z drugiego krańca, w takt głośno grającej kapeli, przy czym również i sam ów słoń głośno trąbił. Przyglądający się zaś temu ludzie byli przewożeni z miejsca na miejsce wokół owego huśtającego się słonia. Takie widowiska z uczonymi słoniami odbywały się przeważnie w obecności samego króla. Książę Hussein spędził prawie cały rok na przyglądaniu się wszelkim osobliwościom na bazarach i podczas uroczystych świąt w kraju Biszangarh. Skoro wszakże nastąpiła pora, na którą był się umówił z braćmi, rozłożył swój latający dywan na dziedzińcu za karawanserajem, w którym mieszkał, wziął ze sobą swoją świętą, rumaki i wszystko, co ze sobą przywiózł, usiadł na dywanie i w duchu wyraził życzenie, że chce przenieść się do owego karawanseraju, w którym miał się spotkać z braćmi. Gdy tylko wymówił w myśli życzenie, dywan natychmiast się uniosł w powietrze, przemknął i szumem przez całą odległość i zaniósł księcia Husseina wraz z jego świętą i wszystkim, co ze sobą miał, na miejsce przeznaczenia. Tam książę, ciągle jeszcze nie zdejmując szat kupca, w które się był przebrał, zatrzymał się, aby czekać na swoich braci. Posłuchajmy teraz, co przeżył książę Ali, starszy z pozostałych dwóch braci księcia Husseina. I on również trzeciego dnia po pożegnaniu z braćmi przyłączył się do karawany, ale pociągnął z nią do Persji. Kiedy po trwającej cztery miesiące podróży dotarł do Szirazu, stolicy irańskiego kraju, zajechał tam ze swymi towarzyszami, z którymi się bardzo zaprzyjaźnił, do pewnego karawanseraju. Zamieszkał razem z nimi, podając się za jubilera. Na drugi dzień kupcy poszli kupować i sprzedawać towary. Książę Ali zaś, który nic ze sobą nie przywiózł, co by można było sprzedać, lecz jedynie rzeczy potrzebne mu dla własnego użytku, zdjął niezwłocznie szatę podróżną i wraz z jednym z towarzyszy udał się na główny bazar, który nazywał się Bazistan, czyli Targ Sukienników. Książę Ali przechadzał się po bazarze zbudowanym z cegieł. Wokoło były kramy pod sklepieniami wspartymi na pięknych kolumnkach. Książę dziwował się bardzo widząc wspaniałe sklepy, w których leżały wystawione na sprzedaż przeróżne wyroby z niebywale

drogocennego materiału. Zdumiony pytał sam siebie, jakżeż bogate musi być całe miasto, jeśli tylko na jednej ulicy zgromadzone są takie skarby. I oto gdy machlerze przechodzili tam i z powrotem wykrzykując nazwy towarów, które mieli na sprzedaż, ksiązę Ali ujrzał między nimi jednego trzymającego w ręku rurkę z kości słoniowej długości łokcia. Sprzedający żądał za nią trzydziestu tysięcy złotych monet. Skoro ksiązę Ali usłyszał tę cenę, pomyślał sobie w duchu: "Człek ten zapewne oszalał, że żąda tak wielkiej ceny za tak lichy przedmiot!" Potem zaś zapytał jednego z właścicieli sklepów, z którym był się zaznajomił: - Przyjacielu, czy człowiek ów jest szaleńcem, że żąda sumy trzydziestu tysięcy złotych monet za rurkę z kości słoniowej? Przecież tylko głupiec mógłby mu dać tak wysoką cenę za tak marny przedmiot. - Czcigodny panie - odparł właściciel sklepu - ten machlerz jest mądrzejszy i rozumniejszy niż wszyscy inni ludzie jego zawodu. Z jego pomocą rozprzedałem już towary warte tysiące złotych monet. Aż do dnia wczorajszego był jeszcze przy całkiem zdrowych zmysłach. Atoli dzisiaj nie wiem, czy utracił rozum, czy też nie. W każdym razie możemy spróbować przekonać się o tym. Usiądź tu i poczekaj w moim sklepie, aż będzie tędy przechodził. Ksiązę Ali usiadł na wskazanym miejscu i niebawem ujrzał zbliżającego się machlerza. Właściciel sklepu zatrzymał go i tak do niego powiada: - Człowieku, ta mała rurka musi mieć jakąś osobliwą moc. Wszyscy ludzie bowiem słyszą pełni zdumienia, że żądasz za nią tak wysokiej ceny. Ten oto dostojny gość myśli nawet, żeś postradał zmysły. Machlerz, człowiek rozsądny, nie pogniewał się wcale za te słowa i powiedział uprzejmie: - Efendi, nie wątpię, że musisz mnie uważać za szaleńca, ponieważ żądam tak wysokiej zapłaty i cenę tak drogo ten niewielki przedmiot, ale jeśli pokażę ci jego zalety i siłę, chętnie zakupisz go za tę właśnie cenę. Powiedziawszy to, machlerz wręczył księciu Alemu rurkę dodając: - Przyjrzyj się dokładnie tej rurce! Zaraz wyjaśnię ci jej szczególne właściwości. Na obu końcach ma wprawione szkło. Otóż kiedy jeden koniec przyłożysz do oka, będziesz mógł zobaczyć wszystko, czego tylko zapragniesz. I będzie ci się wydawało, że jest blisko, choćby było od ciebie odległe o kilkaset mil. Ksiązę Ali na to: - Przechodzi to ludzki rozum. Nie mogę w to uwierzyć, zanim sam nie wypróbuję i nie przekonam się, że wszystko tak jest, jak powiadasz. Machlerz zaś odrzekł: - Wszystko, co zapragniesz ujrzeć, pokaże ci ta rurka ze słoniowej kości, jeśli spojrzysz przez nią. Tedy ksiązę Ali, nie wyjawiając wszakże tego machlerzowi, zapragnął zobaczyć swego ojca i skoro tylko przytknął rurkę do oka, ujrzał go, jak zdrów i wesół siedzi na tronie i sprawuje sądy nad poddanymi. Potem, pełen tęsknoty, zapragnął ujrzeć swoją ukochaną księżniczkę Nur en-Nahar i od razu zobaczył ją, jak zdrowa i pogodna siedzi na otomanie, gawędząc i śmiejąc się beztrósko, a gromada służebnic stoi dookoła, czekając na jej rozkazy. Ksiązę nie posiadał się ze zdumienia ujrzawszy to osobliwe i cudowne zjawisko. I tak do siebie powiedział: "Gdybym nawet przemierzył całą ziemię, podróżując przez dziesięć lat lub jeszcze więcej po najdalszych jej krańcach i zakamarkach nigdzie nie znajdę tak dziwnego i drogocennego przedmiotu jak ta rurka z kości słoniowej". Po czym powiedział do machlerza: - Zaiste, zalety tej rurki są tego rodzaju, jak mi je opisałeś. Przeto chętnie zapłacę ci trzydziści tysięcy złotych monet, jako słuszną i sprawiedliwą cenę. - Efendi - odparł machlerz - mój pan poprzysiągł, że nie odstąpi jej poniżej czterdziestu tysięcy złotych monet. Ksiązę Ali uznawszy, że machlerz jest rzetelnym i uczciwym człowiekiem, wypłacił mu czterdziści tysięcy złotych monet i stał się właścicielem teleskopu, w błogim przekonaniu, że ucieszy nim swego ojca i pozyska rękę księżniczki Nur en-Nahar. I tak ksiązę Ali podążył pełen radości poprzez Sziraz i dalej drogami prowadzącymi przez krainę Persów. Wreszcie kiedy rok już nieomal minął, dołączył się do karawany i wracając do Hindustanu dotarł w dobrym zdrowiu i nastroju do umówionego karawanseraju, gdzie ksiązę Hussein przybył już przed nim na swym dywanie. Tam obaj bracia jęli czekać na szczęśliwy powrót trzeciego. Oto dzieje dwóch starszych braci. Posłuchajmy teraz, co przytrafiło się najmłodszemu księciu Ahmedowi: To, co przydarzyło mu się, było bowiem najdziwniejsze i najosobliwsze. Kiedy pożegnał się ze swoimi braćmi, obrał drogę wiodącą do Samarkandy. Po długiej podróży przybył do tego miasta i podobnie jak jego bracia zatrzymał się w tamtejszym karawanseraju. Nazajutrz wyruszył, aby obejrzeć bazar, który nazywano tam Bazistan, czyli Targ Sukienników, i przekonał się, że wszystko było pięknie urządzone. Sklepy były kunsztownie zbudowane i zaopatrzone w rzadko spotykane tkaniny, różne wartościowe przedmioty oraz inne drogocenne towary. Przechadzając się tam i z powrotem napotkał machlerza, który

zachwalał jakiś czarodziejski owoc wołając: - Kto chce nabyć to jabłko? Cena jego wynosi trzydzieści pięć tysięcy złotych monet. Wtedy książę Ahmed rzekł do owego człowieka: - Pokaż mi, proszę, ten owoc, który trzymasz w ręku, i objaśnij mi, jaką tajemną moc posiada, że żądasz zań tak wygórowanej ceny! Machlerz uśmiechnął się, podał księciu jabłko i powiedział: - Nie dziw się, efendi! Zaprawdę jestem pewien, że skoro tylko wyjawię ci zalety tego jabłka i przekonasz się, jakim dobrodziejstwem jest ono dla ludzkości, nie uznasz mojej ceny za zbyt wygórowaną. Przeciwnie, dasz mi za to chętnie całą górę złota, jeśli takowe posiadasz. Po czym mówił dalej: - Słuchaj mnie, efendi, a opowiem ci o czarodziejskiej mocy ukrytej w tym sztucznym jabłku. Jeśli człowiek cierpi na jakąkolwiek chorobę, choćby nie wiem jak była ciężka lub choćby nawet był już bliski śmierci, a to jabłko powącha, od razu powróci mu zdrowie. Poczucie się rześki i uleczony od wszelkiej choroby, która go dręczyła, choćby to miała być dżuma czy suchoty, gorączka czy też jakaś inna złośliwa dolegliwość. I poczuje się tak, jak gdyby w ogóle nie chorował. Siły powrócą mu natychmiast i choćby raz tylko powąchał ten owoc, będzie wolny od wszelkich chorób i dolegliwości aż do końca swojego żywota. Ale książę Ahmed zapytał: - Skąd mogę być pewien, że słowa twoje odpowiadają prawdzie? Jeśli rzecz tak się ma, jak mówisz, z największą radością zapłacę ci sumę, jakiej żądasz. - Efendi - odparł machlerz - wszyscy ludzie mieszkający w okolicy Samarkandy wiedzą dobrze, że ongiś przebywał w tym mieście pewien mędrzec, który posiadał przedziwną umiejętność i który po wielu latach mozolnej pracy jabłko to sporządził, mieszając nieskończenie wielką ilość różnych lekarstw z ziół i minerałów. Aby sporządzić je, wydał całe swoje mienie, które było pokaźne. Sporządziwszy zaś owo jabłko, przywrócił za jego pomocą zdrowie tysiącom chorych ludzi, dając im owoc ten do powąchania. Lecz niestety, życie jego znalazło nagły koniec: śmierć zaskoczyła go zniemacka, zanim mógł uratować się za pomocą tego czarodziejskiego aromatu. A ponieważ nie gromadził bogactw i pozostawił liczną gromadkę nieletnich dzieci i wielu domowników, wdowa nie mogła sobie inaczej poradzić, jak sprzedając ten czarodziejski przedmiot, aby uzyskać środki na utrzymanie domu. Gdy sprzedawca opowiadał księciu Ahmedowi o tym wszystkim, zgromadziły się dookoła wielkie tłumy miejscowych. Jeden z nich, dobrze owemu machlerzowi znany, wystąpił naprzód i rzecze: - Jeden z moich przyjaciół dogorywa obłożnie chory w domu. Wszyscy lekarze i znachorzy zwątpili już o jego życiu, przeto błagam cię, daj mu ten owoc do powąchania, aby mój przyjaciel nie utracił żywota! Skoro książę Ahmed słowa te usłyszał, zwrócił się do sprzedawcy mówiąc: - Mój przyjacielu, jeśli ów chory, o którym mowa, dzięki aromatu twojego jabłka powróci znów do sił, kupię jabłko natychmiast za cenę czterdziestu tysięcy złotych monet. Machlerz był upoważniony do sprzedania jabłka za cenę trzydziestu pięciu tysięcy. A ponieważ pięć tysięcy za pośrednictwo w pełni mu wystarczało, rzekł: - Zgoda, efendi, teraz możesz wypróbować czarodziejską moc jabłka. Już wyleczyłem nim setki chorych. Tedy książę Ahmed poszedł wraz z owymi ludźmi do domu chorego i zastał go konającego na łożu. Zaledwie wszakże umierający powąchał czarodziejskie jabłko, od razu poczuł się zdrowy i powstał z pościeli zupełnie uleczony i w kwitnym zdrowiu. Wówczas książę Ahmed nabył czarodziejskie jabłko od machlerza i wypłacił mu czterdzieści tysięcy złotych monet. Osiągnąwszy w ten sposób cel swojej podróży, pomyślał od razu o tym, aby przyłączyć się do karawany udającej się do Hindustanu i powrócić do ojca. Ale na razie postanowił spędzić czas na zwiedzaniu osobliwości i dziwów Samarkandy i okolic. Szczególnie zachwyciła go wspaniała równina, Soghnd, która jest uważana za jeden z cudów świata. Kraina ta niczym raj prawdziwy upajała swoim widokiem oczy, spowita w jasną szatę ze szmaragdowej zieleni i poprzecinana kryształowo przezroczystymi strumieniami. Ogrody rodziły wszelkiego rodzaju kwiaty i owoce, a domy i pałace swym pięknem rwały wprost oczy przybyszów. Po pewnym czasie książę Ahmed dołączył się do karawany kupieckiej, udającej się do Hindustanu. Po odbyciu długiej i mozolnej podróży osiągnął w końcu ów karawanseraj, w którym jego bracia, książęta Hussein i Ali, niecierpliwie nań oczekiwali. Trzej bracia padli sobie w objęcia nie posiadając się z radości, że dane im było znów się spotkać. Dziękowali Allahowi, że po tak długiej i niebezpiecznej rozłące przywiódł ich znów do ojczyzny zdrowych i całych, rześkich i wesołych. Książę Hussein, jako najstarszy z braci, zwrócił się do pozostałych w te słowa: - Obecnie godzi się, aby każdy z nas opowiedział, jak mu się powodziło, i powiadomił braci, co za osobliwy przedmiot przywiózł oraz

jakie czarodziejskie moce przedmiot ten posiada. Ja, jako pierworodny, pierwszy opowiem wam o moich przeżyciach. Przywożę z krainy Biszangarh dywan, który wygląda wprawdzie niepozornie, ale ma taką czarodziejską moc, że kto nań siądzie i w duchu wyrazi życzenie odwiedzenia jakiegoś kraju czy miasta, natychmiast zostaje tam przeniesiony, bez trudu i niebezpieczeństwa, choćby podróż ta w innych warunkach miała trwać całe miesiące lub nawet lata. Zapłaciłem za ten dywan czterdzieści tysięcy złotych monet i zwiedziwszy wszelkie osobliwości krainy Biszangarh siadłem na nabyty dywan z życzeniem, aby znaleźć się w tym oto karawanseraju. Natychmiast znalazłem się tutaj zgodnie z moim życzeniem i czekałem aż trzy miesiące na wasze przybycie. Mam tutaj ten latający dywan i kto chce, może go wypróbować! Skoro tylko najstarszy książę opowiedział swoją zakończony, zabrał głos średni brat książę Ali i tak rzecze: - Kochany bracie, dywan, który przywiozłeś, jest wielką rzadkością i moc, jaką posiada, jest nadzwyczajna. Według tego, co opowiadasz, nikt na świecie nie widział czegoś, co by można do tego dywanu przyrównać. Powiedziawszy to, wyciągnął wszakże swój teleskop ze słoniowej kości i tak mówił dalej: - Ale patrzcie, i ja również nabyłem za czterdzieści tysięcy złotych monet przedmiot, którego czarodziejską siłę chcę wam teraz pokazać! Widzicie tę rurkę z kości słoniowej? Za jej pomocą można ujrzeć rzeczy, które ukryte są przed wzrokiem naszym, a nawet o wiele mil od nas oddalone. Jest to zaiste przedziwny przedmiot i wart tego, abyście go wypróbowali. Obaj możecie się o tym przekonać, jeśli tylko zechcecie. Przytknijcie oko do węższego końca i wypowiedzcie w myśli życzenie zobaczenia tego, co serce wasze najwięcej pragnie ujrzeć. I wszystko jedno, czy rzecz ta znajduje się w pobliżu, czy jest o wiele setek mil oddalona, ta rurka z kości słoniowej postawi ją dokładnie widoczną tuż przed waszą źrenicą. Usłyszawszy te słowa, książę Hussein wziął czarodziejską rurkę z ręki księcia Alego i przytknąwszy oko do jej końca zgodnie z tym, co mu powiedziano, w sercu swym zapragnął ujrzeć księżniczkę Nur en-Nahar. Jego obaj bracia zaś przyglądali mu się ciekawie, co książę Hussein powie. Ale nagle zauważyli, że oblicze jego pobladło i zwiędło niczym przekwitły kwiat, a podniecenie i serdeczna udręka wycisnęły mu z oczu strumień łez. I zanim bracia opanowali swoje zdumienie i spytali go o przyczynę jego dziwnego zachowania, zawołał głośno: - Biada, biada, znieśliśmy tyle trudów i kłopotów wędrując w dalekie strony w nadziei zdobycia księżniczki Nur en-Nahar, ale wszystko było daremne: przed chwilą ujrzałem ją śmiertelnie chorą, leżącą na posłaniu, jak gdyby miała lada chwila wydać ostatnie tchnienie. Wokoło niej stały jej służebnice pogrążone w najgłębszym smutku, płacząc i lamentując. O moi bracia, jeśli chcecie ją ujrzeć po raz ostatni, to spójrzcie na pożegnanie przez ten teleskop, póki księżniczka jest jeszcze przy życiu! Wtedy książę Ali porwał do ręki teleskop, spojrział przez niego i ujrzał księżniczkę w takim stanie, jaki mu jego brat Hussein był opisał. Po czym niezwłocznie podał teleskop bratu Ahmedowi, który również popatrzył i przekonał się, że dostojna Nur en-Nahar lada chwila wyda ostatnie tchnienie. Powiedział więc do swoich starszych braci: - Wszyscy trzej cierpimy tę samą serdeczną mękę z powodu księżniczki Nur en-Nahar i każdy z nas żywi najgłębszą nadzieję, że ją pozyska. Życie jej gaśnie w tej oto chwili, ale ja mogę ją uratować i przywrócić jej zdrowie, jeśli natychmiast nie zwlekając i nie ociągając się do niej pośpieszymy. Z tymi słowy wyjął z kieszeni czarodziejskie jabłko, pokazał je braciom i zawołał: - To oto jabłko dorównuje wartością latającemu dywanowi i teleskopowi! Kupiłem je za czterdzieści tysięcy złotych monet w Samarkandzie. A teraz nadarza się najlepsza sposobność jego czarodziejską moc wykorzystać. Mówiono mi, że jeśli chory jabłko to powącha, będzie natychmiast uleczony i powróci do zdrowia, choćby był już konający. Sam to już wypróbowałem, a obecnie i wy przekonacie się o jego cudownej mocy leczniczej, kiedy użyję go dla uleczenia księżniczki Nur en-Nahar. Ale nuż, śpieszmy się, aby zastać ją jeszcze przy życiu. - Nie przedstawia to żadnej trudności! - zawołał książę Hussein. - Mój dywan w jednym mgnieniu oka przeniesie nas do komnaty naszej ukochanej. Siadajcie zaraz razem ze mną, gdyż starczy na dywanie miejsca dla wszystkich trzech. Niezwłocznie znajdziemy się przy łożu chorej, a nasza służba niech wyruszy za nami. Trzej książęta usiedli na latającym dywanie, każdy z nich wymówił w duchu życzenie, aby znaleźć się u łoża księżniczki Nur en-Nahar, i w mgnieniu oka byli już w jej komnacie. Niewolnice i słudzy, którzy chorą pielęgowali, przerazili się wielce i nie mogli się nadziwić, w jaki sposób ci obcy mężczyźni mogli dostać się do sypialni ich pani. Ale, kiedy słudzy chcieli już natrzeć

mieczami na książąt, nagle ich poznali i usunęli się, wciąż jeszcze nie rozumiejąc, w jaki sposób trzech bracia tu się znaleźli. Ci zaś zeskoczyli z dywanu, książę Ahmed wystąpił naprzód i podał czarodziejskie jabłko do powąchania księżniczce, która leżała nieprzytomna na posłaniu. Ale skoro tylko wchłonęła aromat jabłka, choroba ją opuściła i natychmiast poczuła się zupełnie zdrowa. Otworzyła szeroko oczy, uniosła głowę z poduszki i rozejrzała się dookoła, przyglądając się ze zdziwieniem trzem książętom, którzy stali naokoło niej. Czuła się przy tym tak wypoczęta i wesola, jak gdyby właśnie obudziła się z pokrzepiającego snu. Od razu zerwała się z łoża, udała się do ubieralni i przywołała swoje służebne, aby ją przyodziały. Dziewczęta ubierając ją opowiedziały, że trzech książęta, synowie jej stryja, nagle tu się zjawili i że książę Ahmed dał jej coś do powąchania, co natychmiast ją uleczyło. Dokonawszy zgodnie z obyczajem obrządku ablucji po uleczeniu, piękna Nur en-Nahar powróciła do książąt, okazując serdeczną radość z powodu ich przybycia. Potem dziękowała im, zwłaszcza księciu Ahmedowi, za przywrócone życie i zdrowie. Również i książęta radowali się wielce, widząc, że księżniczka Nur en-Nahar tak szybko śmiertelną chorobę przemogła. Wkrótce potem pożegnali się z nią i odeszli, aby przywitać się z ojcem sułtanem. Tymczasem słudzy donieśli o wszystkim sułtanowi. Skoro tylko młodzi książęta stawili się przed jego oblicze, sułtan wstał z tronu, wziął ich czule w objęcia i ucałował każdego w czoło, uszczęśliwiony, że ich znowu widzi oraz że księżniczka, która była mu drogą niczym rodzona córka, powróciła dzięki nim do zdrowia. Po czym trzech bracia przynieśli czarodziejskie przedmioty, które każdy z nich przywiózł ze swojej podróży. Nasamprzód książę Hussein pokazał latający dywan, który dopiero co przyniósł ich z daleka, i rzekł: - Z wyglądu dywan ten nie przedstawia żadnej wartości, ale ponieważ posiada czarodziejską moc, wydaje mi się, że na całym świecie nie znajdziemy nic, co by mu osobliwością dorównywało. Następnie książę Ali pokazał sułtanowi swoją lunetę i tak do niego rzecze: - Czarodziejskie zwierciadło króla Dżamszeda, który panował w zamierzchłych czasach, jest nic niewarte w porównaniu z tą rurką, przez którą oko ludzkie może dokładnie rozpoznać wszystko, co jest na Wschodzie i na Zachodzie oraz co znajduje się na Północy i na Południu. Jako ostatni, książę Ahmed wyciągnął czarodziejskie jabłko, które w przedziwny sposób ocaliło bezcenny żywot księżniczki Nur en-Nahar, i tak powiada: - Z pomocą tego owocu można natychmiast wyleczyć wszelkie choroby i najcięższe cierpienia. Przy czym każdy z braci, wręczając swój dar sułtanowi, dodawał: - Ojczy i panie, przyjmij te dary, które ci kornie wręczamy, i wypróbuj oraz wybierz, który z nich jest najbardziej wartościowy i osobliwy. A potem, zgodnie z twoją obietnicą, niech ten spomiędzy nas, na którego padnie twój wybór, poślubi księżniczkę Nur en-Nahar. Sułtan wysłuchawszy z uwagą ich wypowiedzi i zmiarkowawszy, że każdy z darów wydatnie przyczynił się do ozdrowienia jego ukochanej bratanicy, zatopił się na chwilę w morzu myśli. Potem zaś taką dał odpowiedź: - Jeślibym przyznał pierwszeństwo księciu Ahmedowi, którego czarodziejskie jabłko uleczyło księżniczkę, postąpiłbym niesprawiedliwie wobec obu pozostałych książąt. Jeśli nawet zdobyty przez niego przedmiot wybawił ją ze śmiertelnej choroby i przywrócił do życia i zdrowia, to powiedzcież mi, jak książę Ahmed mógłby dowiedzieć się o jej chorobie bez teleskopu księcia Alego? A bez latającego dywanu księcia Husseina, który was przyniósł tutaj, czarodziejskie jabłko również na nic by się zdało. Dlatego rozstrzygnięcie moje brzmi: Wszyscy trzech macie równy udział, a co za tym idzie, i równą zasługę w wyleczeniu księżniczki. Nie byłoby bowiem możliwe ocalić jej życia, gdyby brakło choć jednego z tych trzech czarodziejskich przedmiotów. Poza tym wszystkie trzy są równie rzadkie i cudowne i żaden nie góruje nad pozostałymi, przeto nie mam prawa przyznać pierwszeństwa lub przewagi któremuś z was. Przyrzekłem, że księżniczkę Nur en-Nahar wydam za tego z was, który przywiezie mi najrzadszą osobliwość. Ale choć brzmi to dziwnie, niemniej prawdą jest, że wszystkie one, jeśli chodzi o ich najbardziej istotną właściwość, są sobie równe. Dlatego trudność wyboru istnieje nadal i zagadnienie nie zostało rozstrzygnięte. Mimo to chciałbym całą sprawę zakończyć przed zmierzchem dzisiejszego dnia i to tak, aby nikomu, z was nie stała się krzywda. Dlatego muszę koniecznie powziąć jakiś plan, który pozwoliłby mi jednego z was ogłosić zwycięzcą i oddać mu zgodnie z moim sułtańskim słowem rękę księżniczki Nur en-Nahar. Postanawiam więc, co następuje: Każdy z was dosiadzie rumaka i wzięwszy z sobą łuk i kołczan ze strzałami pocwałuje na równinę, gdzie odbywają się turnieje, a ja wraz z wezyrami, dostojnikami państwa i emirami



udam się tam waszym śladem. Potem będziecie musieli, w mojej obecności jeden po drugim, z całej siły napiąwszy cięciwę łuku wystrzelić przed siebie strzałę. A ten spośród was, którego strzała najdalej polecą, zostanie przeze mnie uznany za najgodniejszego i otrzyma księżniczkę Nur en-Nahar za żonę. Tedy trzej książęta nie ważąc się postanowieniu ojca sprzeciwiać oraz o mądrości i sprawiedliwości jego powątpiewać, dosiedli rumaków i pocwałowali z łukami i strzałami w kołczanach na wyznaczone miejsce. Sułtan również udał się tam ze swoimi wezyrami i dostojnikami państwa, ukrywając przywiezione czarodziejskie osobliwości bezpiecznie w sułtańskim skarbcu. Skoro wszystko było już do turnieju przysposobione, najstarszy syn i następca tronu, książę Hussein, spróbował swej siły i zręczności, wystrzeliwszy strzałę daleko przed siebie poprzez rozciągającą się tam równinę. Po nim książę Ali chwycił za łuk, napiął go i wysłał strzałę w tym samym kierunku jeszcze dalej od strzały starszego brata. W końcu przyszła kolej na księcia Ahmeda. I on wycelował w tym samym kierunku. Ale los postanowił, że dżygici i dworzanie, chociaż rzucili się zaraz w pogoń za strzałą, już nie znaleźli jej śladu. I żaden z nich nie wiedział, czy strzała wbiła się w ziemię, czy też znikła dosięgnąwszy najdalszych krańców niebieskiego przestworza. Ba, nawet wydało się tym, którzy byli mu nieżyczliwi, że książę Ahmed w ogóle nie wystrzelił i że jego strzała w ogóle nie opuściła cięciwy. Wreszcie sułtan rozkazał, aby zaprzestano dalszych poszukiwań i rozstrzygnął spór na korzyść księcia Alego, postanawiając, iż księżniczka Nur en-Nahar zostanie małżonką tegoż, ponieważ strzała jego prześcignęła strzałę księcia Husseina. Urządzono przeto huczne uroczystości i wyprawiono wesele zgodnie z obyczajem owej krainy, z wielkim przepychem i niezmierną wspaniałością. Książę Hussein wszakże nie chciał być przy tym obecny, ponieważ czuł rozczarowanie i palącą zazdrość. On bowiem spośród trzech braci najgoręcej umiłował księżniczkę Nur en-Nahar. Toteż zrzucił książęce szaty i w stroju wędrownego żebraka odszedł, by pędzić żywot pustelniczy. Również księcia Ahmeda pożerała zazdrość, tak że i on nie przybył na owo wesele. Ale postąpił inaczej niż książę Hussein; nie udał się na pustkowie, lecz spędzał wszystkie swoje dni na poszukiwaniu wystrzelonej przez siebie strzały, aby twierdzić, gdzie upadła. Otóż przydarzyło się, że pewnego ranka, kiedy samotnie, jak zazwyczaj, wyruszył na poszukiwania, zaczynając od miejsca, skąd trzy strzały były wówczas wystrzelone, dotarł tam, gdzie odnaleziono strzały książąt Husseina i Alego. Nie zatrzymał się jednak, ale podążył dalej przed siebie, obrzucając wzrokiem wszystkie wzgórza i doliny na prawo i na lewo. Gdy tak wszędzie szukał, ujrzał nagle, przebywszy mniej więcej cztery stajania\*, swą strzałę, leżącą płasko na wysokiej skale. Nie posiadał się ze zdumienia, dziwując się, w jaki sposób strzała mogła tak daleko dolecieć, ale jeszcze bardziej temu, że kiedy wszedł na skałę przyjrzał się z bliska, stwierdził, że strzała nie była wbita w ziemię, lecz widocznie odbiła się i upadła płasko na występ skalny. Tedy tak do siebie powiedział: "W sprawę tę chyba wmieszała się jakaś nieczysta siła! Bo jakżeż inaczej mógłby ktoś strzałę tak daleko wystrzelić, a potem znaleźć ją, leżącą w tak dziwny sposób?" Po czym utorował sobie drogę pomiędzy ostrymi skałami i olbrzymimi głazami i trafił wkrótce do pieczary, z której wiódł podziemny korytarz. Przeszedłszy nim kilka kroków, książę Ahmed ujrzał żelazne wrota. Otworzył je bez trudu, gdyż nie były zamknięte na zasuwę, i krocząc przed siebie ze strzałą w ręku doszedł do opadającego pochyło w dół korytarza, który zaczął schodzić coraz niżej. Wszelako, kiedy przełamał lęk przed ciemnościami, których się tam spodziewał, ujrzał w pewnej odległości, tam gdzie korytarz się rozszerzał, wielki dziedziniec ze wszystkich stron rzeświście oświetlony lampami i świecznikami. Przeszedłszy jeszcze jakieś pięćdziesiąt łokci, zoczył olbrzymi i piękny pałac. Nagle z głębi pałacu wyszła na krużganek dziewczina precudnej urody i nieopisanego wdzięku, wróżka w szatach królewskich, obsypanych najdrogocenniejszymi klejnotami. Dziewica kroczyła powoli i majestatycznie, otoczona gronem swych służebnic, jak księżyc rojem gwiazd. Skoro książę Ahmed ujrzał to cudne zjawisko, pośpieszył złożyć dziewczycy ukłon powitalny, a ona mu ukłon oddała. Po czym podeszła do niego bliżej i pozdrowiła go łaskawie, mówiąc urzekającym głosem: - Serdecznie cię witam, książę Ahmedzie! Szczęśliwa jestem, że widzę tu waszą wysokość. Dlaczego tak długo zwlekałeś z przybyciem do mnie? Sułtański syn zdumiał się, słysząc, że piękna dziewczina zna jego imię i godność, ponieważ nigdy się przedtem nie znali. Ucałował kornie ziemię u jej stóp i tak do niej rzecze: - Dostojna pani, jestem ci winien najserdeczniejszą podziękę za twoją dobroć i za gościnne

powitanie w tym tak osobliwym miejscu, dokąd jako samotny cudzoziemiec ledwie odważam się wejść, pełen wahań i nieśmiałości. Ale pozostaje nadal dla mnie zagadką, skąd mogłaś się dowiedzieć, jakie imię nosi twój niewolnik! Dziewica odpowiedziała na to z uśmiechem: - Mój panie i władco, zbliż się i zechciej razem ze mną w tym oto pałacu spocząć. Wtedy dopiero odpowiem ci na twoje pytania. Udali się więc tam, gdzie mu wskazała, i książe Ahmed szedł śladem jej stóp. Kiedy wkroczył do pałacu, ujrzał wysokie sklepienie z przedziwnym kunsztem odrobione, wykładane szczerym złotem i modrym lazulitem; ściany dookoła pokryte były wspaniałymi malowidłami i bogatymi arabeskami\*, jakich na całym świecie nie ujrzysz. Pani tego pałacu dostrzegłszy zdumienie w oczach księcia Ahmeda tak doń powiedziała: - Dom ten jest niczym w porównaniu ze wszystkim tym, co z dobrowoli oddaję ci teraz na własność. Dopiero gdy ujrzysz tamte wspaniałości, będziesz mógł słusznie się dziwować. Po czym owa podobna do wróżki istota usiadła na wysokim wzniesieniu i okazując księciu Ahmedowi tkliwą skłonność serca, poprosiła go, aby spoczął u jej boku. - Chociaż ty mnie nie znasz - ciągnęła dalej - ja przecież znam cię dobrze, o czym się wkrótce ze zdumieniem przekonasz, skoro opowiem ci całe twoje dzieje. Ale przede wszystkim godzi się, abym ci wyznała, kim jestem. Zapewne w naszych świętych pismach czytałeś, że świat ten zamieszkały jest nie tylko przez ludzi śmiertelnych, ale również przez rozliczne duchy, które postacią swoją są całkiem do śmiertelnych podobne. Jestem jedyną córką króla duchów, pochodzącego z najszlachetniejszego rodu, a nazywam się Peri Banu. Przeto nie bądź zaskoczony, że wiem, kim jesteś i kim jest twój ojciec. Wiem najdokładniej o wszystkim, co obchodzi ciebie, twój ród i twoich krewnych. Jesteś jednym z trzech braci, którzy wszyscy zapalali miłością do księżniczki Nur en-Nahar i współzawodniczyli o jej rękę. Wiem, że ojciec wasz uznał za słusne posłać was wszystkich trzech do obcych krain, a ty wówczas udałeś się do dalekiej Samarkandy, skąd przywiozłeś czarodziejskie jabłko, sporządzone z rzadkim i tajemniczym kunsztem, za które to jabłko zapłaciłeś czterdzieści tysięcy złotych monet. Z pomocą tego jabłka przywróciłeś zdrowie ukochanej, ratując ją od ciężkiej choroby. Książe Hussein zaś, twój najstarszy brat, zakupił za taką samą cenę latający dywan w Biszangarh, a książe Ali przywiózł teleskop z miasta Sziraz. Może to wystarczy, aby ci dowieść, że nic, co ciebie dotyczy, nie jest dla mnie tajemnicą. Teraz wszakże wyznaj całą prawdę, kogo podziwiasz bardziej, jeśli chodzi o urodę i wdzięk, mnie czy też księżniczkę Nur en-Nahar, małżonkę twojego brata? Serce moje tęskni gorąco za tobą i pragnie, abyśmy się pobrali i wspólnie radowali się życiem. Przeto powiedz, czy i ty skłonny jesteś mnie poślubić, czy też pożera cię dalej tęsknota za córką twojego stryja? W bezmiarze mojej miłości stałam niewidzialna u twego boku wówczas, gdyście współzawodniczyli w strzelaniu z łuku. A kiedy ty wystrzeliłeś swoją strzałę, wiedziałam, że pozostanie ona daleko w tyle za strzałami twych braci. Dlatego chwyciłam ją w powietrzu, zanim opadła na ziemię i wyniosłam ją poza obręb twojego wzroku. Potem sprawiłam, że strzała trafiła w żelazne wrota do jaskini i odbiła się, aby płasko lec na płycie skalnej, na której ją odnalazłeś. Od tego dnia siedziałam beczynn timer i czekałam na ciebie, ponieważ wiedziałam dobrze, że będziesz swojej strzały szukać, aż ją znajdziesz, i to dawało mi pewność, że będę mogła przyprowadzić cię tu do mojego pałacu. Tak mówiła piękna Peri Banu rzucając powłóczyście spojrzenie na księcia Ahmeda. Po czym jednak spuściła skromnie czoło i odwróciła od niego oczy. Skoro książe Ahmed usłyszał te słowa z ust pięknej Peri Banu, nie posiadał się z radości i tak do siebie rzekł: "Nie leży już w mojej mocy odzyskać księżniczkę Nur en-Nahar, a Peri Banu góruje nad nią urodą oblicza i pięknem postaci oraz wdziękiem, z jakim się porusza". Krótko mówiąc, książe Ahmed był tak oczarowany i urzeczon, że całkiem zapomniał o miłości do kuzynki. Ponieważ zaś czuł, że również serce tej, która go oczarowała, do niego się skłania, rzekł: - Dostojna pani, najpiękniejsza z najpiękniejszych, nie pragnę niczego, jak tylko ci służyć i być posłuszny twoim rozkazom aż do końca dni mojego żywota. Ale ja jestem śmiertelnym człowiekiem, a ty nadziemską istotą. Twoi przyjaciele i krewni, twój ród i powinowaci wezmą ci na pewno za złe, jeśli połączysz się związkim małżeńskim ze mną. A piękna Peri Banu na to: - Rodzice moi pozostawili mi całkowitą swobodę i mogę poślubić każdego, kogo zechcę i kogo moją miłością obdarzę. Rzekłeś, że chcesz być moim sługą - przenigdy, powinieneś zostać moim panem i władcą. Serce moje mówi mi, że nie odrzucisz mej prośby! I tak ciągnęła dalej: - U nas, wśród duchów, panuje starodawny obyczaj, że my, dziewczęta,

w wyborze oblubieńca słuchamy jedynie nakazu własnego serca; każda wybiera tego, kto jej się najbardziej podoba i o którym myśli, że dozna przy nim najwięcej szczęścia. Dlatego wszyscy mężowie i wszystkie żony żyją u nas w dozgonnej zgodzie i szczęściu. Otwarcie wyznajemy nasze uczucie umiłowanemu mężczyźnie, nie czekając i schnąc z tęsknoty, aż ktoś poprosi o naszą rękę i ją dostanie. Kiedy książę Ahmed usłyszał te słowa, poczuł w sercu wielką radość i skłonił się nisko, chcąc ucałować kraj szaty pięknej Peri Banu. Ona jednak nie dopuściła do tego i podała mu rękę do ucałowania miast szaty. Książę wziął jej rękę z zachwytem i zgodnie z obyczajem swego kraju ucałował ją, położył sobie na piersi i dotknął nią oczu. Tedy wróżka przemówiła doń z urzekającym uśmiechem: - Z moją ręką w twojej ślubuję ci miłość i przyrzekam solennie, że będę niezmiernie ci wierna po wszystkie czasy, nie łamiąc nigdy danego słowa i nie okazując zmienności. A książę Ahmed odrzekł: - Uroczą istotą, umiłowana przez moją duszę, czy myślisz, że mógłbym kiedyś zdradzić moje własne serce, ja, który ofiaruję cię i duszę tobie, która zdobyłaś królewską władzę nad moim sercem? Składam ci siebie w ofierze i czyn ze mną, co ci się będzie podobało! A piękna Peri Banu tak księciu Ahmedowi odpowiedziała: - Ty jesteś moim mężem, a ja posłuszną ci żoną. To uroczyste ślubowanie, które sobie wzajemnie składamy, zastąpi nam umowę małżeńską. Po czym Peri Banu powiodła swego oblubieńca do innej komnaty, gdzie przygotowana była wieczerza. Blask bijący z tej sali nie ustępował niczym temu, co książę już widział, ba, był nawet jeszcze wspanialszy i bardziej oślepiający. Setki woskowych świec w kandelabrach z najdelikatniejszego jantaru i przezroczystego kryształu stały rzędem dookoła i rzucały ze wszystkich stron strumienie światła, a złote naczynia i misy najprzedniejszej roboty i bezmiernej wartości, o niezrównanych kształtach i kunsztownym wykonaniu zdobiły nisze w ścianach. Żaden ludzki język nie zdoła wyrazić przepychu owej komnaty. Były w nich również wróżki wdzięcznej postaci i wielkiej urody, przybrane w najbardziej wyszukane szaty, przygrywające wesoło i radośnie na przeróżnych instrumentach i wyśpiewujące urzekające pieśni o miłości. Młody małżonek i młoda małżonka zasiedli do uczy. Piękna Peri Banu podawała księciu Ahmedowi najlepsze kąski własną ręką i częstowała go z każdego półmiska i dzieliła się z nim każdym smakołykiem, wymieniając nazwy potraw i opowiadając mu, w jaki sposób się je przyrządza. Ale jakżeż można opisać owe nadziemskie potrawy o przedziwnym smaku, jakich żaden śmiertelnik nigdy nie kosztował lub nawet nie widział? Spożywszy wieczerzę młoda para piła najszlachetniejsze wina i rozkoszowała się słodyczami, smażonymi owocami i wykwintnym deserem. Następnie, kiedy zjedli już i wypili do syta, udali się do jeszcze innej komnaty, w której znajdowało się wspaniałe podwyższenie wyściełane złotolitą materią i zarzucone wzorzystymi poduszkami pokrytymi staroperską tkaniną. Tam oboje usiedli przy sobie, aby gawędzić i wesoło czas spędzać. Do sali wkroczyła gromada nadziemskich istot i wróżek, które przed ich obliczem płały z nieopisanym wdziękiem i wyśpiewywały przeróżne pieśni. To widowisko radowało oczy pięknej Peri Banu i księcia Ahmeda, którzy przyglądali się i przysłuchiwali grze i korowodom z rosnącym zachwytem. W końcu młoda para powstała i usunęła się znużona uroczystościami do swojej komnaty. Tam znaleźli posłanie przygotowane przez niewolników. Ramy łoża były ze szczerzego złota i wysadzone drogimi kamieniami, a kapy i poduszki z atlasu i kosztownej tafty haftowanej w najbardziej wyszukane wzory. Goście weselni oraz pałacowe niewolnice ustawieni w dwa rzędy pozdrawiali głośnymi okrzykami młodą parę, kiedy między nimi przechodziła. Uroczystości zaślubin i zabawa weselna trwały przez wiele dni, przy czym podawano coraz to nowe potrawy, grano coraz to nowe melodie, płaśniano coraz to nowe tańce i śpiewano coraz to nowe pieśni. I choćby książę Ahmed przeżył tysiąc lat wśród plemienia śmiertelnych, nigdy nie widziałby tak pięknych uroczystości i nie słyszał tak cudownych melodii. W ten sposób spędził książę Ahmed sześć miesięcy w krainie wróżek, u boku pięknej Peri Banu, którą umiłował tak czułą miłością, że nie mógł wytrzymać ani chwili bez niej. Skoro tylko jej nie widział, stawał się od razu niespokojny i bezradny. Tak samo i Peri Banu pałała do niego największą miłością i starała się małżonkowi swemu coraz bardziej przypodobać, aby wszelkie wspomnienia o domu i ojczyźnie oraz o krewnych i rodzinie w umyśle jego zanikły i duszę jego opuściły. Ale mimo to po pewnym czasie pamięć księcia jakby ocknęła się ze snu i bywały chwile, kiedy nachodziła go tęsknota za ojcem. Przeto pewnego dnia tak rzekł do pięknej Peri Banu: - Skoro taka będzie twoja wola, błagam cię, abyś rozkazała mi opuścić cię na dni kilka,

abym mógł odwiedzić ojca, który na pewno martwi się z powodu mojej długiej nieobecności i cierpi mękę rozłąki z synem! Peri Banu usłyszawszy te słowa przeraziła się wielce, gdyż w sercu swoim myślała, że to tylko wymówka, aby opuścić ją i uciec od niej. Przeto głęboko strapiona tak mu odpowiedziała: - Czyżbyś tak prędko zapomniał już o swojej obietnicy i o danym mi słowie, iż pragniesz mnie już opuścić? Czyżby miłość i namiętność przestały sercem twym władać, gdy tymczasem moja cała istota ciągle jeszcze drży z radości, skoro tylko o tobie pomyślę? - Umiłowana mojej duszy - odparł książę - królewska władczyni moich uczuć, cóż to za wątpliwości trapią twoje serce? Po co te pełne obawy troski i smutne słowa? Wiem dobrze, że miłość twoja i twoje uczucie do mnie są takie, jak mówisz. I gdybym prawdy tej nie uznawał, gdybym okazał się wobec ciebie niewdzięczny i nie spoglądał na ciebie z równie gorącą i głęboką, czułą i szczerą miłością, jak ty na mnie, byłbym zaiste wielkim niewdzięcznikiem i najczarniejszym wiarołomcą. Daleka ode mnie jest myśl, aby odejść od ciebie. Nigdy nie przyszło mi do głowy opuścić cię i do ciebie nie powrócić. Ale mój ojciec jest obecnie już leciwym starcem i w sercu swoim trapi się z powodu długiej rozłąki ze swym najmłodszym synem. Jeśli mi pozwolisz, to chętnie bym się do niego udał, aby go odwiedzić, a potem z wielkim pośpiechem powrócił w twoje objęcia. A przy tym nie chciałbym nic uczynić, co by sprzeciwiało się twojej woli. Moja serdeczna miłość do ciebie jest tego rodzaju, że chętnie przebywam przez wszystkie godziny dnia i nocy u twego boku i nie chciałbym cię nigdy ani na mgnienie oka opuścić. Peri Banu poczuła się tymi słowami nieco pocieszona, gdyż po wypowiedzi i oczach księcia Ahmeda poznała niewątpliwie, że miłuje ją całym sercem, które tak samo jak i jego słowa jest szczerze niczym najszczerze złoto. Toteż pozwoliła mu, aby na jakiś czas udał się do swego ojca w odwiedziny. Ale równocześnie nalegała na niego z całą żarliwością, aby nie pozostał zbyt długo u swoich krewnych i rodziny. Posłuchajmy teraz, co działo się z sułtanem po zaślubinach księcia Alego z księżniczką Nur en-Nahar. Kiedy minęło wiele dni, a książę Hussein i książę Ahmed ciągle nie dawali o sobie znać, sułtan posmutniał i ciężkie strapienie legło na jego sercu. Toteż pewnego ranka po odbyciu uroczystego dywanu przywołał swoich wezyrów i dostojników państwa i zapytał ich, co się stało z księżętami i gdzie się znajdują. Wówczas dostojnicy tak mu odpowiedzieli: - Czcigodny padyszachu, ty, co jesteś odbiciem Allacha na ziemi, twój najstarszy syn, ciało z twojego ciała i następca twego państwa, książę Hussein wielce rozczarowany, na znak głębokiego smutku zrzucił swoje książęce szaty, został pustelnikiem i jako sługa Allacha wyrzekł się wszelkich żądz i doczesnych namiętności. Książę Ahmed zaś, twój trzeci i najmłodszy syn, opuścił głęboko zagniewany twą stolicę. Wszelako nikt nie wie, dokąd się schronił oraz co mu się przydarzyło. Sułtan zafrasował się mocno i rozkazał im bez wahania i zwłoki przygotować firmy\* do wszystkich wielkorządców prowincji, zalecając im jak najostrzej, aby nie zwlekając jęli szukać wszędzie księcia Ahmeda i odesłali go do jego ojca sułtana, skoro go tylko znajdą. Atoli chociaż rozkazy były dokładnie wykonane i wszyscy, którzy udali się na poszukiwania, usilnie się starali, nikt nie natrafił na ślad księcia Ahmeda. Tedy serce sułtana stało się jeszcze bardziej markotne i polecił osobiście swemu wielkiemu wezyrowi udać się na poszukiwania zbiega. - Słucham cię i jestem posłuszny - odparł wielki wezyr. - Sługa twój rozkazał już przeszukać jak najstaranniej wszystkie okolice kraju, ale dotychczas nie udało się wysledzić najdrobniejszego nawet śladu księcia Ahmeda. A jest mi to tym bardziej bolesne, że miłowałem go niczym własnego syna. I wówczas zarówno wielki wezyr, jak i możni zmiarkowali, że sułtan załamał się z bólu, że oczy jego pełne są łez, a na sercu wielkim ciężarem legł smutek z powodu utraty najmłodszego syna. Wielkiemu wezyrowi przypomniało się zaś, że jest pewna czarownica, znana ze swej czarnoksięskiej sztuki, za pomocą której ściąga nawet gwiazdy z nieba, i że cieszy się ona w stolicy wielkim wzięciem. Poszedł więc do sułtana, jął wychwalać jej zręczność i znawstwo tajemnych rzeczy i dodał: - Niechże wasza sułtańska mość, o co błagam najpokorniej, rozkaże posłać po ową czarownicę i zapyta ją o los zaginionego syna. - Przednia jest twoja rada - odparł sułtan - należy czarownicę tutaj sprowadzić, być może bowiem uzyskam od niej jakąś wieść o księciu Ahmedzie i o tym, jak mu się powodzi. Sprowadzono więc czarownicę i postawiono przed oblicze sułtana. - Dobra kobieto - rzekł monarcha - od czasu zaślubin księcia Alego z księżniczką Nur en-Nahar mój najmłodszy syn książę Ahmed, zawiedziony w swej miłości do niej, znikł nam z oczu i nikt nic o nim obecnie nie wie. Użyj więc niezwłocznie swej czarnoksięskiej mocy i powiedz

mi tylko jedno: czy książę Ahmed żyje, czyli też umarł? Jeśli jest jeszcze wśród żywych, to chciałbym wiedzieć, gdzie się znajduje i jak mu się powodzi, a poza tym pytam jeszcze, czy w księdze mego losu napisane jest, że syna mego najmłodszego jeszcze kiedy zobaczę? Na co czarownica odrzekła: - O największy władco naszego czasu i najpotężniejszy padyszachu wszystkich czasów, nie jestem w stanie na wszystkie te pytania od razu odpowiedzieć, ponieważ odpowiedzi takie należą do tajemnej wiedzy. Ale jeśli wasza sułtańska mość raczy udzielić mi jednego dnia zwłoki, zapytam moich czarnoksiężkich pism i jutro zadowolę cię wyczerpującą odpowiedzią. Sułtan przystał na to i dodał: - Jeśli zdołasz udzielić mi dokładnej i wyczerpującej odpowiedzi oraz powrócisz sercu memu spokój po wszystkich tych troskach, otrzymasz sowitą nagrodę i wyróżnię cię najwyższymi zaszczytami. Nazajutrz rano czarownica w towarzystwie wielkiego wezyra przyszła ponownie do pałacu i prosiła o pozwolenie stawienia się przed oblicze padyszacha, a stanąwszy przed jego tronem rzekła: - Z pomocą mej tajemnej sztuki dowiedziałam się na pewno, że książę Ahmed jeszcze przebywa w krainie żywych. Nie frasuj się przeto o niego w sercu twoim! Ale na razie nie jestem w stanie nic więcej się o nim dowiedzieć i nie potrafię cię uwiadomić, gdzie się znajduje i jak go znaleźć. Słowa te pocieszyły sułtana i w sercu jego zakiełkowała nadzieja, że ujrzy jeszcze najmłodszego syna przed zgonem. Powróćmy teraz do księcia Ahmeda! Skoro piękna Peri Banu przekonała się, że pragnie on tylko ojca odwiedzić, a miłość jego do niej pozostaje nadal mocna i niewzruszona, pomyślała, że nie godzi się nie pozwolić mu dla tak szlachetnego celu na jakiś czas pozostawić ją samą. Po czym jednak znów zaczęła w swym umyśle rzecz rozważać i walczyć ze sobą wiele godzin. Aż w końcu pewnego dnia zwróciła się do swego małżonka w te słowa: - Chociaż serce moje nie chce na to przystać, abym nawet na krótką chwilę była od ciebie oddalona i choćby na mgnienie oka cię utraciła, nie chcę dłużej sprzeciwiać się twemu życzeniu, ponieważ tak często mnie o to prosiłeś i okazywałeś niepokój, czy ojca twego jeszcze kiedyś zobaczysz. Ta moja łaska zależy wszakże od jednego warunku, bez którego nigdy bym twej prośby nie wysłuchała i nie udzieliła ci zezwolenia na odjazd. Złóż mi najuroczystszą przysięgę, że z możliwie największym pośpiechem tu do mnie powrócisz i że nie będziesz powodem mojej bolesnej tęsknoty i pełnego obaw oczekiwania na twój powrót. Książę Ahmed wielce uradowany ze spełnienia jego prośby podziękował jej mówiąc: - Pani mojego serca, możesz być bez obaw o mnie i całkiem pewna, że powrócę do ciebie z jak największym pośpiechem, skoro tylko zobaczę mojego ojca. Życie bowiem nie przedstawia dla mnie żadnej wartości, kiedy jestem daleko od ciebie! I chociaż przez kilka dni muszę być z tobą rozłączony, serce moje będzie stale przy tobie i tylko przy tobie. Te słowa księcia Ahmeda uradowały serce pięknej Peri Banu i rozwiały trwożliwe wątpliwości i pełne obaw troski, które trapiły ją w nocy w snach i w dzień podczas długich rozmyślań. Powiedziała tedy do swego małżonka uspokojona jego obietnicą: - Idź więc tam, dokąd ciągnie cię serce, idź do ojca. Ale zanim stąd odejdziesz, chcę ci dać jedną przestrożę na podróż i biada ci, jeśli kiedyś o mojej radzie i zaleceniu miał zapomnieć. Nie mów nikomu ani słowa o naszym małżeństwie ani o wszystkich tych osobliwych rzeczach, które tu widziałeś, i cudach, które podziwiałeś. Zwłaszcza strzeż pilnie tajemnicy przed ojcem i braćmi, przed krewnymi i całą twoją rodziną! Swojemu ojcu, aby dusza jego znalazła ukojenie, możesz jedynie oznajmić, że jesteś szczęśliwy oraz że wróciłeś do ojczyzny tylko na krótką chwilę, aby go odwiedzić i przekonać się, czy mu się dobrze powodzi. Po czym piękna Peri Banu wydała służbie odpowiednie rozkazy i poleciła wszystko niezwłocznie przygotować do podróży swojego małżonka. A skoro przygotowania już zakończono, wybrała dwudziestu dżygitów, uzbrojonych od stóp do głów i zaopatrzonych we wszystko potrzebne do drogi, aby towarzyszyli księciu Ahmedowi. Jemu samemu zaś dała rosnącego rumaka najdoskonalszej budowy, rączego jak oślepiająca błyskawica lub niepowstrzymany huragan. A rząd jego i kulbaka były z najkosztowniejszego kruszcu i wysadzone drogimi kamieniami. Po czym Peri Banu rzuciła się księciu Ahmedowi na szyję i objęli się serdecznie w najczulszej miłości. Książę Ahmed zaś, aby jej serce uspokoić, powtórzył przy pożegnaniu swoje obietnice i poprzysiągł raz jeszcze rychły powrót. Potem dosiadł rumaka i wraz ze swoją świtą, składającą się z samych dżygitów z plemienia duchów, wyruszył z wielką wspaniałością. Szybko jadąc osiągnął niebawem stolicę swego ojca. Tam przyjęto go głośnymi okrzykami radości, jakich nigdy jeszcze w kraju tym nie słyszano.

Wezyrowie i dostojnicy państwa, kupcy i wasale, wszyscy nie posiadali się z radości, widząc znowu księcia Ahmeda. Prosty lud rzucił pracę i szedł śladami konnego orszaku głośno błogosławiąc księcia i czcząc go głębokimi pokłonami. I tak tłocząc się zewsząd wkoło niego, nieprzeliczone tłumy odprowadziły go aż do wrót sultańskiego pałacu. Tam księżę Ahmed zeskoczył z rumaka, wszedł do sali, gdzie odbywał się zwykle dywan, padł ojcu do stóp i ucałował je w bezmiarze synowskiej miłości. Sułtan, który z powodu nieoczekiwanego przybycia księcia Ahmeda niemal omdlał ze szczęścia, zbiegł ze stopni tronu i rzucił się swemu najmłodszemu synowi na szyję, a potem ze łzami radości ucałował go w czoło i rzekł: - Miły synu, w rozpaczy z powodu utraty księżniczki Nur en-Nahar uciekłeś nagle z ojcowskiego domu. I mimo wszelkich poszukiwań nie mogliśmy odnaleźć twego śladu ani żadnego znaku twego istnienia, choć zaiste szukaliśmy pilnie. Ja zaś nieomal że nie postradałem zmysłów z powodu twego zniknięcia i popadłem w taki stan, w jakim mnie widzisz. Powiedz, gdzie przebywałeś przez tak długi okres czasu i co się z tobą przez wszystkie te dni działo? - Zaprawdę, mój ojciec i padyszachu - odparł księżę Ahmed - byłem przybity i głęboko zmartwiony, kiedy widziałem, że księżę Ali otrzymał rękę naszej kuzynki. Ale to nie jest jedyną przyczyną mej nieobecności. Pamiętasz zapewne, jak wówczas na twój rozkaz wszyscy trzej udaliśmy się konno na ową równinę, aby współzawodniczyć w strzelaniu z łuków, a strzała moja, chociaż przestrzeń przed nami była rozległa i równa, znikła nam z oczu i nikt nie mógł znaleźć miejsca, gdzie strzała ta upadła. Stało się więc, że pewnego dnia w wielkim frasunku, samotny i bez świty wyruszyłem, aby przeszukać wokoło okolicę i starać się jednak moją strzałę odnaleźć. Skoro doszedłem do miejsca, gdzie podniesiono strzały moich braci, księcia Husseina i księcia Alego, zacząłem rozglądać się wszędzie na prawo i na lewo, przed siebie i za siebie. Myślałem bowiem, że i moja strzała musi tam gdzieś leżeć, ale cały ten trud był nadaremny. Nie znalazłem ani strzały, ani jej śladu. Powędrowałem więc dalej, zapamiętały w moich poszukiwaniach i przeszedłem tak jeszcze spory szmat drogi. Wreszcie w mojej rozpaczy chciałem już dać za wygraną, wiedząc dobrze, że mój łuk nie mógł aż tak daleko donieść. W samej rzeczy żadnemu strzelcowi nie mogłoby się udać strzały swojej czy jakiegoś innego pocisku wypuścić na taką odległość. Mimo to nagle ujrzałem moją strzałę leżącą płasko na skale, mniej więcej cztery stajania od owego miejsca, z któregośmy strzelali. Słyszając te słowa sułtan nie posiadał się ze zdumienia, a księżę Ahmed tak mówił dalej: - Skoro podniosłem strzałę, o mój padyszachu, i dokładnie się jej przyjrzałem, przekonałem się, że to naprawdę była ta sama, którą wystrzeliłem. Dziwowałem się w mojej duszy, że mogła tak daleko polecieć, i nie wątpiłem, że musiała w to wdać się jakaś nieczysta siła. Tak rozmyślając, przybyłem do miejsca, w którym od tego dnia żyłem już w samej tylko radości i błogostanie. Nic ponadto nie wolno mi o moich dziejach opowiedzieć. Przyjechałem tu do ciebie jedynie, aby serce twoje co do moich losów uspokoić. A obecnie proszę cię, abyś raczył udzielić mi swojego najtąskawszego zezwolenia, żebym jak najprędzej mógł powrócić do przybytku mojego szczęścia. Od czasu do czasu nie omieszkam znów ciebie odwiedzić, aby z synowską miłością zapytać cię o twoje zdrowie. - Miły synu - odparł sułtan - widok twój ucieszył moje oczy i obecnie spokój mi już powrócił. Chętnie udzielam ci pozwolenia, abyś odszedł, ponieważ gdzieś niedaleko stąd zażywasz szczęścia. Jeśli wszakże miałbyś kiedy znów przez dłuższy czas być nieobecny, powiedz mi, w jaki sposób będę mógł się dowiedzieć, czy jesteś zdrowy i jak ci się powodzi? Na co księżę Ahmed tak odpowiedział: - Mój ojciec i padyszachu, to, o co mnie pytasz, jest częścią mojej tajemnicy, która winna pozostać głęboko ukryta w moim sercu. Jak już to uprzednio powiedziałem, nie wolno mi jej wyjawiać lub cokolwiek powiedzieć, co by mogło przyczynić się do jej odkrycia. Wszelako bądź spokojny w swoim sercu, gdyż obiecuję ci nieraz tu do ciebie przybywać. Ba! Może nawet naprzykrzę ci się zbyt częstymi odwiedzinami! - Miły synu - zwrócił się znów do księcia Ahmeda sułtan - nie chcę dociekać twej tajemnicy, jeśli chcesz, aby pozostała przede mną zakryta. Atoli proszę, abyś spełnił jedno moje życzenie, a mianowicie, bym od czasu do czasu mógł się przekonać o twoim trwałym szczęściu i powodzeniu. Zostawiam ci pełną swobodę powrotu do twego domu, ale pamiętaj, abyś przynajmniej raz w miesiącu tu przybywał, aby mnie odwiedzić, jak uczyniłeś to teraz, aby twoja zbyt długa nieobecność nie przyprowadziła mi znowu o lęk i ból, troskę i tęsknotę. Tedy księżę Ahmed spędził jeszcze całe trzy dni u ojca, ale myśl o pięknej Peri Banu ani na chwilę nie

opuszczała jego serca. Toteż czwartego dnia dosiadł rumaka i odjechał otoczony takim samym przepychem, z jakim przybył. Kiedy Peri Banu ujrzała wracającego księcia Ahmeda, nie posiadała się z radości, bo wydawało się jej, że ich rozłąka trwała lat trzysta. Taka bowiem jest już miłość: chwile rozłąki wydają się długie i nie kończące się niczym lata. Książę prosił ją o przebaczenie, że ją nawet na tak krótko opuścił, a słowa jego zachwyciły tym bardziej Peri Banu. I znowu pędzili dnie w doskonałym szczęściu, ciesząc się sobą nawzajem. Tak minął miesiąc, a książę Ahmed ani razu nie wspominał o swoim ojcu, sultanie, ani nie wyraził życzenia, aby go zgodnie z daną mu obietnicą odwiedzić. Skoro piękna Peri Banu tę zmianę zauważyła, tak do niego powiada: - Przecież oznajmiłeś mi kiedyś, że masz zamiar na początku każdego miesiąca stąd odjeżdżać i udawać się na dwór twojego rodzica, aby dowiedzieć się o jego zdrowie. Dlaczegoż nie myślisz już teraz o tym, chociaż wiesz, że frasuje się on wielce, oczekując niecierpliwie twego przyjazdu? - Tak jest, jak powiedziałaś - odparł książę Ahmed - ale z kolei i ja oczekuję twego rozkazu i zezwolenia i dlatego nie śmiałem pierwszy ci o moim wyjeździe napomknąć. A ona na to: - Twoje wyjazdy i przyjazdy nie mogą zależeć od tego, czy ja ci na to pozwolę! W początkach każdego miesiąca, skoro tylko księżyc na niebo powróci, dosiadaj rumaka i odjeżdżaj. Od tej chwili nie potrzebujesz mnie już nigdy prosić o zezwolenie. Przez trzy pełne dni możesz u twego ojca pozostawać, a czwartego dnia powracaj zawsze do mnie! Tak też książę Ahmed następnego ranka uczynił, dosiadł rumaka i z liczną świtą odjechał. Tak samo jak uprzednio udał się do pałacu swego ojca sultana i złożył mu należne uszanowanie. I tak co miesiąc go odwiedzał, ale za każdym razem z coraz liczniejszym i paradniejszym orszakiem dżygitów, a i on sam dosiadał coraz wspanialszego rumaka i był przyodziany w coraz bogatsze szaty. W końcu jeden z wezyrów, ulubieniec i towarzysz uczt padyszacha, poczuł zawiść, widząc księcia Ahmeda przybywającego do pałacu w takim bogactwie i przepychu, i tak powiedział do siebie: "Jak to się dzieje, że nikt nie wie, skąd ten książę przybywa i w jaki sposób doszedł do tak wspaniałej świty!" Potem zaś powodowany złośliwą zawiścią, zaczął sułtanowi szeptać podstępne słowa: - Najjaśniejszy panie i wszechmocny nasz władco, nie jest dobrze, iż tak mało zwracasz uwagi na to, co książę Ahmed czyni. Czyż nie widzisz, że jego świta z miesiąca na miesiąc rośnie tak co do liczebności, jak i siły? Cóż by było, gdyby knuł on jakiś spisek i chciał ciebie rzucić do lochu, aby odebrać ci wodze panowania? Wiesz przecież dobrze, że wywołałeś gniew zarówno księcia Husseina, jak i księcia Ahmeda, kiedy oddałeś rękę Nur en-Nahar księciu Alemu. Wówczas pierwszy z nich w swym rozgoryczeniu wyrzekł się przepychu i marności tego świata i stał się żebrzącym mnichem, gdy tymczasem drugi z nich, właśnie książę Ahmed, puszy się obecnie w twojej obecności tak bezmierną potęgą i wspaniałością. Nie ulega wątpliwości, że obaj oni rozmyślają o zemście i skoro tylko dostaniesz się w ich ręce, dokonają zdrady wobec ciebie. Przeto doradzam ci, strzeż się, i nieustannie powtarzam, strzeż się! Chwyć sposobność za włosy, zanim nie będzie za późno, gdyż mędrzec przecież powiada: Łatwo zalepić gliną@ Źródło poki małe,@ Lecz gdy przybierze woda@ Zatopi wojsko całe. Tak szeptał do sułtana zły wezyr, a potem dodał: - Wiesz również, że książę Ahmed, odbywszy swoją zwykłą trzydniową wizytę u ciebie, nigdy nie prosi cię o pozwolenie wyjazdu i nigdy nie żegna się ani z tobą, ani z nikim ze swoich krewnych. Takie postępowanie jest równoznaczne z początkiem buntu i świadczy o tym, że w sercu swoim żywi on gniew. Zresztą od ciebie zależy, co w mądrości swojej postanowisz. Słowa te głęboko zapadły w serce nie spodziewającemu się niczego złego sułtanowi i zasiały tam plon najgorszych podejrzeń. Wkrótce też sułtan tak zaczął myśleć: "Któż może odgadnąć skryte myśli i zamierzenia księcia Ahmeda i odpowiedzieć na pytanie, czy są dla mnie przyjazne, czyli też wrogie? Być może, że knuje on zemstę. Toteż godzi się, abym zbadał i dowiedział się, gdzie mieszka i w jaki sposób doszedł do takiej potęgi i bogactwa". Powodowany takimi podejrzeniami sułtan posłał pewnego dnia potajemnie, bez wiedzy wielkiego wezyra, który księciu Ahmedowi nadal sprzyjał, po ową czarownicę. I wpuściwszy ją tajemnymi drzwiami do swojej komnaty, zaczął wypytywać: - Dzięki twojej czarnoksięskiej sztuce dowiedziałem się, że książę Ahmed żyje. Za oddanie tej usługi jestem ci dotąd zobowiązany. Życzę sobie, żebyś i teraz dalej go śledziła, aby uspokoić moje serce, które jest pełne trosk. Chociaż syn mój żyje i co miesiąc przybywa do mnie w odwiedziny, nie wiem jednak nic o miejscu, gdzie mieszka i skąd do mnie przyjeżdża. To bowiem zachowuje przed swoim ojcem w najściślejszej tajemnicy. Przeto udaj się

zaraz potajemnie w drogę, tak aby nikt się o tym nie dowiedział, ani moi wezyrowie, ani wielkorządcy, ani nawet nikt spośród moich dworzan i służby. Zbadaj wszystko pilnie i jak najpośpieszniej donieś mi o miejscu, w którym mój syn stale przebywa. W tej chwili jest właśnie u mnie w odwiedzinach, ale czwartego dnia zwoła swoją świętą i dosiądzie rumaka, nie żegnając się ani ze mną, ani z nikim z moich wezyrów i dostojników i nie mówiąc nawet nikomu ani słowa o swym wyjeździe. Po czym, jak zwykle, przemierzy kawałek drogi i nagle zniknie. Pójdź więc bez zwłoki i ociągania się drogą, którą on stąd wyjedzie, ukryj się w jakiejś stosownej kryjówce i czatuj, aby wyśledzić, dokąd się uda. Po czym zawiadom mnie niezwłocznie o wszystkim. Czarownica pożegnała sułtana i przeszedłszy cztery stajania schowała się w kryjówce między skałami, tuż obok miejsca, gdzie księżę Ahmed wówczas odnalazł swą strzałę, i tam czekała na jego przybycie. Wczesnym rankiem, jak leżało to w jego zwyczaju, księżę wyruszył w drogę nie pożegnawszy się ze swoim ojcem ani z żadnym z jego wezyrów. Czatująca w ukryciu czarownica dostrzegła księcia i jego świętą, potem zobaczyła, jak wszyscy zбочyli w wąwóz, z którego ścieżki rozwidlały się na wszystkie strony. Ale skały i głazy przy drodze były tak strome i niedostępne, że nawet pieszo trudno było tamtędy przejść. Czarownica zmiarkowała, że ścieżka przez wąwóz na pewno musi prowadzić do jakiejś pieczary albo tajnego korytarza lub może nawet podziemnego pałacu duchów i wrózek. Nagle księżę Ahmed z całym swoim orszakiem znikł jej z oczu. Wtedy czarownica wyczołgała się ze swojej kryjówki i jęła dookoła szukać, ale nie udało się jej odnaleźć wejścia do podziemnego korytarza. Nie mogła bowiem ujrzeć żelaznych wrót, ponieważ żadna śmiertelna istota z ciała i krwi nie była w stanie ich zobaczyć, jeśli piękna wróżka Peri Banu nie uczyniła ich widzialnymi, przy czym dla wszystkich ciekawych oczu rodu kobiecego wrota były zawsze niewidzialne. Tedy czarownica tak sobie powiedziała: "Wszystkie trudy i znoje nadaremne! Nie znalazłam tego, czego szukałam". I poszła do sułtana, i opowiedziała o wszystkim, co jej się przytrafiło, o tym, jak pośród skał i głazów leżała zaczajona i jak ujrzała księcia Ahmeda i jego orszak jadących jedną z najniebezpieczniejszych ścieżek, jak potem skręcili w wąwóz i w jednym mgnieniu oka znikli. A opowiadanie swoje zakończyła tymi słowami: - Chociaż zadałam sobie największy trud, aby odnaleźć miejsce, gdzie przebywa księżę Ahmed, nie udało mi się to. Błagam przeto waszą sułtańską mość, aby raczył udzielić mi zwłoki, żebym mogła dalej tajemnicy tej dochodzić, co nie będzie znów sprawą tak długotrwałą, kiedy wezmę się do tego zrzęcznie i ostrożnie. A sułtan na to: - Niech będzie tak, jak sobie życzysz. Udzielam ci zwłoki, abys mogła wszystko zbadać. Będę czekał na twój powrót. Po czym sułtan ofiarował czarownicy wielki diament bezcennej wartości, mówiąc: - Weź ten kamień jako nagrodę za twoje trudy i znoje oraz jako zaliczkę na przyszłe dowody mojej łaski! Jeśli przyniesiesz mi upragnioną wiadomość, że tajemnicę zbadalaś i ujawniłaś, otrzymasz ode mnie dar jeszcze bardziej cenny. Zaprawdę napelnię twoje serce najweselszym weselem i wyświadczę ci najzaszczytniejsze zaszczyty. Tedy czarownica czekała znów na przybycie księcia Ahmeda. Wiedziała bowiem, że w nocy, kiedy miesiąc był na nowiu, księżę wyjeżdżał do ojczyzny, aby swego ojca odwiedzić i pozostać tam w ciągu trzech dni, jak dostojna Peri Banu mu na to zezwoliła. Kiedy więc księżyc doszedł do pełni, a potem znowu się zmniejszył, czarownica udała się w drogę w przeddzień wyjazdu księcia Ahmeda z miejsca jego przebywania, ukryła się między skałami i usiadła tuż obok owego wąwozu, z którego według jej obliczeń powinien był się wynurzyć. I rzeczywiście następnego ranka o brzasku księżę i jego świta, składająca się z wielu dzygitów na wspaniałych rumakach, każdy z pieszym giermkim przy strzemieniu, w jeszcze większej liczbie niż zazwyczaj, dumnie wyjechali z żelaznych wrót i przejechali w pobliżu miejsca, gdzie czarownica na nich czatowała. Wiedźma przyłgnęła w swych poszarpanych łachmanach do samej ziemi, tak że kiedy księżę ujrzał przed sobą jakiś szary kształt, pomyślał, że to złom skalny stoczył się na drogę ze zbocza góry. Kiedy wszakże księżę podjechał całkiem blisko, czarownica zaczęła płakać i biadolić donośnym głosem, błagając nieustannie o pomoc. Księżę ulitował się nad nią, zatrzymał rumaka i zapytał o powód jej płaczu. Wtedy podstępna starucha jęła jeszcze bardziej szlochać, a księżę był coraz głębiej wzruszony, widząc jej łzy i słuchając cichych teraz i przerywanych skarg. Skoro czarownica zauważyła, że księżę się nad nią lituje i chętnie udzieliłby jej pomocy, westchnęła głęboko, uczepiła się kraju jego szaty i przerywanym głosem, jęcząc, jak gdyby szarpały ją bolesne kurcze, zwróciła się do niego



kłamliwymi słowy: - Dostojny panie, władco nad władcami, kiedy wyszłam z domu, aby spełnić czyjeś polecenie, nagle w tym oto miejscu chwycił mnie gwałtowny atak gorączki. Zaczęłam drżeć i trząść się cała, tak że wszelkie siły mnie opuściły i padłam bezradnie na ziemię. I nadal nie mam żadnej mocy w rękach i nogach, aby wstać z ziemi i powrócić do mojego domu. - Dobra kobieto - odparł książę - nie ma tu w pobliżu żadnego domu, do którego mogłabyś się schronić, aby znaleźć należytą opiekę. Znanie mi jest jednak miejsce, do którego, jeśli zechcesz, mogę cię zaprowadzić i gdzie, jeśli Allah pozwoli, wkrótce, dzięki troskliwej opiece, wyleczysz się ze swojej choroby. Idź więc za mną, jeśli tylko potrafisz! A czarownica odpowiedziała pojękując: - Członki moje są bezsilne i czuję się tak bezradna, że tylko z pomocą przyjaznej ręki zdołam wstać z ziemi. Tedy książę Ahmed rozkazał jednemu ze swych dżygitów podnieść chorą staruszkę i wziąć ją na swego rumaka. Dżygit wykonał natychmiast rozkaz swego pana i posadził wiedźmę za sobą na koniu. Po czym książę Ahmed ze świtą wrócił przez żelazne wrota do pałacu, rozkazał wnieść staruszkę do swojej komnaty i prosił, aby przysłała piękna Peri Banu. Małżonka jego przybiegła natychmiast i zapytała wielce zdziwiona: - Dlaczego wróciłeś się z drogi? I w czym mam ci pomóc? Tedy książę Ahmed opowiedział jej o chorej i bezradnej staruszce, mówiąc: - Zaledwie wyruszyłem w drogę, ujrzałem tę oto starą kobietę wijącą się w bólach i w ciężkiej niedoli tuż przy samej ścieżce. Odczułem litość w sercu moim i tu ją przywiozłem, bo nie mogłem przecież zostawić konającej wśród skalnego pustkowia. Proszę cię, przyjmij ją łaskawie i daj jej stosowne leki. Za ten dobry uczynek będę ci po wieczne czasy zobowiązany. Piękna Peri Banu spojrziała na staruszkę i rozkazała dwóm spośród swoich niewolnic odnieść ją do innej komnaty i tam troskliwie i usilnie pielęgnować. Służebne dziewczęta wykonały rozkaz i zaniósły czarownicę do wskazanej im komnaty. Po czym piękna Peri Banu tak do księcia Ahmeda rzecze: - Raduje mnie to, panie i władco, że okazałeś takie miłosierdzie i życzliwość wobec tej starej kobiety. Toteż chętnie zaopiekuję się nią, jak mi to zaleciłeś. Ale serce moje jest pełne lęku i obawy, aby twoja dobroć nie pociągnęła za sobą nieszczęścia. Kobieta ta bowiem nie jest wcale tak chora, jak udaje. Nie! Ona cię okłamuje i mam złe przeczucie, że jakiś wróg czy zawistnik ma względem ciebie i mnie złe zamiary. Na razie jednak ruszaj spokojnie w drogę! Książę, którego słowa małżonki wcale nie przekonały, odparł: - Pani mojego serca, niech Allah chroni cię od wszelkiego zła! Dopóki ty mi pomagasz i mną się opiekujesz, nie lękam się żadnego niebezpieczeństwa. Nie wiem nic o żadnym nieprzyjacielu, który by dybał na moją zgubę, bo ja sam nie odczuwam nienawiści do żadnej żywej istoty i nie przewiduję nic złego ani od ludzi, ani od duchów. Po czym książę Ahmed pożegnał raz jeszcze piękną Peri Banu i udał się ze swoim orszakiem do pałacu ojca, który na skutek złośliwości podstępnego wezyra oczekiwał z niespokojnym sercem przybycia syna. Ale nie przeszkodziło mu to w okazaniu synowi wielu zewnętrznych objawów miłości i przyjaźni. Tymczasem obie służebne wróżki pięknej Peri Banu, którym powierzyła ona pieczę nad czarownicą, zaniósły rzekomo chorą staruszkę do obszernej i wspaniale urządzonej komnaty i ułożyły na łożu z poduszkami z delikatnego atłasu i kołdrą z drogocennego brokatu. Po czym jedna z nich usiadła u wezglowia chorej, gdy druga pobiegła z porcelanową czarką po pewien lek, który jest przeciwko każdej silnej gorączce najlepszym medykamentem. Następnie podniosły staruszkę, posadziły ją na posłaniu i tak do niej powiedziały: - Wychyl ten napój! Jest to woda z Lwiego Źródła i każdy chory, który jej skosztuje, zostanie niezwłocznie z cierpień swoich uleczony, choćby nie wiadomo jak niedomagał! Czarownica wzięła z udanym wysiłkiem czarę do ręki i wypiwszy jej zawartość położyła się znów na łożku. Służebne dziewczęta okryły ją kołdrą mówiąc: - Odpocznij teraz chwilę, a niebawem odczujesz moc leczniczą owego napoju. Po czym wyszły z komnaty, aby chora mogła się przez godzinkę zdrzemnąć. Czarownica wszakże, która, jak wiemy, tylko udawała chorą, wkrótce powstała z łoża, zawołała służebne dziewczęta i tak do nich rzecze: - Wypicie tej wody wróciło mi zdrowie i siły. Czuję się teraz znowu rześka i wesoła, a wszystkie moje członki pełne są nowego życia i świeżych sił. Przeto donieście niezwłocznie o tym waszej pani, abym mogła ucałować kraj jej szaty, dziękując za wyświadczone mi dobrodziejstwo. Potem pragnę stąd wyjść, aby wrócić do domu. Tedy obie służebne wróżki wzięły czarownicę z sobą i prowadząc ją do pokojów swej pani pokazywały jej po drodze przeróżne komnaty, z których każda była jeszcze wspanialsza i z większym przepychem urządzona od poprzedniej. W końcu doszły do największej i najpiękniejszej

sali, wyposażonej w najdrogocenniejsze i najosobliwsze sprzęty. Tam piękna Peri Banu siedziała na tronie, wysadzonym lśniącymi diamentami, krwawymi rubinami, szmaragdami o najpiękniejszej zieleni, matowymi perłami oraz wszelkimi innymi szlachetnymi kamieniami rzadkich rozmiarów i cudownej przezroczystości. A wokoło stały inne wróżki o wdzięcznej kibici i powabnym obliczu, przystrojone w najwspanialsze szaty, z rękoma kornie skrzyżowanymi na piersiach i czekały z pokorą i posłuszeństwem na rozkazy swojej pani. Czarownica nie posiadała się ze zdumienia, widząc przepych komnat, a przede wszystkim gdy zobaczyła dostojną Peri Banu, siedzącą na tronie wysadzonym szlachetnymi kamieniami. Zmieszana i przejęta czią, nie mogła wymówić ani słowa, skłoniła się tylko głęboko i przywarła głową do stóp pięknej władczyni. Ta zaś, chcąc ośmielić staruszkę, rzecze do niej łagodnymi słowy: - Dobra kobieto, cieszy mnie bardzo, że mogę cię gościć w mym pałacu. A jeszcze więcej uradowałam się, słysząc, że wyleczyłaś się z choroby. Odpocznij sobie teraz przechadzając się po pałacu. Moje służebne dziewczęta będą ci towarzyszyć i pokażą wszystko, co jest godne widzenia! Wiedźma skłoniła się powtórnie jeszcze głębiej, ucałowała dywan u stóp Peri Banu i pożegnała się z nią w kunsztownie ułożonych słowach, pełnych wdzięczności za doznane dobrodziejstwa. Po czym dziewczęta służebne oprowadziły ją po całym pałacu i pokazały wszystkie komnaty, których wspaniałość oślepiła ją tak i oczarowała, iż nie mogła odnaleźć właściwych słów, aby swój zachwyt wyrazić. W końcu czarownica poszła w swoją drogę, a wróżki odprowadziły ją aż poza żelazne wrota, przez które książę Ahmed był ją przywiódł. Tam rozstały się z nią, żegnając się przyjaźnie i życząc wszystkiego dobrego. Przekłeta starucha zaś udała się pośpiesznie w swoją drogę. Ale zaledwie zdążyła przejść kilka kroków, przyszło jej na myśl obejrzeć się jeszcze raz na żelazne wrota, aby móc je łatwiej odnaleźć. Zawróciła więc, ale wrota znikły i stały się niewidzialne tak samo dla niej, jak i dla każdej kobiety. Tedy przeszukawszy wszędzie dookoła i nie znalazłszy ani śladu pałacu czy wrót, powróciła zrozpaczona do miasta, przemykając się ukradkiem pustymi zaułkami. Następnie zaś weszła tajną furtką do sułtańskiego pałacu i poprosiła jednego ze sług, aby zawiadomił sułtana o jej przybyciu, a ten natychmiast kazał przyprowadzić ją przed swoje oblicze. Wiedźma podeszła doń ze smętną miną, tak że sułtan zaniepokojony zapytał: - Coś działała? Gzy udało ci się zamierzenie twoje wykonać, czy też doznałaś porażki? Czarownica zaś, która była nikczemną oszustką, odparła: - O sułtanie nad sułtanami, zbadalam dokładnie wszystko, zgodnie z twoim poleceniem, i zaraz opowiem ci, co mi się przydarzyło. Ślady trosk i oznaki zmartwienia, które widzisz na moim obliczu, mają całkiem inny powód, który jest dla twojego dobra i bezpieczeństwa nader ważny. Potem opowiedziała mu całą swoją przygodę i tak mówiła dalej: - Być może, że kiedy usłyszysz o potędze i przepychu, bogactwie i wspaniałościach dostojnej Peri Banu, ucieszysz się i tak do siebie powiesz: "Dobrze jest, że książę Ahmed tę wróżkę poślubił i przez to zdobył tyle bogactwa i potęgi!" Ale oczom twojej niewolnicy sprawy te przedstawiają się w całkiem odmiennym świetle. Wcale nie jest dobrze - śmiem twierdzić - że syn twój rozporządza taką potęgą i takimi skarby. Bo kto wie, czy z pomocą Peri Banu nie wywoła on w twoim państwie niezgody i nie spowoduje rozłamu? Strzeż się podstępów i chytryści kobiet! Książę Ahmed jest miłością do pięknej Peri Banu otumaniony i być może, iż za jej podszeptem czyny jego nie będą wcale sprawiedliwe. Być może, iż zbuntuje twoich poddanych i będzie się starał zawładnąć twoim państwem. A jeśli nawet z dobrowoli nic nie uczyni, co by sprzeciwiało się czci i poważaniu należnym ojcu i przodkom, to wdzięki małżonki mogą stopniowo nań coraz mocniej oddziaływać i w końcu uczynią zeń buntownika albo coś jeszcze gorszego, czego jednak nie śmiem nawet wypowiedzieć. Teraz zrozumiesz, iż sprawa ta jest bardzo poważna. Przeto zastanów się nad wszystkim starannie. Po czym czarownica chciała już odejść w swoją drogę, ale sułtan zatrzymał ją i tak do niej powiada: - Jestem ci za dwie rzeczy zobowiązany. Po pierwsze, zadałaś sobie wiele trudu i wysiłku, a nawet z mojej przyczyny naraziłaś swoje życie na szwank, aby przynieść mi prawdziwe wieści o synu moim, księciu Ahmedzie. A po drugie, jestem ci wdzięczny za to, iż udzieliłaś mi tak celnej rady i tak mądrej przestrogi. Wypowiedziawszy te słowa sułtan pozwolił jej odejść, obsypując najwyższymi dowodami wdzięczności. Ale skoro tylko czarownica opuściła pałac, przywołał, miotany gwałtownym niepokojem, owego złego wezyra, który pierwszy podjudził go przeciwko księciu Ahmedowi. Skoro zły wezyr wraz ze swoimi poplecznikami przybył przed oblicze sułtańskie, stroskany sułtan

wyłożył im całą sprawę i zapytał: - Jakaż jest wasza rada? Cóż mam uczynić, aby moją osobę i państwo uchronić od knowań owej wróżki? Tedy jeden z doradców tak rzecze: - Jest to sprawa nader błaha, a sposób na to jest bardzo prosty. Wydaj polecenie, żeby księcia Ahmeda, który obecnie przebywa w twojej stolicy, a może nawet w tej chwili jest tu w pałacu, pojmać i uwięzić! Nie każ mu jednak ściąć głowy, gdyż śmierć jego mogłaby wywołać rozruchy, ale na razie pozbaw go tylko wolności, a gdyby się sprzeciwił, każ zakuć go w kajdany. Ta okrutna rada spodobała się złemu wezyrowi i wszyscy jego zwolennicy i faworyci uznali ją za słuszną. Sułtan wszakże milczał i nie dał żadnej odpowiedzi. Na drugi dzień rano zaś posłał po czarownicę i wraz z nią zastanawiał się, czy ma księcia Ahmeda pojmać, czy też zostawić go na wolności. - Sułtanie nad sułtanami - rzekła wiedźma - rada ta przeczy zdrowemu rozsądkowi i wszelkiej mądrości. Jeśli chcesz księcia Ahmeda rzucić do lochu, musisz uczynić to samo z wszystkimi jego dżygitami oraz ich giermkami. A ponieważ są to nadziemskie istoty, nikt nie może przewidzieć, jaką zemstę mogą na tobie wyrzucić. Najbardziej przepastne lochy oraz najmocniejsze stalowe wrota nie mogą ich zatrzymać: jego dżygici umkną natychmiast i doniosą swojej potężnej wróżce o uczynionym na nich gwałcie. Ona zaś zapała strasznym gniewem, skoro się dowie, iż małżonek jej trzymany jest jak zwykły przestępca w ciężkim więzieniu i że wszystko to stało się nie z jego winy lub popełnionej przez niego zbrodni, ale wskutek podstępного pojmania go. I na pewno sroga jej zemsta spadnie na twoją głowę i wyrządzi nam szkody, od których nie zdołamy się uchronić. Jeśli zechcesz mi zaufać, dam ci radę, jak masz postąpić, abyś uzyskał to, czego pragniesz, nie ściągając nieszczęścia na siebie i na twoje państwo. Wiesz dobrze, że duchy i wróżki posiadają moc taką, że w jednym mgnieniu oka dokonują cudów, jakich zwykły śmiertelnik w ciągu długich lat nie zdoła mozolnym trudem się wyuczyć. Otóż, kiedy wyruszasz na polowanie lub na jakąś wyprawę, potrzebny ci jest paradny namiot dla siebie oraz wiele skromniejszych namiotów dla twojej świty, służby i wojska. Aby taki obóz rozbić lub zwinąć, traci się niepotrzebnie wiele czasu i pieniędzy. Radzę ci więc, sułtanie nad sułtanami, wystaw księcia Ahmeda na następującą próbę: rozkaż mu przynieść sułtański namiot, który byłby tak obszerny, że pomieściłby cały twój dwór, wojsko i ciurów obozowych, a nawet juczne zwierzęta. A poza tym namiot ten powinien być tak lekki, aby jeden człowiek mógł go utrzymać na dłoni i zanieść wszędzie, gdzie mu się będzie podobało. Powiedziawszy to, wiedźma umilkła na chwilę, a potem tak dalej do sułtana rzecze: - Skoro książę Ahmed wywiąże się z tego zadania, żądaj stale od niego czegoś większego i osobliwszego. Podpowiem ci, czego masz żądać, aby trudno mu było owe zadania spełnić. W ten sposób zapełnisz twój skarbiec rzadkimi i osobliwymi przedmiotami, sporządzonymi przez duchy. A będzie to tak długo trwało, aż syn twój wreszcie wyczerpie swoje siły i nie będzie mógł już wykonywać twoich rozkazów. Wtedy upokorzony i pełen wstydu nie odważy się już przybyć do twojej stolicy i stawić się przed twoim obliczem. Wówczas uwolnisz się od strachu przed szkodami, jakie jego ręka mogłaby ci wyrządzić, i nie będziesz potrzebował go uwięzić lub, co byłoby jeszcze gorsze, kazać ściąć. Skoro sułtan usłyszał te mądre słowa, opowiedział o radzie wiedźmy swym doradcom i zapytał ich, co o tym myślą. Oni wszakże milczeli i nie wyrazili ani zgody, ani nagany. Postanowił więc rady wiedźmy usłuchać i nic już więcej o tym nie mówił. Na drugi dzień przybył książę Ahmed, aby odwiedzić sułtana. Ten przywitał go z przesadną czułością, przycisnął go do serca i ucałował w czoło i oczy. Przez dłuższą chwilę siedzieli przy sobie i gawędzili o wielu rzeczach, aż wreszcie sułtan skorzystał z odpowiedniej sposobności i tak do niego rzecze: - Mój drogi synu Ahmedzie, przez wiele dni nosiłem w sercu ciężki smutek, a w duszy wielką troskę z powodu rozłąki z tobą, tak że kiedy powróciłeś, nappełniła mnie nieopisana radość na twój widok. Chociaż nic mi nie mówił o miejscu, w którym przebywałeś, i teraz jeszcze nie chcesz tego wyjawiać, nie chciałem cię pytać ani twojej tajemnicy zgłębiać, ponieważ nie było twoim zamiarem opowiadać mi o swych sprawach. Ale teraz doszła mnie wieść, że wzięłaś sobie za żonę potężną czarodziejkę niezrównanej urody, i wieść ta sprawiła mi jak najżywszą przyjemność. Ale nie chcę nic od ciebie o twojej czarodziejkiej małżonce się dowiadywać, jeśli nie chcesz mi tego wyjawiać z własnej i nieprzymuszonej woli. Powiedz mi wszakże, czy gdybym ciebie o coś poprosił, mógłbyś to dla mnie od niej wyjednać? Bo małżonka twoja kocha cię i ceni zapewne tak bardzo, że nie potrafi odrzucić żadnej twojej prośby. - Ojciec i panie - odparł książę Ahmed - czego sobie ode mnie życzysz? Moja małżonka jest swemu

mężowi oddana całym sercem i duszą. Proszę cię więc, powiedz mi, czego od niej i ode mnie żądasz? Na co sułtan powiada: - Wiesz zapewne, że często wyruszam na polowanie lub na wojny i boje. Wtedy potrzebne mi są namioty, szałas i szopy, a wielkie stada i gromady wielbłądów, mułów i innych jucznych zwierząt muszą mój obóz z jednego miejsca na drugie przenosić. Przeto chciałbym, abyś podarował mi namiot tak lekki, by jeden człowiek mógł go utrzymać na dłoni, a przy tym tak obszerny - by zdołał pomieścić cały mój dwór, wojsko i tabor z ciurami i zwierzętami jucznymi. Gdybyś zechciał swoją dostojną małżonkę o taki dar dla mnie poprosić, tuszę, że zgodziłaby się mi go ofiarować. A wtedy uwolniłbyś mnie od wielkiego kłopotu z przenoszeniem namiotów i zaoszczędziłbym sobie niejednej zbytecznej straty w ludziach czy zwierzętach jucznych. - Kochany ojciec i sułtanie - odparł książę - nie troszcz się i nie frasuj! Niezwłocznie przekażę twoje życzenie mojej małżonce, dostojnej Peri Banu. I chociaż nie wiem, czy wróżki posiadają moc, aby sporządzić taki namiot, jak ten, o którym mówisz, oraz czy małżonka moja, jeśli nawet wróżki taką moc posiadają, zechce mi w tym dopomóc, mimo to, choć nie mogę ci takiego podarunku obiecać, uczynię chętnie dla ciebie wszystko, co leży w mojej mocy. Na to sułtan tak księciu Ahmedowi odpowiedział: - Gdyby jednak ci się coś miało nie udać i nie mógłbyś mi upragnionego przez mnie podarunku ofiarować, to, synu mój, nie chcę już nigdy oglądać twego oblicza. Zaiste byłbyś pożałowania godnym małżonkiem, gdyby żona twoja ci takiej drobnostki odmówiła nie czyniąc jak najprędzej wszystkiego, co jej czynić polecisz. Tym bowiem dałaby ci do zrozumienia, że w oczach jej masz niewielką wartość i znaczenie, a jej miłość do ciebie tak jakby nie istniała. Ale teraz, mój synu, nie zwlekaj już dłużej, idź do niej i poproś o ten namiot; jeśli ci go da, to będzie dowód, iż miłuje cię ponad wszystko na świecie. Zresztą donoszono mi, że kocha cię z całego serca i całej duszy i że nigdy nie odmówiłaby ci czegoś, o co byś ją poprosił, gdyby nawet to miała być jej własna żrenica. Zwykle książę Ahmed przebywał u ojca sułtana trzy dni w każdym miesiącu, ale tym razem pozostał u niego tylko dwa i pożegnał się z nim na trzeci. Skoro powrócił do swego pałacu, piękna Peri Banu od razu zauważyła, jak bardzo jest zatroskany i jak bardzo wygląda na przygnębionego. Toteż zaraz go spytała: - Powiedz mi, dlaczego powróciłeś od ojca już dzisiaj, a nie pozostałeś do jutra, jak miałeś to zamiar uczynić, i dlaczego wyraz twego oblicza jest tak żałosny? On zaś ucałował ją w czoło, objął czule i opowiedział wszystko od początku do końca. Wtedy piękna Peri Banu tak rzecze: - Pragnę niezwłocznie uciszyć niepokój twego serca, gdyż nie zniósłabym, abyś smucił się choćby tylko przez jedno mgnienie oka. Mimo to, mój najmilszy, prośba twego ojca sułtana, wiem to na pewno, oznacza, iż dnie jego są policzone. Wkrótce już pożegna on ten świat i znajdzie się tam, gdzie go miłosierny Allah powoła. Przewrotny wróg wszystko to uknuł i wielka niedola ci grozi. A skutek tego wszystkiego jest taki, iż rodzic twój, który się grożącego mu niebezpieczeństwa wcale nie spodziewa, sam pilnie przygotowuje własną zgubę. Pełen przerażenia i lęku książę Ahmed odpowiedział swojej małżonce: - Ojciec mój i najmiłociwszy padyszach, chwała niech będzie Allahowi, cieszy się najlepszym zdrowiem i nie widać u niego żadnej oznaki choroby czy starczej słabości. Jeszcze dziś rano, kiedy się z nim żegnałem, był tak rześki i wesół, iż nigdy nie widziałem go bardziej zdrowym. Dziwię się jednak, że skądś dowiedział się o naszym małżeństwie i o miejscu naszego przebywania. - Mój książę - odparła piękna Peri Banu - pamiętasz, co ci mówiłam, gdy ujrzałam ową starą kobietę, którą tu przyprowadziłeś i która rzekomo cierpiała na gwałtowną gorączkę? Owa kobieta jest wiedźmą z rodu szatana. Doniosła ona twemu ojcu o wszystkim, czego się chciał o miejscu naszego przebywania dowiedzieć. Chociaż dokładnie widziałam, że nie jest ani chora, ani słaba, ale tylko udaje, że ma gorączkę, dałam jej lek, który usuwa wszelkie cierpienia. Ona zaś oszukiwała, kłamiąc, że to dopiero przywróciło jej zdrowie i siły. Kiedy owa wiedźma przyszła pożegnać się, kazałam dwóm moim służebnicom pójść z nią i pokazać jej wszystkie komnaty tego pałacu wraz z ich sprzętem i ozdobami, aby lepiej poznała, jak mnie i tobie się powodzi. Wszystko to uczyniłam jedynie dlatego, że rozkazałeś mi okazać miłosierdzie owej staruszce. Cieszyłam się, że odchodzi stąd zdrowa, wesół i pełna otuchy. Poza nią żadna ludzka istota nie zdołała nigdy niczego się o tym miejscu dowiedzieć, a nawet tu się dostać. Usłyszawszy te słowa, książę Ahmed podziękował z całego serca swej małżonce i tak rzecze: - O ty, której uroda równa jest pięknu słońca, chciałbym cię prosić o łaskę, abyś życzenie mego ojca spełniła. Domaga się on mianowicie monarszego

namiotu tak wielkich rozmiarów, żeby pomieścił całe jego wojsko wraz z taborem i jucznymi zwierzętami, a mimo to namiot ten ma być tak lekki, aby można go było unieść na dłoni. Czy taki dziw nad dziwy w ogóle istnieje, nie wiem, ale chciałbym wszystko uczynić, aby ojcu dogodzić i namiot mu ofiarować. Wówczas piękna Peri Banu zawołała: - Czyż może niepokoić cię taka drobnostka! Zaraz posłę po taki namiot, aby ci go podarować. Po czym zawezwała jedną ze swych służebnic, która była zarządczynią skarbcza, i powiedziała do niej: - Nur Dżehan, pójdz zaraz i przynieś mi namiot takiego a takiego rodzaju. Nur Dżehan poszła szybko i równie szybko powróciła z zamówionym namiotem, który złożyła na dłoni księcia Ahmeda. Trzymając wręczony przedmiot w rękę, książę zastanowił się w duchu: "Cóż to takiego dała mi moja Peri Banu? Prawdopodobnie żartuje sobie ze mnie!" Ale małżonka, która umiała odgadywać jego myśli z wyrazu twarzy, zaczęła się głośno śmiać i zawołała: - No cóż, mój umiłowany książę? Czyżby naprawdę ci się zdawało, że stroję z ciebie żarty i płatom ci psoty? Potem zaś tak przemówiła do zarządczyni skarbcza Nur Dżehan: - Weź teraz namiot z dłoni księcia Ahmeda i postaw go na szerokim polu, aby książę ujrzał, jak olbrzymie są jego rozmiary, i sprawdził, czy jest taki, jakiego ojciec jego, sułtan, sobie życzył. Wierna Nur Dżehan wzięła czarodziejski namiot i rozbiła go daleko od pałacu, a mimo to sięgał od najdalszego krańca równiny aż do pałacowych wrót. A był ten namiot tak nieskończenie wielki, że, jak książę Ahmed mógł się o tym przekonać, pomieściłby się w nim cały sułtański dwór. Ba, nawet gdyby dwa olbrzymie wojska z całym taborem i jucznymi zwierzętami pod namiotem tym się ustawiły, to nie przeszkadzałyby sobie i nie byłoby im zbyt ciasno. Tedy książę poprosił piękną Peri Banu o przebaczenie, mówiąc: - Zaiste nie wiedziałem, że to, co trzymałem w rękę, było nieskończenie wielkim i cudownym namiotem, i dlatego powątpiewałem na pierwszy rzut oka. Tedy zarządczyni skarbcza Nur Dżehan zwinęła znów namiot i położyła go księciu Ahmedowi na dłoni. Ten zaś nie zwlekając i nie ociągając się dłużej, dosiadł rumaka i otoczony swą odjechał do ojca. Przybywszy do stolicy, wręczył mu namiot, składając równocześnie hołd i należne uszanowanie. Również sułtan na pierwszy rzut oka myślał, że to tylko jakiś drobny upominek. Skoro jednak namiot został rozpięty, sułtan nie posiadał się ze zdumienia, widząc jego rozmiary, gdyż namiot ten zaiste mógłby służyć jako schronienie dla całej sułtańskiej stolicy wraz ze wszystkimi jej przedmieściami. Ale i tak sułtan nie wykazał zadowolenia, gdyż obecnie namiot wydał mu się z kolei za duży. Książę Ahmed wszakże zapewniał ojca, że namiot za każdym razem dopasuje się wielkością do tego, co będzie miał w danej chwili do pomieszczenia. Tedy sułtan dziękował swemu synowi za tak rzadki dar, mówiąc: - Kochany synu, donieś swojej małżonce, że jestem jej nader zobowiązany, i przekaż jej moją najserdeczniejszą podziękę za jej łaskawy podarunek. Teraz wiem, że miłuje cię ona z całego serca i sprzyja ci z całej duszy, tak że wszelkie moje wątpliwości i obawy zupełnie się rozwiąły. Po czym sułtan rozkazał namiot zwinąć i troskliwie go w sułtańskim skarbcu przechowywać. Jest rzeczą dziwną, ale niestety prawdziwą, iż kiedy sułtan otrzymał od księcia Ahmeda ów wspaniały dar, w sercu jego zagościły strach i wątpliwości, zazdrość i zawiść wobec własnego syna. Uczucia te, jakie wzbudziła w nim czarownica, nasłana przez wezyra oraz złośliwych doradców sułtana, wzmogły się tylko i stały się żywsze niż kiedykolwiek. Obecnie bowiem sułtan był już pewien, że Peri Banu miłuje księcia Ahmeda ponad wszystko. A przy tym zrozumiał, że jeśli zechce swemu małżonkowi dopomóc, to swoją czarodziejską siłą górować ona będzie nad całym bogactwem i potęgą sułtańską. Przeto sułtan odczuł dręczący lęk, że potężna Peri Banu oczekuje jego śmierci, aby posadzić Ahmeda na sułtańskim tronie. Zawezwał więc czarownicę, na której chytryść i spryt obecnie najbardziej liczył, i oznajmił jej, jaki skutek odniosła dana mu przez nią rada. Wiedźma namyślała się przez dłuższą chwilę, po czym rzekła: - Sułtanie nad sułtanami, obawy twoje są płonne. Wystarczy, abyś rozkazał teraz księciu Ahmedowi, żeby przyniósł ci wody z Lwiego Źródła. Poczucie honoru zmusi go do spełnienia twego żądania, a skoro mu się to nie uda, z samego wstydu nie odważy się już pokazać na twoim dworze. Taki plan postępowania będzie dla ciebie najlepszy ze wszystkich możliwych. Przeto postaraj się niezwłocznie go wykonać. Nazajutrz pod wieczór, kiedy sułtan w towarzystwie swych wezyrów i dostojników państwa sprawował dywan, wszedł do komnaty książę Ahmed, złożył ojcu należny hołd i usiadł obok jego tronu na niskim taborecie. Sułtan zwrócił się do niego okazując mu jak zazwyczaj dowody najwyższej łaski i tak powiedział: - Sprawileś mi największą

radość, ofiarując ów namiot, o który cię prosiłem. Zaiste w moim skarbcu nie ma niczego, co by dorównywało mu osobliwością i przepychem. Brak mi jednak jeszcze jednej rzeczy, a jeśli ją przyniesiesz, będę ci ponad wszelką miarę wdzięczny. Słyszałem bowiem, że wróżka będąca twoją oblubienicą, włada wodą, która wypływa z Lwiego Źródła i której jeden haust leczy każdą gorączkę oraz wszelką inną śmiertelną chorobę. Wiem, że z wielką troską myślisz o moim zdrowiu. Toteż nie wątpię, iż przyjemnie ci będzie przynieść mi trochę owej cudownej wody, abym mógł się jej napić, kiedy zajdzie po temu potrzeba. Wiem również dobrze, że wysoko cenisz moją miłość i przywiązanie do ciebie i że dlatego nie odmówisz mi spełnienia tej oto prośby. Gdy książę Ahmed usłyszał życzenie sułtana, był nim zaskoczony, nie myślał bowiem, że jego ojciec tak rychło znów czegoś od niego zażąda. Milczał więc chwilę, tak mówiąc do siebie w duchu: "Jakoś mi się udało wyjednać namiot ów od pani mego serca. Ale jeden Allah tylko wie, czy ta nowa moja prośba nie obudzi jej gniewu. Jestem jednak pewny, że nigdy mi niczego nie odmówi, o co ją poproszę". Po dłuższym namyśle książę Ahmed tak odpowiedział: - Dostojny panie i padyszachu, nie jest w mojej mocy cokolwiek w tej sprawie działać, gdyż zależy to wyłącznie od mojej małżonki. Ale jestem gotów ją prosić, aby mi ową cudowną wodę dała, i jeśli raczy moją prośbę spełnić, niezwłocznie ci ową wodę przyniosę. Oczywiście nie mogę ci jeszcze tego na pewno obiecać, ale wierzaj, że we wszystkim i w każdej rzeczy, która może ci być pożyteczna, uczynię chętnie wszystko, co jest tylko możliwe. Jeśli jednak uda mi się wodę tę od niej uprosić, to dokonam o wiele trudniejszego dzieła, niż było uproszenie dla ciebie namiotu. Na drugi dzień książę Ahmed pożegnał się z ojcem i wrócił do pięknej Peri Banu. Objąwszy i powitawszy ją czule tak do niej rzecze: - Pani mego serca i światło moich oczu, ojciec mój, sułtan, przekazuje ci przeze mnie serdeczną podziękę za spełnienie jego życzenia i podarowanie mu namiotu. Ale teraz raz jeszcze odważa się on prosić cię o coś i ufając w twoją dobroć uprasza cię, żebyś zechciała udzielić mu trochę wody z Lwiego Źródła. Lecz ja chciałbym do tego dodać: jeśli nie zechcesz dać mu tej wody, to puść całą tę sprawę w niepamięć, gdyż moim jedynym pragnieniem jest zrobić wszystko, czego ty sobie życzysz. Piękna Peri Banu tak na to odpowiedziała: - Zdaje mi się, że ojciec twój, sułtan, chce zarówno mnie, jak i ciebie wystawić na próbę, domagając się takich podarunków, jakich mu owa czarownica żądać doradziła. Mimo to - ciągnęła dalej - i tę jego prośbę spełnię, jeśli sułtan tak o to zabiega. Zwłaszcza że ani tobie, ani mnie nie sprawi to zbytniego kłopotu, chociaż jest to przedsięwzięcie nader niebezpieczne, wymyślone podstępnie i złośliwie. Uważaj przeto dokładnie na to, co ci powiem. Nie zapomnij ani jednego z moich słów, gdyż inaczej śmierć twoja jest nieunikniona: w wielkiej sali zamku, który wznosi się na tamtej oto górze, jest fontanna strzeżona przez cztery dzikie i drapieżne lwy. Pilnują one drogi, która do tej fontanny prowadzi. Przy tym czuwają one na zmianę, dwa lwy stoją stale na straży, gdy dwa pozostałe śpią, i dlatego żadna żywa istota nie potrafiła dotąd tam się przedostać. Ale ja nauczę cię sposobu, w jaki będziesz mógł zdobyć to, czego pragniesz, nie narażając się na szwank ze strony owych okrutnych bestii. Powiedziawszy te słowa piękna Peri Banu wyciągnęła motek nici ze szkatułki z kości słoniowej i zwinęła zeń kłębek. Kłębek ten wręczyła swemu małżonkowi mówiąc: - Po pierwsze, pilnuj starannie, abyś kłębka tego z ręki nie wypuścił. Niebawem wyjaśnię ci jego przeznaczenie. Po drugie, wybierz sobie dwa najszybsze rumaki: jednego, aby go dosiąść, a drugiego, aby umieścić na jego grzbiecie świeżo zarżniętą owcę, poćwiartowaną na cztery części. Po trzecie, weź ze sobą szklaną amforę, którą ci zaraz dam. Do niej nabierzesz, jeśli Allah pozwoli, owej cudownej wody i przywieziesz ją sułtanowi. Skoro tylko zaświta, wstań z łoża i wyrusz na obranym przez siebie najszybszym rumaku, drugiego równie szybkiego prowadząc na lince. Jak tylko dojedziesz do spizowej bramy, która wiedzie na dziedziniec zamkowy, rzuć ten kłębek przed bramą na ziemię. Potoczy się on własną siłą do podwoi zamku. Jedź w ślad za nim przez otwarte podwoje, aż kłębek toczyć się przestanie. W tej samej chwili ujrzysz owe cztery lwy. Dwa z nich będą czuwać i obudzą pozostałe, które tam odpoczywają drzemiąc. Tedy wszystkie cztery otworzą paszcze i zaryczą strasznym głosem, jak gdyby chciały ciebie napaść i rozerwać cię w strzępy. Ty wszakże nie bój się i nie lękaj, ale jedź dalej śmiało, zrzuciwszy owe cztery części poćwiartowanej owcy z grzbietu twojego luzaka po jednej dla każdego lwa. Strzeż się przy tym, abyś z konia nie zsiadł, lecz przeciwnie, trać go strzemieniem i pocwałuj jak najszybciej do fontanny, w której jest owa woda. Tam zsiądź z konia i

gdy lwy będą zajęte pożeraniem owcy, napełnij ową wodą szklaną amforę. W końcu zawróć równie szybko, a owe dzikie bestie pozwolą ci bezpiecznie się minąć. Nazajutrz, skoro świt, książę Ahmed uczynił wszystko, co piękna Peri Banu mu rozkazała, i dosiadłszy rumaka udał się do owego zamku. Przejechałszy przez żelazne wrota i minawszy podwórzec zamkowy, dotarł do podwoi zamku, które się przed nim rozwarły. Nie zsiadając z konia wjechał na wewnętrzny dziedziniec, rzucił cztery ćwiartki zarżniętej owcy lwom na pożarcie, każdemu po jednej, i dotarł szybko do fontanny. Napełnił szklaną amforę wodą i pocwałował z powrotem. Nie ujechał jednak jeszcze daleko, jak obejrzawszy się ujrzał, że dwa spośród stróżujących lwów go ścigają. Nie znając lęku, wyciągnął szablę z pochwy, aby być gotowym do obrony. Jeden ze lwów to zoczył i skręcił nieco na bok. Tam przystanął, spojrzął na księcia, skinął mu olbrzymim grzywiastym łbem i zaczął merdać ogonem, jak gdyby chciał księcia prosić, aby szablę swą schował do pochwy, i upewnić go, że może w pokoju jechać dalej, gdyż nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Drugi lew natomiast wyprzedził księcia i biegł przed nim. I tak obie groźne bestie towarzyszyły mu aż do bram miasta, a nawet do samych wrót sułtańskiego pałacu. Pozostałe dwa lwy utworzyły jakby odwód aż do chwili, kiedy książę Ahmed wjechał w bramę pałacu. Skoro lwy to ujrzały, wszystkie cztery zawróciły i pobiegły z powrotem tą samą drogą, którą przybyły. Gdy lud miejski zobaczył to przedziwne widowisko, wszyscy uciekli w dzikim popłochu, chociaż zaczarowane bestie żadnej żywej istocie nie wyrządziły krzywdy. Skoro kilku sułtańskich dżygitów zoczyło, że ich książę przyjechał samotnie bez świty, pośpieszyli doń, aby mu pomóc przy zsiadaniu z rumaka. Sułtan zasiadł był właśnie w sali dywanu i rozprawiał ze swymi wezyrami i dostojnikami państwa, kiedy się syn jego przed nim zjawił. Książę pozdrowił go, pomodlił się do Allacha o błogosławieństwo dla ojca i poprosił zgodnie z obyczajem o długie życie, szczęście i bogactwo dla niego. Po czym postawił u jego stóp szklaną amforę z czarodziejską wodą Lwiego Źródła mówiąc: - Patrz, ojcze, oto przyniosłem ci upominek, o który mnie prosiłeś! Woda ta jest wielce osobliwa i trudna była do zdobycia, a w całym twoim skarbcu nie ma nic równie kosztownego i drogiego jak ona. Jeśli miałbyś zaniemóc, choć niech Allah miłościwy broni, aby coś takiego los ci przeznaczył, wypij łyk tej wody, a od razu będziesz uleczony od wszelkich cierpień, jakie by one nie były! Kiedy książę Ahmed słowa te wypowiedział, sułtan uściskał go czule z wielką miłością i ucałował w czoło. Potem posadził go po swojej prawicy i tak do niego rzecze: - Kochany synu, jestem ci ze wszech miar zobowiązany, albowiem postawiłeś na hazard własne życie, aby przynieść mi tę wodę, nie zważając na wszelkie trudy i niebezpieczeństwa grożące w tak straszliwym miejscu. Czarownica już bowiem sułtanowi opowiedziała o Lwim Źródle i o śmiertelnych niebezpieczeństwach, które na każdego tam przybywającego czyhają, tak że sułtan dobrze wiedział, jak wielkiej odwagi wymagał śmiały czyn jego syna. A wkrótce potem dodał: - Powiedz mi jednak, synu, jak odważyłeś się tam dotrzeć? W jaki sposób udało ci się od owych lwów umknąć i bez szwanku i ran wodę tę mi przywieźć? - Klnę się na twoją łaskę, ojcze mój i padyszachu - odparł książę - że przede wszystkim dlatego powróciłem cały i zdrowy z owego straszliwego miejsca, że postępowałem zgodnie z zaleceniami danymi mi przez moją małżonkę, dostojną Peri Banu. Tylko dlatego udało mi się przywieźć wodę z Lwiego Źródła, że byłem jej posłuszny. Następnie książę Ahmed opowiedział swemu ojcu wszystko, co przytrafiło mu się na drodze do i od Lwiego Źródła. Sułtan jednak poznawszy niezłomną odwagę i śmiałość swego syna, poczuł tylko jeszcze większą trwogę, a złośliwa chytrałość i zawistna zazdrość, które serce jego wypełniały, wzmożły się dziesięciokrotnie. Kryjąc wszakże swe prawdziwe uczucia, pożegnał się uprzejmie z księciem Ahmedem, udał się na swoje pokoje i kazał niezwłocznie przybyć czarownicy. Skoro tylko wiedźma przed nim stanęła, sułtan opowiedział jej, że książę Ahmed odwiedził go, przynosząc mu w darze cudowną wodę z Lwiego Źródła. Wiedźma już o tym słyszała, gdyż przybycie lwów poruszyło całe miasto. Skoro jednak wysłuchała opowieści sułtana, nie posiadała się ze zdumienia. Podeszła potem blisko do niego i wyjawiała mu szeptem swój nowy plan, dodając z poczuciem pewnego zwycięstwa: - O sułtanie nad sułtanami, tym razem dasz księciu Ahmedowi takie zadanie do wykonania, które, jak mi się zdaje, będzie niewykonalne. Ba, wydaje mi się, że nawet drobnej części tego zadania nie wykona. - Zaprawdę, dobrze powiedziałaś - odparł władca - wypróbuję niezwłocznie twój pomysł. Na drugi dzień tedy, skoro książę Ahmed zjawił się przed obliczem

ojca, ten tak do niego rzecze: - Mój najdroższy synu, raduje mnie wielce twoje męstwo i waleczność oraz synowska miłość, która wypełnia twoje serce. Zalety te wykazałeś, sprowadzając dla mnie owe dwie osobliwe rzeczy, o które cię prosiłem. Teraz mam jeszcze do ciebie nową prośbę i ta będzie już ostatnia. Jeżeli uda ci się mojemu życzeniu zadośćuczynić, to zaprawdę powiadam ci, umiłowię cię ponad wszystko i będę ci przez całe moje życie dziękował. Tedy książę Ahmed zapytał: - Jakie jest twoje życzenie, ojczu mój i panie? Gotów jestem rozkaz twój spełnić, o ile to będzie w mojej mocy. A sułtan tak księciu Ahmedowi odpowiedział: - Chciałbym, abyś sprowadził mi człowieka, który wzrostem nie przewyższa trzech stóp, ale którego broda byłaby długa na dwadzieścia łokci. Człowiek ów ma na ramieniu nieść krótki, stalowy buzdygan wagi dwustu sześćdziesięciu funtów, który to buzdygan podnosiłby lekko do góry i nie marszcząc nawet czoła zataczał nim nad swoją głową młynki, tak jak zwykli ludzie umieją to czynić drewnianymi pałkami. I stało się, że sułtan błędząc, zgodnie ze swoim przeznaczeniem, i nie zważając na to, co dobre, a co złe, poprosił właśnie o to, co miało mu przynieść straszliwą śmierć. Książę Ahmed zaś, który z najczystszej miłości do swego rodzica ślepo go słuchał, był gotów dostarczyć mu wszystkiego, czego tylko zażąda. Nie wiedział bowiem, co mu było sądzone według utajonych postanowień losu. Tak więc powiedział: - Ojczu mój i sułtanie, wydaje mi się wprawdzie, że trudno będzie na całym świecie znaleźć takiego człowieka, jakiego sobie życzysz, ale zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby rozkaz twój wykonać. Po czym książę Ahmed pożegnał się z ojcem i jak zazwyczaj powrócił do pałacu, gdzie przywitał się pełen miłości i szczęścia ze swoją piękną Peri Banu. Oblicze jego wszakże było pełne frasunku, a na sercu leżał ciężar, kiedy rozważał ostatnie polecenie ojca. Skoro tylko piękna wróżka zauważyła, że czoło jego jest chmurne, zapytała: - Mój najdroższy panie i władco, cóż za wieść przynosisz mi dzisiaj? A on na to: - Ojciec mój, sułtan, podczas każdych odwiedzin domaga się ode mnie czegoś nowego, tak że prośby jego już mi obrzydły. Dzisiaj ponownie chce mnie wystawić na próbę w nadziei, że mnie okryje hańbą, gdyż zażądał ode mnie czegoś, czego nadaremnie szukałbym na całym szerokim świecie. I powtórzył jej wszystko, co mu sułtan mówił. Piękna Peri Banu wysłuchawszy jego słów, tak do swego książęcego małżonka rzecze: - Nie troskaj się. Narazając się na wielkie niebezpieczeństwo, nie zawahałeś się pójść po cudowną wodę z Lwiego Źródła. To nowe zadanie nie jest wcale trudniejsze lub niebezpieczniejsze od tamtego. Przeciwnie, jest ono nawet raczej łatwiejsze, gdyż człowiekiem, którego tu opisujesz, jest mój rodzony brat imieniem Szabbar. Choć jesteśmy oboje dziećmi tych samych rodziców, podobało się Allahowi dać nam całkowicie różne postacie i uczynić mego brata tak niepodobnym do swej siostry, jak tylko może to zdarzyć się wśród śmiertelnych. Mimo to brat mój jest waleczny i żądny czynów i zawsze usiłuje coś przedsięwziąć i wykonać, aby przysłużyć się swojej siostrze. A czego się tylko podejmie, wykona zawsze z największą radością. Jego postać i kształty są właśnie takie, jakie twój ojciec sułtan ci opisał, a jego jedyną bronią stanowi stalowy buzdygan. Niezwłocznie poślę po niego lecz nie przerażaj się, jak go zobaczysz. Książę Ahmed na to: - Jeśli naprawdę jest on twoim bratem, to jakież może mieć znaczenie dla mnie jego wygląd? Ucieszę się skoro go zobaczę, jak cieszymy się, gdy witamy jakiegoś miłego przyjaciela czy kochanego krewniaka. Dlaczegoż więc miałbym być przejęty grozą, kiedy go ujrzę? Piękna Peri Banu wysłała zatem jedną ze swoich służebnic po złotą kadzielnicę z tajemnego skarbcza i rozkazała rozniecić w kadzielnicy żar. Potem poleciła przynieść szkatułkę ze szlachetnego metalu, wysadzaną drogimi kamieniami, którą dostała w darze od swej rodziny, wyjęła z niej trochę kadzidła i rzuciła do ognia. W jednej chwili zakłębił się gęsty dym, unosząc się wysoko w powietrze i rozchodząc po całym pałacu. Nie minęło mgnienie oka, a piękna Peri Banu ukończyła już swoje zaklęcia i krzyknęła: - Patrz, oto przybywa do nas mój brat Szabbar! Czy możesz go już zoczyć? Książę Ahmed spojrział i zobaczył człowieka karlej postaci, wysokiego zaledwie na trzy stopy, z garbami na piersi i na plecach. Ale mimo to mina jego była zadzierzysta i chód pełen godności. Na prawym ramieniu miał stalowy buzdygan ważący dwieście sześćdziesiąt funtów. Broda, gęsta i na dwadzieścia łokci długa, była tak kunsztownie upleciona, że do ziemi nie sięgała. Również miał on długie kręcone wąsiska, sięgające aż do uszu, a całe oblicze zarośnięte długim włosiem. Oczy jego były podobne do oczu świni, głowa zaś, uwieńczona kołtunem w kształcie korony, była olbrzymia i razila wobec drobnego ciała. Książę Ahmed siedział spokojnie obok swej małżonki i nie odczuł strachu, kiedy owa szpetna



postać się przybliżyła. Szabbar zaś przystąpił blisko do nich i zapytał piękną Peri Banu, wskazując wzrokiem na księcia: - Kim jest ten śmiertelny, który przy tobie siedzi? - Kochany bracie - odparła piękna wróżka - jest to mój umiłowany małżonek, ksiązę Ahmed, syn sułtana z Hindustanu. Nie posłałam wówczas do ciebie zaproszenia na nasze wesele, gdyż byłeś zajęty wielką wyprawą wojenną. Obecnie wszakże, z łaski Allacha, zwyciężyłeś i powróciłeś do domu triumfując nad swymi wrogami. Przeto poprosiłam cię o przybycie do mnie w pewnej sprawie, która mi leży na sercu. Szabbar wysłuchawszy tych słów, spojrział łaskawie na księcia Ahmeda i rzekł: - Powiedz mi, najmilsza siostrze, czy mogę ci wyświadczyć jakąś przysługę? A ona na to: - Ojciec Ahmeda, sułtan, żywi gorące pragnienie ujrzenia ciebie, przeto proszę cię, udaj się tam wkrótce, biorąc tego oto księcia Ahmeda za przewodnika. Tedy karzeł od razu odrzekł: - Jestem w tej chwili gotów tam się udać. Ale piękna Peri Banu na to: - Nie tak od razu, mój bracie! Jesteś zmęczony podróżą, dlatego lepiej będzie, ażebyś odłożył odwiedziny u sułtana do jutra. Dziś wieczór chciałabym ci przedtem wszystko opowiedzieć, co dotyczy księcia Ahmeda. Skoro tylko zapadł zmierzch, piękna Peri Banu opowiedziała bratu wszystko o sułtanie i jego złych doradcach. Przede wszystkim skierowała jego uwagę na zbrodnicze rady starej czarownicy, opowiadając o tym, jak obmyśliła ona cały plan, aby księciu Ahmedowi wyrządzić krzywdę i uniemożliwić mu odwiedziny w stolicy i na dworze ojca. Krom tego dodała, że wiedźma owa uzyskała na sułtana taki przemożny wpływ, iż całkowicie podporządkowuje on swoją wolę jej chęciom i zawsze czyni to, co mu doradza. Na drugi dzień rano Szabbar i ksiązę Ahmed wyruszyli odwiedzić sułtana. Skoro tylko dotarli do wrót miasta, wszystkich mieszkańców, zarówno możnych, jak i maluczkich, opanowała zgroza na widok przerażającej postaci karła. Pełni strachu jęli uciekać na wszystkie strony, wpadali do sklepów i domów, zamykali drzwi na rygle, zatrzaskiwali okna i ukrywali się jak najgłębiej. Ba, ucieczka ich odbywała się z takim dzikim pośpiechem, że mnóstwo nóg pogubiło w biegu sandały, a z niejednej głowy spadł turban na ziemię. Ksiązę Ahmed ze straszonym karłem kroczyli przez ulice, place i bazary, opuszczone i bezлюдne jak pustynia w północnej Arabii, a kiedy znaleźli się u wrót sułtańskiego pałacu, stojący tam strażnicy na widok Szabbara stchórzyli i rozbiegli się, tak że nie zostało nikogo, aby bronić wejścia. Toteż obaj poszli prosto do wielkiej sali, gdzie właśnie sułtan sprawował dywan. Zobaczyli tam gromadę dostojników wyższych i niższych, ustawionych według rangi i godności wokoło sułtańskiego tronu. Ale i oni, skoro tylko ujrzeli potworną postać Szabbara, rzucili się do ucieczki i przejęci dziką grozą poukrywali się, gdzie kto mógł. Także przyboczna gwardia sułtana opuściła posterunki i tylko padyszach siedział jeszcze nieruchomo na tronie, kiedy Szabbar z buńczuczną miną i królewską godnością do niego przystąpił i rzekł: - Wyraziłeś, sułtanie, życzenie, by mnie widzieć. Oto jestem. Powiedz teraz, czego sobie życzysz? Sułtan nic nie odpowiedział; zasłoniwszy sobie rękoma oczy, aby nie widzieć straszliwej postaci, odwrócił głowę i chętnie byłby w swoim przerażeniu uciekł. To nieuprzejme zachowanie sułtana wprowadziło Szabbara we wściekłość. Targał nim niepomierny gniew, kiedy pomyślał, iż zadał sobie tyle trudu, aby przybyć tu na życzenie tchórza, który zdradzał jedynie chęć ucieczki. Nie zwlekając ani chwili, potworny karzeł wzniosł do góry swój stalowy buzdygan, wywinął nim dwukrotnie w powietrzu straszliwego młynka i, zanim ksiązę Ahmed zdążył dobiec do tronu i w jakiś sposób temu przeszkodzić, ugodził sułtana z taką siłą w ciemię, że pękła mu jego sułtańska czaszka. Uśmierciwszy najpotężniejszego przeciwnika, Szabbar z dzikim wyrazem twarzy dopadł najstarszego z wezyrów, który stał po prawicy tronu. I byłby go niechybnie na miejscu zabił, gdyby nie ksiązę Ahmed, który ujął się za nim, wołając: - Nie zabijaj go! To mój wierny przyjaciel, który nigdy złego słowa przeciwko mnie nie powiedział. Czynili to tylko inni tu obecni dostojnicy! Skoro to Szabbar usłyszał, rzucił się z wściekłością na przewrotnych dostojników i złych doradców, tłoczących się pod ścianami po obu stronach sali, tak że nikt nie uszedł z życiem, krom tych, którzy uprzednio już byli uciekli i pochowali się po kątach. Straszliwy karzeł wyszedł z sali, wkroczył na podwórzec pałacowy i tak przemówił do najstarszego z wezyrów, któremu ksiązę Ahmed uratował życie: - Jest tu gdzieś pewna czarownica, która dybie na zgubę mego szwagra, małżonka mojej umiłowanej siostry. Sprowadź tę wiedźmę niezwłocznie, jak również i owego łotra wezyra, który serce sułtana napęłnił złą nienawiścią i zawistną zazdrością przeciwko księciu Ahmedowi, abym mógł im wymierzyć karę, na jaką zasłużyli! Najstarszy wezyr sprowadził wszystkich winnych,

najprzód czarownicę, a potem złośliwego wezyra wraz z całą gromadą jego popleczników i zauszników, Szabbar zaś pozabijał ich wszystkich swoim stalowym buzdyganem, nie znając miłosierdzia. Straszliwy w swej wściekłości wymordowałby tak chyba wszystkich mieszkańców miasta, ale księżę Ahmed powstrzymał go i pohamował jego gniew łagodnymi i łaskawymi słowami. Szabbar narzucił potem na swojego szwagra sułtański płaszcz, posadził go na tronie i obwołał padyszachem Hindustanu. Cały naród, zarówno możni, jak i maluczcy, radośnie tę wieść powitali, gdyż księżę Ahmed był powszechnie i gorąco miłowany. Wszyscy poddani zgromadzili się, aby zaprzysiąc nowemu sułtanowi wierność i doręczyć upominki na znak hołdu. Wołali przy tym radosnymi głosami: - Niech żyje nam sułtan Ahmed! Kiedy wszystko to się już stało, posłał Szabbar po swoją siostrę Peri Banu i obwołał ją sułtanką, nadając jej imię Szahr Banu. Po czym pożegnał się z nią oraz z sułtanem Ahmedem i powrócił do swojej ojczyzny. Sułtan Ahmed zaś zawezwał swego brata, księcia Alego, wraz z jego małżonką, piękną Nur en-Nahar, i uczynił go wielkorządcą nad ludnym miastem, położonym w pobliżu stolicy, po czym odesłał go tam z wielkim przepychem i wspaniałością. Również wysłał sułtan Ahmed wysokiego dostojnika do swego najstarszego brata, księcia Husseina, aby złożyć mu uszanowanie i o wszystkim powiadomić. Przy tym kazał mu powiedzieć, co następuje: - Chciałbym cię uczynić władcą i wielkorządcą każdego miasta, jakie przypadłoby ci do gustu. Jeżeli zgodzisz się, to zaraz prześlę ci firman z mianowaniem. Księżę Hussein wszakże był szczęśliwy i ze swego żywota derwisza w pełni zadowolony, wszelka zaś potęga jako doczesna nicłość była mu obojętna. Toteż odesłał posłańca swego brata z dowodami czci i serdecznej wdzięczności, prosząc go wszakże, aby nie przeszkadzano mu w życiu pustelniczym i pozwolono się wyrzec wszelkich spraw i marności tego świata.



## **Opowieść o dwóch siostrach, które swej najmłodszej siostrze zazdrościły**

W odwiecznych czasach - w dawno minionej przeszłości - panował w Persji szach, imieniem Chosru\*. Słynął on ze swych sprawiedliwych i rzetelnych rządów. Po śmierci ojca, który był umarł w sędziwym wieku, pozostał on jedynym spadkobiercą całego państwa. Za jego panowania krwiożerczy tygrys i niewinne koźle piły wspólnie wodę z tego samego strumienia Skarbiec jego był zawsze pełen, a wojska i stráže nieprzeliczone. Przy tym ów szach miał zwyczaj przebierać się dla niepoznaki i w towarzystwie wiernego wezyra przechadzać się nocą po zaułkach stolicy W ten sposób dowiadywał się o najdziwniejszych przypadkach i najbardziej osobliwych wydarzeniach. Pewnego razu wymknął się znowu wieczorem do miasta w towarzystwie swego wielkiego wezyra. Przebrani za kupców wędrowali obaj przez ulice i zaułki, przez place i bazy, aby się dokładnie dowiedzieć, co złego i co dobrego się dzieje. Kiedy zapadał już zmierzch, przybyli do pewnej dzielnicy miasta, w której mieszkali ludzie ubogiego stanu. Idąc przed siebie, szach usłyszał dochodzącą z pewnego domu, zamieszkanego przez same kobiety, głośną rozmowę. Podszedł

bliżej, przystanął i zaczął podglądać przez szparę w drzwiach. Zobaczył trzy piękne siostry, które po wieczery siedziały sobie na kobiercu i gawędziły. Szach przyłożył ucho do szpary i zaczął uważnie słuchać tego, co mówią. Usłyszał, jak każda z nich po kolei opowiada, jakie jest jej najgorętsze życzenie. Najstarsza siostra mówiła: - Chciałabym wyjść za mąż za nadwornego piekarza naszego szacha, gdyż wtedy nie zabrakłoby mi nigdy chleba najbielszego i najsmaczniejszego w całym mieście, a serca wasze byłyby pełne zazdrości, zawiści i gniewu z powodu mojego szczęścia. Druga siostra z kolei tak mówiła: - A ja wolałabym poślubić nadwornego kuchmistrza naszego szacha, aby móc zjadać smaczne potrawy, które podaje się na stół jego królewskiej mości. Bo jeśli chodzi o smak i korzenną ostrość, to nie można porównać z nimi twojego królewskiego chleba, który rozdziela się całej służbie w pałacu. Trzecia zaś i najmłodsza z sióstr, która znacznie górowała nad tamtymi urodą i wdziękiem, dziewczyna pełna czaru, dowcipu, a przy tym wielkiej ambicji, bystra, czujna i mądra, kiedy przyszła na nią kolej, by wymienić swoje życzenie, tak powiedziała: - Siostry miłe, pragnienia moje sięgają wyżej niż wasze. Nie zależy mi na białym chlebie i nie jestem tak łakoma, aby tęsknić za smakołykami. Wzrok mój zwrócony jest na coś szlachetniejszego i dostojniejszego. Zaprawdę, nie życzyłabym sobie nic, krom tego, by sam szach mnie pojął za żonę i abym stała się matką księżęcia niezwyklej urody. Włosy mego synka niech będą po jednej stronie złote, a po drugiej srebrne. Kiedy zapłacze, niech roni nie łzy, ale perły. A kiedy się zaśmieje, niech jego karminowe wargi będą świeże jak dopiero co rozchylony pączek róży. Szach zdumiał się niepomiernie usłyszawszy życzenia trzech sióstr, zwłaszcza tej najmłodszej, i w duchu postanowił wszystkie trzy życzenia spełnić. Przeto powiedział do wielkiego wezyna: - Zapamiętaj sobie dokładnie ten dom, a jutro rano sprowadź przed moje oblicze owe trzy dziewczęta, których rozmowieśmy się przysłuchiwali! A wezyn na to: - O ty, którego zowią opiekunem wszechświata, słucham cię i jestem posłuszny! Po czym obaj powrócili do królewskiego pałacu i położyli się spać. Nazajutrz rano wezyn poszedł do domu sióstr i przywiódł je przed oblicze szacha. Szach pozdrowił uprzejmie dziewczęta i dodając im odwagi tak do nich przemówił: - Miłe dziewczeczki, pamiętacie zapewne, coście wczoraj wieczorem, wesóło żartując, sobie nawzajem opowiadały? Uważajcie, abyście teraz każdy szczegół waszej rozmowy dokładnie powtórzyły. Coś niecoś jużesmy słyszeli, ale obecnie jest naszą wolą, abyście ową rozmowę przed nasze królewskie uszy słowo po słowie przytoczyły. Siostry stropiły się i zawstydzily tak, że nie śmiały nic odpowiedzieć, lecz stały milcząc z pochylonymi głowami. Mimo nalegań i zachęty nie potrafiły opanować swej nieśmiałości. Ponieważ jednak najmłodsza z nich wyróżniała się niezwykle urodą lic i wdziękiem postaci, szach wkrótce zapałał do niej gorącą miłością. Powodowany tym uczuciem nie ustawał w dodawaniu im odwagi, mówiąc: - O najpiękniejsze z pięknych, nie bójcie się i nie fraszujcie! Zaleknienie i nieśmiałość nie powinny wam przeszkodzić w opowiedzeniu o tym, jakie to trzy życzenia wczoraj żeście wypowiedziały, gdyż skłonni jesteśmy wszystkie te trzy życzenia spełnić. Tedy dziewczęta rzuciły mu się do stóp i błagając o przebaczenie za swoją śmiałość i nieposkromione języki, powtórzyły całą rozmowę, przy czym każda z nich powtórzyła swoje życzenie. Jeszcze tego samego dnia szach Chosru wydał najstarszą z trzech sióstr za swojego nadwornego piekarza, a drugą z kolei za nadwornego kuchmistrza. Potem rozkazał, aby przysposobiono wszystko do jego zaślubin z najmłodszą. Kiedy przygotowania do królewskich godów zostały już z największym przepychem poczynione, zaślubiny odbyły się z istic monarszą wspaniałością i majestatem, a młoda małżonka otrzymała tytuł władczyni irańskich krajów. Również obie starsze siostry wyprawiły swoje wesela, najstarsza z piekarzem szacha, a średnia z jego nadwornym kuchmistrem. Przy czym każde wesele wyprawiono odpowiednio do stanu oblubieńców, a więc z o wiele mniejszym przepychem i bogactwem niż zaślubiny najmłodszej siostry. Byłoby na pewno rzeczą słuszną i rozsądną, gdyby dwie starsze siostry, których życzenia były przecież spełnione, pędziły teraz życie w radości i szczęściu. Nieubłagany los jednak postanowił inaczej. Skoro bowiem zmiarkowały, jak wysokie stanowisko osiągnęła ich najmłodsza siostra i z jakim przepychem jej zaślubiny się odbyły, w sercach obu starszych sióstr zagościły zazdrość, zawiść i gorzki gniew. Postanowiły tedy popuścić wodze swej nienawiści i rozgoryczeniu i wyrządzić najmłodszej siostrze jakąś okrutną krzywdę. Mijały długie miesiące, a tłumiona zawiść trawiła im serca we dnie i w nocy. Zmartwienie ich i

gniew rozpały się, kiedy tylko dostrzegły najmniejszą choćby oznakę tego, że najmłodsza ich siostra górowała nad nimi pozycją i stanowiskiem. Pewnego ranka, gdy obie starsze siostry spotkały się w łaźni i skorzystały ze sposobności, aby potajemnie się rozmówić, najstarsza tak powiedziała do średniej: - To istna ohyda, iż ta nasza najmłodsza siostrunia, która nie jest przecież wcale od nas piękniejsza, została wywyższona do godności i majestatu monarszego. Zaprawdę myśl o tym jest nie do zniesienia. - Siostrzyczko moja - odparła średnia - ja również jestem śmiertelnie zmartwiona z tego samego powodu, zwłaszcza że nie mogę odgadnąć, jakie zalety szach sobie w niej upatrył, i dziwi mnie, że w ogóle mogło mu przyjść na myśl podnieść ją do godności swojej małżonki. Poza jej młodością nie zdołam doszukać się w niej niczego, co by mogło spodobać się miłościwemu szachowi, że tak wywyższył ją ponad inne jej równe. Moim zdaniem ty, nie ona, byłabyś godna zostać szachinią. Przeto żywię gorzką nienawiść wobec szacha, iż tę dziewczkę uczynił swoją małżonką. Tedy najstarsza siostra tak rzecze: - I ja muszę dziwić się ponad wszelką miarę. Przysięgam, że twoja uroda, twój słuszny wzrost i wdzięczne lica oraz inne twoje wspaniałe zalety, którym nie tak łatwo dorównać, są wystarczające do pozyskania miłości szacha. Wszystko to winno było go skłonić, by ciebie poślubił i uczynił szachinią panującą nad naszym krajem. Zaiste, szach gardząc tobą okazał, że nie ma zrozumienia dla tego, co sprawiedliwe i słuszne, i dlatego tylko smuci mnie tak bardzo ta cała sprawa. Po czym obie siostry naradzały się, co mają uczynić, by swą najmłodszą siostrę poniżyć w oczach jej małżonka i doprowadzić do upadku i ostatecznej zguby. Zastanawiały się we dnie i w nocy i stale rozprawiły o tym, kiedy się tylko spotkały. Snuły przy tym nie kończącą się ilość pomysłów, aby siostrze swej, szachini, zaszkodzić, a jeśli to możliwe, nawet jej śmierć spowodować. Ale żaden z tych pomysłów nie wydawał się im dosyć dobry. Gdy obie starsze siostry pały tak przeciwko najmłodszej gniewem i nienawiścią i usilnie szukały sposobu, aby swej gorzkiej zazdrości dać upust, najmłodsza siostra traktowała je zawsze z taką samą miłością i czułym oddaniem, jak czyniła to przed zamążpójściem. Myślała stale tylko o tym, jak podnieść je z ich niskiego stanu. Kiedy upłynęło kilka miesięcy od zaślubin, okazało się, że młoda szachini oczekuje potomka. Ta wesoła nowina napełniła serce szacha taką radością, że rozkazał natychmiast całemu ludowi w stolicy i państwie weselić się, wyprawiając uczty, tańce i przeróżne zabawy, aby godnie uczcić tak ważne wydarzenie. Skoro wiadomość ta doszła do uszu obu zazdrosnych sióstr, poczuły się zmuszone złożyć życzenia szczęścia swej siostrze, szachini, a kiedy po długotrwałej wizycie żegnały się z nią, rzekły: - Chwała Allachowi, kochana siostrzyczko, iż pozwolił nam dożyć tego szczęśliwego dnia! Chciałybyśmy cię jednak prosić o jedną łaskę, a mianowicie, abyśmy, skoro nastąpi czas rozwiązania, mogły pomóc ci jako położne i potem w ciągu czterdziestu dni przebywać z tobą i pielęgnować cię troskliwie. Szachini zaś w radości swej tak im odpowiedziała: - Kochane siostrzyczki, chętnie bym tak uczyniła, gdyż nie znam nikogo, komu, w chwili tak dla mnie ciężkiej, mogłabym zawierzyć tak jak wam. Przy połogu, który mnie czeka, obecność wasza byłaby w najwyższym stopniu pożądana i pomocna. Ale mogę uczynić tylko to, co nakaze mi mój królewski małżonek, gdyż nie jestem władna nic przedsięwziąć bez jego zezwolenia. Przeto rada moja jest następująca: opowiedzcie o waszym życzeniu swoim małżonkom, którzy mają stały dostęp do szacha, i poproście ich, aby zwrócili się do niego z prośbą, by powołał was na położne przy narodzinach mego dziecka! Nie wątpię, że szach im tego nie odmówi, tak że będziecie mogły dopomóc mi i pozostać przy mnie, zwłaszcza jeśli szach rozważy, jakie bliskie więzy krwi nas, siostry, łączą. Wysłuchawszy tych słów, obie starsze siostry powróciły do siebie pełne złych myśli i podstępnej chytrłości. Opowiedziały mężom o swoim życzeniu, a ci z kolei omówili całą sprawę z szachem, przedkładając mu pokornie swoją prośbę, gdyż nie przeczuwali, co zły los gotuje w tajemnicy. Szach zaś odpowiedział: - Skoro tylko rozważę całą sprawę, wydam odpowiednie rozkazy. Powiedziawszy to, szach udał się do swojej małżonki i tak do niej rzecze: - Pani mojego serca, jeśli ci to będzie miłe, to chyba byłoby dobrze zawezwać twoje siostry, aby zapewnić sobie ich pomoc w ciężkiej godzinie twego połogu, zamiast szukać pomocy u obcych. Jeśli się ze mną zgadzasz, powiedz mi teraz zaraz o tym, abym mógł przedsięwziąć właściwe kroki do uzyskania ich zgody, zanim nadejdzie twoja godzina! Siostry otoczą cię opieką bardziej kochającą, niż mogłaby to uczynić jakaś najemna służka. W rękach ich będziesz się czuła najbezpieczniej. - Mój panie i władco! - odparła szachini. - I ja śmiem twierdzić, że byłoby dobrze,

aby w ciężkiej godzinie miała własne siostry przy sobie, a nie jakąś obcą niewiastę. Tedy szach obwieścił o tym obu siostram i tegoż dnia przeniosły się obie do królewskiego pałacu, aby przysposobić wszystko na dzień oczekiwanego rozwiązania. W ten sposób znalazły one środki i okazję, by wykonać swój nieczyny plan, który knuły już od dawna. Skoro tedy właściwa liczba miesięcy minęła, szachini zrodziła cudownie pięknego chłopca, a płomień zazdrości i nienawiści rozgorzał w sercach obu sióstr z podwójną siłą. I znowu jęły się naradzać, nie dając litości i siostrzanemu uczuciu dostępu do swoich okrutnych serc. Zawinęły potajemnie z wielką starannością nowo narodzone dziecko w szmaty, położyły je do koszyka i wrzuciły do kanału, który przepływał tuż obok komnat szachini. Po czym włożyły zdechłe szczenię do kołyski na miejsce, gdzie leżał młody książę, i pokazały je innym położnym i niewiastom, twierdząc, że szachini urodziła takiego oto potworka. Skoro ta straszna wieść doszła do uszu szacha, dał się on porwać wybuchowi dzikiego gniewu. W przystępie strasznej wściekłości wyciągnął szablę i niechybnie byłby zasięgnął małżonkę, gdyby wielki wezyr, który właśnie wtedy u niego przebywał, nie powstrzymał królewskiego gniewu i nie wytłumaczył mu, iż należy poniechać tak okrutnego i niesprawiedliwego czynu. - O ty, którego zowią cieniem Allacha na ziemi - rzekł wezyr - pomnij, iż to nieszczęście musiało być z góry przez los przeznaczone. Szachini zaś jest wolna od wszelkiej winy wobec ciebie, gdyż to, co powiła, przyszło na świat bez jej świadomej woli i ona sama niczym się do tego nie przyczyniła. Takimi oraz innymi równie mądrymi radami wielki wezyr powstrzymał swego władcę od wykonania zamierzonego zabójstwa, ratując w ten sposób niewinną szachinię od okrutnej śmierci. Tymczasem koszyk, w którym spało nowo narodzone książętko, popłynął z prądem do strumienia, który wił się wśród królewskich ogrodów. A ponieważ nadzorca cienistych parków i wspaniałych królewskich wirydarzy\* właśnie szedł brzegiem strumienia, los zrzucił, iż ujrzał on przepływający koszyk. Nadzorca zawołał jednego z ogrodników i polecił mu koszyk wyłowić i zobaczyć, co się w nim znajduje. Ogrodnik pobiegł brzegiem strumienia i wyciągnąwszy koszyk długim drągiem, pokazał go nadzorcy ogrodów. Ten zaś otworzył go i nie posiadając się ze zdumienia, znalazł w nim nowo narodzone dziecko, chłopca najcudowniejszej urody, owiniętego w stare szmaty. Nadzorca ów, który był szlachetnie urodzonym i cieszył się u swojego władcy wielkim poważaniem, nie miał potomków, chociaż nieustannie zasyłał korne modły do Allacha i składał mu solenne śluby, aby nieba zechciały obdarzyć go synem, który zachowałby jego pamięć i przedłużył życie jego rodu na ziemi. Uszczęśliwiony widokiem dziecka, pobiegł z koszykiem do domu, gdzie wręczył niemowlę swej żonie, mówiąc: - Patrz, oto Allah zesłał nam tego chłopca, którego dopiero co wyłowilem z wody. Przygotuj zaraz wszystko i sprowadź mamkę, aby mogła nakarmić go i zaopiekować się nim. Wychowaj go starannie i czule, jak gdyby to było twoje rodzone dziecko! Bezdzietna żona nadzorcy ogrodów wzięła niemowlę pod swoją pieczę i wychowywała je z najserdeczniejszą miłością, jak gdyby wyszło ono z jej własnego łona. Nadzorca zaś nikomu nic o tym nie powiedział i nie starał się wcale dowiedzieć, czyje to dziecko, aby przypadkiem ktoś się o nie nie upomniał i mu go nie odebrał. Wprawdzie był on w sercu swoim przekonany, że pochodzi ono z tego skrzydła pałacu, gdzie znajdują się pokoje szachini, ale nie uważał za wskazane sprawy tej dokładnie badać. I tak zarówno on, jak i jego małżonka zachowali tajemnicę w najściślejszej skrytości. Przeszedł rok i szachini powiła drugiego syna. Ale złe siostry, pełne nienawiści diabolicznej, uczyniły z tym dzieckiem to samo, co z jej pierwotnym synem. Owinięły je w szmaty i położyły do koszyka, który rzuciły do wody. Potem oznajmiły wszystkim, że szachini porodziła kocię. Ale i drugi chłopiec z łaski Allacha dostał się do rąk tegoż samego nadzorcy ogrodów, a ten znów zaniósł go swojej żonie i oddał pod jej pieczę, nakazując surowo, aby drugim podrzutkiem zajmowała się równie troskliwie jak pierwszym. Szach szalał z rozpaczy, skoro usłyszał ową straszną nowinę, i zerwał się z wyciągniętą szablą, aby małżonkę rozsiekać. Lecz tak samo jak uprzednio wielki wezyr powstrzymał go i uśmierzył jego gniew słowami dobrej rady, ratując w ten sposób powtórnie życie nieszczęsnej matce. Znów przeszedł rok i znów szachini powiła dziecko, ale tym razem była to dziewczynka. I z nią wyrodne siostry postąpiły tak samo, jak z jej oboma braciszczkami. Położyły niewinną istotkę do koszyka i rzuciły do wody. I znowu nadzorca ogrodów znalazł nowo narodzone niemowlę i przyniósł je swojej żonie, nakazując wychowywać razem z tamtymi oboma podrzutkami. Zazdrosne siostry zaś oznajmiły, iż szachini

powiła pizmowca. Teraz szach Chosru nie mógł swego gniewu i złości dłużej pohamować i wrzasnął z szaloną wściekłością do swojego wezyra: - Jakżeż szach może ścierpieć, aby ta niewiasta, która wydaje na świat tylko ohydne wyrodky, mogła dłużej być jego małżonką? Zaiste, szach nie powinien jej pozostawić przy życiu, aby nie wypełniła mu całego pałacu potworkami. Zaprawdę ona sama musi być potworem i dlatego godzi się, abyśmy miejsce to uwolnili od tej ohydnej i przeklętej poczwary. Powiedziawszy te słowa, szach wydał rozkaz, aby szachinię stracono. Ale wezyrowie i wysocy dostojnicy, którzy stali przed jego obliczem, padli szachowi do stóp i błagali go o łaskę i przebaczenie dla szachini. Wielki wezyr zaś skrzyżowawszy ręce na piersi tak rzecze: - O królu królów, niewolnik twój chciałby ci przypomnieć, że niezgodne jest z obyczajem i prawami tego kraju odbierać życie niewieście za coś, czego nie jest winna. Nie może ona bowiem przeciwstawić się zrządzeniu losu i nie jest władna przeszkodzić przeciwnym naturze porodom, które po trzykroć ją nawiedziły. Tego rodzaju nieszczęśliwe wypadki przydarzyły się już nieraz innym kobietom, toteż jej los zasługuje na litość, a nie na karę. Jeśli szachini już się naszemu szachowi nie podoba, to niech przestanie ją miłować, a utrata jego miłości i łaski będzie dla niej karą wystarczająco surową. A jeśli szach nawet jej widoku znieść nie może, to niech zamknie ją w oddzielnej komnacie, gdzie szachini, rozdając jałmużnę i uprawiając miłosierdzie, będzie pokutowała za swoje niezawinione grzechy, aż anioł śmierci rozdzieli jej duszę z ciałem. Szach wysłuchał swego sędziwego doradcy i przyznał, że niesprawiedliwą rzeczą byłoby szachinię pozbawić życia, gdyż nie była władna przeciwstawić się czemuś, co było z góry przesądzone przez los i przeznaczenie. Toteż tak powiedział do wielkiego wezyra: - Dzięki twemu wstawiennictwu życie jej będzie zachowane, o mądry i przezorny człowiecze! Wszelako szach wyznaczy jej los, który zapewne będzie jeszcze cięższy do zniesienia od śmierci. Każ zaraz sporządzić i postawić obok głównego meczetu drewnianą klatkę z żelazną kratą i zamknij w niej szachinię, jak zamyka się drapieżne zwierzęta. A każdy muzułmanin, który tamtędy przechodzić będzie, aby wziąć udział w publicznych modłach, winien jej pluć w twarz, zanim przestąpi próg świątyni. Kto zaś mego rozkazu nie spełni, będzie tak samo ukarany, jak i ona. Przeto postaw tam warty i strażę, aby zmuszały każdego do posłuszeństwa, i daj mi znać, jeśliby ktoś się temu sprzeciwił! Wielki wezyr nie odważył się odpowiedzieć ani słowa i wykonał dokładnie rozkazy szacha, chociaż kara wymierzona niewinnej szachini należałaby się raczej jej zazdrosnym siostram. Pośpiesznie sporządzono rzeczoną klatkę i skoro minęło czterdzieści dni od rozwiązania, szachini została w niej zamknięta. I zgodnie z rozkazem szacha wszyscy, którzy udawali się na nabożeństwo do głównego meczetu, musieli pluć jej w twarz. Nieszczęsna wiedziała wprawdzie, że nie zasłużyła na taką sromotę, ale mimo to znosiła swoje upokorzenie z cierpliwością i hartem ducha. Było zresztą wielu, którzy uważali ją za niewinną i nie zasługującą na znoszenie takich mąk i tortur, na jakie skazał ją szach. Ludzie litowali się nad nią, modlili się i składali śluby, aby Allah zechciał się zlitować i uwolnić nieszczęsną od takiej niedoli. Tymczasem nadzorca ogrodów oraz jego małżonka wychowywali obu młodych książąt i księżniczkę z iście rodzicielskim uczuciem i czułością. W miarę jak młodzi rośli w lata, wzrastała i miłość opiekunów względem przybranych dzieci. Starszemu księciu dano imię Bahman, a jego bratu Parwez, a ponieważ przybrana córka wyróżniała się rzadką urodą i nieporównanym wdziękiem, nadano jej noszone zwykle przez nadziemskie istoty imię Perizada. Skoro książęta podrośli o tyle, że mogli pobierać nauki, nadzorca ogrodów sprowadzał nauczycieli i mistrzów, aby ich w czytaniu, pisaniu oraz wszelkich sztukach i umiejętnościach ćwiczyli. Ponieważ zaś księżniczka nie ustępowała książętom w żądzy wiedzy, pozwolono jej pobierać nauki od tych samych nauczycieli i wkrótce już umiała równie dobrze czytać i pisać jak jej bracia. Później wszyscy troje powierzeni zostali największym wśród mędrców i uczonych w piśmie którzy nauczyli ich należytego rozumienia Koranu\* i słów proroka, a krom tego zarówno geometrii, jak i poezji oraz historii, a nawet wiedzy tajemnej. I nauczyciele dziwowali się widząc, jak rychle i wielkie postępy cała trójka w naukach wykazuje. Tak że wydawało się, iż wkrótce uczniowie nieomal przewyższą najuczestszych wśród mędrców. Poza tym nauczono wszystkich troje kunsztu jeździeckiego i sztuki myśliwskiej, strzelania z łuku i władania dzirytem, rąbania szablą i gry w polo\*, jak również wszelkich innych godnych rycerskiego męża zabaw. Księżniczka ponadto uczyła się jeszcze śpiewu i gry na przeróżnych muzycznych instrumentach,

tak że i w tych umiejętnościach stała się niezrównaną perłą swoich czasów. Nadzorca ogrodów cieszył się z całego serca, widząc, że jego przybrane dzieci wykazują takie postępy we wszelkich gałęziach wiedzy. A ponieważ mieszkanie jego było ciasne i nie wystarczało już na tak powiększoną rodzinę, kupił w niedługim czasie rozległe dobra pod miastem, które obejmowały uprawne pola, łąki i lasy. Tam zaczął budować zamek wielkiej wspaniałości. Spędzał przy tym dnie i noce dozorując budowniczych, murarzy oraz artystów, którzy od wewnątrz i od zewnątrz przyozdabiali mury zamku najpiękniejszą rzeźbą i przedziwnymi malowidłami. Wszystkie komnaty wyposażył w bogaty sprzęt, przed zamkiem zaś kazał założyć ogród i posadzić w nim wonne kwiaty, pachnące zioła i drzewa, których owoce dorównywały owocom raj. Krom tego był tam jeszcze wielki las, ze wszystkich stron otoczony wysokim murem, gdzie hodowano wszelkiego rodzaju zwierzyne. Było tam wszystko, co chodzi no ziemi i co lata po niebie, aby obaj książęta oraz ich siostra mogli polować do woli. Skoro budowa zamku była ukończona i można było w nim zamieszkać, nadzorca ogrodów, który dostojnemu rodowi szachów od wielu pokoleń wiernie służył, poprosił swego pana o zezwolenie opuszczenia stolicy i przeniesienia się do swej własnej wiejskiej siedziby. Szach, który zawsze patrzył na niego łaskawym okiem, udzielił mu z dobrego serca zezwolenia, o które prosił. A poza tym, aby okazać, jak wysoko ceni swego starego sługę oraz jego wieloletnią służbę, spytał go, czy nie ma przypadkiem jakiejś prośby, którą szach mógłby spełnić. - Najdostojniejszy panie - odparł nadzorca - niewolnik twój ma tylko to jedno życzenie, aby mógł resztę swoich dni spędzić w cieniu twojej opieki, duszą i ciałem oddany twojej osobie, jak już służył wiernie twojemu ojcu. Szach zezwolił mu odejść ze słowami podzięk i najwyższego uznania. Tedy nadzorca ogrodów opuścił stolicę, biorąc z sobą obu młodych książąt oraz ich siostrę i wprowadził ich do swego nowo zbudowanego zamku. Już kilka lat temu żona jego została przez Allacha do jego raj. powołana, a sam nadzorca ogrodów ledwie przeżywszy pięć czy sześć miesięcy w swojej nowej siedzibie, nagle zachorował i został również powołany pomiędzy tych, którzy znaleźli boskie miłosierdzie. Niestety nie zdążył przed śmiercią opowiedzieć swoim trzem podrzutkom osobliwej historii ich pochodzenia, o tym, jak ich do swego domu przyniósł i wychował, opiekując się nimi jak własnymi dziećmi. Ale umierając miał jeszcze dość czasu, aby ich przestrzec, by zawsze żyli we wzajemnej miłości i poszanowaniu, czułości i szacunku. Śmierć opiekuna napełniła ich gorzkim smutkiem, gdyż wszyscy troje uważali go za swego prawdziwego ojca. Oplakali go też i wyprawili mu należyty pogrzeb. I nadal obaj bracia oraz ich siostra żyli w zgodzie i dobrobycie. Pewnego dnia obaj młodzi książęta, którzy wyróżniali się niezwykłą śmiałością i odwagą, wyjechali na polowanie, a księżniczka Perizada pozostała sama w zamku. Wtedy przysłała do niej stara niewiasta, wierna muzulmanka i nabożna pustelnica. Zapukała do drzwi i poprosiła o pozwolenie wejścia do komnaty księżniczki, aby tam móc odprawić swoje pacierze, ponieważ nadeszła właśnie godzina wyznaczona na modły i staruszka zaledwie zdążyła odprawić rytualne ablucje. Perizada dała rozkaz, by ją wpuszczono. Powitała nabożną pustelnicę uprzejmie i poprosiła do siebie. Kiedy staruszka skończyła modlitwy, służebnice księżniczki oprowadziły ją na rozkaz swej pani po całym zamku i posiadłości, pokazując wspaniałe komnaty z ich kosztownym sprzętem i wyposażeniem oraz kwietne ogrody, sady i zwierzyniec. Wszystko, co tam ujrzała, podobało jej się bardzo i tak do siebie mówiła: "Człowiek, który zamek ten zbudował i założył te kwietniki pięknie obramowane, był zaiste doskonałym artystą i posiadał cudowne umiejętności". W końcu niewolnice przyprowadziły ją z powrotem do księżniczki, która, siedząc w altanie, na jej powrót czekała. Tedy księżniczka tak do starej niewiasty rzecze: - Usiądź obok mnie i uracz szczęściem przebywania w towarzystwie świątobliwej pustelnicy, którą dzięki pomyślnemu przypadkowi niespodziewanie mogę u siebie gościć. Zezwól mi wsłuchiwać się w twoje nabożne słowa, abym dzięki nim uzyskała wielkie szczęście na tym i na tamtym świecie! Zaiste obrałaś słuszną i najkrótszą ścieżkę, aby po niej kroczyć, ścieżkę, do której wszyscy ludzie dążą i za którą tęsknią. Staruszka chciała paść księżniczce do nóg, ale Perizada podniosła ją uprzejmie, wzięła za rękę i posadziła obok siebie. Tedy stara tak rzecze: - Dostojna pani, oczy moje nie widziały jeszcze nigdy kogoś o tak wykwinnym obejściu jak twoje. Jestem zaprawdę niegodna usiąść przy tobie, ale mimo to, ponieważ mi tak rozkazuje, uczynię zgodnie z twoim poleceniem. I kiedy tak gawędząc siedziały przy sobie, niewolnice wniosły nakryty stół z półmiskami, na których były różne gatunki



pieczywa i ciastek oraz świeże i suszone owoce, jak również rozmaite łakocie. Księżniczka wzięła jedno z ciastek i podała je własnoręcznie staruszce mówiąc: - Niech ci to smakuje, mateczko. Wybierz też sobie owoce, które najbardziej lubisz. Zapewne minęło już wiele czasu, jak opuściłaś swój dom i jak mi się zdaje, po drodze nie kosztowałaś żadnej potrawy. Staruszka odpowiedziała na to. - Dostojna i szlachetnie urodzona pani, nie zwykłam jeść takich smakowitych łakoci, ale nie mogę oprzeć się, kiedy Allah obdarzył mnie jadłem i posiłkiem z tak szczodrej i wspaniałomyślnej ręki, jak twoja. Kiedy obie niewiasty nieco się posiliły i pokrzepiły, księżniczka jęła rozpytywać pustelnicę o jej życie, a ta dawała chętnie odpowiedzi i tłumaczyła wszystko według swej najlepszej wiedzy. Wówczas księżniczka zapytała: - Powiedz mi, proszę, co myślisz o tym zamku, o jego stylu, o sprzętach i wyposażeniu? I powiedz mi, czy wszystko to jest doskonale i stosowne, czy też dostrzegasz jeszcze jakieś braki w samym zamku lub ogrodzie? Odpowiedź staruszki brzmiała: - Ponieważ raczysz pytać mnie o zdanie, wyznam ci szczerze, że zarówno ten zamek, jak i ogrody są wspaniałe i wykwinicie urządzone, a sprzęt i wyposażenie świadczą o najlepszym smaku. Ale moim zdaniem brak tu jeszcze trzech rzeczy. Gdybyś je miała, to dopiero wtedy miejsce to byłoby całkiem doskonałe. Tedy księżniczka Perizada jęła zaklinać ją, mówiąc: - Błagam cię, powiedz mi, jakich to trzech rzeczy jeszcze brak, abym mogła, nie szcędząc trudu i zachodu, je dostać! Piękna dziewczica tak bardzo nalegała, że nabożna staruszka czuła się zmuszona wyjawić wszystko. - Dostojna pani - powiedziała - pierwsza z tych osobliwości to mówiący ludzkim głosem ptak, zwany "Słowikiem o tysiącu opowieściach". Jest to wszakże ptak bardzo rzadki i trudny do znalezienia, a skoro tylko zacznie wyśpiewywać swe melodyjne trele, tysiące ptaków zlatują się zewsząd i usiłują mu wtórować. Drugą osobliwością jest śpiewające drzewo, którego gładkie i błyszczące listki poruszane przez wiatr, ocierając się o siebie, wydają rozkoszny dźwięk, równy słodkim głosom śpiewaków, czarujących serca wszystkich słuchaczy. Trzecią osobliwością jest złota woda przezroczyście czysta. Skoro tylko kropla tej wody wpadnie do czary, a czarę tę postawi się w ogrodzie, naczynie wypełnia się od razu aż po brzegi i wystrzela w górę złocistymi strumieniami niczym fontanna. Woda ta nieustannie bije i wraca wciąż do czary, tak że ani jedna kropla nie zostaje zmarnowana. Wówczas księżniczka powiedziała: - Nie wątpię, że znasz dokładnie miejsce, w którym owe trzy cudowne rzeczy się znajdują. Przeto błagam cię, powiedz mi, gdzie ono jest i podaj mi sposób, aby osobliwości te zdobyć. Pustelnica odpowiedziała: - Te trzy osobliwości znajdują się na granicy ciągnącej się pomiędzy Hindustanem a sąsiadującymi z nim krainami, o dwadzieścia dni drogi, idąc gościńcem, który od tego zamku prowadzi na wschód. Kto wyruszy, aby je zdobyć, powinien zapytać pierwszego człowieka, którego dwudziestego dnia napotka, o to, gdzie można znaleźć mówiącego ptaka, śpiewające drzewo i złotą wodę, a ten wskaże pytającemu drogę do miejsca, gdzie wszystkie te trzy rzeczy się znajdują. Kiedy staruszka skończyła mówić, pożegnała się wśród wielu błogosławieństw i życzeń szczęścia z Perizadą i udała się w powrotną drogę. Księżniczka zaczęła jej słowa rozważać i w myślach nieustannie powracać do opowiadania świątobliwej niewiasty. Staruszka oczywiście nie przypuszczała, iż goszcząca ją księżniczka rzeczywiście wybierze się w drogę, ażeby odnaleźć owe trzy cudowne rzeczy. Toteż, nie podejrzewając nic złego, opowiedziała wszystko, co wiedziała. Perizada wszakże głęboko wryła wszystko w tablicę swej pamięci i powzięła mocne postanowienie pójść za wskazówkami nabożnej pustelnicy, aby wszelkimi sposobami zdobyć owe trzy osobliwości. Im wszakże bardziej się zastanawiała, tym przedsięwzięcie to wydawało się jej trudniejsze, a obawa przed porażką wzmagala tylko jej wewnętrzny niepokój. Kiedy tak siedziała, dręczona niespokojnymi myślami, bracia jej powrócili z polowania. Zdziwili się niepomierne widząc smutny i przygnębiony wyraz twarzy siostry i nie mogli się nadziwić, co ją w taki stan niepokoju wprowadziło. Tedy książę Bahman rzekł: - Kochana siostrzyczko, powiedz nam, co ci dzisiaj ciąży na sercu? Niech Allah nie dopuści, abyś miała zachorować lub aby się coś stało, co by ci sprawiło zmartwienie i uczyniło smutną. Powiedz nam, proszę, o co ci chodzi, abyśmy mogli część twojej troski wziąć na siebie i jak najpośpieszniej ci dopomóc! Księżniczka nie odpowiedziała ani słowa, ale po długim milczeniu podniosła głowę i spojrzała na swoich braci. Potem spuściła piękne oczy i powiedziała tylko, że nic jej nie brakuje. Tedy książę Bahman znów do niej przemówił: - Wiem dobrze, że masz na sercu jakiś ciężar, o którym nie chcesz nam powiedzieć. Ale słuchaj, składam jak najsolenniejszą

przysięgę, że nie odstąpię od twego boku, aż powiesz nam, co za troska cię przygniata. Być może, znudziła ci się nasza braterska miłość i chciałybyś zerwać teraz więzy, które łączą nas od dzieciństwa. Tedy księżniczka, widząc braci swoich tak wzburzonych i zatroskanych, poczuła się zmuszona do mówienia i tak rzekła: - Ukochani moi, sprawię wam przykrość, jeśli powiem, z jakiego powodu jestem smutna i pełna frasunku, nie mogę się jednak powstrzymać, aby wam obu całej prawdy nie wyjawić. Zamek ten, który nasz drogi ojciec, powołany przez Allacha do jego rajy, kazał dla nas wybudować, jest pod każdym względem doskonały, nie brak mu ani wygód, ani wspaniałości. Mimo to odkryłam dzisiaj przypadkowo, że brak tu jeszcze trzech rzeczy. Gdyby zostały one do ogrodów otaczających naszą siedzibę sprowadzone, uczyniłyby naszą posiadłość wprost niezrównaną i na całym szerokim świecie nic nie mogłoby jej przewyższyć. Tymi trzema rzeczami są: mówiący ptak, śpiewające drzewo i złota woda. Od chwili kiedy o nich usłyszałam, serce moje trapione jest najgorętszym pragnieniem, by te trzy osobliwości znalazły się w naszym posiadaniu, i nie zaniecham niczego, aby je zdobyć. Obecnie godzi się wam poprzeć mnie z całych sił i rozważyć, kto z was zdoła mi dopomóc, abym te osobliwości dostała do moich rąk. Książę Bahman odparł: - Moim życiem i życiem mojego brata możesz rozporządzać, abyśmy mogli twoje życzenie ze wszystkich sił naszych zadowolić. I jeśli tylko możesz nam dać pewne wskazówki co do miejsca, w którym owe osobliwe przedmioty się znajdują, to jutro skoro świt wyruszymy na poszukiwania. Kiedy książę Parwez zrozumiał, że brat jego zdecydowany jest ową wyprawę przedsięwziąć., zwrócił się do niego i rzekł: - Kochany bracie, jesteś z nas dwóch starszy, zostań przeto w domu, a ja wyruszę, aby te trzy rzeczy znaleźć i siostrze naszej dostarczyć, bo zaprawdę godzi się bardziej, żebym to ja podjął się tego zadania, którego spełnienie może pochłonąć długie lata. Ale książę Bahman nie zgodził się. - Mam pełne zaufanie do twojej siły i waleczności i wierzę, że potrafisz spełnić równie dobrze to, co i ja potrafię. Mimo to jest moim mocnym postanowieniem wyruszyć na tę przygodę samemu i bez niczyjej pomocy, a ty musisz pozostać, aby opiekować się naszą siostrą i naszym domem. Nazajutrz więc rano książę Bahman poprosił księżniczkę, aby wytłumaczyła mu, jaką drogę ma obrać oraz po jakich znakach szczególnych będzie można rozpoznać wiadome miejsce. Po czym niezwłocznie wdział zbroję i rynsztunek wojenny i pożegnawszy się z obojgiem rodzeństwa dosiadł rumaka. Piękne oczy księżniczki Perizady napełniły się łzami i załamującym się głosem tak doń powiedziała: - Mój kochany bracie, to gorzkie rozstanie boleśnie targa mym sercem, a żalność moja jest niezmierna, kiedy widzę, jak nas opuszczasz. Taka rozłąka i twoje przebywanie na obczyźnie sprawią mi o wiele więcej bólu i troski, niż te, które odczuwam, kiedy trapi mnie tęsknota za owymi osobliwościami, z powodu których teraz nas opuszczasz. Gdybym przynajmniej codziennie mogła otrzymywać jakąś wieść o tobie, czułabym się trochę pocieszona i spokojniejsza. A książę Bahman na to: - Siostrzyczko, mam niezłomne postanowienie dokonać zamierzonego czynu. Nie lękaj się przeto i nie troszcz o mnie, gdyż jeśli taka będzie wola Allacha, powrócę jako tryumfujący zwycięzca. Jeśli zaś po moim wyjeździe, w jakiejś godzinie miałby cię ogarnąć lęk o moje bezpieczeństwo, pozostawię ci znak, abyś mogła według niego mój los rozpoznać, czy jest dobry, czy zły. Powiedziawszy to książę Bahman wyciągnął zza pasa malutki kindżał, nie większy od snycerskiego dłuta i wręczył go księżniczce Perizadzie z następującymi słowy: - Weź ten kindżał i miej go zawsze przy sobie, a gdybyś miała kiedykolwiek jakiegoś dnia czy jakiejś godziny być niespokojna o mój los, wyciągnij go! Jeśli klinga będzie jasna i błyszcząca tak jak teraz, to będzie to oznaczało, iż jestem żywy, cały i zdrow. Jeśli wszakże na kłindze znajdziesz ślady krwi, wiedz, że będzie to równoznaczne z wieścią o mojej śmierci i wtedy nie pozostanie ci nic innego, jak modlić się za moją duszę. Wypowiedziawszy te słowa, książę Bahman wyruszył w drogę i podążył prosto przed siebie gościńcem wiodącym do Hindustanu, nie rozglądając się ani w prawo, ani w lewo, ale mając stale ten sam cel przed oczyma. I tak minęło dwadzieścia dni od wyjazdu z irańskiej krainy, a dnia dwudziestego książę osiągnął swój cel. Nagle ujrzał starego człowieka o przerażającym wyglądem, siedzącego przed bambusową chatą, do której zapewne chronił się przed wiosennym deszczem i letnim skwarem, jesienną mgłą i zimowym chłodem. Starzec ten był tak leciwy, iż jego długie włosy, broda i wąsy, zakrywające mu całe policzki, były białe jak śnieg. Wąsy miał tak długie i gęste, iż zasłaniały całkowicie usta, a broda sięgała aż do ziemi. Paznokcie u rąk i nóg były tak

długie, że przypominały pazury drapieżnego zwierzęcia. Głowę przykrywał utkany z palmowych włókien kapelusz z wielkim opadającym rondem, jakie zwykli nosić malabarscy\* rybacy. Poza tym całą jego odzież stanowiła tylko słomiana przepaska na chudych łądźwiach. Był to żebrzący derwisz, który od wielu lat wyrzekł się wszelkich doczesnych rozkoszy. Pędził on świątobliwy żywot w ubóstwie, rozmyślając nad marnościami tego świata, i dlatego wygląd jego był taki, jak tu zostało opisane. Owego dnia książe Bahman był od wczesnego ranka szczególnie czujny i uważny, rozglądając się nieustannie na wszystkie strony, aby ujrzeć kogoś, kto mógłby mu wskazać, gdzie znajdują się poszukiwane przez niego osobliwości. Pierwszą ludzką istotą, którą ujrzął owego dwudziestego i ostatniego dnia swojej podróży, był właśnie ów starzec. Podjechał więc do niego w przekonaniu, że jest to człowiek, o którym mówiła pustelnica. Książe zeskoczył z rumaka, skłonił się głęboko przed starcem i rzekł: - Świątobliwy ojcze, niech Allah obdarzy cię długim życiem i spełni wszystkie twoje życzenia! Starzec coś zamamrotał, lecz książe nie mógł zrozumieć ani słowa, gdyż wąsiska starego zasłoniły mu tak całkowicie usta, iż mowa jego stała się niewyraźna. Tedy Książe Bahman przywiązał swojego rumaka do drzewa, wyciągnął nożyczki i rzecze: - Świątobliwy człowieku, twoje wargi skryły się całkowicie w gęstwinie zarostu, pozwól mi więc, abym go przystrzygł, broda bowiem obrosła ci całą twarz i stała się tak długa i gęsta, iż przypominasz raczej niedźwiedzia niż istotę ludzką. Starzec skinął głową na znak zgody, a skoro książe mu zarost przyciął i ostrzygł, oblicze starca przybrało świeży wygląd człowieka w kwiecie wieku. Tedy książe Bahman tak do niego rzekł: - Chciałbym mieć zwierciadło, aby pokazać ci twoje oblicze. Przekonałbyś się wówczas, że wyglądasz młodo i że twarz twoja stała się teraz podobniejsza do twarzy ludzkiej. Te schlebiające słowa spodobały się derwiszowi, toteż odpowiedział z uśmiechem: - Dziękuję ci serdecznie za przysługę i przyjazny postępek. Jeśli mogę w czymś ci pomóc, uczynię to z całego serca i z całej duszy. A książe Bahman na to: - Świątobliwy człowieku, przybyłem tu z dalekich stron i poniosłem wiele trudu i mokołu, aby odnaleźć trzy rzeczy, a są to: mówiący ptak, śpiewające drzewo i złota woda. Wiem przy tym na pewno, że wszystkie te trzy osobliwości znajdują się gdzieś niedaleko stąd, ale miejsce to nie jest mi znane dokładnie. Jeśli wiesz coś o tym i zechcesz mi to wyjawić, nie zapomnę nigdy twojej dobroci i będę zadowolony, iż ta długotrwała i mozolna podróż nie była całkiem daremna. Wysłuchawszy tych słów, starzec pobladł silnie, spuścił oczy i siedział pogrążony w milczeniu. Ale książe Bahman znów doń przemówił: - Świątobliwy ojcze, czyż nie rozumiesz słów, które do ciebie powiedziałem? Jeśli nic o tej sprawie nie wiesz, wyznaj to, proszę cię, zaraz, abym podążył dalej, aż spotkam człowieka, który będzie mógł udzielić mi wskazówek. Po długiej chwili milczenia starzec tak odpowiedział: - Obcy przybyszu, zaprawdę znam dobrze miejsce, którego szukasz. Ale miły mi jesteś, ponieważ wyświadczyłeś mi wielką przysługę, więc ze względu na twoje własne dobro nie chciałbym ci wskazywać, gdzie owe osobliwości się znajdują. A książe na to: - Dlaczego ukrywasz to przede mną i dlaczego nie chcesz, abym się o tym dowiedział? Ów zaś odparł: - Droga wiodąca tam jest bardzo trudna i pełna strasznych niebezpieczeństw. Już przed tobą niejeden tu przyjeżdżał. Odmawiałem im wskazania drogi, ale oni lekce sobie wazyli moje przestrogi i przymuszali mnie natrętnie, abym im wyjawiał tajemnicę, którą wolałbym zachować w głębi mego serca. Wiedz, synu, że wszystkich tych śmiałków zgubiło zarozumiałstwo. Ani jeden z nich nie powrócił stamtąd żywy i zdrów. Przeto, jeśli życie jest ci miłe, pójdź za moją radą i nie jedź dalej, ale zawracaj bez zwłoki do twej ojczyzny, domu i rodziny! Wszelako niezłomny w swym postanowieniu książe Bahman tak rzekł: - W przyjazny i dobrotliwy sposób udzieliłeś mi najszczerzej rady, za co dzięki ci składam z całego serca. Ale nie dbam o niebezpieczeństwa, które mi grożą, i mam je za nic. A twoje przestrogi, choćby nie wiem jak złowrogo brzmiały, nie odwiodą mnie od mojego postanowienia. Gdyby rozbójnicy lub wrogowie mieli na mnie napaść, jestem uzbrojony i opancerzony. Mogę się bronić i sam się obronię. Jestem bowiem przekonany, że nikt nie dorówna mi siłą i odwagą. Na co stary derwisz tak odparł: - Istoty, które zagrodzą ci drogę i będą usiłowały nie dać ci dojść do owego miejsca, są dla ludzkiego oka niewidoczne i w żaden sposób nie zdołasz ich ujrzeć. Jakżeż więc chcesz przeciwko nim się potykać? - Niech i tak będzie! - odparł książe. - Mimo to nie lękam się ich i proszę cię tylko, abyś mi drogę do owego miejsca wskazał. Kiedy derwisz przekonał się, iż postanowienie księcia jest niezłomne i że w żaden sposób nie da się go odwieść od zamierzonej

wyprawy i namówić do jej poniechania, włożył rękę do worka, który stał obok niego, wyjął zeń kłębek i rzecze: - Skoro, synu, nie chcesz pójść za moją radą, muszę ustąpić wobec twego uporu. Weź przeto ten kłębek, dosiądź swego rumaka i rzuć kłębek przed siebie. Dopóki będzie się toczył, podążaj jego śladem. Kiedy jednak się zatrzyma u stóp pagórka, rzuć swojemu rumakowi cugle na szyję i pozostaw go samego, będzie bowiem tam stał nieruchomo, aż do niego powrócisz. Po czym idź odważnie pod górę, a po obu stronach ścieżki, zarówno po prawej, jak i po lewej, ujrzysz usypiska olbrzymich czarnych głazów. Usłyszysz tam wrzask wielu pomieszanych głosów, tworzących dziki harmider i okropnych dla twego ucha, tak że przerażenie napelni serce i trudno ci będzie iść dalej. Ale strzeż się, abyś się nie dał zniechęcić, a przede wszystkim, powiadam ci, o żadnym czasie i godzinie nie odwracaj głowy i nie patrz poza siebie. Jeśli bowiem odwaga odmówi ci posłuszeństwa i jeśli spojrzysz w tył, w tym samym mgnieniu oka zostaniesz zamieniony w czarny głaz. Wiedz bowiem, książę, iż wszystkie owe głazy, które ujrzysz rozsiane wzdłuż ścieżki, to waleczni jak ty mężowie, którzy wyruszyli z zamiarem znalezienia trzech osobliwości, których i ty poszukujesz. Ale dali się nastraszyć owym okropnym głosem i utraciwszy człowieczą postać, przeistoczyli się w czarne skały. Jeżeli uda ci się dotrzeć do szczytu owej góry całym i zdrowym, to na samym jej wierzchołku znajdziesz klatkę, w której siedzi mówiący ptak. Odpowie on chętnie na wszystkie twoje pytania, jego więc zapytaj, gdzie znajdują się śpiewające drzewo i złota woda. Skoro wszystkie trzy skarby będziesz już miał w swoim posiadaniu, owe rozliczne niebezpieczeństwa przestaną ci zagrażać. Ale dopóki nie wyruszyłeś jeszcze w drogę, użyj ucha mojej radzie. Zaklinam cię, wyrzeknij się swojego zamiaru i wracaj spokojnie do domu. Ale książę odparł: - Świątobliwy człowieku, nie zawrócę z drogi, zanim nie osiągnę mojego celu. Nigdy i przenigdy! A więc bywaj zdrow! Wskoczył na konia i rzucił kłębek przed siebie, a ten potoczył się z szybkością wiatru, gdy tymczasem książę cwałował za nim ze wzrokiem utkwionym weń i stale dotrzymując mu kroku. Skoro kłębek zatrzymał się u stóp góry, o której starzec mówił, książę zeskoczył z siodła, zarzucił rumakowi cugle na szyję, pozostawił go w miejscu i podążył pieszo po stromym zboczu wzwyż. Jak okiem sięgnąć, ścieżka, którą musiał iść, była od stóp góry aż do jej wierzchołka pokryta zwałami olbrzymich czarnych głazów. Nie zdążył wszakże Bahman przejść czterech czy pięciu kroków, gdy nagle dał się słyszeć okropny i przerażający zgiełk wielu różnych głosów, tak jak stary derwisz to przepowiedział. Książę Bahman szedł jednak dzielnie dalej, z podniesionym czołem i śmiałym krokiem, chociaż nie widział nigdzie żywej duszy, a jedynie słyszał wokoło owe potworne wrzaski. Jedne głosy wołały: - Co to za szaleniec, skąd przybywa? Zatrzymajcie go! Nie przepuszczajcie dalej! A inne dodawały: - Napadnijmy na niego! Uchwyćmy tego błazna, zabijmy go! I wrzask ten nie ustawał, ale robił się coraz to głośniejszy, aż w końcu zmienił się w ryk, donośny jak huk grzmotu. Jedne głosy przez drugie wrzeszczały: - Zbójcu! Skrytobójco! Morderco! A inne głosy szeptały drwiąco: - Przepuśćmy go, jest przecież taki urodziwy. Pozwólmy mu iść dalej, bo oczywiście on i tylko on zdoła zdobyć klatkę z mówiącym ptakiem. Nie stropiony tym wszystkim książę wspinał się coraz wyżej ze swoją zwykłą odwagą i wytrwałością, stale przyspieszając kroku. Lecz nagle głosy przybliżyły się, stały się całkiem bliskie, wzmogły się i uwielokrotniły po obu stronach ścieżki tak, że książę całkiem stracił głowę. Nogi zaczęły mu dygotać, potknął się kilka razy, aż w końcu pokonany strachem zapomniał całkiem o przestrodze starego derwisza i obejrzał się. W tej samej chwili stał się głazem, tak samo jak całe gromady rycerzy i poszukiwaczy przygód, którzy go na tej drodze poprzedzili. Tymczasem księżniczka Perizada miała zawsze przy sobie kindżał, który jej brat Bahman był pozostawił, i nosiła go zatknięty za jedwabny pas. Za każdym razem, kiedy pomyślała o bracie, wyciągała klingę z pochwy, aby z jej połysku dowiedzieć się, jak się bratu powodzi. Aż do owego dnia, w którym książę został w kamień przemieniony, klinga była czysta i lśniąca jak zwierciadło. Zdarzyło się jednak, że owego wieczora, w którym spotkało księcia Bahmana nieszczęście, książę Parwez przypadkowo powiedział do Perizady: - Kochana siostrzyczko, daj mi, proszę, swój kindżał, abym mógł się dowiedzieć, co się z naszym bratem dzieje. Księżniczka wyjęła kindżał z za pasa i podała mu go. Skoro tylko książę Parwez kindżał z pochwy wyciągnął, z klingi zaczęły skapywać krople czerwonej krwi. Ujrzawszy to rzucił kindżał o ziemię i zaczął głośno lamentować, a księżniczka, która podejrzewała już, co się stało, jęła wylewać potoki gorzkich łez i wśród szlochów i

westchnień zawołała: - Biada mi, mój brat poświęcił swoje życie dla mnie! Biada mi, po cóż opowiadałam mu o mówiącym ptaku, śpiewającym drzewie i złotej wodzie! Po co wypytywałam ową starą niewiastę, czy jej się nasz dom podoba, i musiałam od niej, w odpowiedzi na moje pytanie, dowiedzieć się o istnieniu owych trzech osobliwości? Oby nigdy nie przekroczyła naszego progu i nie zasłoniła żałobą drzwi naszego domu! Niewdzięczna obłudnico, czy w ten sposób odwdzięczasz mi się za moją dobroć i zaszczyty, którymi cię tak szczerze obsypałam?! I dlaczego musiałam się jeszcze pytać, w jaki sposób można te cudowne przedmioty zdobyć? Gdybym nawet je pozyskała, po cóż mi one, skoro mego brata Bahmana nie ma już wśród żywych? I tak Perizada uległa całkiem swej boleści i opłakiwała swój smutny los, a ksiązę Parwez lamentował w najgłębszym żalu po starszym bracie. W końcu jednak ksiązę, który mimo swej żałoby nie zapomniał o tym, iż jego siostra ciągle jeszcze nie pozbyła się gorącego pragnienia, aby owe trzy osobliwości posiadać, zwrócił się do Perizady tymi słowami: - Godzi się, miła siostrzyczko, abym ja teraz wyruszył w drogę i sprawdził, czy brata naszego Bahmana dosięgła śmierć zgodnie ze zrzędzeniem losu, czyli też zamordował go jakiś niecny nieprzyjaciel, gdyż jeśli brat nasz został zamordowany, muszę wyrzucić straszliwą zemstę na jego mordercy. Księżniczka Perizada błagała jednak wśród łez księcia Parweza aby jej nie opuszczał. - Radości mego serca, zaklinam cię na Allacha, nie idź śladem naszego drogiego, zmarłego brata i nie opuszczaj mnie. Już mi na owych osobliwościach wcale nie zależy, zwłaszcza że obawiam się, abym i ciebie również nie utraciła, jeśli po nie wyruszysz. - Atoli ksiązę Parwez nie zważając na jej lamenty pożegnał się z nią zaraz następnego dnia. Zanim wybrał się w drogę, siostra tak doń przemówiła: - Kindżał, który Bahman był mi pozostawił, posłużył za sposób powiadomienia nas o nieszczęściu, które go spotkało. Ale powiedz jak będę mogła się dowiedzieć, czy tobie się coś nie przytrafiło? Ksiązę Parwez wyciągnął sznur, na którym nanizane było sto pereł, i rzekł: - Dopóki wszystkie te perły da się przesuwac łatwo po sznurze tam i z powrotem, będziesz wiedziała, że jestem wśród żywych. Skoro jednak zauważysz, że perły mocno są z sobą zwarte i poruszyć się ich nie da, wtedy wiedz, że zginąłem. Księżniczka wzięła sznur pereł i włożyła go sobie na szyję z mocnym postanowieniem, by je co godzinę oglądać i móc przekonywać się, co się z jej drugim bratem dzieje. Ksiązę Parwez zaś wyruszył w drogę i dwudziestego dnia podróży przybył na to samo miejsce, gdzie Bahman spotkał starego derwisza, który i teraz tam siedział. Parwez pozdrowił starca i spytał: - Azali możesz mi powiedzieć, gdzie znajdę mówiącego ptaka, śpiewające drzewo i złotą wodę, i co mam uczynić, aby te osobliwości posiadać? Jeśli możesz, to proszę cię, powiedz mi o tym! Starzec usiłował odwieść księcia Parweza od jego przedsięwzięcia, przedstawiając mu wszystkie niebezpieczeństwa czyhające na drodze. Przy tym dodał: - Niewiele dni temu był tu jeden, który rysami twarzy ciebie przypominał. Pytał o to samo, co ty. Przestrzegalem go przed wszystkimi grożącymi mu w tym miejscu niebezpieczeństwami i usiłowałem odwieść go od jego zamiaru. Wszelako on zlekceważył przestrogi i nie chciał pójść za moją radą. Odjechał stąd powiadomiony przeze mnie dokładnie, jak odnaleźć owe osobliwości, których szukał. Ale aż do tej chwili nie wrócił i nie ulega wątpliwości, że musiał zginąć, tak jak wielu śmiałków, którzy go w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu poprzedzili. A ksiązę Parwez na to: - Świątobliwy ojcze, ów młodzieniec, o którym mówisz, to mój rodzony brat. Wiem również, że nie ma go między żywymi, ale nie wiem, w jaki sposób zginął. - Młody panie - odparł starzec - mogę cię o tym dokładnie powiadomić; brat twój został przemieniony w czarny gład, tak samo jak i tamci wszyscy, o których ci opowiadałem. Jeśli mojej rady nie usłuchasz i przestrozę zlekceważysz, niewątpliwie i ty zginiesz w ten sam sposób, co i twój brat, przeto przestrzegam cię uroczyście, wyrzeknij się tego zamysłu! Ksiązę Parwez słowa te rozważył i odpowiedział: - Świątobliwy starcze, moja wdzięczność wobec ciebie nie ma granic, jestem ci wielce zobowiązany za troskliwość o mnie oraz za przychylnie rady i życzliwe przestrogi. Nie zasługuję bowiem na tyle dobroci, którą wyświadczasz obcemu ci człowiekowi. Teraz wszakże mam do ciebie prośbę: wskaż mi drogę, gdyż mam mocne postanowienie jechać dalej i za żadną cenę nie wyrzeknę się mego przedsięwzięcia. Proszę cię, powiadom mnie łaskawie jak najdokładniej o drodze, którą mam obrać, tak jak brata mego wówczas powiadomiłeś. Na co stary derwisz odpowiedział: - A więc nie chcesz dać baczenia na moją przestrozę ani uczynić tego, o co cię proszę! Sam wybrałeś! Widocznie zgodnie ze zrzędzeniem losu muszę ci w twoim śmiałym

czynnie pomóc. I chociaż z powodu mojego sędziwego wieku i starczej słabości nie mogę cię na samo miejsce odprowadzić, nie odmówię ci jednak przewodnika. Tedy ksiązę Parwez dosiadł rumaka, a starzec wyjął z worka jeden ze znajdujących się tam kłębków, wręczył go młodzieńcowi i nauczył, jak ma postępować, zupełnie tak samo, jak był doradził jego bratu, Bahmanowi. Udzieliwszy mu wielu rad i wskazówek, zakończył słowami: - Młody panie, uważaj, abyś się nie dał omamić wszystkim tym groźnym wrzaskom ani zastraszyć okrzykiem niewidzialnych istot, które usłyszysz. Ale wspinaj się nieustraszenie aż do szczytu góry, gdzie znajdziesz klatkę z mówiącym ptakiem, śpiewające drzewo i złotą wodę. Powiedziawszy to, starzec pożegnał księcia, życząc mu wszelkiej pomyślności, i ksiązę Parwez ruszył dalej. Rzucił kłębek przed siebie i kiedy ten toczył się po ścieżce, ksiązę dał ostrogi swemu rumakowi, aby za toczącym się kłębkim nadażyć. Kiedy dojechał do stóp góry i zauważył, iż kłębek zatrzymał się i leży nieruchomo, zeskoczył z siodła i przystanął na chwilę rozważając raz jeszcze każdą wskazówkę starego derwisza. Po czym poszedł w górę, mocny odwagą i zdecydowaniem, by osiągnąć szczyt. Zaledwie jednak zaczął wspinąć się pod górę, gdy usłyszał obok siebie głos, który urągał mu, groził i krzyczał: - Nieszczęsny młodziku, zatrzymaj się, abym mógł cię za twoją bezczelność wychłostać! Ksiązę Parwez poczuł, że krew mu wre z oburzenia. Nie mogąc opanować gniewu, w zapalczywości swojej zapomniał zupełnie o słowach starego derwisza. Chwycił za rękojeść szabli, wyrwał ją z pochwy i odwrócił się, aby zabić człowieka, który śmiał go obrazić, ale nie ujrzał nikogo i w momencie kiedy się obejrzał, zostali wraz z rumakiem zamienieni w czarne głązy. Tymczasem księżniczka Perizada przez cały czas, o każdej godzinie dnia i nocy pytała sznura pereł, który jej ksiązę Parwez był zostawił, o los brata. Przeliczała perły wieczorem, udając się na spoczynek, a nawet śpiąc miała je na szyi, podczas ciemnych godzin nocy. A kiedy o porannym brzasku budziła się ze snu, od razu spoglądała na perły. I właśnie w chwili, w której jej drugi brat został w kamień przemieniony, zauważyła, że perły szczepiły się tak mocno ze sobą, że nie dało się odsunąć jednej od drugiej. Po tym znaku księżniczka poznała, że i ksiązę Parwez jest dla niej na wieki stracony. Piękna Perizada odczuła głęboko ten nagły cios i tak do siebie powiedziała: "O biada mi, biada nieszczęsnej! Jakżeż gorzkie będzie moje życie bez obu mych braci, którzy młode żywoty złożyli dla mnie w ofierze. Teraz ja powinnam podzielić ich los, bo i cóż powiem w dniu Sądu Ostatecznego, kiedy umarli zmartwychwstaną, a cała ludzkość czekać będzie na wyrok?" Dlatego nazajutrz rano, nie zwlekając i nie ociągając się, przywdziała męskie szaty i powiedziawszy swym dziewczętom służebnym i niewolnicom, że na kilka dni wyjeżdża w ważnych sprawach, a one będą musiały przez ten czas pilnie strzec jej domu i mienia, dosiadła rumaka i wyruszyła w drogę samotna i bez orszaku. Zręczna w kunszcie jeździeckim, gdyż często braciom swym towarzyszyła na polowaniach i przejażdżkach, lepiej od innych kobiet zносиła trud i uciążliwość podróży. Dwudziestego dnia przybyła cała i zdrowa do chaty pustelnika, a ujrawszy tam tego samego derwisza, usiadła u jego boku. Pozdrowiwszy go uprzejmie, tak do niego rzecze: - Świętobliwy ojcze, pozwól mi chwilę w tym obiecującym szczęście cichym zakątku ode tchnąć i odpocząć. Potem racz, proszę, wskazać mi drogę do miejsca, które podobno jest niedaleko stąd i gdzie ponoć znajdują się: mówiący ptak, śpiewające drzewo i złota woda. Jeśli zechcesz mi to wyjawić, uznam to za największą łaskę z twojej strony. Starzec jej odpowiedział: - Głos twój zdradza, że jesteś niewiastą, chociaż szaty nosisz męskie. Znam dobrze miejsce, o którym mówisz i gdzie wymienione przez ciebie osobliwości się znajdują. Ale powiedz mi, w jakim celu o to mnie prosisz? A księżniczka Perizada na to: - Słyszałam już niejedno o tych przedziwnych i cudownych osobliwościach i dlatego chciałabym je posiąść, aby zanieść je do mojego domu, gdzie będą stanowiły największą jego ozdobę. - Tak, moja córko - przerwał jej starzec - zaiste osobliwości te są w najwyższym stopniu rzadkie i cudowne. Godzi się też, aby je taka piękność, jak ty, zdobyła i do domu swego zabrała. Ale chyba nie podejrzewasz nawet, jak różnorakie i straszne są niebezpieczeństwa, które wokoło nich się czają. Lepiej by było dla ciebie, gdybyś poniechała tej nierozsądnej myśli i powróciła tą samą drogą, którą tu przybyłaś. Księżniczka wszakże odpowiedziała: - Świętobliwy ojcze i sławny na cały świat pustelniku, przybywam z dalekiej krainy, do której nie chcę powrócić nie osiągnąwszy mojego celu, nigdy, przenigdy! Błagam cię przeto, powiedz mi, co to za niebezpieczeństwa i na czym one polegają, aby serce moje mogło

osądzić, czy posiadam dość sił i odwagi, aby im się przeciwstawić, czyli też nie! Wtedy stary derwisz opowiedział dokładnie księżniczce o wszystkich niebezpieczeństwach czyhających na drodze, tak samo jak opowiedział to w swoim czasie obu jej braciom, i tak zakończył: - Niebezpieczeństwa te objawiają się, jak tylko zaczniesz wspinać się pod górę i nie skończą się wcześniej, aż osiągniesz szczyt, gdzie znajduje się ów mówiący ptak. Potem, jeśli szczęście ci dopisze i uda ci się ptaka złapać, zaprowadzi cię on tam, gdzie będziesz mogła znaleźć śpiewające drzewo i złotą wodę. Przez cały czas, kiedy będziesz wspinać się pod górę, straszne ryki z niewidzialnych paszcz i okropne dzikie hałasy będą do uszu twych dolatywały. A poza tym ujrzysz na drodze czarne skały i głazy; są to, musisz o tym wiedzieć, zaczarowane ciała mężów, którzy z niezwykłą odwagą usiłowali dokonać tego samego, co i ty. Porwani nagłym strachem wszakże i skuszeni do rzucenia okiem za siebie, zostali w głazy te przemienieni. Pamiętaj więc stale o tym, co się im przytrafiło. Początkowo wsłuchiwali się w owe okropne głosy i przekleństwa, nie tracąc odwagi. Potem jednak serca ich i umysły stawały się lękliwe albo wybuchiły gniewem, na skutek obraźliwych wyzwisk, którymi śmiazków obrzucano. I wtedy, spojrzawszy za siebie, stawali się wraz z końmi czarnymi głazami. Kiedy stary derwisz skończył, księżniczka odparła: - Z tego, coś rzekł, zrozumiałam, że głosy te potrafią tylko grozić i budzić strach swoim przeraźliwym hałasem i że nie trzeba obawiać się żadnej napaści. Jedyna rzecz konieczna - to w żadnym wypadku nie oglądać się poza siebie. I po krótkiej chwili dodała: - Świątobliwy derwiszu, chociaż jestem słabą niewiastą, mam jednak dość odwagi i sił, które pomogą mi przebyć wszystkie złe przygody. Nie będę zwracała uwagi na te okropne głosy, nie dam się rozgniewać ani przestraszyć. Wymyśliłam też podstęp, który zapewni mi powodzenie w tym przedsięwzięciu. - Cóż zamierzasz uczynić? - spytał derwisz. A Perizada na to: - Zatkam sobie uszy bawełną tak, aby duch mój nie mógł być otumaniony, a rozum mój wyprowadzony z równowagi. Zdumiony starzec zawołał: - Dostojna pani, zdaje mi się, że sądzone ci jest zdobyć te osobliwości, których szukasz! Taki podstęp nie przyszedł bowiem dotychczas nikomu na myśl i dlatego zapewne wszyscy twoi poprzednicy ponieśli taką haniebną porażkę i przy wykonywaniu swego przedsięwzięcia poginęli. Ale i ty daj baczenie na swoją osobę i nie narażaj się na inne niebezpieczeństwa, prócz tych, których przewycięzenia to przedsięwzięcie wymaga. - Nie mam podstawy do lęku - odparła księżniczka - albowiem zagraża mi obecnie tylko jedno jedyne niebezpieczeństwo, które mogłoby mi przeszkodzić w osiągnięciu zamierzonego celu. Serce moje mówi mi, że niewątpliwie zdobędę nagrodę, dla której podjęłam się tylu trudów i uciążliwości. Ale teraz rzeknij mi, co mam uczynić i dokąd się udać, aby mój cel osiągnąć. Starzec raz jeszcze zaklinał ją, aby do domu powróciła, ale Perizada obstawała przy swoim, mocna swym niezłomnym postanowieniem. Skoro pojał, iż w żadnym wypadku nie da ona za wygraną, zawołał: - Jedź więc, moja córko, w pokoju i niech Allah obdarzy cię swym błogosławieństwem, niech chroni twoją młodość i urodę od wszelkiego zła! Po czym wyjął kłębek ze swego worka, wręczył jej i rzekł: - Kiedy będziesz już siedziała w siodle, rzuć ten kłębek przed siebie i jedź za nim, a skoro zatrzyma się u stóp góry, zeskocz z konia i pójdz po zboczu na szczyt! O tym, co będzie się działo, już ci mówiłem. Księżniczka pożegnawszy się ze świątobliwym starcem, wskoczyła na rumaka i cisnęła przed siebie kłębek, który potoczył się w kierunku góry tak prędko, że księżniczka musiała dać koniowi ostrogi, aby dotrzymać mu kroku. Nagle u stóp góry kłębek się zatrzymał. Wówczas księżniczka zeskoczyła z rumaka i zatkawszy sobie starannie uszy bawełną, zaczęła piąć się pod górę z nieustraszonym sercem i nie znającą lęku duszą. Zaledwie uszła kilka kroków, rozpętał się wokoło niej zgiełk wielu głosów. Ale ona nic nie słyszała, ponieważ słuch jej był przytępiony bawełną. Potem rozległy się przerażające wrzaski i okropne hałasy, ale ona tego nie słyszała. W końcu wrzaski przemieniły się w istną burzę piskliwych skowytów i jęklowych westchnień pomieszanych z obrzydliwymi przekleństwami. Od czasu do czasu dochodziło do niej słabe echo tych wszystkich głosów, ale ona nie zwracała na nie uwagi, lecz uśmiechała się tylko i tak do siebie mówiła: "Cóż mogą mnie obchodzić ich drwiny i przedrzeźniania oraz urągliwe obelgi! Niech sobie wrzeszczą, szczerkają i ujadają, ile im się tylko podoba. Nie odwiedzie mnie to od mojego celu!" W miarę tego jednak, jak Perizada zbliżała się do szczytu góry, droga stawała się coraz niebezpieczniejsza i powietrze drgało wprost od piekielnego hałasu i coraz okropniejszych ryków. Księżniczka wszakże kroczyła nieustraszenie naprzód, tak że

wnet znalazła się tuż przy samym szczycie góry i widziała już nad sobą klatkę, w której mówiący ptak wyśpiewywał swoje melodyjne trele. Kiedy ptak spostrzegł zbliżającą się księżniczkę, jego głos zamienił się w huk podobny do grzmotu, kiedy wołał: - Zwracaj, błaznico! Idź precz i nie wąż się podejść do mnie bliżej! Ale Perizada nie zwracając uwagi na wrzask ptaka śmiało wstąpiła na szczyt góry, podbiegła do klatki i chwyciła ją, mówiąc: - Mam cię nareszcie, teraz mi już nie ujdiesz! Po czym wyjęła z uszu bawelnę, którą były zatkane, i usłyszała, jak mówiący ptak zwrócił się do niej łagodnym już głosem: - Dzielna i szlachetna pani, bądź dobrej myśli! Albowiem nic złego ci się nie stanie w przeciwieństwie do nieszczęść, jakie przytrafiły się tym, którzy dotychczas chcieli mnie zdobyć. Chociaż bowiem mieszkam w klatce, dochodzą do mnie jednak tajemne wieści o tym, co dzieje się na świecie zamieszkanym przez ludzi. Przeto cieszę się, iż będę twoim niewolnikiem, a ty zostaniesz moją panią. Poza tym wiem wszystko, co ciebie dotyczy, i to nawet jeszcze lepiej, niż ty sama o tym możesz wiedzieć. I nadejdzie dzień, kiedy wyświadczę ci usługę i zasłużę sobie tym na twoją wdzięczność. Powiedz jednak teraz, co mi rozkazujesz? Mów, abym mógł spełnić twoje życzenie! Księżniczka Perizada była uszczęśliwiona, słysząc te słowa, ale radość mąciła jej myśl, że bracia, do których była serdeczną miłością przywiązana, poświęcili dla niej swoje młode życia. I tak do mówiącego ptaka rzekła: - Życzeń mam bez liku, ale przede wszystkim pytam cię, czy złota woda, o której tyle słyszałam, znajduje się tu gdzieś blisko, a skoro tak jest, naucz mnie, w jaki sposób mam ją odnaleźć. Ptak niezwłocznie wskazał księżniczce Perizadzie drogę, ona zaś wzięła srebrną amforę, którą była z sobą przywiozła, i napełniła ją aż po brzegi wodą z czarodziejskiego źródła. Po czym tak do ptaka powiada: - Trzecia i ostatnia osobliwość, w poszukiwaniu której wyruszyłam w drogę, to śpiewające drzewo; powiedz mi, gdzie mogę je odnaleźć! - O najpiękniejsza z pięknych - odparł ptak - tuż za tobą w zaroślach rośnie owo drzewo! Tedy księżniczka pobiegła tam zaraz i odnalazła drzewo, którego poszukiwała i które przywitało ją najcudowniejszą pieśnią. Ponieważ jednak drzewo było mocne i rozłożyste, wróciła do swego skrzydlatego niewolnika i rzekła doń: - Wprawdzie odnalazłam śpiewające drzewo, ale jest ono wysokie i grube, wskaż mi więc sposób, jak mam je wyrwać z korzeniami. Ptak jej odpowiedział: - Ułam gałązkę z owego drzewa i posadź ją w swoim ogrodzie. Wtedy gałązka niezwłocznie zapanuje korzenie i w niedługim czasie wyrośnie z niej drzewo takie wysokie i piękne jak to, które tam widzisz w zaroślach. Wówczas księżniczka ułamała gałązkę, a ponieważ była obecnie już w posiadaniu wszystkich trzech osobliwości, o których pustelnica opowiadała, duma jej nie miała granic. Potem zwróciła się do ptaka mówiąc: - Zaiste mam teraz wszystko, czego sobie życzyłam, ale mimo to nie jestem w pełni szczęśliwa. Bracia moi, którzy z takim samym zamiarem, jak ja, wzięli się tu wyruszyć, leżą w pobliżu, przemienieni w czarne głązy. O, jakże pragnęłabym przywrócić im życie, abym mogła z nimi wspólnie powrócić do domu, ciesząc się powodzeniem mojej wyprawy! Przeto wskaż mi sposób, w jaki mogłabym moje pragnienie urzeczywistnić! A ptak mówiący ludzkim głosem na to: - Nie frasuj się, księżniczko! Opryskaj czarne głązy, które tu nas otaczają, złotą wodą, a przez jej czarodziejską moc wszyscy powrócą do życia, zarówno twoi obaj bracia, jak i inni dzygici. Tedy księżniczka Perizada poczuła spokój w swoim sercu, wzięła ze sobą swoje trzy zdobycze i udała się w powrotną drogę, opryskując kilku kroplami złotej wody ze srebrnej amfory każdy czarny głaz, jaki mijała. I oto nagle wszystkie głązy ożyły, przemieniając się w ludzi i rumaki. Wśród nich byli i obaj jej bracia, którym rzuciła się na szyję i obejmując czule, zapytała z udanym zdumieniem: - O bracia moi, cóż wy tu robicie? - Spaliśmy pogrążeni w mocnym śnie - odparli. A księżniczka tak dalej mówiła: - Dziwne zaiste, że mogliście rozkoszować się snem tak daleko ode mnie, zapomniawszy widocznie o zamiarze, z jakim żeście mnie opuścili, zapomniawszy o mówiącym ptaku, śpiewającym drzewie i złotej wodzie, któreście mieli zdobyć! Czy widzieliście, że całe zbocze tej góry pokryte jest czarnymi głazami? Spójrzcie tam teraz! Wszyscy ci mężowie i ich rumaki, których widzicie, byli tak jak i wy do niedawna czarnymi głazami, ale z łaski Allacha wszystkie te głązy ożyły i czekają na hasło do wyruszenia w drogę. A jeśli chcecie się dowiedzieć, w jaki cudowny sposób ludzka postać została im przywrócona, wiedzcież, że stało się to dzięki czarodziejskiej mocy złotej wody z tej oto amfory. Uczyniłam to za pozwoleniem Władcy wszystkiego, co żyje. Zdobyłam klatkę z mówiącym ptakiem oraz śpiewające drzewo, którego gałązkę obecnie w ręku moim widzicie, a w końcu jeszcze i złotą wodę, ale po cóż



mnie to było, jeśli wy obaj nie mogliście mi towarzyszyć. Zapytałam przeto mówiącego ptaka, jakiego sposobu użyć, aby wam przywrócić życie. On zaś zalecił mi opryskać kilku kroplami złotej wody leżące tu głazy, a skoro to uczyniłam, zarówno wy obaj, jak i wszyscy inni przemienieni w głazy odzyskali swoją dawną postać. Bahman i Parwez dziękowali swojej siostrze Perizadzie, wynosząc ją pod niebiosa. Również i wszyscy inni, których uratowała, obsypali ją słowami podziękowań i błogosławieństwa, po czym wszyscy powiedzieli jednogłośnie: - Dostojna pani, jesteśmy twoimi niewolnikami. Nawet dozgonna służba u ciebie nie zdoła należycie odplacić ci za łaskę, którą nam wyświadczyłaś. Rozkazuj, a jesteśmy gotowi sercem i duszą być ci posłuszni! A Perizada na to: - Mym celem i zamiarem było zbudzić z powrotem do życia moich braci. A kiedy to uczyniłam, i wyście na tym skorzystali, i dlatego przyjmuję waszą podziękę jako naddatek radości. Siadajcie na wasze rumaki i udajcie się w pokój i z błogosławieństwem Allacha tymi samymi drogami, którymi tu przybyliście! I tak księżniczka pożegnała ich wszystkich, a potem sama przysposobiła się do drogi. Kiedy jednak chciała już dosiąść rumaka, księżę Bahman poprosił ją o pozwolenie, aby mógł wziąć do ręki klatkę z ptakiem i jechać z nią na przedzie. Księżniczka wszakże nie zgodziła się i rzekła: - Nie tak rychło, mój bracie! Ptak ten jest moim niewolnikiem i dlatego pragnę sama nieść jego klatkę. Jeśli chcesz, to możesz wziąć tę gałązkę, a klatkę przytrzymaj tylko przez chwilę, zanim nie wskoczę na siodło. Po czym dosiadła rumaka i oparłszy klatkę z ptakiem na siodle przed sobą, poleciła bratu Parwezowi, aby wziął srebrną amforę ze złotą wodą i wiózł ją z wielką troskliwością, a ten spełnił jej życzenie jak najchętniej. Skoro wszyscy byli już do drogi gotowi, księżniczka rzekła: - Dlaczegoż zwlekamy z wyjazdem i nikt nie ofiarowuje swych usług jako przewodnik? Ponieważ jednak wszyscy nadal się ociągali, księżniczka wydała rozkaz: - Niech więc ten spośród was, którego szlachetne urodzenie i wysokie stanowisko do takiego wyróżnienia upoważniają, jedzie pierwszy i wskazuje nam drogę! Wtedy wszyscy odpowiedzieli jej zgodnym chórem: - Najpiękniejsza z pięknych, nikt z nas nie jest godzien dostąpić takiego zaszczytu i nikomu z nas nie wolno jechać przed tobą. Skoro nikt z dzygitów nie przyznał sobie prawa pierwszeństwa i przewodnictwa, księżniczka przeprosiła ich uprzejmie, mówiąc: - Cni panowie, według prawa i obyczaju nie należy, abym jechała pierwsza. Ponieważ jednak na to nalegacie, muszę być posłuszna. Tedy pojechała na czele orszaku, za nią bracia, a dopiero za nimi reszta. I gdy tak jechali, wszyscy zapragnęli ujrzeć świątobliwego starca, aby podziękować mu za jego życzliwość i dobre rady. Kiedy wszakże przybyli na miejsce, gdzie zamieszkiwał, zastali go bez życia. I nikt nie wiedział, czy sędziwy wiek był powodem jego śmierci, czy też urażona duma, ponieważ księżniczka odnalazła i zabrała owe trzy osobliwości, których stróżem i nadzorcą los go wyznaczył. Kawalkada jechała radośnie dalej, a za każdym razem, kiedy mijali drogę prowadzącą do ojczyzny któregoś z dzygitów, ten żegnał się z dostojną Perizadą i odłączał się od orszaku, aż w końcu wszyscy odjechali, tak że księżniczka pozostała samotrzeć ze swoimi braćmi. W końcu dotarli bezpiecznie i zdrowo do celu podróży. Kiedy przekroczyli próg swego zamku, księżniczka Perizada zawiesiła klatkę z ptakiem tuż koło ulubionej altany. A skoro ptak mówiący zaczął śpiewać, nadleciały całe chmary turkawek, słowików, drozdów, skowronków, papug oraz przeróżnego śpiewającego ptactwa z daleka i z bliska. Przywiezioną zaś gałązkę, którą Perizada ułamała ze śpiewającego drzewa, posadziła na pięknej grzędzie przy altanie. I niezwłocznie gałązka zapuściła korzenie, rozkrzewiła się, wypuściła pędy i rosła wspaniale, tak że wkrótce stała się równie wielkim i rozłożystym drzewem jak to, z którego była zerwana. A listowie młodego drzewa wydawało czarujące tony, zupełnie podobne do melodyjnych dźwięków macierzystego drzewa. W końcu księżniczka kazała wykuć z białego marmuru wspaniałą misę i postawić ją w wirydarzu. Po czym wlała do niej złotą wodę i ta niezwłocznie wypełniła całą misę, bijąc w górę jak fontanna na jakieś dwadzieścia stóp. Niczym złociste snopy promieni woda spadała łukiem tam, skąd wytryskiwała, tak że ani jedna kropla się nie marnowała. W ten sposób woda nieprzerwanym strumieniem poruszała się i nic z niej nie ubywało. Minęło zaledwie kilka dni, a już wieść o tych trzech osobliwościach rozeszła się po całym kraju. Tłumy ludzi przybywały codziennie, aby nacieszyć się ich widokiem, zwłaszcza iż bramy pałacu stały dla wszystkich otworem. Każdy, kto przybywał, miał wolny wstęp do pałacu i ogrodów oraz mógł przechadzać się do woli i przyglądać owym dziwom nad dziwy, które nappełniały

wszystkich najwyższym zachwytem i zdumieniem. Obaj książęta wypoczęli nieco po trudach podróży i zaczęli tak samo, jak przedtem, jeździć na łowy. Pewnego dnia, kiedy odjechali na dobre kilka mil od domu i byli całkowicie pochłonięci myśliwską rozrywką, zdarzyło się, że szach krainy irańskiej, dzięki zrządzeniu losu, przybył na to samo miejsce z tym samym zamiarem. Młodzi książęta, widząc przybywającą gromadę dzygitów i myśliwców, chcieli już wracać, aby uniknąć spotkania z nimi. Przerwali więc łowy i skierowali się w stronę domu, ale los chciał i przeznaczenie tak zrządziło, że musieli wracać tą samą drogą, którą jechał szach Chosru. Ścieżka zaś była tak wąska, że jeźdźcy nie mogli się na niej minąć. Przeto książęta zjechali z drogi, zeskoczyli z rumaków i życząc pokoju szachowi, skłonili się nisko. Po czym stanęli z pochylonymi głowami przed nim. Kiedy szach ujrzał bogate rzędy rumaków i drogocenne szaty książąt, pomyślał, iż obaj młodzieńcy należą do świty jego wezyrów i dostojników państwowych, i dlatego zapragnął spojrzeć im w twarz. Przeto rozkazał im podnieść głowy i wyprostować się. A oni usłuchali jego rozkazu ze skromnie opuszczonymi oczyma. Szach ujrzawszy piękne rysy ich twarzy i wdzięczne postacie oraz dobre ułożenie i dworne maniere, zachwycił się niepomału. Po czym, przyjrzawszy się im chwilę nie bez podziwu, zapytał, kim są, jak się nazywają i gdzie zamieszkują. Na co książę Bahman odrzekł: - O ty, którego zowią opiekunem wszechświata, jesteśmy synami człowieka, którego życie minęło w służbie najjaśniejszego szacha i który był nadzorcą królewskich ogrodów i wirydarzy. Kiedy dni jego chyliły się do zmięzchu, zbudował on za miastem dom, w którym mieliśmy mieszkać aż do chwili, kiedy dorosniemy i będziemy zdolni iść na służbę przy dworze waszej dostojności i wypełniać królewskie rozkazy. Ale szach pytał dalej: - Powiedzcież, jak to się stać mogło, żeście wyruszyli na łowy? Jest to bowiem przywilej szachów i nie godzi się polować żadnemu z jego poddanych i sług. A książę Bahman na to: - O ty, którego zowią opiekunem wszechświata, jesteśmy jeszcze młodzi latami, a ponieważ wyrosliśmy u siebie w domu, nie znamy się na dworskich obyczajach. Mając jednak nadzieję, iż w wojsku szacha będziemy kiedyś walczyć, chcieliśmy już teraz ciała nasze do trudów i uciążliwości wojennych zaprawić. Odpowiedź ta znalazła uznanie u szacha i tak na nią odparł: - Szach chciałby się na własne oczy przekonać, czy umiecie polować na szlachetną zwierzynę. Wyszukajcie więc sobie zdobycz według waszej woli i ubijcie ją w jego obecności! Przeto książęta dosiedli rumaków i dołączyli się do orszaku szacha. A skoro dotarli do najgłębszych chaszczy, książę Bahman natarł na tygrysa, a książę Parwez na niedźwiedzia. Przy tym obaj władali dzirydami z taką wprawą i pewnością, iż każdy ubił swego zwierza i położył kornie u stóp szacha. Następnie zagłębili się znów w gęstwinie, lecz tym razem książę Bahman ubił niedźwiedzia, a książę Parwez tygrysa. Po czym postąpili ze swym łupem tak samo, jak uprzednio. Kiedy jednak chcieli wyruszyć po raz trzeci, szach zakazał im tego, mówiąc: - Jakże to? Czy chcecie całe królewskie ostępy pozbawić zwierzyny? Dostyc już i więcej niż dostyc! Szach chciał tylko wystawić na próbę waszą odwagę. A ponieważ teraz przekonał się o niej na własne oczy, jest tym w pełni ukontentowany. Chodźcie więc teraz z nami i stańcie przy nas, kiedy będziemy spożywali posiłek! - Nie jesteśmy godni tak wysokich zaszczytów i honorów - odparł książę Bahman - jakimi raczysz obsypywać nas, twoje skromne sługi. Prosimy waszą dostojność najposłuszniej i najpokorniej, abyś nas na dzisiaj zwolnić raczył. Jeśli jednak zechcesz wyznaczyć nam jakiś inny dzień, to niewolnicy twoi wykonają z największą radością każde twoje uszczęśliwiające ich polecenie. Gdy szach, zdziwiony odmową młodzieńców, zapytał ich o przyczynę, książę Bahman odparł: - Gotów jestem oddać za ciebie moje życie, o królu królów, ale mamy w domu jedyną siostrę i wszyscy troje połączeni jesteśmy najściślejszym węzłem miłości. Dlatego my, bracia, nie chodzimy nigdzie, nie radząc się jej, a również i ona nic nie czyni bez zasięgnięcia naszej rady. Szacha zachwyciła taka wzajemna miłość i zgoda rodzeństwa, toteż zaraz powiedział: - Klnę się na głowę szacha, który na dzisiaj was zwalnia. Naradźcie się ze swoją siostrą i spotkajcie tego, który jest cieniem Allacha na ziemi, jutro w tym myśliwskim ostępie, donosząc mu, co siostra wam powiedziała i czy zgadza się, abyście obaj szachowi przy uczcie usługiwali. Tedy książęta pożegnali się z władcą wnosząc za niego modły do Allacha. Po czym odjechali do domu, ale obaj zapomnieli opowiedzieć swej siostrze o spotkaniu z szachem, a ze wszystkiego tego, co się między nimi przytrafiło, nic im nie pozostało w pamięci. Nazajutrz dosiedli znów rumaków i pojechali na łowy. A kiedy wracali, szach ich zapytał: - Czyście naradzili się ze swoją siostrą, zali

macie iść na służbę do waszego szacha, i co ona na to? Czyście otrzymali od siostry waszej przyzwolenie? Kiedy księżęta słowa te usłyszeli, zdrętwieli ze strachu. Lica ich pokryła bladeść i zaczęli spoglądać sobie nawzajem w oczy. Wreszcie księżę Bahman tak przemówił: - Przebaczą nam, o ty, którego zowią opiekunem wszechświata, za nasze uchybienie! Zapomnieliśmy obaj o twoim rozkazie i nie pomyśleliśmy o tym, aby rozmówić się z naszą siostrą. A szach na to: - Nic nie szkodzi. Zapytajcie ją dzisiaj i donieście mi jutro o tym, co ona wam powie. Ale zdarzyło się, że i owego dnia o poleceniu szacha zapomnieli. Szach jednak mimo to nie pogniewał się na nich za krótką pamięć, ale wyjął trzy złote kulki z torby, zawiązał je w jedwabną chustkę, i wręczył księciu Bahmanowi mówiąc: - Włóż te kulki za pas. Wówczas nie zapomnisz siostry twojej zapytać! A jeśli mimo to pamięć cię zawiedzie, to kiedy udasz się na spoczynek i będziesz zdejmował twój pas, brzęk spadających na ziemię kulek przypomni ci o twojej obietnicy. Mimo tej przestrogi ze strony tego, który jest cieniem Allacha na ziemi, księżęta i owego dnia całkiem zapomnieli o otrzymanym poleceniu i obietnicy, jaką dali szachowi. Kiedy jednak noc zapadła i księżę Bahman udał się do swojej komnaty, aby położyć się spać, rozwiązał swój pas i złote kulki spadły z brzękiem na ziemię. Wówczas dopiero rozkaz szacha stanął nagle w jego myślach. Tedy wraz z Parwezem pobiegli niezwłocznie do komnaty Perizady, która właśnie udawała się na spoczynek. Prosząc o przebaczenie z powodu spóźnionej pory, dopiero teraz donieśli jej wszystko, co im się przytrafiło. Ona zaś zganiła ich bezmyślność, na skutek której przez trzy dni z rzędu zapominali o rozkazie szacha, i zakończyła takimi słowami: - Szczęście się do was uśmiechnęło, bracia mili, i niespodziewanie uświadomiło tego, którego zowią opiekunem wszechświata, o waszym istnieniu. Jest to przypadek, który niejednego już doprowadził do najwyższej szczęśliwości. Jest mi bardzo przykro, iż ze względu na mnie i na nasze rodzinne więzy nie stawiliście się od razu do szacha na służbę, kiedy raczył wydać wam taki rozkaz. Macie jednak więcej powodów do żalu i skruchy niż ja, gdyż nie potrafiliście się dostatecznie usprawiedliwić przed szachem, a to usprawiedliwienie, którym posłużyliście się, brzmieć musiało pospolicie i nieokrzesanie. Jest bowiem rzeczą nader niebezpieczną sprzeciwiać się królewskim życzeniom. W swej nadzwyczajnej wyrozumiałości szach powołał was do siebie na służbę. Wy wszakże postapiliście głupio, sprzeciwiając się jego wspaniałomyślnemu rozkazowi, i wywołaliście przez to głęboki niepokój w moim sercu. Zamierzam jednak spytać o radę mego niewolnika, mówiącego ptaka, i przekonać się, co on mi powie. Nigdy bowiem, kiedy mam ważną i trudną sprawę do rozstrzygnięcia, nie zaniedbuję zapytać go o radę. Po czym księżniczka kazała przynieść klatkę z mówiącym ptakiem i opowiedziawszy swemu skrzydlatemu niewolnikowi wszystko, o czym dowiedziała się od braci, poprosiła o radę, co należy uczynić. Tedy mówiący ptak taką jej dał odpowiedź: - Godzi się księżętom, aby szachowi we wszystkim, czego od nich zażąda, byli powolni. Poza tym winni przysposobić uroczyste przyjęcie dla szacha i pokornie go prosić, aby ich dom odwiedził, gdyż w ten sposób tylko zdołają mu okazać wierność i przywiązanie dla jego królewskiej osoby! Księżniczka zaś tak odpowiedziała: - Miły ptaku, bracia moi są mi bardzo drodzy i jeśli to tylko możliwe, nie chciałabym ani na chwilę tracić ich z oczu, toteż niech Allah nas strzeże, aby z powodu ich śmiałego przedsięwzięcia nasze wspólne bytowanie nie skończyło się. A mówiący ptak na to: - Poradziłem ci według mego najlepszego rozeznania i udzieliłem ci właściwych wskazówek. Nie lękaj się przeto niczego, kiedy za moją radą pójdziesz, albowiem tylko dobro może z tego dla ciebie wyniknąć! - Powiedz, czy kiedy ten, którego zowią cieniem Allacha na ziemi, przekroczy próg tego domu, mamli stanąć przed nim z nie zasłoniętym obliczem? - Oczywiście - odparł ptak - gdyż to nie obróci się na twoją szkodę, ale przeciwnie, będzie dla ciebie z pożytkiem. Nazajutrz rano obaj księżęta Bahman i Parwez dosiedli rumaków i wyjechali, jak zwykle, na łowy. Wkrótce spotkali najjaśniejszego szacha. Szach zapytał ich od razu: - Jakąż odpowiedź przynosicie mi od waszej siostry? Tedy starszy z braci wystąpił naprzód i tak rzecze: - O ty, którego zowią cieniem Allacha na ziemi, jesteśmy twoimi sługami i wszystko, co raczysz nam rozkazać, gotowiśmy spełnić. Spójrz łaskawym okiem na nas, najmniejszych spośród maluczkich, którzy całą sprawę siostrze swej opowiedzieli i otrzymali od niej przyzwolenie. Ba, nawet zganiła ona nas i dała nauczkę za to, żeśmy nie dość szybko wykonali rozkazy tego, którego zowią opiekunem wszechświata. A ponieważ z tej przyczyny siostra bardzo na nas się gniewa, pragnie ona, abyśmy

również w jej imieniu błagali o przebaczenie króla królów, z powodu popełnionego przez nas uchybienia. A szach na to: - Nie popełniliście żadnej zbrodni, która mogłaby obudzić królewski gniew. Przeciwnie, mnie, którego zowią cieniem Allacha na ziemi, cieszy niepomierne miłość, jaką wy obaj darzycie waszą siostrę. Skoro książęta posłyszeli pełne wyrozumienia i życzliwości słowa szacha, umilkli i pełni wstydu opuścili głowy ku ziemi. Szach zaś, który tego dnia nie cieszył się tak polowaniem jak zwykle, widząc zawstydzenie książąt, przywołał ich do siebie i łaskawymi słowami dodawał im otuchy. Po czym znużony jazdą konną, skierował swego rumaka w kierunku pałacu i raczył rozkazać książętom, aby jechali po obu jego bokach. Wszelako wezyrowie, doradcy królewscy i dworacy pienili się ze złości i zawiści, widząc, że ci dwaj nieznajomi są traktowani z taką szczególną łaską. Kiedy tak szach z książętami jechali na czele orszaku główną ulicą stolicy, oczy wszystkich skierowane były na obu młodzieńców. I ludzie pytali jedni drugich: - Kim są ci dwaj, którzy jadą po obu stronach najmiłoścowszego szacha? Azaliż pochodzą oni z naszego miasta, czy też przybyli z obcych krajów? I lud wielbił i błogosławił szacha, mówiąc: - Oby Allah obdarzył naszego króla królów dwoma synami tak urodziwymi jak ci dwaj młodzieńcy, którzy obok niego cwałują! Gdyby nasza nieszczęsna szachini, która schnie w klatce, powiła z łaski Allacha synów, to byłiby oni obecnie w tym samym wieku, co ci dwaj piękni młodzieńcy. Skoro orszak dotarł do pałacu, szach zeskoczył z rumaka i wprowadził książąt na swe własne pokoje, do wspaniałej komnaty, przepysznie urządzonej. Stał tam nakryty stół z najkosztowniejszymi potrawami i najwyszukańszymi przysmakami. Usiadłszy przy nim, szach skinął na obu młodzieńców, aby to samo uczynili. Tedy bracia złożyli głęboki ukłon i zajęli wskazane im miejsca. Po czym spożywali zastawione jadlo ze świadczącym o ich dobrym wychowaniu milczeniem i pełną szacunku postawą. Szach wszakże, który chciał ich nakłonić do rozmowy, aby przez to ich dowcip i mądrość wypróbować, mówił do nich o wielu rozmaitych rzeczach i zadawał im wiele pytań. Oni zaś, iż byli dobrze wychowani i we wszelkim kunszcie i wiedzy ćwiczeni, odpowiadali mu do rzeczy i z największą swobodą. Szach, pełen podziwu, żałował gorzko, że Allah odmówił mu takich synów, pięknych postacią, zgrabnych i uczonych, jak ci dwaj młodzieńcy. A ponieważ słuchanie ich odpowiedzi sprawiało mu wielką przyjemność, pozostał dłużej przy stole niż zazwyczaj. A nawet potem udał się z nimi do swojej komnaty i siedział tam jeszcze długo gawędząc z nimi, aż w końcu zawołał nie posiadając się z zachwytem: - Nigdy, aż do dnia dzisiejszego, oczy moje nie widziały młodzieńców tak dobrze ułożonych i dwornych jak ci oto! Zdaje mi się, że niełatwo by było znaleźć podobnych! W końcu szach tak powiedział: - Dzień się ku wieczorowi chyli; rozweselmy przeto nasze serca, słuchając muzyki! I niezwłocznie gromada królewskich śpiewaków i grajków zaczęła śpiewać i przygrywać na różnych instrumentach ku radości i weselu. Tancerki i tancerze wykazywali swój kunszt, odgrywając pantomimy, a trefnisie stroili żarty. Książęta cieszyli się wielce tym widowiskiem i wieczorne godziny mijały szybko wśród królewskich przyjemności przy wystawnej uczcie. Skoro jednak słońce zaszło i zbliżała się noc, młodzieńcy poprosili szacha o pozwolenie opuszczenia go, dziękując mu po wielokroć za najwyższą łaskawość, którą raczył im okazać. Na pożegnanie zaś szach do nich tak rzecze: - Jutro rano przybądźcie znów na nasze ostępy myśliwskie, a stamtąd powrócimy do mojego pałacu! Szach klnie się na własną brodę, że chciałby mieć was zawsze przy sobie, aby móc radować się waszym towarzystwem i gawędzić z wami. Tedy książę Bahman rzucił się do stóp najmiłoścowszego szacha, mówiąc: - Jest celem i szczytem naszych marzeń, o ty, którego zowią cieniem Allacha na ziemi, abyś jutro, wracając z polowania i mijając naszą skromną siedzibę, raczył łaskawie wstąpić do nas i chwilę u nas odpocząć. Przez to wyświadczysz nam i naszej ukochanej siostrze najwyższy zaszczyt, chociaż bowiem wiemy, iż przybytek ten nie jest godny cieszyć się wspaniałą obecnością króla królów, bywa jednak, że najpotężniejsi władcy czasem w łaskawości są tak wyrozumiali, iż odwiedzają chaty swych niewolników. Szach, coraz bardziej zachwycając się ich urodą i składną mową, udzielił im w najwyższym stopniu łaskawej odpowiedzi: - Siedziba młodzieńców waszego stanu i dostojenstwa musi być na pewno piękna i godna takich gospodarzy. Toteż szach chętnie godzi się być jutro gościem u was i waszej siostry, o której, chociaż jej jeszcze nie widział, wie na pewno, iż posiada wszelkie zalety ciała i ducha. A więc oczekujcie jutro skoro świt waszego szacha w tym samym umówionym miejscu! Tedy książęta poprosili o zezwolenie oddalenia się. A skoro

tylko wrócili do domu, rzekli do swej siostry: - Perizado, najmiłościwszy szach postanowił jutro po łowach przybyć do naszego domu, aby tu chwilę odpocząć. Ona zaś na to: - Jeśli tak jest, musimy się starannie do tego przygotować, by wszystko zostało należycie przysposobione do królewskiej uczty tak, byśmy nie doznali wstydu, kiedy ten, którego zowią cieniem Allacha na ziemi, raczy nas odwiedzić. Nie mam innego wyjścia, jak zapytać o radę w tej sprawie mego niewolnika, mówiącego ptaka. I według jego wskazówek przygotuję takie potrawy, jakie się najmiłościwszemu szachowi należą i jakie odpowiednie będą dla jego królewskiego podniebienia. Obaj książęta uznali plan siostry za słuszny i udali się na spoczynek, a Perizada kazała przynieść klatkę. Skoro postawiono klatkę przed nią, zwróciła się do mówiącego ptaka i tak powiada: - Kochany ptaku, szach obiecał i postanowił jutro zaszczyścić swą obecnością nasz dom, przeto musimy sumiennie przygotować dla naszego najwyższego władcy najlepszą z uczt i dlatego, proszę cię, powiedz, jakie potrawy kucharze winni przysposobić. A mówiący ptak na to: - Dostojna pani, posiadasz najrzęczniejszych kucharzy i cukierników, przeto rozkaż im przyrządzić najkosztowniejsze smakołyki, ale przede wszystkim bacz własnymi oczami, aby szachowi podali potrawę ze świeżych zielonych ogórków nadziewanych perłami. Nie posiadając się ze zdumienia księżniczka odpowiedziała: - Nigdy jeszcze, aż do dzisiejszego dnia, nie słyszałam o takim smakołyku! Jak to? Ogórki nadziewane perłami! I cóż powie na taką potrawę szach, kiedy przybędzie tu, aby posilić się, a nie oglądać kamyki? Poza tym nie mam dosyć pereł, aby nadziać nimi choćby jeden tylko ogórek. Ale ptak ciągnął dalej: - To sprawa całkiem błaha, nie obawiaj się niczego, lecz postąp dokładnie tak, jak ci radzę! Niczego tak nie pragnę, jak twego dobra, i nigdy nie doradziłbym nic, co miałoby wyjść ci na szkodę. Jeśli chodzi o perły, to możesz nazbierać ich w następujący sposób: idź jutro wczesnym rankiem do twoich wirydarzy i każ wykopać dół u stóp pierwszego drzewa po prawej stronie alei. Tam znajdziesz tak wielki zasób pereł, jaki ci będzie potrzebny! Nazajutrz rano, zaraz po brzasku, księżniczka Perizada kazała jednemu z ogrodników, aby jej towarzyszył, i poszła z nim na miejsce, o którym jej mówiący ptak mówił. Tam ogrodniczek jął kopać głęboki i szeroki dół, aż nagle jego łopata uderzyła o coś twardego. Wówczas odgarnął ziemię ręką i zdziwionym jego oczom ukazała się złota szkatułka, mniej więcej na stopę długa i szeroka. Młody ogrodniczek pokazał ją księżniczce, a ta zawołała radośnie: - Właśnie w tym celu kazałam ci tu przyjść, uważaj, abyś szkatułki nie uszkodził, ale wykop ją jak najostrożniej i podaj mi. Chłopiec wykonał rozkaz Perizady, która otworzyła szkatułkę i przekonała się, że jest wypełniona po brzegi najpiękniejszymi perłami świeżo wyłowionymi z morza. Były równiutkie i krągłe jak kulki, i wszystkie tej samej wielkości. Perizada ucieszyła się wielce i wzięwszy ze sobą szkatułkę, wróciła pośpiesznie do domu. Książęta wszakże, którzy widzieli, jak siostra wczesnym rankiem wychodziła z ogrodnikiem, i dziwili się, dlaczego wbrew swym przyzwyczajeniom tak wcześnie wyszła do ogrodu, przywdziali szybko szaty i skoro tylko zoczyli siostrę przez okno, pośpieszyli na jej spotkanie. Idąc tak, obaj bracia dostrzegli, że księżniczka zbliża się do nich niosąc jakiś przedmiot w rękę. A skoro się zbliżyli, okazało się, iż była to złota szkatułka, o której nic nie wiedzieli. Tedy rzekli: - Kochana siostrze, o świcie widzieliśmy, jak wychodziłaś do ogrodów w towarzystwie ogrodniczka, ale nic w rękę nie miałaś. Teraz wszakże powracasz stamtąd z tą złotą szkatułką, przeto wytłumacz nam, gdzie i jak ją znalazłaś. Być może, w rabatach ogrodu ukryty jest jakiś skarb! A Perizada na to: - Zaiste mówicie prawdę, bracia moi, wzięłam owego chłopca ze sobą, aby wykopał coś pod pewnym wiadomym mi drzewem, i tam trafiliśmy na tę oto szkatułkę z perłami, których widok, jak się zdaje, rozraduje wasze serca. Po czym księżniczka niezwłocznie otworzyła szkatułkę, a kiedy bracia ujrzeli drogocenne perły, nie posiadali się z zachwytem. Wówczas księżniczka powiedziała: - Chodźcie obaj ze mną, gdyż muszę rzecz ważną uczynić. Ale książę Bahman odparł: - Powiedz nam, o co chodzi, gdyż nigdy, odkąd żyjesz, nie ukrywałaś nic przed braćmi! - Bracia mili - odrzekła księżniczka - nie mam nic do ukrywania przed wami! Opowiem wam wszystko! Po czym opowiedziała im o radzie mówiącego ptaka. Książęta nad całą tą sprawą się zastanowili i dziwili niepomału, dlaczego skrzydlaty niewolnik ich siostry kazał podać szachowi potrawę z zielonych ogórków wypełnionych perłami. Księżniczka zaś powiedziała na zakończenie: - Mówiący ptak jest zaiste mądry i czujny, więc ufam, iż rada ta na pewno posłuży naszemu dobru, a w każdym razie musi mieć jakieś ukryte znaczenie i cel. Przeto godzi się uczynić

tak, jak nam polecił. Następnie księżniczka udała się na swe pokoje, zawiadzała głównego kuchmistrza i tak do niego rzecze: - Dzisiaj najmiłościvszy szach, którego zowią cieniem Allacha na ziemi, raczy spożyć tu u nas obiad. Przeto uważaj, aby wszystkie potrawy miały najprzedniejszy smak i pod każdym względem były godne podania temu, którego zowią opiekunem wszechświata. Pośród wszystkich potraw zaś jest jedna, którą musisz przyrządzić osobiście i której niech żadna obca ręka nie waży się dotknąć. Mają to być świeże zielone ogórki nadziewane drogocennymi perłami. Naczelnny kuchmistrz z najwyższym zdumieniem wysłuchał rozkazu, tak do siebie mówiąc: "Kto kiedy słyszał o takiej dziwnej potrawie i komu mogło się przyśnić, by coś takiego zamówić?" Księżniczka nie posiadała umiejętności odczytywania cudzych myśli, ale z wyrazu jego twarzy odgadła zdziwienie i tak do niego powiedziała: - Widzę że masz mnie za szaloną. Wiem, że nikt jeszcze takiego osobliwego dania nie spożywał. Niemniej czyn, com ci rozkazała! Widzisz tę oto szkatułkę wypełnioną po brzegi perłami. Weź z nich, ile ci będzie do owej potrawy potrzeba, a resztę tu pozostaw. Kuchmistrz, który w oszołomieniu swym i zachwycie zaniemówił, wziął tyle kosztownych pereł, ile mu było potrzeba, po czym niezwłocznie pobiegł do kuchni, aby czuwać nad ugotowaniem i przyrządzeniem potraw na ucztę. Księżniczka tymczasem przechadzała się po domu i ogrodzie, dając niewolnikom wskazówki, jak wszystko przyozdobić, i zwracając szczególną uwagę na dywany, kobierce, różnobarwne lampiony oraz wszelkie inne ozdoby. Skoro świt księżęta Bahman i Parwez dosiedli rumaków i bogato wystrojeni pocałowali na umówione miejsce, w którym spotkali byli pierwszy raz najmiłościvszego szacha. Również i szach dotrzymał danej obietnicy i raczył o wyznaczonej godzinie przybyć, aby wziąć udział we wspólnych łowach. Skoro jednak słońce wzeszło i promienie jego zaczęły doskwierać, szach zakończył polowanie i wraz z księżętami ruszył do ich domu. Młodszy z braci pocałował naprzód, aby zawiadomić księżniczkę Perizadę, iż ten, którego zowią opiekunem wszechświata, szczęśliwym rządzeniem losu nadjeżdża. Księżniczka wyszła więc naprzeciw, aby godnie przyjąć miłościviego szacha, i czekała na jego przybycie przed wewnętrznym wejściem do pałacu. A potem, kiedy szach minął już bramę i na dziedzińcu pałacowym zsiadł ze swego rumaka i przestąpił próg jej domu, księżniczka padła mu do stóp i złożyła należny hold. Obaj bracia zaś zawołali: - O ty, którego zowią opiekunem wszechświata, patrz, oto nasza siostra, o którejśmy ci mówili. A szach podniósł ją z klęczek z łaskawą życzliwością i wyrozumieniem. Kiedy ujrzał jej lica, zachwycił się niepomąłu jej cudownym wdziękiem i czarem. Myślał przy tym: "Jakże podobna jest ona do swych braci, zarówno z rysów twarzy, jak i postawy! Zdaje mi się, iż wśród wszystkich moich poddanych, zarówno w mieście, jak i na wsi, nie ma nikogo, kto mógłby dorównać urodą i szlachetnym ułożeniem temu rodzeństwu. Również ich wiejska siedziba przewyższa wszystko, co kiedykolwiek widziałem, zarówno przepychem, jak i wspaniałością". Księżniczka poprowadziła szacha przez amfiladę pokoi i pokazała mu cały przepych, a on cieszył się ze wszystkiego, co widział. Kiedy obejrzał zaś wszystko, co się w domu znajdowało, zwrócił się do księżniczki i rzekł: - Twój dom jest o wiele wspanialszy od wszystkich pałaców, jakie sam szach posiada, toteż szach chętnie przeszedłby się teraz po waszych ogrodach i wirydarzach, ponieważ nie wątpi, iż muszą być one równie wspaniałe, jak wasze całe domostwo. Tedy księżniczka otwarła na oścież podwoje, przez które można było spojrzeć na czarowne ogrody. I wzrok szacha przede wszystkim padł na fontannę, która bez przerwy tryskała w górę snopami i promieniami wody przezroczystej jak kryształ, a mimo to złocistego koloru. Skoro ujrzał ten dziw nad dziwy zawołał: - Zaiste, wspaniałe to źródło! Nigdy jeszcze nie widziałem czegoś tak cudownego. Ale powiedz mi, skąd ono wypływa i dlaczego bije w górę tak wysoko? Skąd bierze się wciąż nowy zapas złotej wody i w jaki sposób fontanna ta została zbudowana? Szach chętnie przyjrzałby się jej z bliska. - O królu królów i władco tej krainy - odrzekła księżniczka - czyn, co ci się tylko podoba! Po czym podeszli bliżej do fontanny i szach znieruchomiał z zachwytem, gdy usłyszał dźwięk słodkich głosów, które harmonijnie i melodyjnie rozlegały się, podobne do urzekającej muzyki. Obejrzał się więc i jął rozglądać, aby ujrzeć intonujących tę pieśń śpiewaków. Nigdzie nie było jednak żywej duszy. Chociaż spoglądał w dal i szukał z bliska, wszystko było nadaremne. Słyszał głosy, ale nie mógł odkryć śpiewających. W końcu zawołał oszołomiony: - Skąd dolatują te przepiękne dźwięki? Z wnętrza ziemi czy też z przestworzy? Napęlniają one serce moje zachwytem i wprawiają moje zmysły w zdumienie, gdyż

nigdzie nie widzę tego, co śpiewa. Księżniczka odpowiedziała zaś z uśmiechem: - O królu królów, dźwięki, które słyszy twoje królewskie ucho, pochodzą z tego oto drzewa. Podejdz, proszę, trochę bliżej i przyjrzyj mu się dobrze! Wówczas szach podszedł do drzewa, a czarowna muzyka zachwycała go coraz bardziej. To spoglądał na złocistą wodę w fontannie, to znów na śpiewające drzewo, aż w końcu zatracił się w swym podziwieniu i zachwycie. Po czym tak rzekł do siebie: "O Allachu, powiedz mi, czy to dzieło natury, czy też czarnoksięskiej sztuki? Zaiste, miejsce owo pełne jest tajemnic!" Tu szach zwrócił się do księżniczki i zapytał: - Miła pani, powiedz mi, jakim sposobem posiadliście to czarodziejskie drzewo, które rośnie pośrodku waszego ogrodu? Azali ktoś przywiózł wam je jako rzadki gościniec z obcych krajów? A jaka jest nazwa tego drzewa? Perizada na to: - O królu królów, dziw to zwie się śpiewającym drzewem i nie rośnie w naszym kraju. Za długo byłoby opowiadać, skąd i w jaki sposób je dostałam. Niech więc na razie wystarczy, jeśli powiem, że wszystko troje: śpiewające drzewo, złotą wodę i mówiącego ptaka otrzymałam w jednym i tym samym czasie. Racz teraz w towarzystwie twej kornej służebnicy obejrzyć tę trzecią osobliwość. A kiedy szach odpocznie nieco od trudów i zmęczenia na łowach, opowiem mu historię tych trzech osobliwości ze wszystkimi szczegółami, jeśli ten, którego zowią opiekunem wszechświata, raczy mnie posłuchać. Na co szach odparł: - Zmęczenie szacha minęło już na widok tylu cudów, chodźmy więc zaraz do mówiącego ptaka. Tedy księżniczka poprowadziła szacha do mówiącego ptaka i pokazała mu go, a potem wrócili do ogrodu, gdzie szach w najwyższym zdumieniu nie mógł się napatrzeć fontannie i złocistej wodzie. Nagle władca zawołał: - Jak się to dzieje? Oko szacha nie dostrzega żadnego źródła, z którego ta woda mogłaby wypływać, ani żadnego kanału czy basenu dość wielkiego, aby całą tę wodę pomieścić! A księżniczka na to: - Mówisz prawdę, o królu królów. Fontanna ta nie ma żadnego źródła, a wytryska z małej marmurowej misy, którą kiedyś napełniłam zawartością jednej jedynej amfory ze złotą wodą. Ale dzięki wszechmocy Allacha woda zaczęła przybierać, a wytrysnęła w górę tym potężnym snopem złocistych promieni, które miłośnicy szach raczy widzieć! I bije tak zarówno w dzień, jak i w nocy. A najdziwniejsze to to, że wody, która z takiej wysokości opada znów do basenu, nigdy nie ubywa i ani kropla z niej nie wylewa się i nie ginie. Tedy szach pełen zdumienia i zachwytu kazał zaprowadzić się z powrotem do mówiącego ptaka. Księżniczka zawiodła go do altany, z której mógł zobaczyć tysiące ptaków najróżniejszego gatunku, wyśpiewujących w listowiu i wypełniających powietrze swymi trelami ku chwale Stwórcy. Tedy szach zapytał swej pięknej przewodniczki: - Miła pani, skąd pochodzą ci niezliczeni śpiewacy, którzy przylatują do tego drzewa i napełniają przestworza swymi melodyjnymi głosami, nie siadając wszakże na żadnym innym? - O królu królów - odparła księżniczka - wszystkie one zwabione są tu przez mówiącego ptaka i gromadzą się, aby towarzyszyć jego precudnemu śpiewowi. A ponieważ klatka z mówiącym ptakiem wisi w oknie tej oto altany, siadają tylko na sąsiadującym z nią drzewie. Tutaj bowiem można najlepiej usłyszeć, iż mój czarodziejski ptak śpiewa o wiele piękniej od nich wszystkich, trele jego brzmią nawet melodyjniej od śpiewu słowika. Skoro szach zbliżył się do klatki z mówiącym ptakiem i usłyszał jego śpiew, księżniczka zwróciła się do swego skrzydlatego więźnia i tak rzecze: - Hej, mój upierzony niewolniku, czy nie widzisz, że jest przy tobie ten, którego zowią opiekunem wszechświata? Dlaczego więc nie świadczysz mu należytą cześć i hołdów? Kiedy mówiący ptak słowa te usłyszał, przestał od razu śpiewać, a wraz z nim umilkły i wszystkie inne. Były bowiem posłuszne swemu skrzydlatemu władcy i żaden z nich nie ważył się odezwać, kiedy pograżał się on w milczeniu. Mówiący ptak tak zaś przemówił: - O szachu miłoścy, niech Allah w wszechmocy swojej i majestacie raczy udzielić ci zdrowia i szczęścia. Szach odpowiedział na pozdrowienie, a skrzydlaty niewolnik księżniczki Perizady nie ustawał w wypowiedaniu słów błogosławieństwa nad głową miłoścy szacha. Tymczasem nakryto stoły z wielkim przepychem i podano najkosztowniejsze potrawy zebranych, których posadzono według należącego im randze szacunku. Szach zaś wybrał sobie miejsce tuż przy mówiącym ptaku, około okna, w którym wisi klatka. Skoro podano półmisek z zielonymi ogórkami, wyciągnął rękę po nie. Ale pełen zdumienia cofnął ją, gdy zobaczył, że ogórki, leżące rzędem na półmisku, nadziewane były perłami, które z obu końców były widoczne. Zapytał więc księżniczkę oraz jej braci: - Powiedzcież, cóż to za potrawa? Chyba nie jest przeznaczona do jedzenia! Dlaczego więc

podaje się ją szachowi? Rozkazuje wam, abyście mi wytłumaczyli, co to ma znaczyć! Ale książęta nie mogli mu dać odpowiedzi, ponieważ sami nie wiedzieli, co rzec. Tedy podczas ogólnego milczenia odparł zamiast nich mówiący ptak: - O największy władco naszych czasów, raczysz uważać za dziwne, że podajemy ci półmisek z ogórkami wypełnionymi perłami. Czyż nie jest wszakże dziwniejsze, iż nie zdumiałeś się, gdy ci powiedziano, że szachini, twoja małżonka, wbrew prawom porządku świata ustanowionym przez Allacha, porodziła psa, kota i piżmowego szczura! To przecież musiało cię chyba bardziej zdziwić, bo czy ktoś słyszał kiedy, aby kobieta dawała życie takim stworom? Wówczas szach zwrócił się do mówiącego ptaka i tak rzecze: - Wszystko, co mówisz, jest istotnie słuszne i wiem, że takie rzeczy nie są zgodne z prawami Allacha, ale uwierzyłem słowom położnych, które były przy mojej królewskiej małżonce podczas rozwiązywania, zwłaszcza iż nie były to obce niewiasty, lecz jej własne siostry, córki tych samych rodziców co ona. Czyż mogłem więc nie wierzyć ich słowom? - O królu królów - ciągnął mówiący ptak - zaiste wiem dobrze, jak sprawa ta rzeczywiście wyglądała. Bo chociaż niewiasty owe są siostrami szachini, to jednak widząc łaskę i miłość, jaką szach obdarzył ich najmłodszą siostrę, były pełne nienawiści i gniewu, ponieważ natura ich była zazdrosna i zawistna. Przeto wymyśliły nikczemny podstęp przeciwko swej siostrze i w końcu udało się ich niecnej chytryści odwieść twoje myśli od szachini i ukryć przed twoimi oczyma jej cnoty. Teraz wszakże ich złość i fałsz zostaną ujawnione. A jeśli wymagać będziesz jeszcze dalszych dowodów, każ przywołać obie zazdrosne siostry i wypytaj je w tej sprawie! Nie będą one mogły nic przed tobą ukryć, będą musiały przyznać się do wszystkiego i błagać cię o przebaczenie. . A potem tak jeszcze mówił dalej czarodziejski ptak: - Ci oto dwaj bracia, iście królewskiej urody i siły, oraz ta pełna wdzięku księżniczka, ich siostra, są twymi prawowitymi dziećmi, którym życie dała twoja królewska małżonka. Położne zaś, którymi były twoje szwagierki, usunęły te twoje dzieci zaraz po narodzeniu, pchane do tego czarnością swych serc i podłością widoczną na ich niecznych licach. Zaiste, za każdym razem, kiedy urodziło ci się dziecko, obwijały je w szmaty, kładły do koszyka i rzucały do strumienia przepływającego przy twoim pałacu, chcąc je w ten sposób pozbawić życia. Ale szczęśliwy los chciał, iż nadzorca twoich królewskich ogrodów wszystkie te koszyki widział, kiedy przepływały około powierzonych jego opiece gruntów, a niemowlęta, które w nich były, brał pod swoją opiekę. Potem kazał wykarmić je i wychować jak najstaranniej. A kiedy podrosły i doszły do właściwych lat, starał się, aby wyćwiczono je we wszelkich sztukach i umiejętnościach. Do końca swego życia traktował je i wychowywał z czułą miłością, jak gdyby były to jego własne dzieci. A teraz, o najdostojniejszy szachu, zbudź się wreszcie ze swej nieświadomości i osłupienia i wiedz, że obaj ci książęta, Bahman i Parwez, oraz ich siostra, księżniczka Perizada, są twymi rodzonymi dziećmi i prawowitymi dziedzicami! Usłyszawszy te słowa i upewniwszy się wewnątrz, iż odpowiadają one prawdzie, szach pojął diabelskie zbrodnie szwagierek i tak do ptaka powiada: - O czarodziejski ptaku, uwierzyłem w prawdziwość twoich słów. Kiedy bowiem po raz pierwszy ujrzałem tych młodzieńców w moich łowieckich ostępach, serce moje zmuszone było kochać ich, jak gdyby to byli moi rodzeni synowie. Zarówno oni, jak i ich siostra przyciągnęli moje serce do siebie niczym magnes przyciąga żelazo. Głos krwi odezwał się we mnie i zmusza mnie do uznania więzów rodzinnych i przyznania, że to moi najprawdziwsi potomkowie, urodzeni z łona mojej królewskiej małżonki, której straszny los dane mi było wypełnić. Po czym, szach zwrócił się do młodych książąt oraz ich pięknej siostry i ze łzami w oczach przemówił przerywanym głosem: - Jesteście moimi dziećmi i od tej chwili uważajcie mnie za swojego ojca! Tedy oni podbiegli do niego, z głośnymi okrzykami radości rzucili mu się na szyję i objęli go czule. Potem wszyscy usiedli znów do stołu, a po spożyciu posiłku szach Chosru tak do nich rzecze: - Umiłowane dzieci, niestety muszę was teraz opuścić, ale jeśli Allah pozwoli, powrócę tu jutro wraz z szachinią, waszą matką. Rzekłszy to pożegnał się z nimi serdecznie, dosiadł rumaka i podążył do swego pałacu. Zaledwie usiadł na tronie, jak już przywołał wielkiego wezyra i wydał mu rozkaz: - Poślij zaraz po owe podłe niewiasty, siostry mojej królewskiej małżonki, i każ je zakuć w ciężkie kajdany, zbrodnie ich bowiem nareszcie wyszły na jaw. Diablice te zasługują na stracenie, jak traci się morderców. Niech kat zaraz naostrzy swój miecz, gdyż ziemia łaknie ich nikczemnej krwi! Idź sam i dopilnuj, aby bez ociągania się i zwłoki zaraz je ścięto. Nie czekaj na dalsze rozkazy, ale bądź posłuszny i



niezwłocznie wypełnij moje polecenie! Wielki wezyr oddalił się natychmiast i w jego obecności, zgodnie z rozkazami króla, zazdrosne siostry zostały ścięte, ponosząc w ten sposób słuszną karę za swoją złość i zbrodnię. Szach zaś wraz ze swą żoną udał się pieszo do głównego meczetu, u którego wrót nieszczęsna szachini przez tak wiele lat w gorzkim bólu i cierpieniu była uwięziona. Szach swoją własną królewską ręką wyprowadził ją z klatki i objął najczulej. A skoro ujrzał jej smutny stan, zniekształcone długimi cierpieniami rysy i budzące litość łachmany, zapłakał gorzko i zawołał: - Niech Allah najmiłosiwszy przebaczy mi, że postąpiłem tak niesprawiedliwie i krzywdząco wobec ciebie, mojej małżonki! Twoje siostry, które podle i podstępnie zbudziły mój groźny gniew przeciwko tobie, niewinnej i czystej, kazałem ściąć, tak że poniosły już zasłużoną zapłatę za swoje nieczne przestępstwa. To rzekłszy król, pełen przyjaźni i miłości do swojej małżonki, opowiedział jej wszystko, co mu się przydarzyło i o czym mówiący ptak go uświadomił. I zakończył takimi słowami: - Wkrótce udamy się oboje do pałacu, gdzie ujrzysz swych obu synów i córkę, którzy wyrosli na istoty pełne wdzięku. Spiesz, aby wziąć ich w objęcia i przytulić do serca, bo przecież to nasze rodzone dzieci, światło naszych oczu! Ale przedtem musisz podążyć do łaźni i przyoblec królewskie szaty i klejnoty! Tymczasem w mieście rozeszły się już słuchy o tych wydarzeniach. Opowiadano, że szach nareszcie okazał swej małżonce należną łaskę i że własną ręką wywiódł ją z więzienia, błagając o przebaczenie za wszelkie krzywdy, które jej wyrządził. Mówiono o tym, że młodzi książęta i księżniczka, wychowywani przez nadzorcę ogrodów, okazali się rodzonymi dziećmi szachini, oraz wreszcie o tym, że szach srogo ukarał złe siostry, które przeciwko niej uknuły spisek. Zapanowała tedy radość i wesele zarówno w stolicy, jak i w całym państwie, a wszystek lud błogosławił małżonkę szacha i przeklinał jej siostry. Nazajutrz skoro szachini wykapała się i przyoblała królewskie szaty i klejnoty, udali się oboje z szachem do swoich dzieci. Szach przyprowadził do niej księcia Bahmana, księcia Parweza oraz księżniczkę Perizadę i tak rzecze: - Spójrz, oto twoje dzieci, owoc twojego żywota i krew z twojej krwi. Twój rodzeni synowie i twoja rodzona córka. Weź je w swoje objęcia z całą miłością matczyną i okaż dowody twej łaski, tak jak ja już to uczyniłem! Kiedy wydałaś dzieci na świat, twoje przeklęte siostry odebrały ci je, rzuciły do strumienia i obmówiły cię, że powiłaś najprzód szczenie, potem kocię, a wreszcie piżmowca. Przeklinam tę chwilę, że wtedy ich niecznym oszczerstwem uwierzyłem. Jedynym zadośćuczynieniem, jakie mogę ci dać, jest, że tę trójkę, którąś mi porodziła i którą Allah cudownie nam przywrócił, prowadzę teraz w twoje objęcia. Tedy książęta i księżniczka rzucili się swej odnalezionej matce na szyję i obejmowali ją czule, wylewając z radości potoki łez. Po czym szach i szachini zasiedli wspólnie ze swymi odzyskanymi dziećmi do stołu. Spożywszy posiłek, szach poszedł ze swoją małżonką do ogrodu, aby pokazać jej śpiewające drzewo oraz fontannę ze złocistą wodą. Szachini zaś nie posiadając się wprost ze zdumienia i zachwytu. Następnie skierowali swe kroki do altany i odwiedzili mówiącego ptaka, o którym szach zdążył już podczas uczy opowiedzieć swej małżonce z najwyższymi pochwałami. A szachini radowała się wielce słodkim głosem ptaka oraz jego melodyjnym śpiewem. Skoro już wszystkie osobliwości obejrżeli, szach dosiadł rumaka, książę Bahman toczył koniem po jego prawej, a książę Parwez po lewej stronie, a szachini wzięła księżniczkę Perizadę do swej lektyki i w ten sposób podążyli do królewskiego pałacu. Kiedy królewski orszak przebył wrota miejskie i kroczył przez ulice z monarszym przepychem i wspaniałością, poddani usłyszawszy o wesołej nowinie tłoczyli się gromadnie, aby przyjrzeć się monarszej rodzinie, wydając radosne okrzyki. Tak jak ongiś ludzie smucili się, widząc małżonkę królewską w hańbiącej niewoli, tak cieszyli się obecnie ponad wszelką miarę, widząc ją znowu na wolności. Najbardziej jednak dziwowali się, kiedy zobaczyli mówiącego ptaka. Księżniczka Perizada trzymała bowiem w ręku klatkę z mówiącym ptakiem i kiedy posuwała się naprzód w królewskiej lektyce, wokoło niej roило się od śpiewającego słodkimi głosami ptactwa, towarzyszącego czarodziejskiemu ptakowi i napełniającego przestworza najcudowniejszą melodią. A całe gromady innych jeszcze ptaków, które siedziały na drzewach i dachach domów, śpiewały i szczebiotały, jak gdyby chciały powitać w ten sposób klatkę z ich skrzydlatym władcą, niesioną w królewskim orszaku. Szach, szachini oraz ich dzieci przybywszy do pałacu, zasiedli do wspaniałej uczy. Całe miasto było rzeświście iluminowane, a tańce i zabawy świadczyły o radości poddanych. Uroczystości trwały wiele dni zarówno w stolicy, jak i w całym

państwie i każdy był wesół i szczęśliwy, wyprawiając ucztę i zabawy w swoim domu. Kiedy uroczystości się skończyły, szach Chosru wyznaczył pierworodnego swego syna Bahmana na następcę tronu i przekazał w jego ręce wszystkie sprawy państwa. Księżę zaś zarządzał nimi z taką mądrością i powodzeniem, iż obszar i sława perskiego królestwa podwoiły się. Młodszemu swemu synowi, Parwezowi, szach przekazał pieczę nad wojskiem, zarówno nad całą konnicą, jak i piechotą. A księżniczka Perizada została przez ojca swego dana za żonę potężnemu królowi, który panował nad wielkim i wspaniałym państwem. I nawet matka ich, szachini, w swej radości i błogostanie zapomniała o minionych męczarniach i niewoli. Od tego czasu los darzył ich wszystkich najszczęśliwszymi dniami i życie ich płynęło w szczęściu, aż w końcu przybyła do nich ta, która radości każe milczeć i rozrywa wszelkie więzy przyjaźni, która obraca w gruzy zamki, a stawia grobowce. Ona, która przygotowuje żniwo na dzień zmartwychwstania. I wszystko przeminęło, jakby nigdy nie było. Chwała więc Allahowi miłociwemu, który nigdy nie przemija i pozostaje zawsze ten sam.



## O rybaku i dzinnie

Żył sobie kiedyś sędziwy rybak, który miał troje dzieci i był bardzo ubogi. Zwyczajem jego było cztery razy dziennie zarzucać sieci, ale nigdy częściej. Pewnego dnia wyszedł z chaty w południe na wybrzeże morskie, gdzie postawił swój koszyk. Potem podkasawszy koszulę wszedł do wody, zarzucił sieć i czekał, aż opadnie na dno. Wówczas wziął w garść wszystkie końce sieci i pociągnął, ale sieć okazała się za ciężka. I choć ciągnął z całej siły, nie mógł jej wydobyć. Tedy wbił słupek w ziemię i przywiązał do niego sieć. Po czym zrzucił koszulę i zanurzył się głęboko w wodę, obszedł sieć dookoła i póty nią targał, aż w końcu udało mu się ją wyciągnąć. Wielce uradowany wyszedł na brzeg, ubrał się i przystąpił do sieci. Ale był tam tylko zdechły osioł, który na domiar złego porozrywał swym ciężarem wiele oczek. Skoro rybak to zauważył, zawołał wielce zafrasowany: - Nie ma potęgi ni siły poza Allachem w niebiesiech! - A potem dodał: - Zaiste, osobliwy to połów, który nie zapewni mi chleba powszedniego! Wyrzuciwszy zdechłego osła z sieci, naprawił ją i rozciągnął, po czym wszedł znów do morza, mówiąc: - W imię Allacha! - Zarzucił sieć i czekał, aż opadnie. Wówczas znowu pociągnął, ale sieć była jeszcze cięższa i bardziej nieustępliwa niż za

pierwszym razem. Teraz wszakże wydało mu się, że są w niej ryby. Przeto umocował sieć, rozebrał się, wszedł do wody, nurkował i nie szczędził wysiłku, aby ją z wody na suchy ląd wydobyć. I tym razem jednak w sieci ryb nie było, ale tylko wielki gliniany dzban, pełen piasku i mułu. Rybak zafrasował się jeszcze bardziej i zaczął mówić mową wiążaną: O ty, zły losie, który mnie tak gnieciesz, @ Zgiń, a gdy nie chcesz, to wygnam cię siłą! @ Poszedłem szukać szczęścia gdzieś na świecie, @ Znalazłem, ale wnet się ulotniło. @ Pod dobrą gwiazdą szalenieć się rodzi, @ A rozumnemu marnie się powodzi. Wypowiedziawszy ten wiersz, rybak odrzucił precz gliniany dzban, wyjął sieć, oczyścił ją, poprosił Allacha o przebaczenie i wszedł trzeci raz do morza, aby sieć zarzucić. Odczekał, aż opadła, potem wyciągnął ją i znowu znalazł zamiast ryb skorupy, potłuczone szkło i kości. Tedy zafrasował się bardzo i zaczął płakać, wzniósł oczy ku niebu i zawołał: - O Allachu, wiesz przecie, że zarzucam moją sieć zawsze tylko cztery razy na dzień. Trzy razy już ją zarzuciłem i wszystko na nic, więc tym razem, Allachu miłościwy, pozwól mi zarobić na kawałek chleba! Wymówiwszy imię Allacha, zarzucił ponownie sieć i czekał, aż opadnie. Po czym ciągnął i ciągnął, ale znów nie mógł jej wydostać, gdyż przyczepiła się mocno do morskiego dna. Tedy rozebrał się znów i nurkując starał się sieć wydobyć, aż w końcu z wielkim trudem wytaszczył ją na brzeg. Rozwinąwszy znalazł w niej tym razem mosiężną amforę o długiej szyjce. Amfora była czymś napełniona, a otwór jej zalany ołowiem i zapieczętowany. Ujrawszy to rybak ucieszył się wielce i rzekł: - Sprzedam tę amforę na rynku, gdzie sprzedają mosiężne naczynia, gdyż na pewno warta jest przynajmniej dziesięć złotych denarów. Mówiąc tak potrząsnął nią i zmiarkował, iż jest ciężka i mocno zakorkowana. - Chyba tylko Nieba mogą wiedzieć - ciągnął dalej - co w tej amforze siedzi. Przeto otworzę ją, aby przekonać się, co w niej jest, i dopiero wtedy ją sprzedam. Wyciągnął nóż i zaczął majstrować przy ołowianej pieczęci, aż się obluźowała. Po czym położył amforę bokiem na ziemi i potrząsnął nią, aby zawartość jej wypłynęła. Wszelako nic z niej się nie wydostało, rybak więc nie mógł się nadziwić. Ale nagle amfora zaczęła dymić. Smuga dymu uniosła się wysoko w górę, a potem zakryła wszystko dookoła. Kiedy dym osiągnął już dość okazałą wysokość, zebrał się w sobie, zgęstniał, a potem zaczął się kłębić i zmienił się w olbrzymiego dzinna, którego głowa sięgała chmur, a stopy stały mocno na ziemi. Czoło jego było wielkie jak kopuła. Ręce miał jak szufle, nogi jak maszty, a paszczę niczym pieczara. Zębiska dzinna były jak wielkie głązy, nozdrza jak dzbany, ślepie jak lampy, a wzrok dziki i ponury. Rybak zatrząsnął się z przerażenia, zęby jęły mu dzwonić, a ślina wyschła w ustach, tak że biedak nie wiedział, co począć. Dżinn zaś spojrział na niego i zawołał: - Nie ma Boga krom Allacha, a Salomon jest jego prorokiem! A potem dodał: - Proroku Allacha, nie zabijaj mnie! Nigdy już nie będę przeczył twoim słowom i buntował się przeciwko tobie. Rybak zaś zapytał: - Potężny dzinnie, jakżeż to zwracasz się do króla Salomona nazywając go prorokiem Allacha? Przecież Salomon umarł już tysiąc osiemset lat temu, a my żyjemy teraz na końcu wszystkich czasów! Jakież są twoje dzieje i przygody i w jaki sposób dostałeś się do tej amfory? Dżinn odrzekł: - Nie ma Boga krom Allacha. Obwieszczę ci wesołą nowinę, rybaku! - Cóż to za wesołą nowinę chcesz mi obwieścić? - spytał rybak. A straszny dżinn odparł: - Nowiną tą jest, że jeszcze w tej samej godzinie umrzesz okropną śmiercią. A rybak na to: - Zaprawdę, za taką nowinę zasługujesz, aby Nieba odmówiły i swojej opieki, przekłębni! Powiedz, dlaczego chcesz mnie zabić dlaczego zasłużyłem na śmierć ja, który z amfory tej cię wyzwoliłem, ocaliwszy z głębin morza i przyniósłszy na suchy ląd? Wszelako straszny dżinn mówił dalej: - Pozwalam ci jedynie wybrać rodzaj śmierci i sposób, w jaki masz umrzeć. Rybak zaś pytał: - Jakąż zbrodnię popełniłem i za jaki występki mnie karzesz? - Posłuchaj lepiej moich dziejów, o rybaku - odrzekł dżinn. - Mów, ale niech słowa twoje będą związane, gdyż zaprawdę czuję już, że tchnienie życia ulatuje ze mnie. Tedy straszny dżinn rzecze: - Wiedz, o rybaku, iż jestem jednym z tych zbuntowanych dżinnów, które wspólnie z dżinnem Sachrem podniosły rokosz przeciwko naszemu królowi Salomonowi. Tedy nasz król i prorok posłał swego wezyra Asafa, syna Barachija, przeciwko nam. I ten pojmał mnie przemocą i powiódł w pętach. Przy czym nie mogłem opanować strachu. Kiedy przyprowadził mnie przed królewskie oblicze i Salomon mnie ujrzał, wypowiedział nade mną straszliwe zaklęcia i kazał mi przysiąc posłuszeństwo. Ja wszakże nie chciałem się zgodzić. Wówczas król polecił przynieść tę oto amforę, zamknął mnie w niej i zapieczętował ołowiem, na którym wycisnął pieczęć z imieniem

Najpotężniejszego, a swoim wiernym dzinnom rozkazał wynieść mnie precz i rzucić w morskie odmęty. Tam przeleżałem sto lat, tak w sercu moim powtarzając: "Kto mnie uwolni, tego na wieczne czasy obdarzę niezmiernym bogactwem". Wszelako minęło całe stulecie i nikt mnie nie chciał uwolnić. A skoro zaczęła się druga setka lat mojej niewoli, mówiłem: "Kto mnie uwolni, dla tego otworzę wszystkie skarbcie podziemne". Ale znów nikt mnie nie uwolnił, i tak przeminęło dalszych czterysta lat. Wtedy zacząłem powtarzać: "Kto mnie uwolni, temu spełnię trzy jego życzenia". Ale i tym razem nikt nie chciał mnie uwolnić. Tedy popadłem w straszną złość i tak do siebie mówiłem: "Tego, kto mnie teraz uwolni, zabiję, pozostawiając mu jedynie wybór, jaką śmiercią ma umrzeć". Ponieważ ty mnie uwolniłeś, przeto pozwalam ci wybrać rodzaj śmierci. Kiedy rybak te słowa usłyszał, zawołał: - To Allah sprawił, że właśnie ja musiałem ciebie uwolnić! - Po czym zaczął błagać strasznego dzinna: - Oszczędź moje życie, a wtedy i Allah oszczędzi twoje. Nie zabijaj mnie, aby Allah nie dał władzy nad tobą komuś, kto cię zabije! A straszny dzinn na to: - Nic ci nie pomoże, musisz umrzeć! Jedyną łaską, jaką ci daję, jest, iż możesz wybrać rodzaj twej śmierci! I chociaż rybak widział, że straszny dzinn twardo stoi przy swoim postanowieniu, zwrócił się doń raz jeszcze, mówiąc: - Oszczędź mnie z wdzięczności za to, że cię z tej amfory wyzwolił. - Przecież właśnie dlatego chcę cię zabić, że wróciłeś mi wolność. - Władco dzinnów - rzekł rybak - wyświadczyłem ci dobrodziejstwo, a ty mi odpłacasz złem za dobre! Zaprawdę, stare przysłowie nie kłamie, kiedy mówi: Za naszą dobroć podle obeszlą się z nami. @ Tak czynić zwykli zawsze łotry nad łotrami, @ Bo szlachetnej pomocy nie docenia tłuszcza @ I głupi, kto hienę na wolność wypuszcza. Skoro dzinn słowa te usłyszał, odparł: - Dostyc marudzenia, czas umierać! Tedy rybak tak do siebie w duchu powiedział: "To jest dzinn, ja zaś jestem człowiekiem, którego Allah obdarzył rozumem. Posłużę się przeto swym umysłem i obmyślę coś na zgubę dzinna". Po czym zapytał: - Czy naprawdę postanowiłeś mnie zabić? A tamten odparł: - Rzekłeś! Wówczas rybak zawołał: - W imię Najpotężniejszego wyryte na pieczęci, czy pozwolisz, że zapytam cię o coś i czy mi odpowiesz szczerą prawdę? Dzinn zadrżał na dźwięk imienia Allaha i odparł: - Pytaj, ale niech słowa twoje będą krótkie. Tedy rybak zapytał: - Twierdzisz, że byłeś zamknięty w tej amforze, która przecież nie jest dość duża, aby pomieścić chociażby jedną twoją rękę czy stopę. W jakim więc sposób mogła ona być tak wielka, abyś mógł się w niej cały schować? - Nie wierzysz przeto, że ja w tej amforze byłem? - odpowiedział straszny dzinn pytaniem na pytanie. A rybak na to: - Przenigdy nie uwierzę, zanim nie zobaczę tego na własne oczy. Wówczas dzinn zadrżał cały, stał się dymem unoszącym się ponad morzem, po czym zgęstniał i powoli, całkiem powoli skrył się w amforze, aż znikł całkowicie w jej wnętrzu. Rybak zaś, nie namyślając się długo, schwycił szybko ołowiany korek, na którym była odcisnięta pieczęć, i zatkał nim długą szyjkę amfory, wołając: - Teraz ja pozostawiam ci łaskawie wybór rodzaju śmierci, jaką chcesz umrzeć! Na Allaha, rzucę cię na dno morskie, a tu nad brzegiem morza wybuduję sobie chatkę, abym mógł każdego, kto przyjdzie, przestrzec, by tutaj nie ważył się łowić ryb. I będę każdemu mówił: "Na dnie morskim znajduje się dzinn, który temu, kto by go wyłowił, pozostawia tylko wybór rodzaju śmierci z jego ręki". Dzinn słysząc słowa rybaka usiłował się uwolnić, wszelako mu się to nie udało, gdyż ołów trzymał mocno. Zrozpaczony, że rybak go przechytrzył, rzekł: - Przecież ja tylko z tobą żartowałem! Ale rybak na to: - Łżesz, najhaniebniejszy, najpodlejszy i najnędnniejszy ze wszystkich dzinnów - po czym pobiegł z amforą na brzeg morza powtarzając: - Nic ci nie pomoże! - Co chcesz ze mną uczynić, o rybaku? - pytał dzinn przymilnie. - Chcę cię rzucić do morza - odparł tamten. - Jeśli spędziłeś tam już tysiąc osiemset lat, to pozostań jeszcze na dnie morskim aż do dnia Sądu Ostatecznego. Czyż nie mówiłem ci: "Oszczędź mnie, a Allah ciebie oszczędzi, nie zabijaj mnie, gdyż inaczej Allah pozbawi cię życia?" Ale ty nie baczyłeś na moje słowa i chciałeś mi koniecznie wyrządzić krzywdę. Teraz Allah oddał cię w moje ręce, a ja okazałem się chytrzejszy od ciebie. Dzinn błagał: - Wypuść mnie na wolność, a wyświadczę ci wiele dobrodziejstw. A rybak na to: - Kłamiesz, przekłębniku! Gdybyś mnie oszczędził, to i ja zlitowałbym się teraz nad tobą, ale ty chciałeś koniecznie mnie zgładzić, przeto i ja spowoduję teraz twoją zgubę, rzucając cię uwięzionego w tej amforze w odmęty morskie. Wówczas dzinn zaczął głośno wyć i wrzeszczeć: - Zaklinam ci w imię Allaha, o rybaku, nie czyn tego! Ulituj się nade mną i przebac mi to, co chciałem ci wyrządzić. Jeśli ja wyrządziłem ci krzywdę, to ty odpłać mi

dobrem za złe, gdyż przysłowie mówi: "Czyń dobrze temu, kto cię skrzywdził, gdyż krzywdziciel ukarany już jest swoją własną zbrodnią". A rybak na to: - Na nic się nie zda cała ta twoja gadanina! Nic ci już nie pomoże i będziesz rzucony na dno morskie, z którego nie masz dla ciebie ocalenia ni powrotu. Był czas, kiedy błagałem cię o litość i upokarzałem się przed tobą. Ale ty chciałeś koniecznie mnie zgładzić, choć byłem bez winy. Zaprawdę nigdy nie wyrządziłem ci żadnej krzywdy, ale jedynie wyświadczyłem dobrodziejstwo, wyzwalając cię z niewoli. Lecz przekonałem się, że jesteś zbrodniarzem. Wiedz przeto, iż rzuciwszy cię z powrotem do morza, opowiem każdemu, kto by cię miał stamtąd wyłowić, jak się wobec mnie zachowałeś, i przestrzegę go, iż powinien cię znów rzucić na dno morskie, gdzie masz pozostać aż do dnia Sądu Ostatecznego. Ale dzinn nie ustawał w błaganiach: - Zwróć mi wolność! W ten sposób okażesz się szlachetnym, a ja przysięgam, że nigdy już nic złego tobie nie wyrządę. Ba, pomogę ci nawet wyzwolić się z nędzy i ubóstwa. Wreszcie rybak zawierzył przysięgom dzinna z powołaniem się na Allacha jako na świadka i otworzył amforę. I znów wznosił się pod niebiosą słup dymu, potem zakrył wszystko dookoła i ponownie stał się dzinnem o straszliwej postaci, który natychmiast tak kopnął pustą amforę, że poleciała daleko i wpadła do morza. Skoro rybak zobaczył, że straszny dzinn amforę do morza wyrzucił, zdało mu się znów, iż czeka go niechybna śmierć. Powiedział tedy do siebie: "To niedobry znak". Ale potem zebrał się na odwagę i zawołał: - Dzinnie! Allach powiedział: "Dotrzymujcie układów, gdyż przyjdzie czas, kiedy z dotrzymywania układów trzeba będzie zdać przed Najwyższym Sędzią rachunek". Ślubowałeś i poprzysięgłeś, że nie dokonasz wobec mnie zdrady, aby Allach nie popełnił zdrady wobec ciebie. Zaiste bowiem mściwy jest Bóg, który udziela wprawdzie grzesznikowi zwłoki, ale nigdy go z mocy swojej nie wypuszcza. Powtarzam ci raz jeszcze. Zlituj się nade mną, a Allach się nad tobą ulituje. Dzinn wszakże roześmiał się i rzekł rybakowi: - Pójdź za mną! I rybak poszedł za nim, ciągle jeszcze niepewny swego losu. Szli tak, aż znaleźli się poza miastem. Potem wspięli się na wysoką górę i zeszli z niej na rozległą równinę i tu nagle stanęli przed wielkim jeziorem. Dzinn zaczął brodzić po wodzie i zawołał na rybaka: - Pójdź za mną! Ten udał się za nim aż do środka jeziora. Tam dzinn zatrzymał się i kazał rybakowi zarzucić sieć i łowić ryby. Rybak spojrzął na jezioro i zoczył mnóstwo różnobarwnych ryb. Były białe i czerwone, błękitne i żółte, tak że dziwował się wielce. Po czym zarzucił sieć, a gdy ją wyciągnął, znalazł w niej cztery ryby, każdą innego koloru. Rybak ucieszył się, a dzinn tak do niego rzekł: - Zanieś te ryby sułtanowi, a wynagrodzi cię sowicie. Ty zaś wybac mi w imię Allacha, że dziś nie umiem ci inaczej odpłacić za twój czyn. Pomnij jednak, że tysiąc osiemset lat przeleżałem na dnie morza i dopiero od godziny oglądam ziemię. Pamiętaj też, że w jeziorze tym nie wolno ci nigdy łowić ryb częściej niż jeden raz na dzień. Powiedziawszy to dzinn pożegnał się z rybakiem mówiąc: - Niech Allach miłościwy sprawi, abyśmy się jeszcze kiedyś spotkali! - Po czym tupnął nogą o ziemię, ziemia rozstała się i pochłonięła go. Zdumiony tym, co mu się przytrafiło, rybak wziął złowione ryby i podążył do swojej chaty. Tam wziął glinianą misę, napełnił ją wodą i wrzucił do niej różnokolorowe ryby, które zaraz poczęły się miotać. Później postawił sobie misę na głowie i zgodnie z zaleceniem dzinna zaniósł do pałacu sułtana. Kiedy stanął przed sułtanem i pokazał mu to, co złowił, sułtan nie posiadał się ze zdumienia. Nigdy bowiem nie widział jeszcze podobnych ryb. Powiedział przeto do rybaka: - Daj te ryby niewolnicy, która mi przyrządza stawę. Niewolnicę tę otrzymał sułtan trzy dni temu w darze od greckiego cesarza i nie wypróbował jeszcze jej sztuki kucharskiej. Tedy wezyr kazał Greczynce, aby ryby usmażyła, mówiąc: - Dziewczyno, jego sułtańska mość każe ci oznajmnić, że chcemy cię wypróbować, o łzo mojego oka. Pokaż nam przeto twój kunszt kucharski i zdolności. Sułtan otrzymał bowiem dziś od pewnego rybaka taki oto dar. Wydawszy kucharce polecenie, wezyr powrócił przed oblicze sułtana, a ten kazał wręczyć rybakowi czterysta denarów. Rybak przyjąwszy pieniądze, schował je w zanadrze i wrócił pośpiesznie do domu. Przy tym po drodze padał ciągle na ziemię, wstawał i znów się potykał jak pijany, gdyż wszystko to wydawało, mu się snem. Za otrzymane pieniądze zakupił dla swojej rodziny wszystko, co było potrzeba, i w końcu w wielkiej radości poszedł opowiedzieć wszystko żonie. Tyle o rybaku. Tymczasem grecka niewolnica wzięła ryby, oskrobała je, postawiła patelnię na ogniu i zaczęła ryby podsmażać. Kiedy zaś usmażyła je po jednej stronie i odwróciła je na drugą, nagle jedna ściana kuchni rozstała się i ze szczeliny wyszła dziewczica cudnej urody, o gładkich

licach i podczernionych oczach. Na głowie miała jedwabny zawój z błękitnymi frędzlami, a w uszach złociste kolczyki w kształcie pierścieni. Przeguby pięknych rąk ściśnięte były kosztownymi bransoletami, a palce błyszczały od pierścionków z drogocennymi kamieniami. W rękę trzymała różdżkę bambusową. Trąciła różdżką patelnię i rzekła: - Powiedzcie, ryby, czy dotrzymujecie przysięg? Kucharka padła w tym momencie bez czucia na ziemię. Dziewica zaś powtórzyła te same słowa po raz wtóry i trzeci. Wówczas ryby podniosły łby z patelni i odpowiedziały wyraźnie w mowie ludzkiej: - Tak. - A potem wyrecytowały następujący wierszyk: Jeśli ty zdradzisz, to i my zdradzimy, @ Dochowasz słowa, dochowamy i my. @ Lecz skoro słowo twe w nicość się zmienia - @ Wolne jesteśmy już od przyrzeczenia. Tedy dziewczica przewróciła różdżką patelnię i wyszła tą samą szczeliną, która była weszła, a ściana zawarła się za nią. Kiedy grecka kucharka ocknęła się z omdlenia, ujrzała wszystkie cztery ryby spalone na czarno jak węgiel i zawołała: - Ledwie wyruszył w bój, już złamał dzirynt swój! - I znów padła zemdlona. Kiedy tak leżała bez czucia, wszedł do kuchni wezyr i ujrawszy swoją czarną perłę, bo tak nazywał był piękną grecką niewolnicę, jak leżała nieprzytomna, nie będąc w stanie odróżnić soboty od czwartku, szturchnął ją nogą. Wówczas nieszczęsna ocknęła się i płacząc opowiedziała mu o wszystkim, co się przytrafiło. Wezyr zdumiał się wielce i rzekł: - Zaiste to bardzo osobliwe! Po czym niezwłocznie posłał po rybaka, a kiedy postawiono go przed jego obliczem krzyknął groźnie: - Rybaku, przynieś nam cztery ryby równe tym, które poprzednio przyniosłeś! Rybak udał się więc nad owo jezioro i zarzucił sieci. A skoro je wyciągnął, były w nich cztery ryby, podobne tamtym. Tedy wziął je i zaniósł niezwłocznie do wezyra, a ten wręczył je greckiej niewolnicy, mówiąc: - Usmaż te ryby w mojej obecności, abym mógł na własne oczy przekonać się, czy twoje opowiadanie było prawdziwe. Niewolnica wzięła się zaraz do roboty, oskrobała ryby, położyła je na patelni i postawiła na ogniu. Ale zaledwie ryby się zarumieniły, rozwarła się znów ściana i wyszła z niej dziewczica z różdżką w rękę. Ponownie uderzyła różdżką w patelnię i zapytała: - Powiedzcie, ryby, czy dotrzymujecie przysięg? I oto ryby podniosły główki i odparły ludzkim głosem: - Tak. - A potem powtórzyły ten sam wierszyk: Jeśli ty zdradzisz, to i my zdradzimy, @ Dochowasz słowa, dochowamy i my. Lecz skoro słowo twe w nicość się zmienia - Wolne jesteśmy już od przyrzeczenia. I znów tajemnicza dziewczica przewróciła patelnię różdżką, po czym znikła w szczelinie ściany, która się za nią zawarła. Tedy wezyr zawołał: - Tego, co się stało, nie wolno zataić przed najmiłościvszym sułtanem! Po czym poszedł do swego władcy i opowiedział mu o wszystkim, co na własne oczy oglądał. A sułtan na to: - I ja także muszę to koniecznie ujrzeć na własne oczy! Posłano więc po rybaka i kazano mu przynieść znowu cztery ryby takie same jak tamte, przy czym sułtan wysłał trzech strażników, aby dopilnowali wykonania rozkazu. Rybak udał się z nimi nad jezioro i niebawem wrócił z żądanymi rybami. Tedy sułtan polecił wypłacić mu czterysta złotych monet i zwracając się do wezyra, powiedział: - Sam usmaż te oto ryby w mojej obecności! Nuże! Wezyr odparł: - Słucham i jestem posłuszny. Po czym kazał przynieść patelnię, sam ryby oskrobał i, włożywszy je na patelnię, postawił na ogniu. I oto ściana znów się rozwarła, ale tym razem ze szczeliny wyskoczył kruczoczarny, podobny do olbrzymiej skały niewolnik, dzierżący w ręce zieloną gałąź, który zawołał wielkim głosem: - Powiedzcież, ryby, czy dotrzymujecie przysięg? I oto ryby podniosły pyszczki z patelni i powiedziały: - Tak! - Po czym powtórzyły po raz trzeci swój wierszyk: Jeśli ty zdradzisz, to i my zdradzimy, @ Dochowasz słowa, dochowamy i my. @ Lecz skoro słowo twe w nicość się zmienia - @ Wolne jesteśmy już od przyrzeczenia. Straszny murzyn podszedł do patelni, przewrócił ją trzymaną w rękę gałęzią i znikł w tej samej szczelinie, przez którą był przyszedł. Wezyr i sułtan spojrzeli na ryby i ujrzeli, że są spalone na czarny węgiel. Sułtan nie posiadał się ze zdziwienia i rzekł: - To, co się stało, nie powinno być przemilczane, bo w rybach tych kryje się jakaś nieczysta siła. Potem kazał znów sprowadzić rybaka, a skoro ten przybył, sułtan go zapytał: - Powiedz mi zaraz, skąd pochodzą te ryby? Ów zaś odparł: - Z pewnego jeziora pomiędzy czterema pagórkami, poniżej łańcucha górskiego, który ciągnie się za twoją stolicą. I sułtan pytał dalej: - Ile dni trzeba tam iść? A rybak na to: - Najjaśniejszy panie i padyszachu, droga tam nie trwa dłużej niż pół godziny. Sułtan nie mógł się temu nadziwić i natychmiast rozkazał swym pieszym wojownikom tam się udać, a dzygitom dosiąść rumaków. Po czym podążył do owego jeziora z rybakiem, który wskazywał mu drogę. Całe wojsko podążyło pod górę, a potem zeszło znów na rozległą równinę, której ani sułtan, ani żaden z

jego wojowników w swoim życiu nigdy jeszcze nie widzieli. Toteż dziwowali się wielce, ujrawszy równinę i jezioro pośród czterech wzgórz, w którym pływały ryby czterech różnych barw: czerwone, białe, żółte i modre. Osłupiały ze zdumienia sułtan pytał swych wojowników oraz wszystkich obecnych: - Czy ktoś z was widział kiedyś to jezioro? A wszyscy odpowiedzieli chórem: - Nigdy, o największy władco naszych czasów, nigdy w naszym życiu nie widzieliśmy tego jeziora. Po czym zapytano najstarszych mieszkańców miasta, ale i oni odpowiedzieli: - Nigdy w naszym życiu nie widzieliśmy ani tego jeziora, ani tego miejsca! Wówczas sułtan zawołał: - Na Allacha, nie chcę powrócić do mojej stolicy i zasiąść na tronie, zanim się nie dowiem, co za nieczysta siła wyczarowała to jezioro i te przedziwne ryby! Następnie rozkazał swemu wojsku rozbić obóz na sąsiednich wzgórzach. A kiedy rozkaz ten wykonano, sułtan polecił zawezwać wezyra, który był człowiekiem wielkiego doświadczenia, rozumu i mądrości i znał się na wszelkich sprawach. Skoro wezyr stanął przed obliczem sułtana, ten tak do niego rzecze: - Powzięłem pewien zamiar i chcę ci o nim powiedzieć. Dziś wieczorem wyruszę samotnie, by zgłębić tajemnicę jeziora i wyjaśnić zagadkę kolorowych ryb. Stań na warcie przy wejściu do mojego namiotu i kiedy emirowie i wezyrowie, dworzanie, wielorządcy i wszyscy inni będą się o mnie pytać, odpowiadaj: "Sułtan zaniemógł, przeto rozkazał mi nikogo do namiotu bez jego zezwolenia nie wpuszczać". Czyń tak i nie wyjawiaj nikomu, że wiesz prawdę o moich zamysłach! I nie udało się wezyrowi postanowienia sułtańskiego odmienić. Sułtan przebrał się dla niepoznaki, przypasał szablę i wyruszył na jedno ze wzgórz. Potem przez całą resztę nocy wędrował aż do rana i nie przestał wędrować przez cały dzień, choć upał straszny doskwierał, ale szedł dalej i dalej, aż do schyłku dnia. Wędrował, tak przez całą następną noc aż do świtu. Nagle w oddali zamajaczyło przed nim coś czarnego. Sułtan ucieszył się i powiedział do siebie: "Może jednak spotkam kogoś, kto wytłumaczy mi zagadkę czarodziejskiego jeziora i kolorowych ryb". Skoro podszedł bliżej, zauważył, że był to zamek zbudowany z czarnych gładów i obłożony spizowymi płytami. Jedno ze skrzydeł bramy było szeroko otwarte, a drugie przymknięte. Sułtan, nie posiadając się z radości, podszedł do owej bramy i cichutko zapukał. Ponieważ jednak nie otrzymał żadnej odpowiedzi, zapukał po raz wtóry i po raz trzeci. Lecz i wówczas nikt mu nie odpowiedział. Wtedy zaczął dobijać się głośno, lecz i teraz odpowiadało mu tylko milczenie. Wtedy powiedział do siebie w duchu: "Niewątpliwie zamek ten stoi pustką". Wziął się więc na odwagę i wszedł przez bramę zamkową do wielkiej sieni, wołając głośno: - Hej, mieszkańcy zamku, oto przybył znużony podróżnik wędrowiec. Czy możecie zaspokoić jego głód? I tak wołał po raz drugi i trzeci, ale ciągle nie otrzymywał odpowiedzi. Tedy nabrał jeszcze większej odwagi i pełen otuchy przeszedł przez sień, i wtargnął do wnętrza zamku, lecz i tam nie spotkał żywej duszy. Wszelako komnaty były usłane jedwabnymi kobiercami i złotogłowiem, a ciężkie kotary pozasuwane. Pośrodku zamku znajdował się wielki dziedziniec otoczony krużgankami, a na środku dziedzińca był rzeźbiony basen z fontanną, przy której stały posągi czterech lwów z czerwonego złota, plujących z pysków wodą, iskrzącą się niczym perły i drogie kamienie. Wokół latały przeróżne ptaki za siatką ze złotego drutu, aby wyfrunąć nie mogły. Ale żadnej ludzkiej istoty sułtan nadal nie widział. Dziwował się temu i było mu smutno, że nie spotkał nikogo, kto by mógł opowiedzieć mu o zagadkowym jeziorze i kolorowych rybach, o tajemniczych wzgórzach i zamku. Usiadł przeto u wrót i zaczął się namyślać. Nagle usłyszał żałosny śpiew, jak gdyby wyrrywający się z serca pełnego bóleści. Idąc za tym żalonym głosem sułtan podszedł do kotary, zasłaniającej wejście do jednej z komnat. Odsunął kotarę i ujrzał za nią młodzieńca na wpół leżącego na podwyższeniu wznoszącym się na łokieć nad posadzką. Był to młodzian cudnej urody i wdzięcznego wyglądu. Głos miał czysty jak muzyka dzwonów, czoło białe i delikatne, policzki pokryte rumieńcem, a na jednym z nich znamię jak plamka ambry. Sułtan ujrawszy go uradował się i pozdrowił uprzejmie. Młodzian spoczywał dalej nieruchomo w swej jedwabnej szacie, haftowanej egipskimi złotymi nićmi, z diademem na głowie, wysadzonym drogocennymi kamieniami. Oblicze jego pełne było smutku. Na pozdrowienie sułtana odpowiedział dwornie: - Panie, godność twoja domaga się ode mnie, abym wstał, ale proszę cię, przebacz twemu słudze. A sułtan na to: - Już ci przebaczyłem, młodzieńcze! Chciałbym jednak, abyś mi opowiedział o jeziorze z kolorowymi rybami oraz o tajemniczym zamku, a wreszcie dlaczego siedzisz tu tak samotnie i płaczesz? Na te słowa młodzieńcowi łzy potoczyły się po



policzkach, a płacz jego stał się jeszcze bardziej gorzki i przejmujący. Sułtan zaś dziwował się coraz bardziej i pytał dalej: - Jakież jest powód twego płaczu, młodzieńcze? Ów zaś odparł: - Jakżeż nie mam płakać, spójrz! Po czym odchylił kraj swej jedwabnej szaty i oto okazało się, że dolna część jego ciała, od pasa do stóp, była z kamienia. Głęboko zafrasowany sułtan zawołał: - Biada! Młodzieńcze, twoja niedola wzmagą jeszcze moją. Przybyłem tu, aby dowiedzieć się czegoś o kolorowych rybach. Teraz wszakże poznać pragnę twoje dzieje. Spiesz się tedy i opowiedz mi wszystko. A młodzian na to: - Użycz mi uważnego ucha i bacznego oka! Sułtan odparł: - Ucho moje i oko są gotowe słuchać i patrzeć. Wówczas młodzieniec tak zaczął: - Zaprawdę, zarówno dzieje tych ryb, jak i moje są wielce osobliwe. Gdyby je spisać igłą w kącikach oczu, byłyby przestroga dla każdego, kto by zechciał z tego skorzystać. - A jakie są te dzieje? - spytał sułtan. Wówczas młodzian jął tak opowiadać: - Byłem sułtanem państwa Czarnych Wysp i miałem córkę stryja mego za żonę. Przez pięć lat żyliśmy w najlepszej zgodzie, potem wszakże okazało się, że jest ona złą czarownicą. Pewnego dnia, kiedy się jej sprzeciwiłem, wypowiedziała kilka niezrozumiałych zaklęć, a potem dodała: "Niech moja siła czarnoksięska sprawi, abyś stał się na wpół kamieniem, a na wpół tylko człowiekiem". I od tego czasu jestem takim, jakim mnie obecnie widzisz, ani żywym, ani martwym, nie mogącym ani wstać, ani siedzieć. Dokonawszy tego, zaczarowała całe miasto ze wszystkimi jego ulicami i ogrodami, tak że na jego miejscu ukazało się wielkie jezioro. Otóż w naszym mieście byli ludzie czterech różnych wyznań: muzułmanie, chrześcijanie, żydzi i czciciele ognia. Ich to czarownica przemieniła w ryby, muzułmanów - w białe, czciciele ognia - w czerwone, chrześcijan - w niebieskie, a żydów - w żółte. A cztery wyspy mego królestwa przeistoczyła czarami w cztery pagórki, które jezioro to otaczają. Mnie zaś katuje codziennie zadając po sto uderzeń, tak że krew ze mnie spływa, a ramiona moje pełne są blizn. W końcu wkłada mi na górną część ciała zgrzebną włosiennicę, na którą narzuca te wspaniałe jedwabne szaty. Młodzian zaczął znów płakać, a sułtan zwrócił się do niego i rzekł: - O młodzieńcze, zaspokoileś moją ciekawość, lecz niedolą twoją wzmogłeś moją troskę. Ale teraz powiedz, gdzie owa czarownica się znajduje? Tedy młodzian tak rzecze: - Siedzi ona w tamtym pokoju naprzeciwko. Co rano przybywa do mnie o wschodzie słońca, zrywa ze mnie szaty i chłoszcze mnie stoma uderzeniami bicia, a ja krzyczę z bólu. Brak mi bowiem siły i nie mogę się ruszyć, by się bronić. Również i jutro rano czarownica na pewno tu przybędzie. - Na Allacha! - rzekł sułtan. - Wyświadczę ci przysługę, młodzieńcze, i wsławię się tak, że opowiadać będą o tym aż do końca wszystkich czasów. Rzekłszy to sułtan usiadł obok nieszczęśliwego młodzieńca i gawędził z nim aż do nastania nocy. Wtedy obaj usnęli. Skoro jednak brzask ukazał się na niebie, sułtan zdjął płaszcz i wyciągnął szablę z pochwy. Po krótkiej chwili przybyła przeklęta czarownica. Podeszła od razu do swego małżonka, zdarła z niego szaty, wzięła bicz i zaczęła go chłostać, a on krzyczał wniebogłose: - Ach! Ulituj się nad moją męką! Miej miłosierdzie nade mną! Sułtan zaś krzyknął wielkim głosem: - Przeklęta diablico! Tak katujesz swego małżonka, że nie mogłem noc całą zmrużyć oka przez te jego głośne błagania o litość i przekleństwa, którymi cię obrzucał. Teraz wymierzę ci sprawiedliwość i zgładzę cię! Wtedy czarownica zawołała: - Za twoim wstawiennictwem uwolnię go od czarów, które nań rzuciłam! Wówczas sułtan odparł: - Uwolnij go więc! A ona na to: - Słucham i jestem posłuszna. Po czym wzięła misę, napelniła ją wodą i wypowiedziała nad nią kilka zaklęć, a woda zaraz zakipiała i zaczęła pryskać jak zwykle, kiedy gotuje się w kotle nad ogniem. Następnie czarownica pokropiła swego małżonka tą kipiącą wodą, mówiąc: - Mocą zaklęć, które szeptem wypowiedziałam, rozkazuję: opuść tę powłokę, w którą przyoblekły cię moje czary i moja tajemna wiedza, i wróć do swojej dawnej postaci! I oto młodzian drgnął i skoczył na równe nogi, radując się swym wyzwoleniem. Wówczas czarownica do niego powiedziała: - Idź precz i nie wracaj tu nigdy, bo inaczej cię zabiję! Te ostatnie słowa wrzasnęła mu prosto w twarz, a on milcząc odszedł. Sułtan zaś mówił dalej: - Biada ci, przeklęta diablico! Zaczarowani przez ciebie mieszkańcy tego miasta i tych czterech wysp co noc o północy błagają o pomoc i przeklinają cię. Zwróć im niezwłocznie wolność! Czarownica usłyszawszy słowa sułtana rzekła: - Chętnie to uczynię, klnę się na Allacha! Po czym pobiegła w kierunku jeziora. Tam zaczerpnęła trochę wody i wymamrotała nad nią kilka niezrozumiałych słów, a wszystkie ryby podniosły głowy i w mgnieniu oka przedzierzgnęły się w ludzi. Czar został zdjęty z mieszkańców i

jezioro stało się znowu ludnym miastem. Kupcy sprzedawali i kupowali, rękodzielnicy uprawiali swoje rzemiosła, a cztery wzgórza stały się, jak dawniej, czterema wyspami. Dokonawszy tego czarownica przybiegła do sułtana po nowe rozkazy. Wtedy władca wyrwał szablę z pochwy i rozsiekał wiedźmę na kawałki. Wyszedłszy z zamku, spotkał zaczarowanego ongiś młodzieńca, który tam stał i nań czekał. Sułtan wieszował mu ocalenia, a młody książę ucałował jego rękę i dziękował z całego serca. Tedy sułtan zapytał: - Czy chcesz pozostać tu w twoim mieście, czy też wolisz udać się wraz ze mną do mojej stolicy? - O największy władco naszych czasów - odpowiedział pytaniem młody książę - a czy wiesz, jaka odległość dzieli cię od twojego kraju? - Półtrzecia dnia drogi - odparł sułtan. Ale wówczas młodzieniec zawołał: - O sułtanie, od twojej stolicy dzieli cię podróż trwająca ponad rok, jeśli przedsięweźmie ją krzepki wędrowiec, a ty nie przybyłbyś tu w ciągu dwóch i pół dnia, gdyby miasto to nie było wówczas zaklęte. Ja wszakże, o sułtanie, nie chcę już cię opuścić ani na mgnienie oka. Tedy sułtan uradował się i tak rzecze: - Dzięki niech będą Allahowi, który osobą twoją zechciał mnie obdarzyć! Od tej chwili uważać cię będę za syna, gdyż nie doznałem tego szczęścia, aby mieć potomka. Po czym padli sobie w objęcia, radując się wielce, i udali się do uwolnionego od czarów zamku. Tam zaczarowany niegdyś książę rozkazał dostojnikom swego państwa gotować się do podróży. Przygotowania te trwały dziesięć dni, po czym wyruszyli obaj z sułtanem, którego serce pałało już tęsknotą do swej dalekiej krainy. Wybrali się ze świtą pięćdziesięciu mameluków, wioząc ze sobą wiele kosztownych darów. Podróżowali nie zatrzymując się nigdzie, dniem i nocą, przez cały rok, aż wreszcie Allah miłościwy sprawił, że cali i zdrowi przybyli do sułtańskiej stolicy. Zanim wkroczyli do miasta, sułtan wysłał posłańców do wezyra, aby powiadomić go, że powrócił w dobrym zdrowiu. Wezyr wyruszył z całym wojskiem na jego spotkanie, a że wszyscy utracili już byli nadzieję kiedykolwiek swego sułtana zobaczyć, wojsko ucałowało ziemię u jego stóp, wieszując mu cudownego ocalenia. Potem sułtan udał się do swego pałacu, zasiadł na tronie i opowiedział wezyrowi o wszystkim, co młodego księcia spotkało, wezyr zaś wieszował również i gościowi ocalenia. A kiedy wszystko wróciło znów do spokoju, sułtan obdarował wielu spośród swoich poddanych, a do wezyra powiedział: - Sprowadź mi rybaka, co nam te kolorowe ryby przynosi! Wezyr niezwłocznie posłał po rybaka, który pierwszy przyczynił się do wyzwolenia od czarów tamtego miasta oraz jego mieszkańców. Toteż, kiedy przybył, sułtan ofiarował mu odświętne szaty, spytał go o zdrowie i czy ma potomstwo. A kiedy rybak odpowiedział, że ma dwie córki i jednego syna, sułtan posłał po nich. Jedną z córek rybaka sam poślubił, a drugą dał za żonę młodemu księciu. Syna rybakowego zaś uczynił swoim podskarbisem. Potem dał wezyrowi wszelkie pełnomocnictwa i wysłał go do miasta księcia, które leżało na Czarnych Wyspach, aby sprawował tam sułtańską władzę. Wraz z nim odesłał owych pięćdziesięciu mameluków, których, był stamtąd przyprowadził, a w dowód czci posłał odświętne szaty dla wszystkich tamtejszych emirów. Wezyr ucałował sułtańskie ręce, wyruszył w podróż i po roku był już na miejscu, podczas gdy sułtan i uwolniony przez niego od czarów książę pozostali w stolicy sułtańskiej. Rybak zaś stał się najbogatszym człowiekiem swoich czasów, a córki jego żyły szczęśliwie jako małżonki sułtana i księcia, aż śmierć nieubłagana po nie przyszła.

## "Opowieść o hebanowym rumaku"

W zamierzchłych czasach żył sobie król, władca potężny i przez wszystkich szanowany. Miał on trzy dorodne córki, piękne niczym poświata księżycy lub usiana kwieciami łąka, a poza tym jeszcze syna, który blaskiem swej urody zaćmiewał księżyc. Kiedy pewnego razu król, siedząc na wysokim tronie, sprawował rządy, stanęło przed nim trzech mędrców, z których jeden przyniósł ze sobą pawia ze szczerzego złota, drugi - róg z mosiądzu, a trzeci - rumaka z kości słoniowej i hebanowego drewna. Tedy król ich zapytał: - Cóż oznaczają te przedmioty? I jaki można mieć z nich pożytek? Pierwszy odpowiedział mędrzec ze złotym pawiem: - Wiedz, najjaśniejszy królu, iż pożytek z pawia tego polega na tym, iż za każdym razem, kiedy mija godzina w nocy czy we dnie, paw bije skrzydłami i krzyczy. Po czym przemówił mędrzec z mosiężnym rogiem: - Wiedz, najjaśniejszy królu, iż róg ten, umieszczony na bramie miasta, zastępuje strażnika. Skoro tylko nieprzyjaciel chce

wtargnąć do grodu, głos rogu niezwłocznie ostrzega, tak że wróg zostaje rozpoznany i może być obezwładniony. A na samym końcu zwrócił się do króla trzeci mędrzec, który miał ze sobą hebanowego konia: - Pożytek z tego rumaka, najjaśniejszy królu, polega na tym, iż tego, kto go dosiadzie, poniesie do każdej krainy, jaką jeździec sobie wybierze. Król zaś odpowiedział: - Okażę wam moją wspaniałomyślność dopiero wtedy, gdy przekonam się o czarodziejskiej mocy waszych trzech osobliwości. Po czym wypróbował złotego pawia i stwierdził, iż było tak, jak mówił mistrz, który go wykonał. Potem król wypróbował róg i stwierdził jego czarodziejską moc, którą twórca rogu zachwalał. Stwierdziwszy to, król zwrócił się do obu mędrców i rzekł: - Poproście mnie o jakiś dowód łaski, abym mógł go wam okazać. A oni odpowiedzieli: - Prosimy cię, najjaśniejszy panie, abyś każdemu z nas dał po jednej z twoich córek za żonę. I król raczył każdemu z nich dać rękę jednej z córek. Ostatni zbliżył się do władcy mędrzec, który był przyniósł hebanowego konia, ucałował ziemię u stóp monarchy i powiedział: - O największy królu naszych czasów, nie poskap i mnie łaski, jaką towarzyszą moim okazałeś! A król na to: - Przedtem muszę wypróbować to, coś mi przyniósł. Wówczas wystąpił naprzód królewicz i tak rzecze: - Ojczy, chciałbym dosiąść tego rumaka, aby przekonać się o jego zaletach i mocy. - Miły synu - odparł król - uczyn, jak chcesz. Królewicz dosiadł rumaka z hebanowego drewna i uderzył go piętami po bokach, ale koń ani drgnął. Tedy królewicz zawołał: - Powiedz mi, mędrze, gdzie się podziła rękość twego konia, którą się tak chełpiłeś? Mędrzec zaś podszedł do rumaka, pokazał królewiczowi śrubę, za pomocą której koń mógł unieść się w powietrze, i powiedział: - Przekręć! Skoro królewicz to uczynił, hebanowy koń ruszył z kopyta i uniosł się wraz z jeźdźcem ku chmurom na wysokim niebie. I leciał tak coraz wyżej, aż znikł z oczu. Królewicz zaniepokojony podniebną jazdą jął już żałować, iż dosiadł owego rumaka, i zawołał: - Ten niecny mędrzec uknuł zdradę, aby mnie zgubić. Ale nie ma siły i władzy większej od tych, które ma Allah! Po czym królewicz zaczął dokładnie oglądać swego wierzchowca. I kiedy wszystko zbadał, zauważył niewielkie śruby na prawej i na lewej łopatce hebanowego konia. "Nie widzę żadnych szczególnych znamion na moim rumaku, poza tymi dwoma śrubami" - rzekł sam do siebie i przekręcił tę, która znajdowała się na prawej łopatce. Ale wtedy koń jeszcze szybciej zaczął unosić się w przestworza. Królewicz więc spojrzął na lewą łopatkę, po czym przekręcił drugą śrubę i od razu koń zaczął się opuszczać ku ziemi, powoli, coraz niżej i niżej, podczas gdy królewicz niepokoił się o swoje życie. Uświadomiwszy sobie jednak szczególne właściwości konia, królewicz uradował się w sercu swoim i dziękował Allahowi za łaskę, której ten udzielił mu zechciał, ratując go przed niechybną zgubą. I tak koń opuszczał się przez cały dzień, albowiem unosząc się wzwyż, daleko już był odleciał od ziemi. Przy tym królewicz kręcił śrubami na łopatkach konia, jak mu się tylko podobało, to unosząc się w górę, to znów opadając. Opanowawszy całkowicie swego wierzchowca, w końcu obniżył znacznie wysokość lotu i szybował tuż nad samą ziemią. Przyglądał się z ciekawością nieznanym krajom i miastom, między którymi było jedno szczególnie piękne, położone pośród soczystozielonych łąk, bujnie rosnących drzew i srebrzystych strumieni. Królewicz jął się namyślać i tak do siebie powiedział: "Ciekaw jestem, jak się to miasto nazywa i w jakiej leży krainie!" Po czym zaczął nad miastem owym krążyć w powietrzu, przyglądając mu się to z prawej, to znów z lewej strony. Ponieważ jednak dzień już się chylił ku wieczorowi i słońce było bliskie zachodu, królewicz zdecydował, iż nie znajdzie piękniejszego miejsca do przenocowania niż owo miasto, i postanowił spędzić tam noc, a dopiero nazajutrz do swojej rodziny i królewskiego zamku powrócić. "Wtedy opowiem - myślał - moim najbliższym, a zwłaszcza ojcu, o wszystkim, co mi się przytrafiło i co na własne oczy widziałem". Zaczął więc szukać sobie odpowiedniego do lądowania miejsca, gdzie mógłby wraz ze swoim wierzchowcem znaleźć bezpieczne schronienie, tak aby nikt ich nie zoczył. A kiedy tak się rozglądał, ujrzał nagle pośrodku miasta wznoszący się wysoko zamek, otoczony warownym murem z wielu strzelistymi wieżyczkami. "Oto jest piękne miejsce" - rzekł sam do siebie i zaczął kręcić śrubą, za pomocą której koń opuszczał się ku ziemi. Leciał niżej i niżej, aż w końcu wylądował łagodnie na tarasie płaskiego zamkowego dachu. Wylądowawszy zeskoczył z konia, podziękował Allahowi i zaczął obchodzić hebanowego rumaka dookoła, aby mu się dokładniej przypatrzeć. Przy tym tak do siebie mówił: "Na Allacha, ten, kto potrafił konia tego z takim kunsztem zmajstrować, jest zaiste nie byle jakim mędrce! Jeśli Allah miłosierny pozwoli

mi jeszcze czas jakiś pożyć i w dobrym zdrowiu do mojej ojczyzny i mych najbliższych powrócić, to nie odmówię owemu mędrcomu żadnego dobrodziejstwa ani dowodu łaski". Po czym królewicz usiadł cichutko na tarasie zamkowym i siedział tak, aż upewnił się, że wszyscy w mieście udali się już na spoczynek. Ponieważ jednak dręczyły go głód i pragnienie, gdyż od czasu pożegnania się z ojcem żadnego jadła ni napoju nie skosztował, mówił do siebie: "W takim zamku jak ten nie może przecież brakować pożywienia". Przeto pozostawił swego konia na tarasie i poszedł poszukać czegoś do jedzenia. Natrafił najpierw na jakieś schody, którymi zaczął schodzić, i znalazł się pośrodku dziedzińca, wyłożonego marmurowymi płytami. Zachwyił się pięknem podwórca i otaczającej go budowy. Ale w całym zamku nie usłyszał ludzkiego głosu ani nie zauważył żywej duszy. Stał tedy bezradnie, oglądając się to na prawo, to na lewo, i nie wiedząc, dokąd się zwrócić. Wreszcie tak do siebie powiedział: "Nie mogę nic lepszego uczynić, jak wrócić na to miejsce, gdzie stoi mój koń, aby przy nim noc spędzić. Jutro rano dosiędę znów mego hebanowego wierzchowca i odleczę z tego bezludnego pustkowia". Gdy tak stał i w duchu do siebie przemawiał, ujrzał nagle, że zbliża się do niego jakaś jasność. A kiedy przyjrzał się dokładnie owej jasności, zobaczył, że to gromada dziewcząt, a wśród nich jedna, najpiękniejsza ze wszystkich, przypominająca smukłością strzelistą kolumnę. Jaśniała ona jak księżyc w pełni, kiedy króluje w swej poświacie na niebieskim tronie. Była to córka władcy owego miasta. Ojciec miłował ją czule i dla niej to kazał wybudować ten piękny zamek. Zawsze, kiedy księżniczka czuła jakowyś ciężar na sercu, udawała się ze swymi niewolnicami do owego zamku i pozostawała tam przez dzień, dwa albo i dłużej. Po czym powracała znów do innego zamku, z którego była przyszła. Otóż przytrafiło się, że właśnie tego wieczoru przybyła tu, aby rozerwać się nieco i pocieszyć w strapieniu. I oto kroczyła pośród orszaku swych niewolnic, pod ochroną olbrzymiego sługi z wielkim mieczem u boku. Skoro tylko wkroczyła na zamek, rozesłano przed nią miękkie dywany i zapalono wonne kadzielnice, a dziewczęta przygrywały i umilały pobyt swojej pani. Kiedy tak księżniczka weseliła się w najlepsze, królewicz zniechęca rzucił się na owego uzbrojonego sługę, uderzył go i obalił na ziemię. Po czym wyrwał mu z ręki miecz, podbiegł do gromady dziewcząt, które królową otaczały, i rozpędził je na wszystkie strony. Skoro księżniczka ujrzała go w całej jego krasie, zawołała: - Czyś ty jest tym młodzieńcem, który wczoraj ojca o rękę moją prosił i któremu ojciec odmówił, twierdząc, iż jest szpetny? Na Allacha, ojciec mój skłamał, kiedy słowa te wypowiadał! Gdyż zaiste jesteś najpiękniejszy z pięknych. W rzeczy samej był dnia poprzedniego u ojca księżniczki i prosił o jej rękę pewien indyjski królewicz, który spotkał się z odmową z powodu odrażającego wyglądu. Ponieważ księżniczka jednak myślała, że królewicz był owym o rękę jej się starającym, podeszła do niego, objęła go, ucałowała i usiadła u jego boku. Wówczas niewolnice podniosły krzyk wniebogłosy: - Dostojna pani, przecież to nie ten, który wczoraj ojca twego o rękę twoją prosił. Tamten był szpetny, a ten jest precudnej urody. Tamten, który ojca twego błagał, aby dał mu ciebie za małżonkę, i któremu twój rodzic odmówił, nie jest wart być sługą tego pięknego młodziana. Zaiste, dostojna pani, ten oto młodzian jest godny najwyższej czci. Po czym dziewczęta podeszły do olbrzymiego sługi, który wciąż jeszcze leżał zemdlony na ziemi, i ocuciły go. Przerazony sługa skoczył na równe nogi i jał szukać swego miecza. Tedy niewolnice tak do niego rzekły: - Ów młodzian, który ci miecz odebrał i obalił cię na ziemię, siedzi teraz obok księżniczki. A było tak, że władca owego miasta wyznaczył owego olbrzyma na strażnika swojej córki, aby strzegł jej jak oka w głowie przed zmiennością losu. Toteż sługa natychmiast pobiegł do kotary i uchylił ją nieco. Skoro ujrzał księżniczkę zajętą rozmową z obcym młodzieńcem, zawołał zwracając się do nieznanego: - Powiedz mi, azali jesteś śmiertelnym człowiekiem czy nieziemskim stworem? - Biada ci, najnieszczęśliwszy ze wszystkich niewolników - odkrzyknął królewicz - jak możesz być tak bezczelny, by potomka perskich królów brać za nieczystych diabłów? Po czym z mieczem w rękę mówił dalej: - Wiedz, że jestem zięciem twójego władcy, który mi córkę swoją oddał za żonę i rozkazał, abym do niej przyszedł! Skoro nieszczęsny sługa słowa te z ust obcego usłyszał, zawołał: - O panie i władco, jeśli istotnie jesteś człowiekiem, jak twierdzisz, to chyba ty jeden jesteś godzien mojej pięknej władczyni! Potem jednak olbrzym pobiegł do swego pana, krzycząc głośno, rozdzierając swe szaty i sypiąc sobie proch na głowę. Ojciec księżniczki usłyszawszy jego krzyk, zapytał: - Cóż ci się stało? Przeraziłeś mnie w moim

sercu, przeto odpowiedz mi szybko i zwięźle na moje pytania! - Najjaśniejszy panie - odparł sługa - przybądź na pomoc swojej córce! Nawiedził ją bowiem potężny dzinn w postaci śmiertelnego człowieka o wyglądzie możnego księcia. Każ go pojmać! Władca usłyszawszy słowa te postanowił sługę swojego ukarać śmiercią. - Jakżeś mógł - krzyknął - tak niecznie córkę moją opuścić i pozwolić, aby ów diabeł mógł do niej podejść? Następnie udał się do zamku, gdzie przebywała jego córka, a przybywszy tam, ujrzał niewolnice królowy stojące bezradnie dookoła, więc zapytał: - Cóż się stało z moją córką? - Najjaśniejszy panie - odparły niewolnice - kiedyśmy z naszą księżniczką tu bawiły, niczego złego nie podejrzewając, wpadł nagle obcy młodzian, piękny jak księżyc i o tak urodziwym obliczu, jakiegośmy jeszcze nigdy nie widziały, a w ręku trzymał obnażony miecz. Skorośmy go pytały, kim jest, ośmielił się twierdzić, iż oddał ci rękę twojej córki. Poza tym nie wiemy nawet, czy to człowiek, czy nieziemska istota. Obyczaj jego są wszakże dworne i nie uczynił dotąd nic niegodnego. Kiedy ojciec księżniczki słowa te usłyszał, gniew jego nieco ostygł. Podniósł powoli kotarę i oczy jego ujrzały nieznajomego pogrążonego w poufnej gawędzie z księżniczką. Postać młodzieńca odznaczała się istotnie przedziwną urodą, a oblicze jego przypominało blask księżyca. Tedy władca miasta, porwany obawą o cześć swojej córki, odsunął na bok kotarę, i wpadł z obnażonym mieczem w rękę niczym straszliwy demon pustyni. Królewicz zaś, ujrawszy go, zapytał księżniczkę: - Azali to twój ojciec? - Rzekłes - odparła księżniczka, a królewicz schwycił miecz i krzyknął tak strasznie na władcę miasta, iż ten znieruchomiał ze zgrozy. Królewicz gotów był już natrzeć na niego mieczem, ale ów uświadomił sobie, iż młodzian góruje nad nim siłą, więc schował miecz swój do pochwy i stał spokojnie, czekając, aż królewicz podszedł do niego całkiem blisko. A wtedy zapytał go uprzejmie: - Powiedz, cny młodzieńcze, azali jesteś człowiekiem czy też dzinnem? A królewicz na to: - Gdybym nie szanował prawa gościnności oraz twojej córki, przelałbym twoją krew! Jak śmiesz uważać mnie za istotę z diabelskiego plemienia, mnie, królewskiego syna, który gdyby tylko zechciał, mógłby łącznie zrzucić cię z tronu i pozbawić twej potęgi i wspaniałości, zabierając ci wszystko, co znajduje się w tej krainie. Ojciec księżniczki zląkł się o własne życie i rzekł: - Jeśli istotnie jesteś synem króla, to jakże mogłeś bez mego zezwolenia do zamku tego wtargnąć i narazić na szwank moją cześć, przychodząc do mojej córki jako rzekomy jej oblubieniec? A ponadto śmiesz jeszcze twierdzić, że oddałem ci jej rękę, ja, który już niejednego króla i niejednego księcia zabiłem, kiedy przyszli do mnie zabiegać o jej względy. Któż zdoła cię teraz z mojej mocy wybawić, kiedy stu moich niewolników i sług może, skoro ich tylko zawezwę, tutaj się zjawić i na mój rozkaz ściąć ci głowę? Któż cię z rąk moich uwolni? Królewicz usłyszawszy te groźby, odkrzyknął: - Zaprawdę, dziwię się tobie oraz znikomości twego rozumu! Powiedz, czy możesz życzyć sobie godniejszego małżonka dla twojej córki? Czy spotkałeś kiedy pośród wszystkich twych przybocznych rycerzy i zbrojnych wasali kogoś, kto górowałby nade mną odwagą, godnością i majestatem? - Allach mi świadkiem, że nie spotkałem - odparł władca - ale chciałbym, młody bohaterze, abyś przy świadkach mnie o rękę mojej córki poprosił, bym mógł, zgodnie z obyczajem, uroczyście ci ją dać za żonę. Albowiem, gdybym potajemnie ci ją oddał, czułbym się przez ciebie pohańbiony. A królewicz na to: - Słowa twoje są celne, ale gdyby twoi niewolnicy, słudzy i rycerze wszyscy razem na mnie natarli i mnie zabili, naraziliby twoją cześć na szwank. Jedni bowiem spośród twojego ludu uwierzyliby twym słowom, inni zaś zarzucaliby ci kłam. Przeto radzę ci, abyś zgodził się na plan, który ci przedkładałem. Tedy ojciec księżniczki rzecze: - Chcę usłyszeć, co mi masz do powiedzenia! - Oto co ci mam do powiedzenia - przerwał królewicz. - Albo stań do pojedynku ze mną, a wtedy ten, kto swego przeciwnika zabije, uzyska prawo panowania, albo opuść mnie dziś w pokoju, a jutro wyrusz z twoim wojskiem, rycerzami i sługami przeciwko mnie. Przedtem jednak wymień mi ich liczbę! Tedy władca tak królewiczowi odpowiedział: - Wojsko moje liczy czterdzieści tysięcy rycerzy, pomijając giermków oraz ciurów, których jest tyle samo, co rycerzy. Królewicz zaś mówił dalej: - Jutro skoro świt poprowadź twoje wojsko przeciwko mnie i tak powiedz do twoich rycerzy: "Ten oto człowiek stara się o rękę mojej córki, stawiając za warunek, że sam jeden dotrzyma wam wszystkim pola. Twierdzi bowiem, iż mocen jest wszystkich was pokonać i zwyciężyć, a wy nic mu zrobić nie zdołacie". Ojciec księżniczki przystał na propozycje królewicza, chociaż uważał słowa jego za chępliwe. Zarazem bał się o życie królewicza, kiedy ten oznajmił, że chce walczyć i

dotrzymać pola wszystkim owym nieprzeliczonym wojskom. Potem obaj usiedli i zaczęli przyjaźnie gawędzić. Władca zawołał w końcu swego sługę i polecił mu niezwłocznie udać się do wezyra z rozkazem, aby zgromadził całe wojsko uzbrojone po zęby i na najlepszych rumakach. Sługa pobiegł do wezyra i powtórzył mu rozkaz, wezyr zaś zawezwał dowódców i dostojników państwa i rozkazał im dosiąść koni i stawić się w pełnej zbroi. Tyle o wojsku. Jeśli wszakże chodzi o samego ojca księżniczki, to rozmawiał on dalej z obcym królewiczem, a jego rozumna mowa i dworne ułożenie bardzo mu przypadły do serca. I tak przegawędzili aż do świtu. Wówczas władca miasta powstał, pożegnał się z królewiczem i zasiadł na swoim tronie. Wojsku swojemu zaś kazał dosiąść rumaków, a dla obcego młodzieńca polecił podprowadzić rączego dzianeta\*, jednego z najlepszych ze swojej stajni, wydawszy przedtem rozkaz, aby osiodłano go we wspaniałą kulbakę i przybrano w najbogatszy rząd. Ale królewicz się wzbraniał: - Nie wsiądę wcześniej na twojego dzianeta, aż całe wojsko twoje przede mną nie stanie, tak że będę mógł objąć je wzrokiem. - Niechaj będzie według twojej woli! - odparł władca. Po czym obaj wyruszyli i dotarli do pola, na którym miała stoczyć się bitwa. Tam królewicz ujrzał wojsko w całym jego nieprzeliczonym mnóstwie. Władca zaś zawołał wielkim głosem: - Słuchajcie wszyscy moi wasale! Oto przybył do mnie młodzieniec, który stara się o rękę mojej córki. Nigdy jeszcze nie widziałem piękniejszego, odważniejszego i śmielszego młodziana niż ten. Twierdzi on, iż potrafi sam jeden was wszystkich zwyciężyć i pokonać. Ba, mówi nawet, że gdyby was było sto tysięcy, dla niego byłaby to drobnostka. Kiedy więc na was natrze, przyjmijcie go godnie ostrymi dzirytami i blaskiem waszych mieczów, ponieważ odważył się na tak śmiały czyn! A do królewicza tak powiada: - Synu mój, nuże uczyni, co miałeś uczynić! Królewicz wszakże odparł: - Jesteś wobec mnie niesprawiedliwy, o panie! Jakżeż mogę bowiem dotrzymać im pola, iż jestem pieszy, a rycerze twoi dosiadają rumaków? Tedy ojciec księżniczki rzecze: - Przecież prosiłem cię, abys dosiadł dzianeta z mojej stajni, ale tyś się wzbraniał. Masz tu wiele różnych rumaków, wybierz, którego chcesz. A królewicz na to: - Ze wszystkich twoich koni żaden mi się nie podoba. Chcę jedynie dosiąść tego rumaka, na którym tu przybyłem. - Gdzież jest twój wierzchowiec? - zapytał władca miasta. A ze strony królewicza padła odpowiedź: - Rumak mój pozostał w twoim zamku, na tarasie płaskiego zamkowego dachu. Skoro ojciec księżniczki słowa te usłyszał, krzyknął: - Oto pierwszy znak twojego szaleństwa. Biada ci! Jakżeż bowiem koń może znajdować się na dachu? Niebawem okaże się, czy mówisz prawdę, czy też kłamiesz. Potem zwrócił się do jednego ze swoich koniuchów i rozkazał: - Idź do mojego zamku i sprowadź mi to, co znajdziesz na dachu! Ludzie wszakże dziwowali się wielce słowom młodzieńca i jeden tak mówił do drugiego: - Jakżeż koń będzie mógł zejść po schodach z dachu? Zaprawdę, o czymś podobnym jeszcześmy nigdy nie słyszeli. Tymczasem koniuch, wysłany do zamku, wspiał się na dach i ujrzał tam rumaka tak pięknego, jakiego nigdy jeszcze nie widział. Przystąpiwszy bliżej i przyjrzawszy mu się dokładniej, spostrzegł, że jest on z hebanowego drewna i słoniowej kości. Wraz z owym koniuchem udało się na taras jeszcze kilku innych sług królewskich, a zobaczywszy dziwnego rumaka, zaczęli się uśmiechać porozumiewawczo jedni do drugich, mówiąc: - A więc młodzian ów mówi o takim oto koniu! Zaiste musi być szalony, ale niebawem przekonamy się, co on za jeden. Być może, kryje się w tym wszystkim jakaś wielka tajemnica. Po czym wzięli hebanowego konia na ręce, znieśli go na dół i postawili przed swym władcą. Ze wszystkich stron zgromadziło się wiele ludu, aby owego konia obejrzyć, a wszyscy nie posiadali się z zachwytem nad jego piękną budową i wspaniałością siodła i rzędu. Również i władcy hebanowy koń przypadł do gustu i zadziwił go wielce. - Młodzieńcze, czy to jest twój wierzchowiec? - zapytał królewicza. Ten zaś odpowiedział: - Zaiste! Ten ci jest mój wierzchowiec i przekonasz się, jakie moce są w nim ukryte! Tedy ojciec księżniczki rzekł: - Weź więc swojego konia i siądź na niego! Królewicz wszakże jał znowu się ociągać: - Nie wsiądę na mego konia, aż wojownicy twoi się stąd usuną. Wówczas ojciec księżniczki rozkazał swoim rycerzom, którzy stali wokoło niego, aby oddalili się od hebanowego konia na odległość strzału z łuku. Tedy królewicz rzekł: - Teraz spójrz, jak dosiądę mojego wierzchowca i natrę na twoje wojsko. Rozproszę szyk twoich rycerzy i rozplątam ich serca. - Czyń, co ci się podoba, i nie oszczędzaj mojego wojska - odparł władca miasta - bo i oni nie będą cię oszczędzać! Wówczas królewicz przystąpił do hebanowego konia i wskoczył nań. Wojsko zaś ustawiło się do bitwy, a

jeden rycerz tak do drugiego mówił: - Skoro tylko ten młodzik znajdzie się wśród naszych szeregow, natrzemy nań grotami naszych dziryków oraz klingami naszych mieczy. A inny znów mówił: - Na Allacha, jakżeż mi go żal, nie godzi się nam zabijać młodzieńca o tak pięknym obliczu i tak wdzięcznej postaci. A jeszcze inny dodawał: - Na Allacha, tylko z wielkim wysiłkiem uda się nam do niego zbliżyć, gdyż na pewno tak by się nie chełpił, gdyby nie był świadom własnej waleczności i przewagi. Skoro królewicz siedział już w siodle, przekreślił śrubę, służącą do podnoszenia się w górę, podczas gdy oczy wszystkich były na niego zwrócone. Koń jął podrygiwać i wyczyniać podskoki, po czym uniósł się w górę i zaczął szybować w przestworzach. Wtedy władca zawołał do swoich wojowników: - Hej, trzymajcie go, zanim wam umknie! Wezyrowie wszakże i wielkorządcy odpowiedzieli: - Powiedz, najjaśniejszy panie, czy człowiek może dogonić fruującego ptaka! Widocznie ten młodzik jest potężnym czarnoksiężnikiem, od którego Allah raczył cię łaskawie wybawić. Przeto powinienesz wielbić Allacha za twoje ocalenie od owej nieczystej mocy! W końcu ojciec księżniczki powrócił do swojego zamku i udał się do córki, aby jej opowiedzieć, co przeżył z nieznanym przybyszem na polu bitwy. Przekonał się wszakże, iż księżniczka tęskni za owym młodzieńcem i smutna jest z powodu rozłąki, ba, opanowała ją nawet ciężka niemoc, która przykuła ją do łóża. Ojciec, zobaczywszy córkę w takim smutnym stanie, przycisnął ją do serca, ucałował w czoło i rzekł: - Kochana córko, wielbij Allacha i dziękuj mu, iż ocalił nas z rąk tego podstępного czarodzieja! Po czym opowiedział jej o wszystkim, co mu się z tajemniczym przybyszem przytrafiło, i o tym, jak ten uniósł się w niebieskie przestworza. Księżniczka wszakże nie słuchała słów ojca, ale jęła jeszcze gwałtowniej szlochać i narzekać, mówiąc do siebie w duchu: "Na Allacha, nie tknę żadnego jada ani napoju, aż znowu nie będę połączona z mym ukochanym". Rodzic jej frasował się tym wielce. Stan córki przyprawiał go o ciężką troskę, a serce jego niepokoiło się o nią. Ale chociaż starał się córkę swoją pocieszyć, miłość jej do nieznanego stale wzrastała. Pozostawmy teraz władcę miasta i jego córkę i powróćmy do królewicza! Uniósłszy się w przestworza, królewicz poczuł się bardzo osamotniony i jął tym silniej rozmyślać o pięknej księżniczce. Uprzednio wypytał już był ludzi o imiona władcy i jego córki, a także o nazwę miasta, które zwało się Sana. Na razie jednak pędził dalej i dalej przez podniebne przestworza, aż ujrzał stolicę swego ojca. Okrążywszy ją kilka razy skierował się do zamku rodzica. Wylądował na tarasie dachu, pozostawił tam wierzchowca i udał się do ojca, którego zastał oplakującego go i zasmuconego rozłąką z nim. Skoro tylko ojciec ujrzał swego syna, podbiegł do niego i przycisnął do piersi, radując się wielce jego powrotem. Kiedy pozostali sami, królewicz zapytał ojca o owego mędrca, który latającego konia sporządził. A ojciec na to: - Niech Allah poskapi swych błogosławieństw owemu mędrce i niech będzie przeklęta godzina, w której go ujrzałem, albowiem on stał się przyczyną naszej rozłąki! Owego nieszczęsnego dnia, kiedy ty, mój synu, dom nasz opuściłeś, kazałem go uwięzić. Wówczas królewicz zaczął prosić ojca, aby zwrócił mędrce wolność, i kazał go do siebie zawezwać. Skoro ów człek stanął przed obliczem króla, ten obdarzył go zaszczytną szatą honorową i świadczył mu oznaki najwyższej łaski. Nie chciał mu jednak dać córki swojej za żonę. To rozgniewało mędrca i jął żałować wszystkiego, co był uczynił. Wiedział bowiem, iż królewicz poznał już tajemnicę latającego konia i sposób kierowania nim. Tedy król tak do syna swego rzecze: - Radziłbym, abyś po tym przeżyciu już się do owego hebanowego konia nie zbliżał i abyś, poczynawszy od dnia dzisiejszego, już go nigdy nie dosiadł. Nie znasz bowiem wszystkich jego właściwości i możesz się łatwo omylić. Królewicz opowiedział również swemu ojcu o tym, co przytrafiło mu się z księżniczką, córką władcy miasta Sana, oraz z jej ojcem. A rodzic królewicza na to: - Gdyby ów władca był cię chciał zabić, to mógłby łatwo to uczynić, lecz widocznie godzina twoja jeszcze nie nadeszła. Wkrótce jednak w sercu królewicza obudziła się na nowo gorąca tęsknota do księżniczki. Przeto dosiadł swego hebanowego wierzchowca i przekreślił śrubę. W mgnieniu oka koń uniósł się w podniebne przestworza i znikł wraz z jeźdźcem w chmurach wysokiego nieba. Kiedy król zauważył nieobecność syna, wszedł zatroskany na płaski dach swego zamku i ujrzał królewicza unoszącego się właśnie w przestworza. Tedy zasmucił się tym ponownym rozstaniem i gorzko żałował, że nie zabrał latającego konia i nie ukrył go przed nim. I tak mówił do siebie: "Na Allacha, zniszczę tego konia, skoro tylko mój syn powróci, aby w przyszłości serce moje było o niego spokojne". Po czym jął znowu szlochać i

narzekać. Zobaczmy teraz, co się działo z królewiczem. Leciał on coraz dalej i dalej, aż dotarł do miasta Sana. Tam opuścił się w to samo miejsce, co ostatnim razem, po czym zakradł się potajemnie do komnaty księżniczki, ale nie znalazł tam ani jej samej, ani żadnej z jej niewolnic, ani też owego olbrzyma, któremu była powierzona piecza nad księżniczką. Przeto zafrasował się wielce. Potem jednak jął chodzić po całym zamku i szukać wszędzie swej ukochanej. W końcu odnalazł ją w jakiejś odległej komnacie. Księżniczka spoczywała na wspaniałym łożu, otoczona niewolnicami i dziewczętami służebnymi. Królewicz podszedł do nich i pozdrowił je dwornie. Skoro tylko księżniczka głos jego usłyszała, zerwała się z posłania i objęła go, całując i przyciskając do serca. Wówczas królewicz rzekł: - O pani moja, rozłąka z tobą głęboko mnie trapiła. A ona na to: - To ty swoją nieobecnością mnie martwiłeś; gdyby dłużej jeszcze cię nie było, na pewno umarłabym ze zgrzyoty. Królewicz mówił dalej: - Dostojna pani, pomyśl o tym, co zaszło między mną a twym ojcem, i o tym, jak on wobec mnie postąpił. Gdybym nie miłował tak bardzo ciebie, która urzekasz swym czarem wszystkie stworzenia, byłbym przyprawił go niechybnie o śmierć, jako przestrożę dla wszystkich, co na nasze szczęście dybią. Ale że miłuję ciebie, przeto miłuję i twego rodzica, ponieważ jesteś jego córką. A księżniczka na to: - Jakże mogłeś mnie tak opuścić? Bo czy życie może mieć dla mnie jeszcze jakąś słodycz, kiedy cię nie ma przy mnie? - Czy chcesz mi być posłuszna - zapytał królewicz - i postąpić wedle mych słów? A księżniczka odpowiedziała: - Powiedz, czego pragniesz, a ja będę ci posłuszna we wszystkim, czego tylko ode mnie zażadasz, i obiecuję w niczym ci się nigdy nie sprzeciwić. A kiedy królewicz rzekł: - Udaj się ze mną do mojego kraju i państwa - księżniczka odpowiedziała: - Zgadzam się całym sercem! Skoro królewicz słowa te z jej ust posłyszał, radość jego nie miała granic. Chwyił ją za rękę i kazał jej powtórzyć obietnicę, biorąc Allacha miłościwego za świadka. Po czym wszedł z nią na dach zamku, wskoczył na swego wierzchowca i kazał jej usiąść za sobą. Przywiązawszy ją do siebie sznurem, przekreślił śrubę, znajdującą się na łopatce konia, i już niebawem koń unosił się z nim w powietrzu. Wszelako, kiedy to się działo, niewolnice podniosły wielki krzyk i oznajmiły o tym ojcu oraz matce księżniczki. Oboje udali się pośpiesznie na taras zamkowego dachu, a ojciec księżniczki spojrzawszy w przestworza, ujrzał hebanowego konia, unoszącego się z obojgiem młodych pod niebiosą. Widząc to przeraził się niezmiernie i zawołał wielkim głosem: - Błagam cię, o królewiczu, w imieniu Allacha, ulituj się nade mną i miej miłosierdzie wobec mojej małżonki! Nie rozdzielaj nas z naszą ukochaną córką! Królewicz nic nie odpowiedział, potem jednak pomyślał, że może księżniczka boleje nad rozłąką z matką i ojcem, więc zwrócił się do niej z zapytaniem: - O ty, rozkoszy naszego czasu, czy chcesz, abym odwiózł cię z powrotem do twojej matki i twego ojca? Ona zaś na to: - Na Allacha, panie mój i władco, wcale tego sobie nie życzę. Mam tylko jedno pragnienie: być zawsze z tobą wszędzie tam, gdzie ty będziesz. Miłość do ciebie bowiem każe mi zapomnieć o wszystkim, nawet o ojcu i matce. Królewicz usłyszawszy słowa te z jej ust, nie posiadał się z radości i zwolnił lot swego hebanowego wierzchowca, aby księżniczka zbytnio się nie lękała. I tak leciał ciągle dalej i dalej, aż ujrzał pod sobą zielony kobierzec łąki, po której płynął srebrny potok. Tam wylądowali, aby posilić się i ukoić pragnienie. Po czym królewicz znów dosiadł swego rumaka, posadził księżniczkę za sobą i przywiązał ją mocno sznurem, albowiem troszczył się o jej życie i bezpieczeństwo. I znów poszybował z nią w powietrze, coraz dalej i dalej, aż w końcu osiągnął stolicę swego ojca. Radość królewicza była niezmierna, a ponieważ chciał księżniczce pokazać wspaniałość swego królestwa i dowieść jej, iż potęga jego ojca przewyższa potęgę jej rodzica, zсадził ją z konia w jednym z ogrodów, po którym ojciec jego zwykł był się przechadzać. Tam wprowadził ją do altany, pozostawił swego hebanowego rumaka u drzwi pod opieką księżniczki i rzekł: - Zostań tu, aż przyślę po ciebie posłańca! Ja zaś pójdę zawiadomić mego ojca, aby przysposobił dla ciebie piękny pałac, gdzie mógłbym pokazać ci całą moją królewską wspaniałość. Księżniczka uradowała się wielce i powiedziała: - Czyń, co zechcesz! Przypuszczam bowiem, iż zostanie przyjęta z całą czcią, jaka się jej stanowi należała. Królewicz zaś pożegnał się z nią, poszedł do miasta i udał się na pokoje swego ojca. Król ujrzawszy go, ucieszył się z jego przybycia i wyszedł mu na spotkanie, błogosławiąc jego powrót. Wówczas królewicz tak do ojca swego rzecze: - Wiedz, że przywiozłem ową księżniczkę, o której ci opowiadałem. Pozostawiłem ją w ogrodzie u wrót naszego miasta, a sam przybyłem ci o tym oznajmić, byś mógł



przysposobić orszak odpowiednio uroczysty i udać się z nim na jej spotkanie, pokazując jej swoją królewską potęgę, rycerzy i wojowników. - Przystaję chętnie! - odparł król. Po czym wydał zaraz rozkaz, aby mieszkańcy miasta przyozdobili jak najpiękniej swoje domy. Sam zaś dosiadł wspaniałego dzianeta i z całym przepychem wyjechał w najpiękniejszym stroju na czele wojowników, emirów oraz dostojników państwa i sług. Królewicz tymczasem sprowadził ze swego pałacu klejnoty, uroczyste szaty oraz inne drogocенności z królewskiego skarbcza. Kazał sporządzić wielką lektykę z zielonego, czerwonego i złotego brokatu, do której przydzielił indyjskie, greckie i etiopskie niewolnice, roztaczając przy tym cały przepych swych skarbów. Przygotowawszy wszystkie te wspaniałości, książę postawił lektykę i towarzyszące jej niewolnice, a sam dosiadł rumaka i udał się do ogrodu przed wrotami miasta. Tam skierował się prosto do altany, w której pozostawił swą umiłowaną. Ale tam jej nie znalazł. Również i latającego konia nigdzie nie było. Przekonawszy się o tym, zaczął bić się po twarzy, szarpać swoje szaty i błąkać się po ogrodzie, jak gdyby postradał zmysły. Kiedy się jednak nieco opanował, rzekł sam do siebie: "W jakim sposobie mogła ona odgadnąć tajemnicę mego wierzchowca, której jej przecież nie zdradziłem." Może to ów perski mędrzec, który tego konia sporządził, zoczył ją tu i porwał, aby zemścić się za to, co mój ojciec mu wyrządził". Po czym królewicz przywołał strażników ogrodu i wypytywał ich, czy nie spotkali kogoś obcego. A oni odpowiedzieli: - Nie zauważyliśmy nikogo, kto by nas minął i wszedł do ogrodu, krom pewnego perskiego mędrca, który przybył tu, aby zbierać zioła lecznicze. Królewicz, posłyszawszy te słowa, był już teraz pewien, że to ów mędrzec porwał jego ukochaną. A stało się to za zrzędzeniem losu w sposób następujący: Skoro tylko królewicz pozostawił księżniczkę w altanie i poszedł do zamku swego ojca, aby wszystko na jej przybycie przygotować, perski mędrzec wszedł do ogrodu, aby istotnie zająć się zbieraniem ziół leczniczych. Poczł przy tym jednak wypełniający cały ogród zapach piżma oraz innych wonnych pachnideł, jakich zwykła była używać księżniczka. Mędrzec poszedł za tym zapachem i trafił do altany. Tam ujrzał nagle przed drzwiami altany hebanowego konia, którego był własną ręką sporządził. Na ten widok serce jego napełniło się błogą radością, zwłaszcza że nie mógł być dotąd przeboleć utraty owego konia. Podszedł więc bliżej do hebanowego rumaka, zbadał wszystkie jego części i przekonał się, iż są nie uszkodzone. Już chciał go dosiąść i odlecieć, ale przedtem powiedział jeszcze sam do siebie: "Muszę sprawdzić, czy królewicz czegoś nie przywiózł i nie pozostawił tu, przy moim koniu". Po czym przestąpił próg altany i ujrzał siedzącą tam dziewczę, piękną jak słońce, które na wolnym od chmur sklepieniu niebieskim wszystko rozjaśnia swoim blaskiem. Skoro tylko ją zoczył, poznał natychmiast, iż jest to dziewczica dostojnego rodu oraz iż widocznie królewicz porwał ją i na koniu hebanowym przywiózł, a potem pozostawił ją tu na razie, a sam udał się do miasta, aby ją później w uroczystym orszaku z należnymi jej honorami sprowadzić. Podszedł więc mędrzec do dziewczicy i ucałował ziemię u jej stóp. Ona zaś zwróciła na niego oczy i obrzuciła ciekawym spojrzeniem, ale wnet przekonała się, iż jest szpetny i odrażającej postaci. Zapytała przeto: - Coś za jeden? A on na to: - Dostojna pani, jestem czauszem królewicza, który posłał mnie do ciebie z rozkazem, abym przewiózł cię do innego ogrodu, leżącego bliżej miasta. Księżniczka pytała dalej: - Gdzie jest królewicz? A mędrzec na to: - Królewicz znajduje się obecnie w mieście i, swego ojca, skąd wszakże niebawem przybędzie po ciebie w uroczystym orszaku. Tedy księżniczka odparła: - Czyż królewicz naprawdę nie mógł już znaleźć kogo innego prócz ciebie, aby po mnie przysłać? Mędrzec uśmiechnął się na te słowa i powiada: - Dostojna pani, niech moje szpetne oblicze i odrażający wygląd cię nie odstręczają! Gdybyś otrzymała ode mnie to, co królewicz ode mnie dostał, wielbiłabyś mnie pod niebiosami. Właśnie z powodu mojego szpetnego oblicza i odrażającej postaci królewicz wybrał mnie na swego posłańca, ponieważ miłość do ciebie napełnia go zazdrością. Boć przecie nie brak mu mameluków, niewolników, sług i wasali, których mógłby tu przysłać. Księżniczka słowa te uznała za rozsądne i uwierzyła im. Wstała z miejsca, położyła swą piękną rączkę na jego dłoni i zapytała: - Powiedz mi, czcigodny starcze, jakiego konia mi przyprowadziłeś? - Dostojna pani - padła odpowiedź - masz dosiąść wierzchowca, na którym tu przybyłaś. A ona na to: - Nie umiem jednak sama na nim jechać. Mędrzec, usłyszawszy te słowa z jej pięknych ust, uśmiechnął się tylko, gdyż wiedział już, iż ma ją całkowicie w swojej mocy, rzekł przeto: - Ja pojedę z tobą na tym koniu. Po czym dosiadł hebanowego rumaka, umieścił księżniczkę

za sobą i przywiązał ją sznurem. Następnie przekreślił śrubę, hebanowy koń poruszył się, zakółsał i uniósł wysoko w przestworza. I tak lecieli coraz dalej, aż miasto znikło im z oczu. Tedy księżniczka zwróciła się do starca, mówiąc: - Hej! Czy zapomniałeś o tym, że to mój królewicz cię po mnie przysłał? Wówczas mędrzec zawołał: - Niech Allah ześle przekleństwo na twego królewicza! To podły i nędzny łotr! - Biada ci! - odkrzyknęła księżniczka. - jak możesz sprzeciwiać się rozkazowi twego pana i władcy? A on na to: - To wcale nie mój pan! Czy wiesz, kim jestem? Na co księżniczka odpowiedziała: - Wiem o tobie tylko tyle, ile mi sam o swojej osobie powiedziałeś. A on ciągnął dalej: - To, co tobie powiedziałem, było tylko podstępem. Długo opłakiwałem konia, na którym obecnie lecimy. To dzieło moich rąk. A twój królewicz niecnie mi je porwał. Teraz jednak odzyskałem konia i mam go w mojej mocy oraz na dodatek i ciebie! Złamałem serce twemu królewiczowi, tak jak on złamał kiedyś moje. Teraz już nigdy konia tego nie odzyska! Ale ufaj mi i nie smuć się! Mogę z czasem stać się bardziej pożytecznym od królewicza. Skoro księżniczka usłyszała te słowa z ust mędrca, jęła bić się po twarzy i zawołała: - Biada mi! Nie zdobyłam ukochanego, a utraciłam ojca i matkę! Powiedziawszy to, płakała gorzko nad swoim nieszczęściem, gdy tymczasem mędrzec coraz dalej z nią leciał, aż dolecieli do krainy greków. Tam wylądowali na zielonej łące, gdzie płynęły szemrzące strumienie i rosły bujne drzewa. Owa łąka była w pobliżu miasta, w którym panował potężny król. Otóż przydarzyło się owego dnia, iż król ów wyruszył na łowy i właśnie przejeżdżał przez łąkę. Ujrzał tam szpetnego starucha, a obok niego hebanowego konia i dziewczę. Zanim mędrzec się spostrzegł, niewolnicy królewscy rzucili się zniechęca na niego, pojмали go wraz z dziewczcą i koniem i przyprowadzili wszystkich przed oblicze królewskie. Skoro król ujrzał szpetną i odrażającą postać starca oraz urodę i wdzięk dziewczicy, zapytał: - Dostojna pani, czy starzec ten jest twoim krewnym? Wówczas mędrzec pośpiesznie w jej imieniu odpowiedział: - To moja żona, córka mego stryja. Księżniczka jednak zadała kłam jego słowom, mówiąc: - O królu, przysięgam na Allacha, iż nie znam tego starca. Nie jest on moim małżonkiem, ale porwał mnie przemocą. Król usłyszawszy te słowa, rozkazał wychłostać starucha, powlec go do miasta i rzucić do lochu. I tak się też stało. Dziewcię zaś i hebanowego konia król zabrał dla siebie, choć nie wiedział, jak się rzecz ma z owym dziwnym rumakiem i w jaki sposób go uruchomić. Pożegnajmy się teraz z mędrce i księżniczką i powróćmy do królewicza! Przywdział on niezwłocznie szaty podróżne, wziął z sobą tyle pieniędzy, ile mu było potrzeba, i wyruszył w drogę mocno zafrasowany. Tropił ślad ukochanej i szukał jej wędrując z kraju do kraju i z miasta do miasta, wszędzie wypytyjąc o hebanowego konia. Ale każdy, kto słyszał, że mówi o takim zwierzęciu, dziwował się tylko jego słowom. I choć wędrował długo, nie wpadł nigdzie na ślad. Wreszcie przybył do stolicy ojca księżniczki i tam też pytał o nią. Wszelako zobaczył jedynie, jak władca miasta opłakuje utratę swej córki. Zawrócił więc i udał się do greckiego kraju i tam szukał dalej jej śladu. Otóż przytrafiło się, iż wstąpił do pewnego karawanseraju i zastał tam gromadę kupców, którzy byli zajęci rozmową. Przysiadł się do nich i usłyszał, jak jeden z nich powiedział: "Przyjaciele moi, widziałem jeden z największych cudów świata!" A skoro się go spytali, co to było, ciągnął dalej: "Znajdowałem się w pewnej dzielnicy takiego a takiego miasta - tu wymienił jego nazwę - i usłyszałem, jak tamtejsi ludzie mówili o przedziwnym wydarzeniu. Król ich wyruszył mianowicie pewnego dnia na łowy z gronem przyjaciół i dostojników państwa. Kiedy wyjechali z miasta i znaleźli się na zielonej łące, ujrzeli tam starca, który trzymał za uzdę konia z hebanowego drewna, a obok niego siedziała piękna dziewczica. Staruch ów był wielce szpetny i miał odrażający wygląd, dziewczica zaś jaśniała precudną urodą i wdziękiem, doskonałością kształtów i dostojnością postaci, a hebanowy koń przypominał wprost klejnot; taki był piękny i wspaniale zbudowany, iż podobnego nikt nigdy jeszcze nie widział". Wówczas obecni zapytali: "I cóż król z nimi uczynił?" Opowiadający zaś tak ciągnął dalej: "Król rozkazał pojmać owego starca, który twierdził, że dziewczica jest jego żoną, córką stryja. Wszakże ona zadała kłam jego słowom, i wtedy król odebrał mu ją i wydał rozkaz, by wychłostać starucha i wrzucić go do lochu. Ale jeżeli chodzi o konia z hebanowego drewna, to nie wiem, co się dalej z nim stało". Królewicz usłyszawszy te nowiny z ust kupca, podszedł do niego i poprosił uprzejmie, aby powtórzył nazwę miasta oraz imię króla. A dowiedziawszy się zarówno jednego, jak i drugiego, spędził noc wesoło i pogodnie. Skoro świt wyruszył znowu w drogę i wędrował coraz dalej, aż dotarł do owego miasta. Kiedy jednak

chciał doń wejść, schwytali go strażnicy u bramy i chcieli poprowadzić przed oblicze króla, aby ten wypytał go, kim jest, po co do miasta przybył i jakie umiejętności posiada. Było bowiem obyczajem owego króla wszystkich obcych przybyszów pytać o ich stan i rzemiosło. Otóż królewicz przybył do owego miasta już o zmierzchu, a więc za późno, aby stanąć przed obliczem króla i być przez niego przesłuchanym. Przeto strażnicy zaprowadzili go do więzienia, aby tam przenocował. Skoro wszakże dozorca więzienni ujrzeli jego urodę i wdzięk, ciężko im było rzucić go do lochu. Toteż pozostawili go w sieni więzienia i gawędzili z nim. Kiedy przyniesiono im posiłek, królewicz jadł z nimi, aż do sytości. A po jedzeniu jęli dalej gawędzić. Przy tym zwracali się do niego pytając: - Z jakiego kraju przybywasz? On zaś odpowiedział: - Przybywam z Farsu\*, krainy władanej przez królów z rodu Sasanidów\*. Skoro to usłyszeli, jęli się śmiać, a jeden z nich rzekł: - Patrzenie go, Sasanidczyk! Słyszałem już wiele opowieści i gadek od różnych ludzi i znam się na ich sztuczkiach, nigdy jednak nie spotkałem i nie słyszałem większego kłamcy od pewnego Sasanidczyka, który właśnie teraz siedzi w naszym więzieniu. A jeden z nich rzekł: - Nie widziałem też nigdy nic bardziej szpetnego, jak jego oblicze, i nic bardziej odrażającego, niż jego postać. Tedy królewicz zapytał: - Cóż najbardziej zwróciło waszą uwagę spośród jego kłamstw? A oni na to: - Twierdzi, iż jest lekarzem i mędrce. Król nasz spotkał go po drodze jadąc na łowy. A przy nim była dziewczina niezwyklej urody i wdzięku, promieniejąca doskonałością kształtów i dostojnością postaci. Poza tym miał przy sobie jeszcze konia z hebanu równie pięknego nie widzieliśmy nigdy. Dziewica jest teraz u naszego króla, który ją miłuje, ale ona nie jest przy zdrowych zmysłach. Gdyby ów człowiek był istotnie mędrce, jak twierdzi, to od dawna wróciłby już jej zdrowie, zwłaszcza że król nie szczędzi starań, aby ją uleczyć. Pragnie bowiem nade wszystko przywrócić jej zdrowie. Hebanowy koń zaś znajduje się w skarbcu królewskim, a ów szpetny staruch siedzi tu, w naszym więzieniu. Skoro nastaje noc, płacze on i lamentuje tak głośno nad swoją niedolą, że nie daje nam spać. Tedy królewicz jął rozmyślać nad podstępem, za pomocą którego mógłby osiągnąć swój zamiar. Kiedy strażnikom zachciało się spać, wpełnęli go do celi więziennej i zatrzasnęli za nim ciężkie drzwi. Tam usłyszał, jak uwięziony mędrzec głośno narzekał na swój los i lamentował, używając przy tym perskiej mowy: - Biada mi, iż zgrzeszyłem przeciwko samemu sobie oraz owemu królewiczowi. Również moje przewinienia wobec owej dziewczicy są wielkie. Nie chciałem zostawić jej w spokoju, ale i tak nie osiągnąłem nic, co było moim życzeniem. Wszystko to pochodzi stąd, iż działałem nieopatrnie. Pragnąłem dla siebie tego, na co nie zasługiwałem i co takim jak ja nie przystoi. Kto dąży do czegoś, co nie jest dla niego przeznaczone, ten musi popaść w nieszczęście, jako i ja popadłem! Królewicz usłyszawszy te słowa, odpowiedział po persku: - Jak długo jeszcze ma trwać ten lament i zawodzenie? Czyż myślisz, że przytrafiło ci się nieszczęście, jakiego nikt inny jeszcze nigdy nie doznał? Mędrzec usłyszawszy mówiącego po persku, poczuł doń zaufanie i wśród narzekań opowiedział mu o swoich cierpieniach i całej niedoli, która go nawiedziła. Nazajutrz rano dozorca więzienni zaprowadzili królewicza do swego króla, donosząc mu, iż cudzoziemiec ten przybył do miasta w przeddzień wieczorem, tak że było już za późno, aby mu pozwolić stanąć przed obliczem królewskim. Tedy król zapytał królewicza: - Z jakiego kraju przybywasz i jakie jest twoje imię? Jakie posiadasz umiejętności i jaki był powód twojego przybycia do tego miasta? Na to padła odpowiedź: - Imię moje brzmi Hardza, a ojczyzną moją jest Fars. Należę do cechu uczonych, a szczególnie biegły jestem w kunszcie lekarskim, gdyż potrafię zwracać zdrowie chorym i opętanym. W tym celu wędruję z kraju do kraju i z miasta do miasta i wszędzie staram się wzbogacić moją wiedzę i doświadczenie. A jeśli spotykam chorego, to go leczę. Taki jest mój zawód. Skoro król to posłyszał, nie posiadał się z radości i odparł: - Doskonały i mądry lekarzu, zaiste przybywasz do nas w samą porę, kiedy sztuka twoja jest nam potrzebna. Po czym opowiedział mu o obląkaniu księżniczki i dodał: - Jeśli ją ulecysz i uwolnisz od szaleństwa, otrzymasz ode mnie wszystko, co zechcesz. Królewicz odpowiedział: - Niech Allah Miłościwy umocni jeszcze twą potęgę, królu! Opowiedz mi o wszystkich oznakach szaleństwa, jakie u owej dziewczicy zauważyłeś. I nadmien, ile dni temu naszło na nią to obląkanie. A poza tym opowiedz jeszcze, w jaki sposób pojmałeś ją wraz z koniem oraz owym starcem! Tedy król opowiedział mu wszystko od początku do końca i dodał: - Staruch znajduje się obecnie w lochu. A królewicz pytał dalej: - O najszcześniejszy z królów, powiedz mi, co uczyniłeś z koniem, który był przy niej? - Mój

młody przyjacielu - odparł król - koń ów znajduje się w bezpiecznym miejscu, w moim królewskim skarbcu. Tedy królewicz tak do siebie powiedział: "Zdaje mi się, że przede wszystkim trzeba dokładnie obejrzeć konia. Jeśli jest cały i nienaruszony, to osiągnąłem mój cel. Jeśli jednak przekonam się, iż konia nie da się już uruchomić, muszę wymyślić jakąś inną chytrą, abym mógł umiłowaną mego serca uwolnić". Pomyślawszy to zwrócił się do króla i tak rzecze: - Muszę, o królu, najpierw zobaczyć owego konia, a być może odkryję w nim coś, co przyda mi się do uleczenia owej dziewicy. - Zgadzą się - odparł król, po czym wstał z tronu i poszli do skarbcu, gdzie był hebanowy koń. Królewicz zaczął obchodzić go dookoła, oglądać i badać jego stan. Niebawem przekonał się, iż rumak jest cały i nienaruszony. Tedy wielce uradowany zawołał: - Niech Allah umocni twą potęgę, królu! Teraz chciałbym pójść do owej dziewicy, aby zobaczyć, co się z nią dzieje. Pokładam bowiem nadzieję w Allachu, że zostanie uleczona moją ręką, i to właśnie za pomocą tego konia, jeśli Allah na to pozwoli. Wówczas król rozkazał, aby pilnie strzeżono konia, a królewicza zaprowadził do pałacu, gdzie przebywała księżniczka. Skoro królewicz przestąpił próg jej komnaty, ujrzał, iż tarzała się po ziemi, jak zazwyczaj czynią szaleńcy, rzucając się we wszystkie strony. Duch jej wszakże nie był obłąkany, ale czyniła to tylko, aby nikt nie mógł się do niej zbliżyć. Królewicz zastawszy ją w takim stanie, powiedział łagodnie do niej: - Nie obawiaj się niczego, o rozkoszy ludzkości! Po czym ją do niej przemawiać przyjaźnie i dobrotliwie, a w końcu wyznał szeptem, kim jest. Zaledwie księżniczka zdążyła go rozpoznać, wydała przeraźliwy krzyk i popadła w omdlenie z bezmiaru radości. Królewicz wszakże sądził, że to napad choroby ze strachu, tedy przyłożył usta do ucha księżniczki i wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem: - O rozkoszy ludzkości, bacz, aby twoja i moja krew nie zostały przelane! Bądź cierpliwa i stanowcza, bowiem cierpliwość i stanowczość będą konieczne przy wykonywaniu mego zamysłu, który nas wyzwoli. Zamyśl mój polega na tym, iż na razie stąd wyjdę i powiem, że choroba, na którą cierpisz, polega na zamęczeniu zmysłów, ale równocześnie zaręcę, iż przywrócę ci zdrowie. Przy tym postawię królowi warunek, aby przestał cię więzić, a wtedy zły duch cię opuści. Kiedy król potem do ciebie przyjdzie, rozmawiaj z nim życzliwie, aby mógł się przekonać, iż ręka moja przywróciła ci zdrowie. A wtedy wszystkie nasze życzenia zostaną spełnione. - Słucham i jestem posłuszna - odpowiedziała cichym głosem księżniczka. A on opuścił jej komnatę, poszedł do króla, niesiony na skrzydłach radości, i powiedział: - O najszczęśliwszy z wszystkich królów! Udało mi się chorobę rozpoznać i właściwe lekarstwo wynaleźć. I oto już uleczyłem księżniczkę dla ciebie. Idź przeto teraz do niej i przemów łagodnie, potraktuj ją ze słodyczą i obiecuj, że spełnisz to, co ją ucieszy, a wtedy i ona spełni wszystko, czego od niej zażadasz! Wówczas król wszedł do komnaty księżniczki, a skoro ta go ujrzała, powstała z ziemi i pozdrowiła uprzejmie. Król zaś uradował się wielce. Niezwłocznie wydał rozkazy niewolnikom i sługom, aby przybyli do księżniczki, zaprowadzili ją do łaźni i przysposobili dla niej królewskie szaty i bogate ozdoby. Służba wykonała królewski rozkaz, weszła do komnaty księżniczki i pozdrowiła ją z należnym uszanowaniem. Ta zaś odpowiedziała uprzejmymi i starannie dobranymi słowy. Tedy służebnice przystroili ją w królewskie szaty i założyły na szyję łańcuch z precudnych klejnotów, po czym odprowadziły ją do łaźni, pomogły się jej umyć i przywiodły stamtąd piękną niczym poświata księżycy. Kiedy księżniczka stanęła znów przed królem, pozdrowiła go uprzejmie i ucałowała ziemię u jego stóp. Tedy król w bezmiernej radości tak przemówił do królewicza: - Wszystko to zawdzięczam twojej umiejętności, niech Allah miłościwy obdarzy nas jeszcze innymi darami z twojej ręki! A królewicz na to: - Dziewica ta, o królu, wróci całkiem do zdrowia i będzie zupełnie na umyśle uleczona, dopiero wtedy, gdy ty ze wszystkimi twymi strażnikami i wasalami udasz się na to miejsce, gdzie ją znalazł, i zaprowadzisz tam hebanowego konia, który stał wówczas przy niej, abym mógł z niego wypędzić złego ducha, spętać go i zniweczyć, tak aby nigdy już nie mógł powrócić. - Zgadzą się - odparł król i rozkazał niezwłocznie zanieść hebanowego konia na ową łąkę, na której znalazł był królową, konia i starca. Po czym wraz z księżniczką udał się na czele swego wojska na owo miejsce. Nikt nie spodziewał się jednak, co młody lekarz zamierza uczynić. Skoro znaleźli się już na łące, królewicz, który wciąż jeszcze był przebrany za lekarza, rozkazał postawić dziewicę oraz jej konia na taką odległość od króla i wojska, na jaką sięga ludzkie oko. Po czym zwrócił się do króla z prośbą: - Pozwól mi teraz zapalić wonne kadzidło i

wymówić zaklęcia, które złego ducha zniewolą, tak że nigdy już nie będzie mógł księżniczki opętać. Potem dosiadę hebanowego rumaka, posadziwszy dziewczę za mną na jego grzbiecie. Skoro tylko to uczynię, koń zacznie wierzgać i bić kopytami, lecz w końcu uda mi się go poskromić i przyprowadzić posłusznie do ciebie. W tym momencie już będzie po wszystkim i uczynisz ze mną, co ci się będzie podobało. Król usłyszawszy te słowa uradował się wielce. Królewicz zaś dosiadł hebanowego rumaka i posadził księżniczkę za sobą, podczas gdy król i jego wojownicy wszystkiemu się przypatrywali. Następnie królewicz przyciągnął bliżej księżniczkę do siebie i przymocował ją sznurem, po czym przekreślił śrubę służącą do unoszenia się w górę, a hebanowy koń niezwłocznie uniósł się z siedzącą na nim parą w podniebne przestworza. I tak lecieli na oczach całego wojska, aż w końcu znikli z zasięgu ludzkiego wzroku. Król czekał przez pół dnia na powrót młodego lekarza, ale królewicz już nie wrócił. W końcu zrozpaczony król stracił wszelką nadzieję, naszła na niego gorzka skrucha i opanował go głęboki smutek z powodu utraty pięknej dziewczyny. Zebrał więc swoje wojsko i udał się z powrotem do miasta. A królewicz tymczasem leciał szczęśliwy przez przestworza do stolicy swego ojca i nie zatrzymał się, aż dotarł do ojcowskiego zamku. Wylądowawszy tam, ukrył księżniczkę w bezpiecznym miejscu, po czym poszedł do swego ojca i matki, pozdrowił ich i oznajmił, iż księżniczka przybyła, jego rodzice zaś nie posiadali się z radości. Takie były dzieje królewicza, hebanowego konia i księżniczki. A jakie były dalsze losy wyprowadzonego w pole króla? Skoro tylko powrócił do swego miasta, zamknął się w pałacu, pogrążony w smutku i żałobie. Wezyrowie jego przybyli doń i zaczęli pocieszać, mówiąc: - Ten, kto porwał ową dziewczę, to czarownik, chwała niech będzie Allachowi, iż uchronił cię od jego czarów i chytrności. I tak długo uspokojali wezyrowie swego władcę, aż w końcu przeboleł stratę. Ale powróćmy znów do naszego królewicza! Rozkazał on wyprawić huczne uczyty dla mieszkańców swej stolicy. Uroczystości i zabawy trwały przez cały miesiąc. Po czym poślubił przywiezioną na hebanowym koniu księżniczkę i żyli z sobą oboje w wielkim szczęściu i radości. Ojciec króla kazał mimo to zniszczyć hebanowego konia, aby nie mógł już nigdy zakłócać spokoju. Królewicz zaś napisał list do ojca swojej małżonki i doniósł mu wszystko o niej, o ich zaślubinach i o wspólnym szczęśliwym życiu. List wraz z drogocennymi upominkami i klejnotami wysłał przez osobnego posła. Poseł przybył do ojca księżniczki i wręczył mu list i upominki. Ów zaś przeczytawszy list uradował się wielce, przyjął łaskawie upominki i obsypał posła wysokimi zaszczytami. Potem przysposobił drogocenne dary dla swego zięcia i wręczył je posłowi. Ten wrócił z nimi do królewicza i doniósł mu, jak bardzo ojciec księżniczki radował się z otrzymanych wieści. Tedy i królewicz ucieszył się niezmiernie i tak stale, co roku, posyłał odtąd listy i upominki dla swego teścia. W końcu rodzic królewicza pożegnał się z doczesnym życiem, tak że syn jego wstąpił na tron. Panował sprawiedliwie nad swymi poddanymi, a postępowanie jego wobec nich było miłe wszechmocnemu Allachowi, który sprawił, że i sąsiednie kraje poddały się jego królewskiej władzy i zobowiązały się względem niego do posłuszeństwa. I tak pędzili żywot w przepychu, wspaniałości, szczęściu i zadowoleniu, aż przyszła do nich ta, która każe umilknąć wszelkiej radości i rozrywa wszelkie więzy przyjaźni, która obraca w gruzy zamki i stawia grobowce. Chwała więc Wiecznie Żywemu, który nigdy nie przemija i który panuje nad ziemią i niebem!



## Opowieść o mistrzu Hasanie el-Habbalu

Kalif Harun ar-Raszid nie mógł pewnej nocy zmrzyć oka. A kiedy nad ranem wstał z łoża, poczuł wielki niepokój. Posłał więc władca wiernych po swego ochmistrza, a skoro ten przybył, kalif zawołał:

- Sprowadź mi bez zwłoki i ociągania się wezyra Dżafara!

Ochmistrz odszedł i powrócił w towarzystwie wezyra. Kiedy ten zastał swego władcę samego, a zbliżywszy się doń poznał, iż jest w tak ponurym nastroju, że nawet nie podniósł nań oczu, stanął czekając, aż władca raczy na niego spojrzeć. W końcu władca wiernych spojrział na Dżafara. Ale zaraz potem odwrócił od niego głowę i znów siedział nieruchomo jak uprzednio.

Ponieważ wezyr z wyrazu twarzy kalifa nie mógł odczytać nic, co by mogło jego samego dotyczyć, wziął się na odwagę i tak do niego rzecze:

- O władco wiernych, czy nie raczyłbyś zezwolić mi na zapytanie, skąd pochodzi ten smutek?

Tedy kalif odpowiedział, rozchmurzywszy nieco swoje czoło:

- O wezyrze, przygnębienie jakoweś dręczy mnie ostatnimi czasy i mogę obronić się od niego jedynie słuchając niezwykłych opowieści lub pięknych wierszy. Przeto jeśli nie masz obecnie

pilnych spraw do załatwienia, ucieszysz mnie, jeśli opowiesz mi coś, aby mój smutek precz odegnąć.

- O władco wiernych - odparł wezyr - urząd mój zmusza mnie, abym ci zawsze wiernie służył. Przeto chciałbym ci przypomnieć, iż dzień dzisiejszy przeznaczony został na zbieranie wiadomości, czy stolica twa i jej przedmieścia są należycie zarządzane. A to, jeśli Allah pozwoli, skieruje w inną stronę twoje myśli i ponury nastrój odegna.

A kalif na to:

- Dobrze czynisz, przypominając mi to, bo całkiem o tym zapomniałem. Idź więc i przebierz się odpowiednio, a ja uczynię to samo.

Niebawem obaj przebrali się za cudzoziemskich kupców i wyszli ukrytym wyjściem z ogrodu pałacowego na szerokie pole. Idąc wzdłuż granic miasta dotarli nad brzeg rzeki Tygrys, niedaleko od bramy miejskiej, stojącej po tamtej stronie rzeki, nie zauważywszy nigdzie żadnego bezprawia ani nieporządku. Po czym przeprawili się przez rzekę pierwszą tratwą, na jaką natrafili. Obszedłszy i po drugiej stronie rzeki wszystko, przeszli przez most, łączący obie połowy miasta Bagdadu.

Zanim jednak kalif dotarł do swego pałacu, ujrzał przy ulicy, kędy od wielu miesięcy już nie przechodził, nowo wybudowany dom, który wydał mu się siedzibą jakiegoś bogatego emira. Zapytał więc wezyra, czy zna właściciela nowo wzniesionego domu. Lecz Dżafar odparł, iż go nie zna, ale zaraz może się o to zapytać. I rzeczywiście zapytał jednego z sąsiadów, a ten powiedział mu, iż właścicielem nowo wzniesionego gmachu jest niejaki mistrz Hasan, który z powodu uprawianego zawodu nosi przydomek el-Habbal, to znaczy powroźnik. Sąsiad dodał, iż sam widział owego Hasana w dniach jego ubóstwa, kiedy musiał jeszcze ciężko pracować. Ale obecnie nie wie, w jaki sposób szczęście czy umiejętność przywiodły Hasana do takiego bogactwa. Ów mistrz doszedł bowiem do tak niezmiernej fortuny, iż budując ten dom był w

stanie wywiązać się ze wszelkich zobowiązań, które z tego wynikły, nie tylko uczciwie, ale nawet szczerze. Tedy wezyr powrócił do kalifa i zdał mu dokładnie sprawę ze wszystkiego, co usłyszał.

Wówczas władca wiernych zawołał:

- Muszę koniecznie tego mistrza Hasana el-Habbala ujrzeć! Przeto, wezyrze, pójdz do niego i powiedz mu, aby jutro stawił się w moim pałacu!

Wezyr wykonał rozkaz swego pana i nazajutrz, skoro kalif odprawiwszy popołudniowe modły udał się na swoje pokoje, Dżafar wprowadził do niego powroźnika Hasana i przedstawił go kalifowi. Hasan rzucił się na ziemię do jego stóp, a kiedy podniósł się, władca wiernych, który z natury był łagodny i miłosierny, zapytał go o jego dzieje, mówiąc:

- Kiedy wędrowałem ulicami naszego miasta, zwrócił moją uwagę wielki i wspaniały dom. A kiedy wypytywałem mieszczan, odpowiadali, że ten wspaniały dom należy do ciebie, którego zowią mistrzem Hasanem. Dodawali przy tym, iż dawniej byłeś ubogi, ale Allah obdarował cię wielką fortuną, tak że mogłeś pozwolić sobie na wzniesienie tej wspaniałej budowli. Poza tym powiedzieli mi, że choć posiadasz taką iście książęcą siedzibę i bezmiar bogactw, nie wstydzisz się jednak twego dawnego stanu. Powiedzieli mi również, że nie marnotrawisz twój majątku na huczne zabawy, ale pomnażasz go uczciwym handlem. Wszyscy twoi sąsiedzi mówią dobrze o tobie, żaden z nich nie wyrzekł złego słowa. Przeto chciałbym teraz od ciebie samego dowiedzieć się prawdy i z twoich własnych ust usłyszeć, w jaki sposób zdobyłeś tak niezmierne bogactwo. Przywołałem cię więc przed moje oblicze, abyś dokładnie opowiedział mi o swoich losach. Potem zaś używaj sobie do woli bogactw, którymi Allah raczył cię obdarzyć. I niech twoja dusza się nimi weseli!

Te łaskawe słowa uspokoiły powroźnika, który rzucił się znów na ziemię przed władcą wiernych i ucałowałszy kobierzec u stóp tronu, zawołał:

- O władco wiernych, zdam ci dokładną relację z kolei mojego losu. Biorę Allacha za świadka, iż nie uczyniłem nic, co by sprzeciwiało się wydanym przez ciebie prawom i sprawiedliwym zarządzeniom, bo całe to moje bogactwo pochodzi wyłącznie z łaski i dobroćliwości Allacha.

Tedy Harun ar-Raszid rozkazał mu dalej mówić z całą otwartością i powroźnik zaczął w te słowa:

- O dawco wszelkich dobrodziejstw, posłuszny twemu dostojnemu rozkazowi opowiem, w jaki sposób i na jakich drogach łaskawy los uszczęśliwił mnie tak wielkim bogactwem. Ale przedtem chciałbym rzec coś niecoś o dwóch moich przyjaciółkach, którzy mieszkają w Bagdadzie, mieście

zwanym przybytkiem pokoju. Obaj jeszcze żyją i obaj zaświadczyć mogą o prawdzie tej opowieści, którą twój niewolnik ci teraz opowie. Jednego z nich nazywają Sad, a drugiego Sadi. Sadi uważał, że bez bogactwa nikt nie może na tym świecie być szczęśliwy i niezależny, a poza tym, iż bez ciężkiego trudu i pracy, czujności i rozumu jest rzeczą niemożliwą stać się bogatym. Przyjaciel zaś imieniem Sad mniemał inaczej i twierdził, że zamożność staje się udziałem ludzi wyłącznie dzięki zrządzeniu losu oraz z łaski szczęścia i przeznaczenia.

Sad był ubogim człowiekiem, a Sadi posiadał wiele pieniędzy i miał znaczny majątek. Ale mimo to nawiązała się między nimi zażyła przyjaźń i zadzierzgnęli jak najlepsze stosunki. Nigdy się o nic nie kłócili krom jednego, że Sadi liczył tylko na spryt i przezorność, a Sad wyłącznie na los szczęścia.

Pewnego dnia, kiedy znów o tej sprawie rozmawiali, Sadi powiedział:

- Pożałowania godnym człowiekiem jest ten, kto urodzi się biednym i pędzi wszystkie swoje dni w ubóstwie i niedostatku. A również i ten, kto urodzi się zamożny i bogaty, ale w latach męskich wszystko roztrwoni i popadnie w nędzę, tak że potem nie ma już dosyć sił, rozumu i pilności do odzyskania swych bogactw.

A Sad na to:

- Ani rozum, ani pilność nie zdadzą się tu na nic. Wyłącznie przeznaczenie może uczynić, iż ktoś bogactwo pozyska lub zachowa. Nędza i niedostatek są wynikiem przypadku, a przezorność jest niczym. Niejeden ubogi wzbogacił się z łaski losu, a wielu bogaczy pomimo swej mądrości i zamożności popadło w nędzę i doszło do żebraczego kija.

A Sadi znów na to:

- Pleciesz głupstwa. Najlepiej wynajdźmy jakiegoś ubogiego rzemieślnika, który żyje z tego, co w ciągu dnia zarobi. Damy mu pieniądze, a wtedy niewątpliwie wzbogaci się i będzie żył w spokoju i wygodach. Wówczas przekonasz się o prawdzie moich słów. Potem obaj przyjaciele wyszli razem na przechadzkę i trafili na ulicę, przy której stała moja chata, gdzie zobaczyli, jak kręcę powrozy. Rzemiosło to rodzina moja uprawiała z dziada pradziada.

Sad zwrócił uwagę swego przyjaciela na mnie i rzekł:

- Jeśli chcesz rozstrzygnąć nasz spór za pomocą próby, to spójrz na tego oto człowieka! Mieszka on tu już od wielu lat i powroźnictwem zarabia na skromne utrzymanie dla siebie i rodziny. Znam dobrze jego położenie i twierdzę, że człowiek ten nadaje się całkowicie do naszej próby. Przeto daj mu kilka złotych monet i zobaczmy, co dalej będzie.

- Z miłą chęcią - odparł Sadi - ale przedtem musimy się z nim bliżej zaznajomić.

Podeszli więc obaj przyjaciele do mnie, a ja odłożyłem pracę i pozdrowiłem ich. Odpowiedzieli uprzejmie na moje pozdrowienie, a Sadi spytał:

- Jak masz na imię, przyjacielu?

A ja na to:

- Imię moje brzmi Hasan, ale z powodu rzemiosła, które uprawiam, ludzie zowią mnie Hasan el-Habbal, czyli powroźnik.

Sadi zaś pytał dalej:

- Jak ci się powodzi? Wydaje mi się, że jesteś wesół i ze swego losu zadowolony. Pracujesz dzielnie i od dawna, więc niewątpliwie nagromadziłeś dużo konopi i wszelakich innych zapasów. A ponieważ twoi przodkowie również to samo rękodzielo uprawiali, niechybnie pozostawili ci wiele pieniędzy i mienie, które należycie zużytkowałeś pomnażając w ten sposób swoją zamożność.

A ja na to:

- Efendi, nie mam w moim mieszkaniu pieniędzy, za które mógłbym zakupić jada do sytości. Co dzień od rana do wieczora mozołę się nad kręceniem powrozów, nie mam więc, ani chwili czasu na wypoczynek. A mimo to z trudem tylko mogę zarobić na suchy kawałek chleba dla mnie i mojej rodziny. Mam żonę i pięcioro nieletnich dzieci, które są jeszcze za małe, aby mi w rzemiosło moim pomagać. Nie jest przeto rzeczą łatwą na ich codzienne utrzymanie zapracować. W jakież więc sposób mógłbym zgromadzić zapasy konopi czy inne mienie? Powrozy, które kręcę, sprzedaję natychmiast, a z pieniędzy, które za to otrzymuję, wydaję większą część na bieżące



potrzeby. Z reszty zaś zakupuję trochę konopi, aby móc z nich na drugi dzień znów kręcić powrozy. Ale i tak miłościwemu Allachowi należy się uwielbienie, że mimo mego ubóstwa mam zawsze tyle chleba, ile na nasze potrzeby wystarcza.

Kiedy opowiedziałem obu przyjaciółom dokładnie o moim położeniu, Sadi znów zwrócił się do mnie:

- Poznałem twoje położenie, Hasanie. Jest ono rzeczywiście inne, niż myślałem. Dam ci zatem sakiewkę z dwustu złotymi monetami, ty zaś niewątpliwie pomnożysz przez to twój zarobek i będziesz mógł od tej chwili żyć w spokoju i dobrobycie. Co na to powiesz?

A ja odpowiedziałem:

- Jeśli łaskawie podarujesz mi tak wiele pieniędzy, to mogę żywić nadzieję, iż stanę się bogatszy niż wszyscy moi towarzysze, pracujący w tym samym co ja cechu, chociaż Bagdad jest zarówno zamożnym, jak i ludnym miastem.

Sadi, który uznał mnie za człowieka szczerego i godnego zaufania, wyciągnął z kieszeni mieszek z dwustu złotymi monetami i wręczył mi go, mówiąc:

- Przyjmij te pieniądze i obracaj nimi! Niech Allach miłościwy ci dopomoże. Ale uważaj, abyś pieniędzy tych z wielką przezornością używał, a nie marnotrawił ich w sposób głupi i bezbożny. Ja i mój przyjaciel Sad wielce będziemy radzi, jeśli osiągniesz dobrobyt. Gdy powrócimy tu znów i zastaniemy cię szczęśliwym i bogacącym się, będzie to dla nas obu wielkim zadośćuczynieniem.

Przyjąłem więc od Sadiego z największą radością i wdzięcznym sercem sakiewkę pełną złota. Włożyłem ją do kieszeni i na znak podziękowania ucałowałem kraj jego szaty. Po czym obaj przyjaciele odeszli, a ja, o władco wiernych, wziąłem się z powrotem do mojej powroźniczej roboty.

Czułem się jednak speszony i całkiem bezradny, nie wiedząc, gdzie schować ów mieszek ze złotem, ponieważ w mojej chacie nie było ani szafy, ani nawet skrzyni. Wziąłem go ze sobą do domu, zachowując wszakże zupełną tajemnicę przed żoną i dziećmi. A kiedy nie byłem przez nikogo widziany, wyjąłem dziesięć złotych monet na bieżące wydatki. Po czym zawiązałem sakiewkę sznurkiem, umocowałem ją w fałdach mojego turbanu, który jak zwykle miałem na głowie. Uczyniwszy to poszedłem na bazar i zakupiłem zapas konopi, a wracając nabyłem jeszcze trochę mięsa na wieczerzę. Od dawna bowiem nie kosztowaliśmy już żadnej mięsnej potrawy.

Gdy z kawałkiem mięsa w ręku powracałem do domu, nadleciała nagle ogromna kania i na pewno wyrwałaby mi była kupione mięso, gdybym jej nie odpędził. Próbowwała ponownie schwycić mięso, ale i tym razem udało mi się ją jakoś odpędzić. A kiedy tak rozpaczliwie usiłowałem ptaka nie dopuścić do siebie, na domiar złego spadł mi turban z głowy. Przekłęta kania rzuciła się nań natychmiast i odfrunęła, trzymając go w szponach. Biegłem za nią i wrzeszczałem na całe gardło, tak że wszyscy ludzie na bazarze, mężczyźni, kobiety, a nawet gromada dzieci, usłyszawszy mój krzyk, zaczęli hałasować, aby ohydneho ptaka nastraszyć i zmusić do wypuszczenia ze szponów porwanego łupu.

Ale wszystko było nadaremno, zarówno ich krzyki, jak i ciskanie kamieniami. Kania nie chciała turbanu rzucić i wkrótce znikła nam z oczu. Powróciwszy do domu z konopiami i kawałkiem mięsa poczułem wielki ciężar na sercu z powodu utraty złotych monet. Szczególnie jednak gniewałem się, smuciłem i niemal umierałem ze wstydu na myśl, co Sadi na to powie.

Zwłaszcza że przypuszczałem, iż moim słowom nie uwierzy i nie uzna za prawdziwą mej opowieści o kani, która porwała mi turban ze schowanymi w nim złotymi monetami. Może nawet pomyśli, iż popełniłem jakieś karygodne oszustwo i tylko dla uniewinnienia siebie wymyśliłem całą tę śmieszłą bajeczkę. Mimo wszystko cieszyłem się jednak tym, co mi z owych dziesięciu złotych monet po moich zakupach pozostało i przez kilka dni żyłem sobie dostatnio z żoną i dziećmi.

Wkrótce jednak wszystko złoto zostało wydane i stałem się znów biednym i ubogim jak przedtem. Wszelako i tak byłem zadowolony i wdzięczny Allachowi Miłościwemu i nie narzekałem na mój los. W łasce swojej bowiem Allach niespodziewanie obdarzył mnie owym mieszkem ze złotem, a obecnie odebrał mi jedynie to, co mi dał. Byłem więc wdzięczny i wielbiłem Go, gdyż wszystko, co On uczyni, jest zawsze dobre. Moja żona, która nic o przygodzie ze złotymi monetami nie wiedziała, zmiarkowała wkrótce, iż jestem jakiś nieswój, toteż dla świętego spokoju wyjawilem jej

moją tajemnicę. Na domiar złego przyszli jeszcze sąsiedzi, aby zapytać, co się ze mną dzieje. Z początku powstrzymałem się od opowiedzenia im wszystkiego, co mi się przytrafiło, bo przecież i tak nie mogli mi mojej zguby przywrócić, a z mojego nieszczęścia tylko by się cieszyli. W końcu jednak, kiedy na mnie coraz bardziej nalegali, opowiedziałem im wszystko. Jedni myśleli, że skłamałem, i wyśmiali mnie, inni sądzili, że oszalałem i postradałem zmysły, a słowa moje są tylko czczą gadaniną obłąkanego lub mrzonkami marzyciela. Zwłaszcza młodzi niepomiernie ze mnie szydzili i śmiali się na samą myśl, że ja, który w ciągu całego mojego życia prawdopodobnie nigdy dotąd złotej monety na oczy nie oglądałem, twierdząc, że tyle złotych monet otrzymałem i że kania mi je potem porwała. Jedynie żona uwierzyła mojemu opowiadaniu, toteż płakała gorzko i biła się w piersi

na znak żałoby.

Tak minęło sześć miesięcy, aż pewnego dnia zdarzyło się, iż obaj przyjaciele Sadi i Sad przybyli znowu do mojej dzielnicy.

I Sad tak do Sadiego powiedział:

- Patrz, oto ulica, przy której mieszka Hasan el-Habbal. Wstąpimy więc do niego, aby przekonać się, w jaki sposób swój majątek pomnożył i doszedł do bogactwa dzięki owym dwustu złotym monetom, które mu wtedy podarowałeś.

- Dobrze mówisz - odparł Sadi. - W samej rzeczy jużemy go dość dawno nie widzieli. Chętnie go przeto odwiedzę i bardzo bym się ucieszył, słysząc, że mu się dobrze powiodło.

Obaj przyjaciele podeszli do mojej chaty, a wtedy Sad tak do Sadiego rzecze:

- Zaprawdę, widzę, iż u Hasana nic się nie zmieniło i jest nadal biedny i ubogi. W dalszym ciągu odziany jest w stare łachmany, może tylko jego turban jest trochę nowszy i porządniejszy, niż był, ale idź i przekonaj się sam, czy nie jest tak, jak mówię.

Tedy Sadi zbliżył się do mnie i również stwierdził, że moje położenie w niczym się nie zmieniło.

Niebawem obaj przyjaciele nawiązali ze mną rozmowę. Po zwykłym pozdrowieniu Sad zapytał:

- Hasanie, jak ci się powodzi? I co, słysząc z twoim rękodziełem, czy owe dwieście złotych monet ci się przydały i czy dzięki nim rozwinąłeś szerzej swój warsztat?

A ja na to:

- Ach, moi dobrodzieje, jakżeż wam opowiedzieć o tym strasznym nieszczęściu, które mi się przytrafiło? Z samego wstydu nie śmiem tego uczynić, choć z drugiej strony nie chciałbym tego zataić. Zaiste, taki dziwny i niecodzienny wypadek mi się zdarzył, że opowieść o nim wzbudzić musi nie tylko zdumienie, ale wprost nieufność. Wiem bowiem dobrze, iż mi nie uwierzycie i że wyglądał będę jak ktoś, kto kłamstwo uprawia. Mimo to muszę wam wszystko opowiedzieć, choć czynię to nader niechętnie.

Po czym opowiedziałem im każdy szczegół wydarzenia od początku aż do końca, zwłaszcza o kani. Ale Sadi zaczął od razu posądzać mnie o kłamstwo i nie ufając mi zawołał:

- Stroisz sobie żarty, Hasanie! Opowieść twoja jest trudna do uwierzenia, kanie bowiem zwykle turbanów nie porywają, a jedynie to, co nadaje się do zjedzenia. Widocznie chcesz nas oszukać, będąc jednym z tych, którzy skoro tylko przytrafi im się jakiś niespodziewany szczęśliwy przypadek, pracę swoją i warsztat porzucają, a potem roztrwoniwszy wszystko na hulanki, stają się z powrotem biednymi i choć im to nie w smak, dalej żyją z dnia na dzień. Wydaje mi się, że tak właśnie z tobą się stało, widocznie szybko roztrwoniłeś podarowane ci przez nas pieniądze i jesteś znów tak samo ubogi, jak uprzednio.

- O mój dobry efendi! - zawołałem. - Nie zasługuję na ten ciężki zarzut i te twarde słowa, czuję się bowiem niewinny. Ten szczególny przypadek, o którym ci opowiedziałem, jest najczystsza prawdą i mogę wam dowieść, że nie jest to żadne kłamstwo, gdyż wszyscy mieszkańcy tej dzielnicy na własne oczy to widzieli. Zaprawdę nie prowadzę fałszywej gry z wami. Oczywiście kanie zwykle turbanów nie porywają, ale nieprawdopodobne przypadki jednak się ludziom przytrafiają, zwłaszcza tym, którym nie sprzyja los.

Tedy Sad ujął się za mną i rzekł:

- O Sadi, nieraz słyszałem, że kanie porywają inne przedmioty krom jada. Dlatego jego opowieść nie przeczy zdrowemu rozsądkowi.

Tedy Sadi wyciągnął z kieszeni sakiewkę pełną złotych monet, odliczył mi dalszych dwieście sztuk i dał je mówiąc:

- Hasanie, przyjm te złote monety, ale uważaj, abyś przechowywał je starannie. Strzeż się, powtarzam ci raz jeszcze, strzeż się, abyś i tych pieniędzy nie stracił, jak tamte straciłeś! Wydawaj je jedynie w taki sposób, abyś miał z nich pożytek i dzięki nim się bogacił, tak jak wzbogacili się twoi sąsiedzi.

Tedy przyjąłem od niego po raz drugi pieniądze, obsypując go słowami podziękowań i błogosławiąc z całej duszy.

A skoro moi dobroczyńcy odeszli, wróciłem do warsztatu powroźniczego, a dopiero stamtąd o zwykłej porze do domu. Moja żona i dzieci właśnie wyszły. Wziąłem więc znowu na bieżące wydatki dziesięć złotych monet z owych dwustu, a resztę zawinałem w chustę. Po czym rozejrzałem się dookoła za odpowiednim miejscem, chcąc mój skarb tak schować, aby moja małżonka i dzieci się o nim nie dowiedziały. Nagle zobaczyłem wielki gliniany dzban pełen otrębów, który stał w rogu izby. Do niego schowałem zawiniątko, w którym znajdowały się złote monety, w błędnym mniemaniu, że tam będą bezpiecznie ukryte przed moją żoną i dziećmi. Kiedy już to uczyniłem, weszła do izby żona. Nie powiedziałem jej jednak ani słowa o moich dobroczyńcach ani o tym, co mi się przytrafiło, ale udałem się na bazar, aby kupić zapas konopi. Zaledwie jednak zdążyłem opuścić chatę, nieszczęście chciało, iż przechodził tamtędy człek, który sprzedawał specjalną glinę, którą biedniejsze kobiety zwykły myć sobie włosy. Żona moja chciała trochę tej glinki kupić, ale nie miała ani muszli, ani migdałów, aby za nią zapłacić. Zastanowiła się więc i tak do siebie powiedziała: "Ten dzban z otrębami stoi tu właściwie bez użytku, zamienię go więc na glinę". Przekupień się na taką wymianę zgodził i odszedł otrzymawszy dzban z otrębami jako zapłatę. Wkrótce potem wróciłem do domu z wiązką konopi na głowie oraz pięcioma innymi na głowach pięciu tragarzy, którzy mi towarzyszyli. Pomogłem im wiązki zdjąć i ułożywszy cały zapas w komorze, zapłaciłem i odesłałem ich do domu. Po czym położyłem się, by trochę odpocząć. Kiedy wszakże spojrzałem do kąta, w którym dzban z otrębami stał uprzednio, zauważyłem, że już go tam nie ma. Oniemiałem z przerażenia, o władco wiernych, i nie mogłem wyrazić nadmiaru sprzecznych uczuć, które moim sercem na ten widok targały. Skoczyłem na równe nogi, zawołałem żonę i zapytałem, co się stało z owym dzbanem. Żona odpowiedziała, że wymieniła go na garstkę glinki. Tedy zawołałem wielkim głosem:

- O nieszczęsna istoto, cóżeś zrobiła najlepszego! Doprowadziłaś do zguby zarówno mnie, jak i twoje dzieci, oddając wielki skarb owemu sprzedawcy!

Po czym opowiedziałem jej wszystko, co się stało. Jak obaj moi dobroczyńcy znów u mnie byli i jak owe sto dziewięćdziesiąt złotych monet w dzbanie z otrębami ukryłem. Skoro żona to usłyszała, zapłakała gorzko, biła się w piersi i wyrwała sobie włosy, lamentując:

- Gdzież ja znajdę teraz tego przekupnia? To był jakiś obcy, którego nigdy dotąd na naszej ulicy ani nawet w tej części miasta nie widziałam.

Potem zwróciła się do mnie i tak dalej mówiła:

- Postąpiłeś nader niemądrze, nie mówiąc mi przedtem o całej tej sprawie, ale widocznie nie miałeś do mnie zaufania. Gdybyś uczynił inaczej, przenigdy takie nieszczęście nie byłoby się nam przytrafiło. I tak narzekała głośno i gorzko, że aż musiałem ją uciszyć i rzekłem:

- Nie czynь takiego hałasu i nie okazuj takiego wzburzenia, aby nasi sąsiedzi nie usłyszeli, a dowiedziawszy się o naszym nieszczęściu, nie zaczęli się z nas wyśmiewać i nazywać głupcami. Należy zgadzać się zawsze z wolą Miłościwego Allacha.

Owe dziesięć złotych monet zaś, które z dwustu wziąłem, wystarczyły wprowadzić na pewien czas, aby moje rzemiosło w nieco lżejszy sposób uprawiać i trochę wygodniejsze życie prowadzić, ale martwiłem się stale, gdyż nie wiedziałem, jak się przed Sadim usprawiedliwić, kiedy znów do mnie przyjdzie. Ponieważ nie wierzył mi za pierwszym razem, byłem wewnętrznie przekonany, że teraz będzie już na zawsze uważał mnie za kłamcę i oszusta.

Pewnego dnia Sad i Sadi podeszli pod moją chatę i rozmawiając po drodze, spierali się jak zwykle, rozważając mój przypadek. Skoro ich z dala zobaczyłem, rzuciłem robotę, aby się przed nimi ukryć, gdyż z samego wstydu nie śmiałem przed nimi stanąć i do nich przemówić. Zauważywszy to weszli

za mną do mego mieszkania, pozdrowili mnie uprzejmie i zapytali, co się ze mną dzieje. Zawstydzony i skruszony nie miałem wprost odwagi podnieść na nich oczu. Dlatego odpowiedziałem na ich pozdrowienie ze spuszczonego czołem, a oni widząc mój żalony stan zapytali ze zdumieniem:

- Czym wytłumaczyć twoje dziwne zachowanie? Czy wykorzystałeś należycie dane ci złoto, czy też roztrwoiłeś swoje bogactwo na hulanki i zabawy?

- Dobroczyńcy moi - odrzekłem - z tymi złotymi monetami było tak: skoroście mnie tylko opuścili, poszedłem z sakiewką pełną złota do domu, a ponieważ nikogo tam nie zastałem, wyjąłem z sakiewki dziesięć złotych monet. Resztę wraz z sakiewką obwinałem w chustę i włożyłem do glinianego dzbana pełnego otrąb, który od dłuższego czasu stał w kącie naszej izby. W ten sposób bowiem chciałem całą sprawę przed moją żoną i dziećmi zataić. Ale gdy poszedłem na bazar, aby kupić nieco konopi, żona wróciła do domu. I właśnie wtedy zjawił się jakiś obcy przekupień, który sprzedawał glinę do mycia włosów. Żona jej właśnie potrzebowała, ale nie miała czym zapłacić. Wyszła więc do owego przekupnia i powiedziała: "Nie mam nic innego, ale mam trochę otrąb, Powiedz mi, czy chcesz je przyjąć w zamian za

twoją glinę?" Ów człowiek przystał na to i żona moja wręczyła mu w zamian za glinę dzban z otrąbami. Przekupień wziął go i poszedł w swoją drogę. Skoro mnie teraz zapytacie: "Dlaczegoś nie zaufała żonie i nie powiedział jej, że schowałeś pieniądze do dzbana?" - to odpowiem wam, że wy sami rozkazaliście mi tym razem pieniędzy tych jak najstaranniej i najostrożniej strzec, a mnie owo miejsce wydało się najbezpieczniejsze do przechowania mego złota. Obawiałem się przy tym żonie mojej tajemnicę powierzyć, aby nie podbierała z tych pieniędzy na domowe wydatki. Ach, moi dobroczyńcy, jestem przekonany o waszej dobroci i łaskawości dla mnie, ale widocznie ubóstwo i nędza są już w mojej księdze przeznaczenia na zawsze pisane. W jakież więc sposób mogę mieć nadzieję na bogactwo i dobrobyt? Ale przenigdy, aż do ostatniego tchu, nie zapomnę o waszej wspaniałości!

Wówczas Sadi rzekł:

- Zdaje mi się, że zmarnowałem czterysta złotych monet, dając je tobie, wszelako zamiarem moim było wyświadczyć ci przysługę, a nie żądać od ciebie pochwał i podzięk.

Obaj przyjaciele okazali mi litość w moim nieszczęściu i wyrazili słowa współczucia. A Sad, który był człowiekiem sprawiedliwym i znał mnie od wielu lat, wyciągnął miedziaka, którego był na ulicy znalazł i miał właśnie w kieszeni. Tego miedziaka pokazał Sadiemu, a potem rzekł do mnie:

- Widzisz ten miedziany pieniążek? Weź go, a z łaski losu przekonasz się, jakie błogosławieństwo ci przyniesie.

Kiedy Sadi to ujrzał, zaśmiał się głośno i zaczął szydzić:

- Cóż za pożytek może mieć Hasan z tego miedzianego grosika i cóż z nim pocnie?

Sad wszakże wręczył mi ową miedzianą monetę, mówiąc:

- Nie zważaj na to gadanie i zachowaj ten pieniążek. Niech Sadi sobie szydzi, skoro mu się tak podoba! Nadejdzie, jeśli Allah pozwoli, jeszcze dzień, iż staniesz się dzięki temu miedzikowi bogatym i wytwornym panem.

Wziąłem ów kawałeczek miedzi i schowałem do kieszeni. Obaj moi dobroczyńcy wkrótce pożegnali się ze mną i poszli w swoją drogę, ja zaś zacząłem kręcić powrozy i czyniłem to aż do późnej nocy. Kiedy zaś rozbierałem się, aby leć na posłaniu, miedzik dany przez Sada wypadł mi z kieszeni; podniosłem go i położyłem niedbale w ściennej niszy.

Właśnie owej nocy przytrafiło się, że pewien rybak, który mieszkał w sąsiedztwie, potrzebował drobnej monety, aby kupić trochę sznurka do naprawy sieci, co zwykł był zawsze robić nocą, by rano móc znowu ryby łapać i z pieniędzy uzyskanych za połów kupować codzienne pożywienie dla siebie i rodziny. Ponieważ przyzwyczajony był wstawać, zanim kończyła się noc, polecił swojej żonie obejść wszystkich sąsiadów, aby pożyczyć miedzika potrzebnego mu do kupienia owego sznurka. Żona rybaka chodziła wszędzie od domu do domu, nie mogła jednak nigdzie ani grosza pożyczyć, aż w końcu zmęczona i rozczarowana wróciła do męża. Tedy rybak ją zapytał:

- A czy byłaś również u Hasana el-Habbala?

A ona na to:

- Nie. Do jego chaty nie zachodziłam, jest bowiem najbardziej od nas oddalona. No i czy myślisz, że taki biedak mógłby coś komuś pożyczyć?

- Już cię tu nie ma! - zawołał rybak. - Nie czekaj ani chwili! Być może właśnie Hasan ma miedziaka, który nas uratuje.

Tedy żona rybaka mrucząc i zrzędząc zgryźliwie poszła do mnie, a skoro zapukała do drzwi, zawołała:

- Hasanie el-Habbalu, mąż mój potrzebuje koniecznie grosika, aby zakupić zań trochę sznurka do naprawy swych sieci!

Wówczas przypomniało mi się, że posiadam ów miedziany grosz dany przez Sada, a ponieważ pamiętałem miejsce, w którym go położyłem, odkrzyknąłem:

- Poczekaj chwilę, moja żona zaraz do ciebie wyjdzie i da ci to, o co prosisz!

Żona usłyszawszy naszą rozmowę zbudziła się ze snu, a ja powiedziałem jej, gdzie znajduje się owa miedziana moneta. Żona znalazła ją i dała żonie rybaka, a ta rzekła ucieszona:

- Ty i twój małżonek wyświadczyliście mojemu mężowi wielkie dobrodziejstwo i dlatego obiecuję wam, że wszystkie ryby, jakie złapie on przy pierwszym zarzuceniu sieci, będą do was należały. Jestem pewna, iż mąż mój dowiedziawszy się o tej mojej obietnicy, zgodzi się na to.

I rzeczywiście, kiedy żona rybaka zaniósła miedzianą monetę swemu mężowi i opowiedziała mu o danej obietnicy, rybak zgodził się od razu i rzekł:

- Postąpiłaś godziwie i rozsądnie, dając taką obietnicę Hasanowi.

Potem zakupił trochę sznurka i naprawił wszystkie swoje sieci, a o świcie udał się nad rzekę, aby jak zwykle łowić ryby. Zarzucił sieć, wyciągnął ją i zobaczył, że złapała się tylko jedna wielka ryba. Rybę tę odłożył na bok jako dołę dla mnie. Po czym zarzucał sieci wiele razy i za każdym razem wyciągał mnóstwo ryb, dużych i małych, ale żadna z nich nie dorównywała wielkością tamtej, którą był za pierwszym razem złowił. Skoro rybak powrócił z połowu, przybieżał zaraz do mnie i przyniósł złowioną dla mnie rybę, tak przy tym mówiąc:

- Miły sąsiedzie, moja żona obiecała ci tej nocy, iż wszystkie ryby, które złowię przy pierwszym zarzuceniu sieci, będą twoje. Oto jedyna ryba, którą przy pierwszym zarzuceniu sieci złapałem. Weź ją, proszę, i przyjmij jako upominek z wdzięczności za wyświadczoną mi tej nocy uprzejmość oraz jako spełnienie danej ci przez moją żonę obietnicy! Gdyby Allah pozwolił mi wyciągnąć za pierwszym razem sieć pełną ryb, wszystkie byłyby twoje, ale przeznaczenie sprawiło, że przy pierwszym połowie wyciągnąłem na brzeg tylko tę jedną.

A ja na to:

- Grosik, który ci wczoraj w nocy dałem, nie przedstawia takiej wartości, abym mógł być za niego oczekiwać bogatego daru.

Mówiąc to, nie chciałem wziąć owej ryby. Ale on nastawał na mnie, abym ją przyjął. W końcu zgodziłem się po długim certowaniu się i przekomarzaniu zatrzymać rybę i dałem ją żonie, mówiąc:

- Niewiasto, ryba ta jest upominkiem w zamian za ów grosik, który dałem ostatniej nocy naszemu sąsiadowi rybakowi, choć Sad twierdził, iż za pomocą tego pieniążka dojdę do wielkiego bogactwa i wspaniałego dobrobytu. Przy tej sposobności opowiedziałem mojej żonie, jak owi dwaj przyjaciele znowu mnie odwiedzili, co mówili i co uczynili, oraz wszystko dotyczące owego miedziaka, który mi Sad dał. Żona zdumiała się, widząc tylko jedną rybę, i rzekła:

- Jakżeż mam ją przyrządzić? Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli ją pokraję na części i usmażę dla dzieci, zwłaszcza iż nie mam żadnej przyprawy i korzeni, abym mogła ją inaczej podać.

Ale kiedy rybę rozciąła i oczyściła, znalazła w jej brzuchu ogromny diament, który wszakże wzięła za kawałek szkła albo kryształu. Słyszała bowiem wprawdzie nieraz o diamentach, ale nigdy żadnego na własne oczy nie widziała. Przeto dała go do zabawy najmłodszemu z dzieci, a kiedy inne błyszczący kamyczek ujrzęły, wszystkie chciały go mieć z powodu jasnego, iskrzącego się blasku. I każde z nich bawiło się nim przez jakiś czas. Noc zapadła i zapalono lampę, wszystkie zaś dzieci zebrały się wkoło lśniącego kamyczka i wpatrzony w jego piękno, wydawały głośne okrzyki zachwytu. Kiedy żona nakryła stół, usiedliśmy wszyscy do wieczerzy, a najstarszy mój synek położył diament na stole. Po spożyciu posiłku dzieci znów kłóciły się o kamyczek, jak uprzednio. Z

początku nie zwracałem uwagi na ich hałasy i krzyki. Ale kiedy zrobiło się zbyt głośno, sprzykrzyło mi się i spytałem mego najstarszego synka, z jakiego powodu tak wrzeszczą.

A on na to:

- Klóćmy się o szkiełko, z którego bije światło niczym z lampy.

Rozkazałem mu przeto owo szkiełko pokazać i dziwowałem się wielce, ujrzawszy jego iskrzący się blask. Spytałem więc mojej żony, skąd wzięło się ono w naszym domu. A ona odparła:

- Znalazłam go w brzuchu podarowanej nam ryby, kiedy ją przyrządzałam.

Ale i ja uważałem błyszczący kamyk za szkło. Poleciałem żonie ukryć lampę za paleniskiem, a kiedy to uczyniła, diament dawał taki blask, że mogliśmy się obejść bez innego światła. Przeto położyłem go na piecu, abyśmy mogli przy jego blasku pracować. Przy tym tak do siebie mówiłem: "Miedziana moneta, którą mi Sad podarował, przydała się przecież, zastępując nam lampę. Przynajmniej zaoszczędzę w ten sposób na oliwie". Kiedy dzieci zobaczyły, że zgasiałem lampę i używam zamiast niej owego szkiełka, zaczęłyśkakać i tańczyć z radości, wykrzykując tak głośno z zachwytem, że wszyscy sąsiedzi mogli je słyszeć. Toteż zganiałem je surowo i kazałem iść spać. My z żoną również udaliśmy się na spoczynek i wkrótce zasnęli. Nazajutrz rano obudziłem się wcześniej i wziąłem się do mojej roboty, nie myśląc wcale o owym kawałku szkła.

W naszym sąsiedztwie mieszkał jubiler, który kupował i sprzedawał szlachetne kamienie najróżniejszego rodzaju. Owej zaś nocy, kiedy on i jego żona położyli się spać, hałasy i krzyki moich dzieci przeszkadzały im przez wiele godzin, tak że nie mogli zmrużyć oka. Toteż żona jubilera przyszła nad ranem do naszej chaty, aby w imieniu własnym i męża poskarżyć się na ową wrzawę. Zanim jednak zdążyła powiedzieć słowo nagany, żona moja odgadła już powód jej przyścia i tak do niej rzekła:

- Rachelo, obawiam się, że dzieci moje tej nocy nie dały ci spać, dowodząc i krzycząc. Proszę cię za to o przebaczenie. Wiesz przecież dobrze, jak dzieci z powodu każdego głupstwa to śmieją się, to płaczą. Wejdz do izby i zobacz, co było przyczyną ich hałasowania, na które słusznie narzekasz.

Żona jubilera weszła do izby i ujrzała ów kawałek szkła, z powodu którego dzieci narobiły tyle hałasu i zgiełku. Zdumienie jej nie miało granic, kiedy ujrzała diament, gdyż znała się dobrze na drogich kamieniach.

Żona moja opowiedziała jej, że owo szkiełko znalazła w brzuchu ryby. A tamta na to:

- Ten kawałek szkła jest lepszy od wszelkich innych rodzajów szkła. I ja również mam podobny kamyk, i niekiedy noszę go jako ozdobę. Jeśli chcesz kamyk sprzedać, to ja chętnie go kupię.

Dzieci usłyszawszy, co żona jubilera mówi, zaczęły głośno płakać i wołać:

- Kochana mateczko, jeśli nam ten kamyk zostawisz, obiecujemy ci, że nigdy już nie będziemy hałasować.

Ponieważ kobiety zrozumiały, iż dzieci w żaden sposób nie chcą się z błyszczącym kamykiem rozstać, przestały na razie o tym mówić. Wkrótce potem żona jubilera odeszła, ale przed pożegnaniem szepnęła mojej żonie na ucho:

- Uważaj, abyś nikomu o tym nie opowiadała, a kiedy będziesz miała ochotę szkiełko sprzedać, daj mi zaraz znać!

Jubiler siedział właśnie w swoim sklepie, kiedy żona jego do niego przyszła i opowiedziała o owym kawałku szkła.

- Idź zaraz z powrotem do Hasana el-Habbala - rzekł - i zaproponuj mu kupno kamyka mówiąc, że kupujesz go dla mnie. Zaczynij od drobnej sumy i proponuj coraz więcej, aż ten kamień otrzymasz.

Tedy żona jubilera wróciła znów do mojej chaty i zaproponowała dwadzieścia złotych monet. Żonie mojej suma ta wydała się za taki drobiazg dość duża, ale mimo to nie chciała się jeszcze zgodzić. W tej właśnie chwili wróciłem od roboty na obiad i zastałem obie kobiety rozmawiające na przyzbie. Żona moja zatrzymała mnie, mówiąc:

- Sąsiadka nasza ofiarowuje dwadzieścia złotych monet za ów kawałek szkła, ale nic jej jeszcze nie odpowiedziałam. A co ty na to?

Tedy przypomniało mi się to, co był mi powiedział Sad, a mianowicie, iż dzięki owemu miedziakowi dojdziemy do wielkiego bogactwa.

Kiedy żona jubilera zobaczyła, że waham się, pomyślała, że nie zgadzam się na proponowaną cenę. Powiedziała więc:

- Miły sąsiedzie, jeśli nie chcesz wyzbyć się tego kawałka szkła za dwadzieścia złotych monet, ofiaruję ci zań pięćdziesiąt.

Wtedy przyszło mi na myśl, że jeśli owa niewiasta tak łatwo ofiarowywaną cenę z dwudziestu złotych monet podniosła na pięćdziesiąt, szkiełko to musi przedstawiać istotnie wielką wartość. Dlatego na razie nie odpowiedziałem ani słowa. Ona zaś, skoro zmiarkowała, iż nie chcę nic mówić, zawołała:

- Weź więc całe sto, to znaczy pełną wartość tego szkiełka! Nie wiem nawet, czy mąż mój na tak wysoką cenę się zgodzi.

A ja na to:

- Dobra kobieto, po co ta gadanina? Nie sprzedam tego kamyka poniżej stu tysięcy złotych monet i możesz go za taką cenę dostać jedynie dlatego, że jesteś naszą sąsiadką.

Wtedy żona jubilera zaczęła podnosić ofiarowywaną cenę stopniowo, aż doszło do pięćdziesięciu tysięcy złotych monet, ale w końcu rzekła:

- Poczekaj, proszę, do jutra. I nie sprzedawaj swego kamyka przedtem, zanim mój mąż tu nie przyjdzie, aby go obejrzeć!

- Z miłą chęcią - odparłem. - Najlepiej będzie, gdy sprowadzimy tu twego męża i niech sam sobie obejrzy.

Nazajutrz rano przybył do naszej chaty jubiler, a ja wyciągnąłem diament z kieszeni i pokazałem mu. Diament zaczął iskrzyć się i migotać na mojej dłoni takim blaskiem, że jasno zrobiło się jak od lampy. Tedy jubiler przekonał się, że wszystko, co żona opowiedziała mu o jego urzekającym blasku, jest zgodne z prawdą. Wziął go przeto do ręki, badał, obracał na wszystkie strony i nie mógł się dość nadziwić jego pięknemu. Po czym powiedział:

- Moja żona obiecała ci zapłacić pięćdziesiąt tysięcy złotych monet, a ja dorzucę jeszcze dwadzieścia tysięcy.

Ale ja na to:

- Twoja żona zapewne wymieniła ci cenę, jaką wyznaczyłem za ten kamień, to znaczy sto tysięcy złotych monet i ani o jedną mniej. Od tej ceny nie ustąpię ani grosza.

Jubiler targował się zawzięcie, aby zakupić diament za tańszą cenę, ale ja odpowiedziałem:

- Jeśli nie chcesz mi zapłacić tyle, ile żądam, będę zmuszony sprzedać diament innemu jubilerowi.

W końcu zgodził się. Odliczył mi dwa tysiące złotych monet jako zadatek i dodał:

- Jutro przyniosę ci całą sumę, na jakąśmy się ugodzili, i zabiorę mój diament.

Przystąpiłem na to i nazajutrz jubiler wypłacił mi całą sumę wynoszącą sto tysięcy złotych monet, którą musiał dopiero zebrać od swoich przyjaciół i współników. Wtedy wręczyłem mu diament, który przyniósł mi tak niezmierne bogactwo. Podziękowałem mu więc, wielbiąc równocześnie Allacha za to wielkie szczęście, które tak niespodziewanie stało się moim udziałem. Miałem też nadzieję, iż wkrótce zobaczę znów obu moich dobroczyńców Sada i

Sadiego, aby i im także podziękować. Uporządkowałem więc przede wszystkim moją chatę i dałem żonie trochę pieniędzy na potrzeby bieżące oraz lepszy przyodziewek dla niej i dla dzieci. Potem kupiłem piękny dom mieszkalny i urządziłem go jak najstaranniej. Po czym powiedziałem mojej żonie, która o niczym już nie myślała krom wspaniałych strojów, wystawnego jadła oraz pędzenia życia w przepychu i zabawach:

- Nie godzi się nam rzemiosła naszego porzucić. Powinniśmy nieco pieniędzy odłożyć i przedsięwzięcie dalej prowadzić.

Poszedłem tedy do wszystkich powroźników w naszym mieście, zakupiłem za wielką sumę pieniędzy wiele warsztatów i kazałem im przy nich pracować. Nad każdym warsztatem wyznaczyłem nadzorcę, rozsądnego i godnego zaufania człowieka. I dzisiaj w całym mieście Bagdadzie nie ma dzielnicy, gdzie nie posiadałbym przedsiębiorstw i warsztatów powroźniczych.

Ba, nawet w każdej prowincji i w każdym mieście naszego kraju posiadam sklepy oddane pod pieczę uczciwych nadzorców. W ten sposób nagromadziłem niezmierne mnóstwo bogactw.

Wreszcie nabyłem jeszcze inny dom, gdzie pomieściłem własne przedsiębiorstwo. Była to na wpół zburzona rudera, przy której było sporo gruntu. Kazałem więc stare mury zburzyć i wybudowałem na tym miejscu ten oto wielki i okazały gmach, któryś, władco wiernych, wczoraj oglądać raczył. W domu tym pracują wszyscy moi robotnicy i tam prowadzi się księgi i rachunki mojego przedsiębiorstwa. Poza składami z towarem są tam również pokoje zaopatrzone w skromny sprzęt, jaki całkowicie wystarcza dla mnie i mojej rodziny. Tak więc po pewnym czasie mogłem przeprowadzić się ze starej chaty, w której mnie Sad i Sadi widzieli pracującym, i zamieszkać w nowym domu.

W niedługim czasie po moim przeniesieniu się przyszło obu moim dobroczyńcom na myśl znowu mnie odwiedzić. Skoro przybyli na miejsce mojego dawnego warsztatu, zdziwili się, iż mnie tam nie zastali. Spytali więc sąsiadów:

- Gdzie mieszka powroźnik Hasan? Azali żyje jeszcze? Czyli też umarł?

A sąsiedzi odpowiedzieli:

- O, teraz to bogaty przedsiębiorca i nie nazywają go już po prostu Hasanem, ale tytułują go: Mistrz Hasan el-Habbal. Zbudował sobie okazały dom i mieszka w takiej a takiej dzielnicy.

Wówczas obaj przyjaciele poszli mnie szukać, uradowani dobrą nowiną. Ale Sadi w żaden sposób nie chciał dać się przekonać, iż całe moje bogactwo, jak Sad to twierdził, pochodzi z jednego źródła, a mianowicie z owego miedzianego pieniążka. Przemyślawszy całą rzecz, tak do swego towarzysza powiedział:

- Mimo wszystko cieszę się z wielkiego szczęścia, które stało się udziałem Hasana, chociaż nadal twierdzę, że dwa razy mnie nabrał, zabierając mi czterysta złotych monet, dzięki którym musiał do tego bogactwa dojść. Nie zgadza się bowiem ze zdrowym rozsądkiem przypuszczać, iż wszystko to pochodzi z jednego miedzianego grosza, który mu dałeś. Ale przebaczam, Hasanowi i nie mam do niego żalu.

A Sad na to:

- Mylisz się, znam Hasana od dawna jako porządnego i rzetelnego człowieka. Nigdy by nas nie oszukał, a to, co opowiadał, było szczerą prawdą. Jestem głęboko przeświadczony o tym, że całe swoje bogactwo i majątek uzyskał jedynie dzięki owemu miedzianemu grosikowi, a zresztą wkrótce usłyszymy, co Hasan sam nam o tym powie.

Tak rozmawiając przyszli na ulicę, przy której obecnie mieszkam, a kiedy ujrzeli tam wspaniałą nowo wzniesioną budowlę, od razu zgadli, że to mój dom, i zapukali, a skoro odźwierny im otworzył, Sadi nie mógł nadziwić się bogatemu urządzeniu i mnóstwu wyrobników, którzy tam pracowali. Przez chwilę bał się nawet, że omyłkowo dostał się do siedziby jakiegoś dostojnego emira. Ale nie tracąc odwagi, zapytał odźwiernego:

- Czy tu mieszka mistrz Hasan el-Habbal?

A odźwierny na to:

- Istotnie, to dom mistrza Hasana el-Habbala, który jest w domu i siedzi właśnie w swoim kantorze. Wejdz, proszę, a jeden z niewolników zawiadomi go o twoim przybyciu.

Obaj przyjaciele weszli do kantoru, a ja podniosłem się z miejsca, gdzie siedziałem, podbiegłem do nich i ucałowałem kraj ich szat. Oni zaś chcieli wziąć mnie w swoje objęcia, ale byłem zbyt skromny, aby im na to pozwolić. Wprowadziłem ich do wielkiej i obszernej sali i poprosiłem, by usiedli na honorowych miejscach, choć oni chcieli mnie zmusić, abym ja tam usiadł.

Ale ja krzyknąłem:

- Dostojni panowie, niczym nie różnię się od ubogiego powroźnika Hasana, który stale pamięta o waszej szlachetności i dobroci, modli się o wasze zdrowie i wcale na to nie zasługuje, aby zając pożeńsze od was miejsce.

Tedy usiedli, gdzie im wskazałem, a ja usiadłem naprzeciwko nich.

A Sadi zwrócił się do mnie i powiada:

- Serce moje jest niezmiernie szczęśliwe, iż zastałem cię w takim dobrobycie, gdyż Allah widocznie obdarzył cię wszystkim, czego tylko mogłeś sobie życzyć. Ani chwili nie wątpię, że całe



to bogactwo i przepych uzyskałeś dzięki owym czterystu złotym monetom, które ci w swoim czasie podarowałem. Powiedz mi jednak uczciwie, dlaczego dwa razy zataiłeś przede mną prawdę?

Sad przysłuchiwał się tym słowom z cichym oburzeniem i zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, przerwał swojemu przyjacielowi:

- O Sadi, jakżeż często zapewniałem cię, że wszystko, co Hasan wówczas o utracie owych złotych monet powiedział, nie jest kłamstwem, jeno najszczerzą prawdą!

Po czym obaj zaczęli się ze sobą spierać, a ja, skoro tylko pierwsze moje zaskoczenie minęło, zawołałem:

- Cni panowie, nie spierajcie się z mojego powodu, błagam was! Wszystko, co mi się uprzednio wydarzyło, opowiedziałem wam dokładnie i czy słowom moim dajecie wiarę, czy nie, o to nie stoję. Wysłuchajcie jednak moich dalszych dziejów.

Tedy opowiedziałem im całą historię miedzianej monety, którą dałem rybakowi, oraz diamentu, który znajdował się w rybim brzuchu. Sadi zaś wysłuchawszy mojej opowieści, rzekł:

- Jedna rzecz wszakże, mistrzu Hasanie, wydaje mi się niezmiernie dziwna, a mianowicie to, iż tak duży diament mógł znajdować się w rybim brzuchu. Nadal też nie wierzę, żeby kania mogła ci być twój turban porwać i z nim odlecieć, ani że żona twoja oddała dzban z otrębami za garść glinki. Twierdzisz uparcie, że wszystko to jest prawdą, lecz ja mimo to nie mogę słowom twoim dać wiary, myślę natomiast, że właśnie owe dane ci przeze mnie czterysta złotych monet przyniosły ci bogactwo.

Kiedy wszakże obaj przyjaciele wstali, aby się ze mną pożegnać, powstałem i ja mówiąc:

- Cni panowie, wyświadczyliście mi łaskę, żeście mnie w mojej ubogiej chacie wówczas odwiedzić raczyli. Proszę was przeto z całego serca, skosztujcie mojego jada i spędźcie noc pod dachem waszego pokornego sługi. Jutro rano bowiem pragnąłbym zawieźć was łodzią po rzece do wiejskiej posiadłości, którą niedawno nabyłem.

Moi dobroczyńcy przystali po krótkim certowaniu się. A kiedy wydałem odpowiednie rozkazy, aby przygotowano wieczerzę, oprowadziłem ich po domu. Pokazałem im całe urządzenie, zabawiając ich uprzejmymi słowy i wesołą gawędą, aż przybył jeden z moich niewolników i oznajmił, że wieczerza podana. Tedy powiodłem ich do sali jadalnej, gdzie czekały na nas półmiski z najrozmaitszymi potrawami. Pod ścianami paliły się świece, roztańczające wonne zapachy, a przed nakrytymi stołami stali zgromadzeni śpiewacy i grajkowie, którzy intonowali pieśni i przygrywali na różnych instrumentach, aż radowały się serca, gdy tymczasem w drugim końcu sali płaśali tancerze i tancerki, a kuglarze pokazywali przeróżne sztuki. Po spożyciu wieczerzy udaliśmy się na spoczynek.

Wstaliśmy wczesnym rankiem, odmówili modlitwę poranną i wsiedli do obszernej i pięknie przystrojonej dywanami łodzi. Wioślarze zaczęli wiosłować i, płynąc z prądem rzeki, wkrótce wylądowaliśmy przed moją wiejską siedzibą. Potem szliśmy polami i przestąpili próg domu. Pokazałem moim gościom nowe zabudowania i wszystko, co do tego należy, a oni podziwiali z najwyższym zdumieniem. Po czym udaliśmy się jeszcze do ogrodu i obejrżeli długie rzędy posadzonych wzdłuż alei drzew owocowych uginających się wprost pod ciężarem dojrzałych owoców. Ogród był nawodniony obudowanymi cegłą kanałami, doprowadzającymi wodę z rzeki. Dookoła rosły kwitnące krzewy, których aromatem rozkoszował się lekki zefir. Tu i tam fontanny były srebrzystymi strugami wody, a ptactwo w koronach drzew wyśpiewywało słodkimi głosy pochwalne hymny na cześć Allacha, jedyne i wieczne. Krótco mówiąc, widok, który się przed nami roztaczał, i wonne zapachy kwiatów napełniały duszę radością i weselem. Obaj przyjaciele przechadzali się ucieszeni i pełni zachwytu, dziękując mi, że przyprowadziłem ich w tak urocze miejsce.

- Niech Allah sprawi - mówili - aby w tym domu i w tym ogrodzie dobrze ci się powodziło.

W końcu przyprowadziłem moich gości do stóp wysokiego drzewa, stojącego tuż przy ogrodowym murze, i pokazałem im tam małą altankę, gdzie zwykłem był odpoczywać. Cała altanka była wyłożona miękkimi poduszkami, kosztownymi makatami i barwistymi dywanami przetykanymi szczerozłotymi nićmi. I przytrafiło się, kiedyśmy w tej altanie zażywali wytchnienia, iż dwóch

spośród moich synków, których dla zmiany powietrza wysłałem na wieś wraz z ich wychowawcą, biegało po ogrodzie i szukało gniazd ptasich.

Chłopcy znaleźli właśnie wielkie gniazdo wysoko na wierzchołku drzewa i starali się wspiąć po pniu, aby go dosięgnąć. Zabrakło im jednak odwagi tak wysoko się wdrapać, gdyż nie byli dość wyćwiczeni, i dlatego rozkazali młodemu niewolnikowi, który im stale towarzyszył, aby wspiął się na owo drzewo. Niewolnik wypełnił ich rozkaz, ale kiedy spojrzał do wnętrza gniazda, zobaczył, że gniazdo było zrobione jakby ze starego turbana. Pełen zdumienia zniósł gniazdo na dół i pokazał chłopcom, a mój starszy syn przyniósł je do altany, aby mi pokazać. Składając gniazdo u mych stóp zawołał radosnym głosem:

- Ojcze, popatrz, gniazdo to zrobione jest z jakiejś tkaniny!

Sad i Sadi, ujrawszy to, dziwowali się wielce, a zdumienie nasze jeszcze się wzmogło, kiedy obejrzałem gniazdo dokładniej i rozpoznałem, że to mój stary turban, na który kania była się wówczas rzuciła i mi go porwała.

Tedy tak do moich obu dobroczyńców powiedziałem:

- Przyjrzyjcie się temu turbanowi z bliska i przekonajcie się na własne oczy, że to ten sam, który miałem na głowie, kiedyście mnie po raz pierwszy odwiedzinami swoimi zaszczylicili.

- Nie poznaję go - rzekł Sad.

A Sadi dodał:

- Dopiero kiedy znajdziesz w nim sto dziewięćdziesiąt złotych monet, uwierzę ci, że to twój stary turban.

- Efendi - odparłem - poznaję dokładnie, że to ten sam turban.

Wziąłem tedy dziwnie ciężki turban do ręki i wymacałem tkwiące w nim zawiniątko. Szybko rozwinąłem je i znalazłem sakiewkę ze złotymi monetami.

Pokazałem ją Sadiemu wołając:

- Czyż nie poznajesz tej sakiewki?!

A on na to:

- Zaiste, to ta sama sakiewka ze złotymi monetami, którą ci dałem wtedy, kiedyśmy się po raz pierwszy widzieli. Otwarłem wówczas sakiewkę i wysypałem znajdujące się tam złoto na dywan, po czym poprosiłem Sadiego, aby swoje pieniądze przeliczył. Sadi uczynił to licząc monetę po monecie i stwierdził, że było ich rzeczywiście sto dziewięćdziesiąt sztuk.

Głęboko zawstydzony i zmieszany zawołał:

- Teraz wierzę już twoim słowom, ale będziesz musiał chyba przyznać, że połowę twojego obecnego bogactwa zawdzięczasz tamtym dwustu złotym monetom, które ci dałem podczas naszych powtórnych odwiedzin, a grosik, który ci Sad podarował, jest co najwyżej przyczyną drugiej połowy twego dobrobytu.

Nic na to nie odpowiedziałem, a moi dobroczyńcy nie przestawali się o to między sobą spierać. Następnie zasiedliśmy, aby zjeść coś i wypić, a skoro nasyciliśmy się i zaspokoili pragnienie, udaliśmy się wszyscy trzej do chłodnej altany na odpoczynek. Kiedy zaś słońce zbliżało się już do widnokręgu, dosiedliśmy rumaków i pojechali z powrotem do Bagdadu. Kiedyśmy jednak do miasta przybyli, zastaliśmy wszystkie sklepy już pozamykane i nie mogliśmy nigdzie znaleźć obroku i paszy dla naszych koni. Przeto posłałem dwóch młodych niewolników, którzy obok naszych rumaków biegli, aby poszukali jakiegoś pożywienia dla koni. Jeden z nich znalazł w sklepie kupca handlującego zbożem dzban pełen otrąb i zapłaciwszy za jego zawartość, obiecał puste naczynie na drugi dzień kupcowi odnieść. Tymczasem jednak przyniósł nam otręby wraz z dzbanem, po czym zaczął je po ciemku wyjmować, garść po garści, aby nakarmić nasze konie. Nagle ręka jego natrafiła na chustkę, w której było zawinięte coś ciężkiego. Niewolnik przyniósł owo zawiniątko, tak jak je znalazł, i rzekł:

- Popatrz, panie mój i władco, czy chusta ta nie jest tą zgubioną przez ciebie, o której tak często nam mówiłeś?

Wziąłem ją tedy do ręki i ku mojemu najwyższemu zdumieniu rozpoznałem, że to ta sama chusta, w którąś wówczas owe drugie sto dziewięćdziesiąt monet zawinałem, zanim schowałem je do dzbanka z otrębami.

Tedy zwróciłem się do mych przyjaciół i tak powiedziałem:

- Cni panowie, spodobało się Allahowi Miłociwemu poświadczyć przed naszym rozstaniem prawdziwość moich słów i dowieść, że nigdy nie mówiłem wam nic krom samej prawdy.

Po czym, zwróciwszy się do Sadiego, mówiłem dalej:

- Niebawem zobaczysz sto dziewięćdziesiąt złotych monet, które mi dałeś będąc u mnie po raz drugi.

Powiedziawszy to, kazałem natychmiast zanieść gliniany dzban do mego domu i pokazać go mojej żonie, aby i ona mogła zaświadczyć, że to ten sam dzban z otrębami, który była wówczas wymieniła na garść glinki.

Dopiero teraz Sadi przyznał, że nie miał racji, i rzekł do Sada:

- Słuszność była po twojej stronie! Przekonałem się bowiem, że bogactwo nie rodzi się z bogactwa, ale zależy jedynie od łaski Allacha, który zdolny jest uczynić, iż ubogi może stać się bogatym.

Po czym prosił mnie o przebaczenie za swój brak wiary. Przebaczyłem mu i udaliśmy się wszyscy na spoczynek.

Nazajutrz rano obaj przyjaciele pożegnali się ze mną i wrócili do domu z mocnym przeświadczeniem, iż nie kłamałem i pieniędzy, które byli mi dali, nie roztrwonilem.

Skoro kalif Harun ar-Raszid opowieści mistrza Hasana do końca wysłuchał, zwrócił się do niego i tak rzecze:

- Znam cię od dawna dzięki dobremu imieniu, jakim cieszysz się u całego ludu. Wszyscy bowiem razem i każdy z osobna oświadczają, iż jesteś zacnym i prawym człowiekiem. Zresztą ów diament, dzięki któremu uzyskałeś tak wielkie bogactwo, znajduje się już w moim skarbcu. Chciałbym więc nie zwlekając posłać po Sadiego, aby ujrzał ów diament na własne oczy i przekonał się, że nie dzięki pieniądzom ludzie stają się bogatymi lub ubogimi.

Wreszcie władca wiernych tak jeszcze do mistrza Hasana el-Habbala powiedział:

- Idź teraz i powtórz swoją opowieść mojemu podskarbiemu, aby ją na wieczną rzeczy pamiątkę zapisał, a pismo owo wraz z diamentem do skarbcza schował.

Rzekłszy to kalif ar-Raszid skinieniem głowy pożegnał mistrza Hasana, a ten ucałował stopnie tronu i poszedł w swoją drogę.



## **Opowieść o ubogim szewcu Maarufie**

Żył sobie ongiś w Kairze, mieście przez Allacha strzeżonym, pewien ubogi szewc, który zajmował się łątaniem starego obuwia. Nazywał się Maaruf. Miał żonę imieniem Fatima, a przezwiskiem Straszydło. Przewisko to dane jej było przede wszystkim dlatego, że była bezczelna i złośliwa, bezwstydna i skora do podstępnych knozań. Ujarzmiła ona swojego męża i stale wymyślała mu i urągała, chyba po tysiackroć na dzień. On zaś bał się jej złości i tchórzył przed jej niegodziwością. Maaruf był bowiem człowiekiem łagodnego serca i dbałym o dobre imię, ale ubogim w pieniądze i mienie. Pomiedzy wielu przykrościami, które ten człowiek musiał od swojej żony ucierpieć, starczy wymenić następującą. Pewnego razu Fatima tak do swego męża powiedziała: - Maarufie, żądam od ciebie, abys mi dziś wieczór koniecznie przyniósł kunafę\* z pszczelim miodem. - Jeśli Allah pozwoli - odparł Maaruf - abym tyle zarobił, by wystarczyło na kupno tak drogiej potrawy, to dziś wieczór ci kunafę z pszczelim miodem przyniosę. Allah świadkiem, że na razie nie mam wcale

pieniędzy, ale, być może, Allah pomoże mi je zarobić. - Nic mnie to nie obchodzi! - krzyczała żona. - Czy Allah ci pomoże, czy nie, nie waż mi się dziś wieczór pokazać na oczy bez słodkiej kunafy z miodem, a jeśli bez niej przyjdiesz, to noc twoja będzie tak czarna, jak twój los, odkąd wzięłeś mnie za żonę i wpadłeś w moje ręce. - Allah jest dobrotliwy - odparł Maaruf i wyszedł biedak widocznie zafrasowany. Po czym odmówił modły poranne i otworzył sklep, mówiąc: - Błagam cię, o Allachu miłościwy, racz mi przysporzyć pieniędzy, abym mógł nabyć ową kunafę z pszczelim miodem, i ustrzeż mnie dziś w nocy przed nikczemnością tej złościcy! Aż do południa siedział Maaruf w swoim sklepie, ale nie trafiła mu się żadna robota, więc wzmagała się w nim coraz silniej obawa przed żoną. W końcu wstał i zamknął sklep, nie wiedząc, co począć, aby zdobyć ową kunafę, gdyż nie miał dosyć pieniędzy nawet na kupno kawałka chleba. Kiedy przechodził koło sklepu piekarza, który handlował kunafą, przystanął markotny, a w oczach zakręciły mu się łzy. Piekarz to zoczył i spytał: - Mistrzu Maarufie, co ci jest, że płaczesz, powiedz mi, co ci się stało? Tedy Maaruf opowiedział mu wszystko i tak zakończył: - Widzisz, moja żona jest kobietą bez serca. Domaga się ode mnie kunafy z pszczelim miodem, a ja do południa siedziałem w sklepie i nie zarobiłem nawet na suchy kawałek chleba. Przeto czuję strach przed nią. Piekarz uśmiechnął się i rzekł do ubogiego szewca: - Nie niepokój się! Ile kunafy ci potrzeba? - Pięć ratłów\* - odparł Maaruf. Piekarz odważył mu i rzekł: - Mam wprawdzie topione masło, ale nie mam miodu. Mam trochę syropu z trzciny cukrowej, który lepszy jest jeszcze od miodu. Chyba więc nie zaszkodzi, jeśli kunafa będzie z syropem zamiast z miodem. Ubogi szewc nie grymasił, gdyż i tak zalegać miał z zapłatą, więc powiedział: - Niech będzie z syropem! Piekarz przyrządził kunafę z topionym masłem i trzcinowym syropem iście po królewsku. A potem spytał: - A może potrzebujesz jeszcze chleba i sera? - Oczywiście - odparł Maaruf Kupiec dał mu więc chleba za cztery półsrebrniki, sera za półsrebrnika i owej kunafy za dziesięć. A potem powiedział: - Wiedz, Maarufie, że jesteś mi winien piętnaście półsrebrników. Idź teraz do żony i ciesz się spokojem. Weź nawet jeszcze półsrebrnika na łaźnię. Z zapłatą możesz poczekać dwa do trzech dni, aż Allah ześle ci jakiś zarobek. Nie musisz też mówić żonie nic o swoich kłopotach, gdyż będę cierpliwie czekał, aż zarobisz któregoś dnia więcej, niż będziesz musiał wydać na życie. Tedy Maaruf wziął kunafę, chleb i ser i odszedł, błogosławiąc piekarza. Z otuchą w sercu kroczył przed siebie i mówił: - Chwała ci, o Allachu, dobroć twa nie ma granic! Kiedy tylko wszedł do izby, żona zaraz na niego krzyknęła: - Przyniosłeś kunafę z pszczelim miodem? - Przyniosłem - odparł Maaruf i podał jej przyniesioną potrawę. Spróbowała i zmiarkowawszy, że osłodzona jest syropem, a nie miodem, zawołała: - Czy ci nie zapowiadałam, że masz przynieść kunafę z miodem? Widocznie chciałeś mi zrobić na złość, kiedy kazałeś przyrządzić ją z syropem! Maaruf przeproszał, jak umiał, mówiąc: - Nie mogłem zbyt wybredzać, bo wzięłem ją na borg. Ale żona darła się dalej: - To czcza gadanina, chcę kunafy z miodem, i już! I pełna złości cisnęła mu przyniesione jadlo w twarz, wrzeszcząc: - Postaraj się lepiej, łądaku, i przynieś mi to, czego chciałam. Przy tym wymierzyła mu policzek i wybiła zęb, aż krew polala się biedakowi na piersi. Maaruf w gniewie uderzył ją raz lekko w głowę, ale wtedy ona chwyciła go za brodę i zaczęła wrzeszczeć: - Na pomoc, muzułmanie! Sąsiedzi wbiegli do izby i uwolnili jego brodę z rąk żony. Po czym ganili ją i strofowali, mówiąc: - Każdy z nas byłby zadowolony, gdyby dostał taką słodziutką kunafę z syropem! Jakże możesz być tak bez serca wobec swojego biednego męża! Czyż ty nie masz wstydu! Perswadowali jej tak długo, aż doszło do zgody pomiędzy małżonkami. Zaledwie ludzie zdążyli wyjść, gdy Fatima zaczęła się znów zaklinać, że za nic tej potrawy nie ruszy. Maaruf wszakże, który czuł gwałtowny głód, rzekł: - Poprzysięgłaś, że kunafy nie ruszysz, przeto ja ją zjem. - Co rzekłszy, zabrał się do jedzenia. Ale ona, ujrawszy go jedzącego, krzyknęła: - Niech Allah sprawi, aby potrawa ta stała się trucizną, która wypali ci wnętrzności! (Oby takie przekleństwo nikogo nie dotknęło!) A Maaruf na to: - Nie będzie tak, jak mówisz! I jadł dalej z zadowoleniem, po czym dodał: - Poprzysięgłaś, że nie ruszysz tego jadła, ale Allah jest dobrotliwy, więc jeśli On pozwoli, przyniosę ci jutro wieczór kunafę z pszczelim miodem i wtedy sama wszystko zjesz. I tak Maaruf starał się ją jak mógł ułagodzić, a ona stale przeklinała i aż do rana nie ustawała w wymyślaniu mu i urąganiu. A kiedy nastał ranek, wzięła się znów do bicia swego męża, który zawołał: - Miej trochę cierpliwości, przyniosę ci inną kunafę! Po czym pośpieszył do meczetu i odprawivszy modły poszedł do swego sklepu i otworzył go.

Ale zaledwie zdążył usiąść, gdy już przybyli do niego dwaj strażnicy od kadiego i oznajmili: - Wstań i chodź z nami do kadiego! Wniosła na ciebie skargę twoja żona, która tak a tak wygląda. Z opisu Maaruf poznał zaraz, że była to istotnie jego żona i rzekł: - Oby Allah ją pokarał! Wstał i poszedł ze strażnikami do kadiego. Tam zastał już swoją żonę z przewiazaną ręką i zakrwawionym czarczafem, szlochającą głośno i wycierającą łzy. A kadi zaraz wsiadł na biednego szewca: - Czyż nie boisz się gniewu Allacha? Jak mogłeś tak tę kobietę sponiewierać, złamać jej rękę i wybić zęb! Jakżeś mógł to uczynić? A Maaruf na to: - Jeśli naprawdę ją sponiewierałem i wybiłem zęb, to ukarż mnie wedle swojej woli. Ale sprawa ta wygląda tak a tak, a zresztą sąsiedzi zdążyli już nas pogodzić. Po czym opowiedział kadiemu wszystko, rzetelnie tak jak było, od początku do końca. Ów kadi zasię był dobrym człowiekiem. Wyciągnął więc z kieszeni ćwierć denara i rzekł do Maarufa: - Człowieku, weź ten pieniąż i każ za to przyrzadzić dla twojej żony słodkiej kunafy z pszczelim miodem, a potem pogóďte się! Ale ubogi szewc odpowiedział kadiemu: - Daj lepiej ten pieniąż mojej żonie. Fatima ćwierć denara przyjęła, a kadi myśląc, że przywrócił już spokój pomiędzy małżonkami, rzekł: - Niewiasto, bądź posłuszna mężowi twemu, a ty, mężu, bądź dla niej dobry! Po czym oboje poszli do domu, pozornie pogodzeni przez dobrego kadiego. Żona wszakże udała się w jedną stronę, a mąż w drugą do swego sklepu. Zaledwie zdążył tam usiąść, jak już przybyli do niego strażnicy i powiedzieli: - Daj nam należną zapłatę za naszą usługę. A Maaruf na to: - Kadi nie kazał mi wcale wam płacić, a nawet podarował mi ćwierć denara. Ale oni nie dawali spokoju: - Nic to nas nie obchodzi, czy kadi ci coś dał, czy wziął. Jeśli nie dasz nam należnej zapłaty, weźmiemy przemocą, co się nam należy. Po czym zawlekli Maarufa na bazar, gdzie biedak musiał sprzedać swoje szewskie narzędzia. Dopiero kiedy wypłacił natrętnym strażnikom pół denara, dali mu spokój. Tedy biedny szewc oparł policzek na rękę i usiadł smutny, ponieważ nie miał już nawet narzędzi, którymi mógłby zapracować na chleb. A kiedy tak siedział, przyszedli nagle dwaj inni strażnicy o odpychającym wyglądzie i powiedzieli do niego: - Wstań, człowieku, i pójdz z nami do kadiego! Żona twoja złożyła skargę na ciebie. - Przecież kadi dopiero co ustanowił pokój między mną a moją żoną - odparł Maaruf. Ale oni mówili dalej: - Przybywamy widać od innego kadiego, u którego twoja żona również ciebie oskarżyła. Poszedł więc ze strażnikami modląc się do Allacha: - Allah jest naszą ucieczką i On wszystko najlepiej rozrządzi! Skoro Maaruf ujrzał Fatimę, zapytał: - Czyż nie zawarliśmy dopiero co pokoju? Kiedy jednak odpowiedziała, że pokoju między nimi nie będzie, Maaruf wystąpił przed kadiego i opowiedział mu swoje dzieje, kończąc następującymi słowy: - Kadi, który się tak i tak nazywa, godzinę temu pogodził nas ze sobą. Tedy ten drugi kadi tak do żony Maarufa rzecze: - Bezwstydna niewiasto, dlaczego przybywasz znów skarżyć się przede mną na twego męża, chociaż jużście się pogodzili. A ona na to: - Ale on mnie znowu potem pobił. Wówczas kadi rzekł do obojga małżonków: - Pogóďte się wreszcie, ty jej nie bij, a ona niech obieca, że będzie ci zawsze posłuszna! I tak małżonkowie zawarli ponownie pokój między sobą, a kadi powiedział do Maarufa: - Daj ludziom, których do ciebie posłałem, zapłatę należną im za ich usługę! Maaruf wysupłał ostatnie grosze i wrócił do swojego sklepu. Otworzył go i usiadł jak odurzony wszystkimi zmartwieniami, które go gnębiły. Kiedy tak siedział, przyszedł nagle do niego jakiś obcy człowiek i rzekł: - Maarufie, wstań i ukryj się czym prędzej, żona twoja bowiem oskarżyła cię przed najwyższym trybunałem i kat zaraz tu po ciebie przyjdzie. Tedy ubogi szewc zamknął swój sklep i uciekł w kierunku Bramy Zwycięstwa\*. Z pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży szewskich kopyt i narzędzi pozostało mu zaledwie pięć półsrebrników. Kupił więc za cztery chleba, a za jeden ser, aby żywić się tym podczas ucieczki. A była wtedy pora popołudniowych modłów. I kiedy tak biegł pomiędzy śmietnikami przed bramą miejską, lunął deszcz jak z cebra i biedak przemókł do suchej nitki. Schronił się więc do meczetu Adilija, na w pół zburzonego, i znalazł się w opuszczonej komorze, w której brakowało drzwi. Postanowił schronić się tam przed ulewą, ponieważ szaty jego były już całkiem przemoczone. Łzy kapały mu z oczu, gdy rozpamiętując swoją niedolę tak do siebie mówił: "Gdzież ucieknę przed tą wiedźmą? Błagam cię, o Allachu, przyślij mi kogoś, kto by mnie zawiódł do jakiejś dalekiej krainy, dokąd ona nie będzie mogła znaleźć drogi". Kiedy tak siedział płacząc, nagle rozstąpiła się ściana i wyszła z niej olbrzymia postać, na widok której przeszły go ciarki. I straszna ta postać tak do niego rzekła: - Dlaczegóż, człowieku, zakłócasz mi pokój w nocy? Od dwustu lat przebywam już tutaj, ale nigdy

nie widziałem nikogo, kto by wchodząc tu zachowywał się tak jak ty. Powiedz mi, czego sobie życzysz, a spełnię każde twoje pragnienie. Serce moje bowiem pełne jest dla ciebie litości. - Kim jesteś? - spytał Maaruf. Postać odparła: - Jestem mieszkańcem tego miejsca. Maaruf opowiedział więc wszystko, co musiał uciepieć od swojej złej żony, a postać wysłuchawszy go zapytała: - Czy chcesz, abym zawiódł cię do krainy, do której żona twoja drogi nie znajdzie? - Tak - odparł Maaruf. A straszna postać, która była džinnem, zawołała: - Siadaj więc na moim grzbiecie! Maaruf uczynił to i uniół się w przestworza, i leciał od pory południowych modłów aż do chwili, kiedy ukazuje się na niebie pierwszy brzask. Dżinn złożył go na szczycie wysokiej góry i tak do niego powiada: - Zejdź, o śmiertelny, ze szczytu tej góry, a gdy ujrzysz bramy miasta, wejdź doń i uwierz, że żona twoja nigdy cię nie znajdzie. Rzekłszy to, opuścił Maarufa i odleciał w przestworza. Ubogi szewc zaś pozostał zdumiony i bezradny aż do wschodu słońca. Wtedy tak do siebie powiedział: "Udam się w drogę, gdyż dłużej tu pozostawać nie ma celu". Zszedł więc na dół aż do stóp góry i ujrzał miasto okolone warownymi murami, z piętrzącymi się wysoko pałacami i pokrytymi złotem dachami gmachów, tak że każdy, kto na to patrzył, musiał się zachwycić. Maaruf przeszedł przez bramę miejską i poczuł radość w swoim sercu. Kiedy jednak wszedł na bazar, zauważył, że miejscowi przypatrują mu się i dziwią jego odzieży, gdyż różniła się znacznie od szat noszonych w ich mieście. Jeden spośród gapiów zwrócił się do Maarufa i zapytał: - Człowiecze, jesteś zapewne przybyszem z obcego kraju? - Rzekłeś! - odparł Maaruf - A z jakiego kraju przybywasz? - Z Kairu, szczęśliwego miasta. - Widocznie minął już długi czas, od kiedy miasto to pożegnałeś? - Byłem tam wczoraj o porze popołudniowych modłów. Tedy pytający zaczął się śmiać i zawołał: - Chodźcie tu bliżej, ludzie, i posłuchajcie, co on mówi. - A co on takiego mówi? - pytano zewsząd. A ów miejscowy na to: - Człowiek ten twierdzi, że przybył z Kairu i że był tam nie dalej jak wczoraj o porze popołudniowych modłów. Wszyscy zaczęli się śmiać i wołać: - Człowiecze, widocznie jesteś pomyleńcem! Jak możesz twierdzić, iż opuściłeś Kair dopiero wczoraj o porze popołudniowych modłów, a dziś rano już tu przybyłeś, skoro Kair jest oddalony od naszego miasta o rok drogi. A Maaruf na to: - Jeśli komuś tu brak rozumu, to nie mnie, tylko wam. To co mówię, jest szczerą prawdą. Chleb, który przyniosłem z Kairu i którego mam jeszcze trochę, jest przecież świeży. Mówiąc to, pokazał im kupiony w Kairze chleb, a oni nie posiadali się ze zdumienia, gdyż chleb ten był inny niż chleb, jaki jadali w swoim kraju. Wówczas zgromadziło się jeszcze więcej ludu wokół Maarufa i jedni wołali do drugich: - Oto chleb prosto z Kairu! Obejrzyjcie go sobie! I tak powstał rwetes w owym mieście. Jedni wierzyli mu, inni zaś mieli go za kłamcę i drwili z niego. W tym też czasie podjechał na mulicy jakiś bogaty kupiec, któremu towarzyszyło dwóch niewolników. Przebił się przez tłum i zawołał: - Hej, ludzie, czy nie wstyd wam tłoczyć się tak dookoła obcego przybysza, aby szydzić zeń i wyśmiewać się? Odstąpcie od niego! I kupiec odegnał gapiów od Maarufa, bo nikt nie śmiał sprzeciwić się bogaczowi ani słowem. Tedy kupiec tak do obcego przybysza rzecze: - Chodź, bracie, i nie przejmuj się ludźmi, którzy nie mają wstydu! Po czym wziął go ze sobą i podążył z nim do obszernego i pięknie przyozdobionego domu. Tam wprowadził Maarufa do wielkiej sali o istic królewskim przepychu i wydał niewolnikom odpowiednie rozkazy. Ci zaś otworzyli okutą skrzynię i wyjąwszy z niej strój, jaki zwykle noszą bogaci kupcy, którzy posiadają przynajmniej po tysiąc worów złota, wręczyli go Maarufowi. Ubogi szewc przebrał się zaraz, a ponieważ był człowiekiem wspaniałej postury, wyglądał niczym starszy cechu kupców. Wkrótce potem gościnny kupiec kazał przynieść posiłek i słudzy postawili przed oboma stół, na którym było wiele smakowitych potraw wszelakiego rodzaju. Dopiero kiedy obaj zjedli i wypili, kupiec zapytał swego gościa: - Bracie, jakie jest twoje imię? A ten odparł: - Imię moje Maaruf, a z zawodu jestem szewcem łątającym stare obuwie. - Z jakiego miasta pochodzisz? - Z Kairu. - A z jakiej dzielnicy? - Czy ty znasz Kair? - Jestem również jednym z synów tego miasta. - Ja mieszkałem przy ulicy Czerwonej. - A kogo znasz spośród mieszkających przy tej ulicy? - Takich a takich - odparł Maaruf i wymienił wielką liczbę ludzi. A kupiec pytał dalej: - Czy znasz szejka Ahmeda, korzennego kupca? - To mój najbliższy sąsiad, mieszkamy z sobą przez ścianę. - Czy powodzi mu się dobrze? - Tak jest. - A ile ma dzieci? - Trzech synów: Mustafę, Mohameda i Alego. - A cóż, dzięki Allachowi, z tych jego synów wyrosło? - Mustafe powodzi się dobrze, to uczony, nauczyciel wyższej szkoły. Jeśli chodzi o Mohameda, został korzennym kupcem, tak jak ojciec

jego, i otworzył sklep obok sklepu ojca, ożeniwszy się uprzednio. Jego żona powiła mu syna, który nazywa się Hasan. - Niech Allah i ciebie ucieszy dobrą nowiną! - zawołał kupiec. A Maaruf opowiadał dalej: - Jeśli chodzi o Alego, to był on moim towarzyszem zabaw, kiedyśmy byli jeszcze chłopcami, i zawsze zwykliśmy się ze sobą bawić. Przebieraliśmy się za chrześcijańskie dzieci, aby móc dostać się do ich kościoła. Tam kradliśmy księgi chrześcijan i sprzedawali je, aby za uzyskane pieniądze kupić sobie smakołyki. Ale raz zdarzyło się, że chrześcijanie nas na tym przyłapali i jedną z ukradzionych księzek odebrali. Wnieśli wówczas skargę na nas do naszych rodziców i powiedzieli ojcu Alego: "Jeśli nie zabronisz swojemu synowi wyrządzać nam szkody, to oskarżymy cię przed samym sułtanem". Ojciec Alego ułagodził tych ludzi i wygarbował skórę synowi, zaś chłopiec ów uciekł z domu, od dwudziestu lat już go nie ma i nikt nigdy nie miał o nim żadnej wieści. Tedy kupiec zawołał: - Ja jestem ów Ali, syn szejka Ahmeda, korzennego kupca z Kairu, a ty jesteś towarzyszem moich zabaw dziecińczych, Maarufe! Wówczas obaj przyjaciele przywitali się jeszcze raz i serdeczniej, po czym kupiec tak dalej mówił: - Opowiedz mi teraz, Maarufie, dlaczego przybyłeś tu z Kairu do naszego miasta? Szewc opowiedział mu wszystko o swojej żonie Fatimie oraz o tym, co od niej ucierpiał. A opowieść swoją zakończył słowami: - Skoro udręka stała się już nie do wytrzymania, uciekłem od niej w kierunku Bramy Zwycięstwa. Tam zastała mnie ulewa, schroniłem się więc do na wpół zwalonej niszy przy meczecie Adilija. I usiadłem tam płacząc. Wówczas nagle ukazał mi się mieszkaniec tamtych miejsc, dzinn z nadprzyrodzonego świata, i jął mnie pytać. Opowiedziałem mu całą moją niedolę, a on wziął mnie na swój grzbiet i przez całą noc leciał ze mną pomiędzy niebem a ziemią. Wreszcie postawił mnie na szczycie góry i opowiedział o tym oto mieście. Zszedłem więc na dół i przybyłem tutaj. Otoczyli mnie ludzie i zaczęli wypytywać. Kiedy im powiedziałem, że opuściłem Kair nie dalej jak wczoraj, nie chcieli mi dać wiary. A potem ty przybyłeś, odpędziłeś ode mnie natrętów i wprowadziłeś do swego domu. Oto moja odpowiedź na twoje pytanie, dlaczego Kair opuściłem. Ale teraz ty mi powiedz, czemu tu przybyłeś? A kupiec na to: - Kiedy popełniłem ową lekkomyślność, liczyłem sobie zaledwie ósmy rok życia. I od tego czasu wędrowałem z kraju do kraju i z miasta do miasta, aż po wielu latach przybyłem do tego grodu, którego nazwa brzmi Ichtijan al-Chutan\*. Ponieważ zauważyłem, że mieszkańcy tutejsi to dobrotliwi i przyjaźni ludzie, którzy ubogiego darzą zaufaniem, sprzedają mu na borg i wierzą wszystkiemu, co im mówi, powiedziałem do nich: "Jestem kupcem i wyprzedziłem karawanę z moim towarem, a teraz szukam odpowiedniego składu, aby mój towar przechować". Ludzie dali mi wiarę i przysposobili odpowiedni skład. Wtedy powiedziałem do nich: "Czy jest między wami ktoś, kto byłby skłonny pożyczyć mi tysiąc denarów, aż do czasu, kiedy mój towar tu nadejdzie? Wtedy oddam mu wszystko, co od niego dostałem. Potrzebuję bowiem jeszcze tego a tego, zanim karawana z moim towarem przybędzie". Wówczas pożyczono mi tyle, ile prosiłem, ja zaś poszedłem na bazar kupiecki i obejrzawszy niektóre towary, zakupiłem je. Nazajutrz odprzedałem je i zarobiłem na tym pięćdziesiąt denarów, tak że mogłem znów inne nabyć towary. Przy tym postępowałem zawsze przyjaźnie i uprzejmie z ludźmi, tak że wkrótce wszyscy mnie pokochali. I tak sprzedawałem dalej i kupowałem, aż dorobiłem się sporej kwoty pieniędzy. Wiedz bowiem, mój bracie, że przysłowie mówi: "Świat jest pełen kłamstw i oszustwa, a w kraju, w którym cię nikt nie zna, możesz robić, co ci się żywnie podoba". Jeśli na przykład każdemu, kto cię zapyta, powiesz: "Z zawodu jestem szewcem, łątającym stare obuwie, jestem ubogi, uciekłem od mojej żony i dopiero wczoraj opuściłem Kairu, to ludzie ci nie uwierzą. I staniesz się dla nich pośmiewiskiem tak długo, jak będziesz w naszym mieście przebywał. A jeśli im powiesz: "Dzinn i mnie tu przyniósł", to będą cię unikać, nikt do ciebie nie podejdzie i wszyscy powiedzą: "Człowiek ten jest opętany przez diabła, więc każdemu, kto się do niego zbliży, będzie się źle powodzić". I taka gadanina pohańbi zarówno ciebie, jak i mnie, gdyż wszyscy tu wiedzą, że i ja z Kairu pochodzę. Tedy Maaruf zapytał: - Więc co mam począć? Na to kupiec Ali odrzekł: - Nauczę cię, co masz czynić, jeśli Allah pozwoli. Jutro dam ci tysiąc denarów, a krom tego mulicę, abyś na niej jechał, i niewolnika, który będzie biec przed tobą i zaprowadzi cię do bramy kupieckiego bazaru. Przez tę bramę udaj się na bazar. A ja będę już siedział między kupcami i skoro tylko ciebie zobaczę, wstanę, pozdrowię cię i pocałuję w rękę, i będę traktował jak dostojnego pana. Kiedy tylko zapytam cię o jakiś gatunek tkaniny i zwrócę się do ciebie z pytaniem: "Czy przywiozłeś coś



takiego a takiego gatunku, odpowiadaj: "Mnóstwo!" Jeśli potem ludzie mnie o ciebie zapytają, będę cię wynosił pod niebiosa i przedstawiał jako możnego człowieka. Po czym powiem im: "Dajcie mu budynek na skład i wyznaczcie mu odpowiedni sklep". Mówiąc to przedstawię cię jako męża o wielkim bogactwie i jeszcze większej szczodrości. Za każdym razem, kiedy podejdzie do ciebie jakiś żebrak, daj mu, co będziesz miał pod ręką, a wtedy wszyscy uwierzą moim słowom i ufni w twoją wielkość i hojność pokochają cię gorąco! W końcu zaproszę cię oraz wszystkich innych kupców do swego domu, aby cię uczcić. W ten sposób oni poznają cię, a ty ich, będziesz mógł im sprzedawać, od nich kupować i uprawiać z nimi wszelki handel. Potem w niedługim czasie staniesz się bogatym człowiekiem. Nazajutrz rano kupiec Ali dał Maarufowi rzeczywiście tysiąc denarów, odział go w bogate szaty, posadził na mulicę i odstąpił mu jednego ze swoich niewolników. Po czym tak do niego powiedział: - Niech Allah Miłościwy uwolni cię z obowiązku wdzięczności za to wszystko. Jesteś bowiem moim przyjacielem i dlatego traktować cię z honorami jest po prostu moim obowiązkiem. Nie frasuj się przeto, odpędzaj od siebie wszelkie myśli o złych postępkach twojej żony i nie opowiadaj o niej nikomu. - Niech Allah ci to stokrotnie wynagrodzi - odparł Maaruf i odjechał na mulicy, a niewolnik biegł przed nim, prowadząc go do bramy kupieckiego bazaru. Tam siedzieli wszyscy kupcy, a między nimi znajdował się i kupiec Ali. Skoro tylko ujrzał Maarufa, wstał i pośpieszył na jego spotkanie, wołając: - Co za błogosławiony dzień, o kupcze Maarufie, mężu słynący z dobrych uczynków i szlachetności! Po czym pocałował go w rękę na oczach wszystkich kupców i rzekł: - Kupiec Maaruf, mili bracia, wielce zaszczycił nas swoim tu przybyciem, powitajcie go tedy jak należy. Przy czym dał im znak, aby okazywali Maarufowi dowody najwyższej czci. I tak ubogi szewc stał się w ich mniemaniu wielkim panem. Ali pomógł mu przy zsiadaniu z mulicy, a kiedy wszyscy już go pozdrowili, odwoływał na bok jednego kupca po drugim i wychwalał Maarufa przed każdym. Oni zaś pytali: - Czy człek ten jest kupcem? - Zaprawdę - odparł Ali - to nawet największy ze wszystkich kupców i nie ma nikogo, kto by mógł dorównać mu bogactwem. Jego skarby i skarby jego ojca i przodków sławne są wśród kupców Kairu. Ma współników w bliższym i dalszym Hindustanie oraz w Jemenie i wszędzie słynie ze swej wspaniałości. Czciście więc jego dostojęstwo, wychwalajcie jego wspaniałość i służcie mu! Wiedźcie również, że do miasta naszego nie przybył on w sprawach kupieckich. Zamiarem jego jest tylko oglądać kraje i ludzi, gdyż nie potrzebuje dla zysku i zarobku wędrować po cudzych krajach. Ma on bowiem skarby, których ogień nawet nie może zniszczyć, a ja jestem jednym z jego sług. I tak kupiec Ali wielbił Maarufa nieustannie, aż wszyscy uznali go za godniejszego od siebie i zaczęli między sobą opowiadać o jego zaletach. Po czym wszyscy stłoczyli się wokoło niego, podając mu smaczne ciasta i chłodzące napoje, aż w końcu nadszedł i starszy cechu kupieckiego i powitał Maarufa. Potem kupiec Ali zwrócił się doń w obecności zgromadzonych kupców: - Powiedz mi, efendi, czy masz taką a taką tkaninę? - Mnóstwo - odparł Maaruf I owego dnia Ali pokazał mu wiele gatunków drogocennych tkanin, wymieniając mu nazwy drogich i tanich gatunków. Po czym inny spośród kupców zapytał Maarufa: - Efendi, czy masz żółtą tkaninę? - Mnóstwo - odparł Maaruf Inny zaś spytał: - A czy masz tkaninę czerwoną niczym krew gazeli? - Mnóstwo - odparł ubogi szewc. I za każdym razem, gdy ktoś go o coś pytał, tak samo odpowiadał. Wówczas wszyscy zwrócili się do kupca Alego, pytając: - Kupcze Ali, jeśli twój rodak miałby wyładować tu tysiąc bel drogocennych tkanin, czy posiadałby ich tyle? - Wystarczy na to zapas z jednego spośród jego licznych składów i rodak mój nawet tego nie zauważy. Kiedy tak siedzieli, podszedł żebrak i zaczął obchodzić wszystkich kupców. Jeden dał mu półsrebrnika, drugi miedziaka, ale przeważnie nic mu nie dawano. Kiedy wszakże podszedł do Maarufa, ten wyciągnął z kieszeni garść złotych monet i dał je żebrakowi, który odszedł błogosławiąc go. Kupcy dziwowali się temu i mówili: - To iście królewska hojność, dał przecież żebrakowi złote monety, nie licząc ich nawet. Gdyby nie był jednym z najbogatszych ludzi i nie posiadał tak wielkiego majątku, na pewno nie dałby żebrakowi całej garści złota. Po chwili nadeszła biedna kobieta i Maaruf znowu wyjął z kieszeni garść złotych monet, i dał je nie licząc. A ona odeszła błogosławiąc go i opowiedziała o tym innym ubogim. Skoro się tylko zwiedzieli, zaczęli wkrótce przychodzić jeden po drugim do Maarufa, a on dla każdego, kto doń przychodził, wyjmował garść złota i dawał mu ją, aż w ten sposób wydał cały tysiąc denarów. Po czym klasnął w ręce i rzekł: - Allah jest naszym zadośćuczynieniem i On

rządzi wszystkim najlepiej. Tedy zapytał Maarufa starszy cechu kupieckiego: - Co z tobą, kupcze Maarufie? A ten na to: - Zdaje mi się, że przeważna część mieszkańców tego miasta jest biedna i niezamożna, gdybym był o tym wiedział, przywiózłbym w sakwach przy siodle większą ilość pieniędzy, aby je rozdać wśród ubogich. Obawiam się jednak, że będę zmuszony długo jeszcze przebywać na obczyźnie, a w moim zwyczaju jest: nigdy żebrakowi jałmużny nie odmawiać. Teraz nie mam już więcej przy sobie pieniędzy, więc jeśli żebrak do mnie podejdziesz, cóż mam mu powiedzieć? Na to rzekł starszy kupieckiego cechu: - Powiedz mu, że Allah Miłościwy obdarzy go chlebem! Ale Maaruf odparł: - To niezgodne z moim obyczajem i dlatego frasuję się wielce. Potrzeba mi jeszcze tysiąca denarów, aby rozdawać jałmużnę, aż moje towary przybędą. - Nie kłopotz się - powiedział starszy kupieckiego cechu i posłał jednego ze swych sług po tysiąc denarów, a skoro ten je przyniósł, starszy cechu wręczył je ubogiemu szewcowi. A ten nieustannie każdemu biednemu, który mu się nawinął, dawał i dawał, aż rozległo się wezwanie muezzina\* na południową modlitwę. Wtedy udali się wszyscy do meczetu i odprawili należne modły. A co pozostało Maarufowi z owego drugiego tysiąca denarów, rozrzucił wśród modlących się wiernych. Skierowało to spojrzenia wszystkich na niego i lud zaczął go błogosławić, a kupcy dziwowali się jego szczodropliwości i miłosierdziu. Wówczas Maaruf zwrócił się do innego kupca i znów pożyczył tysiąc denarów, które również niezwłocznie rozdał. Kupiec Ali przyglądał się postępowaniu Maarufa, ale nie śmiał nic powiedzieć, ten zaś czynił tak dalej, aż muezzin zawezwał znów wiernych na wieczorną modlitwę. Wówczas Maaruf poszedł do meczetu, pomodlił się i rozdzielił wśród obecnych resztę pieniędzy. W ten sposób, zanim zamknięto na noc bramy bazaru, zdążył pożyczyć pięć tysięcy denarów i rozdać je wśród ubogich. A każdemu, od kogo pożyczał, mówił: - Poczekaj, aż mój towar przybędzie! Jeśli wtedy zażadasz zwrotu pieniędzy, to ci je dam, zaś będziesz wolał otrzymać to w tkaninach, to mogę ci i w ten sposób dług zwrócić, gdyż tkanin mam mnóstwo. Wieczorem kupiec Ali zaprosił do siebie Maarufa, a wraz z nim wszystkich kupców. Kiedy posadził go na honorowym miejscu, Maaruf nie ustawał w opowiadaniu o swoich drogocennych tkaninach i klejnotach. I za każdym razem, gdy mu jakiś towar wymieniano, mówił: "Mam tego mnóstwo". Nazajutrz rano udał się znów na bazar, zwracał się do kupców, pożyczał od nich pieniądze i rozdawał jałmużnę. I tak postępował przez całe dwadzieścia dni, aż suma pożyczonych pieniędzy doszła do sześćdziesięciu tysięcy denarów. Ale wciąż nie nadchodziła karawana z towarem. Ludzie zaczęli sarkać z powodu pożyczonych pieniędzy i wołali: - Karawany z towarem kupca Maarufa ciągle nie widać. Jak długo jeszcze myśli on odbierać bogatym kupcom pieniądze, aby rozdawać je wśród żebraków? A jeden z kupców powiedział: - Zdaje mi się, iż należałoby rozmówić się z jego rodakiem, kupcem Ali. Poszli więc do Alego i powiedzieli: - Kupcze Ali, karawana z towarem kupca Maarufa ciągle jeszcze nie przybywa! A kupiec Ali na to: - Czekajcie cierpliwie, na pewno towary w najbliższym czasie przybędą. Po czym jednak odwołał swego przyjaciela na bok i tak do niego rzecze: - Maarufie, cóż twoje postępowanie ma znaczyć? Radziłem ci chleb nieco przypiec, a tyś go od razu spalił? Kupcy sarkają teraz z powodu swoich pieniędzy i powiedzieli mi, że jesteś już im winien sześćdziesiąt tysięcy denarów, które od nich pożyczyłeś i rozdałeś wśród ubogich. W jaki sposób chcesz twoim dłużnikom ich należność spłacić, kiedy nie sprzedajesz nic i nie kupujesz? A ubogi szewc na to: - Cóż to ma za znaczenie! I co to jest sześćdziesiąt tysięcy denarów? Kiedy karawana z moim towarem przybędzie, wszystko im zapłacę, jeśli chcą, to w towarze, a jeśli wolą, to w złocie i srebrze. A kupiec Ali na to: - Allah jest wielki! Ale czy ty w ogóle posiadasz jakiś towar? - Mam go mnóstwo - odparł Maaruf. A kupiec ciągnął dalej: - Niech Allah i święci czuwają nad tobą i twoją bezczelnością! Czyż nauczyłem cię tych słów po to, abyś mnie je powtarzał? Poczekaj, zaraz otworzę ludziom oczy! Wszelako Maaruf odparł: - Idź precz i nie gadaj tak wiele! Czyż jestem biednym człowiekiem? Mam mnóstwo skarbów i kiedy karawana przybędzie, wszyscy dostaną to, co im się należy, ba, zapłacę im nawet w dwójnasób, gdyż wcale o to nie stoję. Tedy rozgniewał się kupiec Ali i krzyknął: - Ty bezczelny oszuście, pokażę ci, co to znaczy tak mnie bezwstydnie okłamywać! Ale Maaruf na to: - Czyn, co jest w twojej mocy! Niech poczekają, aż karawana z moim towarem przybędzie, a wtedy otrzymają wszystko, co im się należy, a nawet jeszcze ponadto. Wówczas Ali pożegnał się z Maarufem, mówiąc do siebie: "Uprzednio go wychwalałem, a kiedy teraz zacznę go ganić, wszyscy pomyślą,

że kłamałem. Wtedy stosować się będzie do mnie przysłowie: "Kto najprzód chwali, a potem gani, ten dwa razy kłamie". I był bezradny nie wiedząc, co począć. Potem wszakże przyszli do niego ponownie kupcy i pytali: - Kupcze Ali, czy rozmawiałeś z kupcem Maarufem? I Ali tak im odpowiedział: - O, ludzie! Ja sam się boję, gdyż i mnie winien on jest tysiąc denarów, więc wolałbym nie poruszać tej sprawy. Nie pytałeś mnie o radę, kiedyście mu dawali pieniądze, i dlatego upominajcie się sami! A kiedy wam waszych pieniędzy nie zwróci, oskarżcie go przed królem miasta, mówiąc: "Człowiek ten jest oszustem, który nas nabrał". A wtedy król będzie się starał nie dopuścić, abyście ponieśli przez tego człowieka stratę. Poszli więc do króla i opowiedzieli, co im się przytrafiło, kończąc słowami: - Największy władco naszych czasów, jesteśmy bezradni i nie wiemy, co począć z tym oto obcym kupcem, którego szczodroblivość jest zbyt wielka. Postępuje on tak a tak i wszystko, co pożyczycy, rozdziela od razu pełnymi garściami wśród ubogich. Gdyby nic nie posiadał, to przecież zdrowy rozsądek by mu nie pozwolił tak pełnymi garściami złoto pożyczać, aby je potem wśród żebraków jako jałmużnę rozdawać. Jeśli wszakże byłby istotnie zamożny, to przybycie karawany z jego towarem musiałyby już dać świadectwo jego prawdomówności. Ale nie widzimy jakoś jego towaru, chociaż obcy kupiec ciągle twierdzi, że wyprzedził tylko swoją karawanę. Za każdym razem, kiedy wymieniamy przed nim jakiś gatunek tkaniny, powtarza: "Mam tego mnóstwo". Ale minął już dłuższy czas, a karawany jego jak nie ma, tak nie ma. Winien nam już jest teraz sześćdziesiąt tysięcy denarów, które wszystkie rozdał wśród ubogich. Przy tym kupcy wychwalali go mimo wszystko i wielbili jego szczodroblivość. Ów król był bardzo chciwym człowiekiem, kiedy więc usłyszał o hojności i wspaniałości Maarufa, porwała go chciwość i tak rzekł do swego wezyra: - Gdyby ten kupiec nie posiadał niezmiernych bogactw, nie mógłby być taki hojny. Jest rzeczą całkiem pewną, że jego karawana przybędzie. Wtedy wszyscy kupcy stłoczą się wokoło niego, a on obsypie ich złotem. Ja wszakże mam więcej praw do tych pieniędzy niż oni. Przeto chciałbym z owym przybyszem się zapoznać, a kiedy zawrę z nim przyjaźń, sam zagarnę jego towary, zanim do nich kupcy. Dlatego najlepiej się stanie, kiedy dam mu moją córkę za żonę i w ten sposób skarby jego połączę z moimi. Ale wezyr odparł: - O największy władco naszych czasów, mnie się zdaje, że to jednak oszust, a często bywa, iż oszust staje się zgubą dla domu chciwca. Król wszakże mówił dalej: - Chciałbym, o wezyrze, wystawić go na próbę i rozpoznać, azali to oszust czy też uczciwy człowiek oraz czy wzrósł w bogatym stanie, czy też nie. - W jaki sposób chcesz go wystawić na próbę? - spytał wezyr. A król na to: - Posiadam pewien wspaniały klejnot. Każę po niego posłać, a potem zawezwę obcego kupca przed moje oblicze. Kiedy tu przyjdzie i usiądzie, będę go traktował z honorami i pokażę mu ów klejnot. Jeśli pozna się na nim i potrafi go ocenić, będzie to świadczyć, że człowiek ten pochodzi z bogatej rodziny i był wychowany wśród przepychu. Kiedy wszakże nie pozna się na klejnocie, to oszust i szalbierz, a wtedy każę go stracić najhaniebniejszą śmiercią. Tedy król posłał po Maarufa i kazał go postawić przed swoje oblicze. Kiedy ubogi szewc przestąpił próg i wypowiedział należne pozdrowienie, król oddał mu również uprzejme pozdrowienie i wskazał miejsce obok siebie. Po czym go zapytał: - Czy ty jesteś kupcem Maarufem? - Rzekłeś! - odparł tamten. A król pytał dalej: - Tutejsi kupcy twierdzą, że jesteś im winien sześćdziesiąt tysięcy denarów. Czy to, co mówią, jest prawdą? - Rzekłeś! - odparł Maaruf. A wówczas król zapytał: - Dlaczego nie oddajesz im ich pieniędzy? A ubogi szewc na to: - Niech poczekają, aż karawana z moim towarem przybędzie, wtedy zapłacę im wszystko w dwójnasób. Jeśli będą chcieli złota, zapłacę w złocie, jeśli będą woleli srebro, zapłacę w srebrze. Jeśli zaś dogodniej im będzie odebrać należność w towarze, to będę mógł spłacić im moją należność towarem. Komu jestem winien tysiąc, temu dam dwa tysiące w nagrodę za to, że pomógł mi zachować dobre imię wśród ubogich. A mogę tak uczynić, bo mam wszystkiego mnóstwo. Tedy sułtan tak do niego rzecze: - Weź to, kupcze, i powiedz mi, co to jest i jaką wartość przedstawia! Mówiąc to wręczył mu wspaniały klejnot wielkości orzecha laskowego, który był zakupił za tysiąc denarów i bardzo wysoko go cenił, ponieważ nie posiadał drugiego temu klejnotowi równego. Maaruf wziął klejnot do ręki i tak go ścisnął pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, że klejnot pękł, gdyż był delikatny i nie mógł znieść takiej siły ucisku. Tedy sułtan zawołał: - Dlaczego zniszczyłeś mi klejnot? Ale Maaruf uśmiechnął się i rzekł: - O największy władco naszych czasów,

przecież to wcale nie klejnot, ale jedynie kamyk wartości tysiąca denarów. Jakżeż możesz w ogóle mówić, że to drogocenny kamień. Prawdziwy klejnot jest wart przynajmniej siedemdziesiąt tysięcy denarów, a to, to przecież tylko mały kamyk. Szlachetny kamień, który nie ma przynajmniej wielkości orzecha włoskiego, nie przedstawia dla mnie żadnej wartości i nie zwracam na taką błahostkę uwagi. Jakżeż ty, który jesteś królem, możesz nazywać klejnotem coś, co jest tylko kawałkiem kamienia wartości tysiąca denarów? Ale nie można wam tego brać za złe, gdyż wiem, że jesteście tu biednymi ludźmi i nie posiadacie drogocennych skarbów. - A ty, kupcze - zapytał król - posiadasz klejnoty takie, jak te, które opisujesz? - Mnóstwo - odparł Maaruf. Wówczas chciwość opanowała króla i zapytał ubogiego szewca: - A czy zechcesz mi dać takie prawdziwe klejnoty? Ów zaś na to: - Kiedy moja karawana przybędzie, dam ci ich całe mnóstwo, wszystko bowiem, czego tylko zażadasz, posiadam w nieprzeliczonej ilości i dam ci chętnie bez zapłaty. Król ucieszył się wielce i tak do kupców powiedział: - Idźcie w swoją drogę i czekajcie cierpliwie, aż jego karawana przybędzie. Wtedy tu przyjdziecie i odbierzecie wasze pieniądze. Usłyszawszy te słowa kupcy odeszli. Na razie tyle o kupcach i Maarufie. Zobaczmy teraz, co dalej uczynił król. Zwrócił się on do wezyra i rzekł: - Bądź uprzejmy wobec kupca Maarufa i zacznij z nim gawędę o tym i owym. Między innymi wspomnij mu też o mojej córce, aby zapragnął wziąć ją za żonę, a my w ten sposób pozyskalibyśmy jego skarby. Ale wezyr odparł: - O największy władco naszych czasów, sposób bycia tego człowieka mi się nie podoba. Sądzę nadal, że to oszust i kłamca. Przeto zaniechaj twego zamiaru, aby nie wyszło to dla twojej córki na zgubę! A było tak, że ten wezyr w swoim czasie prosił był króla o rękę jego córki dla siebie, ale kiedy powiedziano o tym królewnie, ta odmówiła. Przeto król krzyknął teraz do wezyra: - Zdrajco, nie pragniesz mojego dobra! Ponieważ przedtem prosiłeś o rękę mojej córki, a ona nie zgodziła się zostać twoją żoną, dlatego teraz chcesz przeszkodzić jej w zamążpójściu. Wolisz, by pozostała nadal niezamężna, abyś w końcu mógł ją dostać. Ale popamiętaj moje słowa: córka moja i tak już nie dla ciebie! A jakżeż Maaruf ma być oszustem i kłamcą, kiedy odgadł od razu cenę, za jaką mój klejnot nabyłem. Zniszczył klejnot, ponieważ mu nie przypadł do gustu, a sam posiada ich nieprzeliczone mnóstwo. Lecz kiedy przekona się o wdzięku mojej córki, straci rozum, zakocha się w niej i obsypie ją najdrogocenniejszymi klejnotami i złotem. A ty chciałbyś nam obojgu, zarówno mnie, jak i mojej córce, przeszkodzić w pozyskaniu tego olbrzymiego bogactwa. Tedy wezyr umilkł z obawy przed gniewem władcy i tylko tak do siebie mówił: "Trzeba poszczuć psy na zwierzynę". Po czym udał się do kupca Maarufa i tak do niego rzecze: - Wiedz, że król nasz umiłował cię z całego serca, a ma on córkę, która jest urodziwa i pełna wdzięku. Zamierza on oddać ci ją za żonę, co ty na to? Maaruf odpowiedział: - Niech się tak stanie. Ale król musi poczekać aż nadejdzie karawana z moim towarem, gdyż okup narzeczeński, jaki się daje za królewską córkę, musi być okazały, a jej godność wymaga, abym ofiarował za nią taki upominek, jaki odpowiada jej wysokiemu dostojeniu. Na razie nie mam przy sobie pieniędzy, więc niech król cierpliwie poczeka na moją karawanę, gdyż moje bogactwa są nieprzeliczone. Narzeczeński okup musi wynieść co najmniej pięć tysięcy worów złota. A poza tym będę potrzebował jeszcze następnego tysiąca worów, aby w przeddzień mojego wesela rozdzielić wśród ubogich i niezamożnych, oraz dalszego tysiąca, aby rozdarować uczestnikom mojego wesela, i jeszcze tysiąc, aby wyprawić ucztę dla wojska i innych gości. Również potrzebne mi będzie sto klejnotów, aby podarować je mojej oblubienicy nazajutrz po weselu, a sto innych, aby rozdzielić między jej niewolnice i sługi. Każda bowiem z nich powinna ode mnie jakiś drogocenny podarunek otrzymać, stosownie do wysokiego dostojenia panny młodej. Muszę także przyzwać tysiąc nagich biedaków, no i o jałmużnie też nie mogę zapomnieć. Wszystko to może się stać dopiero, kiedy karawana z moim towarem przybędzie, gdyż mam tam wszystkiego mnóstwo. Kiedy skrzynie z moimi towarami już tu nadejdą, to wszystkie te wydatki będą dla mnie tyle co nic. Wezyr odszedł i powtórzył królowi wszystko, co mu Maaruf opowiedział, a ten na to: - Jeśli takie są jego zamiary, to jakżeż możesz nazywać go oszustem i kłamcą? - I teraz również nie przestaję tak mniemać - odparł wezyr. Ale król rozgniewał się i tak rzecze: - Klnę się na moją głowę, że jeśli nie przerwiesz twej głupiej gadaniny, każę cię ściąć. A teraz idź do Maarufa i sprowadź go tu, a ja wszystko z nim omówię! Tedy wezyr poszedł do Maarufa i powiedział: - Chodź pomówić z królem. - Słucham i jestem posłuszny! - odparł Maaruf i

udał się do króla, ten zaś zwrócił się do niego, mówiąc: - Nie odwlekaj sprawy wymówkami! Moje skarbcze są bowiem pełne. Weź klucze od nich i wydaj wszystko, co ci będzie potrzeba! Obsypuj ludzi darami, jakimi chcesz, odziewaj ubogich i rób, co ci się podoba! A jeśli chodzi o moją córkę i jej niewolnice, to nie potrzebujesz się nimi turbować. Kiedy twoja karawana przybędzie, będziesz mógł do woli okazać się szczodrym wobec twej oblubienicy. Na okup narzeczeński poczekamy cierpliwie, aż juki z twoimi towarami tu będą. Pomiędzy tym, co moje i twoje, nie ma już bowiem żadnej różnicy. Po czym polecił szejchowi al-islam\* sporządzić kontrakt ślubny i napisać świadectwo o zawarciu małżeństwa pomiędzy córką króla a kupcem. Maarufem. Następnie król polecił, aby rozpoczęto uroczystości weselne, i rozkazał przyozdobić całe miasto. Bito w bębny, przynoszono najrozmaitsze potrawy, a kuglarze zabawiali gości. Kupiec Maaruf zaś usiadł na wysokim tronie we wspaniałej sali, a magicy, tancerze i przeróżni sztukmistrze stanęli przed nim. Tedy Maaruf zawołał podskarbiego i rozkazał: - Przynieś złota i srebra! A kiedy podskarbi rozkaz spełnił, Maaruf wziął złoto i srebro i przechadzając się rozdawał je garściami wśród tych, co pokazywali sztuki. Również obdarowywał ubogich i przyodziewał biednych. Zabawa była huczna, a podskarbi ledwie nadszedł z przynoszeniem pieniędzy ze skarbcza. Wezyrowi zaś pękało serce ze złości. Nie śmiał jednak na razie się przeciwstawiać. Jedynie kupiec Ali, zgorszony taką rozrzutnością, zwrócił się do Maarufa i tak rzecze: - Niech Allah i święci mają cię w swojej opiece! Czyż nie wystarczyło ci roztrwonić pieniędzy kupców, że musisz jeszcze marnotrawić i pieniądze króla? - Nic ci do tego - odparł kupiec Maaruf - Skoro tylko moja karawana z towarem przybędzie, zwrócę królowi wszystko z nadstatkiem. I mówiąc to rozrzucił coraz więcej pieniędzy, ale do siebie mówił: "Co się ma stać, to się stanie, bo nikt nie zdoła umknąć przeznaczeniu". Uroczystości weselne trwały czterdzieści dni, a czterdziestego pierwszego dnia przysposobiono orszak weselny po narzeczoną. Kroczyli w nim wszyscy emirowie i wojownicy. Kiedy przywiedli Maarufowi jego oblubienicę, ten zaczął sypać złotem na ich kornie schylone głowy. Orszak weselny był wspaniały i Maaruf odwdzięczając się zań, w imieniu swej narzeczonej rozdawał jeszcze więcej pieniędzy. Następnie wprowadzono go do komnaty królowej i posadzono na wysokim posłaniu. Skoro jednak opuszczono kotary, pozamykano podwoje i goście odeszli, aby zostawić go sam na sam z młodą oblubienicą, Maaruf załamał ręce i siedział przez chwilę smutny, uderzając raz po raz dłonią o dłoń. Przy czym wołał: - Nie ma potęgi ni mocy poza Allahem Wielkim i Potężnym! Tedy królowa go zapytała: - Panie mój i władco, niech Allah ma cię w swojej opiece. Cóż ci się stało, żeś tak posmutniał? A on na to: - Jakżeż miałbym się nie smucić, kiedy ojciec twój postawił mnie w nader trudnej sytuacji i uczynił ze mną tak, jakbym zielone ziarno prażył. A ona mówiła dalej: - Powiedz mi, cóż takiego mój ojciec ci uczynił? A Maaruf na to: - Ojciec twój kazał mnie przyprowadzić do ciebie, zanim moja karawana przybyła, a ja marzyłem o tym, że rozdzielę przynajmniej sto drogocennych klejnotów pomiędzy twe niewolnice, tak aby każda z nich mogła się swoim upominkiem nacieszyć. Odpowiadałoby to twej wysokiej godności i wzmogłoby jeszcze szacunek ludzi dla ciebie, a ja nie potrzebuję przecież oszczędzać przy rozdawaniu klejnotów, ponieważ mam ich mnóstwo! Królewska córka odpowiedziała: - Nie kłopotz się! Troski twoje są zbędne, o mnie możesz się nie turbować, gdyż poczekam cierpliwie, aż twoja karawana przybędzie, a jeśli chodzi o niewolnice, to nie troszcz się i o nie. Kiedy karawana z twym towarem nadejdzie, nie zabraknie nam nie tylko klejnotów, ale żadnej innej rzeczy. Maaruf odczekał, aż wsączył się do komnaty brzask poranny. Wtedy udał się do łaźni i przywdział szaty królewskie. A przyoblekłszy je, przestąpił próg sułtańskiej sali przyjęć. Wszyscy, co tam byli, powstali z miejsc na jego widok i powitali go z największą czcią, życząc mu szczęścia i błogosławiąc. On zaś usiadł obok króla i zawołał: - Gdzie jest podskarbi? A kiedy odpowiedziano mu, że oto stoi przed nim, mówił dalej: - Każ przynieść odświętne szaty, aby przyoblekli się w nie wszyscy wezyrowie, emirowie i dostojnicy państwa! Podskarbi usłuchał i kazał przynieść wszystko, czego Maaruf zażądał, a ten obdarowywał każdego, kto do niego podchodził, stosownie do stanowiska jego i godności. I tak postępował przez całe dwadzieścia dni. Ale karawany jak nie było, tak nie było, ani nawet żadnej o niej wieści. Tedy podskarbi zafrasował się wielce i poszedł do króla, kiedy Maarufa przy nim nie było, a władca siedział w towarzystwie swego wezyra. Podskarbi ucałował ziemię u stóp królewskich i rzekł: - O największy władco naszych czasów, muszę ci coś

wyznać, gdyż inaczej zgromiłbyś mnie może, gdybym rzecz przed tobą zataił. Wiesz, że skarbiec twój jest niemal ogołocony. Mało co już w nim pozostało, a jeśli jeszcze dziesięć dni tak dalej potrwa, zaświeci pustkami i będzie można go zamknąć. Wówczas król rzekł: - Rzeczywiście, wezyrze, karawany mego zięcia jakoś długo nie widać i nie mamy dotąd żadnej wieści o niej. - Niech Allah się nad tobą zmiłuje, o największy władco naszych czasów - zaśmiał się wezyr. - Oddałeś się, nic nie podejrzewając, w ręce tego oszusta i kłamcy! Klnę się na twoją dostojną głowę, że nie ma w ogóle żadnej karawany, która by do Maarufa należała, ani żadnej takiej zarazy, która by nas od niego mogła uwolnić. Oszukiwał on cię nieustannie, aż w końcu roztrwonił wszystkie twoje pieniądze i bez narzeczńskiego okupu otrzymał twoją córkę za żonę. Jak długo jeszcze będziesz przyglądać się beztrosko temu kłamcy nad kłamcami? A król na to: - Powiedz, wezyrze, co począć, aby dowiedzieć się o nim całej prawdy? Tedy wezyr rzekł: - O największy władco naszych czasów, nikt nie zdoła zgłębić tajemnicy tego człowieka, z wyjątkiem jego oblubienicy. Każ posłać po twoją córkę, abym mógł ją wypytać, jak naprawdę ma się rzecz z Maarufem. Ona powinna go wy badać i powiedzieć nam całą prawdę. - Niech i tak będzie - rzekł król - i klnę się na moją głowę, że jeśli wyjdzie na jaw, iż to oszust i kłamca, zaprawdę każę stracić go najhaniebniejszą spośród wszystkich śmierci. Po czym wziął wezyra z sobą, zaprowadził go do swojej komnaty i kazał zawołać córkę. A wszystko to działo się pod nieobecność jej małżonka. Skoro oblubienica Maarufa weszła do pokoju, zapytała: - Czego życzysz sobie, ojcze? A on na to: - Rozmów się z wezyrem. Ona pytała dalej: - Czego sobie życzysz, wezyrze? A wezyr na to: - Dostojna pani, wiedz, że małżonek twój roztrwonił wszystkie pieniądze twego ojca, a ciebie poślubił, nie dając narzeczńskiego okupu. Nieustannie czyni on nam obietnice i nie dotrzymuje ich, a o jego karawanie wciąż nie mamy żadnych wiadomości. Krótco mówiąc, chcielibyśmy, abyś go wy badała i opowiedziała nam o nim wszystko. Tedy córka króla odparła: - Mój małżonek wiele gada i nieustannie obiecuje mi klejnoty, skarby i drogocenne tkaniny, ale nic z tego jak dotąd jeszcze na oczy nie widziałam. - Dostojna pani - mówi wezyr dalej - może tej nocy uda ci się z nim pogawędzić o różnych rzeczach i tak mu rzec: "Powiedz mi szczerą prawdę i nie obawiaj się niczego, gdyż jesteś przecież moim mężem i nie mogę zgrzeszyć przeciwko tobie. Przeto powiedz mi, jak istotnie rzeczy stoją, a ja wymyślę dla ciebie sposób, abyś odzyskał spokoju. Po czym rozmawiaj jeszcze z nim o tym i owym, okazuj mu miłość i doprowadź go do tego, aby się przyznał! Skoro się to stanie, donieś nam niezwłocznie całą prawdę. - Ojcze mój i panie, już ja wiem, jak go wy badać - powiedziała krótko i odeszła. Po wieczery, kiedy małżonek jej przyszedł do niej jak zazwyczaj, wzięła go czule pod rękę i schlebiając mu z wielkim wdziękiem, nie przestawała obsypywać go słówkami słodszyimi od miodu i czułymi pieszczotami, aż Maaruf stracił całkiem głowę. Kiedy zaś zauważyła, że stał się zupełnie uległy, rzekła do niego: - Mój ukochany, pociecho moich oczu i najśłodszy owocu mego serca, niech Allah nigdy mi ciebie nie zabierze i niech los nigdy nie rozdzieli nas obojga, ciebie i mnie! Zaprawdę miłość do ciebie mieszka w moim sercu, a kiedy cię nie ma przy mnie, duszę moją pożera paląca tęsknota, tak że nigdy nie potrafiłabym ciebie skrzywdzić. Pragnę jednak, abyś wyznał mi prawdę, gdyż podstęp i kłamstwo ci nie przystoją i ludzie nie zawsze im wierzą. Jak długo jeszcze chcesz okłamywać i oszukiwać mego ojca? Drzę na samą myśl, że twoje położenie będzie przed nim ujawnione, zanim będziemy mogli obmyślić jakiś sposób wyjścia. A wtedy ojciec weźmie się za ciebie! Przeto wyznaj mi prawdę, a nie stanie ci się nic krom samej radości! Skoro mi powiesz, jak jest istotnie, nie potrzebujesz się obawiać, aby stała ci się jakaś krzywda. Jak długo chcesz jeszcze twierdzić, że jesteś kupcem i że posiadasz wielkie bogactwo i własną karawanę? Ciagle powtarzasz: "Moje towary i moje towary", ale tych towarów jak nie ma, tak nie ma, a na twoim obliczu maluje się troska i niepokój. Jeśli więc słowa twoje nie odpowiadają prawdzie, mnie możesz o tym powiedzieć. A ja obmyślę sposób, aby cię ocalić, jeśli tylko Allah na to pozwoli. Tedy rzekł do niej: - Pani mego serca, chcę ci powiedzieć prawdę, a ty zrobisz, co będziesz uważała za słuszne. - Mów więc - odparła - ale mów samą prawdę, ponieważ prawda jest jak łódź ratująca rozbitków. Strzeż się natomiast kłamstwa, gdyż hańbi ono tego, kto je uprawia. Wówczas Maaruf wyznał wszystko, mówiąc: - Dowiedz się więc, pani mego serca, że nie jestem kupcem i nie posiadam żadnej karawany ani żadnego majątku. W ojczyźnie mojej byłem ubogim szewcem, latającym stare

obuwie, i miałem żonę, imieniem Fatima, a przezwiskiem Straszydło. I za jej sprawą to a to mi się przydarzyło. I opowiedział całe dzieje swego życia od początku do końca, ona zaś odrzekła z uśmiechem: - Rzeczywiście, przyznać muszę, że jesteś nader doświadczony w kunszcie kłamstwa i szalbierstwa. A ona na to: - Pani mojego serca, obys długo żyła! Zechciej przysłonić moje błędy i rozpędzić moje troski! Ona zaś mówiła dalej: - Pomyśl, iż oszukałeś nieciebie mojego ojca i twoim chełpieniem się bez końca wprowadziłeś go w błąd, tak że z żądzy zysku wydał mnie za ciebie. Roztrwonileś jego pieniądze, mimo że wezyr cię podejrzewał. Ileż już razy rozmawiał on o tobie z moim ojcem i twierdził: "To oszust i kłamca!" Ale mój rodzic nie chciał słowom wezyrowym dać wiary, ponieważ ten sam wezyr starał się kiedyś o moją rękę, lecz nie zgodziłam się, iżby został moim mężem, a ja jego małżonką. Teraz wszakże minęło już zbyt wiele czasu i ojciec mój sam zaczyna w prawdę twych słów wątpić. To on właśnie polecił mi, abym doprowadziła cię do przyznania się. Otóż udało mi się to uczynić i to, co było dotychczas utajone, stało się jawne. Mój ojciec ma złe względem ciebie zamiary, ale ty jesteś moim oblubieńcem i dlatego ja nie chcę zgrzeszyć przeciwko tobie. Gdybym ojcu mojemu powtórzyła twoje wyznanie, to utwierdziłby się w tym, co obecnie tylko podejrzewa, żeś oszust i kłamca, nabierający córki królewskie i trwoniący królewskie skarby. A wtedy wina twoja nie znajdzie już u niego przebaczenia i niechybnie każe ci on ściąć głowę. Wówczas jednak rozejdzie się wśród ludu, iż zostałam wydana za oszusta i kłamcę, co byłoby dla mnie wielką hańbą. Po ścięciu ci głowy ojciec odda przypuszczalnie moją rękę komu innemu, ale ja cię miłuję i nigdy się nie zgodzę należeć do innego, choćbym miała przypłacić to życiem. Teraz wszakże nie ma już czasu do stracenia. Przebierz się za mameluka, weź pięćdziesiąt tysięcy denarów z moich pieniędzy i dosiądź rumaka, a potem udaj się do takiego kraju, dokąd władza mojego rodzica nie sięga, a tam zostań kupcem, po czym napisz do mnie list i przyślij go tu potajemnie przez posłańca, aby uwiadomić mnie, w jakim kraju przebywasz, i abym mogła posyłać ci wszystko, co tylko będzie w mojej mocy ci przysłać. W ten sposób mnożyć będziesz swoje bogactwo, a kiedy mój ojciec umrze, pošlę po ciebie, abyś tu do mnie powrócił przez wszystkich czczony i poważany. Jeśli jednak ktoś z nas obojga, ty albo ja, wcześniej zostanie powołany przed tron Allacha Miłościwego, połączymy się w dniu zmartwychwstania. Taki plan będzie najlepszy. Ale dopóki oboje żyć będziemy, bądź pewien, że nie zaniecham nigdy posyłać ci listów i pieniędzy. Ruszaj więc w drogę, zanim wszędzie słońce ponad nami, a bezradność zacznie cię dręczyć w obliczu grożącej zguby! - O pani mojego serca - odparł Maaruf - błagam cię, zechciej na pożegnanie nie odmówić mi łaski twego uścisku! A ona na to: - Chętnie na to przystaję! Padli więc sobie w objęcia, a potem Maaruf przebrał się za mameluka i rozkazał koniuchom, aby osiodłali dlań najlepszego rumaka. Wkrótce piękny koń był już osiodłany, Maaruf pożegnał swoją małżonkę i jeszcze przed końcem nocy wyjechał z miasta. Kiedy tak jechał, każdy, kto go widział, brał go za jednego z mameluków królewskich wysłanego w jakiejś ważnej sprawie. Nazajutrz rano król wraz z wezyrem udali się na pokoje zajmowane przez Maarufa. Król posłał po swoją córkę i wkrótce wyszła ona spoza kotary. Tedy ojciec ją zapytał: - Córko moja, co masz do powiedzenia? A ona na to: - Oto co ci powiem: niech Allah uczyni czarną twarz twego wezyra, ponieważ on chciał oczernić moje oblicze przed moim oblubieńcem! - A w jaki sposób? - pytał król dalej. - Wczoraj wieczór - odparła - małżonek mój przybył do mnie i zanim zdążyłam o tej sprawie zacząć mówić, wszedł nagle sługa imieniem Faradz do pokoju z listem w rękę i rzekł: "Oto dziesięciu mameluków stoi pod oknami pałacu; wręczyli mi ten list mówiąc: ucałuj w naszym imieniu rękę naszemu dostojnemu panu, kupcowi Maarufowi, i oddaj mu to pismo. Jesteśmy z oddziału mameluków, który towarzyszy karawanie z jego towarem. Doniesiono nam, iż pan nasz pojął za żonę królewską córkę. Przybyliśmy tedy, aby powiadomić go, co nam się po drodze przytrafiło". Wzięłam wówczas list do ręki i przeczytawszy go, dowiedziałam się, że pięciuset wiernych mameluków zawiadamia swego pana, kupca Maarufa, iż po jego odejściu pustynni beduini\* na nich napadli. A beduinów tych było aż dwa tysiące, podczas gdy mameluków jedynie pięciuset. Wywiązała się przeto zażarta walka. Beduini zagrozdzi karawanie dalszą drogę, tak że mamelucy musieli się dopiero z orężem w rękę naprzód przebijać. Oto powód opóźnienia karawany, z której beduini zrabowali dwieście bel tkanin i zabili pięćdziesięciu mameluków. Skoro ta smutna wieść doszła do uszu mojego małżonka, Maaruf zawołał: "Niech Allah ukarze moich mameluków. Po cóż walczyli oni z beduinami o

jakieś marne dwieście bel towaru? Bo cóż dla mnie może znaczyć dwieście bel? Nie warto było z tego powodu tak długo opóźniać przybycia karawany. Przecież cena tych dwustu bel tkanin wynosi najwyżej siedem tysięcy denarów! Muszę więc nie zwlekając pojechać do nich, aby przyspieszyć dalszy pochód karawany. Tego, co beduini mi zrabowali, nie zauważy się nawet wśród mnóstwa towarów i dla mnie nie ma to żadnego znaczenia. Przypuszczalnie podarowałbym był to owym beduinom jako jałmużnę". Powiedziawszy to, odjechał z uśmiechem ode mnie, nie trapiąc się wcale z powodu poniesionej straty w towarze i ludziach. Kiedy mój mąż zbiegł na dół po schodach, wyjrzałam z okna pałacu i zobaczyłam owych dziesięciu mameluków, którzy przybyli z listem. Byli piękni niczym księżycy, a każdy z nich miał na sobie strój wart co najmniej dwa tysiące denarów. Zaiste, mój ojciec nie ma ani jednego mameluka, który mógłby tamtym dorównać. Potem mój małżonek odjechał na czele mameluków, aby przyspieszyć przybycie karawany z jego towarem. Chwała niech będzie Allachowi, iż uchronił mnie od powiedzenia małżonkowi memu tego, coś mi rozkazał powiedzieć, gdyż wtedy wyśmiałyby tylko mnie i ciebie. A może nawet spojrzaliby wzrokiem pełnym pogardy i stracił do mnie serce. Wszystko to wina twojego wezyra, który przeciwko mojemu małżonkowi mówił złe słowa, jakich mówić się nie godzi. Tedy król rzekł: - Kochana córko, coraz bardziej się przekonuję, iż bogactwo twojego małżonka jest tak niezmierne, że nie potrzebuje on nawet o nie dbać. Od dnia kiedy przybył do naszego miasta, nieustannie rozdawał jałmużnę ubogim. Jeśli więc taka wola Allacha, nie wątpię, że niebawem przybędzie tu na czele swej karawany, a wtedy pozyskamy dzięki niemu wiele pieniędzy. W ten sposób król pocieszył swoją córkę, a wezyra surowo zganił. Pozostawmy teraz króla i powróćmy do kupca Maarufa! Jechał on na swym rumaku poprzez pustynię, bezradny i nie wiedzący, do jakiego kraju ma się udać. Przy tym boleśnie opłakiwał rozłąkę ze swą ukochaną. Tęsknota i męki miłości dręczyły go wielce, zaczął więc śpiewać miłosne pieśni. Gdy skończył, jął znów gorzko płakać, gdyż czuł, że wszystkie drogi są przed nim zamknięte, tak że wołał ponieść już śmierć niż pędzić dalej taki beznadziejny żywot. Jechał przed siebie jak pijany od nadmiaru udręki, aż nastąpiło południe. Właśnie dojechał był do małej wioszczyny, w pobliżu której dostrzegł wieśniaka orzącego dwoma bawołami. Ponieważ Maarufa dręczył głód, podjechał do oracza i rzekł do niego: - Pokój z tobą! Oracz odpowiedział pozdrowieniem na pozdrowienie, dodając: - Witaj, efendi! Czy jesteś jednym z mameluków naszego władcy? - Tak jest - odparł Maaruf. A tamten mówił dalej: - Zatrzymaj się więc i spożyj ze mną posiłek! Maaruf zmiarkował, iż wieśniak jest widocznie dobrym i hojnym człowiekiem, ale widząc jego ubóstwo powiedział do niego: - Bracie, nie widzę u ciebie nic, czym byś mógł mnie poczęstować. Przeto powiedz mi, do czego mnie zapraszasz? A wieśniak na to: - Dostaniesz coś dobrego, efendi. Zsiądź tylko z konia. Do wioski stąd niedaleko, pospieszę tam zaraz i przyniosę dla ciebie posiłek i obrok dla twojego wierzchowca. Tedy Maaruf odpowiedział: - Jeśli wioska jest niedaleko, to ja mogę szybciej od ciebie tam dojechać, aby zakupić na bazarze wszystko, co mi będzie potrzeba. Ale wieśniak nie ustępował: - Efendi, wioska jest mała i nie ma tam żadnego bazaru, na którym można by coś kupić czy sprzedać, proszę cię przeto na Allacha, zsiądź z konia i racz przyjąć ode mnie poczęstunek. Szybko udam się do wioski i zaraz tu do ciebie powrócę. Tedy Maaruf zeskoczył z konia, a wieśniak pożegnał go i pobiegł do wsi, aby przynieść dla niego posiłek. Maaruf usiadł na ziemi, aby nań poczekać, i tak sam do siebie mówił: "Przeszkodziłem temu biednemu człowiekowi w jego ciężkiej pracy, przeto podejść do pługa i będę zamiast niego orał, aż on powróci. W ten sposób wynagrodzę mu to, iż przeszkodziłem w jego trudzie". Po czym ujął pług i jął poganiać bawoły. Nie zdążył jednak ani skiby przeorać, gdy lemiesz trafił na coś twardego, i bawoły zatrzymały się. Maaruf jął je przynaglać, aby ruszyły z miejsca, ale bawoły stały nieruchomo. Kiedy spojrzął na lemiesz, zauważył, iż ten o coś zawadził. Maaruf odgarnął szybko ziemię i ujrzał złoty uchwyt przymocowany do płyty marmurowej wielkości młyńskiego kamienia. Zaczął więc zań ciągnąć, aż udało mu się odsunąć płytę na bok i oczom jego ukazała się pieczara z prowadzącymi w dół schodami. Maaruf zszedł po nich i ujrzał pomieszczenie przypominające łazienką z czterema głębokimi niszami. W jednej z nich aż do samego pułapu leżało złoto, w drugiej - zielone szmaragdy, matowe perły i różowe korale, trzecia wypełniona była błękitnymi szafirami, krwawymi rubinami i modrymi turkusami, a czwarta - najcudniejszymi diamentami oraz innymi bezcennymi kamieniami najrozmaitszego kształtu i



rodzaju. W głębi pieczary stała skrzynia z przezroczystego kryształu pełna jeszcze rzadszych klejnotów, z których każdy był wielkości laskowego orzecha. Na skrzyni zaś leżała malutka złota szkatułka, nie większa od owocu cytryny. Maaruf ujrawszy to wszystko zdumiał się i uradował niepomierne. - Cóż może być w tej szkatułce?! - zawołał, otworzył ją i znalazł wewnątrz złoty pierścień, na którym jakieś wyryte zaklęcia przypominały ślady mrówek. Mimo woli potarł sygnet i oto rozległ się głos: - Panie i władco, jestem do twoich usług, żądaj, a będzie ci dane. Może chcesz zaludnić jakąś pustą okolicę czy też kazać popłynąć nowej rzece lub uczynić coś w tym rodzaju, wszystko, czego tylko zażadasz, zostanie natychmiast wykonane, gdyż mamy na to zezwolenie Wszzechmocnego, Stworzyciela światła i ciemności. Tedy Maaruf zapytał: - Powiedz, stworzenie Allacha, kim czy czym jesteś? Głos zaś odpowiedział: - Jestem sługą tego pierścienia i służę temu, kto go posiada. Każde życzenie, wypowiedziane przez jego właściciela, zostanie natychmiast spełnione. Nie mogę bowiem uchylić się od niczego, co pan mój mi rozkaże. Jestem sułtanem džinnów, a zastępy, którymi dowodzę, wynoszą siedemdziesiąt dwa szczepy, z których każdy liczy siedemdziesiąt dwa tysiące demonów. Wszyscy oni są mi podlegli i nie wazą się uczynić nic wbrew mojej woli. Ja wszakże przywiązany jestem siłą zaklęcia do tego oto pierścienia i nie mogę być nieposłusznym temu, kto go posiadał. A ty posiadasz go w tej chwili, więc jestem twym niewolnikiem. Żądaj więc, czego zechcesz, a ja usłucham każdego twego słowa i będę posłuszny każdemu twemu rozkazowi! A jeśli będziesz mnie kiedykolwiek potrzebował, na morzu czy na lądzie, potrzyj tylko ten pierścień, a niezwłocznie stanę przy tobie. Ale strzeż się, abyś go dwa razy, raz po raz, nie potarł, wtedy bowiem spłonę potęgą ognia tajemnych imion wyrytych na pierścieniu i utracisz mnie na zawsze! Wiesz teraz, kim jestem. Oto wszystko! Tedy Maaruf zapytał: - Jakie jest twoje imię? A džinn na to: - Nazywam się Abu as-Saadat. A Maaruf pytał dalej: - Powiedz mi, co to za miejsce i kto przywiązał cię potęgą czarów do tej szkatułki? - Panie i władco - odpowiedział džinn - jest to skarbiec męża, który zbudował Iram\*, Miasto Kolumn. Był to gród, jakiemu żadne inne miasto na świecie nie dorównało. Ja zaś byłem za życia owego budowniczego jego sługą, a to jest jego pierścień, który był złożony w swoim skarbcu, a który obecnie przypadł ci w udziale. Maaruf zaś pytał dalej: - Czy możesz wszystko to, co się w tym skarbcu znajduje, wynieść na powierzchnię ziemi? - Rzekłeś! Nie przedstawia to dla mnie najmniejszej trudności - odparł džinn. Tedy Maaruf rozkazał: - Wynieś mi wszystko, co tu się znajduje, i pamiętaj, abyś nie pozostawił niczego. Wówczas džinn uczynił znak ręką w kierunku ziemi, a gdy rozwarła się przed nim, zszedł w jej głąb i zniknął na chwilę. Zaraz potem zaczęli stamtąd wychodzić młodzie, bardzo urodziwi chłopcy, a każdy z nich dźwigał kosz ze złota i złotem wypełniony. Opróżniwszy je, poszli po następne i tak bez przerwy wynosili złoto i klejnoty ze skarbcza na górę. Nie minęła godzina, gdy powiedzieli: - Skarbiec jest już pusty. Tedy wyszedł na powierzchnię ziemi również i sam Abu as-Saadat. Przystąpił do Maarufa i rzekł: - Panie i władco, oto wynieśliśmy ze skarbcza wszystko, co tam było. Wówczas szewc zapytał: - A kto zacz są ci młodzieńcy? A džinn na to: - To synowie moi, do pracy tej nie warto było zwoływać strażników z krainy duchów, przeto synowie moi życzenie twoje spełnili, a przy tym czuli się szczególnie zaszczytzeni tym, iż mogli ci usłużyć. Powiedz, czego jeszcze pragniesz? Tedy Maaruf zapytał: - Czy możesz dostarczyć mi mułów i skrzyń, abym skarby te mógł do nich schować, a potem skrzyniami muły objuczyć? - Nie przedstawia to żadnej trudności - odparł džinn i wydał przeciągły okrzyk. Na to wołanie zjawili się znów przed nim jego synowie, a było ich ośmiuset. - Jedni z was - rzekł džinn - winni przybrać postać mułów, a inni postać urodziwych mameluków, a najniepozorniejszy z nich ma wyglądać tak, że nawet u królów piękniejszego nie ujrzysz! Inni jeszcze spośród was powinni przybrać postać poganiaczy i sług! Synowie Abu as-Saadata spełnili dany im rozkaz: siedmiuset spośród nich przemieniło się w juczne muły, a pozostała setka w obsługę. Następnie džinn zawezwał strażników z krainy duchów, a skoro ci się zjawili, rozkazał, aby część ich przybrała postać pięknych rumaków, osiodłanych w złociste, wybijane drogimi kamieniami kulbaki. Kiedy Maaruf to ujrzał, zapytał: - A gdzie skrzynie? Niezwłocznie je przyniesiono, a wtedy rzekł: - Włóżcie całe złoto i drogie kamienie do skrzyń, bacząc, by każdy rodzaj kosztowności był osobno. Niebawem skrzynie zostały napełnione po brzegi i załadowane na grzbiety trzystu mułów. - A teraz, o Abu as-Saadacie, czy możesz mi dostarczyć bel drogocennych tkanin? - spytał Maaruf Dżinn odpowiedział pytaniem: - A czy tkaniny te mają

być egipskie, syryjskie, perskie, indyjskie czy może greckie? - Sprowadź tkaniny ze wszystkich tych krajów, po sto bel z każdego, na stu mułach - odparł Maaruf. - Panie i władco - rzekł nieco stropiony džinn - daj mi nieco czasu, abym mógł podwładnych moich do różnych krain powysłać i stamtąd po sto bel tkanin sprowadzić. Część z nich ma przy tym przemienić się w muły i powrócić objuczona towarem. - Ile czasu będziesz potrzebował, aby to wykonać? - spytał Maaruf. A džinn na to: - Potrzeba mi będzie tyle czasu, ile trwa ciemność w ciągu jednej nocy. Nim wszędzie brzask na niebie, wszystko, czego sobie życzysz, będzie tu dostarczone. - Niechaj tak będzie - rzekł Maaruf i rozkazał, aby tymczasem dostarczono i rozbito dla niego namiot. Skoro namiot został rozbity, Maaruf zasiadł tam i rozkazał, aby przyniesiono mu nakryty stół z wyszukаныmi potrawami. Tedy Abu as-Saadat tak do niego rzecze: - Panie i władco, wypoczywaj w tym oto namiocie, moi synowie zasię staną przed nim jako wartownicy, tak że nie potrzebujesz niczego się obawiać. Ja tymczasem zbiorę strażników z krainy duchów i porozysłałm ich, aby sprowadzili ci żądany towar. Abu as-Saadat poszedł w swoją drogę, a Maaruf pozostał w namiocie przy nakrytym stole, pilnie strzeżony przez synów potężnego džinna tworzących świtę mameluków i sług. A kiedy tak siedział, wrócił nagle ów wieśniak, który poszedł był po posiłek dla Maarufa i obrok dla jego konia, niosąc misę soczewicy i worek z jęczmieniem. Skoro jednak uchylił zasłonę namiotu i ujrzał mameluków, stojących z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, pomyślał, iż to król przyjechał i zatrzymał się na postój. Wieśniak stanął jak wryty i tak do siebie rzekł: "Gdybym wiedział, że tu władca przyjedzie, zarznąłbym dla niego dwa młode kurczaki i upiekł je na krowim maśle". I już chciał do wsi zawrócić, aby owe kurczaki zarznąć i króla nimi ugościć, kiedy nagle Maaruf go ujrzał i zawołał nań, rozkazując równocześnie swym mamelukom, aby go do namiotu wprowadzili. Mamelucy wykonali niezwłocznie rozkaz i przywiedli chłopca z miską soczewicy w ręku przed oblicze Maarufa. Tedy Maaruf zapytał: - Co to jest? A wieśniak na to: - To posiłek dla ciebie oraz obrok dla twojego konia. Nie gniewaj się na mnie, nie wiedziałem bowiem, że król ma tu przyjechać. Gdybym wiedział, zarznąłbym był dla niego dwa młode kurczaki, aby go smacznym jadłem ugościć. Tedy Maaruf tak do niego rzecze: - Króla tu nie ma, ale ja jestem jego zięciem. Poróżniłem się z nim chwilowo, ale on przysłał do mnie swoich mameluków, aby się ze mną przeprosić. Dlatego zamierzam powrócić niebawem do stolicy. Ponieważ jednak przygotowałeś dla mnie ten posiłek, mimo iż mnie wcale nie znałeś, przyjmuję go chętnie z twoich rąk, chociaż to tylko soczewica, i będę wyłącznie jadł to, co mi przyniosłeś. Powiedziawszy to, polecił postawić misę z soczewicą pośrodku stołu i zaczął jeść, aż się nasycił, gdy tymczasem wieśniak napełniał sobie brzuch owymi najkosztowniejszymi potrawami przygotowanymi dla Maarufa. Zjadłszy, Maaruf umył ręce i mamelukom zezwolił się posilić. Toteż rzucili się na resztę potraw i łapczywie zaspokajali swój głód. Potem Maaruf kazał napełnić misę oracza złotem i wręczył mu ją mówiąc: - Odnieś to do twojej chaty, a potem udaj się do mnie do miasta, tam obdaruję cię jeszcze hojniej! Wieśniak wziął misę ze złotem, pognał bawoły i pośpieszył do wsi, nie posiadając się z radości, jakby to on sam był zięciem króla. Maaruf zaś spędził tę noc wspaniale na zabawie. Sprowadzono precudne dziewice z krainy duchów, które przygrywały na muzycznych instrumentach i tańczyły przed nim, tak że była to dlań noc, jakie rzadko zdarzają się w życiu śmiertelnych. Nazajutrz rano, wcześniej niż Maaruf się tego mógł spodziewać, ukazała się chmura kurzu kłębiącego się wysoko w powietrzu. Potem wyłoniły się z niej muły objuczone towarem. A było tych mułów siedemset. Za nimi szli poganiacze, tragarze i ludzie z pochodniami. Abu as-Saadat zaś jechał na przedzie na oślicy, przebrany za przewodnika karawany, a przed nim niesiono lektykę z czterema ozdobnymi gałkami z czerwonego złota, wysadzaną drogimi kamieniami. Kiedy džinn podjechał do namiotu, zsiadł z oślicy, ucałował ziemię przed Maarufem i rzekł: - Panie i władco, oto wypełniłem twoje polecenie jak najdokładniej. W lektyce tej znajdują się kosztowne szaty, jakich nie znajdziesz nawet w garderobie królewskiej. Przywdziej je, siadź do lektyki i rozkazuj nam dalej, abyśmy spełniali każdą twoją zachciankę. A Maaruf na to: - O Abu as-Saadacie, napiszę list, który masz dostarczyć do miasta Ichtijan al-Chutan. Tam udasz się do króla, a mojego teścia, ale pamiętaj, abyś nie ukazywał mu się inaczej niż w postaci zwykłego śmiertelnika. - Słucham i jestem posłuszny - odparł džinn, a Maaruf napisał list i zapieczętował. Abu as-Saadat wziął pismo z ręki swego pana i pośpieszył do króla, który właśnie mówił wezyrowi: - Serce moje, o wezyrze, niespokojne jest o

mego zięcia, gdyż obawiam się, aby beduini go nie zabili. Ach, gdybym przynajmniej wiedział, dokąd mój zięć pojechał, abym mógł za nim z wojskiem podążyć! Czemuż mi tego nie powiedział, zanim nas opuścił? Ale wezyr na to: - Niech Allah Miłościwy ma cię w swojej opiece i chroni od twej nieostrożności! Klnę się na twoją głowę, o padyszachu, że człek ów po prostu zmiarkował, iż go podejrzewamy, a ponieważ bał się, iż jego matactwa wyjdą na jaw, umknął. To przecież tylko oszust i kłamca! W tej właśnie chwili wszedł do komnaty posłaniec. Ucałował ziemię u stóp władcy i życzył mu długiego życia oraz trwałej sławy i niezmiennego szczęścia. Król zaś go zapytał: - Kim jesteś i w jakiej sprawie przybywasz? - Jestem posłańcem, wysłanym przez twego zięcia. Niebawem przybędzie tu on sam na czele swojej karawany, a mnie wysłał przodem z tym oto listem do ciebie. Król przyjął list z rąk posłańca, przeczytał go i znalazł w nim, co następuje: Najlepsze pozdrowienia dla najślawniejszego z władców, a naszego teścia. Oto przybywam z moją karawaną, przeto wybierz się w drogę i wyrusz ze swoim wojskiem mi na spotkanie. Przeczytawszy to król zawołał: - Niech Allah uczerni twoje oblicze, podły wezyrze! Jak długo jeszcze będziesz kłał cześć mojego zięcia i nazywał go kłamcą i oszustem? Oto przybywa on na czele swojej karawany, a ty jesteś zdrajcą. Tedy wezyr opuścił głowę, pełen wstydu i zdumienia, i rzekł: - O największy władco naszych czasów, mówiłem to tylko, ponieważ karawana twego zięcia tak długo nie przybywała i obawiałem się, że wydane przez niego pieniądze przepadną bezpowrotnie. Ale król uniósł się jeszcze większym gniewem: - Nikczemny zdrajco, czyż nie wiesz, że kiedy karawana przybędzie, wszystko zostanie mi z naddatkiem zwrócone?! Potem rozkazał przyozdobić odświętnie miasto, sam zaś udał się do swojej córki i rzekł do niej: - Mam dla ciebie wesołą nowinę! Wkrótce przybędzie tu twój małżonek na czele swojej karawany. Otrzymałem już od niego list tej treści i obecnie wyruszam na jego spotkanie. Córka królewska dziwiła się takiemu obrotowi rzeczy i tak do siebie mówiła: "To przecież coś isticie niesłychanego. Czy małżonek mój chciał sobie ze mnie pożartować, czy też chciał mnie wystawić na próbę, mówiąc o swoim ubóstwie? Ale chwała Allahowi, iż nie omieszkałam wypełnić wobec niego mojego obowiązku!" Pozostawmy teraz Maarufa i powróćmy do kupca Alego z Kairu. Kiedy ten zobaczył, że miasto jest uroczyście przyozdobione, zapytał o przyczynę. Wówczas odpowiedziano mu: - Karawana kupca Maarufa, zięcia naszego władcy, przybywa do miasta. "Bezmierna jest wielkość Allacha - rozmyślał Ali. - Lecz cóż to wszystko ma znaczyć? Maaruf przybył do mnie, umknąwszy od swojej złej żony, i ponoć znajdował się w krańcowej nędzy. Skąd więc teraz może mieć własną karawanę? Zapewne córka króla wymyśliła ten cały plan z obawy przed ujawnieniem matactw Maarufa. Dla władców bowiem nie ma rzeczy niemożliwych. Niech Allah ma go w swojej opiece i nie narazi go na wstyd!" Wszyscy inni kupcy wszakże cieszyli się i radowali, że nareszcie otrzymają z powrotem swoje pieniądze, król zaś zebrał wojsko i wyruszył na jego czele z miasta, gdy Abu as-Saadat powrócił tymczasem do Maarufa i doniósł mu, że pismo jego doręczył. Tedy Maaruf rozkazał: - Ładujcie towar! A skoro cały towar został już załadowany na muły, przywdział kosztowne szaty i usiadł do lektyki, tak że obecnie wyglądał tysiackroć wspanialej i bardziej majestatycznie od samego króla. Kiedy przebył mniej więcej pół drogi do stolicy, ujrzał swego teścia, który na czele wojska wyjechał był na jego spotkanie. Gdy król zobaczył Maarufa siedzącego w lektyce i bogato przyodzianego, rzucił mu się na szyję, witał go serdecznie i życzył szczęścia z powodu pomyślnego powrotu. Również i wszyscy dostojnicy państwa pozdrawiali go, bo stało się teraz jawne, że Maaruf mówił szczerą prawdę i że nie było w nim ani śladu fałszu. Po czym Maaruf wkroczył do stolicy na czele tak wspaniałego orszaku, że nawet lwa, króla pustyni, zalać by mogła żółć z zazdrości. Kupcy zaś spieszyli do niego i całowali ziemię u jego stóp. Jedynie kupiec Ali tak do niego powiedział: - Stało się więc na twoim i wszystko ci się udało, ty szachraju! Ale zasłużyłeś sobie na to, niech Allah Miłościwy pomnoży ci jeszcze swoje łaski! A Maaruf tylko się na to zaśmiał. Znalazłszy się znów w pałacu, usiadł na tronie i zawołał: - Zanieście skrzynie ze złotem do skarbcza mojego teścia, bele tkanin tutaj wnieście! Słudzy wykonali rozkaz i zaczęli rozpakowywać towar, jedną belę po drugiej, aż wypakowali ich całe siedemset. Wówczas Maaruf wybrał najpiękniejsze z tkanin i rozkazał: - Zanieście je mojej małżonce, aby rozdała je swoim niewolnicom! Weźcie również tę szkatułkę pełną klejnotów i zanieście do niej, aby rozdzieliła je wśród niewolnic i służby! Po czym wręczył kupcom, którym był winien pieniądze, kosztowne tkaniny, jako zwrot ich pożyczki, a

każdemu, kto był mu pożyczyl tysiąc denarów, dawał tkaniny wartości dwóch tysięcy albo i ponadto. Następnie zaczął swym zwyczajem rozdawać jałmużnę wśród biednych, a król musiał się temu przyglądać i nie ważył się zięciowi przeszkadzać. I tak Maaruf rozdawał i rozdawał, aż rozdzielił wszystkie siedemset bel bez reszty. Potem zwrócił się do wojowników i jał rozdzielać wśród nich drogie kamienie, zielone szmaragdy, iskrzące się hiacynty, matowe perły i różowe korale oraz wiele innych ozdób, wręczając najkosztowniejsze klejnoty garściami, nie licząc ich nawet i nie rachując. Tedy król tak do niego rzecze: - Synu mój, dosyć już tych podarunków. Z całej twojej karawany bowiem bez mała już nic nie zostało. A Maaruf na to: - Mam wszystkiego mnóstwo. Ponieważ jednak teraz jego prawdomówność już się potwierdziła, nikt nie śmiał zarzucić mu kłamstwa. A zresztą Maaruf nie potrzebował zwracać uwagi na to, ile rozdał, ponieważ sługa pierścienia przynosił mu wszystko, czego tylko zażądał. I przybył podskarbi króla, i rzekł: - O największy władco naszych czasów! Skarbiec twój jest pełny i nie może już nic więcej pomieścić! Gdzie mamy więc złożyć resztę złota i drogich kamieni? Wówczas król wskazał mu inne pomieszczenie. Kiedy małżonka Maarufa zobaczyła, co się dzieje, radość jej nie miała granic i tak do siebie pełna zachwytu mówiła: "Gdybym tylko wiedziała, skąd bierze się to całe jego bogactwo!" Również kupcy cieszyli się z tego, co Maaruf im dał, i błogosławili go. Jedyne kupiec Ali nie mógł ochłonąć ze zdziwienia i powtarzał w duchu: "Ileż musiał ten szalbierz nakłamać i naoszukiwać aby wszystkie te skarby do rąk swoich dostać! Gdyby pochodziły one od córki króla bowiem, to padyszach nie pozwoliłby rozdzielić ich wśród ubogich. Ale jakżeż piękne są słowa poety, który powiedział: Jeśli tobie dostojny padyszach coś daje, Wtedy pytać o powód to zbędne pytanie. Allah także darami darzy, kogo zechce, Chodzi o to, byś umiał podziękować za nie. Tyle na razie o kupcu Alim! Lecz również i sam król jał dziwować się ponad wszelką miarę, widząc, jak sobie Maaruf poczyna, rozdając hojnie i wspaniałomyślnie wszystkie swoje bogactwa. W końcu Maaruf udał się do swojej małżonki, która przyjęła go z promiennym uśmiechem i wielką radością, a ucałowawszy mu rękę, zwróciła się doń z zapytaniem: - Czy chciałeś wtedy ze mnie szydzić, czy też pragnąłeś wystawić mnie na próbę, kiedy mówiłeś, iż jesteś ubogi i musisz uciekać przed swoją złą żoną? Ale chwała niech będzie Allahowi, że nie omieszkałam spełnić mojego obowiązku wobec ciebie! Jesteś bowiem moim oblubieńcem i nikt nie może mi być droższy nad ciebie, niezależnie od tego, czy jesteś bogaty, czy biedny. Chciałabym jednak, abys mi powiedział, co wtedy myślałeś, kiedyś mi o sobie mówił. A Maaruf na to: - Chciałem wystawić cię na próbę, aby przekonać się, czy miłość twoja jest szczerą, czyli też spowodowana jedynie bogactwem i żądzą dóbr doczesnych. Teraz wszakże stało się już jawne, iż miłość twoja była i jest czysta. A ponieważ żywisz do mnie szczerze uczucie, bądź z całego serca pozdrowiona! Znam teraz twoją wartość! Po czym Maaruf zamknął się sam w pokoju i potarł pierścien. Niezwłocznie zjawił się Abu as-Saadat i rzekł: - Jestem do twoich usług, powiedz, czego sobie życzysz? Wówczas Maaruf odpowiedział: - Życzę sobie, abys dostarczył dla mojej małżonki kosztownej szaty i drogocennych klejnotów, wśród których ma być naszyjnik składający się z czterdziestu najrzadszych i najpiękniejszych kamieni. - Słucham i jestem posłuszny! - odparł džinn i niezwłocznie przyniósł to, czego Maaruf zażądał. Po czym Maaruf wziął owe wspaniałe szaty i klejnoty i poszedł z nimi do córki sułtana, położył wszystko przed nią i rzekł: - Weź to i przywdziej, niech będzie to gościńcem powitalnym dla ciebie. Córka królewska ujrzawszy dary swego małżonka, omal nie zasłabła z radości. Pośród podarowanych klejnotów znalazła dwie złote bransolety na nogi, wysadzone szlachetnymi kamieniami, dzieło z istic czarodziejskim kunsztem wykonane, a krom tego naramienniki, kolczyki i pas, wszystko bezcennej wartości. Włożyła tedy owe kosztowne szaty i klejnoty, po czym rzekła: - Panie mój i władco! Schowam wszystkie te twoje dary, aby nosić je jedynie w dni świąteczne i uroczyste. A Maaruf na to: - Noś je na co dzień, bo mam mnóstwo jeszcze wspanialszych! Kiedy żona Maarufa w to wszystko się wystroiła, niewolnice jej, ujrzawszy ją, cieszyły się wielce, ale on odprawił je i zamknął się w komnacie. Po czym potarł znów pierścien, a skoro džinn ukazał się przed nim, tak do niego powiedział: - Przynieś mi sto szat i sto kosztowności! - Słucham i jestem posłuszny! - odparł džinn i przyniósł mu owych sto szat, w które owinięte były żądane kosztowności. Tedy Maaruf wziął wszystko i przywołał niewolnice, a kiedy przybyły, dał każdej z nich po szacie z odpowiednimi klejnotami. Niewolnice wystroiły się w nie od razu i wyglądały istic

jako rajske hurysy\*, ale pani ich i tak zaćmiewała je wszystkie blaskiem swej urody, jak księżyc zaćmiewa gwiazdy. Jedna z niewolnic pobięła do króla, aby mu o tym wszystkim donieść, i ten przybył niebawem do swojej córki. Ujrzawszy, że ona oraz jej niewolnice oślepiają wprost każdego iskrzącym się blaskiem swojego przepychu, król nie posiadał się ze zdumienia, wybiegł zaraz z komnaty, kazał zawezwać wezyra, opowiedział mu o wszystkim, a w końcu spytał: - A co ty na to mówisz? - O największy władco naszych czasów - odrzekł wezyr - takie postępowanie nie cechuje kupców. Każdy kupiec bowiem trzyma swoje tkaniny latami na składzie, a sprzedaje je tylko z zyskiem. Czyż zwykli kupcy mogliby być tak szczodrzy jak ten? Skąd wzięliby takie bogactwa i klejnoty, jakich najpotężniejsi władcy nawet w drobnej części nie posiadają? W jaki sposób skrzynie skarbów mogłyby się znaleźć u zwykłego kupca? Wszystko tu musi mieć swoją szczególną przyczynę. A jeśli chcesz posłuchać mojej rady, wyjawię ci, jak ta rzecz naprawdę wygląda. A król na to: - Chętnie posłucham twojej rady, o wezyrze. I wezyr tak mówił dalej: - Idź do swego zięcia, okaż mu dowody przyjaźni i zacznij z nim gawędzić. A potem powiedz: "Kochany zięciu, zamierzam wraz z tobą oraz wezyrem albo jeszcze kimś innym pójść do ogrodu, aby tam miło spędzić czas na wspólnej zabawie". Skoro jednak będziemy już w ogrodzie, każe przynieść mocnego wina i będę namawiał go, aby wiele wypił. A skoro napije się, rozum zostanie mu odjęty i zięć twój nie będzie już panem swoich zmysłów. Wtedy zapytamy go, jak naprawdę rzecz się z nim ma, i nie wątpię, że wyjawi nam wszystkie swoje tajemnice. Wino bowiem jest zdradliwe. Kiedy zaś Maaruf już nam opowie całą prawdę, dowiemy się, jak rzeczy stoją, i będziemy mogli postąpić z nim według naszego uznania. Obawiam się bowiem dla ciebie, panie, skutków postępowania twego zięcia. Być może dąży on do panowania i chce szczodrością i roztaczaniem zbyt wielu przekupić twoich wojowników, aby zrzucić cię z tronu i pozyskać władzę. - Masz rację! - odparł król i zgodni w swym postanowieniu obaj z wezyrem spędzili noc na rozmowie. Nazajutrz rano król udał się do swojej komnaty, gdy nagle wpadli słudzy i koniuchowie, wykazując najwyższe przerażenie. - Co się wam stało? - zawołał król zdziwiony. A oni na to: - O największy władco naszych czasów, twoja służba stajenna wyszorowała wczoraj zgrzeblem konie oraz juczne muły, które przyniosły towary, i zadała im paszę. Ale dziś rano odkryliśmy, że mamelucy twojego zięcia zrabowali wszystkie twoje konie i muły. Przeszukaliśmy stajnie, ale nigdzie nie było ani śladu konia czy muła. A potem, kiedyśmy zaszli do izby, gdzie mamelucy nocowali, nie zastaliśmy tam nikogo i nie wiemy, gdzie się podzieli. Król zdziwił się jeszcze więcej, gdyż nie wiedział, iż byli to strażnicy z krainy duchów, podlegli słudze czarodziejskiego pierścienia. Przeto jął na służbę krzyknąć: - Przeklętnicy, w jakim sposobie mogło się stać, aby tysiąc zwierząt i pięciuset mameluków oraz poganiaczy uciekło, a wyście nic nie zauważyli? A oni na to: - Sami nie wiemy, jak się to stało, iż nie widzieliśmy ich uciekających. Tedy król rzekł: - Wynoście się, a kiedy wasz pan, a mój zięć, opuści harem, donieście mu o tym! Słudzy odeszli sprzed oblicza zagniewanego władcy i usiedli bezradnie, nie wiedząc, co czynić. A kiedy tak siedzieli, wyszedł z haremu Maaruf, a widząc ich strapienie zapytał: - Co się stało? A oni donieśli mu o wszystkim, Maaruf zaś rzekł: - Jakaż była wartość tych koni, mułów i mameluków, że tak po nich płaczecie? Nie turbujcie się i wracajcie do waszej roboty! Po czym usiadł z uśmiechem, nie frasując się i nie troszcząc tym, co się przytrafiło. Tedy król spojrzawszy w oczy wezyrowi i rzekł: - Dziwny to człowiek, dla którego bogactwo nie stanowi żadnej wartości. Musi to mieć jednak jakąś przyczynę! Po czym gawędził z nim przez chwilę, aż w końcu ozwał się: - Kochany zięciu, chciałbym z tobą oraz moim wezyrem udać się do ogrodu, aby tam miło spędzić czas. Cóż na to powiesz? - Przystaję chętnie! - odparł Maaruf. I tak udali się we trójkę do ogrodu, w którym rosło wiele przeróżnych owocowych drzew, gdzie były srebrzyste źródła, strzeliste palmy wznosiły wysoko w górę swe korony, a różnobarwne ptactwo napełniało powietrze radosnym świergotem. Król z wezyrem i Maarufem weszli do altany i, zapomniawszy o wszelkich troskach, zasiedli do wesołej pogawędki. Wezyr opowiadał przedziwne historie i zabawiał ich dowcipnymi dykteryjkami i wesołymi wierszykami, a Maaruf przysłuchiwał się tylko rozmowie, aż nadeszła pora obiadowa. Wówczas przyniesiono nakryty stół ze smacznymi potrawami, a do tego dzban mocnego wina. Podjadłszy sobie i umywszy ręce, wezyr napełnił kielich i podał go władcy, który zaraz go wychylił. Po czym wezyr napełnił drugi kielich i rzekł do Maarufa: - Weź ten oto puchar napełniony przednim napojem, przed którym nawet rozum z

uszanowaniem pochyla czoło! I w ten sposób zachęcał Maarufa do picia, zachwalając zalety wina, którym się sam rozkoszował. Wypowiedział przy tym wszystkie wiersze i wesołe przypowieści o winie, które znał, aż Maaruf przyssał się tak do kielicha, iż wydawało się, że nic mu już więcej nie potrzeba. Wezyr dolewał i dolewał, a Maaruf pił i pił, stawał się coraz weselszy i coraz radośniej patrzył na świat, aż w końcu przytomność go opuściła i nie wiedział już, co dobre, a co złe. Skoro wezyr zmiarkował, iż opilstwo Maarufa dochodzi do szczytu, a nawet przekracza wszelkie granice, tak do niego rzecze: - Na Allacha, Maarufe, nie mogę się nadziwić, skąd wydosłałeś wszystkie te klejnoty, jakie trudno znaleźć nawet w skarbcu królów perskich! W całym naszym życiu nie widzieliśmy jeszcze kupca, który posiadałby takie bogactwa, jak ty, i który mógłby ci dorównać hojnością. Twoje postępowanie jest postępowaniem króla, a nie kupca. Przeto zaklinam cię na Allacha, powiedz mi prawdę, abym mógł należycie uszanować twoją rzeczywistą wartość i godność! I tak nalegał na niego i schlebiał mu, aż Maaruf, który stracił już władzę nad sobą, rzekł: - Nie jestem ani kupcem, ani też synem królewskim. Po czym opowiedział wezyrowi całe swoje dzieje od początku do końca. Tedy wezyr poprosił Maarufa: - Na Allacha, proszę cię, dostojny Maarufe, pokaż nam ów pierścień, abyśmy mogli zobaczyć, jak jest zrobiony! Wówczas Maaruf, straciwszy od pijaństwa doszczętnie głowę, zdjął pierścień z palca i rzekł: - Weźcie go i przyjrzyjcie się mu dokładnie. Wezyr uczynił to natychmiast i kręcąc nim na wszystkie strony, spytał: - Gzy sługa tego pierścienia ukaże mi się, jeśli ja potrę pierścień? - Rzekłeś! - odparł Maaruf. - Potrzyj go, a natychmiast dzinn przyjdzie do ciebie i będziesz mógł go sobie obejrzeć. Wezyr potarł pierścień i nagle dał się słyszeć głos: - Oto jestem do usług twoich, panie i władco! Powiedz, czego sobie życzysz, a niezwłocznie będzie ci to dane. Czy chcesz jakieś miasto zburzyć, czyli też wybudować, albo jakiegoś sułtana zgładzić? Wszystko, czego zażadasz, spełnię dla ciebie bez sprzeciwu i zwłoki. Wówczas wezyr wskazał na Maarufa i powiedział do dzinna: - Porwij tego nędznika w przestworza i porzuć go na najbardziej odległej pustyni, gdzie nie będzie mógł znaleźć nic do jedzenia ani picia, aby szezł z głodu marnie i aby nikt się o tym nawet nie dowiedział! Dżinn porwał zaraz Maarufa i poleciał z nim, szybując pomiędzy niebem a ziemią. Maaruf wytrzeźwiał nagle i pojął, iż znajduje się o krok od śmierci. Zawołał tedy szlochając: - O Abu as-Saadacie, dokąd mnie niesiesz? A dżinn na to: - Mam cię porzucić w najbardziej pustynnej okolicy Arabu, lekkomyślny głupcze! Któż mając taki talizman, daje go obcym ludziom do obejrzenia? Zasłużyłeś na to, co cię spotkało. Zaprawdę, gdybym nie bał się gniewu Allacha, cisnąłbym cię zaraz z wysokości tysiąca sążni, tak że nim doleciałbyś do ziemi, wichry porozdzierałyby cię na kawałki! Maaruf umilkł i nie przemówił już ani słowa, aż dotarli do najodleglejszej i najbardziej pustynnej okolicy Arabii. Tam dżinn porzucił Maarufa i zaraz zawrócił, pozostawiając go na beznadziejnym pustkowiu. Powróćmy teraz do wezyra. Posiadłszy pierścień zwrócił się do króla i tak rzecze: - No i co teraz powiesz, czyż nie mówiłem ci, że człowiek ów jest kłamcą i oszustem? Ty wszakże nie chciałeś mi dać wiary. - Masz słuszość, wezyrze - odparł tamten - Niech Allah obdarzy cię zdrowiem! Ale daj mi teraz ów pierścień, abym i ja mógł go obejrzeć. Ale wezyr spojrział na niego pełen gniewu, plunął mu w twarz i krzyknął: - O głupcze nad głupcami! Po cóż miałbym ci go dawać i nadal ci służyć, kiedy teraz ja stałem się panem twego losu! Nie, nigdy, przenigdy nie oddam już tego pierścienia nikomu, póki żyję! Po czym potarł pierścień, a skoro tylko dżinn się zjawił, wezyr wydał mu rozkaz, wskazując na króla: - Porwij tego bezczelnego starucha i porzuć go w tym samym miejscu, w którym porzuciłeś jego zięcia oszusta. Dżinn porwał natychmiast króla i unióśł się z nim w powietrze, a król zapytał: - Powiedz mi, stworzenie Allacha, na czym polega moja wina? A dżinn odparł: - Tego nie wiem, ale skoro pan mój i władca dał mi taki rozkaz, muszę usłuchać go, jako że jest on posiadaczem czarodziejskiego pierścienia. I poleciał z królem dalej, aż porzucił go w tym samym miejscu, gdzie znajdował się Maaruf, po czym zawrócił. Usłyszawszy płacz i narzekanie Maarufa, król podszedł do niego i opowiedział mu o wszystkim, co się stało. I tak siedzieli obaj razem i lamentowali nad złym losem, jakiego doznali, nie znajdując nigdzie jada ni napoju. Wróćmy teraz do wezyra! Pozbywszy się Maarufa i króla, natychmiast opuścił ogród. Po czym zawiązywał wszystkich wojowników na naradę i oznajmił im, co uczynił, a także obwieścił im, jak się ma rzecz z czarodziejskim pierścieniem. W końcu tak do nich rzekł: - Jeśli nie uznacie mnie zaraz swym władcą, rozkażę słudze pierścienia, aby was wszystkich

porwał i zaniósł w pustynne okolice Arabii, a tam zginiecie marnie z głodu i pragnienia! A oni na to: - Nie czyn nam krzywdy! Zgadamy się i chcemy być posłuszni wszystkim twoim rozkazom. I tak przymuszeni uznali jego panowanie nad sobą, a on rozdzielił wtedy między nich honorowe szaty, po czym zaczął domagać się od Abu as-Saadata wszystkiego, co mu się tylko zachciało, a ten dostarczał mu tego niezwłocznie. Usiadłszy na tronie i przyjąwszy hołd od zebranych wojowników wezyr posłał do córki króla i kazał jej oznajmić: "Bądź gotowa! Dziś jeszcze przybędę, aby cię poślubić". Tedy nieszczęsna oblubienica Maarufa zaczęła oplakiwać stratę swego ojca i swego męża. A wezyrowi kazała odpowiedzieć: "Miej cierpliwość ze mną, aż przejdzie wyznaczony czas wdowieństwa\*. Wtedy będziesz mógł zawrzeć ze mną kontrakt ślubny i w dozwolony sposób mnie poślubić!" Ale wezyr nie chciał czekać, lecz posłał do niej ponownie posłańca i kazał jej powiedzieć: "Nic mnie wyznaczony czas wdowieństwa nie obchodzi, nie uznaję żadnej zwłoki i w ogóle nie potrzebuję zawierać z tobą żadnego ślubnego kontraktu, gdyż nie ma dla mnie różnicy w tym, co dozwolone i niedozwolone. Chcę poślubić cię jeszcze dziś wieczór". Tedy małżonka Maarufa odesłała posłańca z odpowiedzią, że wezyr będzie mile widziany, a ona zgadza się na wszystko! Ale był to tylko podstęp z jej strony. Odpowiedź królowny ucieszyła wielce wezyra i serce wezbrało mu szczęściem, gdyż pałał od dawna gorącą miłością do niej. Po czym wszystkich swoich poddanych zaprosił na biesiadę, mówiąc: - Jedzcie te potrawy i uważajcie tę ucztę za weselną, gdyż jeszcze dziś poślubię córkę króla! Ale wielebny szejch al-islam rzekł: - Nie wolno ci jej poślubić, zanim nie minie przepisany czas wdowieństwa i zanim nie zawrzesz z nią kontraktu ślubnego. Ale wezyr odrzyknął: - Nie wiem, co to czas wdowieństwa, i nie chcę słyszeć o żadnej zwłoce! I dlatego nie obchodzi mnie wcale twoja gadanina! Tedy szejch al-islam umilkł z obawy przed gniewem nowego władcy, ale do wojowników powiedział: - To niewierny! Nie wyznaje naszej wiary i nie szanuje naszych praw! Skoro zapadł wieczór, wezyr udał się do pałacu królewskiej córki i zastał ją przyodzianą w najwspanialsze szaty i przyozdobioną najpiękniejszymi klejnotami. Kiedy go ujrzała, wyszła uśmiechnięta na jego spotkanie i tak do niego rzecze: - Błogosławiona to noc! Ale gdybyś wprzódy mojego ojca i mojego małżonka zamordował, byłoby jeszcze lepiej. A wezyr na to: - Bądź spokojna, na pewno ich uśmiercę! Wówczas poprosiła go, by usiadł przy niej, i zaczęła żartować z nim i okazywać mu dowody swej miłości. Wszelako pieszczoty jej były kłamliwe, gdyż chciała tylko dostać w swoje ręce czarodziejski pierścień, aby z jego pomocą przemienić wezyrową radość w niechybną zgubę. A o poczynaniach takich rzekł kiedyś poeta: Uzyskałem podstępem, co się zdobyć nie da Gwałtem i siłą orężnej przemocy. I powracam zwyciężcą ze swoją zdobyczą, Mojej chytróści najśłodszym owocem. Ale kiedy tylko wezyr chciał się do niej zbliżyć, przysunęła się do niego i zawołała płacząc: - Panie i władco, czy nie widzisz owego strasznego człowieka, który na nas patrzy?! Zaklinam cię na Allacha, ukryj mnie przed jego wzrokiem! Tedy wezyr odrzyknął pełen gniewu: - Gdzież jest ów straszny człowiek?! A ona na to: - Dostrzegam go w kamieniu twojego pierścienia! Nie widzisz, jak wysuwa głowę i jak na nas spoziera? Tedy wezyr pomyślał, iż sługa pierścienia rzeczywiście jej się przygląda, i rzekł uśmiechając się przymilnie: - Nie lękaj się, człowiek ten jest moim sługą i jest mi całkowicie poddany. A ona na to: - Lękam się jego nieczystej siły! Zdejm pierścień i odrzuć go daleko od siebie! Wówczas wezyr zdjął pierścień z palca i położył go na poduszce. A królewska córka w tej samej chwili kopnęła wezyra z całej siły, aż upadł na wznak i stracił przytomność. Ona zaś zaczęła głośno wzywać swoje służebnice, a kiedy te pośpiesznie przybiegły, rozkazała: - Pojmajcie go! Kiedy czterdzieści niewolnic schwyliło wezyra, córka króla wzięła pośpiesznie pierścień z poduszki i potarła go. Niezwłocznie zjawił się Abu as-Saadat i rzekł do niej: - Jestem do twoich usług, moja pani! A ona na to: - Weź tego niewiernego, rzuć go do najgłębszego lochu i zakuj go w ciężkie kajdany. Dżinn chwycił wezyra i rzuciwszy go do ciemnicy, gdzie słyhać było płacz i zgrzytanie zębów, powrócił do swej pani, której oznajmił: - Rozkaz twój wykonałem. Wówczas zapytała dżinna: - A dokąd zaniósłeś mojego ojca i mojego małżonka? Dżinn zaś odpowiedział: - Wyniosłem ich w najodleglejsze i najbardziej pustynne okolice Arabii. Tedy ona rzekła: - Rozkazuję ci sprowadzić ich natychmiast z powrotem! - Słucham i jestem posłuszny! - odparł dżinn, uniósł się w przestworza i poszybował chyżym lotem, aż dotarł do miejsca, gdzie znajdowali się nieszczęśliwi wygnańcy. Tam opuścił się na ziemię i zastał ich, jak siedzieli płacząc i skarżąc się

na swoją niedolę. - Nie obawiajcie się niczego! - rzekł do nich. - Przybyłem, aby was uratować. Po czym opowiedział im o tym, co uczynił wezyr, i zakończył słowami: - Na rozkaz twojej córki, a twojej małżonki, wtrąciłem go własną ręką do lochu, a potem pani moja rozkazała, abym was z powrotem sprowadził. Obaj wygnańcy uradowali się wielce z tych wieści, a dzinn uniósł ich w przestworza i pofrunął z nimi z powrotem do pałacu. Niebawem przestępował już z nimi próg komnaty córki króla. Ta zaś powstała i pozdrowiła ojca i męża, po czym poprosiła ich, aby usiedli, i kazała przynieść smaczne potrawy i najwyszukańsze słodczyce. I tak spędzili razem na ucztowaniu całą noc. Nazajutrz rano przyodziła swego ojca we wspaniałą szatę, jak również i Maarufa, swojego małżonka. A potem tak powiedziała: - Najdroższy ojcze, zasiądź na tronie, jako było wprzód, a małżonka mego mianuj wezyrem prawicy\*. Wojownikom twym oznajmij, co się stało. Po czym sprowadź dawnego wezyra z lochu i każ go ściąć, a zwłoki jego spalić! Zięcia twojego zasię otocz szczególnymi względami. - Jestem ci posłuszny i zastosuję się do twoich słów, umiłowana córko moja - odparł król - ale oddaj pierścień mnie albo twojemu małżonkowi! A ona na to: - Pierścień ten nie przyniósł szczęścia ani tobie, ani jemu. Niech więc pozostanie u mnie, gdyż być może będzie tu bezpieczniejszy niż u was. Czego będziecie żądać, żądajcie ode mnie, a ja z kolei rozkażę dostarczyć tego słudze pierścienia! Nie będziecie potrzebowali się niczego złego obawiać, dopóki ja pozostanę przy życiu, a po mojej śmierci róbcie z tym pierścieniem, co się wam podoba! Tedy ojciec tak do córki swej rzecze: - Twoja rada jest rozsądna, kochana córko! Po czym wziął z sobą zięcia i obaj udali się do sali, gdzie zwykle odbywał się dywan. Tymczasem wojownicy spędzili noc w ciężkiej trosce o los córki króla oraz w obawie, co wezyr z nimi uczyni, a również i dlatego, iż żalowali, że tak zgrzeszyli wobec swojego prawowitego władcy i jego zięcia. Przeto zebrali się teraz w sali, gdzie odbywał się zwykle dywan, i zaczęli czynić gorzkie wyrzuty szejchowi al-islam mówiąc: - Dlaczego nie przeszkodziłeś wezyrowi w jego niecnym postępkach?! A on tak im odpowiedział: - Mężowie, człowiek ów jest niewierny, ale posiadał władzę nad czarodziejskim pierścieniem. Przeto my wszyscy, zarówno ja, jak i wy, nie możemy nic przeciwko niemu zdziałać. Sam Allah odpłaci mu kiedyś za jego zbrodnie. Wy wszakże lepiej milczcie, aby wezyr nie pozbawił was życia. Podczas gdy wojownicy prowadzili powyższą rozmowę, nagle wkroczył do sali prawowity władca, a wraz z nim zięć jego Maaruf. Wojownicy ucieszyli się wielce z ich przybycia, powstali z miejsc i całowali ziemię u stóp króla, który tymczasem zasiadł na tronie, a gdy opowiedział im wszystko, opuścił wojowników strach, który był ich dręczył. Tedy król rozkazał przyozdobić uroczyście miasto i polecił przywieść wezyra z lochu. Kiedy prowadzono go obok zebranych wojowników, wszyscy przeklinali go, wymyślali mu i urągali tak długo, aż stanął przed obliczem króla, który niezwłocznie kazał stracić go jak najbardziej haniebną śmiercią. Ścięto więc wezyrowi głowę, a ciało spalono, aby od razu dostało się pełne hańby do ognia piekielnego. Maaruf zasię mianowany został wezyrem prawicy. I zdarzyło się, że nastąpiły radosne czasy, pełne błogiej rozkoszy i uśmiechu losu. Tak minęło pięć lat. Szóstego roku król zmarł, a jego mądra córka uczyniła królem swego małżonka, ale pierścienia mu nie oddała. Przez ten czas urodził się im synek, dziecię przecudnej urody. Piastunki opiekowały się nim jak najczulej, aż chłopiec skończył pięć lat. Wówczas stało się, iż matka jego zaniemogła śmiertelnie. Tedy przywołała męża swojego, Maarufa, i oznajmiła mu o tym. - Niech Allah ma cię w swojej opiece, umiłowana pani mego serca - rzekł Maaruf. A ona mówiła dalej: - Być może, przyjdzie mi umrzeć. Wiem, iż nie muszę syna naszego kochanego twojej opiece polecać. Jedną rzecz wszakże chciałabym, abyś szczególnie wziął do serca, a mianowicie, byś dobrze strzegł czarodziejskiego pierścienia, gdyż inaczej obawiam się o los zarówno twój, jak i naszego chłopca. Tedy Maaruf powiedział: - Kogo Allah ma w swojej opiece, temu nie może się stać nic złego. Ona zasię zdjęła z palca pierścień i wręczyła mu go. A nazajutrz została powołana przed tron Miłosiernego Allacha. Po jej śmierci Maaruf sprawował dalej rządy w swoim państwie. Pewnego dnia Maaruf po odbyciu dywanu zgodnie z obyczajem dał znak chustą, by wojownicy odeszli sprzed jego oblicza i udali się do swych siedzib; on zaś wstał i poszedł na swoje komnaty. Siedział tam, aż dzień zaczął się ku wieczorowi chylić, a noc spowiła wszystko czarnym płaszczem ciemności. Wówczas przyszli do niego spośród szlachetnie urodzonych emirów jego zwykli towarzysze uczt i pozostali aż do północy, aby z nim wesoło spędzić czas na zabawie. W końcu poprosili, aby Maaruf pozwolił im odejść, i rozeszli się po



swych domostwach. Wówczas przystąpiła do niego niewolnica, której obowiązkiem było przygotować dla niego posłanie, ułożyła mu wygodnie poduszki, zdjęła z niego odświętne szaty i pomogła w przywdzianiu nocnego stroju. Kiedy położył się spać, masowała mu stopy, aż usnął. Potem zasię odeszła do swojej sypialni i legła spać. Tak uczyniła niewolnica, co się zaś tyczy Maarufa, poczuł on przez sen nagle i niespodziewanie, że ktoś jest obok niego. Pełen przerażenia ocknął się ze snu i zawołał: - Niech Allah będzie moim schronieniem przed tym przeklętym pomiotem szatana! Skoro otwarł wszakże oczy, ujrzał obok siebie kobietę wielkiej szpetoty i zapytał: - Kim jesteś? A ona na to: - Nie bój się, jestem twoją żoną Fatimą, zwaną Straszdyłem. Maaruf przyjrzał się dokładnie jej odrażającej twarzy i długim złotym włosem i poznał ją. Po czym pytał dalej: - Skąd się tu wzięłaś? Kto sprowadził cię do tego kraju? A ona odpowiedziała pytaniem: - W jakim kraju znajdujemy się teraz? - W Ichtijan al-Chutan - odparł Maaruf - A ty kiedy opuściłaś Kair? - W tej właśnie chwili - odpowiedziała. - Jakżeż mogło się to stać? - pytał dalej przerażony Maaruf. Tedy Fatima tak zaczęła opowiadać: - Wiedz, że kiedy się z tobą pokłóciłam i oskarżyłam cię przed sprawującymi władzę - wiedziona podszeptami szatana, który kazał mi ci szkodzić - szukano cię wszędzie, ale już cię nie znaleziono. Kadiowie pytali się o ciebie, ale nie udało im się znaleźć twego śladu. Wszelako, kiedy dwa dni minęły, zrozumiałam, że wina była po mojej stronie. Ale skrucha moja była daremna. I tak przesiedziałam szereg dni, oplakując moją stratę, aż wszystkie zapasy się wyczerpały i musiałam iść na żebrzy, aby mieć z czego żyć. Zaczęłam tedy żebrac u wszystkich, zarówno u bogatych, którym się zazdrości, jak i u biednych, którymi się pogardza. Od czasu kiedy mnie opuściłeś, jadłam gorzki i hańbiący chleb żebraczy i znajdowałam się w krańcowej nędzy. Co noc siedziałam i lamentowałam nad tym, żeś mnie utracił, oraz nad wszystkimi nieszczęściami, które musiałam po twoim odejściu znieść, zarówno nad moją hańbą i poniżeniem, jak nędzą i serdeczną męką. I tak Fatima opowiadała Maarufowi o wszystkim, co się jej przydarzyło, a on słuchał pełen przerażenia. W końcu Fatima rzekła: - Wczoraj błądziłam przez cały dzień, żebrząc po mieście, ale nikt mi nic nie dał. Za każdym razem, kiedy do kogoś podchodziłam, aby poprosić o kawałek chleba, urągano mi nie dając jałmużny, tak że kiedy nastąpiła noc, nie miałam co włożyć do ust. Palił mnie głód, a wszystko, czego doznałam, legło ciężarem na moim sercu. Kiedy tak płacząc siedziałam, zjawiła się nagle przede mną jakaś postać i zapytała: "Niewiasto, czemu płaczesz?" A ja na to: "Ongiś miałam męża, który się o mnie troszczył i spełniał każde moje życzenie, ale obecnie go utraciłam i nie wiem, dokąd się udał. A od czasu kiedy mąż mnie opuścił, doznałam wiele niedoli". Wówczas owa postać pytała dalej: "Jak zwie się twój małżonek?" "Imię jego brzmi Maaruf" - odpowiedziałam. A owa postać na to: "Znam tego człowieka, wiedz, że małżonek twój jest obecnie sułtanem w dalekim kraju. Ale jeśli chcesz, aby cię tam zanieść, uczynię to chętnie". Tedy poprosiłam: "Ulituj się nade mną i zanieś mnie do niego!" I natychmiast poczułam, że jakaś siła unosi mnie w powietrze, leci ze mną pomiędzy niebem a ziemią, a w końcu składa mnie w tym oto zamku. Wówczas owa postać rzekła do mnie: "Wejdz do tej oto komnaty, a tam zastaniesz twojego męża śpiącego na posłaniu". Uczyniłam, jak mi owa postać rozkazała, i ujrzałam cię w całej twojej królewskiej wspaniałości. Ach, nigdy, przenigdy nie myślałam, że mnie opuścisz, boć przecież jestem nieodłączną towarzyszką twego życia. Chwała więc Allahowi za to, iż znowu nas połączył! Wówczas Maaruf odparł: - Czy to ja ciebie opuściłem, czy też ty byłaś tą, która opuściła swego małżonka? Ty skarżyłaś mnie, to przed jednym kadim, to przed drugim, a w końcu złożyłaś nawet skargę na mnie przed najwyższym trybunałem i chciałaś oddać w ręce kata. Wówczas nie pozostawało mi nic innego, jak wziąć nogi za pas. Po czym opowiedział Fatimie o wszystkim, co mu się od tego czasu przydarzyło, jak stał się królem poślubiwszy wprzód córkę władcy. Również oznajmił jej, iż jego druga oblubienica zmarła, pozostawiając mu synka, który liczy siedem lat. Wówczas Fatima powiedziała: - Wszystko, co się stało, było widocznie przez Allacha Miłościwego z góry przeznaczone. Od dawna czuję już skrucę, a ty miej miłosierdzie nade mną i nie opuszczaj mnie teraz, ale pozwól, abym u twego boku żyła na łaskawym chlebie. I tak pokornie prosiła, aż Maaruf poczuł w sercu swoim litość. I rzekł do niej: - Poniechaj ze skrucą twojej złości i pozostań przy mnie. Nie stanie ci się tu nic złego, jeno spotka cię to, co będzie ci sprawiało radość. Skoro jednak znowu coś złego uczynisz, zabiję cię, gdyż obecnie nie potrzebuję już obawiać się nikogo. Niech ci się nie wydaje, że możesz

mnie oskarżyć przed sądem albo oddać w ręce kata. Zostałem bowiem królem i lud mój drży przede mną, a ja nie obawiam się nikogo, krom jednego Allacha. Posiadam ponadto czarodziejski pierścień. Kiedy go potrę, zjawia się przede mną jego sługa, imieniem Abu as-Saadat, i dostarcza mi wszystkiego, czego tylko od niego zażądam. Jeśli zechcesz powrócić teraz do swojego miasta, dam ci wszystkiego tyle, że wystarczy to na resztę twoich dni, i odeślę cię bez zwłoki do twojej ojczyzny. Jeśli jednak będziesz wolała zostać przy mnie, każę oddać ci w posiadanie osobny pałac i przyozdobić go najrzadszymi jedwabnymi tkaninami. Przeznaczę również dla ciebie dwadzieścia niewolnic, które mają ci służyć. Do twego pałacu będę ci posyłał najdelikatniejsze potrawy i najwspanialsze szaty, tak iż staniesz się równa monarchiniom i będziesz mogła wieść najwspanialsze życie aż do twojej lub mojej śmierci. Co ty na to? - Chciałabym z tobą zostać - odparła Fatima i ucałowała męża w rękę, gorzko żałując swojej minionej złości. Tedy Maaruf przeznaczył dla niej osobny pałac i obdarował ją niewolnicami i służbą, tak że była równa monarchiniom. Młody książę, następca tronu, odwiedzał ją czasem, jak również i swojego ojca, ale Fatima nienawidziła chłopca, ponieważ nie był jej synem. A kiedy chłopiec zauważył gniew i nienawiść w jej oczach, zaczął jej unikać i odczuwał wobec niej niechęć. Tymczasem Maaruf zapominał coraz częściej o Fatimie, która osiwała i zestarzała się, tak że wygląd jej stał się jeszcze bardziej odrażający, a przy tym kiedyś bardzo źle się z nim obeszła. A przecież przysłowie mówi, iż złe traktowanie niszczy korzeń uczucia i sieje ziarno nienawiści na roli serca. Mądry był człowiek, który powiedział: Staraj się sercu oszczędzać boleści! Ze zniechęconym sercem ciężka bieda, Gdy do miłości już raz się zniechęci - Jak szkło rozbite, już się skleić nie da! Toteż Maaruf zaopiekował się starą żoną nie z dobroci serca, ale jedynie po to, aby pozyskać łaskę w oczach Allacha. Nie uważał też już starej Fatimy za żonę, lecz żywił ją, w nadziei, iż otrzyma za to nagrodę w raju. Ale kiedy Fatima zmiarkowała, iż mąż stroni od niej, poczęła go znów nienawidzić, a zazdrość opanowała ją całkowicie. Szatan zasię podszeptał jej, aby ukradła Maarufowi pierścień, zabiła go, a w końcu sama stała się władczynią zamiast niego. Przeto pewnej nocy wymknęła się ze swego pałacu, aby udać się do zamku, w którym Maaruf mieszkał. W swojej podziwu godnej nabożności zwykł on do snu pierścień zdejmować z uszanowania dla świętych imion, które były na nim wyryte, i kładł go na poduszce. Gdy Maaruf rano udawał się do kąpieli, zamykał na rygiel drzwi swojej komnaty, aż do chwili powrotu z łaźni, kiedy to brał pierścień i wkładał go znowu na palec. Dopiero potem mógł każdy do jego sypialni bez przeszkód wejść. Fatima zwiedziała się o tym wszystkim i zakradła się nocą do komnaty męża, aby gdy jeszcze spał głębokim snem, ukraść mu pierścień nie widziana przez nikogo. Zdarzyło się przy tym, że kiedy z pałacu swego cichaczem się wymykała, syn Maarufa przypadkowo ujrzał Fatimę, skradającą się do zamku jego ojca. I tak do siebie powiedział: "Dlaczegoż ta wiedźma opuściła swój pałac potajemnie w ciemnościach nocy? Dlaczegoż przemyka się chyłkiem do zamku mojego ojca? Musi mieć na pewno jakieś powody". Tedy młody książę poszedł jej śladem nie zauważony, a miał on przy sobie kindżał z klingą z damasceńskiej stali, ponieważ nigdy nie wychodził bez tego ukochanego oręża. Kiedy ojciec widział go z tym kindżałem, zwykł był uśmiechać się i tak wołać do syna: "Allah sprawia cuda! Kindżał twój jest wspaniały, o mój synu, ale dotychczas nie byłeś z nim jeszcze na żadnej wojnie i nie obciąłeś nim głowy żadnemu wrogowi". Wtedy chłopiec odpowiadał: "Ojcze, na pewno kiedyś jeszcze zgładzę moim kindżałem kogoś, kto na to zasłuży". A ojciec śmiał się wtedy ze słów swojego syna. Kiedy tak młody książę skradał się śladem pierwszej żony swojego ojca, wyciągnął kindżał z pochwy i śledził złą staruchę, aż znikła w komnacie króla. Chłopiec przystanął przy drzwiach ojcowskiej sypialni i czekał, co dalej będzie. Słyszał tedy, jak Fatima myszkowała po całej komnacie, mówiąc do siebie głośno: - Gdzież mógł on położyć ten swój pierścień? Młody książę ukryty za drzwiami usłyszał, jak Fatima znalazłszy pierścień zawołała: "Oto jest!" Po czym gdy Fatima wyszła z komnaty, przypatrując się swojej zdobyczy i obracając pierścień w rękę na wszystkie strony, młody książę podniósł kindżał i zadał jej celny cios w kark. Starucha wydała krótki krzyk i osunęła się martwa na ziemię. Słyszając to Maaruf obudził się ze snu i ujrzał Fatimę leżącą w kałuży krwi na ziemi, a syna swojego stojącego nad nią z obnażonym kindżałem w rękę. - Cóż to ma znaczyć, mój synu? - zapytał. A syn odpowiedział: - Ojcze mój, ileż to już razy mi mówiłeś, że mam wspaniały kindżał, ale że nie walczyłem nim jeszcze w żadnej bitwie. A ja wtedy

przysięgam ci, że na pewno zgładzę nim jeszcze kogoś, kto na to zasłuży. I patrz, teraz oto uczyniłem, co zapowiadałem. I opowiedział syn ojcu o tym, co Fatima zamierzała zrobić. Maaruf obejrzał się za swoim pierścieniem, ale dopiero po długim poszukiwaniu odnalazł go w zaciśniętej pięści zabitej wiedźmy. Wyjął tedy pierścień z jej ręki i tak do syna swego rzecze: - Jesteś mym nieodrodnym i prawowitym synem. Niechże Allah obdarzy cię pokojem i na tym, i na tamtym świecie, tak jak ty uchroniłeś mnie od tej przeklętnicy, ona zaś przez swoje nieczne postępowanie sama wydała wyrok na siebie. Po czym przywołał kilku spośród swych sług. Kiedy zaś przybiegli, opowiedział, co Fatima przeciwko niemu ukuła. Następnie rozkazał sługom obmyć zwłoki, owinąć je w całun i wyprowadzić Fatimie pogrzeb. I tak droga jej z Kairu do miasta Ichtijan al-Chutan okazała się tylko drogą do mogiły. W końcu Maaruf kazał sprowadzić owego oracza, który ugościł go podczas jego ucieczki. A kiedy ten przybył, ustanowił go wezyrem prawicy sułtańskiej oraz swym głównym doradcą. Kiedy zaś dowiedział się, że wieśniak ów ma córkę wspaniałej urody, o urzekającym wdzięku i szlachetnej skromności, wytwornym ułożeniu i godnym zachowaniu, wziął ją sobie za żonę. A po niej jakimś czasie ożenił również i swojego syna. Przez długi czas pędzili jak najwspanialsze życie wśród wesela i rozkoszy, aż przybyła do nich ta, która każe umilknąć wszelkiej radości, rozrywa więzy przyjaźni i sprawia, iż kwitnące miasta przemieniają się w odludne pustkowia, a synowie i córki nie odnajdują już swych rodziców. Chwała więc niech będzie Temu, wiecznie żywemu, który nigdy nie umiera i który dzierży w swych rękach klucze widzialnego i niewidzialnego świata!